



ANTONIO GARRIDO

SKRYBA

Z hiszpańskiego przełożyła: ANNA JĘCZMYK

Rok 799 Naszego Pana Jezusa Chrystusa. Cytadela Wurzburg. Górna Frankonia.

I zjawił się diabeł, i zagościł wśród ludzi.

Nie wiem już sam, po co piszę: wczoraj umarła Theresa i być może wkrótce do niej dołączę. Dziś nic nie jedliśmy. To, co dostaję w skrytorium, ledwie nam starcza. Głód sieje spustoszenie. Miasto umiera.

Gorgias odłożył woskową tabliczkę na ziemię i położył się na ubogim łożu. Nim zamknął powieki, odmówił modlitwę za duszę córki i przed oczami stanęły mu straszne dni poprzedzające nadejście wielkiego głodu.

RS

LISTOPAD

ROZDZIAŁ 1

W dniu Wszystkich Świętych w Wurzburgu nie wstało słońce. W półmroku pierwsi parobkowie wyszli z domów i ruszyli na pola, patrząc w niebo, brudne i obrzmiałe niczym brzuch ogromnej krowy. Psy wyczuły nadciągającą burzę i zaczęły ostrzegawczo szczekać, ale mężczyźni, kobiety i dzieci kontynuowali marszrutę niczym bezwolne wojsko. Jednak wkrótce nawałnica ciężkich czarnych chmur przysłoniła firmament i po chwili z nieba lunęły takie strumienie wody, że nawet najstarsi chłopci zadrżeli, przepowiadając nadejście końca świata.

Theresa jeszcze spała, kiedy jej macocha podniosła alarm. Półprzytomna dziewczyna usłyszała, jak grad wali w kryty strzechą dach, grożąc jego zawaleniem, i natychmiast pojęła, że musi się pospieszyć. W mgnieniu oka zebrały ze stołu chleb i ser i dorzuciły do naprędce związanego tobołka trochę ubrań. Następnie zabezpieczyły drzwi i okna, po czym dołączyły do przerażonej cizby. Ludzie biegli, by skryć się w wyżej położonej części miasta.

Kiedy szły w górę ulicą Łuczniczą, Theresa uświadomiła sobie, że zapomniała zabrać woskowe tabliczki.

— Idźcie, matko. Zaraz wrócę.

Mimo protestów Rutgardy Theresa zniknęła w tłumie przemoczonych do suchej nitki chłopów biegnących w przeciwnym kierunku. Wiele uliczek zamieniło się już w rzeki, którymi płynęły dziurawe kosze, kawałki drewna na opał, martwe kury i strzępy ubrań. Pokonała uliczkę Garbarską, przeskakując przez wózek zaklinowany między dwoma podtopionymi domami, i zeszła w dół ulicą Starą na tyły swojego domu. Tam nakryła złodzieja, który usiłował włamać się do środka. Ledwie się zbliżyła, wymierzyła mu solidnego kopniaka, ale chłopak, zamiast uciec, pobiegł do sąsiedniego domu i wskoczył przez okno. Theresa obrzuciła go wyzwiskami, po czym weszła do siebie i czym prędzej skierowała się w stronę skrzyni, z której wyjęła przybory do pisania, woskowe tabliczki i Biblię w szmaragdowej oprawie. Przeżegnała się, schowała wszystko pod płaszczem i wróciła tak szybko, jak tylko pozwoliła jej na to wezbrana woda, do miejsca, gdzie czekała na nią macocha.

Kiedy szły do katedry, wiele uliczek tonęło w błocie, a nad ich głowami przeleciały dwa dachy, które porwał wiatr niczym zwiędłe liście. Wkrótce potem gwałtownie wezbrana woda wtargnęła w labirynt chałupek na przedmieściach, siejąc prawdziwe spustoszenie.

Modlitwy mieszkańców niewiele pomogły i w kolejnych dniach deszcze i zawieje nachodziły pola, zamieniając je w bajora. Potem nadeszły śniegi. Men zamarzł, unieruchamiając czółna rybaków, zamiecie śnieżne zamknęły drogi łączące Wurzburg z równinami Frankfurtu, a dostawy żywności i innych towarów zostały całkiem przerwane. Mrozy zdziesiątkowały zbiory i dokonały spustoszeń wśród trzody. Powoli znikwały zapasy i głód zaczął się rozprzestrzeniać niczym wielka plama oliwy. Niektórzy chłopci sprzedali za bezcen swoje ziemie, a ci, którzy nie mieli nic, musieli sprzedać własne rodziny. O szaleńcach, którzy opuścili bezpieczne mury i uciekli do lasów, wszelki słuch zaginął. Inni w rozpaczy polecali dusze Bogu i rzucali się w przepaść.

Z dnia na dzień poruszanie się ulicami Wurzburga zamieniło się w koszmar. Łatwo było poślizgnąć się w błocie, a domy groziły zawaleniem, więc trzeba było trzymać się środka drogi. Ludzie pozamykali się w domach w oczekiwaniu cudu, ale dzieci niepomne matczynych przestróg nadal zbierały się na gnojowiskach za murami, w nadziei złapania jakiegoś szczura, którego można by upiec. Kiedy im się udawało, wtykały złapane sztuki na żerdzie i fetowały swój wyczyn śpiewem i okrzykami, maszerując główną ulicą z wysoko uniesionymi trofeami.

Po dwu tygodniach na ulicach cytadeli pojawiły się pierwsze trupy. Ci spośród zmarłych, którym dopisało więcej szczęścia, zostali pochowani na maleńkim cmentarzu przy drewnianym kościele Świętej Adeli, ale wkrótce ochotnicy opadli z sił i trupy słały się gęsto na brzegach rzeki, tak jakby miasto dotknęła zaraza. Czasem trupy puchły jak ropuchy, ale zazwyczaj szczury pożerały ciała, nim do tego doszło. Wiele dzieci chorowało z niedożywienia, a ich zrozpaczone matki nadaremnie szukały czegoś, co mogłyby wrzucić do garnka. Pod koniec miesiąca miasto spowił zapach śmierci, a dzwony katedry stale intonowały swą ponurą syntonię.

Na szczęście dla Theresy katedra miała stałe, choć niewielkie zapotrzebowanie na pracowników, zatem świeccy, którzy świadczyli usługi w diecezjalnych warsztatach, otrzymywali jako wynagrodzenie jeden modius ziarna tygodniowo. Dotyczyło to również nielicznych kobiet usługujących mężczyznom albo pracujących w kuchniach.

Być może z tego powodu praca w warsztacie pergamenariuszy wzbudzała w Theresie sprzeczne uczucia. Owszem, musiała znosić bezwstydną spojrzenia rymarzy, komentarze na temat rozmiaru jej piersi, a nawet czasem dotyk ukradkiem, ale te nieprzyjemności rekompensował jej czas, gdy wreszcie pod

koniec dnia zostawała sama w warsztacie. Układała wtedy pergaminy, które przyniesiono ze skryptorium, i zamiast zszywać karty kodeksów, wykorzystywała czas na lekturę. Poliptychy, psalterze, teksty patrystyczne, a nawet pogańskie kodeksy wynagradzały ciężkie warunki pracy i budziły nadzieję, że być może któregoś dnia przyda się do czegoś więcej niż tylko robienie wypieków i szorowanie kociołków.

Jej ojciec, Gorgias, pracował jako kopista w biskupim skryptorium, w pobliżu warsztatu, w którym ona sama terminowała. Theresa otrzymała to stanowisko dzięki nieszczęściu, jakie spotkało Ferrucia, poprzedniego terminatora, który zmarnował swą szansę, kiedy w chwili nieuwagi przeciął sobie ścięgna jednej ręki. To wówczas Gorgias zaproponował w zastępstwie kandydaturę swej córki. Jednak od samego początku sprzeciwiał się temu Korne, mistrz pergamenarius, który rozwodził się na temat zmienności kobiecego charakteru, naturalnej skłonności kobiet do kłótni i plotek, ich niezdolności do noszenia ciężarów, częstości występowania menstruacji. Wszystko to w jego mniemaniu było nie do pogodzenia z pracą wymagającą w równych częściach mądrości i zręczności. Ale Theresa potrafiła biegle czytać i pisać, co było umiejętnością niewątpliwie cenną w miejscu, w którym nie brak było siły mięśni, talent zaś zdarzał się rzadko. Dzięki temu, a także za sprawą wstawiennictwa ojca, otrzymała tę pracę.

Rutgarda, gdy tylko się o tym dowiedziała, krzyknęła i załamała ręce. Gdyby Theresa była opóźniona w rozwoju albo chora, może zrozumiałaby tę decyzję, ale przecież dziewczyna była zgrabna, może nieco za chuda jak na gusta frankońskich chłopców, ale biodra miała szerokie, a piersi obfite, nie wspominając już o uzębieniu, pełnym i lśniącym, jakim niewiele dziewcząt mogło się pochwalić. Każda inna na jej miejscu poszukałaby sobie dobrego męża, który uczyniłby ją brzemienną i utrzymywał, ale nie: Theresa musiała marnować swą młodość zamknięta w starym warsztacie księży, wykonując bezużyteczne prace właściwe dla księży i znosząc obmowy, którymi zawsze obrzucano kobiety pracujące u duchownych. I co najgorsze: Rutgarda była przekonana, że winnym tej sytuacji jest nie kto inny jak ojciec Theresy. Koniec końców dziewczyna poddała się absurdalnemu pomysłu Gorgiasa, zawsze zanurzonego myślami w przeszłości, tęskniącego za swym rodzinnym Bizancjum, rozprawiającego o zaletach wiedzy i wielkości dawnych pisarzy, tak jakby ci mędrcy mogli dać mu talerz grochu. Miną lata i nagle Theresa obudzi się z pomarszczonym ciałem i bez zębów, a wtedy pożałuje, że nie znalazła sobie mężczyzny, który by ją karmił i otaczał opieką.

* * *

W ostatni piątek listopada Theresa wstała wcześniej niż zwykle. Zazwyczaj budziła się o świcie, wychodziła na podwórze i karmiła kury, ale od dawna nie mieli już ani szczypty ziarna, ani też kur. Mimo to uważała, że ma dużo szczęścia. Burza, która zmiotła przedmieścia, oszczędziła ściany jej domu i ani ojciec, ani macocha nie ucierpieli.

Czekając, aż zacznie świtać, zwinęła się pod kocami i w myślach jeszcze raz powtórzyła cały egzamin, który czekał ją kilka godzin później. W poprzednim tygodniu Korne, mistrz pergamenariuszy, sprzeciwił się, by przystąpiła do egzaminu. Od razu wpadł w szal, gdy o to poprosiła, twierdząc, że nigdy wcześniej żadna kobieta nie została czeladnikiem pergamenariuszem, a obraził się jeszcze bardziej, gdy Theresa przypomniała mu, że minęły już dwa wymagane lata, po których, zgodnie z regułami cechu, każdy terminator mógł domagać się wstąpienia do grona czeladników.

— Jeśli jest zdolny do podniesienia ciężkiego pakunku — odparł Korne z pełną odrazą miną.

Jednak w czwartek, pod koniec dnia, Korne pojawił się w warsztacie i lodowatym głosem oznajmił Theresie, że przystaje na jej prośbę, uprzedzając ją przy tym, iż egzamin odbędzie się bezzwłocznie.

Ta decyzja wzbudziła podejrzenia Theresy i mimo że wiadomość ją ucieszyła, wciąż zadawała sobie pytanie, jakie powody sprawiły, że Korne tak nagle zmienił zdanie. Mimo to czuła, że jest w stanie przejść tę próbę: potrafiła odróżnić pergamin ze skóry jagnięcej od welinu z kozłej skóry, umiała napinać i naciągać na ramy wilgotne skóry lepiej niż sam Korne i była w stanie zatuszować ślady po strzałach i ugryzieniach. Przygotowane przez nią skóry były tak białe i czyste, że wyglądały jak pupa noworodka. I tylko to się liczyło.

Jednak gdy nadszedł czas, by wstać z łóżka, po plecach przebiegł jej dreszcz.

Wstała po omacku i odwiesiła wyświechtaną derkę oddzielającą jej poślanie od miejsca, w którym spali rodzice, okryła się nią, przewiązała w pasie kawałkiem sznura i wyszła na dwór, starając się nie narobić hałasu. Załatwiła się na podwórzu, obmyła odrobiną lodowatej wody i biegiem wróciła do domu. Następnie zapaliła lampkę oliwną i usiadła na skrzyni. Płomień rozświetlił nieco jedyną izbę. Było to niewielkie prostokątne pomieszczenie, w którym z trudem mieściła się rodzina. Pośrodku znajdowało się palenisko wykopane w wilgotnym podłożu.

Zimno dawało jej się dotkliwie we znaki, a żar słabł, dodała więc nieco torfu i roznieciła patykiem ogień. Potem złapała osmalony kociołek i kiedy zaczęła wykrobywać resztki kaszy, usłyszała za plecami głos ojca.

— Można wiedzieć, co, u licha, wyprawiasz? No już! Wracaj do łóżka.

Theresa odwróciła się i spojrzała na Gorgiasa. Żałowała, że go obudziła.

— To przez egzamin. Nie mogę spać — tłumaczyła się ściszym głosem.

Georgias przeciągnął się i podszedł do ognia, mamrocząc coś pod nosem. Blask oświetlił jego kościstą twarz, na którą opadały zmierzwiłone siwe włosy. Usiadł obok Theresy i ją przytulił.

— To nie przez egzamin, córko. Tylko przez zimno, które w końcu wszystkich nas zabije — szepnął, rozcierając jej dłonie. — Zostaw tę kaszę. Nawet szczury by tego nie tknęły. Matka coś nam poda na śniadanie. A przede wszystkim przestań się nami krępować i zacznij okrywać się nocą tą derką, zamiast rozwieszać ją pośrodku jak jakąś kotarę.

— To nie przez wstyd, ojcze — skłamała. — Rozwieszam derkę, żeby nie przeszkadzać wam, kiedy czytam.

— Wszystko jedno, dlaczego to robisz. Któregoś dnia znajdziemy cię sztywną jak sople lodu, a wtedy nic już nie będzie miało znaczenia.

Theresa roześmiała się i znów zaczęła wykrobywać resztki z garnka. Podała ojcu porcję kaszy, a on natychmiast ją pochłonał.

— To przez egzamin. Wczoraj, kiedy Korne zgodził się mnie przeegzaminować, w jego spojrzeniu było coś dziwnego. Nie wiem... Coś, co mnie niepokoi.

Gorgias roześmiał się uspokajająco i pogładził ją po włosach. Zapewnił, że wszystko pójdzie dobrze.

— Przecież wiesz więcej o pergaminach niż sam Korne. Denerwuje go, że jego synowie po dziesięciu latach w zawodzie nie potrafią odróżnić oślej skóry od kodeksu Świętego Augustyna. Niedługo da ci kilka arkuszy, każe je oprawić, a ty wykonasz to zadanie i jako pierwsza kobieta w Wurzburgu zostaniesz czeladnikiem pergamenariuszem. Czy mu się to podoba, czy nie.

— Nie wiem, ojcze... On nie dopuści, by nowicjuszka...

— I co z tego? Korne może być mistrzem pergamenariuszem, ale właścicielem warsztatu jest Wilfred i nie zapominaj, że on też będzie przy tym obecny.

— Oby! — powiedziała Theresa, wstając.

Zaczęło świtać. Gorgias również się podniósł i przeciągnął jak kot.

— No dobrze. Zaczekaj, aż osuszę stylusy, to odprowadzę cię do warsztatu. Nie wypada, by o tej porze taki młody pączek sam wędrował po cytadeli.

Kiedy Gorgias przygotowywał swoje narzędzia, Theresa podziwiała wspaniały labirynt domów wytyczony przez leżący na dachach śnieg. Słońce rozlało się już na uliczkach, nadając budynkom lekki bursztynowy odcień. Na przedmieściach, pod osłoną murów, tłoczyły się chałupki z drewna, jakby kłócąc się o ten kawałek ziemi, na którym przyszło im osiaść. Dla odmiany w wyżej położonej części miasta warowne budowle ozdabiały uliczki i place. Theresa nie mogła zrozumieć, w jaki sposób tak wspaniałe miejsce mogło się zamienić w straszne cmentarzysko.

— Na archanioła Gabriela! — zawołał Gorgias. — Wreszcie jesteś w tej nowej sukni!

Theresa uśmiechnęła się. Kilka miesięcy temu ojciec podarował jej wspaniałą suknię uszytą z materiału zabarwionego na błękit tak intensywny jak letnie niebo. Uczynił to z okazji jej dwudziestych trzecich urodzin, ale Theresa czekała z włożeniem sukni na jakąś wyjątkową okazję. Przed wyjściem podeszła do siennika, na którym spała jej macocha, i pocałowała ją w policzek.

— Życz mi szczęścia — szepnęła jej do ucha.

Rutgarda mruknęła coś przez zęby i skinęła głową, ale kiedy oboje wyszli z domu, pomodliła się w intencji zdanego egzaminu.

Ojciec i córka ruszyli lekkim krokiem ulicą Kuźniczą. Gorgias szedł samym środkiem drogi, trzymając się z dala od zakamarków, w których mógł czaić się jakiś rzezimieszek. W prawej dłoni ścisnął pochodnię, drugą zaś ręką otoczył Theresę, która skryła się pod jego płaszczem. Na wysokości wieży obserwacyjnej minęli grupę strażników idących w stronę murów. Wkrótce potem znaleźli się na wzniesieniu i skręcili w ulicę Rycerską prowadzącą na plac katedralny. Potem szli wzdłuż muru kościoła w stronę rysującego się przed nimi drewnianego budynku, w którym mieścił się warsztat. Była to spora przysadzista budowla z drewna wzniesiona na tyłach baptysterium.

Znajdowali się zaledwie kilka kroków od wejścia, gdy niespodziewanie z mroku wyłonił się jakiś cień. Skoczył na nich. Gorgias usiłował powstrzymać atak, ale zdażył jedynie odepchnąć na bok Theresę. W tej samej chwili załśnił nóż i pochodnia potoczyła się w dół ulicy, spadając do wyłomu w murach. Theresa odskoczyła z krzykiem. Na jej oczach obaj mężczyźni szamotali się, tocząc po ulicy. Zrozpaczona rzuciła się pędem po pomoc. Dopadła do drzwi warsztatu i zaczęła walić w nie co sił. Czuła, że zdziera sobie skórę z kłykci, ale dalej krzyczała i dobijała się. Za plecami słyszała okrzyki mężczyzn

walczących o życie. Zaczęła kopać przekłete drzwi, ale nikt nie odpowiadał. Gdyby mogła, wyrwałaby je z zawiasów i na siłę wyciągnęła znajdujące się w środku osoby. Wściekła odwróciła się na pięcie i rzuciła przed siebie, wołając o pomoc. W tej samej chwili usłyszała głos ojca, który kazał jej uciekać.

Theresa zatrzymała się, nie wiedząc, co czynić. Nagle szczepieni przeciwnicy zaczęli toczyć się w dół i zniknęli za nasypem. Dziewczyna przypomniała sobie o żołnierzach, których minęli kilka chwil wcześniej, i pobiegła w dół ulicy z nadzieją, że ich spotka. Ale nim dotarła do wieży obserwacyjnej, znów się zatrzymała, powątpiewając, czy ich dogoni i zdoła przekonać, by udzielili pomocy. Czym prędzej zawróciła i zobaczyła dwu nieznanym pochylonych nad zakrwawionym mężczyzną. Zbliżając się, rozpoznała Kornego i jednego z jego synów. Obaj starali się unieść bezwładne ciało jej ojca.

— Na Boga! — krzyknął Korne do Theresy. — Biegnij do warsztatu i powiedz mojej żonie, by przygotowała kocioł ciepłej wody. Twój ojciec jest ciężko ranny.

Theresa nie zastanawiała się ani chwili. Potykając się, wbiegła na półpiętro, na którym mieszkał pergamenarius, i zaczęła wołać o pomoc. Dawniej półpiętro wykorzystywano jako magazyn, ale rok wcześniej Korne wzmocnił konstrukcję solidnym rusztowaniem i przystosował je do zamieszkania. Wreszcie ukazała się otyła, zaspana i na wpół odziana niewiasta ze świecą w dłoni.

— Na wszystkich świętych! Cóż to za krzyki? — spytała, żegnając się.

— Mój ojciec. Pospieszcie się, na miłość boską! — zawołała zrozpaczona Theresa.

Kobieta zbiegła po schodach, starając się nieco przyodziać. Kiedy znalazła się na dole, Korne i jego syn już wchodzili do środka.

— Woda, kobieto! Jeszcze jej nie zagrzałaś? — zganił ją Korne. — I światło. Potrzeba nam więcej światła.

Theresa pobiegła do warsztatu i rozejrzała się wśród narzędzi porzucanych na stołach do pracy. Znalazła kilka lamp oliwnych, ale były puste. Wreszcie pod stosem obrzynków i skrawków skór znalazła dwie świece. Jedna z nich potoczyła się, spadła pod stół i znikła w ciemnościach. Theresa złapała drugą i czym prędzej zapaliła. Tymczasem Korne wraz z synem zdjęli skóry z jednego ze stołów i położyli na nim Gorgiasa. Pergamenarius kazał Theresie obmyć rany, a sam poszedł po noże, ale dziewczyna go nie słyszała. Oszołomiona zbliżyła świecę i z przerażeniem przyjrzała się ogromnej ranie ciętej widniejącej na wysokości nadgarstka. Nigdy wcześniej nie widziała

takiej rany. Krew tryskała strumieniami i wsiąkała w ubranie, skóry i kodeksy, a Theresa nie miała pojęcia, jak ją zatamować. Jeden z psów Kornego podszedł do stołu i zaczął zlizywać krew kapiącą na podłogę, ale w tym momencie wrócił Korne i jednym kopniakiem pozbył się zwierzaka.

— Poświeć tutaj — rzucił wściekły.

Theresa zbliżyła płomień do wskazanego miejsca. Pergamenarius zerwał z najbliższej znajdującej się ramy skórę, rozłożył ją na podłodze i za pomocą noża i drewnianej listwy pociął ją na pasy, które powiązał w długi sznur.

— Zdejmij z niego ubranie — nakazał. — A ty, kobieto, przynieś wreszcie wodę.

— Niech będzie pochwalony! Ale co się stało? — spytała przestraszona kobieta. — Dobrze się czujecie?

— Daj spokój pytaniom i przynieś ten przeklęty kocioł — zezłościł się Korne, waląc pięścią w stół.

Theresa zaczęła rozbierać ojca, ale żona Kornego odsunęła ją bezceremonialnie i sama się tym zajęła. Kiedy Gorgias już był nagi, obmyła go starannie kawałkiem skóry, który namoczyła w gorącej wodzie. Korne uważnie obejrzał zranienia, stwierdził kilka nacięć na plecach i na ramionach. Ale najbardziej martwiła go rana na prawej ręce.

— Przytrzymaj tutaj — powiedział do Theresy, unosząc w górę ramię Gorgiasa.

Theresa wykonała polecenie, nie zwracając uwagi na krew plamiącą jej suknię.

— Chłopcze! — zawołał Korne do syna. — Biegnij do fortecy i zawiadom medyka. Powiedz, że to pilne.

Chłopak wybiegł z warsztatu, a Korne zwrócił się do Theresy.

— Teraz, kiedy ci dam znać, masz zgąć ramię w łokciu i przycisnąć do jego piersi. Rozumiesz?

Theresa przytaknęła, nie spuszczając wzroku z ojca. Łzy spływały jej po policzkach.

Pergamenarius obwiązał skórzanym powrozem ramię powyżej rany i owinał go kilkakrotnie, po czym mocno ścisnął. Gorgias zaczął odzyskiwać przytomność. Nie na długo, ale przynajmniej przestał krwawić. Wtedy Korne skinał na Theresę i dziewczyna zgięła ramię ojca.

— Dobrze. Najgorsze minęło. Inne rany nie wyglądają tak groźnie, trzeba jednak poczekać, co powie medyk. Jest też poobijany, ale kości są chyba nienaruszone. Teraz go okryjemy, żeby się trochę rozgrzał.

W tej samej chwili Gorgias zaczął kaszleć i zwymiotował, krzywiąc się z bólu. Przez współprzymknięte oczy zobaczył zapłakaną Theresę.

— Bogu dzięki — powiedział łamiącym się głosem. — Nic ci nie jest, córko?

— Nic, ojciec — odpowiedziała ze łzami. — Chciałam zawołać na pomoc żołnierzy i pobiegłam ich szukać, ale nie znalazłam, a kiedy wróciłam...

Łzy nie pozwoliły Theresie dokończyć zdania. Gorgias wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie. Potem usiłował coś jeszcze powiedzieć, ale znów zaczął kaszleć, po czym stracił przytomność.

— Teraz powinien odpocząć — powiedziała kobieta, delikatnie odsuwając Theresę. — I przestań już płakać. Łzy nic tu nie pomogą.

Theresa skinęła głową. Przemknęło jej przez myśl, że musi zawiadomić macochę, ale szybko zarzuciła ten pomysł. Postanowiła, że doprowadzi do porządku warsztat, zanim przyjdzie medyk, a Rutgardę zawiadomi dopiero, gdy się okaże, jak poważne są rany. Tymczasem Kome znalazł misę z oliwą i zaczął napełniać kaganki.

— Wolałbym raczej namoczyć w niej kawałek czerstwego chleba — biadolili pergamenarius.

Kiedy napełnił ostatnią lampkę, pomieszczenie nabrało wyglądu rozświetlonej pochodniami groty. Theresa zebrała igły, noże, lunellii, pobijaki, pergaminy i słoje, które piętrzyły się porozrzucane na stołach i drewnianych ramach. Następnie jak zwykle uporządkowała narzędzia zgodnie z ich przeznaczeniem, wyczyściła je i poukładała na odpowiednich półkach. Potem podeszła do swojego warsztatu i sprawdziła zapasy kredy i pumeksu oraz czystość blatu. Kiedy skończyła, wróciła do ojca.

Nie wiedziała, ile minęło czasu do chwili, gdy zjawił się chirurg

Zenon, brudny i rozczochrany człeczyna, od którego zalatywało potem i tanim winem. Przez ramię miał przerzuconą sakwę i wyglądał na zaspanego. Zenon wkroczył do warsztatu bez słowa przywitania, rozejrzał się i natychmiast ruszył w stronę stołu, na którym leżał Gorgias. Następnie otworzył sakwę i wyjął z niej niewielką metalową piłkę, kilka noży i mały kuferek, z którego wyciągnął igły i kłębek sznurka. Chirurg położył narzędzia na brzuchu Gorgiasa i poprosił o więcej światła. Splunął kilka razy w dłonie, roztarł je i tym sposobem oczyścił, zwracając szczególną uwagę na zaschłą krew pod paznokciami, po czym pewnym ruchem chwycił piłę. Theresa zbladła, gdy człeczyna zbliżył narzędzie do łokcia Gorgiasa, ale na szczęście użył go do

przecięcia krepulca, który wykonał wcześniej Korne. Krew znów zaczęła płynąć, ale Zenona to nie zaniepokoiło.

— Dobra robota, chociaż trochę za mocno ściśnięte — pochwalił. — Zostały wam jeszcze skórzane pasy?

Korne podał mu długi pas, a chirurg wziął go, nie spuszczać oczu z Gorgiasa. Zawiązał pas z dużą wprawą i zajął się zranionym ramieniem z taką beztróską, jakby nadziewał indyka.

— Każdego dnia to samo — powiedział, nie podnosząc głowy znad rany. — Wczoraj na ulicy Niskiej rozcięli brzuch starej Bercie. A dwa dni temu znaleźli Syderyka z głową rozbitą o furtę zagrody. I po co? Ano żeby go okraść, Bóg jeden wie z czego, bo biedaczysko nie miał nawet czym nakarmić dzieci.

Wyglądało na to, że Zenon zna swój fach. Zszywał skórę i żyły ze zręcznością szwaczki, spluwając co chwila na nóż, by utrzymać go w czystości. Kiedy skończył z ramieniem, zabrał się do pozostałych ran. Nałożył na nie jakąś ciemną maść, którą trzymał w drewnianym naczynku. Następnie opatrzył ramię świeżo upranymi, jak oznajmił, lnianymi szmatkami, choć wyraźnie widać było, że są zaplamione.

— Dobrze — powiedział, ocierając dłonie o koszulę. — Zrobione. Trochę opieki i za jakieś dwa dni...

— Wyjdzie z tego? — spytała niecierpliwie Theresa.

— Może wyjść... Choć oczywiście może i nie wyjść. Mężczyzna zaśmiał się donośnie. Potem poszperał w sakwie i wyjął z niej szklaną buteleczkę z ciemnym płynem. Theresa sądziła, że to jakieś lekarstwo, ale mężczyzna wyjął korek z butelki i pociągnął spory łyk.

— Na świętego Pankracego! Ten likier ożywiłby nawet nieboszczyka. Chcesz trochę? — zaproponował, podsuwając butelkę pod nos Theresy.

Dziewczyna pokręciła głową. Chirurg poczęstował Kornego, który ochoczo pociągnął dwa duże łyki.

— Z ranami od noża jest jak z dziećmi: wszystkie robi się w ten sam sposób, ale nigdy nie wychodzą dwie takie same — zaśmiał się. — Nie ode mnie zależy, czy wydobrzeje, czy umrze. Ramię jest dobrze zszyte, ale rana głęboka i być może cięcie naruszyło ścięgna. Teraz pozostał tylko odpoczynek, a jeśli w ciągu tygodnia nie pojawią się pęcherzyki ani ropnie... Weź — powiedział mężczyzna, wyciągając jakiś woreczek spod koszuli. — Trzeba posypywać ranę tym proszkiem kilka razy dziennie i nie myć jej zbyt.

Theresa skinęła głową.

— Co do mojego wynagrodzenia — powiedział mężczyzna, klepiąc Theresę po pupie — nie martw się, hrabia Wilfred zapłaci — i znów zaniósł się śmiechem, zbierając narzędzia.

Theresa poczerwieniała z oburzenia. Nienawidziła takich swawolnych zachowań i gdyby nie to, że Zenon właśnie opatrzył jej ojca, rozbiłaby z ochotą tę butelkę wina na jego głupiej głowie. Ale nim zdążyła cokolwiek zrobić, chirurg pospieszył do drzwi i wyszedł, nucąc jakąś melodię.

Tymczasem żona Kornego poszła na poddasze i przyniosła trochę maślanych placków.

— Przyniosłam j eden dla twojego oj ca — powiedziała z uśmiechem.

— Bardzo dziękuję. Wczoraj zjedliśmy tylko miskę kaszy — odpowiedziała ze smutkiem. — Co dzień dostajemy coraz mniej jedzenia. Mama mówi, że jesteśmy szczęściarzami, ale prawda jest taka, że sama z trudem daje radę wstać z łóżka. Z osłabienia.

— Cóż, córko. Wszyscy jesteśmy w takiej sytuacji — odparła kobieta. — Gdyby Wilfred nie cenił sobie tak wysoko książek, gryźlibyśmy teraz własne paznokcie.

Theresa wzięła jeden placek i ugryzła go delikatnie, jakby bała się, że wyrządzi mu krzywdę. Potem ugryzła większy kawałek, smakując słodycz miodu i cynamonu; wciągnęła głęboko aromat, starając się zatrzymać go w sobie, i przeciągnęła językiem po wargach, by nie stracić ani jednego okruszka. Pozostały kawałek schowała do sakiewki wszytej w spódnicę. Zamierzała dać go później Rutgardzie. Po części wstydziła się radości z tego smakołyku, kiedy jej ojciec leżał nieprzytomny na stole, ale głód, który od tak dawna im doskwierał, był silniejszy niż wyrzuty sumienia, więc Theresa oddała się rozkoszy smakowania jeszcze ciepłego placka. Nagle usłyszała kaszel.

Odwróciła się i zobaczyła, że ojciec odzyskuje przytomność i zaczyna się podnosić. Podbiegła, aby go powstrzymać, ale on ją odsunął. Wyglądał na zaniepokojonego. Rozglądał się na prawo i lewo, jakby czegoś szukał. Korne od razu to zauważył i podszedł do niego.

— A moja torba? Gdzie moja torba?

— Uspokój się, Gorgiasie. Jest tu obok, przy drzwiach — powiedział Korne, wskazując sakwę.

Gorgias z wielkim trudem zszedł ze stołu. Schylając się, jęknął. Nagły atak bólu sparaliżował go na chwilę, ale zaraz otworzył torbę i zajrzał do środka. Zdrową ręką zaczął szperać wśród narzędzi do pisania. Bez przerwy klął i grzebał dalej, jakby czegoś brakowało. Coraz bardziej zdenerwowany

przewrócił sakwę do góry dnem i wysypał jej zawartość. Po podłodze potoczyły się pióra i stylusy.

— Kto go zabrał?! Gdzie on jest?! — zawołał.

— Czego szukasz? — spytał Korne.

Gorgias spojrział na pergamenariusza z wściekłością malującą się na jego wymizerowanej twarzy, ale ugryzł się w język i odwrócił głowę. Raz jeszcze przejrzał swoje narzędzia i wyrzucił torbę na lewą stronę. Kiedy był pewien, że nic więcej w niej nie znajdzie, podniósł się, podszedł do najbliższego krzesła i padł na nie wykończony. Zamknął oczy i szeptem odmówił modlitwę za swą duszę.

RS

ROZDZIAŁ 2

Przed południem głosy chłopców przywróciły Gorgiasa do świata żywych.

Do tego czasu leżał z głową zwróconą w bok i nieprzytomnym spojrzeniem, nieświadom zarówno rad Kornego, jak i czułych gestów Theresy. Jednak powoli jego oblicze odzyskiwało normalny wygląd i po chwili otworzył oczy, spojrzał przytomnym wzrokiem i poprosił, by zawołano Kornego. Pergamenarius był zadowolony z poprawy jego stanu, ale gdy Gorgias spytał o napastnika, Korne zmienił się na twarzy i oznajmił, że nawet nie wie, jak wyglądał.

— Kiedy przybiegliśmy na pomoc, ten człowiek zdążył już uciec.

Gorgias skrzywił się i wymamrotał jakieś przekleństwo z grymasem bólu na twarzy. Podniósł się i zaczął krążyć po warsztacie, niczym osaczone zwierzę. Chodząc od ściany do ściany, usiłował przypomnieć sobie twarz rabusia, ale wszelkie starania były nadaremne. Mrok i zaskoczenie niespodziewanym atakiem całkiem zamaskowały tożsamość napastnika. Gorgias czuł się osłabiony i nie całkiem przytomny, poprosił więc Kornego, by jeden z jego synów towarzyszył mu w drodze do skryptorium.

Po wyjściu Gorgiasa w warsztacie zapanował zwykły harmider. Parobkowie przysypali piaskiem plamy krwi i wyczyścili stół, a czeladnicy lamentowali z powodu powstałego bałaganu. Theresa odmówiła krótką modlitwę o polepszenie stanu ojca, a następnie sumiennie zabrała się do pracy. Najpierw pozbierała śmieci, które nagromadziły się poprzedniego dnia. Potem oddzieliła najbardziej zniszczone kawałki skóry i wrzuciła je do beczki na odpadki, gdzie leżały ścinki, gnijąc do czasu, aż beczka się napełni. Niestety, nie było już w niej miejsca, musiała więc wyjąć całą zawartość i przerzucić do kadzi do maceracji, aby po namoczeniu, rozdrobnieniu i ugotowaniu sporządzić klej stosowany przez czeladników jako spoiwo. Kiedy skończyła, narzuciła na siebie worek dla ochrony przed deszczem i ruszyła w stronę zbiorników umieszczonych pod gołym niebem na wewnętrznym zaniedbanym dziedzińcu.

Kiedy już znalazła się w sieni, uważnie przyjrzała się urządzeniom.

Siedem czworokątnych zbiorników stało byle jak wokół umieszczonej centralnie studni, na tyle blisko, by skóry można było bez problemu przerzucać z jednego zbiornika do drugiego, zgodnie z ustalonym procesem cięcia, golenia i oskrobywania. Dziewczyna obserwowała bielusieńkie skóry unoszące się na wodzie niczym mizerne truchła. Nie cierpiała kwaśnego, przenikliwego fetoru wydzielanego przez te zdarte ze zwierząt skóry.

Pewnego razu, gdy była dość mocno przeziębiona, poprosiła Kornego, by zwolnił ją na kilka dni z pracy, ponieważ wilgoć i środki kaustyczne wydzielające się ze zbiorników źle wpływały na jej płuca, ale w odpowiedzi otrzymała siarczasty policzek i usłyszała pełen wzgardy śmiech. Nigdy więcej o nic nie prosiła. Kiedy Korne wydawał jej polecenie, podkasywała spódnicę, wciągała powietrze najgłębiej, jak tylko mogła, i wchodziła do zbiorników, by wymieszać te pomarszczone jak prześcieradła skóry.

Kiedy tak przyglądała się zbiornikom, ktoś stanął za nią.

— Nadal się ich brzydzisz?... A może sądzisz, że to niewłaściwe zadanie dla nosa pergamenariuszki?

Theresa odwróciła się i stanęła na wprost szyderczo uśmiechającego się Kornego. Deszcz spływał po jego groteskowym obliczu, obmywając pozbawione zębów dziąsła. Jak zwykle śmierdział kadzidłem, którego używał w nadmiarze, by zamaskować swój zatechły zapach. Chętnie podzieliłaby się z Kornem swoimi przemyśleniami, ale ugryzła się w język i spuściła głowę. Po tylu poświęceniach nie zamierzała dać się sprowokować, a jeśli on szuka pretekstu, by znów ją wypróbować, będzie musiał mocno się wysilić.

— Jakkolwiek by było — ciągnął dalej pergamenarius — muszę wyznać, że ci współczuję: twój ojciec ranny... ty wystraszona... i oczywiście zdenerwowana... Z pewnością to nie jest najlepszy moment na poddanie się tak ważnej próbie. Zatem, zważywszy na okoliczności, a także z uwagi na szacunek, jakim darzę twojego ojca, jestem gotów przesunąć egzamin na inny rozsądny termin.

Theresa odetchnęła z ulgą. Niewątpliwie nadal miała przed oczami zakrwawionego ojca, ręce jej drżały i choć czuła się na siłach, wiedziała, że zmiana terminu pozwoli jej odzyskać spokój.

— Nie chciałabym robić zamieszania, ale dziękuję za propozycję. Kilka dni dobrze mi zrobi — podziękowała Kornemu.

— Kilka dni? Och, nie! — zaśmiał się. — Przesunięcie terminu oznacza, że będziesz musiała czekać do następnego roku. Takie są zasady i powinnaś o tym wiedzieć. Ale w twoim stanie... Spójrz na siebie: cała drżysz, jesteś wystraszona... Przełożenie egzaminu jest jak najbardziej wskazane.

Theresa z przykrością musiała przyznać, że Korne ma rację. Jeśli kandydat rezygnował z przystąpienia do egzaminu, mógł znów wystąpić z prośbą o ponowne dopuszczenie dopiero po upływie roku. Mimo to przez chwilę łudziła się, że zważywszy na okoliczności, pergamenarius postanowił zrobić wyjątek.

— A zatem? — ponaglił ją.

Theresa wahała się. Dłonie jej się pociły, a serce waliło w piersiach. Propozycja Kornego nie była od rzeczy, ale nikt nie mógł przewidzieć, co się wydarzy w ciągu najbliższych dwunastu miesięcy. Jednak gdyby podeszła do egzaminu i go nie zdała, nigdy już nie miałyby drugiej szansy. Przynajmniej dopóki Korne byłby szefem pergamenariuszy, bo od razu wykorzystałby jej błąd, by dowieść tego — co tyle razy głosił — że kobiety i zwierzęta są dobre jedynie do dźwigania ciężarów i rodzenia dzieci.

Czas mijał i Korne zaczął niecierpliwie bębnić palcami o beczkę. Theresa już miała się poddać, gdy nagle uznała, że może udowodnić Kornemu, że jest zręczniejsza od każdego z jego synów. Co więcej: jeśli naprawdę chce zostać czeladnikiem, powinna stawić czoło problemom, a gdyby z jakiegoś powodu nie zdała egzaminu, to może za kilka lat znów mogłaby spróbować. Powiedziała sobie, że w końcu Korne ma już swoje lata i być może do tego czasu umrze albo zachoruje. Podniosła zatem głowę i stanowczym głosem oznajmiła, że podejździe do egzaminu jeszcze tego ranka i zaakceptuje jego wynik. Pergamenariusz zareagował ze spokojem.

— Dobrze. Skoro tego chcesz, czas zaczynać przedstawienie. Theresa skinęła głową i odwróciła się, by wejść do warsztatu, ale

gdy miała już przejść przez próg, usłyszała głos pergamenariusza.

— Można wiedzieć, dokąd się wybierasz? — spytał. Nozdrza rozszerzały mu się i kurczyły jak uszy konia.

Theresa spojrzała na niego zmieszana. Chciała podejść do swojego stołu, by sprawdzić, czy ma wszystko, co jest potrzebne do egzaminu.

— Zamierzałam naostrzyć noże, nim przyjedzie hrabia...

— Hrabia? A co hrabia ma do tego?—przerwał jej, udając zdziwienie. Theresa zmieszała się jeszcze bardziej. Ojciec zapewniał ją, że

Wilfred będzie obecny przy egzaminie.

— Ach, tak! — mówił dalej Korne z teatralną miną. — Gorgias coś mi o tym wspominał. Ale wczoraj, kiedy odwiedziłem hrabiego, był tak zajęty, że uznałem, iż niepokojenie go tak błahą sprawą jest całkiem zbyteczne. Uznałem i sądzę, że się nie myliłem, że jeśli jesteś gotowa, a na to wygląda, przetrwać wszelkie nieprzewidziane wypadki, to fakt, że hrabia się nie zjawi, również nie powinien być przeszkodą.

Theresa natychmiast zrozumiała, że Korne nie kierował się miłosierdziem, udzielając pomocy jej ojcu, ani też nie zaproponował przesunięcia egzaminu z uwagi na jej samopoczucie. Pomógł Gorgiasowi tylko dlatego, że los warsztatu, a tym samym i jego los, był związany z działalnością skryptorium.

Ale była głupia! I pomyśleć tylko, że przez kilka chwil wierzyła w dobrą wolę Kornego. Teraz znajdowała się w rękach tego głupka i wszystkie jej umiejętności będą za chwilę warte tyle, co stos wilgotnego drewna. Dziewczyna pochyliła głowę i przygotowała się, by przyjąć to, co nieuniknione, ale gdy myślała, że wszystko stracone, przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

— To ciekawe — odparła poufnym tonem. — Mój ojciec nie tylko zapewniał mnie, że Wilfred przyjdzie na mój egzamin, ale co więcej, że życzy sobie zachować dla siebie mój pierwszy pergamin. Pergamin, który, jak wam wiadomo, podpiszę moim znakiem — zaznaczyła.

Theresa modliła się, by Korne dał się nabrać. Mogłaby wtedy liczyć na to, że ma jeszcze jakieś szanse.

Z twarzy pergamenariusza natychmiast znikł głupkowaty uśmiech.

Koniec końców nie wiedział, na ile ta informacja jest prawdziwa, lecz jeśli takie było życzenie Wilfreda, nie mógł ryzykować i stawać mu na drodze. Ale tak czy owak to, co powiedział czy myślał hrabia, nie miało znaczenia, bo dziewczyna i tak nie zda egzaminu. Przynajmniej dopóki on zajmuje stanowisko mistrza pergamenariusza.

Theresa czekała, aż Korne zwoła resztę pracowników. Pomocnicy i czeladnicy natychmiast porzucili swoje zajęcia, aby zamienić dziedziniec w widownię ze sceną. Najmłodszy pozajmowali najlepsze miejsca, przepychając się między sobą. Jakiś chłopak walnął drugiego, a ten wpadł do zbiornika, wywołując wrzawę i zamieszanie. Czeladnicy usadowili się w kątach pod okapami, chroniąc się przed deszczem, ale pomocnikom woda nie przeszkadzała. Jeden z nich przyniósł kosz jabłek i rozdał je wśród najbardziej ożywionych widzów, którzy niecierpliwie czekali na rozpoczęcie spektaklu. Wydawało się, że wszyscy oprócz Theresy wiedzą, co ma się wydarzyć. Nagle Korne klasnął w dłonie i zwrócił się do publiczności.

— Jak wam dobrze wiadomo, młodzieńca Theresa poprosiła o przyjęcie do cechu. — Rozległy się śmiechy.—Ta dziewczyna—powiedział, wskazując jedną ręką na Theresę, a drugą drapiąc się w krocze—uważa, że jest mądrzejsza od was, mądrzejsza od moich synów, a nawet mądrzejsza ode mnie. Kobieta! Która robi pod siebie, kiedy słyszy szczekanie psa, i biegnie schować się pod kołdrą! Ale mimo to ma odwagę, tak, ma czelność ubiegać się o pracę, która z natury jest właściwa mężczyznom.

Pomocnicy zaśmiali się jednym głosem. Jeden z nich wyciągnął Theresę na środek dziedzińca. Inny zaczął naśladować ruchy wystraszonej uciekającej

dziewczyny, a pozostali, ubawieni, nagrodzili go oklaskami. W końcu Korne przerwał te żarty i kontynuował przemówienie.

— Kobiety wykonujące prace mężczyzn... Czy ktoś może mi wyjaśnić, jak kobieta miałaby tu pracować i równocześnie należycie zajmować się mężem? Kto by mu gotował i prał? Kto by się opiekował jego dziećmi? A może przyprowadziłyby je tutaj, aby wprowadzić tabun córeczek do cechu? — Znów wszyscy wybuchli się śmiechem. — A gdy nadejdzie lato i zaczną doskwierać upały, kiedy pot zleje jej ciało, a koszula oblepi się na piersiach, może będzie żądać, abyśmy odwracali wzrok i powstrzymywali nasze pożądanie? A może zaoferuje nam swoje owoce w zamian za nasze wysiłki?

Rzemieślnicy znów zanieśli się śmiechem, szturchali się i puszczali do siebie oko, oklaskując dowcipy Kornego. W tym momencie Theresa wystąpiła naprzód. Dotąd milczała, ale nie zamierzała ani chwili dłużej znosić tych żartów.

— Jeśli kiedyś będę mieć męża, to, jak będę o niego dbać, stanie się wyłącznie moją sprawą. A jeśli chodzi o moje piersi — powiedziała — wobec uwagi, jaką im poświęcacie, z przyjemnością powiadomię wasze żony, aby zaradziły niedostatkom, które najwyraźniej wam doskwierają. A teraz, jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałabym zacząć egzamin.

Kornego ogarnęła wściekłość. Nie spodziewał się takiej reakcji, a tym bardziej tego, że pomocnicy przyjmą z uśmiechem odpowiedź dziewczyny. Pergamenarius podszedł do kosza z jabłkami i wybrał najbardziej zepsute. Z jabłkiem w dłoni odwrócił się i ruszył w stronę Theresy. Zatrzymał się tuż przed nią, powoli ugryzł jabłko, po czym przysunął ociekający śliną owoc do ust dziewczyny.

— Masz ochotę?

Na widok pełnego obrzydzenia gestu Theresy uśmiechnął się szeroko. Znów spojrzął na jabłko i zauważył robaka wijącego się w zgniłym mięszu. Wtedy bez wahania ugryzł kawałek jabłka wraz z robakiem, a ogryzek wyrzucił do najdalej stojącego zbiornika. Przeżuwając, zebrał rozczochrane włosy i związał je byle jak. Następnie podszedł do zbiornika, do którego wrzucił jabłko.

— Oto twój egzamin — powiedział, odsuwając drewnianą płytę, która przykrywała zbiornik. — Przygotuj skórę, a dostaniesz tytuł, na którym tak ci zależy.

Theresa przygryzła wargi. Odzieranie mięsa i przygotowanie skór nie było zadaniem czeladników, ale skoro tego chciał Korne, nie zamierzała oponować. Podeszła do krawędzi zbiornika i spojrzała na warstwę krwi i tłuszczu

unoszącą się na powierzchni. Szuflą odsunęła strzępy, które oderwały się pod wpływem działania środków kaustycznych, i poszukała skóry, którą powinna się zająć. Jednak mimo wielu prób nie znalazła żadnego kawałka. Odwróciła się zdziwiona, czekając na wyjaśnienie.

— Jest w środku — powiedział Korne, wskazując inny zbiornik. Theresa podeszła do najgłębszego zbiornika, do którego wrzucano

skóry zaraz po zdarciu ich ze zwierząt. Ostrożnie zdjęła buty i postawiła je obok. Podkasała spódnicę i zanurzyła stopy w wodzie, wstrzymując oddech. W zbiorniku pływały kawałki skór pomieszane ze stężoną krwią i brudami, jakie powstają w zbiornikach w wyniku maceracji. Pod bacznym spojrzeniem pomocników Theresa zeszła do zbiornika, zanurzając się w nim po pas.

Jęknęła z zimna. Wciągnęła powietrze i ześlizgnęła się w głąb zbiornika. W mgnieniu oka znikła pod wodą i natychmiast wynurzyła się z głową okrytą warstwą tłuszczu. Coś wypłuła, otarła brud z oczu i weszła dalej do zbiornika, odsuwając pływające wokół resztki. Czuła pieczenie na skórze spowodowane wapnem i zimno przeszywające kości, ale szła dalej po omacku w wodzie sięgającej jej pod samą brodę. Jej bose stopy wyczuwały warstwę szlamu na dnie zbiornika, a ręce drżały niczym ślepcowi szukającemu podpory. Nagle na coś natrafiła i serce skoczyło jej do gardła. Kiedy zdołała się uspokoić, wyczuła przedmiot stopą, ale nie potrafiła go zidentyfikować. Przez chwilę miała ochotę zrezygnować, ale przypomniała sobie ojca i wszystkich, którzy w nią wierzyli. Nabrała powietrza i znów się zanurzyła. Z zimna łomotało jej w skroniach. Wymacała jakiś nieforemny kształt. Cokolwiek to było, w dotyku było tak oślizgłe, że dostała mdłości, ale opanowała obrzydzenie i dalej przesuwiała dłonie, aż natrafiła na szereg paciorków, podobnych do otoczków. Theresa przesunęła po nich palcami i po chwili wahania stwierdziła, że to rząd zębów. Ze strachu omal nie otworzyła oczu, ale w porę się powstrzymała, gdyby bowiem to uczyniła, wapno na zawsze by ją oślepiło. Wypuściła szczękę i wynurzyła się, gwałtownie wciągając powietrze. Jej twarz przypominała zastygłą maskę. Kiedy kaszłała i wymiotowała, na powierzchnię wypłynęły szczątki przegniłego i zniekształconego krowiego łba.

Pomocnicy natychmiast podbiegli do zbiornika, naśmiewając się z dziewczyny. Jeden z nich podał jej dłoń, aby mogła wyjść, ale gdy go złapała, puścił ją nagle i Theresa znów wpadła do wody. W tym momencie na dziedzińcu zjawiała się żona pergamenariusza, która obserwowała całą scenę. Niosła suche ubranie. Kobieta odsunęła pomocników i podciągnęła Theresę do góry. Kiedy ją wyciągnęła, dziewczyna drżała jak osika. Kobieta okryła ją

derką i poprowadziła w stronę wejścia do mieszkania, ale gdy stały już w progu, usłyszały głos Kornego.

— Niech się przebierze i wraca do pracy.

Kiedy Theresa wróciła do warsztatu, znalazła na swojej ławie kilka strzępów pomarszczonej skóry. Rozciągnęła je za pomocą drewnianej łopatką, a następnie usunęła nadmiar wody. Po dokładnych oględzinach stwierdziła, że skóra musiała być ściągnięta zaledwie kilka dni temu, ponieważ wapno usunęło tylko część włosów i nadal widać było resztki mięsa i tłuszczu. Zwierzę musiały rozszarpać wilki, bo na skórze pełno było śladów zębów. Oprócz tego zauważyła ślady po ropniach i plamy właściwe starym zwierzętom. Taka skóra do niczego się nie nadawała.

— Chciałaś zostać pergamenariuszem? No to masz swój egzamin — zaśmiał się Korne. — Przygotuj pergamin, skoro tak ci zależało, by pokazać go Wilfredowi.

Theresa nie protestowała, choć wiedziała, że to, czego żąda Korne, jest niewykonalne. Obrobienie i wyczyszczenie zwierzęcej skóry wymagało kilku dni pracy i przerw, aby środki kaustyczne i czyszczące mogły zadziałać. Ale nie zamierzała się poddać. Szczotką ze świńskiego włosia przetarła skórę i usunęła kawałki mięsa, których nie zdążyły zjeść robaki. Kiedy skończyła, przewróciła skórę wierzchem do góry. Energicznie ją potarła, na przemian myjąc i szorując. Następnie wycisnęła ją i rozciągnęła na ławie, szukając miejsc, w których zostały jeszcze włosy. Rozejrzała się za skrzynią z janowca, aby nałożyć kwas, ale ze zdziwieniem stwierdziła, że skrzynia znikła. Korne przyglądał się jej poczynaniom, a na jego obliczu co chwila pojawiał się uśmiech. Od czasu do czasu odwracał się, jakby miał pilniejsze sprawy, ale zaraz wracał, by sprawdzić, jak postępuje jej praca. Theresa wołała nie zwracać na niego uwagi. Podejrzewała, że zniknięcie skrzyni nie było przypadkowe, porzuciła więc poszukiwania. Zamiast kwasu wzięła łopatkę popiołu, wymieszała go z łajnem mułów, które znalazła przed wejściem, i nałożyła uzyskaną w ten sposób pastę na skórę. Potem zakrzywionym tępym nożem skrobała skórę z włosów, aż uzyskała zadowalający rezultat.

Wzięła głęboki oddech. Teraz musiała rozciągnąć skórę na ramie, tworząc jakby wielki tamburyn. Był to kolejny krok wymagający delikatności, bo skóra mogła rozerwać się w najbardziej uszkodzonych miejscach. Zręcznie porozkładała na krawędziach kilka otoczków, które owinęła brzegiem skóry, tak że przypominały grube brodawki, a potem obwiązała je sznurkiem. Następnie ułożyła skórę na ramie i naciągnęła ją za pomocą sznurków, którymi

obwiązane były kamienie. Kiedy upewniła się, że uszkodzone miejsca wytrzymały tę operację, odetchnęła z ulgą. Aby przejść do wyprawiania skóry, pozostało tylko ją wysuszyć przy ogniu i czekać, aż się naciągnie. Przysunęła zatem ramę do ogniska, które płonęło pośrodku pomieszczenia. To miejsce było nie tylko najcieplejsze, ale również najlepiej oświetlone, dlatego wokół porozstawiano ławy i położono na nich cenne kodeksy, które należało naprawić.

Czekając, aż wilgoć wyparuje z naciągniętej skóry, Theresa grzała się przy ogniu i zastanawiała, skąd może ona pochodzić. Już od dłuższego czasu brakowało bydła. Jedynie Wilfred posiadał trochę sztuk, zatem Kome musiał zapewne zdobyć jeden okaz od któregoś z zarządców. A sądząc po stanie skóry, jedynym jego celem było przysporzenie jej kłopotów.

W tym momencie pergamenariusz zbliżył się do ognia. Przesunął palcem po wilgotnym bębnie i spojrzał nienawistnym wzrokiem na Theresę.

— Widzę, że się przykładasz. Niewykluczone, że uda ci się coś z niej zrobić — powiedział, wskazując napiętą skórę.

— Staram się, jak mogę — odparła Theresa.

— I to wszystko, na co cię stać? — zaśmiał się Kome, wyjmując z pokrowca nóż i zbliżając go do skóry. — Widziałas te ślady? Skóra rozedrze się w tych miejscach.

Theresa wiedziała, że tak się nie stanie. Sprawdziła uszkodzone miejsca i tak ustawiła napinacze, by uniknąć uszkodzenia.

— Nie dojdzie do tego — odparła wyzywająco.

Oczy Kornego płonęły wściekłością. Powoli zaczął przesuwać końcem noża po napiętej skórze, jakby przesuwał sztyletem po gardle swej ofiary. Ostrze drasnęło skórę, powodując płytkie nacięcie. Theresa z przerażeniem obserwowała, jak ostrze zatrzymuje się obok jednego ze śladów i zaczyna naciskać powierzchnię. Twarz Kornego lśniła w blasku ognia, miał wpółotwarte usta i widać było jego bezzębne dziąsła.

— Nie! — zawołała Theresa.

W tym momencie Korne wbił nóż, skóra wyskoczyła, rozdzierając się na tysiąc kawałków, a jej strzępy wyleciały w powietrze nad ich głowami niczym suche listowie, po czym spadły w ogień.

— Och! — krzyknął Korne. — Najwyraźniej źle obliczyłaś napięcie bębna, przez co niestety nadal będziesz musiała zajmować nędzne stanowisko terminatora.

Theresa zacisnęła pięści, jej twarz wykrzywiła się w grymasie. Zniosła zimno i upokorzenie, wypielegnowała ten strzep, czyniąc z niego całkiem przyzwoity kawałek wyprawionej skóry. W przygotowania do egzaminu włożyła wiele wysiłku, a teraz, tylko dlatego, że jest kobietą, Korne wydał na nią wyrok.

Wciąż jeszcze nie mogła się otrząsnąć, gdy Korne złapał ją za ramię i zbliżył wargi do jej ucha.

— Zawsze możesz zarabiać na życie, masując skórę jakiegoś pijaka — zaśmiał się.

Theresa dłużej już nie mogła wytrzymać. Gwałtownym ruchem wyrwała się z jego uścisku i ruszyła w stronę wyjścia, ale pergamenariusz zagroził jej drogę.

— Żadna dziwka nie będzie mnie tak traktować — wycedził przez zęby, wymierzając jej siarczasty policzek.

Theresa chciała się zasłonić, ale Korne pchnął ją tak mocno, że się poślizgnęła i wpadła na ramę, przy której pracowała. Ciężka rama zachwiała się i po kilku trwających całą wieczność sekundach runęła z potwornym hukiem w ogień. Pod wpływem uderzenia z paleniska uniosła się chmara iskier, które poleciały w górę, zamieniając warsztat w kuźnię. Iskry migotały w powietrzu, opadając na pobliskie ławy. Kodeksy zajęły się ogniem i w mgnieniu oka płomienie dosięgły półek.

Nim Korne zdołał zareagować, jakiś bezmyślny pomocnik pootwierał okna. Pod wpływem przeciągu płomienie buchnęły z większą siłą i zaczęły lizać dach z drewna i gontu, na którym leżały suche liście. Korne ledwie zdążył chwycić kilka tobołków z arkuszami, gdy tuż obok oszołomionej Theresy spadła płonąca gałąź. Nie zwracając na nią uwagi, Korne rozkazał pomocnikom, by brali co bardziej wartościowe przedmioty i uciekali na ulicę. Chłopcy usłuchali i potykając się jeden o drugiego, złapawszy wcześniej, co który miał pod ręką, wybiegli niczym potępione dusze. Jeden z nich odciągnął Theresę, jak mógł najdalej, od płomieni. Ale gdy tylko zobaczył, że dziewczyna dochodzi do siebie, zostawił ją samą.

Kiedy Theresa zdołała się podnieść, miała wrażenie, że jest w przedsionku piekieł. Zrozpaczona rozejrzała się wokół i stwierdziła, że płomienie pochłaniają wszystko, na co natrafiają, i wkrótce odetną jej drogę ucieczki. Nagłe nad jej głową rozległ się trzask. Spojrzała w górę. Przez sekundę miała wrażenie, że dach się zawali, ale przyjrzała się uważniej i zobaczyła, że płomienie nie zajęły gontu, zapewne z powodu wilgoci i warstwy śniegu.

Rzuciła okiem na pomieszczenie. Jedyna droga ucieczki prowadziła przez wewnętrzny dziedziniec, bo wyjście na ulicę było już odcięte. Po lewej zauważyła stos kodeksów leżących pod wspornikiem. Nie wahała się ani chwili. Okryła się błękitną suknią, która wciąż była mokra, i wzięła tyle kodeksów, ile tylko mogła unieść. Potem pobiegła w stronę dziedzińca. Kiedy znalazła się w sieni, spojrzała na rosnący we wschodnim rogu kasztan, którego gałęzie sięgały dachów sąsiadujących z okapami katedry. Zrzuciła wtedy z siebie suknię i zrobiła z niej tobolek, do którego wrzuciła kodeksy. Ale kiedy miała już zacząć się wspinać, zatrzymał ją jakiś głos dochodzący z budynku.

Dziewczyna rzuciła kodeksy na ziemię i pobiegła do warsztatu. Kiedy weszła do środka, kłęby dymu całkiem ją oślepiły. Weszła głębiej, wstrzymując oddech. Gorąco parzyło ją bardziej niż same płomienie. Wtedy przez ścianę ognia zobaczyła rozpaczliwie krzyczącą żonę Kornego. Pożar musiał ją zaskoczyć na poddaszu i znalazła się teraz w pułapce. Nagle kobieta wydała z siebie przerażający wrzask, jej suknia zajęła się od ognia. Theresa usiłowała podejść bliżej, ale w tej samej chwili dach nad paleniskiem zatrzeszczał złowrogo. Spojrzała w górę. Gałęzie tworzące konstrukcję dachu zaczynały się uginać pod ciężarem śniegu. Rozejrzała się wokół i dostrzegła długi drąg leżący na podłodze. Złapała go i zaczęła co sił walić nim w gałęzie. Dach znów zatrzeszczał, ale ona waliła dalej, aż rozległ się donośny trzask. Konstrukcja runęła. Theresa, dusząc się od dymu, odskoczyła i zaczerpnęła powietrza. Nagle lawina śniegu spadła przez powstałą w dachu dziurę. Po chwili znikły płomienie dzielące Theresę od żony Kornego.

— Na Boga, podaj mi rękę! — krzyknęła Theresa.

Kobieta otworzyła oczy i przestała zawodzić. Wstała, ucałowała wyciągniętą dłoń dziewczyny i tak szybko jak pozwoliły jej grube nogi, wybiegła razem z Theresa na dziedziniec.

ROZDZIAŁ 3

Kiedy Gorgias wszedł do skryptorium, z przerażeniem stwierdził, że zostawił w warsztacie pergamenariusza swoją sakwę. Był zły na siebie, ale uspokajała go myśl, że wszył w torbę drugie dno, gdzie schował pergamin, nad którym pracował. Powtórzył sobie raz jeszcze, że gdyby nie przedsięwziął takich środków ostrożności, napastnik miałby teraz w swoich rękach najcenniejszy dokument, jaki można było sobie wyobrazić. Ale i tak zdołał mu ukraść brudnopis, w którym znajdowało się kilka istotnych akapitów, co spowoduje opóźnienie w pracy i przesunięcie ustalonych terminów.

Spojrzał na ramię i zobaczył, że opatrunek nałożony przez Zenona wygląda jak zakrwawiony całun. Zdrową ręką odwinął bandażę i oparł zranione ramię na oświetlonym stole. Spróbował poruszyć palcami. Z trudem je rozprostował. Rana wciąż krwawiła, naciągnął więc szwy, ale ból zmusił go do zaprzestania. Czuł drganie mięśni, jakby pod skórą waliło mu serce. Zaniepokojony kazał słudze wezwać medyka. Czekaając na jego przybycie, pochylił się nad stołem, rozmyślając o ostatnich wydarzeniach.

Nie miał wątpliwości. Człowiek, który go zaatakował, musiał wiedzieć, że w sakwie znajduje się bezcenny pergamin.

Skrzypienie drzwi wyrwało Gorgiasa z zadumy. To wracał sługa wraz z wyraźnie rozeźlonym Zenonem.

— Niech mnie Bóg broni przed ludźmi uczonymi. Niby tak się szczycą swoją wiedzą, a jak tylko coś im dolega, jęczą niczym płaczki przy nieboszczyku — powiedział medyk, zbliżając lampę do rany Gorgiasa.

— Ledwie poruszam palcami i nadal krwawię — żalił się Gorgias. Zenon zbadał ramię z delikatnością godną rzeźnika oprawiającego kurczaka.

— Powinniście dziękować, jeśli uda się uniknąć amputacji. Do diaska! Co żeście wyprawiali? Przepisywaliście Biblię greką czy co?

Gorgias nie odpowiedział. Medyk szukał czegoś w swojej torbie.

— Na Boga! Nie mam już rdestu. Macie ten proszek, który wam dałem?

— A niech to! Został w warsztacie! Jutro każę go przynieść. — Gorgias znów pożałował, że zostawił sakwę w warsztacie pergamenariusza.

— Jak chcecie, ale muszę was ostrzec: pozostałe rany mnie nie martwią, ale to ramię... jeśli nie będziecie o nie dbać, za tydzień nie zda się nawet świniom na pożarcie. A jeśli stracie ramię, to stracie też życie. Teraz poprawię szwy, aby powstrzymać krwawienie. Będzie boleć.

Gorgias skrzywił się, nie tyle z bólu, ile ze świadomości, że medyk ma rację.

— Ale jak to możliwe, że taka płytka rana...?

— Czy to wam się podoba, czy nie, tak to już jest. Ludzie nie umierają jedynie z powodu skrofulów i zarazy. Przeciwnie, cmentarze pełne są takich, co wyzionęli ducha z powodu drobnych otarć i ran: niewielka gorączka, dziwne dreszcze... i żegnajcie, wszelkie cierpienia. Może nie znam metod Galenusa, ale widziałem już tylu nieboszczyków, że na kilka miesięcy wcześniej potrafię przewidzieć, czy ktoś trafi do grobu.

Kiedy medyk skończył opatrywać ranę, pozbierał narzędzia i wrzucił je do torby. Gorgias nakazał słudze wyjść ze skryptorium i poczekać na zewnątrz.

— Zaczekajcie chwilę — powiedział, podchodząc do lekarza. — Czy możecie wyświadczyć mi przysługę?

— Jeśli to w mojej mocy...

Gorgias upewnił się, że sługa wyszedł.

— Chodzi o to, że wolałbym, aby hrabia się nie dowiedział, iż rana jest taka groźna. Pracuję nad pewnym kodeksem, szczególnie ważnym dla hrabiego, i na pewno nie byłby zadowolony, gdyby wiedział, że praca może się opóźnić.

— Cóż, moim zdaniem to nieuniknione. Tą dłonią nie utrzymacie nawet pióra, i to przynajmniej przez najbliższe trzy tygodnie. Jeśli stan się nie pogorszy. A zważywszy na to, że to hrabia mi płaci, zgodzicie się chyba, że nie mogę go oszukiwać.

— Aleja nie proszę, abyście oszukiwali. Tylko abyście nie mówili, jakie są rokowania. A co do wynagrodzenia...

Gorgias wsunął lewą dłoń do kieszeni koszuli i wyjął kilka monet.

— To więcej, niżby wam zapłacił hrabia — powiedział. Medyk wziął monety i uważnie je obejrzał. Oczy zaświeciły mu się z chciwości. Ucałował monety, schował je do torby i bez słowa ruszył w stronę wyjścia.

Przed drzwiami zatrzymał się i odwrócił do Gorgiasa.

— Odpoczywajcie i pozwólcie, by rana się zagoiła. Zdrowie łatwo stracić, ale by je odzyskać, trzeba wiele czasu. Jeśli pojawią się ropnie albo wrzody, natychmiast mnie zawiadomcie.

— Nie martwcie się, posłucham waszych rad. A teraz wezwijcie z powrotem sługę.

Medyk skinął głową i pożegnał się, puszczając do Gorgiasa porozumiewawczo oko. Kiedy sługa wszedł do skryptorium, Gorgias uważnie mu się przyjrzał. Chłopak, gołowąsy niezgrabny chudzielec, nie wyglądał na zbyt rozgarniętego.

— Idź do warsztatu pergamenariusza i poproś moją córkę o lekarstwo, które przepisał mi lekarz. Będzie wiedziała, o co chodzi. Ale wcześniej biegnij do hrabiego. Powiedz, że czekam na niego w skryptorium.

— Ale, panie... Hrabia jeszcze odpoczywa — wymamrotał chłopak.

— Zatem go obudź! — krzyknął Gorgias. — Powiedz, że muszę z nim pilnie pomówić.

Sługa wycofał się, potakując. Zza drzwi dobiegały jego coraz cichsze pospieszne kroki.

* * *

Gorgias rozejrzał się wokół i stwierdził, że całe pomieszczenie spowija wilgoć. Płomienie kaganków ledwie oświetlały ławy, nadając skryptorium nierzeczywisty wygląd. Jedyne przez wąskie okno zabezpieczone solidną kratą wpadało wątle światło wprost na gigantyczny drewniany pulpit, na którym piętrzyły się w dużym nieładzie kodeksy, miseczki z tuszem, pióra i stylusy, a także rylce, skrobaczki i środki przyspieszające wysychanie. W sali stał jeszcze jeden pulpit, dla odmiany całkiem pusty. Stojąca na północnej ścianie potężna szafa — po jej obu stronach zawieszono lampiony — skrywała najcenniejsze kodeksy. Na ich grzbietach lśniły mocne pierścienie, przez które przewleczono przymocowane do ściany łańcuchy. Na wyższych półkach, oddzielone od pozostałych kodeksów, stały psalterze powszechnego użytku, a obok nich kilka aramejskich Biblii. Na pozostałych półkach dziesiątki nieoprawionych woluminów, wciśnięte pomiędzy przeróżne listy, epistolaria i kartulariusze, walczyły o miejsce z poliptychami i księgami, w których zapisywano rachunki i zawarte transakcje.

Gorgias wciąż rozmyślał o porannej napaści, gdy drzwi zaskrzypiały, otworzyły się powoli i w progu pojawiła się zapalona pochodnia, oślepiając go swym blaskiem. Kiedy sługa odszedł na bok, w świetle pochodni ukazała się dziwaczna przysadzista postać. Po kilku chwilach od progu dobiegł łamiący się głos.

— Mówcie, zacny Gorgiasie. Cóż to za pilna sprawa nie daje wam spokoju?

W tym momencie rozmowę przerwało uporczywe groźne warczenie. Jeden z psów obnażył kły i ruszył na Gorgiasa, ciągnąc za sobą drugiego molosa. Rzemienie upręży napięły się i dziwaczny mechanizm, do którego przywiązane były psy, wtoczył się do środka wśród skrzypienia topornych drewnianych kół. Na rozkaz zwierzęta stanęły i wózek zatrzymał się. Gorgias przyjrzał się groteskowej głowie Wilfreda pochylonej w nienaturalny sposób

nad prawym ramieniem. Hrabia puścił cugle i wyciągnął dłonie w stronę psów, które natychmiast zaczęły je lizać.

— Z każdym dniem coraz trudniej mi panować nad tymi szatanami — powiedział Wilfred urywanym głosem — ale Bóg mi świadkiem, że bez nich byłbym jak suche drzewo oliwne.

Mimo upływu lat imponująca sylwetka hrabiego wciąż robiła wrażenie na Gorgiasie. Wilfred żył zamknięty w tym mechanizmie na kółkach, w którym spał, jadł, załatwiał swoje potrzeby, i czynił to, o ile było wiadomo Gorgiasowi, od czasu, gdy amputowano mu obie nogi, kiedy był jeszcze dzieckiem. Pochylił się, by go powitać.

— Dajcie spokój tym uprzejmościom i opowiadajcie. Co się dzieje? Skryba odwrócił wzrok. Spieszno mu było porozmawiać z hrabią,

a teraz nie wiedział, od czego zacząć. W tej samej chwili jeden z psów poruszył się i gwałtownie przesunął wózek. Gorgias zauważył, że jedno z kół zgrzyta, i ukląkł, by sprawdzić przyczynę.

— Jeden z nitów pod wpływem wstrząsów musiał odpaść. Dyle się poluzowały i mogą wypaść. Byłoby dobrze, gdybyście zabrali ten fotel do stolarza.

— Nie obudziliście mnie chyba, żeby sprawdzić stan dwukółki. Kiedy Gorgias uniósł dłoń w przeproszającym geście, Wilfried zobaczył bandaż.

— Wielkie nieba! Co wam się stało w rękę?!

— Och! To nic takiego! Drobny wypadek — skłamał. — W drodze do warsztatu jakiś nędznik lekko mnie drasnął. Wezwano medyka, a ten uparł się, aby to zabandażować. Znacie tych konowałów, jak czegoś nie opatrzą albo nie zabandażują, to myślą, że nikt im nie zapłaci.

— Macie rację, ale czy możecie ruszać ręką?

— Z pewnym trudem. Trochę poćwiczę i zaraz minie.

— A teraz mówcie, dlaczego chcieliście się widzieć ze mną.

— Pozwólcie, że usiądę. Chodzi o kodeks. Praca nie idzie mi tak szybko, jak się spodziewałem.

— Cóż. Aliquando bonus dormitat Deum. Nie w tym rzecz, by iść szybko, lecz by dojść na czas. A powiedzcie, skąd to opóźnienie? Nic mi o tym do tej pory nie wspominaliście — powiedział Wilfred, starając się ukryć niezadowolenie.

— Nie chciałem was niepokoić. Sądziłem, że poradzę sobie z tymi piórami, które posiadam, ale tyle razy ostrzyłem kalamusy, że teraz tusz ledwie płynie.

— Nie pojmuję. Macie przecież tuziny piór.

— To prawda, ale nie gęsi. A jak wam wiadomo, w Wurzburgu nie ma już gęsi.

— Więc pracujcie dalej tymi, które macie. Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie...

— Problem w tym, jak przepływa tusz. Nie spływa odpowiednio wolno, a to może spowodować kleksy, które zniszczą dokument. Pamiętajcie, że używam cienkiego welinu ze skóry nienarodzonego cielaka. Powierzchnia jest tak gładka, że każdy błąd pióra pociąga skutki, których nie da się naprawić.

— A dlaczego nie użyjecie innego rodzaju pergaminu?

— To niemożliwe, jeśli chcecie osiągnąć wasz cel. Wilfred poruszył się w fotelu.

— A więc co proponujecie?

— Wymyśliłem, że zagęszczę tusz. Jeśli dodam zagęszczacza, tusz mogłby płynąć wolniej, zachowując niezbędny poślizg. Sądzę, że w dwa tygodnie powinienem się z tym uporać.

— Róbcie, co musicie, ale jeśli życie wam miłe, postarajcie się, by kodeks był gotów w ustalonym terminie.

— Już zacząłem przygotowania. Nie martwcie się.

— Bardzo dobrze. Skoro już tu jestem, chciałbym rzucić okiem na pergamin. Gdybyście byli tak dobrzy i mi go podali...

Gorgias przygryzł wargi. Nie mógł się przyznać, co jest przyczyną opóźnienia.

— Obawiam się, że to niemożliwe.

— Co mówicie? Jak to niemożliwe?

— Nie mam go tutaj. Został w warsztacie Kornego.

— A co, u licha, tam robi? Przecież każdy może go tam znaleźć! — krzyknął głośno hrabia, aż psy się zaniepokoiły.

— Wybaczcie, wasza wielbność. Wiem, że powinienem był to z wami uzgodnić, ale wczoraj wieczorem w ostatniej chwili zauważyłem, że jedna stronica zaczyna się rozwarstwiać — skłamał. — Nie znam przyczyny, ale kiedy tak się dzieje, trzeba natychmiast temu zaradzić. Potrzebowałem kwasu, którego używa Korne, a wiedząc, jaki jest nieufny, postanowiłem raczej zanieść tam kodeks, niż prosić go o kwas. W każdym razie, nie licząc Theresy, w warsztacie nikt nie umie czytać, a jeszcze jeden pergamin wśród setek innych w żaden sposób nie zwróci niczyjej uwagi.

— Sam nie wiem... Wszystko rozumiem, ale w takim razie, co tu jeszcze robicie? Powinniście być w warsztacie i nakładać ten kwas. Skończcie, co tam

macie do zrobienia, i przynieście z powrotem dokument do skryptorium. I nie nazywajcie mnie „waszą wielmożnością"! Przecież od lat nie noszę już habitu!

— Zgodnie z rozkazem. Wyruszę, gdy tylko uporządkuję pulpit i znajdę moje noże. Ale wcześniej chciałbym jeszcze o czymś wam powiedzieć.

— Mówcie.

— W tych dniach... gdy będę szykował nowy tusz...

— Tak...?

— Jeśli wasza wielmożność pozwoli, wołałbym, abyście mnie zwolnili z przychodzenia do skryptorium. Mam wszystkie niezbędne narzędzia i wołałbym w domu w większym spokoju wykonać próby. Co więcej, muszę znaleźć pewne składniki w lesie, więc będę musiał . spędzić noc za murami.

— Za murami, w lesie? W takim razie zażądam, by praefectus przysłał wam jako eskortę żołnierza. Skoro dziś rano zaatakowano was w obrębie murów, to wyobraźcie sobie, co może się wydarzyć poza nimi.

— Cóż. To chyba nie jest konieczne. Dobrze znam okolicę i Theresa może mi towarzyszyć.

— Ha! — zaśmiał się Wilfred. — Wciąż patrzycie na Theresę oczami kochającego ojca, ale ta dziewczyna przyciąga mężczyzn, jakby mieli ruję. Jak tylko rozbójnicy poczują jej zapach, nie starczy wam nawet czasu, by się przeżegnać. Zajmijcie się kodeksem, a ja zajmę się wami. Po południu żołnierz stawi się u was w domu.

Gorgias wołał się nie upierać. Zamierzał poświęcić dwa najbliższe dni na odszukanie człowieka, który go napadł, a z żołnierzem deptającym mu po piętach nie będzie to łatwe. Uznał jednak, że lepiej zakończyć rozmowę, by Wilfred nie nabrał podejrzeń. Porządkując swoje narzędzia, zmienił temat.

— Jak sądzicie, kiedy można się spodziewać króla? — spytał Wilfreda.

— Karola Wielkiego? Nie wiem. Miesiąc. Może dwa. Ostatni kurier oznajmił, że konwój z zaopatrzeniem miał bezzwłocznie wyruszyć.

— Ale drogi są zamknięte.

— W istocie. Ale wcześniej czy później tu się zjawią. Zapasy nie starczą na długo.

Gorgias skinął głową. Dienne racje były coraz bardziej skąpe i wkrótce zapasy się wyczerpią.

— Dobrze. Skoro nic więcej wam nie trzeba... — powiedział Wilfred.

Hrabia pociągnął za cugle i uprząż się napięła. Trzasnął z bicia i psy pociągnęły z trudem wózek, który wreszcie zaczął się toczyć. Hrabia miał już

opuścić skryptorium, gdy do sali wbiegł sługa, krzyżąc wniebogłosy, jakby ujrzał diabła.

— Factoriae! Święty Boże! Stoi w ogniu!

RS

ROZDZIAŁ 4

Kiedy Gorgias zobaczył, co zostało z warsztatu, modlił się do Boga, by nie okazało się, że Theresa leży pod zgliszczami. Płomienie pochłoneły zewnętrzne ściany, powodując zawalenie dachu, co z kolei roznieciło ogień i cały teren warsztatu przypominał teraz gigantyczny stos. Ciekawscy, którzy zgromadzili się wokół, przepychali się, by lepiej zobaczyć to widowisko, najodważniejsi zaś usiłowali pomóc rannym, uratować, co się dało, i ugasić tłący się żar. Po chwili wahania Gorgias rozpoznał Kornego pochylonego nad jakimiś balami. Wyglądał jak żebrak, miał osmalone odzienie i wykrzywioną twarz. Gorgias czym prędzej do niego podszedł.

— Bogu dzięki, że was znalazłem. Widzieliście Theresę? Pergamenariuszem wstrząsnął dreszcz, jakby usłyszał imię diabła.

Nagle podskoczył i rzucił się Gorgiasowi do gardła.

— Ta twoja przeklęta córka! Oby każda jej kość spłonęła w ogniu! Gorgias wyrwał się Kornemu i w tej samej chwili podbiegło dwu sąsiadów, by ich rozdzielić. Mężczyźni przeprosili za zachowanie pergamenariusza, choć Gorgias podejrzewał, że jego słowa nie były spowodowane nagłym wybuchem szału. Podziękował im za interwencję i odszedł, by kontynuować poszukiwania.

Obszedł cały teren. Stwierdził, że ogień nie tylko zniszczył warsztat i mieszkanie Kornego, ale również dotarł do składów i sąsiadujących z nimi stajni. Na szczęście nie było w nich żadnych zwierząt, a o ile było mu wiadomo, składy ziarna również były puste, więc straty obejmowały tylko same budynki. Ich los był już przesądzony, bo pożar objął dachy.

Wtedy Gorgias zauważył, że mur oddzielający dziedziniec od warsztatów wciąż się trzyma, i przypomniał sobie, że Korne, zmęczony ciągłymi kradzieżami, kazał zastąpić zwykłe drewniane ogrodzenie kamiennym murem. Najwyraźniej dzięki temu plac pomiędzy ogrodzeniem a zbiornikami był wolny od płomieni.

Nagle poczuł na plecach czyjaś drżącą dłoń. To była Bertharda, żona pergamenariusza.

— Co za nieszczęście! Co za wielkie nieszczęście! — powiedziała kobieta ze łzami w oczach.

— Berthardo, na miłość boską! Widziałaś moją córkę? — spytał z rozpaczą w głosie.

— To ona mnie uratowała! Słyszycie? Uratowała mi życie!

— Tak, tak. Słyszę, ale co z nią? Jest ranna?

— Mówiłam, żeby już nie wchodziła do warsztatu. Żeby zapomniała o księgach, ale nie zwracała na mnie uwagi...

— Berthardo, miejcie litość i mówcie, gdzie jest moja córka — powiedział Gorgias, łapiąc kobietę za ramiona i potrząsając nią.

Bertharda spojrzała nieruchomym wzrokiem na Gorgiasa. Jej zaczerwienione oczy sprawiały takie wrażenie, jakby spoglądała w zaświaty.

— Wybiegłyśmy z warsztatu, uciekając przed dymem — zdołała wykrztusić. — Na dziedzińcu pomogła mi wspiąć się na mur. Trzymała mnie, dopóki nie byłam bezpieczna, a wtedy powiedziała, że musi wrócić po kodeksy. Krzyczałam, że nie, żeby wspięła się na mur, ale wiecie, jaka jest uparta — zapłakała. — Weszła do warsztatu w te straszne płomienie, a wtedy nagle usłyszałam okropny łomot i chwilę później dach się zawalił. Rozumiecie? Ona mnie uratowała, a potem wszystko się zawaliło...

Gorgias obrócił się przerażony. Przed jego oczami rozciągał się ponury widok pogorzeliska. Ogień jeszcze się tlił, iskry strzelały, a wokół snuł się szary dym niczym zapowiedź makabrycznego końca.

Gdyby zachował rozsądek, poczekałby, aż ogień się wypali, ale nic nie było w stanie go powstrzymać. Odrzucił deski, które leżały mu na drodze, i wkroczył w sam środek chaotycznie porzrzuconych krokwi, belek oczepowych i listew, nie zważając na liżące go płomienie. Poczuł, że oczy pieką go z bólu i gorąca, które paliło mu płuca. Ledwie widział własne dłonie przez chmurę popiołu i latające w powietrzu iskry, ale na nic nie zważał. Szedł naprzód, odsuwając dźwigary, wsporniki i ramy, i co chwila wołał Teresę. Nagle, gdy usiłował coś dojrzeć wśród spowijającego go dymu, usłyszał za plecami wołanie o pomoc. Odwrócił się i ruszył biegiem, przeskakując tłące się drwa. Gdy znalazł się przy kadziach, okazało się, że to krzyczy Johan Krótkonogi, syn garbarza Hansa. Niespełna dwunastoletni chłopak miał poparzony tors i rozpaczliwie wzywał pomocy. Gorgias klął swój los, ale natychmiast pochylił się nad chłopcem, którego przygniotła belka.

Wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że chłopak zaraz wyzionie ducha, jeśli nie otrzyma pomocy. Zebrał zatem wszystkie siły i pociągnął za belkę. Ale ta nawet nie drgnęła. Oderwał kawałek bandaża, którym Zenon opatrzył mu ramię, i otarł nim twarz chłopca.

— Johan, posłuchaj mnie. Mam zranione ramię i sam nie dam rady podnieść tej belki. Powiem ci, co zrobimy. Umiesz liczyć?

Chłopak skinął głową, krzywiąc się z bólu.

— Umiem do dziesięciu — powiedział z dumą.

— Dobrze. To wspaniale. Teraz oddychaj przez ten bandaż, a po każdym piątym wdechu wykrzykuj swoje imię tak głośno, jak tylko zdołasz. Zrozumiałeś?

— Tak, panie.

— Dobrze. Idę po pomoc, a kiedy wrócę, przyniosę ci kawałek ciasta i smaczne jabłko. Lubisz jabłka?

— Ale proszę mnie nie zostawiać — załkał chłopiec.

— Nie zostawiam cię, Johan. Wrócę z kimś do pomocy.

— Proszę nie odchodzić, panie! Błagam! — powiedział, łapiąc Gorgiasa za rękę.

Gorgias spojrział na dzieciaka i zaklął. Wiedział, że nawet gdyby zdołał sprowadzić pomoc, chłopak nie wytrzyma. Oddychanie nawet jemu przychodziło tu z trudem. Johan umrze od płomieni albo z powodu zaccadzenia, ale tak czy owak umrze. Ale mimo to sprowadzenie pomocy było jedyną rzeczą, jaką mógł dla niego zrobić.

Nagle nachylił się i złapał belkę obiema rękoma, ugiął kolana i napiął ramiona, aż strzeliło mu w plecach, ale ciągnął dalej, jakby od tego zależało jego własne życie. Poczuł, że szwy założone na ranę pękają, ale nie przestał.

— No już, ty przekłeta dziwko. Rusz się! — zawołał.

Nagle usłyszał trzask i belka drgnęła. Gorgias wciągnął pełne dymu powietrze, pociągnął jeszcze raz i belka nieco się uniosła.

— Teraz, Johan. Wychodź stamtąd!

Chłopiec przewrócił się na bok, dokładnie w chwili gdy siły opuściły Gorgiasa i belka upadła na ziemię. Kiedy Gorgias złapał oddech, wziął bezwładnego chłopca na ręce i czym prędzej uciekł z tego piekła.

Na placu, gdzie sąsiedzi ułożyli rannych, Gorgias zobaczył Zenona opatrującego jakiegoś człowieka z bąblami na stopach. Lekarz sprawnie operował lancetem. Pospiesznie przekłuwał pęcherze, a następnie zgniatał je, jakby to były winogrona. Pomagał mu asystent, który nakładał oleiste maści z pozostawiającą wiele do życzenia zręcznością. Gorgias z trudem przydźwigał do niego Johana. Kiedy wreszcie do niego dotarł, położył chłopca na ziemi i poprosił Zenona, by się nim zajął. Lekarz rzucił na niego okiem, po czym odwrócił się do Gorgiasa i pokręcił głową.

— Nic nie poradzę — oznajmił stanowczym głosem. Gorgias złapał go za ramię i odciągnął kawałek dalej.

— Przynajmniej moglibyście się postarać, żeby tego nie słyszał — szepnął.
— Zajmijcie się nim, a reszta i tak jest w rękach Boga.

Zenon uśmiechnął się pogardliwie do Gorgiasa.

— Lepiej zadbajcie o siebie — powiedział, wskazując na jego zakrwawione ramię. — Spojrzę na tę ranę.

— Najpierw chłopiec.

Zenon skrzywił się i nachylił nad Johanem. Wezwał pomocnika i wyjął mu z dłoni maść.

— Świński smalec... Najlepszy na oparzenia — oznajmił, smarując rany chłopca. — Hrabia nie byłby zadowolony, gdyby wiedział, że go marnuję na beznadziejny przypadek.

Gorgias nie odpowiedział. Myślał tylko o tym, by znaleźć Theresę.

— Jest więcej rannych?

— Oczywiście. Tych najciężej poparzonych przeniesiono do Świętego Damiana — odparł chirurg, nie podnosząc wzroku.

Gorgias ukląkł przy chłopcu i wsunął rękę pod jego głowę. Chłopak odpowiedział gorzkim uśmiechem.

— Nie słuchaj tego rzeźnika. W mgnieniu oka wydobrzejesz — i nie dając mu czasu na odpowiedź, wstał i ruszył do bazyliki szukać córki.

* * *

Kościół Świętego Damiana był solidnym i bezpiecznym budynkiem mimo niezbyt imponującego wyglądu. Do budowy użyto płyt kamiennych i nawet sam Karol Wielki wyraził zadowolenie, gdy dowiedział się, że poświęconą Bogu budowlę wzniesiono na równie potężnych fundamentach jak wiara, która miała je podtrzymywać. Przed wejściem Gorgias przeżegnał się i pomodlił do Boga w intencji Theresy.

Ledwie przekroczył próg, uderzył go nieznośny fetor spalonych ciał. Nie zatrzymując się, złapał jedną z pochodni zatkniętych w przejściu, by oświetlić wąskie kaplice, które ciągnęły się po obu stronach naw bocznych. Kiedy doszedł do prezbiterium, zauważył za ołtarzem rząd worków ze słomą przygotowanych do ułożenia rannych. Natychmiast rozpoznał Hahna, bystrego chłopca, który kręcił się w warsztacie, czekając, aż zostanie mu przydzielone jakieś zajęcie. Miał poparzone nogi i skarżył się gorzko. Obok niego leżał mężczyzna, którego nie był w stanie zidentyfikować, ponieważ płomienie zamieniły jego twarz w poczerniałą skorupę. Przy środkowej absydzie zauważył spowiadającego się Nicodema, jednego z czeladników, pracujących u Kornego. Dalej za transeptem siedział gruby mężczyzna z obandażowaną głową—widać było tylko jego uszy, a za nim leżał jakiś młody nagi chłopak. Gorgias rozpoznał w nim Celiasa, najmłodszego syna pergamenariusza.

Chłopak miał zamknięte oczy i dziwnie wykręconą szyję. Niewątpliwie umarł w strasznej agonii.

Nikt nie potrafił mu powiedzieć, gdzie jest Theresa.

Gorgias ukląkł i pomodlił się za nią. Kiedy miał już wznowić poszukiwania, poczuł, że siły go opuszczają. Nagle wstrząsnęły nim tak mocne dreszcze, że aż zrobiło mu się ciemno przed oczami. Próbował wesprzeć się na kolumnie, ale czarna chmura przesłoniła mu oczy, zachwiał się, po czym runął na ziemię, tracąc przytomność.

* * *

Bicie dzwonów ocuciło Gorgiasa. Powoli mgła, która przesłaniała mu oczy, rozwiewała się i wreszcie zamazane postaci nabrały ostrości, jakby ktoś obmył je czystą wodą. Natychmiast rozpoznał swoją żonę

Rutgardę. Uśmiech na jej ustach z trudem maskował zmęczenie i ślady płaczu na twarzy. Nieco dalej ujrzał Zenona z kilkoma buteleczkami jakiejś mikstury. Nagle poczuł tak intensywny ból, że myślał, iż amputowano mu rękę, ale gdy ją uniósł, zobaczył, że znów jest starannie obandażowana. Rutgarda pomogła mu się unieść i wsunęła mu pod plecy grubą poduchę. Gorgias stwierdził, że nadal znajduje się w kościele Świętego Damiana, oparty o ścianę jednej z niewielkich kaplic.

— A Theresa? Znalazła się? — zdołał wydusić pytanie. Rutgarda spojrzała ze smutkiem na Gorgiasa. Pochyliła głowę a z oczu popłynęły jej łzy.

— Co się stało?! — zawołał. — Na Boga! Gdzie jest moja córka? Gdzie Theresa?

Gorgias rozejrzał się wokół, ale nie otrzymał odpowiedzi. Nagle kilka kroków od miejsca, w którym się znajdował, zobaczył nieruchome ciało przykryte prześcieradłem.

— Nie! Nie! Na wszystkich świętych! Tylko nie to.

Gorgias zerwał się i podbiegł do leżącego ciała. Na okrywającym je całunie widniał niezgrabny biały krzyż, a spod niego wystawała zwęglona kończyna. Gorgias zdjął całun i jego źrenice rozszerzyły się z przerażenia. Płomienie strawiły ciało do tego stopnia, że zamieniły je w nierozpoznawalną figurkę spalonego ciała i skóry. Nie chciał wierzyć własnym oczom, ale gdy rozpoznał lamówkę błękitnej sukni swej ukochanej córki, cały świat mu się zawalił.

* * *

Od wczesnego popołudnia ludzie zbierali się przed drzwiami kościoła, by uczestniczyć we mszy za zmarłych. Malcy śmiali się i szczebiotali, lawirując wśród usiłujących doprowadzić ich do porządku dorosłych, a najbardziej

zuchwali naśmiewali się z kobiet, którym starali się dokuczyć, naśladując ich zawodzenia. Grupka staruszek owiniętych w ciemne skóry zgromadziła się wokół Brunildy, wdowy oskarżanej o prowadzenie domu publicznego, która zwykle była najlepiej o wszystkim poinformowana. Brunilda roznieciła ciekawość staruszek, sugerując, że sprawczynią pożaru była córka skryby i że ogień nie tylko spowodował ofiary, ale również strawił — co było prawdziwym nieszczęściem — zapasy żywności, które Korne ukrył w magazynie.

Co chwila tworzyły się kolejne grupki, omawiano liczbę rannych, opisywano stopień poparzeń i spekulowano na temat przyczyn pożaru. Od czasu do czasu któraś z kobiet odłączała się i biegła do następnej gromadki, aby podzielić się najświeższymi plotkami. Jednak mimo takiego ożywienia przybycie do kościoła hrabiego Wilfreda i jego zaprzęgniętych do wózka psów przyjęto z ulgą, ponieważ deszcz zaczął przybierać na sile i brakowało miejsc, w których można by się schować.

Gdy tylko otworzyła się brama kościoła, zgromadzeni pospieszyli, by zająć najlepsze ławki. Zgodnie ze zwyczajem mężczyźni usiedli najbliżej ołtarza, zostawiając bardziej odległe miejsca dla kobiet i dzieci. W pierwszym rzędzie zarezerwowanym dla rodziców zmarłych siedział pergamenariusz wraz z małżonką. Obok nich na wypchanych słomą workach leżeli dwaj ranni synowie. Zwłoki najmłodszego, Celiasa, spoczywały owinięte w lniany całun tuż obok ciała Theresy. Zmarłych ułożono na stole specjalnie w tym celu ustawionym na wprost głównego ołtarza. Gorgias i Rutgarda odrzucili zaproszenie Wilfreda i usiedli z tyłu, by uniknąć konfrontacji z Kornem.

Wilfred czekał pod portykiem, aż ostatni wierni zajmą swoje miejsca. Kiedy ucichły szepty, strzelił z bicia i psy pociągnęły go boczną nawą do transeptu. Dwu akolitów z wygolonymi tonsurami pomogło mu usadowić się za ołtarzem i okrywszy łby psów skórzanymi kapturami, uwolnili hrabiego od rzemieni, którymi przypasany był do wózka. Następnie subdiakon zdjął z Wilfreda płaszcz pluvia i zastąpił go tuniką albata, którą dopasował za pomocą cingulum. Na tunikę nałożył wyszywane indumentum, z którego dolnej lamówki zwisał rząd dzwoneczków, a na koniec ukoronował hrabiego misternym nakryciem głowy. Kiedy już został odpowiednio przystrojony, ostiariusz obmył mu dłonie w misie i postawił skromny kielich pogrzebowy tuż obok naczyń z krzyżem świętym. Dwa kandelabry delikatnie oświetlały całuny pokrywające zmarłych.

Przysadzisty, poruszający się z widocznym trudem kleryk, podszedł do leżącego na ołtarzu psalterza. Z namaszczeniem otworzył wolumin i zwilżywszy palec wskazujący, rozpoczął mszę, recytując czternaście wersetów zgodnie z regułami świętego Benedykta. Następnie zaintonował cztery psalmy z antyfoną i zaśpiewał monotonie kolejnych osiem, po czym odmówił litanie i modlitwę za zmarłych. Dopiero wtedy głos zabrał Wilfred. Natychmiast ucichły wszelkie szepty. Hrabia przyjrzał się wnikliwie zebranym, jakby szukał winnego tragedii. Od dwu lat nie miał na sobie stroju kapłana.

— Dziękujcie Bogu za to, że dziś w swym niezmiernym miłosierdziu zlitował się nad nami — zaczął. — Nawykli do beztroskiego życia, oddani rozkoszy zaspokajania wszelkich pragnień, zbyt łatwo zapominacie, dlaczego przyszliście na ten świat. Wasz pobożny wygląd, wasze modlitwy i jałmużna, wasze zmaćcone umysły sprawiają, iż wyobrażacie sobie, że wszystko, co posiadacie, jest wynikiem waszej pracy. Pożądacie cudzych żon, zazdrościcie szczęścia uprzywilejowanym i za wszelką cenę chcecie zdobyć tak pożądane bogactwa. Myślicie, że życie to uczta, na którą zostaliście zaproszeni, przyjęcie, na którym smakuje się najbardziej wyrafinowane potrawy i trunki. Ale tylko ktoś o egoistycznym rozumie, o słabej duszy pełnej ignorancji zapomina, że życie należy do Najświętszego Ojca. I podobnie jak ojciec karze dzieci, kiedy są nieposłuszne, a sędzia obcina język kłamcy albo członek kłusownikowi, tak Bóg doświadcza tych, którzy zapominają o jego nakazach, zsyłając na nich najstraszniejsze kary.

Rozległy się szepty.

— Głód puka do naszych drzwi — ciągnął — wkracza do naszych domostw i pożera nasze dzieci. Deszcze niszczą plony, a choroby dziesiątkują stada. A wy jeszcze narzekacie? Bóg wysyła wam sygnały, a wy rozpaczacie z powodu jego zamysłów. Módlcie się! Módlcie się, aż wasze dusze wyrzucą z siebie plwociny chciwości i flegmę złości. Módlcie się, chwalcąc Pana. On zabrał Celiasa i Teresę, uwalniając ich z grzesznego świata, który wy stworzyliście. Teraz, gdy ich dusze porzucają zepsute ciała, zawodzicie jak kobiety i wyrrywacie sobie włosy z głowy. Zatem słuchajcie, mówię wam, albowiem oni nie są ostatnimi. Bóg pokazuje wam drogę. Porzućcie troski i drzyjcie, albowiem uczty, której tak pożądacie, nie znajdziecie na tym świecie. Módlcie się! Błagajcie o wybaczenie, a może będzie wam dane zasiąść przy Jego biesiadnym stole, tych bowiem, którzy wyrzekają się Pana, pochłonie piekielna czeluść aż po wieki wieków.

Wilfred zamilkł. Z biegiem lat zrozumiał, że najlepsze kazania to te, które nawiązują do wiecznego potępienia. Jednak Korne zmarszczył brew i wystąpił naprzód.

— Za pozwoleniem — powiedział, unosząc głos. — Od czasu gdy się nawróciłem, zawsze uważałem się za przykładowego chrześcijanina: odmawiam poranną modlitwę, poszczę w każdy piątek i przestrzegam przykazań. — Rozejrzał się, jakby w poszukiwaniu aprobaty. — Dziś Bóg zabrał mi syna. Celias był zdrowym, krzepkim chłopcem i dobrym dzieckiem. Akceptuję zamiary Pana i modlę się do Niego za jego duszę. Modlę się też za moją duszę, za dusze moich bliskich i niemal wszystkich tu zebranych. — Przełknął ślinę, po czym zwrócił się do Gorgiasa. — Ale ta, która jest winna tego nieszczęścia, nie zasługuje ani na jedną modlitwę, która złagodziłaby jej karę. Ta dziewczyna nigdy nie powinna była przekroczyć progu mojego warsztatu. Skoro Bóg wykorzystuje śmierć, aby nas pouczyć, może my powinniśmy czerpać z jego nauk. A skoro Bóg sądzi martwych, zatem my osądzmy żywych.

W całym kościele rozległ się donośny lament.

— *Nihil est tam volucre quam maledictum; nihil facilius emilitur, nihil citius excipitur, nihil latius dissipatur* — przerwał mu Wilfred, niemal krzyżąc. — Biedni, prości ludzie: nie ma nic szybszego od oszczerstwa, nic tak łatwo nam się nie wymyka, nic nie jest tak łatwo przyjmowane i nic nie rozprzestrzenia się bardziej na powierzchni ziemi. Doszły już do mnie słucho oskarżające Therese, ale nikt z was nie wie, co naprawdę się wydarzyło. Brońcie się przed obłudą i nikczemnością, albowiem nie ma takiej tajemnicy, która prędzej czy później nie zostałaby odkryta. *Nihil est opertum quod non revelatur, et occultum quod non scietur.*

— Mówicie, że to kłamstwa? — odparł Korne, unosząc w górę ręce. — Ja sam doświadczyłem wściekłości tej córki Kaina. Jej nienawiść wznieciła pożar, który zrujnował moje życie. I stwierdzam to tutaj, w Domu Bożym. Mój syn Celias też by to potwierdził, gdyby nie zginął z winy tej dziewczyny. Wszyscy, którzy byli obecni, mogą to poświadczyć i przysięgam przed Najwyższym, że tak uczynią, gdy Gorgias wraz z rodziną stawią czoło sprawiedliwości — po czym, nie czekając na zezwolenie Wilfreda, zarzucił sobie na ramiona zwłoki Celiasa i opuścił kościół, a za nim podążyła jego rodzina.

* * *

Gorgias poczekał, aż wierni opuszczą świątynię. Chciał pomówić z Wilfredem o pogrzebie Theresy i wiedział, że trudno będzie o lepszy moment.

Ponadto słowa Wilfreda bardzo go zaskoczyły. Rutgarda wspominała mu o plotkach wskazujących na Theresę jako sprawczynię pożaru, a upomnienia hrabiego zdawały się sugerować, że wina nie leży po jego stronie. I kiedy Rutgarda rozprawiała przed kościołem z sąsiadkami o przygotowaniach do pogrzebu, Gorgias podszedł do Wilfreda, który głaskał swoje molosy. To dziwne, jak ktoś pozbawiony nóg był w stanie panować nad tymi bestiami, pomyślał.

— Przykro mi z powodu waszej córki — powiedział Wilfred, kręcąc głową.
— To naprawdę była dobra dziewczyna.

— Była wszystkim, co miałem. Całym moim życiem. — Oczy Gorgiasa napęłniły się łzami.

— Wielu sądzi, że istnieje tylko jedna śmierć, ale tak nie jest. Za każdym razem, gdy umiera dziecko, śmierć dosięga również rodziców, a to z kolei doprowadza nas do boleśnie ironicznego wniosku, że im bardziej puste jest życie, tym cięższe się okazuje. Ale wasza żona jest nadal młoda. Może jeszcze moglibyście...

Gorgias posmutniał. Wielokrotnie próbowali, ale Bóg nie chciał pobłogosławić ich dzieckiem.

— Moim jedynym życzeniem jest, by Theresa została pochowana jako chrześcijanka, którą zawsze była. Wiem, że to, o co chcę was prosić, jest trudne, ale błagam, abyście spełnili moją prośbę.

— Jeśli tylko będzie to w mojej mocy...

— Ostatnio widziałem straszne rzeczy: nagie zwłoki na drogach, trupy wrzucane do gnojowisk, ciała wyciągane z trumien przez zdesperowanych zagłodzonych ludzi. Nie chcę, aby coś takiego przydarzyło się mojej córce.

— Oczywiście. Ale, w jaki sposób...

— Chodzi mi o klasztorny cmentarz. Wiem, że tylko klerycy i zasłużeni mężowie spoczywają w tym miejscu, ale proszę o ten szczególny przywilej. Przecież tyle dla was zrobiłem...

— I ja dla was, Gorgiasie, ale to, o co mnie prosicie, jest niemożliwe. Na krużganku nie zmieści się już ani jedna dusza, a groby w kaplicach należą do kościoła.

— Myślałem o terenie obok studni. To dziewicze miejsce.

— Tam jest żywa skała.

— Nieważne. Wykuję grób.

— Tym ramieniem?

— Znajdę kogoś do pomocy.

— Nie uważam, aby to był dobry pomysł. Ludzie nie rozumieją, dlaczego dziewczyna oskarżana o spowodowanie śmierci ma spoczywać na krużganku w otoczeniu świętych.

— Przed chwilą sami jej broniliście.

— To prawda — westchnął hrabia. — Nicodemo, jeden z rannych czeladników, chciał się wypowiedzieć. Najwyraźniej wystraszył się w obliczu śmierci i między jednym grzechem a drugim wyznał mi, co się stało. Zdaje się, że wcale nie było to tak, jak mówi Kome.

— Chcecie przez to powiedzieć, że Theresa nie spowodowała pożaru?

— Powiedzmy, że nie jest oczywiste, że to była ona. Ale nawet jeśli oskarżenie Kornego jest fałszywe, trudno będzie to udowodnić. Nicodema chroni tajemnica spowiedzi, a należy przypuszczać, że pozostali potwierdzą wersję Kornego. Nie sądzę, by Nicodemo przeżył, ale nawet jeśli nie umrze, zapewne wyprze się swych słów. Pamiętajcie, że pracuje dla Kornego.

— A Kome dla was.

— Zaczni Gorgiasie, nie docenicie władzy Kornego. Ludzie nie szanują go ze względu na pracę, jaką wykonuje, tylko obawiają się jego rodziny. Wielu wieśniaków doświadczyło już na własnej skórze złości pergamenariusza. Synowie Kornego dobywają miecza z równą łatwością, z jaką młody chłopak wyjmuje z portek swego fallusa.

— Ale wy wiecie, że moja córka nie mogła tego zrobić. Znaliście Theresę. Była łagodną i pełną dobroci dziewczyną. — Łzy same napłynęły do oczu Gorgiasa.

— I upartą jak osioł. Posłuchajcie, bardzo was cenię, ale nie mogę spełnić waszej prośby. Naprawdę bardzo mi przykro.

Gorgias zamyślił się. Rozumiał stanowisko Wilfreda, ale nie zamierzał pozwolić, by ciało jego córki zostało sprofanowane w jakimś gnojowisku.

— Widzę, wasza wielmożność, że nie zostawiacie mi innego wyjścia. Skoro nie mogę pochować córki w Wurzburgu, będę musiał przewieźć jej zwłoki do Aquis-Granum.

. — Do Aquis-Granum? Chyba żartujecie. Drogi nadal są odcięte, podobnie jak stacje zmiany koni. Nawet gdybyście mieli wóz z dobrymi wołami, bandyci rozerwą was na strzępy.

— Mówię wam, że tak uczynię, choćby miało mnie to kosztować życie.

Gorgias wytrzymał spojrzenie Wilfreda. Wiedział, że hrabia potrzebuje jego usług i nie dopuści, by coś mu się stało. Wilfred zwlekał z odpowiedzią.

— Zapominacie, że została jeszcze sprawa pergaminu.

— A wy zapominacie, że została jeszcze sprawa pogrzebu.

— Nie kuście losu. Dotąd chroniłem was niczym syna, ale to nie upoważnia was, byście zachowywali się niczym nierozważny chłopak — powiedział, głaszcząc psy po łbach. — Pamiętajcie, że to ja was przyjąłem, gdy przybyliście do Wurzburga, żebrząc o kawałek chleba. Że to ja ułatwiłem wam wpisanie się do rejestru wolnych ludzi, choć nie mieliście odpowiednich dokumentów, i to ja zaproponowałem wam pracę, którą aż po dziś dzień wykonujecie.

— Byłbym niewdzięcznikiem, gdybym o tym zapomniał. Ale minęło już sześć lat i sędzę, że swą pracą szczerze odplaciłem za waszą pomoc.

Wilfred spojrział na Gorgiasa twardym wzrokiem, ale zaraz przyjął łagodniejszą minę.

— Przykro mi, ale nie mogę nic dla was zrobić. Korne na pewno zdążył już pójść do sędziego i doniósł, co się wydarzyło. Wykazałbym ogromny brak rozwagi, przyjmując zwłoki osoby, która może zostać uznana za winną zabójstwa. I jest coś jeszcze. Radzę wam, abyście raczej zaczęli martwić się o własny los. Korne na pewno wam nie odpuści.

— Ale dlaczego? Przecież gdy wybuchł pożar, byłem z wami w skrytorium...

— Hm... Widzę, że nie znacie jeszcze złożonych praw karolińskich. Powinniście czym prędzej je zgłębić, jeśli życie wam miłe.

Wilfred trzasnął z bicza i psy ruszyły naprzód, jakby doskonale wiedziały, dokąd mają zmierzać. Weszły w boczny korytarz, ciągnąc fotel na kółkach do okazale udekorowanych komnat. Na znak hrabiego Gorgias poszedł za nimi.

— Tu goszczeni są optymaci — wyjaśnił Wilfred. — Książęta, szlachta, biskupi, królowie. A w tej małej salce przechowujemy kapituły, które nasz król Karol wydaje od dnia koronacji. Obok nich znajdują się kodeksy prawa salickiego i ripuarskiego, listy papieskie w sprawach wiary i akta pól majowych*. W sumie zasady rządzące Frankami, Sasami, Burgundami i Lombardami. Niech spojrzę...

* Karol Wielki przekształcił pola marcowe (zgromadzenia ludowe zbierające się raz w roku) na pola majowe ze względu na lepszą możliwość zapewnienia paszy koniom.

Wilfred skierował fotel w stronę niskiego regału i przejrzał jeden po drugim uporządkowane woluminy w drewnianych oprawach. Zatrzymał się przed wyświechtanym tomem, który wyjął z trudem, i przejrzał go, śliniąc palec czubkiem języka.

— Aha. Tu jest to zapisane: Capitular de Vilbis. Poitiers, anno domine 768. Karolus rex francorum. Pozwólcie, że wam przeczytam. „Jeśli jakiś wolny człowiek spowoduje stratę materialną albo fizyczną czy inną podobnego rodzaju i z powodu jakiejś okoliczności okaże się niezdolny do odpowiedzialności za swój czyn, na rodzinę krzywdziciela spadnie kara, która sprawiedliwie należy się temu pierwszemu”.

Wilfred zamknął księgę i odstawił ją na półkę.

— Moje życie jest zagrożone? — spytał Gorgias.

— Nie wiem, co wam odpowiedzieć. Znam pergamenariusza od dłuższego czasu. To egoista. Jest niebezpieczny, a pewnością sprytny jak mało kto. Na nic mu się nie zdacie, gdy będziecie martwi, więc przypuszczam, że będzie się starał przejąć wasze dobra. Druga sprawa to jego rodzina. Pochodzą z Saksonii i ich zwyczaje nie są takie same jak Franków.

— Jeśli szuka bogactw... — zaśmiał się gorzko Gorgias.

— W tym największy problem. Sąd może zakończyć się tak, że wasze kości wylądują na targu niewolników.

— To mnie teraz nie martwi. Kiedy pochowam córkę, znajdę jakiś sposób.

— Na Boga, Gorgiasie, zastanówcie się. Albo przynajmniej pomyślcie o Rutgardzie. Wasza żona nie jest niczemu winna. Powinniście skupić się na przygotowaniu obrony. I niech wam nawet nie przychodzi do głowy ucieczka. Ludzie Kornego będą was ścigać niczym psa.

Gorgias spuścił wzrok. Skoro Wilfred nie zgadzał się na pochówek, pozostawało mu tylko zawieźć ciało do Aquis-Granum, ale to będzie niemożliwe, jeśli — tak jak mówił hrabia — krewni Kornego staną mu na drodze.

— Theresa zostanie pochowana tej nocy na krużganku. I wy sami zajmiecie się tym sądem. Koniec końców waszej wielmożności potrzebna jest moja wolność dużo bardziej niż mnie.

Hrabia pociągnął za cugle, a psy groźnie zawarczały.

— Posłuchaj, Gorgiasie. Odkąd zaczęliście kopiować ten pergamin, zapewniałem wam strawę, za którą wielu by się zabiło, ale teraz przeciągacie strunę ponad wszelką miarę. Do tego stopnia, że powinienem przemyśleć, na ile nasze ustalenia są zobowiązujące. Wasze umiejętności sami w pewnym stopniu niezbędne, ale założmy, że jakiś wypadek, choroba albo nawet ten sąd uniemożliwią doprowadzenie do końca naszej umowy. Sądzicie, że to mnie powstrzyma? Że nie zrealizuję mojego planu? Że wasza nieobecność udaremni moje starania?

Gorgias wiedział, że stąpa po śliskim terenie, ale jedyna szansa polegała na przyciśnięciu Wilfreda. Jeśli to mu się nie uda, jego głowa spocznie obok Theresy w gnojowisku.

— Nie wątpię, że zdołacie kogoś znaleźć. Oczywiście moglibyście tak uczynić. Będziecie jedynie musieli znaleźć kopistę, którego rodzimym językiem jest greka, który jest obeznany ze starożytnymi obyczajami dworu bizantyjskiego, który opanował dyplomację w równym stopniu jak kaligrafię, umie odróżnić welin ze skóry płodu od pergaminu jagnięcego i który, co oczywiste, potrafi trzymać język za zębami. Powiedzcie, wasza wielmożność, ilu takich ludzi znacie? Dwu skrybów? Może trzech? Ilu z nich zechce podjąć się tak trudnej pracy?

Wilfred warknął na podobieństwo swych psów. Jego przekrzywiona głowa rozpalona złością wyglądała tak groteskowo jak nigdy.

— Mogę znaleźć takiego człowieka — zaryzykował, obracając fotel.

— A co on skopiuje? Kawalek nadpalonego papieru? Wilfred znieruchomiał.

— O czym mówicie?

— To, co słyszeliście, eminencjo. Że jedyna istniejąca kopia poszła z dymem, zatem jeśli nie znacie kogoś, kto potrafi czytać z popiołów, musicie przyjąć moje warunki.

— Ale o czym wy mówicie? Chcecie, abyśmy wszyscy wylądowali w piekle?

— Nie to jest moim zamiarem, albowiem na szczęście pamiętam słowo po słowie treść dokumentu.

— A jak, u licha, sądzicie, że mogę wam pomóc? Reprezentuję prawo w Wurzburgu. Jestem winien posłuszeństwo Karolowi Wielkiemu.

— Sami mi powiedzcie. Czy potężny Wilfred, hrabia i strażnik największej tajemnicy chrześcijaństwa, nie jest w stanie rozwiązać kwestii zwykłego pogrzebu?

* * *

Gdy tylko wiadomość dotarła do Reinolda i Lotarii, oboje natychmiast stawili się u Świętego Damiana, by pomóc przy pogrzebie Theresy. Koniec końców Lotaria była starszą siostrą Rutgardy, a gdy wyszła za Reinolda, więzy między obiema rodzinami się zacieśniły. Po uzgodnieniu szczegółów Gorgias i Reinoldo zabrali się do przenoszenia zwłok. Rutgarda i Lotaria postanowiły wyruszyć same, by przyspieszyć prace, ale ich mężowie wkrótce je dogonili.

Kiedy wrócili do domu, Gorgias ułożył ciało Theresy na sienniku, na którym zawsze spała. Spojrzał na zmarłą z czułością i zapłakał. Nie potrafił pogodzić

się z tym, że już nigdy nie rozweseli go jej uśmiech, nigdy nie dane mu będzie podziwiać tych pełnych życia oczu i zaróżowionych policzków. Nie mógł pogodzić się z tym, że po tych słodkich rysach pozostało jedynie zniekształcone oblicze.

Czekała ich długa noc, a mróz już dawał się we znaki, zatem Rutgarda zaproponowała, by zjedli coś ciepłego, nim zajmą się innymi sprawami. Gorgias zaczął więc rozpalać palenisko. Kiedy zapłonął ogień, Rutgarda podgrzała przygotowaną poprzedniego dnia zupę z rzepy. Dołała do garnka nieco wody i dodała kawałek tłuszczu, który przyniosła Lotaria. Jej siostra zaś zaczęła krzątać się w kącie, który uznała za odpowiedni, by odziać zwłoki w gieźło. Lotaria, choć obfita w kształtach, poruszała się ze zręcznością wiewiórki i w mgnieniu oka usunęła z kąta wszystkie sprzęty i narzędzia.

— Czy wasze dzieci wiedzą, że nie wrócicie na noc do domu?

— Lotaria ich zawiadomiła — odparł Reinoldo. — Nie powinienem tego mówić, ale ta kobieta to prawdziwy skarb. Tylko pomyślcie: ledwie dowiedziała się o tym, co się wydarzyło, a już pobiegła do domu akuszerki po buteleczkę z esencją. Czasem sędzę, że ona ma więcej rozumu niż niejeden mężczyzna.

— To zapewne rodzinne. Rutgarda też jest bardzo roztropna — przyznał Gorgias.

Rutgarda uśmiechnęła się. Gorgias rzadko mówił jej miłe rzeczy, ale był stateczny jak mało kto, i to napawało ją dumą.

— Dajcie spokój tym pochlebstwom i idźcie naciać trochę drew. Ja teraz przygotuję całun. Powiem wam, kiedy skończę — skarciła ich Lotaria.

Rutgarda naląła zupy do miski i podała ją mężowi.

— A nie mówiłem, że mają więcej rozumu niż niektórzy mężczyźni — upierał się Reinoldo.

Obaj pochłonęli z apetytem zupę. Przed wyjściem Gorgias przyjrzał się jedynej skrzyni, która stała w pomieszczeniu. Obejrzał ją dokładnie i po chwili wahania otworzył i zaczął wyjmować z niej rzeczy.

— Czego tam szukasz?

— Chyba zrobię z niej trumnę. Mam trochę grubych desek, które mogę wykorzystać.

— Ale to nasza jedyna skrzynia. Nie możemy wyrzucić ubrań na podłogę — zaprotestowała Rutgarda.

— Położymy je na łóżku Theresy i nie martw się o skrzynię, kupię ci drugą, lepszą od tej — powiedział Gorgias, wyciągając ze środka ostatnią kapotę. —

Kiedy skończycie z całunem, owińcie nasze rzeczy kocem. Potem zbierzcie wszystko, co ma jakąś wartość: jedzenie, garnki, ubrania, narzędzia... Ja zajmę się książkami.

— Na Boga! Ale dlaczego?

— Nie zadawajcie pytań, tylko róbcie, jak mówię.

Gorgias zapalił pochodnię i poprosił Reinolda o pomoc. Ten zapalił drugą pochodnię i wspólnymi siłami wyciągnęli skrzynię na zewnątrz. Lotaria zostawiła sprawy domu w rękach Rutgardy, a sama zajęła się rozebraniem spalonego ciała Theresy. Oczywiście nie po raz pierwszy oblekała zwłoki w całun, ale nigdy jeszcze nie miała do czynienia z nieboszczykiem, z którego skóra odpadałaby kawałkami jak kora z eukaliptusa. Kobieta zdjęła ostrożnie resztki sukni i obmyła szerniałe ciało ciepłą wodą. Potem je uperfumowała, skrapiając esencją kardamonu, i owinęła od stóp po ramiona lnianym prześcieradłem. Następnie wybrała używaną suknię, rozcięła ją nożem i okryła zwłoki. Kiedy skończyła, Rutgarda zdążyła już zebrać niemal wszystko, co posiadali.

— Choć nie była moją córką, zawsze kochałam ją jak matka — powiedziała Rutgarda ze łzami w oczach.

Lotaria wolała nic nie odpowiadać. Już i tak fakt, że Rutgarda nie mogła począć dziecka, był dużym nieszczęściem, a teraz jeszcze dochodziła do tego strata pasierbicy.

— Wszyscy ją kochaliśmy — powiedziała tylko. — To była dobra dziewczyna. Taka inna, ale dobra. No cóż. Pójdę po naszych mężów.

Lotaria otarła ręce i zawołała Gorgiasa i Reinolda. Wrócili ze skrzynią przerobioną w coś na kształt trumny.

— Nie jest ładna, ale wystarczy — stwierdził Gorgias. Zaciągnął skrzynię do miejsca, w którym spoczywało ciało Theresy. Spojrzał ze smutkiem na swoją córkę i zwrócił się do Rutgardy. — Rozmawiałem z Wilfredem. Ostrzegł mnie, że Kome nas oskarży.

— Nas? Ale co chce osiągnąć ten drań? Aby nas wypędzono? Abyśmy przyznali, że Theresa nigdy nie powinna przekroczyć progu warsztatu? Na miłość boską! Czy nie spotkała nas już wystarczająca kara?

— Najwyraźniej jego zdaniem: nie. Przypuszczam, że będzie chciał powetować sobie straty spowodowane pożarem.

— Przecież nam ledwie starcza jedzenia!

— To samo powiedziałem Wilfredowi. Ale zgodnie z prawem frankońskim mogą odebrać nam wszystko, co posiadamy.

— A co takiego posiadamy, skoro wszystko, co mamy, leży w tych oto tobołkach?

— Mogliby zabrać wam dom — wtrąciła Lotaria.

— Dom jest wynajęty — odparł Gorgias. — I to jest właśnie najgorsze.

— Dlaczego? — spytała Rutgarda z niepokojem. Gorgias spojrział w oczy swej żony i wziął głęboki oddech.

— Ponieważ mogą nas sprzedać na targu niewolników. Rutgarda otworzyła szeroko oczy i usta. Potem schowała głowę między kolanami i wybuchła płaczem, a Lotaria kręciła głową, ganiąc Gorgiasa za te słowa.

— Powiedziałem, że mogą tak zrobić, a nie, że im się uda — wyjaśnił. — Wcześniej musieliby udowodnić winę Theresy. A na dodatek Wilfred obiecał nam pomoc.

— Pomoże nam? — powiedziała z powątpiewaniem w głosie zapłakana Rutgarda. — Ten kaleka?

— Zapewniam cię, że tak uczyni. Ale wcześniej chcę, abyś przeniosła cały nasz dobytek do domu Reinolda. Przynajmniej nikt nie będzie na własną rękę dociekał sprawiedliwości. Zostaw tu jakiś gliniany garnek, najgorszy, jaki mamy, i dwa zniszczone koce. Nie zapomnij o siennikach. Wyrzuć słomę z pokrowców i przynieś w nich rzeczy. Dzięki temu nikt nie nabierze podejrzeń. Potem ty i Lotaria zamkniecie się w domu z dziećmi, a Reinoldo i ja zajmujemy się pogrzebem. O świcie dołączymy do was.

* * *

Kiedy Gorgias został sam, usiadł na skrzyni, czekając, aż zapadnie zmierzch. Ustalił z Reinoldem, że wejdą na krużganek przez Bramę Słońca, i teraz jedyne, co mu pozostało, to czuwać przy zmarłej i czekać, aż na niebie pojawią się pierwsze gwiazdy. Po chwili przed oczami stanęła mu Theresa. Przypomniawszy sobie Konstantynopol, perłę Bosforu, gdzie przyszła na świat. Czasy powodzenia i obfitości, przyjemności i szczęścia. Jak odległe teraz się wydawały i jak bolesne było ich wspomnienie. Nikt w Wurzburgu nie domyślał się, że Gorgias, człowiek, który pracował jako skromny skryba, lata temu nosił tytuł patrycjusza miasta nad miastami, dalekiego Konstantynopola.

Przypomniawszy sobie narodziny Theresy, tej brzoskwiniowej kuleczki, kłęбка pełnego życia, który dygotał w jego ramionach. Przez wiele tygodni lało się wino i miód. Kazał rozgłosić tę radosną nowinę w całym Bizancjum, polecił wznieść ołtarz na tyłach willi i przykazał sługom, by ofiarami upamiętnili tę szczęśliwą datę. Nawet jego mianowanie na optymata prowincji Bitynii nie sprawiło mu większej satysfakcji. Jego żona Otiana żałowała, że nie wydała na

świat syna, ale on się nie spieszył. Ta dziewczynka miała jego krew, krew Theolopoulosów, najbardziej znamienitego rodu kupców w całym Bizancjum, od Dunaju do Dalmacji, od Kartaginy do Egzarchatu Rawenny, rodu szanowanego i potężnego dużo bardziej niż umocnienia obronne Teodozjusza. Sądził, że przyjdą kolejne dzieci, których psoty wypełnią życiem komnaty willi. Byli młodzi i mieli całe życie przed sobą. A przynajmniej tak mu się wydawało...

Druga ciąża zakończyła się wielkim nieszczęściem. Medycy przypisywali śmierć Otiany wilgoci i delikatności płodu... Przeklećci głupcy! Gdyby chociaż potrafili oszczędzić jej tego cierpienia.

Przez wiele miesięcy rozpacz była jego jedyną towarzyszką. W każdym kącie widział żonę, czuł jej zapach i słyszał śmiech. Wreszcie za namową braci postanowił porzucić zżerającą go melancholię i przeniósł się do starej części Konstantynopola. Kupił tam otoczoną ogrodami willę, niedaleko forum Trajana, gdzie zamieszkał ze sługami i nianią.

Minęło wiele lat. Theresa dorastała otoczona książkami i pismami, jedyną namiętnością swego ojca, lekarstwem, którego lekarze nie mogli mu przepisać. Tytuł patrycjusza oraz przyjaźń z cubiculariusem basileusa otworzyły mu drzwi Biblioteki Świętej Zofii, dzięki czemu miał dostęp do największych zbiorów mądrości chrześcijaństwa. Każdego ranka zjawiał się w auli katedralnej w towarzystwie córki, a gdy dziewczynka zabawiała się, goniąc za bażantami, Gorgias po raz kolejny czytał Wergiliusza, przepisywał fragmenty Pliniusza albo recytował strofy Lucjana. Kiedy Theresa skończyła sześć lat, zaczęła wykazywać zainteresowanie zajęciami ojca. Siadała u jego stóp i tak długo prosiła, aż pozwalał jej przejrzeć któryś z kodeksów. Na początku, aby ją czymś zająć, dawał jej najbardziej zniszczone dokumenty, ale wkrótce przekonał się, że gdy pisał, dziewczynka naśladowała jego ruchy z niezwykłą zręcznością.

Z czasem to, co zdawało się zwykłą rozrywką, stało się jej prawdziwą pasją. Theresa niemal nie bawiła się z innymi dziewczynkami, a jeśli już, to zabawiała się, zaczepiając piórami, które wykradała z kurników, o ich ubrania. Przypomniał sobie, że gdy powiedział o tym Reodrakisowi, opiekunowi biblioteki, ten przekonał go, że należy wprowadzić dziewczynkę w tajniki pisma, i zaproponował, że sam zostanie jej nauczycielem. I tak Theresa nauczyła się czytać, a wkrótce potem kreśliła pierwsze litery na woskowych tabliczkach.

Wspominał ze smutkiem, jak jej pasja czytania została gwałtownie przerwana w wieku szesnastu lat, gdy cesarz Leon IV zginął z rąk swej małżonki, cesarzowej Ireny. Śmierć basileusa rozpętała długi ciąg kłótni i aktów zemsty zakończonych zatrzymaniem i osądzeniem wszystkich, którzy odważyli się sprzeciwić nowej basilissie. Lecz nie tylko jej krytycy skończyli na cmentarzach. Ci, którzy za życia basileusa nawiązali z nim polityczne i handlowe relacje, w równym stopniu doświadczyli wściekłości cesarzowej.

Pewnej zimowej nocy cubicularius stawiał się w domu Gorgiasa z parą koni. Gdyby nie jego ostrzeżenie, następnego dnia zostaliby poddani egzekucji. Uciekli do Salonik, potem długo wędrowali do Rzymu i wreszcie przenieśli się na zimne germańskie ziemie.

Ale dlaczego o tym rozmyślał w takiej chwili? Po co wspominać dzieje, które tylko zwiększają ból?

Przeklęty los, okrutna nawałnica. Meandry kaprysów, które wyrywają z duszy moje własne ciało, zostawiając mnie pustym. Haniebna włosiennica, droga pokuty. Zabierz mnie ze sobą, a dam ci całą moją nienawiść. Przyjdź i obejmij mnie.

Gorgias zamknął oczy i zaczął płakać.

* * *

Mimo trudnego terenu Gorgias i Reinoldo wykopali grób już po północy. O tej godzinie klerycy odpoczywali w swoich komnatach i Wilfred mógł w największej tajemnicy odprawić pogrzeb. Następnie kazał Gorgiasowi zakopać trumnę, nie oznaczając miejsca krzyżem ani żadnym innym znakiem, który mógłby zdradzić miejsce pochówku.

— Jeśli chodzi o manuskrypt... — przypomniał mu hrabia.

Gorgias przytaknął z zaczerwienionymi oczami. Wtedy Wilfred pochylił głowę i zostawił Gorgiasa sam na sam z jego goryczą.

ROZDZIAŁ 5

Tej nocy północne wiatry przyniosły mróz, który wciskał się do najdalszych zakamarków Wurzburga. Wszyscy pospiesznie zakrywali szpary i rozniecali ogień w paleniskach, kobiety tuliły swoje dzieci pośród sienników i wszyscy modlili się, by nagromadzonego drwa starczyło do następnego ranka.

Ci, którzy spali, grzejąc się przy ogniu, znosili mróz z rezygnacją, ale Theresa nie mogła zasnąć. Zaczerwienione od płaczu powieki były ciężkie jak buklaki, a jej rozgorączkowane oczy wodziły niewidzącym wzrokiem po szalasię, w którym się ukryła. Jej skórę wciąż pokrywała warstwa popiołu, a zapach ubrań co chwila przypominał jej o piekle, jakie przeżyła. Dziewczyna wybuchła płaczem, prosząc Boga o wybaczenie grzechów.

Przed oczami znów stały jej te straszne sceny: szydercze uśmiechy chłopców z warsztatu, zepsuta skóra unosząca się na wodzie w zbiorniku, egzamin, o który tak walczyła, sprzeczka z Kornem i wreszcie przerażający pożar. Na samą myśl o tym włosy stawały jej dęba, ale dziękowała Bogu, że pozwolił jej ująć z życiem z płomieni.

Panie, gdybyś tylko mógł nie dopuścić do śmierci Clotildy!

Pewnego razu nakryła Clotildę, gdy ta kręciła się po magazynach przy warsztacie i przeszukiwała śmieci. Theresa słyszała, że jej rodzice zmarli na początku zimy. Odtąd dziewczyna krążyła sama w okolicy katedry i nikt się nad nią nie zlitował. Clotilda musiała być mniej więcej w jej wieku, a może nawet trochę młodsza. Po jakimś czasie dziewczyna znikła i Theresa nie widziała jej aż do czasu pożaru.

Przypomniała sobie moment, gdy postanowiła wrócić do warsztatu, upewniwszy się wcześniej, że żona Kornego jest bezpieczna po drugiej stronie muru. Kiedy weszła do środka, płomienie pełzały po suficie, zamieniając całe miejsce w ogromny jezioro ognia. Szukała swych książek, gdy ją zobaczyła. Skulona w kącie Clotilda młóciła rękami powietrze, starając się odgonić iskry, które leciały z sufitu. U jej stóp leżały porzrzucone nadpsute jabłka. Najwyraźniej dziewczyna wykorzystwała zamieszanie, by wślizgnąć się do warsztatu i zdobyć coś do jedzenia.

Theresa próbowała ją stamtąd wyciągnąć, ale Clotilda opierała się, krzywiąc się z bólu. Wtedy Theresa zauważyła, że płomienie już dosięgły jej zaczerwienionej nogi. Rozejrzała się i pod jednym ze stołów zauważyła swoją wciąż mokrą błękitną suknię, w którą wcześniej zawinęła kodeksy. Złapała ją i podała ją dziewczynie. Clotilda zdarła z siebie łachmany i włożyła suknię

Theresy. Mokre ubranie przyniosło jej ulgę. W tym momencie sufit zatrzeszczał i zaczęły odpadać z niego belki. Theresa pamiętała, że próbowała odciągnąć Clotildę, ale dziewczyna przestraszyła się i pobiegła w drugą stronę. Wtedy wszystko się zawaliło i Clotilda została pogrzebana pod rumowiskiem.

Theresa uciekła w dół, gnała, potykając się, jakby czuła na szyi oddech diabła. Pobiegła ścieżką prowadzącą wzdłuż murów, a gdy znalazła się po drugiej stronie muru, weszła w zarośla, które doprowadziły ją do zagajnika kasztanowego, gdzie zwykle pasły się świny. Tam skryła się w szalasię świniopasów. Zatrzasnęła za sobą drzwi, jakby chciała zagrozić drogę wszystkim nieszczęściom, i padła na ziemię, opierając się plecami o ścianę z gliny i słomy.

Spalone książki, zrujnowany i strawiony ogniem warsztat, śmierć tej biednej dziewczyny! Już nigdy nie odważy się spojrzeć ojcu prosto w oczy. Sprowadziła na niego hańbę w sposób najgorszy z możliwych i choć przyznanie się do tego było dla niej bardzo bolesne, najbardziej żałowała, że go rozczarowała. Płakała niepokieszona, aż łzy zaczęły palić jej policzki. Co chwila chrypiącym głosem prosiła Boga o przebaczenie, błagając go, by odwrócił bieg wypadków. To wszystko jej wina! Wszystko przez jej głupi upór, by stać się kimś, kim nie była.

Mieli rację ci, którzy mówili, że miejsce kobiety jest w domu, przy mężu, gdzie powinna wydawać na świat dzieci i opiekować się rodziną. A teraz Bóg karał ją za jej zachłanność.

* * *

Obudziła się, dygocząc z zimna. Była odrętwiała, a jej skronie pulsowały, jakby ktoś walił młotkiem w jej głowie. Gdy się podniosła, poczuła taką słabość w nogach, jakby szła całą noc. Mróz ścisnął jej piersi, a w gardle czuła ból, jakby połknęła szpilki. Kiedy zebrała siły, otworzyła drzwiczki prowadzące na zewnątrz. Już świtało. Wokół było pusto, ale i tak rozejrzała się baczny wzrokiem.

Stado szpaków uniosło się do lotu, głośno łopocząc skrzydłami. Theresa podziwiała zieleń jodeł i czyste niebo. Kasztanowy zagajnik zdawał jej się niczym świeżo uporządkowany ogród i przez chwilę dała się ponieść urokowi zapachu wilgotnej ziemi i miękkemu szeptowi wiatru.

Kiedy zaburczało jej w brzuchu, przypomniała sobie, że poprzedniego dnia nic nie miała w ustach. Rozwiązała skórzaną sakwę, którą ojciec zostawił w warsztacie pergamenariusza, i rozłożyła na podłodze jej zawartość. W środku znalazła woskową tabliczkę i stylus z brązu, którego ojciec używał jako rylca.

A także owinięte w ściereczkę dojrzałe jabłko. Wzięła je i ugryzła z rozkoszą. Przezuwając, uporządkowała pozostałe przedmioty: małeńkie twarde krzesiwo do rozniecania ognia, krucyfiks wyrzeźbiony w kości, buteleczkę z esencją do perfumowania pergaminów i szpulkę nici konopnych, którymi Gorgias zszywał okładki. Zebrała wszystko i schowała z powrotem do sakwy.

Rozważała przez chwilę sytuację, po czym podjęła decyzję: ucieknie daleko od Wurzburga, gdzieś, gdzie nikt jej nie znajdzie. Może na południe do Akwitanii albo na zachód do Neustrii, gdzie jak słyszała, istnieją opactwa kierowane przez kobiety. A nawet, gdyby nadarzyła się okazja, uda się aż do Bizancjum. Ojciec zawsze jej obiecywał, że kiedyś pozna swych dziadków Theolopoulosów. Ledwie ich pamiętała, ale gdyby udało jej się dostać do Konstantynopola, na pewno ich znajdzie. Będzie tam pracować, aż stanie się pożyteczną kobietą. Zacznie studiować gramatykę i poezję, czego zawsze chciał Gorgias, a może wówczas któregoś dnia odważy się wrócić do Wurzburga, stanąć twarzą w twarz z ojcem i prosić o wybaczenie grzechów.

Przestraszona wzięła sakwę Gorgiasa. Potem odwróciła się w stronę murów i po raz ostatni spojrzała na miasto. Teraz, rozpoczynając dwudziesty trzeci rok życia, powinna zbudować nowe życie. Poprosiła Boga o siły i zdecydowanym krokiem ruszyła ścieżką, która majaczyła wśród zarośli.

Przed południem, wyczerpana, rzuciła torbę na ziemię. Pokonała ponad dziesięć kilometrów, idąc ścieżką łączącą Wurzburg ze szlakami północnymi, ale wraz z pierwszymi odnogami łańcucha górskiego ścieżka ginęła w zaspach śniegu. Jak daleko sięgała wzrokiem, wszędzie widziała bielusienki śnieg, który przysypał wszystko, począwszy od najmniejszych kamyków, po najdalsze pagórki, ukrywając wszelkie znaki mogące służyć jej za drogowskaz. Każde drzewo wyglądało jak wierna kopia poprzedniego, a każda skałka była odbiciem następnej.

Postanowiła chwilę odpocząć. Usiadła na zwalonym pniu i z niepokojem przyjrzała się niebu, ponieważ pogoda zdawała się zmienna i groziło, że wkrótce zerwie się burza. Sądziła, że po drodze znajdzie orzechy i jagody, ale krzaki przemarzły, więc musiała zadowolić się ogryzkiem jabłka, który rozważnie zachowała. Otworzyła sakwę i wyjęła ogryzek. Nagle horyzont rozświetlił piorun. Potem wiatr poruszył koronami drzew i niebo pociemniało, aż nabrało koloru popiołu. Wkrótce zaczęło padać. Theresa schowała się wśród skał, ale ulewa i tam ją dosięgła.

Kiedy tak siedziała skulona, zrozumiała, jak iluzoryczne są jej plany. Bez względu na to, jak bardzo by się starała, nigdy nie dotrze do Akwitanii ani

Neustrii, a tym bardziej do odległego Bizancjum. Nie miała żywności ani pieniędzy, ani krewnych, do których mogłaby się udać. Nie potrafiła posługiwać się gracą ani pługiem, nigdy nie zbierała winogron, a nawet nie umiała ugotować cienkiej zupy. Znała się jedynie na bezużytecznych pergaminach, a to nie wystarczy, by zarobić na utrzymanie. Ależ była naiwna! Dlaczego nie posłuchała macochy! Zająć się kuchnią albo jakąś inną pracą odpowiednią dla kobiety. Prządka, szwaczka, praczka... jakiegokolwiek zajęcie tego typu pozwoliłoby jej uzyskać posadę w Aquis-Granum, a nawet zarobić tyle, by opłacić przejazd w karawanie do Neustrii.

Mimo to spróbuje. Zatrudni się jako pomoc albo postara, by przyjęto ją na stanowisko terminatora u jakiegoś garbarza. Cokolwiek, byle nie skończyć w burdelu, pokryta wrzodami i schorowana.

Deszcz się nasilał, więc Theresa uznała, że lepiej zrobi, przenosząc się w jakieś bezpieczniejsze miejsce. Ponadto w Wurzburgu zapewne już rozpoczęto jej poszukiwania i jeśli zostanie w pobliżu drogi, wkrótce ją znajdą. Przypomniała sobie wtedy stary piec do wypalania wapna w budynku znajdującym się w małym kamieniołomie oddalonym o jakieś pół godziny drogi. Znała to miejsce, ponieważ wielokrotnie tam chodziła po wapno, którego używali do wyprawiania skór. Budynek należał do wdowy Larsson, kobieciny o twardym charakterze, która przy pomocy synów ciągnęła zyski z kamieniołomu. Zimą, gdy budowniczowie przerywali pracę, rodzina zamykała piec i przenosiła się do Wurzburga, tak więc Theresa mogła znaleźć schronienie w jednej z tamtejszych szop i przeczekać burzę.

Tuż przed południem doszła na skraj kamieniołomu. Marzyła o dachu nad głową, ale nie spieszyła się, tylko nastawiła uszy i ruszyła ostrożnie naprzód.

Kamieniołom otwierał się na zboczu góry niczym ogromna szczyrbata paszcza, której wybite zęby leżały porozrzucane u podnóża. U jego stóp wznosił się piec do wypalania wapna. Był to rodzaj niskiej, stożkowatej baszty, nieco większej od pieców chlebowych. W najwyższej części widniał okrągły otwór, który służył za komin, a po bokach było kilka innych otworów zapewniających wentylację. Domostwo wznosiło się nad brzegiem rzeki z dala od oparów, które wydzielało palone wapno. Za domem stały szopy wykorzystywane jako magazyny.

Theresa odczekała chwilę, by upewnić się, że w okolicy nie kręci się ani wdowa Larsson, ani żaden z jej synów. Miała nadzieję, że nikogo nie spotka, ale gdy podeszła do domu, spostrzegła, że drzwi są uchylone. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie podjęła złej decyzji. Zastukała, ale nikt nie

odpowiedział. Wiedziała, że popełnia szaleństwo, lecz mimo to postanowiła wejść do środka. Złapała leżący na ziemi drąg i pchnęła drzwi ramieniem. Wyglądało na to, że są czymś zatarasowane. Za trzecim razem ustąpiły, ukazując jej oczom puste pomieszczenie. Theresa weszła do środka i zatrzasnęła za sobą drzwi. Zamknęła oczy, ciesząc się przez chwilę spokojem. Gorzki zapach wapna palił jej gardło, ale nawet i to przyjęła z wdzięcznością. Wsłuchiwała się w deszcz bębniący o dach i wiatr smagający belki, lecz świadomość, że wreszcie znalazła schronienie, uspokoiła ją.

Podobnie jak pozostałe domy w tej okolicy tak i ten pozbawiony był okien. Światło wpadało jedynie przez otwór w dachu, którego głównym zadaniem było usuwanie dymu. Kiedy jej źrenice przywykły do mroku, zobaczyła, że w pomieszczeniu panuje niesamowity rozgardiasz, taborety były poprzewracane, a garnki rozrzucone po podłodze. Podejrzewała, że jakieś zwierzę musiało spowodować ten bałagan, i nie przywiązywała do tego zbytnej wagi. Nie znalazła żadnego jedzenia ani ubrań, więc postanowiła uprzątnąć porozrzucone przedmioty. W jednym kącie ułożyła kawałki pni i drew, które wdowa Larsson wykorzystywała do wyrobu chodaków.

Na wzór innych rodzin Larssonowie odkryli, że snycerka stanowi dodatkowe zajęcie, którym można wypełnić martwy sezon. Układając drewna, Theresa zwróciła uwagę na niezwykle narzędzie leżące na jednej z ław do pracy. Był to rodzaj tasaka, którego jeden koniec przymocowany był za pomocą pierścienia do samej ławy. Dzięki temu tasak poruszał się z jednej strony niczym nożyce. Theresie to narzędzie kojarzyło się z gilotyną.

Kiedyś miała okazję przyglądać się, jak wdowa Larsson posługuje się z wprawą tym wynalazkiem. Kobieta podnosiła trzonek, ustawiając go nad jakąś powierzchnią, umieszczała pod ostrzem klocek drewna i precyzyjnymi ruchami unosząc trzonek w górę i w dół, ociosywała klocek, aż do uzyskania kształtu chodaka.

Wiedziona ciekawością Theresa postanowiła sprawdzić działanie urządzenia. Poszukała odpowiedniej wielkości kawałka drewna i umieściła go pod ostrzem. Potem złapała trzonek tasaka i obiema rękoma uniosła go, zamierzając zabezpieczyć drugi koniec ostrza w podstawie, ale rączka wyslizgnęła się i ostrze opadło gwałtownie na stół. Dziewczyna cieszyła się, że złapała trzonek obiema dłońmi, bo w przeciwnym wypadku już by straciła jedną z nich. Uniosła znów ostrze, tym razem z większą ostrożnością, umieściła je w podstawie i uznała swoją edukację wyrobnika chodaków za zakończoną.

Zajęła się ustawianiem taboretów, wyobrażając sobie, jak to będzie, gdy dotrze do Aquis-Granum. Najpierw uda się na rynek i zamieni krzesiwo i rylec na coś do jedzenia. Na pewno dostanie za nie funt chleba i kilka jajek, a może, jak się trochę potarguje, nawet plaster wędzonego mięsa. Potem poszuka pracy u garbarza w dzielnicy rzemieślników. Nigdy nie była w Aquis-Granum, ale przypuszczała, że taka dzielnica musi istnieć w mieście, które Karol Wielki wybrał na swoją rezydencję.

Nagle Theresie podskoczyło serce.

Nie miała wątpliwości. Głosy, które słyszała, dochodziły z zewnątrz i były coraz głośniejsze.

Przerażona porzuciła swoje zajęcie i podbiegła do drzwi. Czyżby to byli Larssonowie? Przycisnęła twarz do szpary i zobaczyła niewyraźne postaci dwóch mężczyzn zbliżających się do domu. Boże! Wyglądało na to, że są uzbrojeni i za kilka sekund znajdą się w domu. Musiała znaleźć jakąś kryjówkę. Przypomniała sobie stos drewna obok tasaka i czym prędzej się za nim skryła akurat w chwili, gdy jeden z mężczyzn otworzył drzwi. Schowała głowę między nogi i modliła się, by jej nie odkryli. Ale mężczyźni zamiast jej szukać, ruszyli na środek pomieszczenia i zajęli się rozpalaniem ognia w palenisku.

Ukryta za drzwami Theresa nie mogła zrozumieć, co się dzieje. Na co czekają? Dlaczego jej nie szukają? Z kryjówki obserwowała, jak mężczyźni zdejmują z siebie broń i nadziewają dwie wiewiórki, aby je upiec na ogniu. Śmiali się i gestykulowali, jakby byli pijani, poszturchując się i spluwając niedbale. Theresa przyjrzała się bardziej korpulentnemu z nich. Wyglądał jak masa tłuszczu obleczonego w skórę, a jego największym wyczynem było chyba to, że jeszcze się nie przewrócił. Ten szczupły był za to niespokojny, wciąż drapał się po piegowatej gębie i ruszał nosem jak zwierzę węszące zdobycz. Theresa pomyślała, że gdyby szczur chodził na dwu łapach, zapewne wyglądałby tak jak on.

W pewnym momencie grubas warknął coś do piegowatego, a ten zirytowany sięgnął po nóż. Powstrzymał się jednak i obaj zanieśli się donośnym śmiechem. Kiedy się uciszyli, Theresa stwierdziła, że rozmawiają w jakimś niezrozumiałym dialekcie, i wtedy zrozumiała, że tylko cud może ją uratować. Ci mężczyźni nie byli żołnierzami, nie przybywali również z Wurzburga. Wyglądali na Sasów: pogan gotowych zabić każdego nieszczęśnika, który im się napatoczy.

W tym momencie Theresa nieopatrznie oparła się o kawałek drwa, który potoczył się, czyniąc sporo hałasu. Dziewczyna wstrzymała oddech. Grubas zgłupiał i patrzył na pień, ale zamiast sprawdzić, skąd ten hałas, odwrócił się do ognia i zajął pieczystym. Ale piegowaty rozglądał się i nawet przy tym nie mrugnął. Potem wziął płonący kawałek drewna, dobył noża i ruszył w stronę stosu. Theresa zamknęła oczy i skuliła się tak bardzo, że aż zaboląły ją kości. Nagle poczuła, jak jakaś dłoń ciągnie ją za włosy. Piszcząca i kopała, starając się uwolnić od napastnika, ale brutalne uderzenie pięścią odebrało jej oddech. Chwilę później smak krwi sprawił, że zrozumiała, iż ostatnią rzeczą, którą zobaczy, będą twarze tych morderców.

Piegowaty zbliżył pochodnię do twarzy Teresy i obejrzał ją jak ktoś, kto ogląda lisicę szamoczącą się w sidłach zastawionych na króliki. Uśmiechnął się na widok jej gładkiej cery, którą szpecił jedynie ślad po uderzeniu. Potem spuścił wzrok, zatrzymując się przy jej piersiach. Uznał je za jędrne i okazałe, następnie obejrzał jej szerokie, wyraźnie zaznaczone biodra. Wtedy schował nóż, złapał ją za ramię i zaciągnął na środek izby. Tam na oczach przerażonej Teresy piegowaty rozpiął spodnie, ukazując pulsujący owłosiony członek. Dziewczyna stała jak sparaliżowana. Nigdy w życiu nie wyobrażała sobie, że coś tak potwornego może kryć się w czyichś spodniach. Była tak przerażona, że ze strachu puścił jej pęcherz. Myślała, że umrze ze wstydu. Ale obaj mężczyźni uczcili to wydarzenie głośnym śmiechem. Następnie grubas złapał ją za ręce, a ten drugi zaczął zadzierać jej spódnice.

Gdy nagi brzuch Teresy drżał w migoczącym świetle płomieni, piegowaty rozdziawił usta w groteskowym uśmiechu. Podziwiał bladość jej skóry, kontrastującą z trójkątem zdobiącym łono, i poczuł gwałtowną żądzę. Splunął na swój członek, potarł go i skierował w stronę Teresy. Dziewczyna krzyknęła, próbując się wyrwać. Przeklinała obu mężczyzn i jakimś cudem zdołała się oswobodzić, co natychmiast wykorzystała, by skryć się za stosem drew. Tam pospiesznie zaczęła szukać stylusa, który miała w sakwie, z nadzieją, że jeśli go znajdzie, będzie mieć jakąś szansę. Ale ręce jej drżały i nie zdołała go odnaleźć.

Akurat w chwili, gdy piegowaty już miał jej dopaść, jej palce natknęły się na rylce ojca. Theresa złapała go i wyciągnęła przed siebie. Stylus drżał w odległości piędzi od twarzy piegowatego, który natychmiast się zatrzymał. Grubas obserwował zajście ze zdziwioną miną, czekając niczym pies na znak swego pana, ale piegowaty nieoczekiwanie zaczął przeraźliwie się śmiać. Potem złapał naczynie, z którego pił łąpczywie, aż napój zaczął wylewać się na

podłogę, po czym nie wypuszczając dzbana z ręki, wymierzył Theresie policzek tak siarczysty, że stylus wypadł jej z dłoni.

Dziewczyna straciła równowagę i wylądowała na ławie pełnej chodaków, a Sas zwałił się na nią. Odór alkoholu wypełnił jej płuca. Odurzony winem Sas szukał swego fallusa, drugą dłonią trzymając ręce Theresy unieruchomione nad jej głową. Theresa usiłowała ścisnąć uda, ale mężczyzna brutalnie je rozwarł. Nagle zauważyła, że napastnik oparł prawą dłoń pod wielkim ostrzem tasaka. Był tak pijany, że nawet tego nie zauważył. Pomyślała, że wystarczyłby jej tylko jeden moment. Wtedy uniosła głowę i pocałowała Sasa. To go zaskoczyło, a ona wykorzystała chwilę nieuwagi. Popchnęła podstawę, w której zabezpieczone było ostrze, powodując, że opadło ono na dłoń Sasa z taką siłą, że jego obcięte palce wyleciały w powietrze, a krew poląła się strumieniem.

Theresa natychmiast pognąła w stronę drzwi, a ranny mężczyzna rzucił się jak wieprz. Wybiegłaby na zewnątrz, gdyby grubas nie zagroził jej drogi. Dziewczyna usiłowała go wyminąć, ale on z niezwykłą szybkością złapał ją za włosy i uniósł swój nóż. Theresa zamknęła oczy i zaczęła krzyczeć. Ale gdy mężczyzna już szykował się, by zadać jej cios, wydał nagle z siebie dziwny charkot. Jego oczy zaszyły mgłą, a nogi zdrząły. Po czym upadł na kolana przed dziewczyną i w końcu runął z hukiem na ziemię. Wtedy Theresa zauważyła pokaźny sztylet wbity w plecy bandyty i Hoosa Larssona, który stał w progu i wyciągał do niej rękę.

Hoos wyprowadził ją z domu, po czym wrócił do środka. Theresa usłyszała przenikliwe krzyki i wkrótce jej wybawca wrócił z zakrwawionymi rękoma. Podszedł do dziewczyny i okrył ją swoim wełnianym płaszczem.

— Już po wszystkim — powiedział ociężałym głosem.

Theresa spojrzała na niego oczami pełnymi łez. Nagle zdała sobie sprawę, że jest prawie naga, i policzki spłonęły jej rumieńcem. Usiłowała jako tako się okryć, a Hoos jej w tym pomógł.

* * *

Hoos Larsson wydawał jej się teraz dużo bardziej atrakcyjny niż dawniej. Może nieco surowy, ale o szczerym spojrzeniu i dobrych manierach. Od dłuższego czasu nic o nim nie słyszała, ale to nieważne. Była wdzięczna, że ją uratował, choć wiedziała, że teraz zapewne zaprowadzi ją do Wurzburga i odda w ręce sprawiedliwości. Ale było jej już wszystko jedno. Pragnęła jedynie, by ojciec jej wybaczył.

— Powinniśmy wejść do środka. Tu zamarzniemy — szepnął Hoos. Theresa spojrzała w stronę domu i pokręciła głową.

— Nie masz się czego bać. Oni już są martwi.

Theresa dalej kręciła głową. Nie zamierzała tam wejść, choćby miała umrzeć z zimna.

— Na Boga! — zawołał zirytowany Hoos. — Wobec tego chodźmy do szopy. Nie ma tam paleniska, ale przynajmniej nie zmokniemy.

Nie dając jej czasu na odpowiedź, wziął dziewczynę za rękę i zaprowadził do szopy. W środku zgarnął nieco siana, udeptał je, tworząc legowisko, i ułożył na nim Theresę.

— Muszę zająć się tymi trupami — powiedział.

— Proszę, nie odchodź.

— Nie mogę ich tam zostawić. Krew przyciągnie wilki.

— Co z nimi zrobisz?

— Zapewne ich pochowam.

— Pochowasz morderców? Powinieneś wrzucić ich do rzeki — odparła, marszcząc brwi.

Hoos zaczął się śmiać. Jednak widząc niezadowoloną minę Theresy, postarał się opanować.

— Wybacz, ale to chyba nie jest dobry pomysł. Rzeka tak zamrzła, że trzeba by przebić lód jakimś ostrym narzędziem, by ich do niej wrzucić.

Theresa umilkła zawstydzona. Z pewnością sporo wiedziała o pergaminach, ale niemal nic o całej reszcie.

— A nawet gdyby rzeka nie była skuta lodem — dodał — i tak nie rozwiązałoby to problemu. Ci ludzie z pewnością znaleźli się tu jako forpoczta i wcześniej czy później ich zwłoki spłynęłyby rzeką wprost do ich towarzyszy.

— To jest tu więcej Sasów? — spytała przerażona.

— Co najwyżej jedna banda, ale są żądni krwi jak dzikie bestie. Prawdę mówiąc, nie wiem, jak zdołali się tu zapuścić: na drogach jest ich pełno. Dlatego straciłem trzy dni, okrążając góry.

Okrążając góry... To mogło oznaczać, że Hoos przybywa z Fuldy, a zatem nie wie, co zaszło w Wurzburgu. Theresa odetchnęła z ulgą.

— W każdym razie twoje pojawienie się było naprawdę opatrnościowe — powiedziała, patrząc, jak Hoos czyści zakrwawione dłonie w śniegu.

— Od wczoraj krążyłem po okolicy — wyjaśnił. — Pod koniec dnia postanowiłem spędzić noc w tym domu, ale gdy się zbliżyłem, zobaczyłem światło i przekonałem się, że są tu Sasi. Nie chciałem kłopotów, postanowiłem

więc przespać się w szopie i poczekać, aż sobie pójdą. Kiedy się obudziłem, już ich nie było. Wszedłem do lasu, aby się upewnić. Po chwili postanowiłem wrócić i wtedy zobaczyłem, że cię złapali.

— Wyszli na polowanie. Wrócili z wiewiórkami.

— Zapewne. Ale powiedz mi... co ty tu robiłaś? Theresa zaczerwieniła się. Nie przewidziała takiego pytania.

— Burza zastała mnie w tej okolicy — wykrztusiła. — Przypomniałam sobie, że jest tu dom, i przyszłam się schować. A potem nagle oni się pojawili.

Hoos skrzywił się. Nadal nie rozumiał, dlaczego to dziewczę znalazło się na takim odludziu.

— Co teraz zrobimy? — spytała, starając się odwrócić jego uwagę.

— Muszę wykopać dół. A ty — zasugerował — powinnaś zająć się siniakiem na policzku.

Theresa przyglądała się Hoosowi, gdy odchodził w stronę domu. Nie widziała go od dłuższego czasu i choć jego twarz nabrała ostrości, nadal miał kędzierzawe włosy i miły wygląd. Hoos jako jedyny syn wdowy Larsson porzucił zawód kamieniarza. Wiedziała o tym, bo jego matka stale wspominała, że został mianowany na fortiora Karola Wielkiego. Theresa nie miała pojęcia, co to oznacza, wiedziała jedynie, że brzmienie tego słowa jest dziwne. Obliczyła, że Hoos skończył teraz jakieś dwadzieścia siedem lat. W tym wieku mężczyzna powinien już mieć co najmniej dwójkę dzieci. A jednak nigdy nie słyszała, by wdowa Larsson kiedykolwiek wspominała o wnukach.

Po chwili Hoos wrócił do szopy z łopata, którą kopał ziemię. Zmęczony rzucił ją na klepisko obok Teresy.

— Ci ludzie już nie przysporzą nam kłopotów — powiedział.

— Jesteś cały przemoczony.

— Tak. Na zewnątrz leje jak z cebra.

Theresa skrzywiła się, ale nie wiedziała, co powiedzieć.

— Jesteś głodna? — spytał Hoos.

Skinęła głową. Mogłaby zjeść nawet krowę z kopytami.

— Straciłem konia, przechodząc przez wawóz. Wierzchowca i prowiant diabli wzięli, ale tam w środku — powiedział, pokazując na dom — widziałem dwie wiewiórki, którymi moglibyśmy się pożywić, więc decyduj: albo wchodzisz do środka i napełniamy brzuchy, albo zostajemy tutaj i czekamy, aż ziąb doprowadzi nas do grobu.

Theresa zagryzła wargi. Nie mogła nawet myśleć o powrocie do chaty, ale Hoos miał rację: w tej szopie długo nie wytrzymają. Wstała więc i poszła za

nim, choć w progu wstrząsnął nią dreszcz. Hoos spojrzął na nią kątem oka. Żał mu było dziewczyny, ale nie chciał, by to zauważyła. Jednym kopniakiem otworzył drzwi i pokazał pustą izbę. Potem objął Theresę ramieniem i razem weszli do środka.

Ciepło bijące od paleniska rozgrzało ich niczym gorący rosół. Hoos dorzucił drew do ognia, a te strzeliły, rozświetlając delikatnie pomieszczenie. Aromat pieczonych kasztanów mile połechtął ich nozdrza, a zapach mięsa zaostriął apetyt. Po raz pierwszy od czasu pożaru Theresa miała wrażenie, że jest bezpieczna.

Nie zdążyła jeszcze przywyknąć do ciepła, a Hoos już stał przed nią z wiewiórkami i kasztanami.

— Ci ludzie wiedzieli, gdzie szukać pożywienia — powiedział. — Poczekaj chwilę... — wstał i wrócił, niosąc jakieś ubrania. — Wziąłem je od Sasów, nim ich pochowałem. Rzuć na nie okiem. Może coś ci się przyda.

Theresa zjadła wszystko do ostatniego kęsa i zajęła się ubraniami. Obejrzała je dokładnie, po czym wybrała kurtkę z ciemnego sukna o dość lichym wyglądzie, którą okryła sobie nogi. Hoos uważał, że powinna wziąć futro, mimo że było splamione krwią, ale ucieszył się, że zatrzymała nóż, którym korpulentny Sas usiłował ją zabić.

Kiedy skończyli jeść, milczeli przez pewien czas, słuchając deszczu dudniącego o dach. Potem Hoos wstał i wyjrzał przez szparę w drzwiach. Stwierdził, że wkrótce zapadnie zmrok. Już od dłuższego czasu niebo było pociemniałe.

— Jeśli nadal będzie tak lało, Sasi nie wyjdą ze swoich kryjówek.

— Aha — przytaknęła Theresa.

— Czy ty aby nie jesteś córką skryby? Nazywasz się...

— Theresa.

— Tak, Theresa. Przychodziłaś czasem do pieca po wapno do wyprawiania pergaminów. Pamiętam, że ostatnim razem, gdy cię widziałem, miałaś tyle krost na twarzy, że wyglądałaś jak ciasto z borówkami. Bardzo się zmieniłaś. Dalej terminujesz u pergamenariusza?

Theresa oburzyła się za to porównanie do ciasta.

— Tak. Ale już nie jestem terminatorem — skłamała. — Zdałam egzamin na czeladnika.

— Kobieta czeladnikiem! Boże święty! To możliwe?

Theresa umilkła. Była przyzwyczajona do rozmów z chłopcami, którzy potrafili jedynie uganiać się za psami i rzucać w nie kamieniami, więc spuściła

głowę i skuliła się pod kurtką. Potem uniosła nieco głowę i spojrzała na Hoosa ukradkiem. Z bliska wydawał się wyższy, niż na początku jej się zdawało. Może nawet o całą głowę przewyższał znanych jej chłopców. Wyglądał na silnego i opanowanego, zapewne dzięki pracy w kamieniołomach. Kiedy Hoos wyglądał przez szparę, wyobraziła sobie, że jest niczym jeden z tych wielkich kudłatych psów, które liżą małe dzieci, spokojnie znosząc ich harce, ale rozerwałyby na strzępy każdego, kto odważyłby się tknąć ich podopiecznych.

— A ty czym się zajmujesz? — spytała Theresa. — Twoja matka rozpowiada, że piastujesz jakieś stanowisko na dworze.

— Cóż — uśmiechnął się Hoos. — Wiesz, jak to matki lubią opowiadać o swoich dzieciach: lepiej jest wierzyć w połowę tego, co mówią, okazać podziw i czym prędzej zapomnieć o drugiej połowie.

Theresa zaśmiała się. Jej ojciec mówił o niej tak dobrze, że czasem ją tym zawstydział.

— Trzy lata temu — ciągnął Hoos — los sprawił, że zasłużyłem się w jednej z wypraw wojennych Karola Wielkiego. Wiadomość doszła do uszu króla i gdy wróciłem, zaoferował mi złożenie przysięgi wierności. Nazywają to komendacją.

— A co to znaczy?

— Krótko mówiąc, stajesz się wasalem króla. Zaufanym żołnierzem, kimś, do kogo w każdej chwili król może się zwrócić.

— Żołnierzem? Jak praefectus z Wurzburga?

— Niezupełnie — zaśmiał się. — Ci ludzie to biedaki, którzy służą bez narzekań za nędzną dniówkę. Ja natomiast posiadam na własność ziemię.

— Sądziłam, że żołnierze nie mają ziemi — zdziwiła się.

— Jak by ci to wytłumaczyć... Oddając się w opiekę króla, zobowiązujesz się służyć mu wiernie, ale to wzajemne zobowiązanie i król zwykle szczerze to wynagradza. Otrzymałem od niego dwadzieścia łanów ziemi uprawnej, kolejnych piętnaście łanów winnic i czterdzieści łanów nieużytków, które wkrótce zaoram, tak więc moje życie nie różni się zbytnio od wygodnego życia właściciela ziemskiego.

— Ale i tak musisz iść na wojnę...

— To prawda. Zwykle poborowi zasilają oddziały dopiero latem, już po żniwach. Wtedy przygotowuję broń, rekrutuję ludzi, którzy pójdą ze mną do boju, i stawiam się na wezwanie.

— Masz również służących? — spytała zdziwiona.

— To nie służy. Nazywamy ich kolonami, wyzwoleńcami lub mancipia. Ale nie są sługami: to wolni ludzie. Mam ich około dwudziestu, mężczyzn i kobiety. Jak się zapewne domyślasz, sam nie dałbym rady uprawiać tej ziemi. Na szczęście w Aquis-Granum pełno jest ludzi wydziedziczonych pochodzących ze wszystkich zakątków królestwa: Akwitanii, Neustrii, Austrazji, Lombardii... Przybywają na dwór w nadziei, że zbiją fortunę, a kończą zrozpaczeni, szukając czegoś, co mogliby włożyć do ust. Jest ich tylu, że można wybierać do woli.

— Wobec tego jesteś bogaty?

— Nie, na Boga, choć nie miałbym nic przeciwko temu — zaśmiał się. — Koloni to skromni ludzie. Ponieważ płacę za użytkowanie ziemi, oddają mi część zbiorów oraz świadczą tygodniowo pewne prace. A to uprzętną drogę, a to naprawią płot i tym podobne. Czasem pomagają mi zaorać pole, które zachowuję na własny użytek, ale jak już mówiłem, nie ma tego za wiele. Mój majątek nie może się równać z majątkiem takiego królewskiego antrustiona.

— A powiedz mi, Hoos, czy Aquis-Granum jest piękne?

— Och! Oczywiście; jest tak piękne jak wielki bazar, jeśli ma się dość denarów. Powiem ci, że na jednej tylko ulicy jest więcej ludzi niż w całym Wurzburgu. Tylu, że byś się od razu zgubiła. Co krok stoją stragany z mięsem albo narzędziami, kłamrami czy różnymi potrawami, a tuż obok wznoszą się kramy pełne tkanin i jedwabi, a pomiędzy jednym a drugim, choć z trudem by tam jeszcze dało się wcisnąć derkę, znajdziesz trzeci, na którym sprzedają wszystko, począwszy od dzbana miodu po szpadę splamioną świeżą jeszcze krwią.

Opowiedział jej, że ulice wiją się niczym stara plecionka utkana drżącymi dłońmi, przecinają się setki razy, tworząc osnowę pełną piwniczek, tawern i domów publicznych. Tu i ówdzie znajdują się placówki, na których zbierają się tłumy ludzi, a złodziejzki i kaleki konkurują z pijakami, przechodniami i zwierzętami o lepsze miejsca. Wreszcie wszystkie uliczki wypadają na jedną aleję, którą może predefilować cały pułk konny, a na jej końcu, obok wielkiej bazyliki, wznosi się majestatycznie okazała budowla z czarnych cegieł: pałac Karola Wielkiego.

Theresa słuchała oczarowana. Przez chwilę miała wrażenie, że widzi oczami wyobraźni swój daleki Konstantynopol.

— A są tam igrzyska, forum i cyrk?

— Nie rozumiem?

— Jak w Bizancjum... Budynki z marmuru, wybrukowane aleje, ogrody, fontanny, teatry, biblioteki...

Hoos uniósł brew. Sądził, że Theresa żartuje. Odparł, że takie rzeczy istnieją tylko w bajkach.

— Mylisz się — odparła rozzłoszczona.

Natychmiast wstała i odwróciła wzrok. Nie dbała o to, czy w Aquis-Granum są ogrody z fontannami, ale bolało ją, że Hoos powątpiewa w prawdziwość jej słów.

— Powinieneś zobaczyć Konstantynopol — odparła. — Pamiętam Hagie Sophie, katedrę, jakiej nigdy byś sobie nie wyobraził. Jest tak wysoka i przestronna, że w jej wnętrzu zmieściłaby się góra. Albo hipodrom Konstantyna, długi na dwa stadiony, na którym co miesiąc odbywały się igrzyska i zawody powożących. Pamiętam spacery po murach Teodozjusza — oczy Teresy zabłysły — kamiennych umocnieniach obronnych, które oparłyby się atakowi każdej armii, oświetlone fontanny, którymi tryskała z ziemi woda, wspaniałe imperialne defilady, niekończące się przemarsze batalionów żołnierzy, na których czele szły kolumny wystrojonych słoni... Tak. Powinieneś zobaczyć Konstantynopol. Wówczas wiedziałbyś, jak wygląda raj.

Hoos siedział z rozdziawionymi ustami. Choć to wszystko było czystą fantazją, podziwiał niezwykle bujną wyobraźnię tej dziewczyny.

— Oczywiście z przyjemnością poznałbym raj — przyznał ze śmiechem — ale nie chcę tak wcześnie umierać. Tak... A kim są powożący?

— To woźnice wozów, do których zaprzęga się kilka koni. Ale to nie są takie wozy jak te ciągnięte przez woły. Te z hipodromu są małe i lekkie, a przede wszystkim szybkie jak wiatr.

— Jak wiatr... no tak. A słonie?

— Och! Słonie... Powinieneś je zobaczyć — zaśmiała się. — To takie zwierzęta wielkie jak domy, o twardej, odpornej na strzały skórze. Mają grube nogi, podobne do pni drzew, a z ich pysków wystają gigantyczne kły, którymi nacierają niczym lancami. A poniżej oczu wznosi się ich nos, który wygląda jak ogromny wąż — znów zaczęła się śmiać, bo Hoos patrzył na nią z niedowierzaniem. — A jednak mimo groźnego wyglądu są posłuszne swoim przewodnikom i nawet jak dosiądzie ich siedmiu jeźdźców, zachowują się jak najbardziej uległe źrebaki.

Hoos usiłował się opanować, ale wreszcie wybuchł śmiechem.

— No dobrze. Na dziś wystarczy. Powinniśmy trochę odpocząć. Jutro czeka nas spory kawałek drogi do Wurzburga — oświadczył.

— A ty z jakiego powodu wyruszyłeś w tę podróż? — zainteresowała się Theresa, ignorując jego słowa.

— Śpij już.

— Ale ja nie chcę wracać do Wurzburga.

— Ach tak? A co zamierzasz? Czekać tu, aż pojawi się więcej Sasów?

— Nie, oczywiście, że nie — zrzędała jej mina.

— Wobec tego przestań snuć plany i prześpij się trochę. Żebym nie musiał rano na siłę cię budzić.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie — nalegała Theresa. Hoos zdażył już ułożyć się wygodnie koło ognia. Teraz niechętnie się uniósł.

— Wkrótce z Frankfurtu wypłyną dwa statki wyładowane żywnością dla Wurzburga. Na ich pokładzie będą ważne osobistości. Król chce, aby zostali przyjęci zgodnie z ich rangą i dlatego wysłała mnie jako emisariusza.

— I przyłyną teraz, przy takich burzach?

— Posłuchaj, ta sprawa nie leży w twojej gestii — uciął. — Ani w mojej, zatem kładź się i śpij.

Theresa zamilkła, ale nie mogła zasnąć. Ten młodzieniec przyszedł jej co prawda z pomocą, ale niewiele różnił się od pozostałych chłopców i z pewnością fakt, że jej pomógł, był wyłącznie dziełem opatrności. Poza tym wydało jej się dziwne, że ktoś z jego pozycją przechodził przez góry nieuzbrojony i na dodatek samotnie. Niemal bezwiednie zacisnęła dłoń na nożu, który trzymała pod ubraniem, i zamknęła oczy. Przez jakiś czas rozmyślała o swym upragnionym Konstantynopolu, aż wreszcie zmorzył ją sen.

Rankiem obudziła się pierwsza. Hoos spał głębokim snem, wstała zatem cichutko, podeszła do drzwi i wyjrzała przez szparę. Powitało ją świeże chłodne powietrze. Nie myśląc o mogącym jej grozić niebezpieczeństwie, otworzyła powoli drzwi i wyszła na zasypane świeżym śniegiem podwórze. Pachniało spokojem i nie padało.

Kiedy wróciła, Hoos wciąż spał. Nie bardzo wiedziała, dlaczego to robi, ale położyła się przy nim. Bliskość jego ciała dodała jej otuchy. Nagle złapała się na tym, że wyobraża sobie ich oboje, razem w jakimś dalekim mieście, gdzieś, gdzie klimat jest ciepły i świeci słońce, gdzie nikomu nie przeszkadza jej zamięłowanie do pisania i gdzie mogłaby toczyć długie rozmowy z młodzieńcem o szczerym spojrzeniu, z dala od problemów, które tak niespodziewanie wdarły się w jej życie. Ale w tym momencie pomyślała o ojcu i skarciła się za egoizm i tchórzostwo. Jaka córka oddaje się fantazjowaniu o

własnym szczęściu, podczas gdy jej ojciec znosi hańbę popełnionych przez nią grzechów? Odpowiedź nie była zadowalająca. Wówczas przysięgła sobie, że pewnego dnia wróci do Wurzburga, wyzna swoje grzechy i zwróci ojcu honor, którego nigdy nie powinna mu odbierać. Potem znów spojrzała na Hoosa. Przez moment zamierzała go obudzić i poprosić, by towarzyszył jej w drodze do Aquis-Granum, ale powstrzymała się, wiedziała bowiem, że choćby go bardzo prosiła, on i tak nie zaaprobuje tego planu.

Drżącymi palcami pogładziła go po głowie, po czym wyszeptwała pełne poczucia winy słowa pożegnania.

Cichutko wstała i rozejrzała się wokół. Pod ścianą leżały rzeczy, które Hoos zabrał nieboszczykom. W większości były to narzędzia do polowania i niedbale rzucone ubrania. Theresa jeszcze raz je przeszukała, choć wcześniej zrobił to już Hoos.

Między fałdami płaszcza znalazła drewnianą skrzyneczkę, a w niej oszlifowane krzesiwo, kawałek krzemienia i trochę huby. Znalazła też kilka sznurów bursztynu i porcję suszonych rybich jaj, które natychmiast schowała do swojej sakwy wraz z drewnianą skrzyneczką. Odrzuciła przegniły pas, wzięła natomiast niewielki bukłak na wodę i parę ogromnych butów z cholewami, które włożyła na swoje trzewiki. Potem podeszła do miejsca, gdzie leżała broń, którą Hoos własnoręcznie wyczyścił i równo poukładał. Kiedy to robił, opowiedział jej o zručności, z jaką Sasi władają skramasaksem, szerokim sztyletem, który czasem służył im jako krótka szpada, oraz ich niezdarności w posługiwaniu się franciszką, lekką siekierą stosowaną przez wojska Franków.

Ominęła cisowe łuki i zatrzymała się przed śmiertelnie ostrym skramasaksem. Gdy zacisnęła palce na jego rękojeści, przeszedł ją dreszcz. Broń napawała ją przerażeniem, ale skoro zamierzała wyruszyć w drogę, powinna być uzbrojona. Wreszcie zdecydowała się na dużo lżejszy płaski nóż. Ale ledwie przytroczyła go sobie do pasa, zauważyła sztylet, który Hoos odłożył na bok.

W odróżnieniu od topornej broni Sasów sztylet wyróżniał się starannym wykonaniem i zdobieniem, biegnącym po obu stronach ostrza, aż do srebrnej rękojeści zwieńczonej szmaragdem. Theresa pomyślała, że jego wartość może być bezcenna.

Popatrzyła na spokojnie śpiącego Hoosa i serce ścisnęło jej się ze wstydu. Uratował jej życie, a ona odpłacała mu się jak złodziejka. Przez chwilę wahała się, ale nagle odpięła nóż i przytroczyła do cingulum sztylet. Potem szepcząc jakieś niezrozumiałe słowa na swoje usprawiedliwienie, zarzuciła na ramię

sakwę ojca, owinęła się nowymi futrami i wyszła z domu na siarczysty poranny mróz.

* * *

Kiedy Hoos obudził się rankiem, Theresa była już daleko od chaty. Szukał jej w kamieniołomie i na skraju lasu, a nawet poszedł kawałek z biegiem rzeki, nim zrezygnował. Wracając do domu, zasmucił się z powodu losu, jaki czekał tę dziewczynę, ale dużo bardziej zmartwiło go to, że ukradła mu cenny sztylet.

RS

ROZDZIAŁ 6

Gorgias obudził się przerażony. Drżał zlany potem, niezdolny do tego, by zaakceptować to, że kilka dni temu pochował jedyną córkę. Objął leżącą obok Rutgardę i wyobraził sobie Theresę, kiedy jeszcze żyła, roześmianą, wystrojoną w nową suknię, gotową do egzaminu, dzięki któremu miała stać się czeladnikiem pergamenariuszem. Przypomniawszy sobie napaść, której padł ofiarą, i to, jak Theresa próbowała go ratować. A potem straszny pożar, rozpaczliwe poszukiwania, rannych i ofiary... Zapłakał, wspominając chwilę, w której zobaczył zwłoki Theresy. Z jego córki zostało niewiele więcej niż strzępy błękitnej sukni, która tak jej się podobała.

Skulony przy Rutgardzie łkał, aż wypłakał wszystkie łzy. Po chwili zaczął zadawać sobie pytanie, jak długo mogą pozostawać w domu swych krewnych, ściśnięci jak śledzie na twardych deskach, które co noc Reinoldo rozkładał dla nich na klepisku. O wygodnych siennikach mogli tylko pomarzyć.

Musiał przyznać, że ich krewni stanowili wyjątkową rodzinę. Mimo zamieszania, jakie powodowali swoją obecnością, zostali bardzo ciepło przyjęci i zarówno Lotaria, jak i Reinoldo starali się, by ani jemu, ani Rutgardzie nie brakowało wygod, którymi cieszyli się w swym poprzednim domu. Gorgias chciałby mieć takie szczęście jak Reinoldo. Jako cieśla nie był zależny od niełaskawej pogody i nawet w najtrudniejszych momentach naprawa jakiegoś zniszczonego dachu czy założenie kół do wozu odsuwały od nich widmo głodu.

Przez chwilę czuł, że ogarnia go zawiść. Zazdrościł Reinoldowi cechującej go prostoty. Tego, że jego jedynym zmartwieniem było zdobycie chleba niezbędnego do wyżywienia latorośli i spędzenie nocy w ciepłe ciało żony. Reinoldo często przyznawał, że szczęście nie polega na wielkości domu, lecz na tym, kto na niego w nim czeka, i sądząc po jego rodzinie, to stwierdzenie było jak najbardziej trafne.

Od czasu przeprowadzki do domu Reinolda Rutgarda zajmowała się dziećmi, sprzątała, szyła, a nawet przygotowywała posiłki, jeśli starczało produktów. Dzięki temu Lotaria mogła poświęcić się swojej pracy, była bowiem służącą w majątku Ama, jednego z najbardziej zamożnych ludzi w okolicy. On z kolei starał się pomagać Reinoldowi przy stolarce, jeśli tylko pozwalała mu na to praca w skryptorium i zranione ramię. Jednak mimo gościnności kuzyna wiedział, że wkrótce będzie musiał znaleźć inne lokum. W

przeciwnym razie z jego powodu Reinoldo mógłby stać się celem jakichś ataków.

W tym momencie płacz jednego z dzieci sprawił, że zarówno Lotaria, jak i Rutgarda zerwały się na równe nogi i ruszyły pocieszyć malucha. Oporządziły dzieci, które dygotały, jakby właśnie wpadły do rzeki. Obmyły im oczy wodą i ubrały w czyste wełniane koszule. Potem rozpały ogień i podgrzały kaszę bez omasty: strawa, która w innych czasach posłużyłaby do nakarmienia świń. Gorgias wstał zaspany, mruknął coś na powitanie, poszperał wśród rzeczy leżących na starym kufrze i włożył fartuch, w którym zwykle pracował. Gdy go wkładał, zaklął siarczyście z powodu bólu, jaki sprawiało mu zranione ramię.

— Powinieneś bardziej uważać na język — skarciła go Rutgarda, wskazując na dzieci.

Gorgias wymamrotał coś w odpowiedzi i ziewając, ruszył w stronę ognia, starając się nie nadepnąć na graty walające się po całej izbie. Obmył twarz i podszedł zwabiony zapachem kaszy.

— Kolejny podły dzień — zaczął narzekać.

— Przynajmniej w skryptorium nie jest tak zimno.

— Nie jestem pewien, czy dziś tam pójdę.

— Ach, tak? A gdzie zatem się wybierasz? — spytała zdziwiona. Gorgias przez chwilę milczał. Zamierzał przeprowadzić dochodzenie

w związku z atakiem, którego padł ofiarą tuż przed pożarem, ale nie chciał niepokoić Rutgardy.

— Zabrakło mi tuszu, więc pójdę do zagajnika nazbierać trochę orzechów.

— Tak wcześniej?

— Jeśli pójdę później, dzieci mnie ubiegą.

— Tylko ubierz się ciepło — powiedziała Rutgarda.

Gorgias popatrzył na żonę wzrokiem przepelnionym miłością. Rutgarda była dobrą kobietą. Wziął ją w ramiona i pocałował w usta. Potem złapał sakwę z przyborami do pisania i ruszył w stronę zabudowań katedralnych.

* * *

Idąc śpiącymi jeszcze uliczkami, rozmyślał o napastniku, który kilka dni temu ukradł mu pergamin. Przypominał sobie całe zajście, niemal od nowa je przeżywając: skulony cień rzucający się na niego, zimne oczy lśniące pod skrywającym jego twarz kapturem. Potem ostry ból w ramieniu i wreszcie nic, tylko mgła.

Przez chwilę gorąco pragnął, by ta kradzież była jedynie kaprysem losu. Wyskokiem kogoś przymierającego głodem, kto szukał czegokolwiek, co mógłby włożyć do ust. W takim wypadku brudnopis leżałby porzucony gdzieś na drodze, zniszczony przez deszcz albo rozszarpany przez zwierzęta. Ale tylko głupiec mógłby mieć taką nadzieję. Złodziej z pewnością wiedział, jak nieocenioną wartość posiada jego zdobycz. I teraz Gorgias zadawał sobie pytanie, komu zależało na tym pergaminie.

Do skryptorium miało dostęp wielu kleryków i służących, ale oni akurat z trudem mogliby domyślić się, jak cenny jest ten dokument, chyba że usłyszeli o tym z ust Wilfreda, który był jedyną osobą znającą tajemnicę pergaminu. Gorgias postanowił sporządzić listę podejrzanych.

Wszedł do bazyliki bocznym wejściem mającym bezpośrednie połączenie z krużgankiem. Tam zatrzymał się i pomodlił za Theresę. Gdy wypłakał wszystkie łzy, uczynił na ziemi znak krzyża, po czym przeszedł przez kuchnię, nie witając się z klucznikiem, i czym prędzej poszedł do skryptorium.

W sali nikogo nie było, mógł zatem pracować bez przeszkód aż do tercji. Zamknął za sobą drzwi, uchylił okiennice i ostrożnie zapalił świece, które leżały porozrzucane na pulpitych. Gdy płomienie rozświetliły półmrok, wyjął ze skrzyni przybory do pisania i woskową tabliczkę, z której starł wcześniejsze notatki tępym końcem stylusa. Potem usiadł wygodnie na taborecie, roztarł dłonie i zaczął sporządzać listę.

Przez chwilę przesuwiał rylcem po woskowej powierzchni, zapisując i ścierając imiona podejrzanych, bo do żadnego nie miał szczególnego przekonania. Rana na ramieniu znów zaczęła dawać mu się we znaki, ale nie zwracał na to uwagi. Odzyskanie pergaminu było dla niego najważniejsze. Kiedy skończył robić listę, przejrzał po kolei wszystkie imiona.

Na pierwszym miejscu figurował Genzeryk, pomocnik i sekretarz Wilfreda, kościsty starzec o skórze jak pergamin, którego łatwo było pomylić z jedną z rzeźb zdobiących alejki krużganka, gdyby nie uporczywy odór moczu, który wokół siebie rozsiewał. Genzeryk czasem pełnił funkcję wikariusza generalnego, co oznaczało, że wraz z Wilfredem zajmował się codziennymi sprawami związanymi z administracją i rachunkami hrabstwa*.

* W państwie karolińskim słowo *vicarii*, czyli wikary, określało zastępcę hrabiego.

Na drugim miejscu widniał Bernardino, hiszpański zakonnik wyjątkowo niskiego wzrostu, który stanowczą ręką zarządzał służbą. Dzięki zajmowanemu stanowisku mógł poruszać się z pełną swobodą po wszystkich

pomieszczeniach, zatem nie byłoby dziwne, gdyby okazało się, że wiedział o istnieniu pergaminu.

Za nim pojawiał się Casiano, młody kantor, Toskańczyk o słodkim zniewieściałym głosie. Casiano był odpowiedzialny za chór, miał zatem dostęp do tej części biblioteki, gdzie trzymano psalterze, chorały i antyfony. Ponadto jako jeden z nielicznych potrafił czytać, przez co stawał się jednym z najbardziej podejrzanych.

Na końcu umieścił Theodora, olbrzyma o dobrotliwym wyglądzie i najjaśniejszych oczach, jakie Gorgias kiedykolwiek widział. Theodor pracował jako chłopak do wszystkiego i z racji swej siły często towarzyszył Wilfredowi, kiedy ten przemieszczał się po fortecy.

Gorgias wymazał już wcześniej Jeremiasa, swego osobistego pomocnika, i Emiliusa, poprzedniego skrybę, a także cubiculariusa Bonifatiusa i Cyryła, magistra nowicjatu. Trzej ostatni potrafili pisać, ale Bonifatius niemal całkiem stracił wzrok, a zarówno Cyryl, jak i Emilius cieszyli się jego pełnym zaufaniem.

Pozostali, zarówno słudzy, jak i ludzie Wilfreda, albo nie umieli czytać, albo nie mieli wstępu do skryptorium.

Gorgias raz jeszcze przeczytał listę, masując sobie przedramię: Genzeryk, podeszły wiekiem wikariusz; Bemardino, karzeł; Casiano, mistrz chóru kościelnego; Theodor, olbrzym... Każdy z nich mógł zaplanować napaść, podobnie jak sam Korne, o którym Gorgias nie zapomniał.

Usiłował dojść do jakichś dalszych wniosków, gdy rozległo się głośnie stukanie do drzwi. Gorgias ukrył tabliczkę i pospieszył, by je otworzyć. Jednak gdy pchnął rygiel, okazało się, że jest zablokowany. Znów rozległo się stukanie, któremu tym razem towarzyszył nagły głos, więc Gorgias pchnął rygiel mocniej, aż drzwi ustąpiły, skrzypiąc. Po drugiej stronie czekał stary wikariusz Genzeryk. Załzawionymi oczami rozejrzał się po pomieszczeniu.

— Można wiedzieć, co was tak nagle sprowadza? — spytał zirytowany Gorgias.

— Przykro mi, że was niepokoję, ale przysłała mnie Wilfred, a ponieważ drzwi były zaryglowane, pomyślałem, że może coś się stało.

— Na wszystkich świętych! Czy doprawdy nikt nie rozumie, że moim jedynym problemem jest praca, która nawarstwia się w skryptorium? Czego życzy sobie Wilfred?

— Hrabia chce się z wami zobaczyć. W swoich komnatach — uściślił.

W swoich komnatach... Po plecach Gorgiasa przebiegł dreszcz.

O ile było mu wiadomo, oprócz Genzeryka nikt nie miał dostępu do prywatnych apartamentów Wilfreda. Dlatego śludzy utrzymywali, że poza wikariuszem nikt nie zna do nich drogi. Gorgias zmarszczył brwi. Nie wiedział dlaczego, ale przeczuwał, że to zaproszenie nie przyniesie nic dobrego.

Poświęcił chwilę na wyczyszczenie przyborów i zebranie dokumentów, które, jak sądził, mogły mu być potrzebne podczas spotkania z Wilfredem. Kiedy skończył, wikariusz obrócił się na pięcie i ruszył naprzód, powłócząc nogami. Gorgias szedł za nim w pewnej odległości, usiłując domyślić się powodu tego spotkania.

Szli korytarzem, który biegł wzdłuż refektarza, minęli spichlerze, gdzie przechowywano ziarno, przecięli atrium krużganka i weszli do sali kapitulanej usytuowanej na tyłach narteksu, między kamiennym prezbiterium a kaplicą nowicjuszy. W głębi kaplicy znajdowało się wejście do korytarza stanowiącego połączenie z salą kapitularną, zwykle zamknięte solidnymi drzwiami. W tym miejscu Genzeryk się zatrzymał.

— Nim pójdziemy dalej, musicie przysiąc, że to, co zobaczycie, zachowacie tylko dla siebie — uprzedził.

Gorgias ucałował krucyfiks, który miał na piersi.

— Przysięgam przed Chrystusem.

Genzeryk skinął głową. Następnie wyciągnął z rękawa kawałek materiału i podał go Gorgiasowi.

— Muszę was prosić, abyście zakryli sobie oczy.

Gorgias nie protestował. Wziął kaptur i założył go sobie na głowę.

— Teraz chwycie koniec tego sznura i słuchajcie moich wskazówek — dodał.

Gorgias wyciągnął przed siebie dłonie i chwycił sznur, który podał mu Genzeryk. Poczuł, że starzec przywiązuje drugi koniec do swego ramienia i sprawdza szczelność kaptura. Kilka chwil później skrzywienie zawiasów obwieściło początek wędrówki. Nagle sznur się napiął, zmuszając go, by ruszył naprzód. Potykając się i mając za jedyne oparcie swój chwiejny krok, zaczął iść po omacku tam, gdzie pociągał go sznur, wymacując ścianę okaleczoną ręką. Czasem tylko Genzeryk wspierał go jakimś suchym ostrzeżeniem. Podczas drogi wyczuł, że mury stają się coraz bardziej wilgotne, co nie powinno mieć miejsca w tego typu budowlach. Zastanawiał się, w której części fortecy się teraz znajdują, przeszli już bowiem spory kawałek. Jak dotąd zapamiętał otwór, szeroki na co najmniej cztery pary drzwi, wejście po krętych schodach i nieprzyjemny odór ekskrementów pochodzący zapewne z pobliskiej

latryny. Miał wrażenie, że schodząc po jakiejś długiej rampie, która dalej stawała się nierówna i śliska. Zaraz potem sznur, którym się kierował, został poluzowany, zwiastując koniec drogi. Gorgias znów usłyszał skrzypienie drzwi i w jego uszach rozbrzmiał ochryply głos hrabiego.

— Wejdźcie, Gorgiasie, proszę.

Gorgias, który wciąż miał kaptur na głowie, ruszył dalej po omacku prowadzony przez Genzeryka. Drzwi zamknęły się za nim i całe pomieszczenie ogarnęła niepokojąca cisza.

— Przypuszczam, mój drogi Gorgiasie, że zadajecie sobie pytanie, dlaczego was wezwałem...

— W istocie, wasza wielmożność. — W kapturze było mu dość duszno.

— Dobrze. Ale zanim zaspokoję waszą ciekawość, muszę wam przypomnieć o przysiędze, którą złożyliście Genzerykowi. Nigdy, pod karą wiecznego potępienia, nie będziecie z nikim rozmawiać o tym, co tu zobaczycie lub usłyszycie. Czy to jasne?

— Macie moje słowo.

— Dobrze, dobrze... Wiecie, że czasem paradoksalnie okazuje się, że z im większą gorliwością służymy Bogu, tym większym próbom On nas poddaje. Wczoraj wieczorem — ciągnął — tuż po tym, jak udałem się na spoczynek, poczułem się źle. Tak zdarzało się już wcześniej, choć tym razem ból stał się tak nieznośny, że musiałem wezwać naszego medyka. Zenon sądzi, że dolegliwości moich nóg rozciągają się na całe ciało. Zdaje się, że nie ma na to lekarstwa, a przynajmniej on takiego nie zna, pozostaje mi zatem jedynie odpoczywać do czasu, aż ból nie ustąpi. Ale na Boga świętego! Zdejmijcie ten kaptur, wyglądacie w nim jak skazaniec!

Gorgias posłusznie usłuchał.

Ledwie ściągnął kaptur, jego oczom ukazała się komnata, zapewne dawna zbrojownia. Zobaczył równe rzędy gołych kamiennych ścian, ich monotonię zakłócało tylko jedno alabastrowe okno, przez które sączyła się słaba poświata. Na głównej ścianie wykonanej z kamiennych surowych płyt zobaczył pozostałości krucyfiksu, który, jak się zdawało, chronił ogromne łoże z baldachimem. Leżał na nim pośród grubych poduch Wilfred. Oddychał z trudem, jakby jakiś ogromny ciężar uciskał mu piersi, zamieniając jego twarz w obrzękłą maskę. Po lewej stał stolik z resztkami śniadania, a obok niego kufer. Leżały na nim dwa ornaty i habit z surowej wełny. Po drugiej stronie czysty nocnik, stół, narzędzia piśmiennicze i niewielka nisza wykuta w skale.

W komnacie nie było żadnych innych mebli poza rachitycznym krzesłem u stóp łoża.

Gorgias zdziwił się, że nie ma tu żadnych kodeksów ani nawet kopii Biblii. Jednak gdy jego oczy przywykły do mroku, zauważył drugą mniejszą salę, w której mieściło się skryptorium Wilfreda.

Nagle kilka groźnych pomruków sprawiło, że natychmiast się cofnął.

— Nie bójcie się — zaśmiał się hrabia. — Biedne psiaki są trochę niespokojne, ale niegroźne. Wejdźcie i usiądźcie.

Przed przyjęciem zaproszenia Gorgias upewnił się, że psy są przywiązane do fotela na kółkach, za którego pomocą Wilfred się poruszał. Stwierdził również, że wikariusz Genzeryk wyszedł z sali.

— Co chcecie mi powiedzieć, panie? — spytał Gorgias, nie spuszczać wzroku z psów.

— Tak naprawdę to wy powinniście coś powiedzieć mnie. Minał prawie tydzień, odkąd ostatnio rozmawialiśmy, a ja wciąż nic nie wiem o waszych postępach. Przynieśliście pergamin?

Gorgias wciągnął powietrze i powoli je wypuścił. Choć wymyślił całkiem, jak sądził, przekonujące usprawiedliwienie, nie mógł opanować drżenia głosu.

— Najczcigodniejszy, nie wiem, jak zacząć — zakaszłał. — Z pewnością muszę wyznać wam pewną sprawę, która mnie niepokoi. Pamiętacie o tym problemie z tuszem?

— Niezbyt dokładnie. Zalewa?

— W rzeczy samej. Tak jak wam mówiłem, pióra, którymi dysponuję, nie zatrzymują wystarczająco długo tuszu. Jego nadmiar powoduje kleksy i zachlapania, a co gorsza czasem tusz płynie prawdziwym strumieniem, zalewając cały pergamin. Dlatego starałem się sporządzić nową mieszankę, która położyłaby kres tym problemom.

— Pamiętam, coś o tym wspominaliście. I co?

— Po kilku dniach rozmyślań postanowiłem wczoraj sprawdzić, czy idę właściwym tropem. Zwęgliłem łupinki orzecha i dodałem je do tuszu, a następnie pomieszałem z odrobiną oliwy dla zagęszczenia. Spróbowałem też dodać popiołu, trochę łożu i szczyptę alunu. Oczywiście nim użyłem tak uzyskany tusz, wypróbowałem go na innym pergaminie.

— Bardzo słusznie — przytaknął hrabia.

— Od pierwszej chwili pióro chyżo sunęło po pergaminie, jakby dryfowało po kadzi z oliwą. Litery pojawiały się przed moimi oczami jedwabiste, gładkie

niczym skóra młodego dziewczęcia, czarne jak onyks. A jednak na oryginalnym dokumencie, gdy poprawiałem uncjały, wydarzył się wypadek.

— Wypadek? Co macie na myśli?

— Te litery, to znaczy uncjały, muszą być wykończone odpowiednio do rangi dokumentu. Musiałem je podretuszować, aby osiągnąć czyste wyraźne krawędzie. Niestety, ten etap należy wykonać przed nałożeniem ostatniej warstwy proszku.

— Na wszystkich świętych! Dajcie spokój wykładom i wytłumaczcie mi, co się stało!

— Przykro mi. Nie wiem, jak usprawiedliwić moją niezdarność. W każdym razie z powodu braku snu zapomniałem, że kilka dni temu nałożyłem już proszek, który zaimpregnował powierzchnię i gdy poprawiałem majuskuły...

— Co?

— Cóż. Wszystko uległo zniszczeniu. Całą moją przeklętą pracę diabli wzięli!

— Na Boga świętego! Czyż nie mówiliście, że znaleźliście rozwiązanie problemu? — powiedział Wilfred, usiłując się podnieść.

— Byłem tak zadowolony, że nie zwróciłem uwagi na proszek — wyjaśnił.

— Proszek osuszający wypełnił pory, przez co pergamin nie mógł wchłonąć tuszu. Dlatego tusz rozlał się, niszcząc cały dokument.

— To niemożliwe — powtórzył z niedowierzaniem hrabia. — A palimpsest? Czy nie sporządziliście palimpsestu?

— Mógłbym spróbować, ale przy oskrobywaniu skóry powstałyby ślady świadczące o dokonanej reperacji, a przy manuskrypcie tej klasy jest to niedopuszczalne.

— Pokażcie mi dokument. Na co czekacie? Pokażcie mi go! — zawołał.

Gorgias wyjął niezdarnie kawałek pomarszczonej skóry i wyciągnął go w stronę Wilfreda, ale nim ten zdołał go chwycić, Gorgias cofnął się o kilka kroków i podarł pergamin na tysiąc kawałków. Gdy Wilfred to zobaczył, wzburzył się, jakby palił go ogień.

— Czyście stracili rozum?

— Chodzi o to, że nie zrozumieliście — odparł zrozpaczony Gorgias. — Pergamin jest zniszczony! Rozumiecie? Zniszczony!

Wilfred wydał z siebie gardłowy dźwięk, zmieniając się z wściekłości na twarzą. Leżąc na łóżku, usiłował dosięgnąć kawałków pergaminu porzrzucanych na dywanie, ale stracił równowagę i omal nie spadł z łoża. Na szczęście nim Wilfred runął na ziemię, Gorgias zdążył go przytrzymać.

— Puście mnie! Sądźcie, że skoro nie mam nóg, jestem takim samym niedojdą jak wy? Zabierz ode mnie łapy, przeklęty marnotrawco! — zawołał.

— Uspokójcie się, wasza wielmożność. Ten dokument na nic by się już nie przydał. Dlatego zacząłem już pracować nad nowym pergaminem.

— Nad nowym pergaminem, mówicie? A co zrobicie tym razem? Rzucicie go jakiemuś psu na pożarcie? A może ugotujecie, a potem potniecie nożem?

— Wasza wielmożność, błagam was. Nie traćcie wiary. Będę pracował dzień i noc, jeśli okaże się to konieczne. Przysięgam, że wkrótce dostaniecie ten dokument.

— A kto wam powiedział, że mam tyle czasu? — mruknął Wilfred, układając się wygodniej na łożu. — Wysłannik papieski może przybyć w każdej chwili i jeśli do tego czasu nie będę miał dokumentu... Boże! Nie znacie tego prałata! Nie chcę nawet myśleć, co mogłoby się z nami stać.

Gorgias żałował, że jest tak powolny, ale rana na ramieniu utrudniała mu pracę. Jeśli poselstwo z Rzymu przybędzie przed czasem, Wilfred będzie mógł na swoje usprawiedliwienie powiedzieć, że oryginał spalił się podczas pożaru. Gorgias wziął głęboki oddech i zwrócił się ponownie do Wilfreda.

— Zatem kiedy ma przybyć ten prałat?

— Nie wiem. W ostatnim liście zawiadamał, że wyruszy z Frankfurtu pod koniec roku.

— Możliwe, że niepogoda go zatrzyma — zasugerował.

— Oczywiście! I możliwe również, że zjawi się teraz niespodziewanie!

Przez chwilę Gorgias zastanawiał się, czy przedstawić mu swój pomysł, ale wreszcie się zdecydował.

— Co mówicie? — spytał z niedowierzaniem hrabia.

— Mówię, że jeśli ten wysłannik zjawi się, nim dokument będzie gotowy, być może moglibyście powiedzieć mu prawdę: że oryginał spalił się w warsztacie Kornego. I teraz potrzebujemy dużo więcej czasu.

— Rozumiem. A powiedzcie, czy oprócz sugestii, bym wyznał prałatowi waszą nieudolność, a przy okazji i moją, macie może jeszcze jakiś inny genialny pomysł?

— Ja tylko starałem się...

— Na miłość boską, Gorgiasie, przestańcie się starać i zróbcie coś wreszcie tak, jak należy!

Gorgias spuścił głowę, przyznając się do własnej nieporadności. Uniósł wzrok i obserwował zamyśloną twarz hrabiego. W końcu Wilfred mruknął coś, co musiał powtórzyć, aby Gorgias go zrozumiał.

— Koniec końców może osądziłem was zbyt surowo. Na pewno nie zamierzaliście zmarnować tylu godzin pracy.

— Oczywiście, że nie, wasza wielbność.

— A ten wasz pomysł... z pożarem. Dokładnie tak się wydarzyło...

— Tak jest — przyznał Gorgias nieco uspokojony.

— No dobrze. Sądźcie, że w trzy tygodnie ukończycie dokument?

— Z pewnością.

— Wobec tego najlepiej będzie, jeśli uznamy naszą rozmowę za zakończoną, a wy od razu zabierzcie się do pracy. Załóżcie kaptur.

Gorgias skinął głową. Ukląkł, ucałował pomarszczone dłonie Wilfreda i niezdarnie narzucił kaptur.

* * *

Choć szedł po omacku, droga powrotna wydała mu się krótsza. Z początku sądził, że to przez pośpiech Genzeryka. Ale w miarę jak szli coraz dalej, zorientował się, że wikariusz obrał inną drogę. Dlatego zdziwił go brak fetoru z latryn oraz schodów, który czuł, gdy szli do apartamentów Wilfreda. Przez chwilę sądził, że ta zmiana wynika z gorliwości Genzeryka, ponieważ o tej porze służba płątała się po całym budynku, ale gdy wikariusz kazał mu zdjąć kaptur, Gorgias ze zdziwieniem stwierdził, że znajdują się w jakimś nieznanym mu miejscu.

Obejrzał uważnie niewielką okrągłą salkę. Pośrodku wznosił się ołtarz, na którym płonęła pochodnia. Drżące światło rzucało złoty poblask na kamienne płyty i drewniany przegniły strop. Między dźwigarami widniały niewyraźne rysunki o charakterze liturgicznym, lekko szerniały od świecowego dymu. Gorgias domyślał się, że są w chrześcijańskiej krypcie, choć znajdowała się w takim stanie, że z łatwością można by ją pomylić z lochami Hagii Sophii.

Na bocznej ścianie zobaczył drugie drzwi zamknięte na zamek.

— A cóż tam jest? — spytał zdziwiony.

— Dawna kaplica.

— To widzę. Bez wątpienia interesujące miejsce, ale zrozumcie, że muszę zająć się moimi obowiązkami — powiedział, tracąc cierpliwość.

— Wszystko w swoim czasie, Gorgiasie... Wszystko w swoim czasie.

Na twarzy wikariusza pojawił się cień wymuszonego uśmiechu. Wyjął z torby świecę, zapalił ją i umieścił na kamiennym ołtarzu. Potem ruszył do drzwi, które Gorgias wcześniej zauważył, i odsunął blokujący je potężny rygiel.

— Wejdźcie, proszę. — Gorgias miał nieufną minę, więc starzec poszedł pierwszy. — Albo idźcie za mną, jeśli tak wolicie — dodał.

Po chwili wahania Gorgias ruszył za nim.

— Pozwólcie, że usiądę — mówił dalej Genzeryk. — Ta wilgoć wchodzi mi w kości. Wy też siadajcie, proszę.

Gorgias niechętnie się zbliżył. Odór moczu, który unosił się wokół Genzeryka, wywoływał w nim mdłości.

— Pewnie zastanawiacie się, po co was tu przyprowadziłem.

— W istocie — odparł Gorgias wyraźnie zirytowany.

— Chodzi o pożar. Paskudna historia. Zbyt wiele ofiar... a co gorsza, zbyt wiele strat. Sądzę, że Wilfred mówił wam już o zamiarach pergamenariusza Kornego.

— Macie na myśli jego starania o to, by zrzucić winę na mnie?

— Wierzcie mi, że nie chodzi tylko o starania. Pergamenariusz może i jest bezmyślny, może jest człowiekiem prymitywnym, nieumiarkowanym, ale zapewniam was, że jest wyjątkowo zawzięty. Wini was za to, co się wydarzyło, i użyje wszelkich środków, byście zapłacili za to własną krwią. I zapomnijcie o zadośćuczynieniu. Jego żądza zemsty podporządkowana jest racjom, których nigdy byście nie pojęli.

— Nie tak przedstawiał mi to hrabia — odparł Gorgias coraz bardziej zaniepokojony.

— A co wam powiedział? Że odszkodowanie poskromi jego wściekłość? Że zadowolony się tym, co uzyska, sprzedając was jako niewolników? Nie, przyjacielu. Nie. Korne nie z takiej gliny jest ulepiony. Być może nie mam tak wyrafinowanej kultury jak Wilfred, ale wystarczy, że wywęszę bestię, a już wiem, z kim mam do czynienia. Słyszeliście o szczurach z Menu?

Gorgias pokręcił głową zdziwiony.

— Te szczury żyją w niesłychanie licznych rodzinach. Najstarszy wybiera ofiarę i gdy nadarzy się odpowiedni moment, prowadzi cały klan, który rzuca się na ofiarę i ją pożera. Korne to taki szczur z Menu. Najgorszy, jakiego możecie sobie wyobrazić.

Gorgias oniemiał. Wilfred mówił mu o prawach karolińskich, karach w ramach zadośćuczynienia i możliwości podania go do sądu przez Kornego, ale nie wspominał o tym, co najwyraźniej sugerował Genzeryk.

— Może Korne powinien zrozumieć, że ja już zostałem dostatecznie ukarany. Ponadto prawo zobowiązuje go do...

— Korne miałyby coś zrozumieć? — przerwał mu Genzeryk, wybuchając śmiechem. — Na miłość boską, Gorgiasie, nie żyjcie złudnymi mrzonkami! Odkąd prawo chroni bezbronnego? Choćby i podstawy kodeksu ripuarskiego stanowiły fundamenty naszego wymiaru sprawiedliwości, choćby reformy Karola Wielkiego przepełniało chrześcijańskie miłosierdzie, daję słowo, że one nie uwolnią was od nienawiści Kornego.

Gorgias czuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Ten szalony starzec wypluwał z siebie absurdalne opowieści o szczurach i bredził coś bez sensu, a jego tymczasem czekała praca, której końca nie było widać. Wstał zdenerwowany, uważając rozmowę za zakończoną.

— Przykro mi, ale nie podzielam waszych obaw. A teraz, jeśli można, chciałbym wrócić do skryptorium.

Genzeryk pokręcił głową.

— Gorgiasie, Gorgiasie... Nic nie chcecie zrozumieć. Zostańcie jeszcze chwilę, a zobaczycie, że kiedyś będziecie mi wdzięczni — powiedział życzliwie. — Wiedzieliście, że Korne jest Sasem?

— Sasem? — zdziwił się Gorgias. — Sądziłem, że jego dzieci są ochrzczone.

— Nawróconym Sasem, ale zawsze Sasem. Kiedy Karol Wielki podbił ziemie na północy, zmusił Sasów, by wybrali między krzyżem a szafotem. Od tamtej pory miałem pod swoją pieczę wielu spośród tych pogan i choć uczestniczą w moich mszach i przestrzegają postu, zapewniam was, że w ich żyłach wciąż płynie trucizna grzechu.

Gorgias zabębnił palcami o mur. Słowa Genzeryka zaczynały go coraz bardziej niepokoić.

— Wiecie, że wciąż składają ofiary? — mówił wikariusz. — Chodzą na skrzyżowania dróg i zarzynają tam cielaki, dopuszczają się sodomii, a nawet obcują z własnymi siostrami, popełniając potworne kazirodztwo. Korne jest jednym z nich i Wilfred o tym wie. Ale hrabia nie ma pojęcia o ich pradawnych zwyczajach, takich jak faide, zemsta Sasów, zgodnie z którą za śmierć syna zadośćuczynieniem może być tylko zabójstwo winnego.

— Ale ile razy mam powtarzać, że pożar był wynikiem wypadku? — powiedział zirytowany Gorgias. — Wilfred może wam to potwierdzić.

— Uspokójcie się, Gorgiasie. Nie chodzi o to, co wy na ten temat mówicie, ani nawet o to, co naprawdę wtedy się wydarzyło. Liczy się tylko to, że Korne obwinia waszą córkę. Ona nie żyje, a wy wkrótce do niej dołączycie.

Gorgias obserwował Genzeryka. Jego wilgotne oczy zdawały się przeszywać go na wskroś.

— A więc po to przyprowadziliście mnie tutaj? By obwieścić moją rychłą śmierć?

— Aby wam pomóc, Gorgiasie. Przyprowadziłem was tutaj, by wam pomóc.

Starzec odczekał chwilę. Potem wstał. Dał znać Gorgiasowi, by poczekał, i wyszedł z celi do krypty.

— Poczekajcie. Muszę czegoś poszukać.

Gorgias usłuchał. Z wnętrza celi obserwował, jak Genzeryk krąży od jednej ściany krypty do drugiej. Wreszcie wrócił z zapaloną gromnicą i ustawił ją na wsporniku przy drzwiach.

— Bierzcie — powiedział wikariusz, rzucając jakiś przedmiot w stronę Gorgiasa.

— Woskowa tabliczka?

Zamiast odpowiedzi Genzeryk cofnął się kilka kroków i szybkim ruchem zatrzaskał za sobą drzwi, zostawiając Gorgiasa w celi.

— Ale co robicie? Natychmiast otwórzcie!

Po chwili zrozumiał, że waląc w drzwi, jedynie pościera sobie kłykcie. Kiedy zaniechał wysiłków, usłyszał głos Genzeryka, łagodny jak nigdy dotąd.

— Wierzcie, że tak będzie dla was najlepiej. Tu jesteście bezpieczni — wyszeptał starzec.

— Ty stary szaleńcu. Nie możecie mnie tu zatrzymać. Hrabia zedrze z was skórę, jak tylko się o tym dowie.

— Biedny marzyciel — zaśmiał się. — Nie rozumiecie, że to pomysł Wilfreda.

Gorgias mu nie uwierzył.

— Majaczycie. On nigdy by...

— Uciszcie się i słuchajcie! Na stole znajdziecie stylus. Zapiszcie, czego potrzebujecie: książki, tusz, dokumenty... Wrócę po tercji po listę. Do tej pory możecie robić, co wam się podoba. Wreszcie będziecie mieć tyle czasu, że ze wszystkim zdążycie. .

ROZDZIAŁ 7

Tuż przed południem Theresa zjadła ostatnią porcję solonej ikry. Potem przeszukała sakwę w nadziei, że znajdzie jeszcze jakieś okruszki, ale musiała zadowolić się oblizaniem palców. Upiła łyk wody, spojrzała przed siebie i usiadła, by odpocząć. Dobrze znała tę drogę, ale gruba kołdra nieskalanego śniegu ukrywała wszystkie wcześniej wytyczone szlaki i przed jej oczami roztaczał się niczym niezmacony, jednolicie biały krajobraz.

Odkąd opuściła chatę, starała się postępować zgodnie z radami Hoosa Larssona, które zapamiętała, gdy poprzedniego wieczoru opowiadał jej o pokonanej przez siebie drodze. Hoos twierdził, że Sasi zachowują się dość lekkomyślnie. Śpiewy i okazałe ogniska zdradzają ich obecność. Według niego nietrudno było zachować życie: wystarczyło tylko poruszać się z przebiegłością osaczonego zwierzęcia, przemieszczać się ukradkiem, zapomnieć o głównych szlakach, obywać się bez ognia, zwracać uwagę, gdy ptaki gwałtownie się rozpierzchają, i obserwować ślady na śniegu. Twierdził również, że każdy, kto zachowałby wystarczającą ostrożność i znał drogę, mógłby pokonać tę trasę.

Każdy, kto znałby drogę, pomyślała z goryczą Theresa.

Zazwyczaj, aby dostać się do Aquis-Granum, należało obrać szlak zachodni, czyli przejść przez kotlinę Menu w stronę Frankfurtu, iść z biegiem rzeki przez cztery dni aż do miejsca, w którym łączy się ona z Renem, i po kolejnych trzech dniach drogi docierało się do stolicy. Ale zgodnie z tym, co mówił Hoos, gdy bandyci krążyli na obu brzegach, taka trasa oznaczała niechybną śmierć.

Z drugiej strony w samym środku zimy, przy zasypanych śniegiem drogach, wymarsz na południe w stronę Alp Szwabskich był prawdziwym szaleństwem.

Uznała, że nie ma innego wyjścia, i musi iść przez Fuldę.

Uniosła oczy ku niebu, podziwiając niedostępną ścianę gór. Łańcuch górski Rhon wyznaczał od strony północnej granice prowincji Wiirz-burga i tę właśnie drogę obrał Hoos, idąc z Aquis-Granum do Wiirz-burga. Po dojściu do Fuldy Theresa zamierzała iść dalej korytem rzeki Lahn, która według Hoosa była łatwa do pokonania.

Choć nigdy wcześniej nie była w Fuldzie, podejrzewała, że dotrze do tego miasta w ciągu dwu dni. Liczyła się zatem z tym, że będzie musiała przenocować gdzieś po drodze. Przeżegnała się, wciągnęła powietrze i zaczęła maszerować w stronę gór.

Szła lekkim krokiem ze wzrokiem wbitym w szczyty gór, które zdawały jej się coraz bardziej odległe. Idąc, zjadła resztę chleba, zagryzając jagodami i orzechami, które znajdowała po drodze. Przeszła bez żadnych niespodzianek kilka kilometrów, ale w trzeciej godzinie marszu zaczęła utykać. Lekkie mrowienie wkrótce przekształciło się w ostry ból, który uniemożliwił dalszą marszrutę. Stojąc po kolana w śniegu, spojrzała na góry i westchnęła. Zaczynało zmierzchać. Jeśli zamierza dojść do przełęczy w górach Rhon, musi przyspieszyć kroku.

Miała już ruszyć naprzód, gdy usłyszała rzenie. Zamarła przerażona i obróciła się powoli, sądząc, że stanie twarzą w twarz z nieprzyjacielem, ale nie zobaczyła nic niepokojącego. Jednak niemal od razu po kilku kolejnych rzeniach rozległo się szczekanie. Wygramoliła się z zasy śniegu, który ją blokował, i pobiegła schować się za pobliskimi skałami, ale ledwie się tam znalazła, z przerażeniem zobaczyła pasmo śladów, które zostawiła na śniegu. Ktokolwiek tu się zjawi, z pewnością ją odkryje. Schowała głowę w ramiona i czekała skulona. Szczekanie stawało się coraz głośniejsze, aż zamieniło się w ujadanie sfory psów. Powoli wystawiła głowę i rozejrzała się. Choć wokół nadal nikogo nie było, zorientowała się, że jazgot dobiega z wąwozu, który biegł wzdłuż drogi.

Przez chwilę wahała się, ale w końcu podjęła decyzję. Opuściła kryjówkę i zakradła się na skraj jaru. Położyła się na śniegu, spojrzała w dół i zdumiona patrzyła, jak sfora wilków rozszarpuje wnętrze konia leżącego na dnie parowu. Biedne zwierzę parskalo i walczyło, ryjąc ziemię kopytami. Theresa zauważyła, że jego wnętrze leżą rozciągnięte na śniegu.

Niewiele myśląc, zaczęła krzyczeć i machać rękoma, jakby to ją rozszarpywały te dzikie bestie. Wilki zaś, słysząc jej wrzaski, zatrzymały się, ale natychmiast groźnie zawarczały. Przez chwilę sądziła, że ją zaatakują, więc pochyliła się i złapała suchą gałąź, która leżała u jej stóp. Złamała ją na pół i cisnęła z całych sił w stronę sfory. Jeden z szarych wilków przestraszył się i uciekł. Pozostałe były niezdecydowane, ale po chwili pobiegły za nim.

* * *

Theresa odczekała chwilę, by upewnić się, że wilki nie wracają, po czym postanowiła zejść na dół.

Okazało się to dużo trudniejsze, niż podejrzewała, i nim znalazła się na dole, rumak już był w agonii. Na skórze miał pełno ran, przy czym niektóre wcale nie wyglądały na ślady ukąszeń. Usiłowała ulżyć mu w cierpieniach, luzując

popręg przy siodle, ale nie dała rady. Nagle rumak zadygotał, jakby go kto rozłupał, zarżał kilka razy i po kilku spazmach legł martwy na śniegu.

Theresa nie mogła się opanować. Po policzku spłynęła jej łza współczucia. Później, kiedy już się uspokoiła, rozwiązała juki i zaczęła przeglądać ich zawartość. W pierwszej torbie znalazła derkę, kawałek sera i sakwę, na której widniało imię „Hoos”. Zatrzymała się na chwilę oszołomiona swym odkryciem. Bez wątpienia koń należał do Hoosa, to musiał być rumak, którego Hoos, jak mówił, stracił w wąwozie. Stąd te rany. Ugryzła kawałek sera i zabrała się znów do dzieła. W tej samej torbie znalazła wyprawioną skórę dzika, garnuszek z marmoladą, drugie naczynie z oliwą, dwa potrzaski z metalu i buteleczkę z jakąś cuchnącą esencją. Wzięła marmoladę i zostawiła resztę. W drugiej torbie znajdowało się kilka różnych skór, których nie potrafiła zidentyfikować, zapieczętowana amfora, pęk pawich piór i skrzyneczka z pomadami. Przypuszczała, że są to prezenty, które Hoos wiózł swoim krewnym, a gdy stracił wierzchowca, uznał, że nie warto ich dźwigać.

Wiedziała, że każdy przedmiot może jej się przydać, ale zarazem utrudni dalszą marszrutę. Poza tym gdyby ktoś je przy niej znalazł, mógłby uznać ją za złodziejkę, postanowiła zatem zabrać tylko jedzenie. Zamknęła juki, po raz ostatni spojrzała na martwego wierzchowca i zaczęła wspinać się z powrotem po zboczu.

* * *

Kiedy dotarła do przełęczy, było jeszcze na tyle jasno, że mogła ocenić sytuację. Uznała, że nie jest w stanie pokonać teraz przejścia, i zaczęła szykować się do spędzenia nocy w górach. Następnego dnia pójdzie na wschód i poszuka drogi do Fuldy, o której wiedziała od Hoosa tylko tyle, że jej początek mieści się przy dość charakterystycznej skalnej formacji.

Na początku sądziła, że zniesie mróz, ale kiedy stopy zaczęły jej zamarzać, spróbowała rozpalić ognisko. Wyjęła skrzyneczkę z krzesiwem, krzemieniem i hubą, zebrała trochę drewna i położyła na nich garść huby. Kiedy miała wszystko przygotowane, uderzyła krzesiwem o kawałek krzemienia. Huba się rozżarzyła, ale nim gałęzie zdążyły się zająć, żar zgasł.

Podjeżdżała, że problem tkwi w mokrym drewnie. Ułożyła więc więcej suchych gałęzi na tych, które były wilgotne, i przykryła następną porcją huby. Powtórzyła całą operację, ale bez rezultatu. Przygnębiona zdała sobie sprawę, że huby starczy jej tylko na dwie próby, i pomyślała, że jeśli użyje całej, zamiast dzielić ją na porcje, być może jej się uda.

Wyjęła buteleczkę z oliwą i wylała jej zawartość na gałęzie. Następnie wysypała całą hubę na kawałek skóry i rozgniotła skrzyneczkę na drobny mak. Ułożyła drzazgi na stosie gałęzi, wysypała na nie hubę i przeżegnała się, modląc, by się zapaliły.

Za trzecim razem udało jej się tak uderzyć w krzemień, że wreszcie wystrzelił setkami iskier. Za czwartym razem huba się zajęła. Theresa zaczęła szybko dmuchać w stronę słabych płomyczków, które lizały drzazgi. Przez chwilę płomienie osłabły i niemal całkiem zanikły, ale potem powoli zaczęły nabierać na sile, aż wreszcie skropione oliwą drwa zajęły się ogniem.

Tej nocy Theresa spała spokojnie. W ciepłe ognia wyobrażała sobie, że czuwa nad nią jej ojciec. Śniła o swojej rodzinie, o pracy w charakterze pergamenariusza i o Hoosie Larssonie. We śnie był szlachetny, silny i doświadczony. A na koniec ją pocałował.

* * *

Tuż przed nastaniem świtu Theresę obudziła burza. Ulewa przemoczyła ją do suchej nitki, więc zebrała swoje rzeczy i pobiegła skryć się pod pobliskim dębem. Kiedy przestało padać, odniosła wrażenie, że znów robi się chłodniej.

Powoli niebo się roz pogodziło, zza chmur wyrzało niepewnie słońce, a jego słabe promienie padły na szczyty gór. Theresa uznała to za dobry zwiastun. Nim ruszyła w drogę, pomodliła się o zdrowie ojca, macochy, a także za nieszczęsnego konia Hoosa. Podziękowała również za to, że udało jej się przeżyć kolejny dzień. Potem okryła się peleryną, ugryzła kawałek sera i wciąż jeszcze przemoczona deszczem zaczęła iść naprzód.

Trzy kilometry dalej zaczęła powątpiewać, czy obrała właściwą trasę. Droga zwężała się i teraz Theresa szła ścieżkami, które to pojawiały się, to znikwały w całkowicie bielusińskim krajobrazie. Mimo to nie ulękła się i szła dalej, choć nie wiedziała, czy idzie w dobrym kierunku.

W południe zagroził jej drogę strumień. Szła jakiś czas brzegiem w poszukiwaniu miejsca, w którym mogłaby się przeprawić na drugą stronę, aż doszła do łożyska rzeki, gdzie woda rozlewała się, tworząc niewielką lagunę. Zatrzymała się na chwilę, podziwiając krajobraz i kryształowo czystą wodę. Odbijały się w niej, mnożąc swe piękno, jodły i góry. Fascynowały ją te drzewa rosnące niczym ogromna armia, ich zielone gałęzie oproszone śniegiem, szemranie strumienia i intensywny aromat żywicy, który wypełniał wraz z mroźnym powietrzem jej płuca.

Poczuła, że z głodu burczy jej w brzuchu.

Sięgnęła do sakwy, choć wiedziała, że nic tam nie znajdzie. Postanowiła zrobić to, co wielokrotnie na jej oczach robili wiejscy chłopcy: poszukała zacienionego miejsca, uniosła kilka kamieni, aż trafiła na gniazdo dżdżownic. Nadziała kilka z nich na haczyk, który wykonała, wyjmując z włosów szpilkę i przyczepiając ją do gałęzi. Przywiązała jeden koniec do wełnianej nici, którą wyprała ze swej sukni, i zarzuciła haczyk tak daleko, jak tylko dała radę. Powtarzała sobie, że przy odrobinie szczęścia zje na śniadanie pieczonego pstrąga.

Nagle zobaczyła coś, co ją zaniepokoiło. Kilka kroków dalej za krzakami majaczyła jakaś łódka. Choć Hoos nic jej o tym nie wspominał, na pewno musiała to być jedna z tych barek używanych do przeprawy towarów. Theresa wyszła z krzaków i skoczyła na łódkę, która zaskrzypiała pod jej ciężarem. Niedaleko dziobu znalazła żerdź wspartą o napięty sznur, który niczym most łączył oba brzegi. Przypuszczała, że sznur ma uniemożliwiać porwanie łódki przez prąd podczas przeprawy. Upewniwszy się, że w kadłubie nie ma szczelin, postanowiła ściągnąć barkę z mielizny i doprowadzić ją na drugi brzeg.

Zeszła na ląd, oparła się plecami o dziób i stojąc w błocie, pchała całym ciężarem ciała barkę. Ale ta nie ruszyła się ani o jotę. Spróbowała raz jeszcze, aż z wysiłku nogi i ręce zaczęły jej drżeć. Wreszcie ledwo żywa padła na ziemię i zaczęła płakać.

Nie pamiętała już, ile razy płakała od czasu ucieczki z Wurzburga. Otarła łzy i postanowiła zaniechać swoich planów. Powiedziała sobie, że być może powinna wrócić i poprosić o łaskę Wilfreda, Boga albo kogo tylko będzie trzeba. Przynajmniej byłaby wówczas ze swoją rodziną i być może z jej pomocą zdołałaby udowodnić, że nie była sprawczynią pożaru. Ale gdy przypomniwała sobie śmierć tamtej dziewczyny, zrozumiała, jak bardzo złudne są takie nadzieje. Jej życie, jeśli czekało ją jeszcze jakieś życie, bez wątpienia znajdowało się po drugiej stronie laguny.

Przygnębiona rozejrzała się wokół. Podniosła średniej wielkości kamień i cisnęła go w stronę drugiego brzegu rzeki. Kamień pokonał jakieś ćwierć drogi i wpadł do wody. Tym sposobem Theresa oszacowała odległość na mniej więcej sto kroków. Przy takim mrozie nigdy nie zdoła pokonać tego odcinka wpław. Pocieszała się myślą, że może kawałek dalej znajdzie jakiś most, ale gdy miała już odejść, wpadła na pomysł, że może gdyby trzymała się rękoma sznura, dałaby radę przeprowić się na drugi brzeg. Lina była z obu stron przywiązana do drzew, które sprawiały wrażenie na tyle solidnych, by

utrzymać ciężar jednego człowieka. Przyjrzała się dobrze i stwierdziła, że choć w połowie drogi lina zwisa niżej, w żadnym miejscu nie zanurza się w wodzie.

Kiedy przekonała się do tego pomysłu, weszła do wody. Z zimna przeszedł ją dreszcz, ale brnęła dalej. Gdy zaczęła tracić grunt pod nogami, rzuciła się na linę, zawisała na niej twarzą w górę z głową skierowaną w stronę przeciwnego brzegu. A potem zaczęła powoli posuwać się naprzód, kurcząc się i rozciągając niczym gąsienica.

Pierwszy odcinek pokonała bez trudu, ale w trzeciej części drogi lina zaczęła opadać, zbliżając się niebezpiecznie do wody. Gdy poczuła, że woda moczy jej plecy, zanurzyła się i zaczęła iść w bród, trzymając się liny. Kiedy zobaczyła, że sznur znów się unosi, ponownie zarzuciła na niego nogi. W tej samej chwili torba, w której przenosiła swoje rzeczy, otworzyła się i wypadło z niej krzesiwo. Próbowwała je pochwycić, ale porwał je prąd. Zakłęła i ruszyła dalej. Wreszcie po kilku chwilach, które zdawały się trwać całą wieczność, dotarła do drugiego brzegu.

Natychmiast rozebrała się, by wyjąć ubranie. Gdy to robiła, jej uwagę przykuł jakiś dziwny blask, który dobywał się z nieokreślonego bliżej miejsca kilka kroków dalej. Zastanawiała się, czy to nie jest przypadkiem niedawno utracone krzesiwo i choć takie przypuszczenie było nieprawdopodobne, czym prędzej się ubrała i ruszyła w stronę kuszącego blasku. Ale gdy podeszła bliżej, okazało się, że to chmara raków oblegających zwłoki jakiegoś mocno zdeformowanego żołnierza.

Przypuszczała, że to Sas, choć równie dobrze mógł być Frankiem.

Zwróciła uwagę na okropną ranę biegnącą od lewego ucha do nasady szyi. Twarz częściowo stoczyły już czerwie, a skóra z powodu nagromadzonej pod nią krwi przybrała siny odcień. Wyglądało na to, że ma skręcone kostki i choć był odziany, widać było, że jego brzuch jest nadęty jak u starego pijaka. Theresa spostrzegła, że blask pochodził od skramasaksu, który żołnierz miał u pasa, i choć miała ochotę go sobie przywłaszczyć, zrezygnowała, bo przecież powszechnie było wiadomo, że dusze zmarłych przez trzy dni czuwają przy swoich ciałach.

Odeszła kilka kroków dalej, by przyjrzeć się lepiej temu widowisku, trochę z odrazą, a trochę ze zdziwieniem. Obserwując raki, zaczęła się zastanawiać, jak smakowałyby po upieczeniu. Wtedy przypomniała sobie, że zgubiła krzesiwo, i pomyślała, że może żołnierz miał jakieś przy sobie. Za pomocą drąga odsunęła raki, ale znalazła tylko same szmaty i jeszcze więcej skorupiaków.

Przeszukiwała właśnie ubranie zmarłego, gdy poczuła, że ktoś chwyta ją za plecy. Zaczęła piszczeć i kopać, jakby porwał ją sam diabeł, ale nagle czyjaś dłoń zakryła jej usta. W odpowiedzi wbiła paznokcie w rękę napastnika z taką siłą, że myślała, iż jej odpadną. Wtedy poczuła siarczysty policzek i została uniesiona w górę niczym lalka.

— Ty diablico! Zaczynj znów krzyczeć, a wyrwę ci język! Theresa usiłowała krzyknąć, ale nie była w stanie.

Stała przed nią jakaś postać z piekła rodem, groźnie na nią spoglądając. Był to starszy mężczyzna o przeżartej zgnilizną, jakby zjedzonej przez myszy twarzy. Jego przerzedzone włosy odsłaniały liczne prześwity pokryte ranami i brudem. Wbił swe stalowoszare oczy w Theresę, jakby chciał ją przebić na wylot. Jej uwagę przykuły kły towarzyszącego mu psa.

— Spokojnie, dziewczyno. Szatan gryzie tylko tych, którzy sami się o to proszą. Jesteś sama?

— Tak — wyjąkała. I natychmiast pożałowała takiej odpowiedzi.

— Czego szukałaś u tego trupa?

— Niczego. — Ugryzła się w język, bo odpowiedź nie mogła być głupsza.

— Ach, niczego! Dalej! Ściągaj buty i odrzuć je na bok — rozkazał. — Jak się nazywasz?

— Theresa — odparła, spełniając jego polecenie.

— Dobrze. Podaj mi to — wskazał sakwę, którą miała na ramieniu. — Można wiedzieć, co tu robisz?

Theresa nie odpowiedziała. Mężczyzna otworzył torbę i zaczął ją przeszukiwać.

— A ten sztylet? — Był to nóż, który zabrała Hoosowi Larssonowi.

— Oddaj mi go. — Theresa wyrwała mu sztylet i schowała pod suknię. Mężczyzna kontynuował przeszukiwanie.

— Co to jest? — spytał. Wyciągnął już rylec i tabliczki.

— Co takiego?

— Nie udawaj głupiej. Ten pergamin, który ukryłaś w podwójnym dnie.

Theresa zdziwiła się. Pomyślała, że zapewne z jakiegoś istotnego powodu jej ojciec musiał go tam ukryć.

— Poemat Wergiliusza. Zawsze go chowam, aby nie zawilgotniał — wymyśliła na poczekaniu.

— Poematy... — wycedził przez zęby, chowając pergamin do sakwy. — Rzadkie dziwactwo. Teraz słuchaj uważnie. Tu w okolicy jest pełno bandytów, więc jest mi wszystko jedno, co robisz, skąd przychodzisz, czy jesteś sama i

czego szukałaś u nieboszczyka... Ale ostrzegam: jeśli spróbujesz krzyczeć albo zrobisz coś niewłaściwego, Szatan w mgnieniu oka dorwie ci się do gardła! Zrozumiano?

Theresa przytaknęła. Spróbowałaby uciec, ale bez butów byłoby to czystą głupotą. Podejrzewała, że to z tego powodu mężczyzna kazał jej zdjąć obuwie. Cofnęła się kilka kroków i uważnie mu się przyjrzała. Miał na sobie dziurawą pelerynę przewiazaną w pasie, która odsłaniała długie, kościste nogi. Kiedy skończył przeszukiwać jej sakwę, pochylił się i złapał kostur, na którego końcu wisiał dzwoneczek. Wówczas Theresa spojrzała uważniej na jego rany i pojęła, że mężczyzna jest trędowaty.

Długo się nie zastanawiała. Gdy tylko stary odwrócił wzrok, obróciła się na pięcie i ruszyła biegiem przed siebie, ale zaraz się poślizgnęła i upadła. Natychmiast też poczuła oddech psa na swoim karku. Zastygła bez ruchu, czekając na śmiertelne ukąszenie, ale pies ani drgnął. Wówczas stary zbliżył się i podał jej pokrytą strupami dłoń. Theresa instynktownie się odsunęła.

— Boisz się moich ran? — zaśmiał się. — Bandyci również. No już, wstawaj. To tylko barwidło.

Theresa spojrzała na wrzody, które z bliska wyglądały raczej jak plamy, ale mimo to nie nabrała zaufania. Mężczyzna, widząc jej nieufne spojrzenie, potarł dłonie i rany znikły.

— Teraz widzisz, że nie kłamię. Chodź. Usiądź tutaj i siedź spokojnie — powiedział, zwracając jej sakwę. — Z tym, co tu masz, daleko nie zajdziesz.

— Naprawdę nie macie trądu? — wyjąkała.

— Oczywiście, że nie — zaśmiał się. — Ale ta maskarada nieraz uratowała mi skórę. Przyjrzyj się dobrze.

Wziął garść piasku i roztarł go w dłoniach. Następnie wyjął flakon z ciemnym barwidłem, wylał trochę płynu na piasek i ugniótł na jednolitą masę, dodał do niej jakiś inny balsam i nałożył sobie ten okład na ramiona.

— Zwykle dodaję klej, bo wtedy po wyschnięciu lepiej się trzyma.

Bandyci boją się trędowatego bardziej niż całej armii. — Rzucił okiem na trupa. — Wszyscy prócz tego — powiedział, wskazując na nieboszczyka. — Ten łotr usiłował ukraść mi skóry. Teraz niech sobie okrada samego diabła. A zresztą... Od jak dawna zajmujesz się okradaniem nieboszczyków?

Theresa nie odpowiadała. Stary pochylił się i zaczął przeszukiwać trupa. Znalazł woreczek przytroczony do pasa, otworzył go, uśmiechnął się na widok tego, co w nim było, i schował go pod ubranie. Następnie zerwał z szyi nieboszczyka kilka wisiorów z jakimiś dziwnymi szaroburymi kamieniami,

zabrał skramasaks, schował go do futerału obok swojego skramasaksu i na koniec obrócił ciało. Nie znalazłszy więcej nic interesującego, położył ciało z powrotem między kamieniami.

— Cóż — powiedział. — Temu człowiekowi nie będzie już to potrzebne. A teraz powiesz mi wreszcie, co tu robisz?

— Wyście go zabili?

— Ja tego nie zrobiłem. Tylko on — powiedział, klepiąc swój nóż. — Podejrzewam, że już od pewnego czasu tutaj krążył. Musiał być głupcem, bo zamiast mnie załatwić, poszedł prosto po skóry.

— Skóry?

— Te, które mam tu z tyłu, w wozie — machnął ręką gdzieś za siebie.

Theresa spojrzała w tamtą stronę i ucieszyła się na widok majaczącego w oddali wozu: skoro był tu wóz, to musiała być również droga.

— Koło się zepsuło i zastanawiam się, jak by je naprawić. Ty natomiast powinnaś stąd odejść. Ten człowiek na pewno nie był sam. — Podał Theresie buty, po czym odwrócił się i zaczął iść w stronę lasu.

— Proszę, zaczekajcie. — Wciągnęła buty i pobiegła za nim. — Jedzicie do Fuldy?

— Niczego nie szukam w tym mieście klechów.

— Ale znacie drogę?

— Oczywiście. Równie dobrze jak rozbójnicy.

Theresa nie wiedziała, co odpowiedzieć. Szła za nim aż do wozu, obserwując jego chód, charakterystyczny dla kogoś młodego wiekiem. Wtedy zwróciła uwagę na jego zęby. Choć duże i krzywe, były w komplecie i miały niezwykle biały kolor. Wyliczyła, że nieznajomy musi być mniej więcej w wieku jej ojca. Mężczyzna ukucnął przy złamanym kole i zaczął przy nim majstrować. Po chwili przerwał i spojrzał na Theresę.

— Nie odpowiedziałas mi. Czego szukałaś u tego trupa? A niech to lichu! Patrz, co mi zrobiłaś z ramieniem — powiedział, przecierając zadrapania, które powstały w trakcie szamotaniny z Theresa. — Myślałaś, że sam diabeł po ciebie przyszedł czy co?

— Szłam do Fuldy — wydukała. — Zobaczyłem martwego mężczyznę i pomyślałam, że może mieć przy sobie krzesiwo. Zgubiłam moje, kiedy przechodziłam przez jezioro.

— Mówisz, że przeszłaś przez jezioro? Zaczekaj... podaj mi tę maczugę. Zatem szłaś z Erfurtu?

— Tak — skłamała. Podała mu narzędzie.

— Wobec tego musisz znać Peterssenów. Zarządzają piecem kilka domów za katedrą.

— Tak, oczywiście — znów skłamała.

— I jak im się wie? Nie widziałem ich od lata.

— Dobrze... jak sędzę. Moi rodzice mieszkają za osadą.

— Aha — powiedział, krzywiąc się. Uderzył z całej siły w klin i koło wyskoczyło z osi.

Theresa wzdrygnęła się. Miała wrażenie, że ten człowiek jej nie uwierzył.

— Teraz czeka mnie najtrudniejsze — mówił dalej. — Widzisz tę szprychę? Jest złamana. I ta druga też. Cholerne drewno! Wymienię najbardziej zniszczoną, a drugą naprawię dwoma listewkami. Masz. Chwyć za kostur, a jak uderzę, zadzwoń dzwoneczkiem. Jeśli bandyci mają nas usłyszeć, niech usłyszą też muzykę trędowatych.

Theresa zauważyła, że stary wyprzągnął konia i podłożył pod wóz kamienie, by go zablokować. Mężczyzna poszedł na tył wozu i wyjął kijek, który okazał się zapasową szprychą. Powiedział, że zawsze ma przynajmniej jedną ze sobą, bo obróbka drewna dębowego jest bardzo skomplikowana. Porównał zapasową szprychę ze złamanymi, po czym ociosał jej koniec toporkiem.

— Czy to długo potrwa?

— Mam nadzieję, że nie. Gdybym miał to zrobić, jak Pan Bóg przykazał, spędziłbym tu całą noc: musiałbym zdjąć żelazną obręcz koła i wymienić szprychy. Nie jest to trudne, ale potem trzeba wstawić osie, jęczyczki i gniazda szprych. Ostrugam końce szprychy i wbiję ją maczugą. A teraz zadzwoń dzwonkiem.

Theresa potrząsnęła kosturem i rozległo się dzwonienie. Odgłos uderzeń młotka poniósł się po całym lesie. Dziewczyna usiłowała zagłuszyć echo, potrząsając kosturem z większą energią, ale choć bardzo się starała, stukanie jeszcze przez długi czas niosło się daleko w las.

Po jedzeniu chwilę rozmawiali. Mężczyzna powiedział, że nazywa się Althar i jest myśliwym polującym na zwierzynę za pomocą potrzasków. Mieszkał w lesie, w drewnianej chacie z żoną i Szatanem. Zimą polował, a latem sprzedawał skóry w Aquis-Granum. Theresa zwierzyła mu się, że uciekła, bo rodzice zamierzali wydać ją za męża. Poprosiła go o pomoc w dotarciu do Fuldy, ale Althar odmówił. Kiedy skończył naprawiać wóz, pożegnał się z dziewczyną.

— Już jedziecie? — spytała.

— Tak. Wracam do domu.

— A ja?

— A ty co?

— Co ja teraz pocznę? — spytała. Althar wzruszył ramionami.

— To, co powinnaś zrobić od początku: wrócisz do Erfurtu i wyjdiesz za tego mężczyznę, którego, jak mówisz, nienawidzisz. Na pewno nie jest taki zły.

— Już raczej wolę Sasów — powiedziała z takim przekonaniem, że sama zdziwiła się, jak dobrze wyszło jej to kłamstwo.

— Jeżeli o mnie chodzi, możesz robić, co ci się żywnie podoba. — Althar zaprzęgił konia i zaczął usuwać kamienie blokujące wóz. — Tylko się pospiesz. Mogą go szukać — powiedział, wskazując na nieboszczyka. — Jak tylko napoję konia, natychmiast stąd zmykam.

Theresa odwróciła się i ruszyła w drogę. Kiedy szła niepewnie, obserwując las, gęsty i zimny niczym cmentarzysko, po policzkach płynęły jej łzy. Po kilku krokach zatrzymała się, świadoma, że jeśli pójdzie dalej, niechybnie zginie. Althar sprawiał wrażenie zacnego człowieka, gdyby tak nie było, już by ją skrzywdził. A co więcej, miał żonę i znał Peterssenów. Może zgodzi się, by mu towarzyszyła.

Zawróciła, by powiedzieć mu o swoich umiejętnościach szwaczki i skłamać, że dobrze gotuje, ale na Altharze nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

Usunął ostatni kamień i wsiadł na wóz.

— Posłuchaj, dziewczyno. Polubiłem cię, ale zrozum, byłabyś tylko ciężarem. Kolejną gębą do nakarmienia. Przykro mi. Wracaj do domu i proś tego mężczyznę o wybaczenie.

— Nie wrócę.

— Zatem rób, co ci się podoba — odparł i pognął konia. Theresa nie wiedziała, co powiedzieć. Nagle przypomniała sobie o potrzaskach, które widziała przy koniu Hoosa.

— Mogłabym wam to wynagrodzić. Althar uniósł brew i łypnął na nią spod oka.

— Nie sędzę, abyś była w stanie. Jestem już za stary na takie igraszki.

Theresa udała, że nie słyszy tego komentarza.

— Wasze potrzaski... są już stare i zardzewiałe — powiedziała, podchodząc bliżej do wozu.

— Podobnie jak ja, a nadal do czegoś się nadaję.

— Aleja mogłabym wam zapewnić nowe. Wiem, gdzie można je znaleźć.

Althar zatrzymał konia. Bez wątpienia przydałyby mu się nowe potrzaski, ale tak naprawdę martwiło go, co się stanie z dziewczyną. Theresa opowiedziała mu o swoim spotkaniu z wilkami i wspomniała, co znalazła w jukach. Opisała również miejsce, gdzie leżał koń.

— Jesteś pewna, że to było w tym wąwozie? Theresa przytaknęła. Althar zamyślił się.

— A niech to! No już! Wsiadaj na wóz. Znam drogę, która zaprowadzi nas do tego jaru. Aha! I przebierz się, bo jeszcze zamarzniesz na śmierć, nim pokażesz mi to miejsce.

Dziewczyna wskoczyła na furmankę i rozsiadła się na stercie leżących w środku skór. Po chwili tuziny pakunków zaczęły trząść się, tańcząc w rytm truchtu wierzchowca. Theresa rozpoznała skóry bobrów i jeleni, a nawet zobaczyła jakieś futro wilka w dość marnym stanie. Niektóre były wyprawione, ale na większości z nich aż się roiło od insektów, które ucztowały wśród futer i resztek krwi. Theresa odsunęła

się, bo wydzielały nieznośny fetor, i przykryła się jakąś suchą już skórą. Z tyłu odkryła słój zakryły sitem, przez które ulatniał się cudowny aromat sera.

Theresa przycisnęła dłonie do brzucha, starając się uspokoić wygłodzone kiszki. Potem położyła się, zamknęła oczy i przeniosła w myślach do Wurzburga. Przypomniła sobie zimowe poranki, gdy Gorgias budził ją, całując w czoło, a potem szła z nim rozpalić piec, który zbudował za zagrodą. Wspominała pola pokryte śniegiem i miłe ciepło bijące od ognia, gdy towarzyszyła ojcu, czytając mu jakiś manuskrypt. Zastanawiała się, czy Althar w ogóle kiedykolwiek widział jakąś książkę.

Spojrzała na Szatana. Pies biegł za wozem w odległości rzutu kamieniem i rozglądał się baczny wzrokiem, dużo inteligentniejszym od spojrzenia niejednego spośród znanych jej młokosów. Co chwila podbiegał bliżej, by złapać w locie kawałki mięsa, które rzucał mu pan. Theresa znów poczuła, że burczy jej w brzuchu, i spytała Althara, kiedy będą jeść.

— Myślisz, że dostaję jedzenie za darmo? Zjemy, jak przyjdzie czas, dziewczyno. A teraz weź te skóry i zacznij je czyścić. Szczotka leży obok łuku.

Theresa nie protestowała. Przesunęła się bliżej jednego z największych tobołków, rozwiązała ścięgna, którymi był związany, rozłożyła skórę na kolanach i z energią zabrała się do pracy. Przy pierwszym podejściu ze skóry wydobyła się chmara insektów, które spadły Theresie pod nogi i rozpierzchły się wśród desek. Theresa szczotkowała dalej, nie podnosząc wzroku znad skór,

dopóki nie skończyła z pierwszym tobołkiem. Po czym, bez chwili przerwy, zabrała się do drugiego. Kiedy skończyła, Althar pokazał jej trzeci.

— Teraz wyczyść potrzaski. Mają lśnić.

Theresa złapała pułapki, splunęła na nie i odważnie zaczęła kolejną pracę. Polerując skomplikowany mechanizm, zastanawiała się, jaki to szczególnie talent w sztuce łowieckiej przejawia Althar, inaczej bowiem nie potrafiła wytłumaczyć sobie aż takiego nagromadzenia skór. Kiedy wreszcie powiadomiła Althara o wykonaniu zadania, ten zdziwił się, że tak szybko się z tym uporała. Zatrzymał konia, sprawdził wyniki jej pracy, uśmiechnął się i zeskoczył na ziemię.

— Nieźle, dziewczyno. Czas napęścić brzuchy.

Ruszył na tył wozu, pogrzebał wśród manatków i wyciągnął lniany worek, który rozłożył na ziemi. Szatan natychmiast podbiegł, węsząc, ale Althar odgonił go jednym kopniakiem. Potem zwrócił się do Theresy.

— Wejdz na ten pagórek i otwórz szeroko oczy. Jeśli zobaczysz coś podejrzanego: jakiś ogień, ludzi, albo usłyszysz rzenie koni, cokolwiek dziwnego, zawiadom mnie szczekaniem.

— Szczekaniem? — powtórzyła Theresa z niedowierzaniem.

— Tak, szczekaniem... Umiesz szczekać, prawda?

Theresa zaczęła nieudolnie naśladować dźwięk. Choć uważała, że efekt jest żałosny, ale Althar wydawał się całkiem zadowolony.

— Pospiesz się, no idź. I weź ze sobą dzwonek.

Kiedy Theresa wspinała się na wzgórze, Althar przygotował kilka plastrów sera, do których dodał parę kawałków twardego chleba. Potem rozkroił dwie cebule. Sam wziął największą porcję i wezwał Theresę.

— Wszystko w porządku — poinformowała go dziewczyna.

— Dobrze. W tym tempie dotrzemy do wąwozu przed południem. Zjemy teraz, bo nie będziemy się już więcej zatrzymywać. Tam z tyłu, pod potrzaskami znajdziesz trochę wina. A jak chcesz, to możesz lepiej się okryć, musisz być skostniała z zimna.

Myśliwy wlaź na wóz i pogał konia. Theresa również wskoczyła na wóz i nie błogosławiąc znakiem krzyża jedzenia, zaczęła pochłaniać swoją porcję, popijając winem, które smakowało wyśmienicie.

Wkrótce potem przejechali przez zalesiony, gdzieniegdzie pod-topiony teren. Od tej chwili Althar zmienił się na twarzy i zaczął przejawiać większą ostrożność. Najdrobniejszy dźwięk sprawiał, że z niepokojem rozglądał się bez

przerwy na wszystkie strony, zatrzymywał wóz i zeskakiwał z niego, by zbadać okolicę.

Przez chwilę miał wrażenie, że Szatan wyczuł jakieś niebezpieczeństwo. Pies nie trzymał się już na dystans. Z nastawionymi uszami i wyprostowanym ogonem uważnie śledził każdy ruch swojego pana.

Ujechali jakieś sto kroków, gdy Szatan zaczął szczeleć. Althar zatrzymał ostro konia, zszedł na ziemię i poszedł kawałek do przodu. Z zaniepokojoną miną nakazał Theresie milczenie i powoli sięgnął po swój skramasaks. Następnie bez słowa wyprostował się i znikł wśród zarośli.

Theresę zaczęły zawodzić nerwy. Próbowwała wspiąć się na palce, aby sięgnąć wzrokiem dalej, niż pozwalał na to jej wzrost, ale z powodu otarć na stopach okazało się to zbyt bolesne. Miała przeczucie, że lada moment wydarzy się coś strasznego. Althar po chwili wrócił. Był bardzo spięty.

— Chodź ze mną. Szybko.

Theresa zeskoczyła z wozu i pobiegła za nim w zarośla. Myśliwy szedł pochylony niczym kot śledzący swoją ofiarę. Theresa z trudem za nim nadążała, uchylając się przed gałęziami, które Althar odgarniał ze swej drogi. W niektórych miejscach chaszczki były tak gęste, że Theresa widziała jedynie to, co miała tuż przed swoim nosem, czyli plecy Althara. Nagle mężczyzna odwrócił się, dając jej znać, by zachowała milczenie, a potem powoli odsunął się na bok, odsłaniając przed nią makabryczną scenę.

Przed nimi leżały zakrwawione ciała dwu mężczyzn połączonych w śmiertelnym uścisku i pokrytych warstwą błota. Kilka kroków dalej w rowie majaczyło okaleczone ciało trzeciego.

— Ten nie jest Sasem — powiedział Althar, szturchając czubkiem buta tego, który leżał na ziemi przywalony drugim ciałem.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Od razu poznała to ubranie, choć było bardzo zabłocone. Widziała je w chacie Larssonów. Ze ściśniętym sercem zbliżyła się do groteskowo splątanych ciał. Ostrożnie odsunęła to, które leżało na wierzchu, i natychmiast poczuła, że robi jej się ciemno przed oczami. Althar podtrzymał ją. Ciało, które spoczywało pod tym krwawym całunem, bez wątpienia było ciałem Hoosa Larssona, młodzieńca, który nie tak dawno uratował jej życie.

* * *

Minęła dłuższa chwila, nim Althar zorientował się, że Hoos Larsson nadal oddycha. Natychmiast powiedział o tym Theresie i wspólnie przenieśli go w

poblize wozu, aby tam się nim zająć. Stary troskliwie obejrzał jego rany. Theresa patrzyła pytającym wzrokiem, ale on nic nie odpowiedział.

— I mówisz, że to on cię uratował? — spytał, odciągając Hoosa na bok.

Theresa przytaknęła z oczami pełnymi łez.

— Niestety, musimy go tu zostawić.

— Nie możecie tego zrobić. Jeśli tu zostanie, umrze.

— Umrze tak czy owak. A na dodatek... Spójrz na to koło — powiedział, wskazując nareperowaną szprychę. — Wy dwoje, ja, ładunek... Z takim obciążeniem nie wytrzyma nawet kilometra.

— Wobec tego pozbadźmy się skór — zasugerowała Theresa.

— Skór? Nie rozśmieszaj mnie! Zapewnią mi utrzymanie przez cały następny rok.

W słowach Althara słyhać było zdecydowanie. Theresa zawahała się. Zrozumiała, że jeśli chce pomóc Hoosowi, musi być bardziej przekonująca.

— Mężczyzna, którego zamierzacie tu porzucić, nazywa się Hoos Larsson i jest antrustionem króla — skłamała. — Jeśli przeżyje, będzie w stanie wyżywić i was, i waszą rodzinę przez resztę waszego życia.

Althar odsunął na bok nieboszczyka, którego ubranie przeszukiwał, i spojrzał na nieruchome ciało Hoosa. Potem splunął z miną wyrażającą niepewność.

Choć nie było mu to na rękę, musiał przyznać, że dziewczyna może mieć rację. Kiedy badał młodzieńca, zwrócił uwagę na jego szlachetne odzienie. I choć w pierwszej chwili podejrzewał, że pewnie strój jest kradziony, nie mógł wykluczyć, że się pomylił. Przyjrzał się uważnie dobrze skrojonej tunice i idealnie dopasowanym butom i uznał, że złodziej nie miałby raczej tyle szczęścia.

Zaklął pod nosem. Być może ten młodzian rzeczywiście jest antrustionem króla, jak mówiła Theresa, choć to wcale nie zmieniało faktu, że jego życie wisi na włosku. Być może nie da się go uratować, ale może zdąży się go przewieźć do Aquis-Granum. Znów zaklął i podszedł do konia, który pasł się wśród płacht śniegu. Przemyślał wszystko raz jeszcze i znów splunął.

— Może jednak nie umrze — mruknął. Theresa przytaknęła zadowolona.

Przynajmniej dopóki nie otrzymam wynagrodzenia, pomyślał w duchu Althar.

Theresa musiała iść obok wozu. Althar prowadził konia, wymachując biczem z równą zręcznością, z jaką rzucał przekleństwa. Podczas drogi

zabronił Theresie trzymania się wozu, tłumacząc, że koła nie wytrzymają większego obciążenia, kazał jej za to pchać furmankę pod górę.

Przez większą część drogi Althar szedł obok Theresy. Dziewczyna zwierzyła mu się, że potrzaski, o których mówiła, naprawdę należały do Hoosa Larssona, ale to nie zrobiło na nim wrażenia. Szli bez chwili wytchnienia, zatrzymując się jedynie, gdy było to konieczne, by poprawić uszkodzone koło. Kiedy dotarli do wąwozu, potrzaski wciąż leżały obok szkieletu konia. Theresa doszła do wniosku, że wilki to uparte zwierzęta.

Kiedy Althar zbierał rzeczy, Theresa zajęła się Hoosem. Stary powiedział jej, że mężczyzna ma połamane żebra i niewykluczone, że któreś z nich przebiło płuca. Dlatego ułożył go w bezpiecznej pozycji, twarzą do góry, na licznych tobołkach i pakunkach.

Hoos z trudem oddychał.

Theresa zwilżyła mu twarz, zastanawiając się, co go sprowokowało do zmiany planów. Pomyślała, że być może poszedł za nią, by odzyskać sztylet, który mu ukradła, i natychmiast pomacała suknię, sprawdzając, czy sztylet jest na miejscu. Potem obmyła Hoosa z błota, na ile mogła. W końcu wrócił obładowany Althar.

— Było więcej, niż obiecywałaś — oznajmił roześmiany. — Teraz musimy się zastanowić, jak się z tym wszystkim zabierzemy.

— Chyba nie zamierzacie go porzucić...

— Spokojnie, dziewczyno. Jeśli ten mężczyzna naprawdę wiozł to wszystko, zrobię, co w mojej mocy, aby wydozbrał.

* * *

Po zaspokojeniu głodu ruszyli w dalszą podróż, kierując się w stronę gór. Althar powiedział Theresie, że kilka lat temu mieszkał w Fuldzie, gdzie podobnie jak reszta mieszkańców służył w opactwie. Wraz z żoną Leonorą udało im się wydzierżawić działkę, na której zbudowali ładną chałupę. Przed południem pracowali na roli, a po południu szli do opactwa, aby odrobić pańszczyznę. Dzięki tej pracy zdołali oszczędzić tyle, że kupili kawałek własnej ziemi, niezbyt wiele, jakieś czterdzieści niezaoranych łanów, które mogli uprawiać na własny użytek. Powiedział też, że nie mają dzieci, co jest karą boską, jak wyjaśnił, zapewne w odwecie za słabą wiarę Althara. Jako porządny rolnik nauczył się wielu fachów, ale żadnego tak naprawdę nie opanował. Zręcznie posługiwał się siekierą i toporkiem ciesielskim, sam robił meble, a jesienią z pomocą żony naprawiał dach. Mijały lata i był pewien, że zakończy swoje życie w Fuldzie, ale którejś jesiennej nocy ktoś przeskoczył

przez płot i usiłował ukraść mu jedyne wołu. Althar złapał siekierę i wiele się nie zastanawiając, wbił ją złodziejowi w głowę. Okazało się, że był to syn opata, narwany młodzieniec, który często zaglądał do kielicha. Po pogrzebie Althar został aresztowany i osądzony. Na nic nie zdały się jego oświadczenia, ponieważ dwunastu mężów przysięgło, że chłopak przeskoczył przez płot w poszukiwaniu wody, a Althar nie potrafił udowodnić, że kłamiał. Zabrano mu wszystko, co posiadał, i wypędzono.

— Po tym wyroku Leonora wpadła w depresję — mówił dalej. — Na szczęście jej siostry zaopiekowały się nią, a ja czekałem w górach. Pomogło mi też kilku sąsiadów, którzy dobrze mnie znali. Rudolph dał mi stary toporek ciesielski, a Vicus pożyczył dwa potrzaski, pod warunkiem że mu je zwrócę wraz ze skórami schwytych zwierząt. Uciekłem wtedy na południe, w góry Rhon — pokazał palcem pobliskie pasmo — do opuszczonego niedźwiedziego barłogu. Zrobiłem drzwi, nieco przerobiłem gawrę i spędziłem zimę, zastawiając potrzaski. Kiedy wróciłem po Leonorę, dowiedziałem się, że kilku łotrów z tych, co mnie oskarżyli, przyznało się, że złożyli fałszywe zeznania, ale wtedy już moje ziemie posypano solą. Mimo to opat nie chciał sprzedać mi ziarna ani wydzierżawić innego terenu, a nawet zagroził, że podobnie potraktuje tych, co mi pomagali. Wtedy postanowiliśmy z Leonorą przenieść się do niedźwiedziego barłogu i na zawsze zamieszkać w głuszy.

— I od tamtej pory nie byliście w Fuldzie? — zainteresowała się Theresa.

— Oczywiście, że byłem. A jak inaczej sprzedawałbym moje skóry? Opat wkrótce potem umarł — zaśmiał się. — Zginął jak karaluch. Ten, co przyszedł na jego miejsce, zapomniał o groźbach, ale nic już nie było jak przedtem. Często jeżdżę do Fuldy wymienić miód na sól albo po smalec, bo tutaj o niego ciężko. Wcześniej Leonora też ze mną jeździła, ale teraz ma chore nogi i wszystko przychodzi jej z trudem.

* * *

O zmierzchu zostawili za sobą zielen lasów i wjechali na porośnięty chaszczami teren. Drzew było coraz mniej, przez co wiatr był silniejszy. Zapadała już noc, gdy dotarli w pobliże niedźwiedziego barłogu.

Teren był tu tak kamienisty, że Theresa dziwiła się, jak koła wozu jeszcze to znoszą. Althar kazał jej mocno trzymać Hoosa, ale mimo jej wysiłków turkotanie sprawiło, że młodzieniec zaczął pojękiwać.

U stóp potężnej granitowej skały Althar zatrzymał wóz i zeskoczył na ziemię. Krzyknął kilka razy, po czym zaczął coś nucić.

— Możesz już wyjść, ukochana — powiedział i zanucił jakąś prostą melodyjkę. — Mamy towarzystwo.

Zza pobliskich krzaków wyjrzała pulchna kobieca twarz. Leonora wydała z siebie okrzyk radości i zanuciła tę samą melodię. Była przysadzistą kobietą, ale poruszała się, zmysłowo kołysząc rozłożystymi biodrami, a na jej twarzy malował się szeroki uśmiech.

— Cóż takiego przywiózł mi mój książę? — spytała, biegnąc wprost w otwarte ramiona Althara. — Jakąś ozdobę albo wonne olejki ze Wschodu?

— Tu masz swoją ozdobę — zażartował Althar, przyciskając swoje krocze do brzucha kobiety, co wywołało u niej szalony atak śmiechu.

— A ci dwoje? — spytała ze zdziwieniem, wskazując na Hoosa i Theresę.

— Widzisz — mruknął Althar, unosząc brew — jego pomyliłem z jeleniem, a ona zakochała się w moich długich włosach.

— Cóż — zaśmiała się Leonora — w takim razie chodźcie, porozmawiamy w środku, bo tu na zewnątrz robi się diablo zimno.

Rzeczy zostawili na dworze, a Hoosa przenieśli do gawry i ułożyli na grubej warstwie skór.

Theresa zauważyła, że w sklepieniu zrobiono otwór, przez który wylatywał dym, a pod nim urządzono kuchnię. W palenisku wesoło trzaskał ogień i w pomieszczeniu było ciepło. Leonora poczęstowała ich ciastem z jabłkami, które zjedli z wielkim smakiem. Choć mebli było niewiele, Theresa czuła się niemal jak w pałacu. W trakcie wieczery Althar powiedział jej, że mają jeszcze drugą jaskinię służącą jako magazyn, a także chatę, do której przenoszą się, gdy robi się cieplej. Kiedy skończyli jeść, Theresa pomogła posprzątać ze stołu. Potem wróciła do Hoosa i go okryła.

— Będziesz spać tutaj. — Leonora wskazała Theresie miejsce. Odsunęła kozę i odgoniła kury. — Nie martw się chłopcem. Gdyby Bóg chciał, już by go do siebie zabrał.

Theresa skinęła głową. Kiedy położyła się, zaczęła rozważać, czy powodem, dla którego Hoos za nią poszedł, była chęć odzyskania sztyletu.

* * *

Tamtej nocy Theresa prawie nie spała, zastanawiając się nad znaczeniem tego pergaminu. Nim się położyła, wyjęła go z sakwy i przeczytała jednym tchem. Odniosła wrażenie, że to jakiś akt prawny, w którym szczegółowo opisywano testament pozostawiony przez cesarza rzymskiego Konstantyna, założyciela Konstantynopola. Przypuszczała, że dokument jest niezwykle ważny, inaczej ojciec by go tak dobrze nie schował. Później w jej głowie znów

rozgorzały wspomnienia pożaru w Wurzburgu: płomienie w warsztacie Kornego, nikczemny uśmiech pergamenariusza i ogień pochłaniający tę biedną dziewczynę. W nocy śnili jej się dwaj straszni Sasi, na wpół ludzie, na wpół potwory, którzy chwyтали ją i gwałcili. A potem wilki, które najpierw pożerały konia Hoosa, a potem rzucały się na nią. W majakach miała wrażenie, że widzi przed sobą Hoosa przysuwającego powoli do jej szyi sztylet, który mu ukradła. Kilka razy nie była pewna, czy to sen, czy jawa. Wtedy, usiłując otworzyć oczy, przywoływała do siebie opiekuńczą postać ojca i choć trochę ją to uspokajało, po chwili z ciemności wyłaniał się nowy demon, który znów ją nękał.

W tej gawrze, z dala od wszelkich dźwięków, nie licząc pohukiwania sowy czy trzasku płomieni, trudno jej było zebrać myśli. Czekaając, aż nastanie nowy dzień, powiedziała sobie, że to nagromadzenie nieszczęść musi wynikać z jakiegoś przeznaczenia albo być ostrzeżeniem, jakimś znakiem od Boga. Zastanawiała się, który z jej grzechów mógł być tego przyczyną, i w końcu uznała, że być może wszystko jest karą za jej kłamstwa.

Przypomniała sobie, jak wmówiła Kornemu, że hrabia będzie na jej egzaminie, oszukała Hoosa, mówiąc, że pracuje jako czeladnik pergamenariusza, zamiast przyznać się, że jest tylko zwykłym uczniem. I podobnie postąpiła z Altharem, zapewniając go, iż ucieka przed narzuconym wbrew jej woli małżeństwem, podczas gdy naprawdę uciekała jedynie przed konsekwencjami własnego zachowania.

Zastanawiała się, czy pergamenariusz nie miał racji. Czy naprawdę kobieta nie jest bulionem, w którym bulgoczą plugawe kłamstwa. Czy naprawdę już od chwili narodzin nie jest istotą zepsutą, zdaną na łaskę Wszechmocnego. Setki razy nie zgadzała się z tymi, którzy twierdzili, że córki Ewy są kwintesencją wszelkich przywar: są słabe, porywcze, mają pod wpływem menstruacji zmienny charakter i przejawiają skłonność do rozpusty... A jednak w tej chwili zaczynała powątpiewać we własne przekonania.

Zastanawiała się, czy jej kłamstwa nie były owocem diabelskich podszeptów? Czy to nie on podstępem uwiódł pierwszą niewiastę? A w takim wypadku, czy ta diabelska dłoń nie kierowała nienawiścią Kornego do tego stopnia, że buchnęła ogniem?

Ale kogo usiłowała oszukać? Choć było to bardzo bolesne, nie mogła zaprzeczyć, że stała się tym, kim się stała. I co uczyni, gdy Hoos się obudzi? Powie mu, że pomyliła sztylety? Że w ciemnościach nie mogła znaleźć zwykłego skramasaksu, który Hoos jej proponował?

Każde kłamstwo pociągało za sobą kolejne, coraz większe.

Płakała niepocieszona, ale gdy wylała już wszystkie łzy, obiecała sobie, że odtąd będzie mówić tylko prawdę. Obiecała to w imię swojego ojca. Choć on nie zdoła tego zobaczyć, tym razem go nie zawiedzie.

RS

ROZDZIAŁ 8

Gdy pierwsze promienie zaczęły sączyć się przez otwór w sklepieniu, Theresa uznała, że czas wstawać. Zdziwiło ją, że Althar i Leonora nadal śpią, choć wkrótce pojęła, że to miejsce żyje własnym rytmem. Wzięła płaszcz, którym się okrywała, i zbliżyła się do posłania Hoosa. Miał głęboki oddech, i to ją uspokoiło. Było zimno, więc podeszła do paleniska, poruszyła tłący się żar i ostrożnie wznieciła ogień. Hałas obudził Althara, który przeciągnął się, puszczając skandalicznie głośno wiatry. Z na wpół otwartymi oczami czule objął Leonorę.

— Mmmm... Już jesteś na nogach? — mruknął do Theresy, drapiąc się w krocze. — Jeśli potrzebna ci woda, to jak pójdziesz ścieżką pod górę, trafisz na strumień.

Theresa podziękowała. Opatuliła się, przeszła nad żrebakiem, który podobnie jak inne zwierzęta spał w gawrze, i wyszła na zewnątrz przez małe drzwiczki broniące dostępu do środka. Szatan zaszczekał, po czym ruszył za nią, merdając ogonem. Theresa poczuła, że temperatura rzeczywiście spadła, tak jak przewidziała Leonora. Owinęła się szczelniej płaszczem i rozejrzała po okolicy.

Naprzeciw wejścia stał pusty wóz rozładowany zapewne przez Althara. Kawalek dalej odkryła obsadzoną głógiem zagrodę, która sprawiała wrażenie niedawno opustoszałej. Wszędzie walały się kawałki drewna pomieszane z połamanymi deskami, zużytymi klinami, pniakami najróżniejszych rozmiarów, stosy wiórów i różnych młotków, tworząc dziwaczne śmietnisko. Nigdzie natomiast nie dostrzegła żadnego warzywniaka ani niczego, co by go przypominało.

Kiedy poszła się umyć, odkryła, że ma krwawienie. Była zła, że Szatan kręci jej się pod nogami i ją obwąchuje, więc go pogoniła. Upływ krwi był spory, zatem wpięrowo porządnie się podmyła, a potem podłożyła sobie złożoną szmatkę, którą zawsze nosiła przy sobie na wypadek takiej sytuacji. Potem przeżegnała się i pobiegła do gawry. Althar wyprowadził już zwierzęta, a Leonora zajmowała się Hoosem Larssonem.

— Jak się czuje? — spytała Theresa.

— Równo już oddycha i jest spokojny. Podgrzewam wodę, aby go umyć. Chodź. Pomożesz mi.

Theresa usłuchała. Zdjęła kociołek z ognia i przyniosła mydło z gotowanego tłuszczu. Zarumieniła się, widząc, że Leonora rozbiera Hoosa.

— Nie stój tu jak wryta, tylko ściągnij mu spodnie — rozkazała. Theresa pociągnęła za nogawki, odsłaniając dopasowane lniane kalesony. Odwróciła wzrok, widząc, że tę część garderoby Leonora również zdejmuje.

— No, podaj mi mydło i pospiesz się, bo jeszcze nam tu zamarznie. Theresa zrobiła się czerwona jak burak. Nie licząc swoich małych kuzynów, nigdy wcześniej nie widziała nagiego mężczyzny. Podała mydło Leonorze, która zaczęła myć chorego, zupełnie jakby czyściła kurczaka. Kiedy poprosiła Theresę, by go pottrzymała, dziewczyna mimo woli zerknęła w stronę podbrzusza Hoosa. Zdziwiła się na widok delikatnego owłosienia wokół jego członka i zawstydzila, gdy spostrzegła, jaki jest wielki. Pomyślała, że Leonora zgani ją za te spojrzenia, ale gdy opłukała szmatki, znów przyjrzała się, tym razem mniej ukradkowo.

— To wygląda na złamane żebro. Widzisz? — powiedziała Leonora, wskazując zaczerwienioną wypukłość na wysokości piersi. Przyłożyła prawe ucho do torsu i zaczęła w skupieniu nasłuchiwać. — Ale nie słychać świstów, a to dobry znak.

— Wy dobrze?

— Przypuszczam, że tak. Przynies więcej wody, a ja go przewrócę. Jakiś rok temu na Althara spadł pień. Mało brakowało, a by go rozłupał. Ledwie uszedł z życiem, ale już po dwu tygodniach biegał jak jaszczurka.

— Tak jest — potwierdził Althar, wchodząc do jaskini. — I jak go znajdujesz, królowo?

— Złamane żebro i silne uderzenie w głowę.

— Dobrze. Zatem to nic takiego, na co by nie pomogło jedno z twoich wspaniałych śniadań — stwierdził.

— Ty każdy problem chciałbyś rozwiązać jedzeniem. — Leonora dała mu ze śmiechem kuksańca.

Skończyły toaletę Hoosa i we trójkę zasiedli do stołu.

Było to iście królewskie śniadanie. Leonora przygotowała plastry solonego mięsa, które obłożyła słoniną, grzybami i cebulą. Dodała do tego jeszcze kilka plasterków sera, które przyrumieniła, kładąc trochę żaru do kociołka. Na koniec dołała wina, co jak mówiła, dobrze robi na trawienie.

— A jeszcze nie spróbowałaś jej deserów — oznajmił z dumą Althar.

Theresa oblizwała się na sam widok ciastek z miodem i migdałami, które na koniec pojawiły się na stole. Smakowały jej tak bardzo, że poprosiła o przepis. Nagle spojrzała z pewnym żalem na Hoosa.

— Nie martw się o niego — wtrącił Althar. — Leonora już się nim zajmie. A teraz chodź ze mną. Czeka nas praca.

Althar wyjaśnił jej, że zimą niewiele się poluje, a ryb wcale nie łowi. Posiadali małą uprawną działkę na bardziej żyznym terenie, nieco dalej od gawry, ale aż do początku wiosny nie było co przy tej ziemi robić. Dlatego zajmował się przede wszystkim ciesielką, naprawami i wytwarzaniem narzędzi.

— A przede wszystkim wypychaniem zwierząt — dodał z dumą. Szli w górę wzgórze aż do szczeliny, która wyglądała jak głęboka rana zadana skale. Wejście do tej drugiej jaskini było bardziej kręte i Theresa musiała pochylić się, by iść za Altharem, który wyposażony w pochodnię szedł, jakby znał drogę na pamięć. Po chwili tunel rozszerzył się, ustępując miejsca szerokiej i jasnej niczym kościelna nawa jaskini.

— Piękna, prawda? — chwalił się. — Wcześniej tu mieszkaliśmy, ale kiedy Leonora zachorowała, przenieśliśmy się do gawry. Niestety, przy takich rozmiarach nie ma jak jej ogrzać. Ale zimno dobrze robi skórom, więc urządziłem tu skład.

Althar uniósł pochodnię, by pokazać swoje trofea. Z mroku wyłoniła się sfora lisów, dwie fretki, jelenie, sowy i bobry, wszystkie dziwnie nieruchome, zastygłe w absurdalnych pozach, których nigdy za życia by nie przyjęły. Dziewczyna przyglądała się ich rozwartym gardzielom, błyszczącym oczom, pazurom wyciągniętym w jakimś makabrycznym tańcu. Althar wyjaśnił jej, że w młodości nauczył się sztuki wypychania zwierząt i że wielu arystokratów lubi pokazywać te bestie, chełpiąc się, że zdobyli je podczas niebezpiecznego polowania.

— Brak mi tylko niedźwiedzia — oznajmił. — I w tym ty mi pomożesz.

Theresa skinęła głową, ponieważ sądziła, że Althar ma na myśli proces preparowania, ale gdy wyjaśnił jej, że wprawdzie będą musieli upolować zwierzę, zaczęła modlić się, by okazało się, że to tylko żarty.

Przez cały ranek robili porządki w jaskini.

Althar zabrał się do czyszczenia skór, a Theresa to samo robiła z narzędziami. Stary szczotkował spreparowane zwierzęta, aż lśniły, tłumacząc Theresie, że w Fuldzie za fretkę i lisa uzyska dwa denary, co wystarczy, by kupić dwa modiusy pszenicy. Za sowę dostanie mniej, ponieważ ptaki łatwiej się preparuje, ale i tak kupi za nią dwa noże i jakiś ronderek. Ale niedźwiedź to zupełnie inna sprawa. Gdyby udało mu się upolować i wypchać niedźwiedzia, zawiózłby go do Aquis-Granum i sprzedał samemu Karolowi Wielkiemu.

— A jak go złapiecie?

— Nie wiem, ale jak już go znajdę, na pewno nam się uda.

W południe wrócili do mniejszej gawry. Byli głodni, ale na początek Leonora dała im tylko po szklance wina i kawałku sera.

— Zostawcie miejsce na resztę — uprzedziła.

Zjedli pulpety z kandyzowanymi figami, pasztet z ptactwa i wypili ciepły kompot. W połowie uczy Leonora powiedziała im, że Hoos się obudził, zjadł rosół i znów zasnął.

— Coś mówił? — spytała Theresa.

— Tylko narzekał. Może pod wieczór rozwiąże mu się język. Kiedy skończyli, Althar wyszedł za potrzebą. Zamierzał też rzucić okiem na zwierzęta. Theresa pomogła sprzątnąć ze stołu, zdemontować blat i odsunąć taborety. Nie zdążyła pozamiatać, bo Szatan wylizał klepisko do czysta. Kiedy szła wyrzucić resztki, Leonora z dezaprobatą zagroziła jej drogę.

— Nie wiem, czym się do tej pory zajmowałaś, ale na pewno nie kuchnią — stwierdziła.

Theresa powiedziała jej o swoim zamiłowaniu do czytania, a Leonora spojrzała na nią jak na jakieś dziwadło. Wtedy dziewczyna zaczęła jej tłumaczyć, że od dziecka chodziła do szkół i skrytoriów, a jak podrosła, została terminatorem w warsztacie pergamenariusza.

— Kiepska pomoc dla twojej matki — zganiła ją Leonora.

— Ale odkąd spróbowałam waszych potraw, bardzo chciałabym się nauczyć tak gotować — zwierzyła się Theresa, mając nadzieję, że jej prośba spotka się z przychylnym przyjęciem.

Leonora roześmiała się uszczęśliwiona i przyznała, że w oczach mężczyzny kobieta, która nie umie gotować, jest gorsza od takiej, co jest płaska jak decha.

— Chociaż akurat pod tym względem niczego ci nie brak — złagodziła wcześniejszą uwagę.

Theresa spuściła wzrok i spojrzała na swoje ciało, a potem zerknęła na Hoosa. Poczowała dziwne łaskotanie w brzuchu. Ściągnęła mocniej suknię pasem i przyjrzała się wybrzuszeniu materii na wysokości swych piersi. Najwyraźniej Leonora czytała jej w myślach.

— Jest przystojny — stwierdziła. — I co więcej, dobrze zbudowany. — Puściła do niej oko z figlarnym uśmiechem.

Theresa zarumieniła się i również roześmiała, ale czym prędzej przybrała poważną minę i zmieniła temat, pytając o przepisy.

* * *

Przez całe popołudnie Leonora opowiadała jej o potrawach właściwych na różne pory roku. Zimą, nim najslabsze zwierzęta zdechną z zimna, trzeba je ubić, zatem Theresa powinna nauczyć się nie tylko gotowania rozebranych już zwierząt, lecz również wędzenia, solenia i suszenia. Ale największe ilości mięsa pochodziły z polowań, a tych było pełno z nadejściem wiosny. Opisała grzyby, na których Theresa powinna dobrze się poznać, nim zabierze się do ich gotowania. Wychwalała zieleninę, kalafiora, białą i czerwoną kapustę oraz ostrożeń.

— Choć powodują wiatry, są bardzo zdrowe — zaśmiała się, puszczając bąka, który rozbrzmiał echem w całym pomieszczeniu.

Powiedziała też Theresie, jak ważne są resztki. Dobra i doświadczona kucharka z samych resztek powinna umieć przyrządzić wyśmienite danie. A to można osiągnąć za pomocą różnych środków. Do jej ulubionych należało garum, przyprawa zdolna zamienić najbardziej mdłą potrawę w prawdziwą ucztę.

— Najlepsza pochodzi z Hiszpanii — wyjaśniła — ale jest tak droga, że tylko najbogatszych na nią stać. Wiele lat temu pewien rzymski kupiec pokazał mi, jak się przyrządza tę przyprawę z soli, oliwy i rybich wnętrzności. Ale nie myśl sobie, że nadają się do tego byle jakie ryby. Trzewia tuńczyka albo jesiotra dają dobry rezultat, ale ja stosuję hallex, bo daje dużo lepszy smak. Po maceracji i wysuszeniu można dodać wina, octu, a nawet pieprzu, jeśli oczywiście stać cię, aby go kupić.

— Ale skoro to garum jest tak smaczne, to po co je z czymś mieszać?

— Oj, kochana. Aby urozmaicić. Z garum jest tak samo jak z miłością: najpierw smakuje wyśmienicie, ale trzeba wiedzieć, z czym to połączyć. Spójrz na nas — roześmiała się. — Jesteśmy małżeństwem już trzydzieści lat, a nadal mamy na siebie ochotę. I tak jest ze wszystkim: noś przez trzy dni z rzędu tę samą suknię, a nawet ślepcy będą od ciebie uciekać. A wystarczy przypiąć do niej kwiat albo zmienić uczesanie, a zobaczysz, jak będą się za tobą uganiać.

— Wcale nie chcę, by się za mną uganiali — odparła Theresa z pogardą.

— Nie? To o czym marzy dwudziestoletnia dziewczyna?

— Nie wiem. O pracy, rodzinie... Niepotrzebni mi mężczyźni. — Nie sprostowała, że ma już dwadzieścia trzy lata.

— To dlaczego patrzyłaś na winogrona tego młodzieńca, kiedy go myłam...?

Theresa zaczerwieniła się tak bardzo, że miała wrażenie, że z jej lica już nigdy nie zniknie rumieniec.

— Nauczycie mnie? — starała się zmienić temat.

— Czego? Jak się go myje?

— Nie, na Boga. Jak się robi garum.

— Och, oczywiście. Nauczę cię tego i wielu innych rzeczy, które ci się przydadzą — zaśmiała się.

W trakcie pieczenia rzepy Leonora opowiedziała jej o winie. Ale nie o tym zwykłym, które pije się, by ugasić pragnienie, słabym i rozwodnionym, lecz o takim, które podawano na specjalne okazje: czystym, aromatycznym, rubinowym... Takim, po którym nieśmiały stawał się największym gawędziarzem, a bojaźliwy nabierał odwagi... Którego każda kropla warta była grzechu.

— Nigdy nie piłam takiego wina.

— Cóż. Mamy jedną amforę, która czeka na specjalną okazję. Jak upolujecie niedźwiedzia, to ją otworzymy.

O zmierzchu wrócił Althar z uśmiechem na ustach. Znalazł ślady niedźwiedzia.

— Ten łobuz dalej tam jest. W tej samej gawrze, co rok temu — oznajmił w euforii. Rzucił na ziemię swoje manatki i klepnął Leonorę po pupie.

Zjedli zupę z jarzyn i żeberka z solonego dzika, które popili cienkim winem. Althar pochłonął z apetytem zupę i nałożył sobie dokładkę, bo po całym popołudniu spędzonym w lesie był głodny jak wilk.

— Dziewczyna ugotowała — wyjawiała na koniec Leonora.

— A to ci niespodzianka! Widzisz, jak to dobrze, że ją znalazłem? — zaśmiał się. — A jak tam chory? Obudził się?

— Otworzył na chwilę oczy, ale sama nie wiem... Chyba majaczy. Może przez to uderzenie w głowę...

— Na pewno wszystko mu się mąci. Zaraz do niego pójde. Szybko uporali się z kolacją. Kiedy Leonora sprzątała, Althar i Theresa podeszli do łóżka Hoosa. Chory otworzył oczy, gdy poczuł na swym czole wilgotną szmatkę. Spojrzał na Theresę, jakby rozpoznając ją, ale zaraz zamknął oczy i zapadł w letarg. Althar włożył palec do ucha, oczyścił je i przyłożył do piersi Hoosa.

— Nie słyhać świstów.

— To dobrze?

— Oczywiście. Gdyby żebro przebiło płuco, już by wyzionął ducha. Jutro postaramy się, żeby wstał i trochę pospacerował.

Ostrożnie go okryli, wprowadzili zwierzęta do jaskini i założyli sztabę na drzwiczki. Potem powiedzieli sobie dobranoc i położyli się na swoich pościeliach.

Po kilku godzinach Theresa poczuła, że Szatan liże ją po twarzy.

Jeszcze nie zaczęło świtać, a Leonora już szykowała jedzenie w kociołku, Althar zaś krążył po jaskini, cicho coś nucąc.

— Niedźwiedziu, niedźwiedziu! Podamy cię na talerzu! — zaśpiewał uradowany Althar.

Zjedli śniadanie i okutali się futrami. Althar uzbroił się w kołczan i łuk, na ramię zarzucił sieć i wziął trzy żelazne potrzaski. Potem podał Theresie kuszę.

— To powinno wystarczyć — stwierdził. — Kochanie! Dziś wieczorem będziesz mieć nowe futro!

Leonora roześmiała się i ucałowała go. Potem pogłaskała Theresę po głowie i życzyła im szczęścia.

* * *

Kiedy wyszli z jaskini, zaczynało już świtać. Dzień był czysty i mroźny, co Althar uznał za dobrą wróżbę. Zostawili konia, bo Althar uważał, że jego obecność mogłaby wzbudzić czujność niedźwiedzia. Poza tym zależało im tylko na jego skórze, bo mięso i tak nie było jadalne. Po drodze Theresa zwierzyła się staremu, że bardzo się boi, ale on ją uspokoił.

— Nic nie musisz robić. Będziesz tylko stać na straży.

— A ten dziwny łuk?

— Chodzi ci o kuszę? Wygrałem ją od pewnego żołnierza z Aquis-Granum. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego, ale działa wyśmienicie. Pokażę ci, jak się tym posługiwać.

Wbił jeden koniec kuszy w ziemię i wsparł stopę o łuk. Następnie napiął cięciwę obiema rękoma, aż zaczepiła o karb.

— To nie zabawka, więc musisz być ostrożna. To jest orzech — pokazał jej — a pod nim znajduje się spust. Włóż bełt do rowka. Widzisz? A teraz trzymaj mocno obiema rękoma, podnieś i wyceluj.

Theresa podniosła kuszę, ale nie była w stanie utrzymać jej nieruchomo.

— Jest za ciężka — jęknęła.

— Połóż się na ziemi — mruknął. — I posłuchaj: jak nadejdzie chwila, kiedy będziesz musiała jej użyć, pamiętaj, że masz tylko jedną szansę. Sama nie dasz rady jej naciągnąć, więc dobrze celuj i strzelaj prosto w brzuch, zgoda?

Theresa skinęła głową. Położyła się na ziemi i wycelowała.

— Żeby ci ręka nie zadrżała.

Althar wskazał pień zwalonego drzewa szeroki na dwu mężczyzn. Na jego znak Theresa nacisnęła zdecydowanym ruchem dźwignię spustu. Bęłt zaświszczał w powietrzu i przepadł gdzieś w zaroślach.

— Spróbujemy jeszcze raz — powiedział ponurym głosem Althar. Theresa podjęła jeszcze dwie próby, które zakończyły się podobnym rezultatem. Za czwartym razem Althar uznał lekcję za zakończoną.

— Idziemy dalej, bo inaczej spędzimy tu cały ranek.

Po drodze Althar powiedział jej, że niedźwiedzie zapadają w sen zimowy, który trwa od końca listopada do roztopów.

— Ludzie myślą, że misie śpią jak susły, ale naprawdę mają lekki sen i dlatego trzeba zachować ostrożność.

— A jeśli okaże się, że jest więcej niedźwiedzi?

— To prawie niemożliwe. Niedźwiedzie zapadają w sen zimowy samotnie, więc nie musisz się tym martwić.

Szli dalej, aż nagle Althar zwrócił uwagę na zainteresowanie, które Szatan okazywał Theresie. Obserwował ich przez dłuższą chwilę i w końcu stwierdził, że mimo starań dziewczyny pies stale ją obwąchiwał, jakby chowała coś pod spódnicą. Zaintrygowany spytał, czy ukradła jakieś jedzenie.

— Nie, panie — odparła zawstydzona.

— Wobec tego co, u licha, wywachał ten pies?

— Nie wiem — odparła, jeszcze bardziej się rumieniając.

— Możesz się przyznać, bo cokolwiek wyczuł pies, na pewno wyczuje też każda inna bestia.

Theresa nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie chciała zwierzać się Altharowi, że poprzedniego dnia zaczęła jej się menstruacja. Okazało się jednak, że nic nie musiała mówić, bo Althar sam się domyślił.

— A niech to. Wychodzimy na polowanie, a tobie akurat zaczyna się krwawienie.

Wkrótce potem dotarli w pobliże legowiska niedźwiedzia. Althar pokazał jej, gdzie znajduje się gawra. Okazało się, że mieści się na trudno dostępnym, stromym wzgórzu. Theresa zauważyła, że pod wejściem do barłogu zaczyna się wąwóz jeszcze bardziej utrudniający dostęp.

— Rozciągniemy sieć przed wejściem do gawry. Potem podpalę kilka gałęzi, a Szatan zacznie czekać. Dym i ujadanie psa obudzą niedźwiedzia, który będzie próbował uciec, ale zamiast do lasu wpadnie prosto w sieć. Jak już się w nią wplącze, zabiję go strzałami z łuku. Ty będziesz czekać tam, gdzie cię nie

wyczuje: na górze, nad wejściem do gawry, na wypadek gdybyś była potrzebna.

— Gdybym była potrzebna?

— Jak zobaczysz, że jestem w tarapatkach, strzelaj do bestii. I, na Boga, tym razem postaraj się trafić.

Althar zaczął zbierać gałęzie, a Theresa wspięła się na wzgórze. W połowie drogi potknęła się i kilka kamieni poleciało w dół. Althar zaklął, dając jej na migi znaki, by zachowała ciszę. Kiedy dotarła na sam szczyt, Althar zdążył już nagromadzić przed wejściem do barłogu cały stos gałęzi. Następnie zakrył wlot siecią, którą przynieśli. Umocował ją i odszedł kawałek dalej, by rozpalic ogień. Po chwili wrócił z płonąca gałęzią.

Theresa uważnie obserwowała Althara. Myśliwy skrył się za skałą i dał jej znak, by się przygotowała. Kiedy poczuła zapach dymu, wiedziała, że zbliża się decydująca chwila. Wzięła głęboki oddech i położyła się na ziemi. Nagle Szatan zaczął szczebrać jak opętany, rył ziemię i kilka razy obrócił się, jakby gonił własny ogon. Theresa pomyślała, że coś go zaniepokoiło, ale po chwili, zgodnie z przewidywaniami Althara, z jaskini dobył się ryk.

Theresie serce podskoczyło do gardła. Schwyciła mocno kuszę i wycelowała w stronę wyjścia, ale choć leżała, i tak drżały jej ręce. Minęło kilka chwil, po czym nagle gigantyczna masa sierści, sapiąc i dysząc, wytoczyła się z jaskini i wpadła prosto w sieć. Gdy tylko zwierz zorientował się, że jest w pułapce, zaczął wściekle ryczeć, drapiąc pazurami i kłapiąc zębami. Szatan ujadął jak oszalały, szczebkając i atakując niedźwiedzia, choć ten starał się go kąsać wielkimi kłami. Nagle sieć zajęła się ogniem, a po chwili płomienie zaczęły lizać brzuch niedźwiedzia. Bestia zawyla z bólu i usiłując się uwolnić, stanęła na tylnych łapach. Przez chwilę Theresa miała wrażenie, że niedźwiedź zaraz wdrapie się na wzgórze i jej dosięgnie, ale ten zachwiał się i wpadł z powrotem do gawry. Potem odwrócił się i wydał z siebie przeraźliwy ryk, ukazując gigantyczną gardziel. Theresa zamknęła oczy, ale kolejny ryk sprawił, że szybko je otworzyła. W tej samej chwili Althar wystrzelił. Strzała przecięła powietrze i wbiła się jakąś piędź od łopatki niedźwiedzia. Zwierzę znów ryknęło i obróciło się. Althar wiedział, że musi się pospieszyć, bo inaczej ogień zniszczy futro. Znów napiął łuk i wystrzelił. Druga strzała wbiła się w brzuch niedźwiedzia tak głęboko, że niemal całkiem znikła. Zwierzę zawyło, obracając się wokół własnej osi, uniosło się niezdarnie na tylnych łapach, po czym zważyło z hukiem na ziemię.

Po kilku sekundach Theresa wstała. Wciąż drżała, ale przynajmniej mogła oddychać. Przyglądała się bezwładnemu cielsku niedźwiedzia, który leżał jak długi na ziemi. Był imponujący, z lśniącym futrem i ostrymi pazurami. Dała znać Altharowi, że schodzi, ale ten jej zabronił.

— Czekaj tam, aż dam ci znak — powiedział krótko. — Niedźwiedź może być groźny nawet po obdarciu ze skóry.

Zbliżył się do bestii z toporem w jednej dłoni i długim kijem w drugiej. Zatrzymał się kilka kroków przed niedźwiedziem. Szturchnął go kijem, ale ten się nie poruszył. Wtedy złapał topór w obie dłonie, uniósł go nad głową i opuszczył na szyję zwierzęcia.

Przez chwilę Althar podziwiał swą zdobycz. Na szczęście płomienie ledwie liznęły futro. Cięcie na szyi było czyste, a ślady po strzałach niewidoczne. Dał znać Theresie, że może schodzić i pomóc mu w zdejmowaniu skóry z niedźwiedzia. Koniec końców to polowanie okazało się prostsze, niż myślał.

Przed zejściem Theresa wyjęła bełt z kuszy i owinęła go w sukno, tak jak pokazał jej Althar. Znajdowała się już w połowie drogi, gdy kolejny ryk całkiem ją sparaliżował.

Przez chwilę sądziła, że zawiodły ją własne uszy. Widziała, jak zwierzę umiera, a mimo to góra aż trzęsła się od tego ryku. Najszybciej, jak tylko mogła, wbiegła z powrotem na wzgórze i z przerażeniem zobaczyła, że z jaskini wychodzi drugi niedźwiedź i atakuje Althara. Stary cofnął się, wymachując nad głową siekierą, ale zwierzę dalej go osaczało. Zdesperowany Althar wycofał się aż na sam skraj przepaści. Przed nim był niedźwiedź, a za nim urwisko. Zwierz jakby zorientował się, że w tej sytuacji człowiek ma pewną przewagę, i zawahał przed ostatecznym atakiem. Althar usiłował uciec w bok, ale poślizgnął się i wypuścił z rąk topór, który potoczył się na dno wąwozu.

Wiedział, że śmierć jest tylko kwestią czasu.

Bestia wyprostowała się, przewyższając dwukrotnie Althara, i postąpiła kilka kroków naprzód, rycząc, jakby miała w sobie tuzin diabłów. Ale tuż przed ostatecznym atakiem do Althara przypadł Szatan, broniąc swego pana. Pies zaczął szczekać i niedźwiedź zatrzymał się. Nagle uderzył łapą i Szatan wyleciał w powietrze z przetrąconą szyją. Theresa zrozumiała, że musi zacząć działać. Wyjęła bełt i umieściła go w rowku kuszy. Następnie położyła się płasko na ziemi i wycelowała w głowę zwierzęcia. Wtedy przypomniała sobie słowa Althara i skierowała kuszę w stronę ogromnego brunatnego brzucha.

Powiedziała sobie, że ma tylko jedną szansę.

Zamknęła oczy i wystrzeliła. Strzała rozpruła powietrze i znikła jej z oczu. Przez chwilę miała nadzieję, że trafiła, ale wkrótce z przerażeniem stwierdziła, że strzała ugodziła zwierzę w jedną z tylnych łap.

Sądziła, że nie ma już dla Althara ratunku. A jednak stało się coś dziwnego. Niedźwiedź zrobił krok naprzód, stracił równowagę z powodu zranionej łapy i upadł na lewy bok. Przez chwilę zdawało się, że zaraz się podniesie, ale gdy usiłował to uczynić, znów się potknął i spadł na sam skraj wąwozu. Wymachiwał rozpaczliwie łapami, jakby przeczuwał, co się zaraz wydarzy. Wkrótce kamienie pod naporem jego ogromnego cielska zaczęły jeden po drugim spadać w dół i mimo wysiłków zwierzę runęło wraz z nimi na dno wąwozu.

Theresa potrzebowała dłuższej chwili, by dojść do siebie. Kiedy udało jej się zejść na dół do Althara, który wciąż był oszołomiony, nadal nie mogła pojąć, co się wydarzyło.

— Dwa niedźwiedzie. A jednak były dwa przeklęte niedźwiedzie.

— Celowałam, jak mówiliście, ale nie mogłam...

— Nie przejmuj się, dziewczyno. Świetnie sobie poradziłaś... Dwa przeklęte łobuzy... — powtórzył.

Podrapał się po głowie i spojrzał z żalem na Szatana. Zdjął płaszcz i pieczołowicie go nim okrył.

— Dobry był z niego pies. Wypcham go, aby zawsze był przy mnie.

* * *

Spędzili popołudnie, oprawiając pierwszego niedźwiedzia. Kiedy skończyli, Althar wpadł na pomysł, że mogliby spróbować odzyskać futro również z drugiego.

—: Trzeba tylko zejść do wąwozu.

— Czy to bezpieczne?

— Zaczekaj tutaj — powiedział.

Rzucił narzędzia i ruszył wijącą się kawałek dalej ścieżką, która prowadziła na dno wąwozu. Po jakimś czasie wrócił, niosąc coś na plecach.

— Futro było zniszczone przez parchy — powiedział. — Ale miś miał takie ładne oczy, że postanowiłem je zabrać wraz z całym łbem.

Kiedy wrócili do swej siedziby, Leonora powitała ich dobrą nowiną: Hoos wstał i czekał na nich przy stole.

* * *

W trakcie kolacji Theresa miała wrażenie, że chłopak jest bardziej zainteresowany talerzem zupy niż relacją z polowania. Jednak gdy zjadł wszystko do czysta, podziękował Altharowi za uratowanie mu życia.

— To dziewczynie powinieneś dziękować. Nalegała, bym cię wziął na wóz.

Hoos spojrzał na Theresę i twarz mu spochmurniała. Leonora wyczuła, że dzieje się coś dziwnego.

— Jestem jej wdzięczny — odparł oschłe. — Choć zważywszy na to, że wcześniej to ja uratowałem jej życie, przynajmniej tyle była mi winna.

— Tak jest — przyznał Althar. — Widać, że dziewczyna jest godna zaufania — zaśmiał się, szturchając Theresę.

Hoos wolał zmienić temat.

— Wasza żona powiedziała, że mieszkacie tu od dawna.

— W rzeczy samej. Zapewniam, że nie tęsknimy za miejskim brudem: ludzie lubią plotkować, łatwo o wzajemne obrazy, wygadują brednie... Ech! Tu nam dobrze. Sami we dwoje, robimy i jemy, co chcemy. — Upił łyk wina. — A powiedzcie, jak się czujecie?

— Tak sobie, ale dłużej już nie mogłem leżeć.

— Powinniście jeszcze odpoczywać. Przynajmniej dopóki zebra się nie zrosną. W przeciwnym razie najmniejszy ruch i już będzie po waszych płucach.

Hoos skinął głową. Przy każdym łyku czuł taki ból, jakby jakiś szpikulec wbijał mu się w piersi. Dopił wino, pożegnał się i wrócił na swoje posłanie. Althar rozłożył wtedy skórę niedźwiedzia i postawił oba łby na beczkach. Kiedy wprowadzał do środka zwierzęta, zatęsknił za Szatanem, który zawsze pomagał mu w tym zadaniu.

Następnego dnia niebo zachmurzyło się i zerwał się wiatr. Zły dzień na wędrówki po lesie, ale nie najgorszy na wypychanie zdobyczy. Przed śniadaniem wyprowadził zwierzęta, by je napoić, usunął nieczystości, które po nich zostały wewnątrz, i opróżnił pęcherz. Kiedy wrócił, Theresa i Leonora już były na nogach. Zjedli w ciszy, by nie obudzić Hoosa. Potem Althar wziął skórę oraz oba łby i poprosił Theresę, by mu towarzyszyła.

— Muszę jeszcze się umyć — szepnęła dziewczyna.

Althar podejrzewał, że nadal ma menstruację, więc jej nie ponaglał.

— Jak skończysz, przyjdź do drugiej jaskini. Potrzebna mi twoja pomoc.

Althar zarzucił skórę na ramię i wyszedł na dwór. Po chwili dziewczyna dotarła do strumienia, gdzie obmyła się ściereczkami, które dała jej Leonora.

Po powrocie stwierdziła, że Hoos już wstał i patrzy na nią ostrym wzrokiem. Najwyraźniej nie uszło to uwagi Leonory.

— Muszę wyjść nakarmić zwierzęta — oznajmiła. — Jeśli będziecie czegoś potrzebować, wezwijcie mnie.

Oboje skinęli głowami. Kiedy kobieta wyszła, Hoos wykonał taki ruch, jakby chciał się podnieść, ale poczuł ukłucie w piersi i opadł na łóżko. Theresa usiadła obok niego.

— Lepiej się czujesz? — spytała zawstydzona. To były pierwsze słowa, które do niego skierowała. Hoos nie spieszył się z odpowiedzią.

— Nie okazywałaś takiego zainteresowania, kiedy uciekłaś z moim sztyletem... — odparł.

Theresa nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Podeszła do swojej sakwy i wróciła z wypiekami na policzkach.

— Nie wiem, jak mogłam tak postąpić — powiedziała ze łzami w oczach.

Hoos się nie rozchmurzył. Wziął sztylet i schował go pod kołdrą. Potem zamknął oczy i odwrócił się do niej plecami.

Theresa zrozumiała, że nic, co powie bądź zrobi, go nie przekona. W końcu gdyby to jej przydarzyło się coś takiego, zareagowałaby podobnie. Otarła łzy i trzęsącym się głosem poprosiła o wybaczenie. Wreszcie, wobec całkowitej obojętności Hoosa, wyszła z gawry z opuszczoną głową.

W drodze do drugiej jaskini spotkała Leonorę. Zacerwienione oczy Theresy wzbudziły jej zainteresowanie, ale dziewczyna szła dalej, nie zwracając na nią uwagi. Wtedy Leonora wróciła do gawry, by wypytać Hoosa.

— To nie wasza sprawa — odparł. Leonora poczuła się urażona taką odpowiedzią.

— Posłuchaj mnie uważnie, młodzieniaszku. Wszystko mi jedno, skąd przychodzisz i jakie masz tytuły. Chcę, abyś wiedział, że jeśli jeszcze żyjesz, to tylko dlatego, że ta dziewczyna, którą właśnie doprowadziłeś do łez, zrobiła wszystko, aby cię uratować. Lepiej zatem, abyś zaczął się zachowywać wobec niej jak należy, jeśli nie chcesz, bym ci połamała resztę kości.

Hoos nic nie odpowiedział. Pomyślał, że nikogo nie powinno obchodzić, z jakiego powodu ruszył za nią.

GRUDZIEŃ

ROZDZIAŁ 9

Najpierw poczuł lekkie mrowienie, a potem ostry ból.

Gorgias rzucił na legowisko woskową tabliczkę, którą dał mu Genzeryk, i podszedł do światła sączącego się do celi przez mały lufcik. Następnie odwinął bandażę, ostrożnie, by nie naruszyć strupów. Kiedy odsłonił ranę, zobaczył, że przybrała ostry fioletowy kolor, a pomiędzy szwami zaczęły się pojawiać pęcherzyki. Gdyby mógł, wezwałby medyka Zenona, choć brak cuchnącego fetoru nieco go uspokoił. Ostrzem stylusa przekuł najbardziej suche pęcherzyki i usunął żółtawy płyn, który spod nich wypłynął. Obwiązał rękę bandażem, modląc się, by rana zagoiła się bez komplikacji.

Przez pierwszą godzinę tylko czekał. Potem zaczął wyglądać przez lufcik tak mały, że nawet dziecko by się przez niego nie przecisnęło. Choćby nie wiadomo jak się starał, i tak przez alabastrowe okno nic nie zdołałby zobaczyć. Zastanawiał się, czy go nie rozbić, ale się powstrzymał. Usłyszał bicie dzwonów wzywających na sekstę i pomyślał, że jego żona na pewno już udała się do kapituły zaniepokojona przedłużającą się nieobecnością męża.

Wyobraził sobie te wszystkie kłamstwa, którymi ją zasypią.

Chciał wierzyć, że Genzeryk mówił prawdę, że w istocie sam Wilfred był odpowiedzialny za jego uwięzienie. Może starał się ochronić go przed pergamenariuszem albo chciał nadzorować postępy w pracy nad dokumentem. Ale dlaczego akurat tutaj, w miejscu tak odległym? Mógłby wybrać do tego skryptorium, gdzie dysponował wszelkimi niezbędnymi materiałami, albo nawet swoje prywatne komnaty, by mieć go na oku. Przecież Wilfred nie wiedział o napaści, której Gorgias padł ofiarą, a skoro, jak mówił wikary, zamykali go, by uniknąć problemów, w skryptorium byłby wystarczająco bezpieczny.

O zmierzchu usłyszał zgrzyt zamka. Pomyślał, że to hrabia, ale odór moczu zwiastował wikariusza. Genzeryk urywanym głosem nakazał mu usiąść w głębi celi. Spytał o swoją żonę, ale nie otrzymał odpowiedzi. Genzeryk ponowił rozkaz i tym razem Gorgias go usłuchał. Po chwili spostrzegł, że w dolnej części drzwi porusza się obrotowy bęben służący jako podajnik. Kiedy ruch ustał, zobaczył, że Genzeryk umieścił w środku kawałek chleba i dzban wody. Zza drzwi dobiegł głos wikariusza nakazujący mu zabrać jedzenie i wsunąć do podajnika listę potrzebnych mu materiałów.

— Dopiero jak odpowiecie na moje pytanie — oznajmił Gorgias. Minęło kilka chwil, które dla niego trwały całą wieczność, i kołowrót znów się zakręcił, a chleb i woda znikły po drugiej stronie. Gorgias czekał. Domyślał się, że Genzeryk wyjmuje jedzenie i wodę z kołowrotu. W końcu usłyszał trzask zamykanych drzwi i zapadła długa cisza do późnego ranka.

* * *

Koło południa Genzeryk wrócił, nucąc jakąś piosenkę. Upewniwszy się, że Gorgias nie śpi, oznajmił, że Rutgarda czuje się dobrze. Odwiedził ją w domu jej siostry.

— Powiedziałem jej, że spędzicie kilka dni w skryptorium, i wiecie co? Ona świetnie to rozumie. Przy okazji wręczyłem jej dwa bochny chleba i porcję wina i zapewniłem, że dopóki u nas będziecie, każdego dnia będę jej przynosić taką samą rację. Aha, prosiła, abym wam to wręczył.

Gorgias obserwował obracający się bęben. Obok chleba i wody z poprzedniego dnia pojawiła się mała haftowana chusteczka. Należała do Rutgardy. Zawsze nosiła ją przy sobie.

Ujął ją delikatnie w dłonie i schował na piersiach. Zaraz potem wyciągnął chleb i łapczywie ugryzł kawałek. Genzeryk ponaglił go zza drzwi. Potrzebna mu była lista. Nie przerywając jedzenia, Gorgias zanotował na tabliczce obszerny spis materiałów, w którym celowo pominął proszek osuszający. Udał, że sprawdza notatki, po czym wsunął tabliczkę do obrotowego bębna i pchnął go z powrotem. Genzeryk przechwycił tabliczkę, przeczytał ją uważnie i odszedł bez słowa.

Godzinę później wrócił obładowany pergaminami, tuszami i innymi materiałami piśmienniczymi. Oznajmił, że będzie go co dzień odwiedzał, by sprawdzić postępy, dostarczyć jedzenie i usunąć ekskrementy. Nim odszedł, dodał z pewną złośliwością w głosie, że będzie również odwiedzał Rutgardę. Potem pożegnał się i opuścił kryptę, zostawiając skrybę z jego przyborami.

Kiedy Gorgias był już pewien, że został sam, zabrał się do pracy. Wziął jeden z kodeksów, które przyniósł Genzeryk, i na wszelki wypadek odwrócił się tyłem do drzwi, by nie zdradzić się swymi ruchami. Ostrożnie wyjął czysty pergamin. Rozłożył go na pulpicie i przypomniał sobie treść, jakby ją odczytywał:

IN-NOMINE-SANCTAE-ET-INDIVIDUAL-TRINITATIS-PATRIS-
SCILICET-ET-FILII-ET-SPIRITUS-SANCTI
IMPERA TOR-CAESAR-FLA VIUS-CONSTANTINUS

Znał ten tekst na pamięć. Czytał nagłówek setki razy i przepisywał co najmniej drugie tyle.

Nim rozpoczął, przeżegnał się, po czym obejrzał skórę, na której miał pisać. Stwierdził, że choć jest dość duża, nie wystarczy, by zmieścić na niej dwadzieścia trzy stronice po łacinie i kolejne dwadzieścia po grecku, a to było konieczne dla powodzenia całego przedsięwzięcia. Potem przesunął palcami po wyciśniętej w skórze cesarskiej pieczęci. Przedstawiała krzyż grecki nałożony na rzymską twarz. Dookoła zaś widniało imię: Gaius Flavius Valerius Aurelius Constantinus — Konstantyn Wielki, pierwszy cesarz chrześcijański i założyciel Konstantynopola.

Jak głosiła legenda, nawrócenie Konstantyna miało miejsce cztery wieki wcześniej podczas bitwy o most Mulwijski. Przed ofensywą cesarz rzymski miał zobaczyć krzyż unoszący się na niebie i pod wpływem tej wizji kazał wyhaftować na swoich sztandarach ten chrześcijański symbol. Bitwa zakończyła się zwycięstwem cesarza, ten zaś z wdzięczności odrzucił pogaństwo.

Gorgias przypominał sobie treść dokumentu.

Pierwsza część zatytułowana *Confessio* opisuje, jak chory wówczas na trąd Konstantyn udał się do pogańskich kapłanów z Kapitolu, którzy poradzili mu wykopać dół, wlać do niego krew świeżo poświęconych dzieciątek i gdy będzie jeszcze ciepła, wykapać się w niej. Jednak poprzedniej nocy Konstantyn miał wizję, w której usłyszał radę. Miał oto udać się do papieża Sylwestra i wyrzec się pogaństwa. Co też Konstantyn uczynił: nawrócił się na wiarę chrześcijańską i został uleczony.

Druga część zatytułowana *Donatio* opisywała dobra i przywileje, którymi Konstantyn obdarowywał Kościół w zamian za ozdrowienie. W ten sposób uznawał zwierzchnictwo papieża rzymskiego nad patriarchami Antiochii, Aleksandrii, Konstantynopola i Jerozolimy. Co więcej, aby godność papieska nie ustępowała ziemskiej, nadawał biskupowi Rzymu również pałac laterański, miasto Rzym, całą Italię i Zachód. Na koniec, by nie naruszać nadanych praw, Konstantyn zobowiązywał się do wzniesienia nowej stolicy w Bizancjum, skąd on i jego potomni mieli ograniczyć się do rządzenia terytoriami wschodnimi.

Nie było wątpliwości: ta donacja oznaczała zwierzchność Rzymu nad resztą chrześcijaństwa.

Z wielką ostrożnością Gorgias rozciął pergamin na ćwiartki, które miały stanowić okładkę. Następnie ułożył arkusze w bifolia o tym samym rozmiarze i sprawdził, czy ma ich wystarczającą ilość. Zanurzył pióro w tuszu i zaczął

kopiować na opieczętowanym pergaminie. Nie ustał w pracy, dopóki noc nie przerodziła się w dzień.

RS

ROZDZIAŁ 10

Proces wypychania zwierząt bynajmniej nie odstręczał Theresy. Przeciwnie, dzięki pracy mogła przynajmniej na jakiś czas zapomnieć o sztylcie. Dziewczyna zauważyła, że Althar rozpoczął budowę nowego rusztowania, które z pewnością miało służyć utrzymaniu ciała niedźwiedzia. W tym celu ustawił pośrodku pień i dołączył do niego dwa nieco cieńsze, które miały imitować łapy. Potem poprosił Theresę, by zdjęła skórę, i sprawdził, czy stojak jest stabilny. Zmodyfikował ustawienie łap, po czym umocował je za pomocą gwoździ i klinów.

— Zawsze jeszcze będzie można związać je liną — powiedział niezbyt przekonany.

Poprosił Theresę, by oddzieliła tłuszcz od skóry, dobrze ją oczyściła i obmyła mydłem. Zrobiła to z łatwością, bo w warsztacie Kornego przywykła do wykonywania takiej pracy. Kiedy skończyła, osuszyła i rozwiesiła skórę na ramie, aby ją przewietrzyć.

— Czy łby też mam oczyścić? — spytała.

— Nie. Zaczekaj chwilę. — Zszedł z taboretu i odrzucił młotek na ziemię. — Łby to zupełnie inna historia.

Usiadł na kamieniu, umieścił jeden niedźwiedzi łeb między kolanami i przyjrzał mu się uważnie. Sprawdził, czy nie krwawi, wyjął nóż, wykonał pionowe nacięcie od ciemienia aż po kark, a następnie drugie, poziome w tylnej części szyi, na kształt odwróconej litery „T”. Potem pociągnął mocno za obie nacięte części skóry i jednym ruchem zdarł ją z czaszki.

— Wrzuć czerep do kadzi — poprosił Althar.

Theresa wykonała polecenie. Kiedy doląła ciepłej wody, wapno zaczęło wrzeć, przeżerając przyczepione do czaszki tkanki. W tym czasie Althar powtórzył tę samą operację z drugim łbem.

W południe ukończyli budowę rusztowania. Althar wyjął jedną z nieskazitelnie już czystych czaszek, osuszył ją i umieścił na czubku pnia, który imitował kręgosłup. Rusztowanie ze sterczącymi we wszystkie strony kawałkami drewna i wieńczące czaszką wyglądało jak jakiś przerażający strach na wróble. Ale Althar był zadowolony ze swego dzieła.

— Kiedy skóra będzie gotowa, kończymy robotę — zarządził. W drodze powrotnej do gawry minęli kilka dziwacznych drewnianych skrzyń. Theresa była ciekawa, do czego służą.

— To ule — wyjaśnił Althar. — Skrzynie zakrywa się gliną, bo zimą pszczoły są delikatne. Jak się dobrze zalepi, trzymają ciepło...

— A pszczoły?

— Są w środku. Jak skończy się zima, otworzę ule i znów będziemy mieć miód.

— Uwielbiam miód.

— A kto go nie uwielbia... — zaśmiał się. — Te stworzenia tną jak szalone, ale produkują tyle miodu, że na cały sezon starcza nam do ciast. I dają nie tylko miód. Widzisz ten stary plaster? — powiedział, unosząc pokrywę jednej ze skrzyń, która stała z boku opuszczona. — To czysty wosk. Idealny na gromnice i świece.

— Nie widziałam żadnych świec w jaskini.

— Bo niemal wszystkie sprzedajemy. Sami używamy ich tylko w wyjątkowych przypadkach: kiedy któreś z nas zachoruje albo wydarzy się coś podobnego. Bóg stworzył noc, by spać. W przeciwnym razie zrobiłby z nas sowy.

Theresa pomyślała, że przydałoby jej się trochę wosku do napełnienia tabliczek. Mogłaby wtedy poćwiczyć pisanie. Ale kiedy wspomniała o tym Altharowi, ten stanowczo odmówił.

— Zwrócę wam nienaruszony wosk... — tłumaczyła dziewczyna.

— W takim razie będziesz musiała sobie na niego zasłużyć. Zamknęli wieko i ruszyli dalej.

W gawrze Leonora przyjęła ich apetyczną potrawką z zająca. Zjedli razem, bo Hoos był już na nogach, i wypili ochoczo, by uczcić to wydarzenie. Kiedy skończyli, Althar pogratulował sobie działania nowych potrzasków, po czym oznajmił, że po południu zabierze się do wypchania Szatana, co zamierza wykonać sam, ponieważ potrzeba do tego wiele cierpliwości i spokoju. Przed wyjściem powiedział Theresie, że da jej trochę wosku, jeśli znajdzie odpowiednie oczy.

— Oczy? — zdziwiła się.

— Dla niedźwiedzi... — wyjaśnił. — Te prawdziwe gniją, więc trzeba je zastąpić czymś innym. Bursztyn byłby idealny, gdybym go miał, ale nie mam, więc będę musiał zadowolić się otoczakami, które znajdziesz w rzece. — Wyjął kilka kamieni z torby i pokazał There-sie. — Mniej więcej takie jak te, ale bardziej gładkie. Pokryję je żywicą i będą wyglądały jak prawdziwe.

Theresa skinęła głową. Kiedy skończyła szorować rondle, powiedziała Leonorze, że idzie nad rzekę.

— A może Hoos by się z tobą wybrał? Trochę świeżego powietrza mu nie zaszkodzi.

Hoos zdziwił się na tę propozycję, podobnie zresztą jak Theresa, gdy usłyszała, że się zgadza.

Wyszli razem z gawry, ale wkrótce Theresa go wyprzedziła i szła, nie oglądając się, aż nad strumień. Tam pochyliła się i zaczęła wybierać kamyki.

— Może ten będzie dobry — powiedział Hoos.

Theresa wzięła kamień i porównała go z wybranymi przez siebie. Z bólem musiała przyznać, że kamień Hoosa był gładszy i równiejszy.

— Za mały — skłamała i oddała mu kamień, niemal na niego nie patrząc.

Hoos schował kamyk do sakwy. Przyglądał się Theresie, podziwiając delikatność, z jaką badała fakturę i kolor kamienia. Zwrócił uwagę na jej szczupłe palce, którymi sprawdzała szorstkość kamyków, zanurzała je w wodzie, by wydobyć pełnię ich barwy, ważyła ostrożnie w dłoniach i klasyfikowała wedle sobie tylko znanego wzorca. Potem odwróciła się z wolna, a jej oczy rozblęły bursztynowym blaskiem.

Stał jak zaczarowany, kiedy nagle Theresa straciła równowagę i wpadła do rzeki. Hoos rzucił jej się na pomoc, ale kiedy ją wyciągał, poczuł ból w piersiach. Skończyli zbierać kamyki i ruszyli w drogę powrotną, ale tym razem Theresa nie wybiegała naprzód. Kiedy tak szli, Hoos spytał, czy jest zadowolona z kamyków, które uzbierała, ale okazało się, że nie jest nimi zachwycona. Szli dalej w milczeniu, aż dotarli do uli.

— Zimą zakrywają je gliną. Żeby pszczoły nie pozdychały — oznajmiła Theresa.

— Nie wiedziałem o tym — odparł Hoos, nie skarżąc się na klucie w piersiach.

— Ja też nie — odpowiedziała ze śmiechem. — Dowiedziałam się od Althara. To dobry człowiek, prawda?

— Jesteśmy tu dzięki niemu.

— Widzisz tę skrzynię, o tam? Althar powiedział, że będę mogła użyć jego wosku do napełnienia mojej tabliczki. — Podeszła i uniosła pokrywę.

— Co to jest tabliczka? Jakiś rodzaj kaganka?

— Nie — zaśmiała się. — To taka skrzyneczka wielkości bochenka chleba. Są też większe i mniejsze. Moja jest z drewna, a jak się ją napełni woskiem, można na niej pisać.

— Aha! — powiedział Hoos, nie rozumiejąc za bardzo, o co chodzi.

— Kiedy wyschnie mi suknia, pójdę do jaskini. To niezwykle miejsce! Chcesz pójść ze mną?

— Na dziś chyba dość już się nachodziłem — jęknął. — Idź sama. Ja położę się na chwilę i zmienię sobie bandażę.

— Hoos...

— Tak?

— Nie wiem, dlaczego go ukradłam... Naprawdę bardzo mi przykro.

— W porządku. Nie martw się. Tylko więcej już tak nie rób.

* * *

Theresa przebrała się i ruszyła z powrotem do jaskini, ale wcześniej obejrzała kamyki i wybrała cztery podobnej wielkości o nieco spłaszczonym kształcie. Uznała, że jak się je pomaluje, będą wyglądały jak prawdziwe oczy.

Kiedy dotarła do jaskini, zastała zamknięte drzwi. Przypuszczała, że Althar jest w środku, więc pchnęła je i weszła. Zastała starego przy rusztowaniu, do którego dodał dwa opuszczone w dół drewniane ramiona.

— Proszę! Już tu jesteś! — powiedział zaskoczony. — No dobrze... powiedz... jak ci się podoba?

Dziewczyna rzuciła okiem na dziwaczną konstrukcję.

— Straszna — powiedziała bez zastanowienia. Althar przyjął to jako komplement.

— I taka ma być — zapewnił. — Dzięki temu drożej się sprzeda... Co cię tu sprowadza?

— Przyniosłam kamyki — powiedziała, pokazując swoje znalezisko. Althar obejrzał je uważnie. Potem położył kamyki na skrzyni obok czerepów, szczotek i ryłców.

— Nadają się — stwierdził.

Wspólnie nałożyli wyprawioną już skórę na toporne rusztowanie.

Zszyli jej części i wypełnili puste miejsca suchym sianem i szmatami. Umieścili na czubku czaszkę i na koniec zajęli się skórą łba. Kiedy skończyli, niedźwiedź wyglądał jak wielgachna sflaczała lala.

— Zupełnie nie przypomina bestii — jęknął Althar.

Kilka razy zmieniali ułożenie siana i gałganów, ale rezultat za każdym razem był jeszcze gorszy. Althar nigdy dotąd nie miał do czynienia z pracą takich rozmiarów. Zniechęcony zaklął i wyszedł na zewnątrz rozprostować kości.

Tymczasem Theresa oddała się rozmyślaniom nad żalnym wyglądem niedźwiedzia. Doszła do wniosku, że przy wyprostowanej pozycji misia siano pod własnym ciężarem opada do brzucha, przez co tors i ramiona zapadają się.

Poza tym ramiona zwisały bezwładnie, a głowa z zamkniętą paszczą przechylała się na bok. Stwierdziła, że zwierzę wcale nie wygląda na wypchane, a raczej na uduszone.

Wyszła, by poszukać Althara i podzielić się z nim swoimi przemyśleniami, ale nie znalazłszy go, wróciła do jaskini i zaczęła pracować, nie uzgadniając swoich pomysłów z myśliwym.

Kiedy ten wrócił, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Theresa zmieniła ustawienie ramion, które teraz wznosiły się nad głową. W tej pozycji siano trzymało się bez problemu w okolicy ramion, czyli dokładnie tam, gdzie powinno. W tylnych łapach zastąpiła siano gał-gankami, które ciasno ubiła, by mocno się trzymały.

— A jak wsuniemy siano między skórę a gałganki, nie będzie widać wybrzuszeń — wyjaśniła.

Althar dalej patrzył zafascynowany. Zauważył, że Theresa umieściła patyk między szczękami, dzięki czemu pozostawały rozwarte, przydając bestii groźny wygląd. Nie mógł uwierzyć, że to dumne zwierzę jest tym samym straszylem, które niedawno tak skrzykował.

Wrócili wieczorem, zmęczeni, ale zadowoleni. Po drodze zatrzymali się przy ulach, by zebrać воск dla Theresy. Kiedy weszli do gawry, Althar powitał Leonorę głośnym cmoknięciem w policzek i natychmiast opowiedział jej o postępkach w pracy.

— Ja nie mam tak dobrych wiadomości — powiedziała zasmucona kobieta. — Młodzieniec czuje się gorzej.

Podeszli do legowiska, na którym leżał Hoos. Dygotał i z trudem oddychał. Leonora pokazała im zakrwawioną szmatkę.

— Sam to wypluł — wyjaśniła.

— Ale wymiotował czy odkaszlnął? — dopytywał się Althar.

— Skąd mam wiedzieć. Zdaje się, że jedno i drugie.

— Jeśli odkaszlnął, to zły znak. Hoos, słyszysz mnie? — powiedział mu do ucha. Młodzieniec przytaknął. Althar położył dłoń na jego piersiach. — Boli cię tutaj? — Hoos znów przytaknął.

Althar skrzywił się i pochylił głowę. Obecność krwi w płwocinie mogła tylko oznaczać, że jedno z żeber przebiło płuco i je rozdziera. Klął na czym świat stoi, kiedy dowiedział się, że Hoos nie odpoczywał, tylko poszedł nad rzekę.

— Jeśli jest, jak myślę, nic nie możemy zrobić — powiedział na stronie do żony. — Co najwyżej modlić się za niego i czekać do rana.

* * *

Hoos całą noc kaszlał i jęczał. Leonora i Theresa na zmianę przy nim czuwały, ale mimo to nie było zbyt wielkiej poprawy. Rankiem dopadła go gorączka. Althar obawiał się, że chłopak umrze za kilka dni, jeśli nie zajmie się nim lekarz.

— Niewiasto, przygotuj prowiant. Wyjeżdżamy do Fuldy — oświadczył.

Do południa byli gotowi. Althar załadował na wóz wypchanego niedźwiedzia, na wpół ukończony łeb i kamyki, które miał wstawić w puste oczodoły. Wspólnie ułożyli na wozie siennik, na którym umościli Hoosa Larssona. Wzięli prowiant, tobołek skór na sprzedaż i pożegnali się z Leonorą.

— Mam nadzieję, że niebawem was zobaczę — powiedziała Theresa z oczami pełnymi łez.

— Wydobrzeje — odparła Leonora i ucałowała ją, również roniąc łzy.

* * *

Pierwszy dzień minął bez żadnych wydarzeń. Zatrzymywali się, kiedy było to absolutnie konieczne, by przełknąć kawałek pasztetu z jelenia i opróżnić pęcherze. Hoos był nieprzytomny i wciąż trawiła go gorączka. Noc spędzili przy strumieniu, trzymając na zmianę wartę. Theresa wykorzystała swoją zmianę, by dokończyć szycie łba drugiego niedźwiedzia. Kiedy w miejsce oczu włożyła kamyki, niedźwiedź nabrał całkiem znośnego wyglądu, a przynajmniej w świetle księżyca tak jej się zdawało. Rankiem ruszyli w dalszą podróż, a po południu dostrzegli już słupy dymu zwiastujące bliskość Fuldy.

Choć nadal od miasta dzielił ich spory kawałek, Theresa była pod wrażeniem potężnego opactwa. Na szerokim wzniesieniu upchnięto dziesiątki pstrokatych budynków. Stały tak ciasno, że zapełniły każdą piędź ziemi, na której można było położyć belę drewna czy wznieść ogrodzenie. Budynki okalały mury broniące dostępu do klasztoru, posępnej budowli tej samej ciemnej barwy, co góra, na której zostało zbudowane opactwo. Poniżej u podnóża tłoczyły się chatki, szałas, składy i spichlerze, a także warsztaty i zagrody w takim nieładzie, że nie sposób było odróżnić jednych od drugich.

W miarę jak posuwali się naprzód, ścieżka stawała się mniej kręta i w końcu zamieniła się w szeroki gościniec, na którym roilo się od rolników i zwierząt. Pola usiane były wydzielonymi gospodarstwami o krytych strzechą dachach, których ogrodzenia z głogu wyznaczały granice władzy właścicieli. W końcu dotarli nad brzeg rzeki Fuldy stanowiącej naturalną granicę między krętą drogą a południowym wjazdem do miasta.

Chłopi czekali w długim rzędzie na swoją kolej przekroczenia mostu. Althar zakrył głowę kapturem i pognął konia, aż znaleźli się na końcu kolejki.

Opłaciwszy strażnika garnkiem miodu w ramach podatku mostowego, przejechali na drugą stronę. Althar nie mógł odżałować miodu, bo jak twierdził, mógł go zaoszczędzić, przeprawiając się przez rzekę kilka kilometrów dalej, ale z wozem, niedźwiedziami i rannym Hoosem wolał nie ryzykować. Theresa nic nie powiedziała. Była oszołomiona tak wielką ciżbą, ciągłym pokrzykiwaniem, zapachem potraw i ludzi wymieszanym z wyziewami owiec, kur i mułów, które krążyły wszędzie z większą chyba nawet swobodą niż ich właściciele. Przez chwilę zapomniała o swoich zmartwieniach i chłonęła widok kupców handlujących tkaninami, sprzedawców żywności, tawern naprędce zorganizowanych na beczkach z piwem i drobnych złodziejasków biegających wśród kramów z jabłkami, które otaczały wielką bramę wjazdową. Przez chwilę miała wrażenie, że wraca do swojego dawnego Konstantynopola.

Althar poprowadził wóz do bocznego wejścia, aby ominąć tłum rzemieślników. Zostawił w tyle rynek i wjechał pod górę szeroką ulicą wychodzącą na plac, na którym łączyły się dziesiątki małych uliczek. Tam musieli odczekać, aż przejdzie orszak z opactwa, by czekające wozy mogły ruszyć w dół doliny.

Tymczasem Althar zwierzył się Theresie, że zna w mieście pewną osobę, która ich ugości.

— Ale nie opowiadaj o tym Leonorze — zaśmiał się.

Theresa zdziwiła się, słysząc taką prośbę. Althar zatrzymał wóz i kazał jej zostać na straży, a sam poszedł zasięgnąć języka. Zwrócił się do grupy mężczyzn, którzy żartowali pochyleni nad dzbanem wina. Przywitał się z nimi tak, jakby znał ich od dawna, i wrócił z uśmiechem na twarzy. Wyglądało na to, że osoba, której szukał, przeniosła się na przedmieścia. W tym momencie woźnica stojącej przed nimi furmanki trzasnął z bicia i wszyscy ruszyli w dalszą drogę.

Niedaleko opactwa Althar skrzył w wąską uliczkę, w której wóz z trudem się mieścił, i jechał dalej drogą prowadzącą do wschodniej części osady. Stopniowo domy stawały się coraz starsze i ciemniejsze, a aromaty potraw i przypraw ustąpiły miejsca nieznośnemu fetorowi skwaśniałego wina. Przy jednym z rozwalonych domostw Althar zatrzymał konia. Theresa zauważyła, że drzwi domu stojącego po przeciwnej stronie są wymalowane w pstrokate kolory. Ten dom nie był w ruinie, choć z pewnością wymagał nieco prac

naprawczych. Stary pospiesznie zeskoczył z wozu i wszedł do środka bez pukania. Po chwili wrócił roześmiany od ucha do ucha.

— Schodź. Dadzą nam jeść — powiedział.

Zdjęli z wozu niedźwiedzie i resztę ładunku, po czym wnieśli Hoosa do kantyny.

RS

ROZDZIAŁ 11

Okazało się, że Helga zwana Czarnulką jest niezwykle wesołą prostytutką. Ledwie zobaczyła Althara, wyciągnęła bezwstydnie język, zakasała spódnicę, ukazując kolana, i nazwawszy go „skarbem”, cmoknęła z zapalem w policzek. Potem spytała, kim jest ta wymuszkana narzeczona, którą ze sobą przywiózł, i żartowała dalej, póki nie zorientowała się, że mają ze sobą rannego. Natychmiast zapomniała o głupstwach i zajęła się Hoosem z takim poświęceniem, jakby od tego zależało jej życie.

Zgodnie z tym, co opowiedziała Theresie, pracowała w kantynie, dopóki nie odkryła, że dogadzanie sąsiadowi jest bardziej lukratywnym zajęciem niż dogadzanie wiecznie pijanemu mężowi, więc gdy tylko owdowiała, sprzedała dom i otworzyła tawernę, aby zarabiać na życie. Nazywano ją Czarnulką, bo jej włosy były ciemne jak głownia pochodni, a paznokcie miały podobną barwę. Opowiadając, co chwila wybuchała śmiechem, a za każdym razem, gdy to robiła, rzucały się w oczy dziury w jej uzębieniu. Theresa przyznała, że wdzięczny karmin zdobiący jej policzki odciągał nieco uwagę od szczerb i że mimo zmarszczek Czarnulka Helga wciąż mogła uważać się za atrakcyjną kobietę. Kiedy zmieniała bandażę Hoosa, spytała Althara o jego żonę, a wtedy Theresa zrozumiała, dlaczego stary prosił ją o zachowanie tajemnicy.

Theresa nigdy nie podejrzewała, że prostytutka może mieć tak wielkie serce. Nigdy wcześniej nie miała z żadną do czynienia, ponieważ w Wurzburgu nie знаła takich kobiet. Zdziwiła się zresztą, że w Fuldzie może któraś z nich mieszkać tak blisko opactwa. Kiedy kobieta skończyła opatrywać Hoosa, spytała Althara o charakter obrażeń. Stary podzielił się z nią swoimi podejrzeniami. Czarnulka Helga najwyraźniej zastanawiała się nad odpowiedzią.

— Tu jedynym medykiem jest pewien mnich, który mieszka w klasztorze — odparła. — Ale on zajmuje się tylko benedyktynami. Cała reszta, to znaczy my wszyscy, musi zadowolić się cyrulikiem dentystą.

— To nie byle jaki ranny — odparł zaniepokojony Althar. — Musi zająć się nim ktoś, kto się na tym zna.

— Opowiesz mi o tym później, kołeczku... Ja nie mogę zjawić się z mężczyzną u boku przed bramą opactwa. A ty tym bardziej: jak cię rozpoznają, rzuca cię psom na pożarcie.

Althar pogładził się po brodzie. Czarnulka Helga miała rację. W klasztorze nadal pełno było tych, którzy uważali, że jest winny śmierci syna opata. Mogli jedynie wezwać cyrulika. Helga była tego samego zdania.

— Nazywa się Maurer. Rano wychodzi do chorych, ale w południe jest już w tawernie na rynku i wydaje tam wszystko co do ostatniego obola.

Althar wiedział, gdzie mieści się ten przybytek. Poprosił Theresę, by schowała swoje rzeczy pod łóżko Hoosa, i wyszli. Helga miała opiekować się chorym.

— Idziemy na targ — oznajmił z uśmiechem. — Zapomniałem, że mamy niedźwiedzie do sprzedania.

* * *

Kiedy dotarli do placu, ustawili się na uboczu, bo najlepsze miejsca były już pozajmowane. Ludzie tłoczyli się przy kramach z jedzeniem, ceramiką, narzędziami, sprzętem gospodarskim, nasionami, tkaninami i koszykami, wymieniając się najróżniejszymi towarami. Był to dzień jarmarczny i wszyscy korzystali z okazji, by pooglądać towary albo poplotkować, choć co tydzień można było kupić tu te same produkty. Althar ustawił wóz przy murze, by złodzieje nie mogli zakraść się od tyłu, uniósł niedźwiedzia i postawił go na wozie, a tuż obok na naprędcie skleconym postumencie położył łeb drugiego zwierzęcia.

Spytał Theresę, czy umie tańczyć. Zaprzeczyła, ale stary zbytnio się tym nie przejął. Kazał jej wejść na wóz i kołysać biodrami, wedle własnego upodobania. Potem wyjął myśliwski róg i zadał. Najpierw zbiegły się niechlujne wyrostki. Chłopcy zabawiali się, tylko naśladując ruchy Theresy, ale wkrótce dołączyli inni ciekawscy i po chwili wokół wozu zebrała się grupa gawiedzi.

— W zamian za tego dużego niedźwiedzia oddam ci swoją żonę — zaproponował jakiś bezzębny chłop. — Ma równie długie pazury.

— Żałuję, ale moja żona już jest bestią... — Zaśmiał się Althar.

— I twierdzisz, że ten stwór to niedźwiedź? — spytał inny. — Przecież ledwie widać mu jaja. — Zebrani zarechotali.

— Zbliź się do jego gardzieli, a zobaczysz, jak tobie się skurczą jaja. — Wszyscy znów wybuchli śmiechem.

— Ile chcesz za dziewczynę? — spytał trzeci.

— To dziewczyna go zabiła, więc wyobraź sobie, co zrobiłaby z tobą... — Kolejny wybuch śmiechu.

Jakiś wyrostek rzucił w nich kapustą, ale Althar złapał go za włosy i wymierzył mu kopniaka, co spowodowało, że reszta chłopców się rozpiechła. Sprzedawca piwa uznał, że nadarza się okazja, by zrobić dobry interes, i przetoczył swoją beczkę bliżej furmanki. Kilku pijaczków przyszło za nim w nadziei, że trafi się zaproszenie na darmową kolejkę.

— Ten niedźwiedź pożarł dwu Sasów, nim udało się go upolować — oświadczył Althar. — Trzymał ich szkielety w swojej jaskini. Zabił mojego psa i mnie też zranił. — Althar pokazał starą bliznę na nodze. — A teraz może być wasz za jeden funt srebra.

Cena odstraszyła wielu zebranych. Część odwróciła się na pięcie i odeszła. Każdy, kto miałby cały funt srebra, kupiłby raczej sześć krów, trzy klacze, a nawet parę niewolników niż połataną skórę martwego niedźwiedzia. Ci, którzy zostali, przyglądali się podrygom Theresy.

Jakaś kobieta otulona przedniej jakości futrem podziwiała niedźwiedzia. Towarzyszył jej człeczyna o eleganckim wyglądzie, który, widząc jej zaciekawienie, wysłał sługę, by ten dowiedział się o cenę.

— Powiedz swojemu panu to, co już jest mu wiadome. Jeden funt za całą bestię — i znów zadał w róg.

Sługa zbladł, ale jego pan zachował kamienny wyraz twarzy, gdy usłyszał cenę. Znów posłał sługę, a ten zaproponował Altharowi połowę tej sumy.

— Powiedz mu, że za takie pieniądze nie sprzedam nawet lisicy. Jeśli chce zrobić wrażenie na swojej damie, niech poskrobie w sakiewce albo sam nadstawi karku i upoluje niedźwiedzia.

Kiedy para usłyszała odpowiedź, odwróciła się i znikła w tłumie. Ale Althar zauważył, że po kilku krokach kobieta zaczęła oglądać się za siebie. Stary uśmiechnął się pod nosem i zaczął zbierać manatki.

— Czas się napić — oznajmił Theresie.

Nim odeszli, ubił kilka interesów: sprzedał za złotego solida skórę bobra handlarzowi jedwabiów, drugą zaś wymienił z piekarzem za trzy modiusy pszenicy. Potem najął chłopca do pilnowania niedźwiedzia, ale wcześniej ostrzegł go, że własnoręcznie obedrze go ze skóry, jeśli po powrocie okaże się, że czegoś brakuje. Weszli razem do kantyny i usiedli przy oknie, by mieć wóz na oku. Althar poprosił o dwie szklanki wina i dwa bochenki chleba z kielbaskami, które natychmiast podano. Kiedy pili, Theresa spytała, dlaczego nie chciał negocjować ceny za niedźwiedzia.

— Musisz nauczyć się języka interesów — powiedział, pochłaniając całą swoją porcję za jednym zamachem. — A pierwsza lekcja jest następująca:

poznaj swego przyszłego klienta, co na szczęście mnie się udało. Człowiek, który zainteresował się niedźwiedziem, jest jednym z najbogatszych ludzi w Fuldzie: mógłby kupić sto niedźwiedzi, a i tak zostałyby mu aż nadto pieniędzy na zakup tysiąca niewolników. A jak chodzi o nią... nie wiem, co takiego ma między nogami, ale zawsze dostaje to, na co ma ochotę.

— Cóż, może i nie znam tego języka, ale niedźwiedź wciąż jest na wozie, a gdybyście obniżyli cenę, być może teraz już byśmy to świętowali.

— I to właśnie uczynimy — zaśmiał się Althar i puścił do niej oko, równocześnie patrząc na drzwi, w których ukazał się wspomniany przez nich przed chwilą mężczyzna.

Przybysz podszedł i przysunął sobie taboret, a towarzysząca mu kobieta została na zewnątrz, podziwiając wypchane zwierzę.

— Nie przeszkadzam? — spytał.

Althar skinął głową, niemal na niego nie spoglądając, a mężczyzna usiadł ostrożnie. Kiedy podawano im ser i wino, Theresa uważnie mu się przyjrzała. Na każdym palcu miał lśniący pierścień, a pod nosem cienki świeżo natłuszczony wąs. Zauważyła, że jego strój, choć wystawny, jest zaplamiony jedzeniem. Mężczyzna chwycił dzban wina i najpierw nalał sobie szklanice, a potem dolał wina Altharowi.

— Czyżby nie podobały ci się moje pieniądze? — spytał wprost.

— Tak samo jak tobie mój niedźwiedź — odparł Althar, nie podnosząc oczu znad szklanki.

Mężczyzna wyjął sakiewkę i położył na stole. Althar wziął ją, zważył w dłoniach i odłożył.

— Pół funta to tyle, ile zarabia w ciągu roku jeden z moich parobków — zaprotestował mężczyzna z pełną pogardy miną.

— Dlatego nie pracuję jako parobek — rzucił od niechcienia Althar. Mężczyzna wziął z powrotem mieszki, wstał zirytowany i wyszedł.

Po krótkiej wymianie zdań z kobietą wrócił i kopnął stół, przy którym Althar i Theresa nadal jedli. Wyjął dwa mieszki i rzucił je na resztki jedzenia.

— Jeden funt srebra. Obyś ty i twoja dziwka potrafili się tym cieszyć — powiedział, mając na myśli Theresę.

— Tak uczynimy, panie. Dziękuję! — odparł Althar i z kamienną miną dopił swoje wino.

Na zewnątrz kobieta ucałowała swojego kawalera, uśmiechając się przymilnie, a słudzy zaczęli ściągać niedźwiedzia z wozu, by przenieść go na wóz nowego właściciela. Jeden z zatrudnionych przez Althara chłopców

usiłował im w tym przeszkodzić, ale zarobił tylko policzek. Kiedy Althar wyszedł z tawerny, wezwał chłopaka i podarował mu całego obola za odwagę.

— Słuchaj, chłopcze. Wiesz, gdzie znajdziemy cyrulika Maurera? Chłopak ugryzł obola, aż mu zgrzytnęło w zębach, i zachwycony schował go do kieszeni. Kiedy wskoczyli na wóz, poprowadził ich uliczkami do tawerny mieszczącej się dwie przecznice dalej. Kiedy zajechali pod gospodę, chłopak wszedł do środka i po chwili pojawił się w towarzystwie brzuchatego mężczyzny o twarzy naznaczonej śladami po ospie. Był tym, którego szukali. Althar zszedł z wozu, wyjaśnił cyrulikowi, o co chodzi, i uzgodnił z nim cenę. Cyrulik wrócił do tawerny po swoją sakwę, a potem obaj wsiedli na kozioł i ruszyli w stronę kantyny Czarnulki Helgi.

* * *

Cyrulik, choć jechało od niego winem, wykazał się dużą sprawnością. Natychmiast ogolił tors Hoosa i obmył go olejkami. Potem zbadał napięcie skóry na piersi, sprawdził stopień zaczerwienienia, ciepłotę i obrzęk. Na widok sinofioletowego odcienia skóry pokręcił z niezadowoleniem głową. Następnie osłuchiwał chorego za pomocą trąbki z kości, którą przyłożył do piersi Hoosa, co uczynił, wstrzymując własny kwaśny i ciężki oddech. Przepisał mu kataplazmy, uznając puszczenie krwi za niepotrzebne.

— Niepokoi mnie gorączka—wyjaśnił. Pozbierał brzytwy i kolorowe kamienie, na których je ostrzył. — Ma trzy złamane żebra. Dwa chyba się zrastają, ale trzecie dosięgło płuca. Na szczęście weszło i samo wyszło. Rana dobrze się goi, oddech jest słaby. Ale gorączka... fatalna sprawa.

— Umrze? — spytał Althar, a Czarnulka Helga szturchnęła go znacząco. — To znaczy... Będzie żył? — poprawił się.

— Problemem jest obrzęk. Jeśli będzie się utrzymywał, gorączka wzrośnie. Są na to zioła zdolne powstrzymać rozwój choroby, ale niestety ja ich nie mam.

— Jeżeli to kwestia pieniędzy...

— Niestety, nie. Dobrze mi zapłaciliście, a ja zrobiłem, co mogłem — powiedział, pochłaniając ostatni kęs poczęstunku, którym zwyczajowo przyjmowano medyków.

— A te zioła, o których mówiliście... — zainteresowała się Czarnulka Helga.

— Nie powinienem o nich wspominać. Stosuję koper włoski na obstrukcję i trybulkę na krwotoki, a na reszcie w ogóle się nie znam.

— A kto się zna? — spytała Theresa. — Medyk z klasztoru? Jeśli tak, to chodźcie z nami do niego. Być może wtedy nas przyjmie.

Cyrulik podrapał się po łysinie i spojrzał ze smutkiem na Theresę.

— Nie sądzę, bym mógł się wam na coś przydać. Medyk, o którego pytacie, zmarł w zeszłym miesiącu.

Czarnulce Heldze wypadł z rąk kociołek. Wiadomość zaskoczyła również Alhara, a najbardziej zaboląła Theresę. Choć żadne z nich nie powiedziało tego głośno, wszyscy mieli nadzieję, że medyk z klasztoru pomoże Hoosowi Larssonowi.

— Porozmawiajcie z aptekarzem — poradził Maurer. — Z tym, co go nazywają zielarzem. Jest uparty jak osioł, ale często lituje się nad tymi, co okraszają swoje prośby jakimś poczęstunkiem. Powiedzcie, że ja was przysyłam. Prowadzę z nim pewne interesy i darzy mnie szacunkiem.

— A wy nie moglibyście z nim pomówić...? — nalegała Theresa.

— To nie jest dobry moment. Na początku miesiąca zjawiała się w Fuldzie misja kościelna wysłana przez Karola Wielkiego. Na jej czele stoi pewien mnich brytyjski, któremu król powierzył reformy Kościoła, i z tego, co mówią ludzie, przybył z biczem w ręku. — Upił łyk wina. — Wystarczy, że ktoś mu wspomni, że czasem dorabiam, przepędzając duchy, a już by mnie oskarżył o herezję i powiesił na jakiejś wysokiej sośnie. Ten Brytyjczyk wyrócił cały klasztor do góry nogami, więc zachowajcie ostrożność.

Maurer zakończył nakładanie kataplazmu i zakrył Hoosa kołdrą. Przed pożegnaniem powiedział im, jak dostać się do aptekarza, i wyjaśnił Heldze, jak należy nacierać chorego, by nie uciskać mu zanadto piersi. Po czym podał rękę Altharowi i wyszedł z powściągliwą miną.

Gdy zostali sami, zapadło milczenie.

Helga Czarnulka upudrowała twarz i zaczęła porządkować izbę, w której wkrótce miała rozpocząć pracę. Z kolei Althar uznał, że to dobry moment na wizytę w kuźni i naprawę buksy w furmance.

Theresa została przy Hoosie, by otrzeć mu pot z czoła. Delikatnie przesunęła szmatką po jego twarzy. Najpierw otarła brwi, potem opuszczone powieki, modląc się, by drzenie, które ją opanowało, nie zaburzyło jego snu. Potem poczuła, że wilgoć podobna do tej, która pokrywała jego czoło, pojawia się w jej własnych oczach, jakby oboje w jakiś dziwny sposób dzielili to samo cierpienie. W tym momencie przysięgła sobie, że dopóki będzie miała na to jakiś wpływ, nie pozwoli, by Hoos Larsson stracił życie. Jeśli będzie to konieczne, zanieśie go choćby sama do klasztoru i sprawi, że aptekarz wyleczy go za pomocą swych ziół.

* * *

Kiedy Theresa znów zobaczyła Czarnulkę, miała wrażenie, że stoi przed obcą osobą. Jej rozpuszczone i ozdobione wstążkami włosy wydawały się mniej przyprószone siwizną, usta pomalowała na kolor krwistej czerwieni, a wyraziste rumieńce na twarzy podkreślały pulchność policzków. Duży dekolt ukazywał obfite piersi, które dzięki przepasce pod biustem uniosły się do góry. Miała na sobie szeroką spódnicę obwiązaną w talii rzucającym się w oczy pasem, a na szyi naszyjnik z paciorków, które przy każdym poruszeniu tańczyły i pobrzękiwały, przyciągając uwagę do biustu. Helga usiadła i nalała sobie dużą szklanicę wina.

— Trzeba czekać — powiedziała, spoglądając na Hoosa. Zauważyła, że na wysokości stanu wystaje jej fałda materiału, więc wcisnęła ją roztargniona za pasek spódnicy.

— Myślę, że ten kataplazm mu nie pomoże. Musimy zabrać go do aptekarza — postanowiła Theresa.

— Niech teraz odpoczywa. Zobaczymy jutro z rana, jak się będzie czuł, i wtedy się zastanowimy. Althar mówił mi, że chcesz zostać w Fuldzie.

— To prawda.

— I wspomniał, że nie masz rodziny. Zastanawiałaś się już, jak będziesz zarabiać na życie?

Theresa zarumieniła się. W istocie dotąd nie zadała sobie tego pytania.

— No tak... — mówiła dalej Czarnulka. — Powiedz mi, nadal jesteś dziewczicą?

— Tak — odparła czerwona jak burak.

— Oczywiście, masz to wypisane na twarzy — pokręciła głową. — Gdybyś była dziwką, byłoby łatwiej, choć na to nigdy nie jest za późno. O co chodzi? Nie lubisz mężczyzn?

— Są mi obojętni. — Spojrzała na Hoosa i uświadomiła sobie, że nie mówi prawdy.

— A kobiety?

— Oczywiście, że nie! — uniosła się obrażona. Czarnulka Helga wybuchła szczerym śmiechem.

— Nie bój się, księżniczko, tu Pan Bóg nie zachodzi, więc nas nie usłyszy. — Upiła kolejny łyk wina. Spojrzała na nią i otarła usta, ścierając sobie szminkę. — Musisz coś wymyślić. Jedzenie kosztuje, ubranie też, a łóżko, na którym leży ten młodzieniec, również kosztuje. No, chyba że się go używa do pieprzenia.

Theresa poczuła się nieswojo. Przez chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Jutro poszukam pracy. Pójdę na rynek, popytam wśród kramów i na polu. Na pewno coś znajdę.

— A co potrafisz? Może będę mogła ci pomóc.

Theresa powiedziała jej, że w Wurzburgu pracowała w warsztacie garbarskim. Wspomniała też, że zna się nieco na kuchni, mając na myśli to, czego nauczyła się od Leonory. Wołała jednak nie wspominać, że umie pisać. Kiedy Czarnulka zaczęła wypytywać o szczegóły, odparła, że przygotowywała pergaminy, zszywała karty i oprawiała kodeksy.

— Tu nie ma warsztatów wyprawiających skóry. Każdy radzi sobie, jak może. Chyba w opactwie tym się zajmują, ale nie jestem pewna. A dużo zarabiałś przy tym zajęciu?

— Każdego dnia dostawałam chleb. Uczniom się nie płaci.

— Aha! A więc jeszcze się uczysz. A ile zarabiał pracownik?

— Jednego albo dwa denary dziennie, choć zazwyczaj im również dawano po prostu jedzenie. — Theresa nie chciała mówić, że uważa się już za prawdziwego fachowca.

Czarnulka Helga skinęła głową. Zapłata w postaci żywności albo towarów była zwyczajowo przyjętą formą opłacania pracowników. Ale kiedy Theresa powiedziała jej, że dostawali modius pszenicy, co stanowiło odpowiednik jednego denara, zaczęła się śmiać.

— Widać, że nigdy nie chodziłaś na rynek. Spójrz. — Odstawiła dzbany na bok i zaczęła robić kulki z okruchów chleba. — Jeden funt srebra to dwadzieścia solidów. — Skończyła ugniatać kulki i ułożyła je w dwu rzędach, po dziesięć w każdym. — A jeden solid odpowiada dwunastu denarom. — Zrobiła jeszcze trochę kulek, ale pomyliła się przy liczeniu i wszystkie kulki jednym ruchem zmiotła na podłogę. — W każdym razie solidy są ze złota, a denary ze srebra, rozumiesz?

Theresa spojrzała w górę, jakby szukała czegoś na suficie. Szybko odpowiedziała:

— Jeśli dwanaście denarów to jeden solid, a dwadzieścia solidów to jeden funt... — Policzyła szybko na palcach. — Wobec tego jeden funt to dwieście czterdzieści denarów!

Czarnulka patrzyła na nią zaskoczona. Sądziła, że dziewczyna podała poprawną odpowiedź, bo знаła ją z góry.

— Tak jest — przyznała. — Dwieście czterdzieści denarów. Za jeden denar można kupić jedną czwartą modiusa pszenicy albo jedną trzecią modiusa żyta. A nawet pół modiusa jęczmienia albo jeden owsa. Problem w tym, że aby je

zemleć, musisz mieć żarna, a te cholerstwa są drogie jak diabli, więc jeśli znajdziesz pracę, lepiej by było, gdyby płacili ci chlebem, a nie ziarnem. Jeden denar to równość dwu dwufuntowych bochenków, ale dla jednej osoby to za dużo.

— A więc?

— Tak naprawdę potrzebny ci tylko jeden bochen na twoje potrzeby, więc będziesz musiała pójść na rynek, by wymienić dziewięć pozostałych. I mówię dziewięć, bo jeśli tu zostaniesz, dwa będziesz musiała mi oddać jako zapłatę za mieszkanie. Jeden funt mięsa albo ryby kosztuje około pół denara, to znaczy równość sześciu bochenków pszennego chleba. Potem zostaną ci jeszcze trzy, które wymienisz na sól, którą, jako że się nie psuje, zawsze będziesz mogła znów wymienić. Jeśli tu ci się nie podoba, mogę popytać w okolicy. Może znajdziemy ci jakieś lokum za tę cenę.

— Ale będą mi potrzebne inne rzeczy. Nie wiem... ubrania, buty...

— Niech ci się przyjrzę... Na razie mogę ci coś pożyczyć. Jeden łokieć wełnianej tkaniny kosztuje jednego solida, ale jeśli poszukasz używanej, możesz zapłacić tylko trzy denary. Jak się ją odwszawi i poceruje, będzie ci służyć jak nowa. Zresztą wczoraj kupiłam jedną belę starej wełny. To jakieś osiem, dziesięć łokci, wystarczy na dwa albo trzy stroje. Odstąpię ci resztki, z których będziesz mogła uszyć sobie piękną nową suknię.

Theresa nie wiedziała, co odpowiedzieć, bo już całkiem się w tym wszystkim pogubiła. Ugryzła kawałek chleba i przyjrzała się Heldze. Uznała, że choć Czarnulka posługuje się prostackim językiem i ma grubiańskie obyczaje, ma nadzwyczajne serce.

— Jeśli chodzi o Hoosa — dodała Helga — może tu zostać, ile będzie trzeba, ale nie dam mu łóżka, bo czasem klienci chcą się trochę zabawić. Możecie ulokować się tam z tyłu, w brogu.

Theresa ucałowała ją w policzek, co do głębi wzruszyło Helgę.

— Wiesz, kiedyś ja też byłam ładna — zaśmiała się gorzko. — Dawno, dawno temu...

* * *

W trakcie wieczerzy Althar kłął bractwo kowali, jego członków, a zwłaszcza naciągacza, który naprawił mu koło wozu.

— Przekłety łotr kazał sobie zapłacić jednego solida — narzekał. — Jeszcze trochę, a zabierze mi cały wóz.

Potem oznajmił, że następnego dnia wraca w góry.

Czarnulka niemal się nie odzywała. Theresa zauważyła, że z upływem dnia rozmazane barwidła na jej licu coraz bardziej upodabniały ją do straszdyła. Ledwie trzymała oczy otwarte. Wypiła dużo ponad miarę, a mimo to dalej ścisnęła w dłoni pełną szklanekę.

Theresa sprzątnęła ze stołu i udała się do brogu, by zająć się Hoosem. Znów go natarła i stwierdziła, że trawi go gorączka. Tej nocy prawie wcale nie spała, bo Hoos trzykrotnie wymiotował.

Czuwając, wspominała ojca i Rutgardę. Stale za nimi tęskniła i nie było nocy, by o nich nie myślała. Wyobrażała sobie, że są zasmuceni i przygnębieni, i obwinała się za to, że jest tego przyczyną. Często pocieszała się, wyobrażając sobie, że mają się dobrze, i snuła plany, jak by ich zawiadomić o swoim miejscu pobytu. Postanowiła znaleźć sposób, by z nimi porozmawiać i wyjaśnić, co się wydarzyło, aby pewnego dnia mogli jej wybaczyć.

Rankiem obudziło ją sapanie Althara, który zaprzęgał już konia do wozu. Hoos sprawiał wrażenie niezbyt przytomnego. Theresa pomogła mu wstać i zaprowadziła go do latryny w stajni. Czekać, aż stamtąd wyjdzie, odkroiła kawałek ciasta, które upiekła Czarnulka Helga, z zamiarem wręczenia go aptekarzowi. Poprosiła Althara, by przed odjazdem odwiózł ich do opactwa, na co stary ochoczo przystał.

Nie pożegnała się z Czarnulką, bo ta była nadal tak pijana, że nawet jeszcze nie wstała. W stajni Theresa z zaskoczeniem stwierdziła, że wóz wygląda jak nowy, bo kowal, oprócz naprawy buksy, również go wyczyścił. Usiadła obok Hoosa i opatulila go dla ochrony przed poranną wilgocią. Althar strzelił z bicia i koń ruszył dostojnie w drogę.

Jechali uliczkami, na których pojawiały się pierwsze dusze wychodzące z domów, by ruszyć na pola. Zgodnie ze wskazówkami cyrulika skierowali się ku południowej stronie opactwa, gdzie wedle jego słów mieli zastać aptekarza przy pracy w ogrodzie. Musiało być jeszcze za wcześnie, bo za ogrodzeniem z ciernistych krzewów nikogo nie było widać. Althar zsiadł z wozu, pomógł Theresie przenieść Hoosa i wspólnie oparli go o pobliski pień drzewa.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmił stary.

Theresę przeszły dreszcze. Nie była pewna, czy wywołało je zimno, czy też świadomość, że znów zostaje sama. Spojrzała z wdzięcznością na Althara i objęła go, gdy ten na pożegnanie otworzył szeroko ramiona. Potem odsunęła się z lśnącymi od łez oczami.

— Nigdy was nie zapomnę, łowco niedźwiedzi. Ani Leonory. Powiedźcie jej o tym.

Althar otarł oczy, sięgnął za pazuchę, wyjął mieszek z monetami i podał go Theresie.

— To wszystko, co dostałem. — Theresa otworzyła szeroko usta ze zdziwienia. — Za twoją głowę niedźwiedzia — dodał.

Skinieniem głowy pożegnał się z Hoosem, po czym pogonił konia i powoli znikł wśród zabłoconych uliczek.

* * *

Minęła dobra chwila, nim dzwony wybiły prime, obwieszczając początek działalności klasztornej. Wkrótce otwarła się furta i wyszło przez nią kilku mnichów, którzy ruszyli ogrodowymi ścieżkami. Najmłodszy zabrali się leniwie do uprzątnięcia i plewienia chwastów, najstarszy zaś, wysoki, niezgrabny mnich zajął się sprawdzaniem krzaków, nad którymi co chwila się pochylał, czule ich dotykając. Theresa uznała, że ten wysoki musi być aptekarzem, nie tylko z racji wieku, ale również dlatego, że wyróżniał się habitem uszytym z mniej szorstkiej wełny niż habity nowicjuszy. Wysoki mnich pieczołowicie sprawdzał krzak po krzaku, aż wreszcie doszedł do miejsca, w którym stała Theresa. Dziewczyna zebrała się na odwagę i podeszła, by z nim porozmawiać.

— Kto tu się kręci? — spytał mnich, usiłując coś dojrzeć przez kolczaste ogrodzenie. Theresa skuliła się jak przestraszony zając.

— Brat zielarz? — spytała słabym głosem.

— A kto pyta?

— Przysłał mnie Maurer, cyrulik. Na miłość boską, pomóżcie nam. Mnich odgarnął kolczaste krzewy, dostrzegł Hoosa zgiętego wpół tak bardzo, że niemal zsuwał się pnia, na którym siedział, i natychmiast kazał nowicjuszom przenieść go na teren ogrodu. Theresa poszła za nimi, o nic nie pytając. Minęli zagrody i doszli do niskiego budynku, do którego prowadziły jedne tylko drzwi zamknięte na toporną kłódkę. Mnich wyjął z rękawa klucz i po kilku próbach otworzył wreszcie drzwi, które ustąpiły, skrzypiąc. Nowicjusze ułożyli Hoosa na stole, uprzątnąwszy wcześniej stojące na nim gliniane miseczki, po czym zgodnie z poleceniem mnicha wrócili do ogrodu, by plewić i naprawiać ogrodzenia. Theresa czekała w progu.

— Nie stój tak na zewnątrz — powiedział mnich, porządkując naczynka, słoje, flakony i kolby, które leżały poprzewracane po obu stronach stołu. — A zatem przysłała cię cyrulik? I mówił, że ci pomogę?

Theresa miała wrażenie, że rozumie, do czego zmierza mnich.

— Przyniosłam to dla was — podała mu pasztet z mięsa, który przygotowała Czarnulka Helga.

Mnich rzucił okiem na pasztet i niezbyt nim zainteresowany odsunął go na bok. Potem znów zajął się miseczkami na stole, a porządkując je, wypytał Therese o przyczyny gorączki. Gdy usłyszał o przebitym płucu, zagryzł wargi.

Przesunął na bok alembik służący do destylacji i poprawił lekko przechyloną drewnianą tłocznię. Wziął ręczną wagę i butelkę, którą napełnił wodą z wewnętrznej studni, odmierzył objętość i podszedł do potężnej szafy zastawionej ceramicznymi naczyniami. Zaczął czegoś wśród nich szukać. Theresa zauważyła, że stale mruży oczy i z trudem odczytuje wypisane na nich nazwy.

— Zobaczmy: Salix Alba... Salix Alba... — powiedział, nachylając się tak bardzo, że aż dotknął czubkiem nosa słoików. — Czy wiesz, że zdrowie to integralność ciała, równowaga natury, poczynając od ciepła i wilgoci? To jest krew. Dlatego mówimy sanitas, jakbyśmy mówili sanguinis status. — Wyjął jeden słoik, obejrzał go i odstawił na miejsce. — Wszystkie choroby wywodzą się od czterech humorów: krwi, żółci, melancholii i flegmy. Kiedy wzrastają ponad miarę, powstają choroby. Krew i żółć powodują ostre dolegliwości, a flegma i melancholia wywołują a chroniczne niedomagania. Gdzie mogli postawić korę wierzby?

— Salix Alba. Jest tutaj — powiedziała Theresa.

Mnich spojrzał na nią zdziwiony. Wyjął słoik, który pokazała mu dziewczyna, i stwierdził, że w istocie zawiera to, czego szukał.

— Umiesz czytać? — spytał z niedowierzaniem.

— I pisać — odparła bez cienia wstydu. Mnich uniósł brew, ale nic nie powiedział.

— Ma flegmę w płucu — wyjaśnił — i nie ma na to jednego lekarstwa. Dysponujemy taką ilością nalewek, naparów i napoi leczniczych, że utrafienie na odpowiedni lek zabierze nam trochę czasu. Spójrz na ten środek. — Wyjął odrobinę kory ze słoika. — Z pewnością wierzba zaparzona na mleku zmniejsza gorączkę, ale ten sam efekt wywołuje mąka rozpuszczona w letniej wodzie albo szafran z miodem. Każdy środek zachowuje się inaczej w zależności od tego, z czym i w jakich proporcjach go rozmieszamy, i każdy pacjent jest inny, podobnie jak inna jest budowa jego narządów. Płuca słabe albo zranione leczą się czasem od ręki, a inne, na pozór mocne i zdrowe, zapadają na zapalenie z nadejściem wiosny. A zresztą... Czym zajmuje się ten młodziwiec?

— Posiada ziemie w Aquis-Granum — wyjaśniła Theresa i przy okazji powiedziała, że zatrzymała się u Czarnulki Helgi, dopóki nie znajdzie jakiejś pracy.

— Interesujące — skomentował mnich. Odstawił słoik z wierzbą i przeszedł na drugą stronę pomieszczenia do piecyka, który rozpałił ogniem świecy. — Bóg zsyła na nas choroby, ale również środki, które je leczą. I podobnie, jak studiujemy jego słowa, by osiągnąć niebo, tak samo powinniśmy studiować Empedoklesa, Galena, Hipokratesa, a nawet Pliniusza, by znaleźć właściwą kurację, czy to skrytą w sproszkowanym ałunie, czy też w wydzielinie gruczołów napletkowych bobra. Potrzyj tę tynkturę — poprosił Theresę.

Dziewczyna schwyła naczynie, do którego mnich wlał wcześniej ciemny wrzący płyn. Martwiło ją, że mnich tyle mówi, bo obawiała się, że łąda chwila pojawi się ten wysłannik eklezjalny, o którym wspominał Maurer, i wyrzuci ich z klasztoru, nim aptekarz zaaplikuje lekarstwo.

— Skoro istnieje tyle środków leczniczych, to dlaczego nie można zastosować wszystkich naraz? — spytała.

— Alibi tu medicamentum obligas. Podaj mi to. — Zakonnik dosypał trochę jakiegoś jasnego proszku i ubił serum, które zmętniało i zrobiło się białe. — „Medycyna” pochodzi od „miary”, czyli od umiarkowania stanowiącego przesłankę, która powinna kierować każdym naszym działaniem. Grecy byli ojcami tej sztuki. Zapoczątkował ją Apollo, a jego syn Eskulap kontynuował. Jemu zawdzięczamy nasz sposób postrzegania leczenia, oparty na rozumowaniu, doświadczeniu i obserwacji.

Theresa zaczęła się niecierpliwić.

— Ale jak go wyleczycie?

— Pytanie nie brzmi „jak”, ale raczej „kiedy”. A odpowiedź nie zależy ode mnie, lecz od niego. A zatem powinien tu pozostać, dopóki to się nie stanie... jeśli to się w ogóle stanie.

— Prawdę powiedziawszy, obawiam się, że to nie jest dobry pomysł. Cyrulik powiedział nam, że w zeszłym tygodniu do opactwa przyjechał obcy mnich wysłany przez Karola Wielkiego, a jeśli jest tak surowy, jak mówią, boję się, że może mieć do was o to pretensję.

— Do mnie pretensję? A o co?

— Nie wiem. Mógłby zarzucić wam niewłaściwe postępowanie. Z tego, co wiem, opactwo zajmuje się tylko swoimi chorymi i jeśli ten człowiek dowie się, że pomagacie jakiemuś nieznanemu...

— Jak on się nazywa?

— Nie wiem. Pamiętam tylko, że to jakiś obcy mnich.

— Pytałem o rannego.

— Przepraszam — odparła zmieszana. — Larsson. Hoos Larsson.

— A zatem panie Larsson: miło mi pana poznać. A skoro zostaliśmy sobie przedstawieni, sprawa jest rozwiązana.

Theresa uśmiechnęła się lekko, ale natychmiast znów zaczęła nalegać.

— Jeśli z jakiegoś powodu ten człowiek wyrzuci stąd Hoosa, nim go wyleczycie, nie będę mogła sobie tego wybaczyć.

— A dlaczego myślisz, że tak się stanie? O ile mi wiadomo, ten „nowo przybyły” nie jest żadnym demonem. Usiłuje jedynie zaprowadzić w tym opactwie porządek.

— Ale cyrulik mówił...

— Na Boga, zapomnij o cyruliku. Co więcej: dla twojego spokoju zapewniam cię, że ten wysłannik Karola Wielkiego nie dowie się, że Hoos przebywa w aptece.

— Spróbujcie mnie zrozumieć. Tak bardzo się martwię. Zapewniacie mnie, że Hoos wyzdrowieje, jeśli tu zostanie?

— Egroto dum anima est, spes est. Dopóki jest życie, jest też nadzieja.

Theresa spodziewała się, że tak wielka życzliwość musi mieć swoją cenę, więc wyjęła sakiewkę z monetami, którą dał jej Althar, i wręczyła ją aptekarzowi. Mnich zareagował na nią z taką samą obojętnością jak wcześniej na pasztet.

— Zachowaj ją. Wynagrodzisz mi to w jakiś inny sposób. Albo zróbmy tak: przyjdź jutro po tercji i spytaj o klucznika. Powiedz mu, że brat Alkuin na ciebie czeka. Być może znajdę ci jakieś zajęcie.

* * *

Kiedy Theresa opowiedziała o wszystkim Czarnulce, ta nie mogła uwierzyć własnym uszom.

— Na pewno ten aptekarz ma jakieś złe zamiary — stwierdziła.

— Co masz na myśli?

— Obudź się, dziewczyno. Jakieś złe zamiary w związku z tobą.

— Miałam wrażenie, że to uczciwy człowiek. Zamiast zjeść pasztet, dał go nowicjuszom.

— Pewnie się najada do syta.

— Ależ on jest chudy jak patyk! Posłuchaj — zaśmiała się nerwowo. — Jak sądzisz, o jaki rodzaj pracy może chodzić?

— Cóż, jeśli aptekarz postępuje, jak Pan Bóg przykazał, to być może zatrudni cię jako służącą, bo z mnichami tak już jest, dużo się modlą, a potem brudzą jak świnie. Albo będziesz mieć więcej szczęścia i potrzebna mu kucharka, nie zaszkodziłoby zresztą, gdybyś przybrała parę kilogramów na wadze. Ale jeśli mam być szczerą, tu są tuziny dziewczyn gotowych sprzątać latryny, więc nie rozumiem, dlaczego miałby zatrudniać taką delikatną młodą pannę. No cóż. Postępuj rozważnie i uważaj na swój tyłek.

Przez cały ranek gotowały i sprzątały tawernę. W głównej izbie stały beczki, które czasem służyły za stoły, a czasem za taborety, i długa ława, a część przeznaczoną dla gości oddzielała od kuchni zasłona.

Obok paleniska znajdował się żeliwny przenośny piecyk, dwa trójnogi, przeróżne rondle i kociołki, mnóstwo patelni, kropielnica, drewniane łopatki, dzbany i wyszczerbione słoje, a także nieskończona ilość dzbanuszków i talerzy, które czekały ułożone jeden na drugim, aż ze studni zostanie przyniesiona woda do ich umycia. Helga wyjaśniła, że przeniosła zapasy wina na półpiętro, bo kiedy trzymała wino w kuchni, nie mogła go upilnować, stale ktoś je podkradał. Na tyłach domu mieścił się magazyn, po części zagroda, a po części kurnik, gdzie co noc wykonywała swoją pracę.

W południe zjadły nieco z tego, co przygotowały do podawania w tawernie, i znów zaczęły rozmawiać o porannym zdarzeniu w klasztorze. Kiedy skończyły, Czarnulka Helga zaproponowała, by udać się na główny plac obejrzeć Knura, złoczyńcę, którego oskarżano o straszne przestępstwo. Powiedziała, że z tej okazji uczeszą sobie ładnie włosy i zabawią się, obserwując, jak chłopcy rzucają w więźnia kapustą i rzepą, a po drodze kupią jakąś pachnącą pomadę do ciała. Theresa przystała na tę propozycję i idąc razem w stronę głównego placu, nuciły coś pod nosem.

ROZDZIAŁ 12

Choć razy zadane przez strażników zamieniły ciało Knura w masę poturbowanego mięsa, wciąż jeszcze widać było jego pomarszczoną i pozbawioną zarostu twarz, od której wzięło się jego przezwisko. Mężczyzna klęczał przywiązany do drewnianego pala, pod strażą dwu ludzi uzbrojonych w szpady. Theresa podejrzewała, że jest opóźniony w rozwoju, bo jego małe oczka biegały na wszystkie strony przerażone, jakby próbował zrozumieć, co mu się przydarzyło. Dziesiątki osób otaczały więźnia, grożąc mu i go przeklinając. Jakiś chłopak poszczuł na niego psa, ale zwierzę odwróciło się i uciekło. Czarnulka Helga kupiła dwa piwa od ulicznego sprzedawcy i zaczęła rozglądać się za miejscem, z którego mogłyby obejrzyć przedstawienie, ale wiele spośród zebranych tam kobiet wytykało ją palcami, więc ostatecznie postanowiła nie rzucać się w oczy.

— Urodził się głupi, ale aż przez trzydzieści lat nikt nie podejrzewał, że jest groźny — powiedziała Helga, sadowiac się na murku.

— Groźny? A co takiego zrobił?

— Nigdy dotąd nie sprawiał problemów, ale w zeszłym tygodniu znaleziono nad brzegiem rzeki ciało dziewczyny, którą Knur znał i często nachodził. Była naga. Knur poderżnął jej gardło.

Theresa mimo woli przypomniała sobie incydent z Sasami, którzy usiłowali ją zgwałcić. Szybko wypiła swoje piwo i poprosiła Czarnulkę, by wróciły do domu. Helga niechętnie na to przystała, bo już od dawna w Fuldzie nie karano żadnego zabójcy, ale pocieszyła się tym, że będzie jeszcze mieć okazję do zabawy w dniu, w którym zostanie wykonany wyrok. W drodze powrotnej zatrzymały się, by kupić pomady, które pomagały Heldze w jej podbojach. Czarnulka wybrała flakonik z aromatem sosnowej żywicy i drugi o głębszym zapachu, podobnym do kadzidła. Theresa nie rozumiała, dlaczego kupiec, zamiast pobrać opłatę za pomady, puścił do Czarnulki oko, mówiąc, że później się rozliczą.

Po południu do tawerny przyszło dwóch pijaków, którzy pili tanie wino, dopóki nie skończyły im się pieniądze. Kiedy sobie poszli, Theresa zaproponowała Heldze, by zajrzały do klasztoru spytać o stan zdrowia Hoosa, ale Helga poradziła jej, by zaczekała z tym do czasu umówionego spotkania z aptekarzem. Wieczorem tawernę odwiedziło trzech młodzieńców, którzy zjedli, pośmiali się i poszli. Wkrótce potem przyszło pięciu głodnych i cuchnących potem robotników. Usiedli przy ogniu, zamówili mnóstwo piwa i

zaczęli stroić sobie żarty, zgadując, której z kobiet jako pierwszej spadnie spódnica. Helga obsłużyła ich, a potem zostawiła Theresę przy kuchni i wyszła po przyjaciółki, bo, jak mówiła, wkrótce będą jej potrzebne. Wróciła, prowadząc pod ramię dwie wy-pacykowane kobiety ubrane w barwne suknie. Kobiety natychmiast usiadły na kolanach robotników, piszcząc i śmiejąc się z ich karesów. Jeden z nich wsunął rękę pod spódnicę tej, która siedziała mu na kolanach, ona zaś wydała z siebie wystudiowany okrzyk. Drugi, już pijany, zaoferował łyk wina swojej dziewczce i wylał napitek prosto w jej dekolt, ale ona, zamiast się oburzyć, w odpowiedzi pokazała mu swoje piersi. W tym momencie Theresa zrozumiała, że najwłaściwszą rzeczą będzie wycofać się, ale jeden z robotników zauważył ją i zagroził jej drogę. Na szczęście Czarnulka uspokoiła pijaka, obiecując mu na ucho swawolną noc. Theresie powiedziała, by weszła do komórki i zamknęła się w składzie wina.

* * *

Wkrótce dziewczyna odkryła, że skład wina domu publicznego nie jest miejscem, gdzie można spędzić spokojną noc. Ze swego półpiętra miała widok na kąt, który jeden z robotników wybrał na schadzkę: kazał kobiecie uklęknąć i przywrócić do życia jego członek. Kiedy ladacznicy wreszcie się to udało, robotnik odsunął jej głowę od swego krocza, przywarł do jej brzucha i zaczął poruszać pośladkami, jakby wpadł w bardzo silny dygot. Wzdrygnął się kilka razy, zaklął i zwałił bezwładnie na blade ciało prostytutki. Po chwili zjawiała się Helga w towarzystwie sprzedawcy pomad. Oboje zaśmiali się na widok śpiącej pary. Kupiec wykonał taki gest, jakby chciał ich obudzić, ale Helga odwiodła go od tego zamiaru. Rzucili się na barłóg i zaczęli kochać, ale przynajmniej okryli swoje nagie ciała kołdrą.

Kiedy wreszcie Theresie udało się zasnąć, śniła o Hoosie Larssonie. Mimo woli wyobrażała go sobie nagiego, podobnie jak i samą siebie, on gładził ją po włosach, szyi, łonie, głaskał całe jej ciało. Poczowała coś dziwnego, co sprawiło, że obudziła się przerażona. Kiedy się uspokoiła, poprosiła Boga o przebaczenie za to, że zgrzeszyła w taki sposób.

* * *

Rankiem Theresa posprzątała w tawernie, która wyglądała, jakby stoczono w niej jakąś bitwę. Później przygotowała śniadanie. Zjadła je sama, bo Czarnulka nadal miała kaca. Kiedy wreszcie wstała, podmyła się w zabrudzonej miednicy, ponarzekła na panujące zimno i dała Theresie kilka rad przed wyjściem.

— A przede wszystkim nie mów im, że mnie znasz — podkreśliła z wciąż opuchłymi powiekami.

Theresa ucałowała Helgę na pożegnanie, przypominając jej, że zdążyła już wspomnieć aptekarzowi, gdzie się zatrzymała. A potem ruszyła pędem do opactwa, bo zaczęto już bić w dzwony, obwieszczając początek tercji. Kiedy znalazła się przed główną bramą, przyjął ją opasły mnich o mało towarzyskim wyglądem, który zdziwił się, słysząc, do kogo pragnie się udać.

— W istocie jestem klucznikiem, ale właściwie z kim masz się spotkać? Z aptekarzem czy z bratem Alkuinem?

Theresa zdziwiła się, bo sądziła, że aptekarz i brat Alkuin to jedna i ta sama osoba, ale klucznik, widząc, że się waha, zamknął jej bramę przed nosem. Theresa stuknęła i stuknęła, ale klucznik otworzył furtę, dopiero gdy musiał wyrzucić kubeł śmieci.

— Jeśli dalej będziesz się naprzykrzać, obiję cię kijem — zagroził.

Theresa szukała jakiejś właściwej odpowiedzi, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Przez chwilę miała zamiar popchnąć mnicha i pobiec w stronę ogrodu, ale pomyślała, że jeśli zaoferuje mu mięso, które niosła dla aptekarza, może zdoła go przekonać. Kiedy klucznik zobaczył kotleciki, oczy zapłonęły mu pożądaniem.

— Zdecyduj się, dziewczyno. Kogo chcesz zobaczyć? — spytał mnich, zabierając z jej rąk jedzenie.

— Brata Alkuina. — Podejrzewała, że klucznik jest po prostu niezbyt rozgarnięty.

Mężczyzna ugryzł kawałek kotleta, a drugi schował w rękawie habitu. Potem wpuścił ją do środka, zamknął furtę i kazał Theresie iść za sobą.

Ku jej zdziwieniu zamiast do ogrodu klucznik poprowadził ją przez zagrody pełne kogutów i kur, minął stajnie, przeszedł obok kuchni, wyminął spichlerze i ruszył w stronę kamiennego budynku, który wyróżniał się majestatycznym wyglądem. Klucznik zastukał w drzwi i czekał na odpowiedź.

— Rezydencja optymatów. To tu zatrzymują się ważni goście — wyjaśnił.

Otworzył im jakiś akolita, którego ciemna toga kontrastowała z bledością twarzy. Spojrzał na klucznika, skinął głową, jakby na nich czekał, i poprosił Theresę, by za nim poszła.

Minęli wspólne pomieszczenia i weszli po schodach, które zaprowadziły ich do sali o ścianach ozdobionych wspaniałymi dywanami z wełny. Meble były rzeźbione, a na głównym stole leżały liczne ułożone w kręgu woluminy oświetlone delikatnym światłem padającym przez alabastrowe wielkie okna.

Akolita gestem dał jej do zrozumienia, by poczekała, i natychmiast opuścił salę. Kilka chwil później w drzwiach pojawiła się wysoka postać aptekarza wystrojonego we wspaniałą białą penulę przewiazaną pasem ozdobionym wypukłym haftem i srebrnymi płytkami. Theresa zawstydzila się, miała bowiem na sobie to samo odzienie, co w dniu pożaru w Wurzburgu.

— Wybacz mój wczorajszy strój, choć może powinienem raczej przeprosić za dzisiejszy — zaśmiał się. — Proszę, usiądź.

Aptekarz zasiadł na drewnianym fotelu, a Theresa na stojącym obok taborecie. Mnich przez chwilę ją obserwował. Dziewczyna przyjrzała się jego kościstej twarzy pokrytej postarzałą białą skórą, cienką jak łupina cebuli.

— Dlaczego spotykamy się w tym miejscu? I dlaczego jesteście ubrani jak biskup? — spytała wreszcie.

— Cóż, niezupełnie jak biskup — znów obdarzył ją uśmiechem. — Nazywam się Alkuin. Alkuin z Yorku, i tak naprawdę jestem jedynie mnichem. Gorzej nawet: nie otrzymałem święceń kapłańskich, choć czasami z racji piastowanego przeze mnie stanowiska jestem zmuszony wdziąć te próżne szmaty. Jeśli chodzi o to miejsce, przebywam tu tymczasowo w towarzystwie moich akolitów. W zasadzie zatrzymałem się w kapitule katedralnej na przeciwległym końcu miasta, ale ten szczegół z pewnością nie ma zbyt wielkiego znaczenia.

— Nie rozumiem.

— Z pewnością jestem ci winien przeprosiny. Wczoraj powinienem był wyjaśnić, że nie jestem aptekarzem.

— Nie? Wobec tego kim jesteście?

— Obawiam się, że jestem tym „nowo przybyłym”, o którym tyle złego słyszałaś.

Theresa wstrząsnął dreszcz. Przez chwilę sądziła, że los Hoosa Larssona wisi na włosku, ale Alkuin ją uspokoił.

— Nie musisz się martwić. Gdybym, tak jak się obawiałaś, zamierzał go wyrzucić, to chyba w ogóle bym się nim nie zajął, nie sądzisz? A jeśli chodzi o moją tożsamość, naprawdę nie chciałem wprowadzać cię w błąd. Aptekarz zupełnie niespodziewanie zmarł przedwczoraj. O tej sprawie jeszcze później ci opowiem. Tak się składa, że znam się na ziołach i okładach, więc gdy pojawiłaś się nagle w ogrodzie, wiele się nie zastanawiając, postanowiłem pomóc twojemu przyjacielowi.

— Ale później...

— Później nie chciałem cię niepokoić. Pomyślałem, że zważywszy na twoje obawy, jeśli powiem ci prawdę, będziesz jeszcze bardziej niespokojna.

Theresa przez chwilę siedziała w milczeniu.

— Jak on się czuje?

— Bogu dzięki, dużo lepiej. Później pójdziemy go odwiedzić. Ale teraz pomówmy o tym, co cię tu sprowadza. Pomówmy o twojej pracy. — Wziął ze stołu jeden z woluminów i uważnie go przejrzał. — PhaeladiasXhyncorum Areopagity. Prawdziwy cud. O ile wiem, istnieje tylko jedna jeszcze kopia w Aleksandrii i faksymil w Nortumbrii. Mówiłaś, że umiesz pisać, prawda?

Theresa skinęła głową.

Mnich klasnął w dłonie i po chwili pojawił się akolita, niosąc jakieś przybory. Alkuin ostrożnie rozłożył je przed Theresa. — Chciałbym, abyś przepisała ten akapit.

Theresa zagryzła wargi. Choć potrafiła pisać, czyniła to niemal zawsze na woskowych tabliczkach, ponieważ pergamin był zbyt cenny, by go marnować. Przypomniała sobie słowa ojca, który zawsze powtarzał, że tajemnica pisma polega na wyborze odpowiedniego pióra: niezbyt lekkiego, by uniknąć rozbrykanych linii, i niezbyt ciężkiego, bo takie uniemożliwiłoby uzyskanie płynności i wdzięku. Wahała się nad kilkoma i w końcu wybrała różowe pióro gęsie, które zważyła kilka razy w dłoni, nim wygładziła zewnętrzną chora-giewkę i promyki. Potem sprawdziła nacięcie przy pępku pióra, przez które miał płynąć tusz. Uznała, że jest zbyt tępe i nachylone, więc poprawiła je ostrym krótkim nożem. Następnie przyjrzała się pergaminowi.

Wybrała gładszą stronę i za pomocą rylca oraz deszczułki nakreśliła kilka niewidocznych linijek, które miały jej służyć za wzorzec. Następnie umieściła tekst na pulpicie i zanurzyła kalamus w tuszu, a gdy pióro namoczyło się i zaczęły z niego spływać krople tuszu, wzięła głęboki oddech i przystąpiła do przepisywania.

Pierwsze litery, choć niepewne, zaczęły pojawiać się jedna po drugiej. Tusz płynął lśniaco i jedwabście, a pióro poruszało się z delikatnością łabędzia płynącego po wodzie. Niestety, na początku ósmej linijki pojawił się kleks, który zniszczył całą stronicę.

Przez chwilę zamierzała już porzucić pisanie, ale zacisnęła zęby i przepisywała dalej. Kiedy skończyła, wytarła kleks i podmuchała na niego, usunęła resztki talku i wręczyła pergamin Alkuinowi, który przez cały czas nie spuszczał z niej oka. Mnich przyjrzał się bacznie jej pracy, a potem spojrzął na Theresę z ponurą miną.

— Nie jest idealny — stwierdził. — Ale wystarczy.

Theresa patrzyła, jak oczy mnicha znów bacznie przyglądają się tekstowi. Miały barwę bladoniebieską, zgaszoną, tę pustą barwę, która niczym chmura zakrywa oczy starców. Nie pasowały do jego wieku, który według obliczeń Theresy mógł wynosić jakieś pięćdziesiąt pięć lat.

— Potrzebujecie skryby? — odważyła się spytać.

— Tak jest. Do pomocy miałem Romualda, mnicha benedyktyna, który zawsze mi towarzyszył. Niestety, wkrótce po przybyciu do Fuldy zachorował. Umarł dzień przed aptekarzem.

— Przykro mi. — Theresa nie wiedziała, co więcej powiedzieć. Alkuin uniósł prawą dłoń i odwrócił ją grzbietem w stronę Theresy.

Dłoń dygotała, jakby mnich miał silne dreszcze.

— To pojawiło się jakieś cztery lata temu. Czasem drzenie dochodzi aż do łokcia i wtedy nie mogę nawet napić się wody. Dlatego potrzebny mi ktoś do spisywania notatek. Mam zwyczaj robienia uwag na temat tego, co się dzieje, aby potem zastanowić się nad wydarzeniami bez obawy, że zapomniałem o jakimś szczególe. Ponadto chciałbym skopiować kilka tekstów z biblioteki biskupa.

— A w opactwie nie ma innych skrybów?

— Oczywiście, że są. Jest Teobaldo z Pizy, stary Baldassare i Venancio. Wszyscy trzej zbyt starzy, by mogli stale mi towarzyszyć. A także Nicolas i Mauricio, ale oni, choć potrafią pisać, nie umieją czytać.

— Jak to możliwe?

— Czytanie jest złożonym i wymagającym procesem, potrzeba do tego zapалу i umiejętności, których nie posiadają wszyscy bracia. A jednak, choć wydaje się to dziwne, istnieją kopiści zdolni naśladować z absolutnym mistrzostwem wszystkie znaki bez rozumienia ich znaczenia, lecz oni nie są oczywiście w stanie pisać pod dyktando. Są zatem tacy, którzy potrafią pisać, a raczej przepisywać, ale nie umieją czytać, a także tacy, którzy potrafią jako tako czytać, lecz nie nauczyli się pisać. Do tego trzeba jeszcze dodać tych, co nauczyli się, co prawda, i pisać, i czytać, ale tylko po łacinie. Jeśli dodatkowo wykluczemy tych, co mylą „I” z „f”, tych, co piszą zbyt wolno, tych, co popełniają celowo błędy, albo takich, których nudzi to zajęcie i narzekają na bóle w dłoniach, zostaną nam nieliczni. A niestety nie wszyscy mogą albo nie chcą odłożyć swych zajęć, by pomóc nowemu przybyszowi.

— Ale wy moglibyście ich zmusić...

— Z racji mojego stanowiska, tak. Ale powiedzmy, że nie interesuje mnie pomoc kogoś, komu brak dobrej woli.

— A jakie zajmujecie stanowisko? — spytała Theresa i natychmiast ugryzła się w język za nadmierną ciekawość.

— Można by to porównać do nauczyciela nauczycieli. Karol Wielki kocha kulturę, a w królestwie Franków odczuwa się jej braki. Dlatego król uczynił mnie odpowiedzialnym za to, by wykształcenie i Słowo Boże dotarły do najdalszych zakątków królestwa. Z początku przyjąłem to jako honor, ale muszę przyznać, że z czasem to zadanie przekształciło się w uciążliwe brzemię.

Theresa wzruszyła ramionami. Nadal nie rozumiała, do czego zmierza Alkuin, ale podejrzewała, że jeśli chce pomóc Hoosowi, musi przyjąć tę pracę. W tym momencie mnich przerwał jej rozważania, mówiąc, że nadszedł czas, by odwiedzić chorego. Przed wyjściem okrył Theresę togą, by uchronić ją przed niedyskretnymi spojrzeciami.

— Dziwi mnie, że sądzicie, iż mogę wam pomóc. Nic o mnie nie wiecie.

— To nie jest tak, jak myślisz... Na przykład wiem, że nazywasz się Theresa i że umiesz czytać grekę i pisać w tym języku.

— To niezbyt wiele.

— Cóż, mógłbym również dodać, że pochodzisz z Bizancjum, z pewnością z zamożnej rodziny, choć teraz zubożałaś, że jeszcze kilka tygodni temu mieszkałaś w Wurzburgu, gdzie pracowałaś w warsztacie pergamenariusza, że musiałaś uciekać z powodu niespodziewanego pożaru i że jesteś uparta i zdecydowana na tyle, by przekupić klucznika dwoma kotletami, które otworzyły przed tobą klasztorną furkę.

Theresie zaczął się plątać język. Alkuin nie mógł wiedzieć o tym wszystkim, bo nie opowiadała o tym nawet Hoosowi Larssonowi. Przez chwilę miała wrażenie, że stoi przed samym diabłem.

— A na wypadek, gdybyś tak myślała, powiem: nie. Nie dowiedziałem się o tym od Hossa Larssona.

Theresa przestraszyła się jeszcze bardziej.

— Wobec tego od kogo?

— Idź dalej — zaśmiał się. — Właściwe pytanie nie brzmi „od kogo”, lecz „jak”.

— Co macie na myśli? — spytała, ruszając dalej.

— Że każdy z odpowiednim doświadczeniem i pewnymi umiejętnościami obserwacji mógłby się tego domyślić. — Zatrzymał się nagle, by jej to lepiej

wyjaśnić. — Na przykład łatwo odgadnąć twoje bizantyjskie pochodzenie, jeśli zwróci się uwagę na twoje imię, Theresa, pochodzące z Grecji i nietypowe dla tych ziem. Jeśli do tego dodamy twój akcent, rzadką mieszanekę języka romańskiego i greckiego, nie tylko potwierdzimy tę teorię, ale również utwierdzimy się w przekonaniu, że przebywałeś w tej okolicy już od kilku dobrych lat. A gdyby i to wszystko było niewystarczające, dość przypomnieć sobie łatwość, z jaką odczytałaś nazwy na słoiczkach z lekarstwami, nazwy, które z powodów bezpieczeństwa zapisano greką.

— A ta zubożała rodzina? — Theresa znów się zatrzymała. Alkuin spojrział na nią z wyrzutem.

— Skoro umiesz czytać i pisać, możemy zakładać, że nie pochodzisz z rodziny niewolników. Co więcej, na twoich dłoniach nie znać śladów typowych dla spracowanych rąk. Przeciwnie: widać tylko pewne obrażenia przy paznokciach i trochę płytkich nacięć na lewej dłoni między twoim palcem wskazującym a kciukiem, oba ślady są typowe dla pracy pergamenariusza. — Zatrzymał się na chwilę, by przepuścić procesję nowicjuszy. — Wszystko to prowadzi do wniosku, że twoi rodzice byli dość zamożni, by pozwolić, aby ich córka, doskonale wykształcona, nie musiała pracować na roli. A jednak ubranie, które masz na sobie, jest biedne i zniszczone, nie masz też porządnych butów, co oznacza, że niegdysiejszy dobrobyt twojej rodziny z jakiegoś nieznanego mi powodu musiał ustąpić miejsca nędzy.

— Ale na jakiej podstawie przypuszczacie, że mieszkałam w Wiirz-burgu? — Procesja przeszła i Theresa wraz z Alkuinem ruszyli dalej.

— To, że nie mieszkałaś w Fuldzie, było oczywiste, bo nie wiedziałaś nawet, jak wygląda aptekarz. Zatem pozostawały do wyboru okoliczne osady, przy tej pogodzie bowiem nie mogłabyś przybyć z bardziej odległego miejsca. Trzy najbliższe miasta to Aquis-Granum, Erfurt i Wurzburg. Gdybyś mieszkała w Aquis-Granum, na pewno bym o tym wiedział, bo sam tam obecnie mieszkam. W Erfurcie nie ma wytwórni pergaminów, więc metodą zwykłej eliminacji bez trudu wybrałem Wurzburg.

— A pożar?

— Muszę przyznać, że tu najbardziej ryzykowałem. Przynajmniej wskazując pożar jako powód twojej ucieczki. — Skręcił i szedł dalej jakby nigdy nic. — Twoje odzienie i ramiona pełne są drobnych śladów oparzeń i choć są one rozproszone, wyglądają tak samo: drobne i rozsiane, nieomylny znak, że powstały w tym samym momencie. Z ich wyglądu i zasięgu wnioskuje, że powstały podczas pożaru albo przynajmniej w trakcie wielkiego ognia,

ponieważ ślady są zarówno z przodu, jak i z tyłu sukni. Co więcej, oparzenia na twoich ramionach jeszcze się nie zabiłiły, więc musiało się to zdarzyć niewiele ponad cztery tygodnie temu.

Theresa spojrzała na Alkuina zdumiona. Choć te wyjaśnienia wydawały się bardzo logiczne, wciąż nie mogła uwierzyć, że ktoś na podstawie jednego rzutu oka doszedł do tak trafnych wniosków. Przyspieszyła kroku, idąc wzdłuż małego ogródka ścieżką prowadzącą do niskiego budynku.

— A jak domyśliliście się tej historii z kotletami? Kiedy dawałam je klucznikowi, byliśmy sami.

— To było najłatwiejsze — zaśmiał się. — Kiedy ten obżartuch przyszedł z tobą do rezydencji optymatów, nie czekał, aż znikniesz, tylko od razu sięgnął po drugi kotlet i natychmiast go pochłoniął. Widziałem to z okna.

— Ale to jeszcze nie znaczy, że to ja mu je dałam — odparła Theresa. — A tym bardziej że je dałam w zamian za otwarcie furty...

— To również ma swoje wytłumaczenie: my, benedyktyni, nie możemy jeść mięsa, bo zabrania nam reguła świętego Benedykta. Jedynie w określonych przypadkach mogą je spożywać chorzy, a to oczywiście nie dotyczy klucznika. Zatem ktoś spoza opactwa musiał dostarczyć mu kotlety. Kiedy klucznik przyszedł pod rezydencję, już coś przeżuwał. Było to dość dziwne, zważywszy na porę, bo w klasztorze je się posiłki tylko dwa razy dziennie, pierwszy przed jutrznią, a drugi, czyli kolację, przed tercją. Dlatego domyśliłem się, że to ty dałaś mu jedzenie, a wiedziałem, że był to kotlet, bo zobaczyłem, jak klucznik wypluwa kawałek kości. Co więcej, wczoraj przyniosłaś mi w prezencie pasztet, zatem logicznie można było się spodziewać, że dziś uczynisz podobnie. — Pochylił się, by wyprostować jakąś sałatę, która krzywo rosła. — A gdyby i tego było mało, to nim zaczęłaś pisać, wytarłaś dłonie w szmatkę, zostawiając na niej plamę tłuszczu, do której zaraz zleciały się dwie muchy. A nie sądzę, by tak dobrze wychowana dziewczyna zjawiała się z brudnymi rękoma przed obliczem kogoś, kogo miała za aptekarza.

Theresa milczała oszołomiona. Dużo ją kosztowało przyjęcie do wiadomości tego, że Alkuin nie posługuje się magicznymi sztuczkami przy swych domysłach. Nie miała czasu, by odpowiedzieć, bo już poczuła siarczany zapach ze szpitala opactwa.

Przed wejściem Alkuin poprosił, by odwiedziny trwały krótko.

Szpital składał się z rozległej, choć mrocznej sali z dwoma rzędami łóżek zajętych w większości przez mnichów zbyt zniedołężniałych, by sami mogli się obsłużyć. Mieścił się tam również niewielki pokój, w którym odpoczywali

opiekunowie, i przylegające do niego pomieszczenie przeznaczone dla chorych spoza klasztoru. Alkuin wyjaśnił jej, że wbrew temu, co słyszała, szpital nadal przyjmuje mieszkańców. Natychmiast zjawiał się gruby mnich, który poinformował ich, że Hoos już wstał, by się załatwić i trochę pospacerować, ale zmęczył się i znów położył. Powiedział im również, że Hoos zjadł na śniadanie chleb pszenny i wypił trochę wina. Alkuin skrzywił się i nakazał mu, by na przyszłość dawał mu tylko chleb żytni. Ucieszył się jednak na wieść, że od ostatnich odwiedzin nie pluł krwią. W trakcie gdy Alkuin wypytywał o pozostałych chorych, Theresa podeszła do łóżka, na którym leżał Hoos okryty grubym futrem z twarzą zroszoną potem. Odgarnęła mu włosy i w tej samej chwili młodzieniec otworzył oczy. Theresa uśmiechnęła się, ale dopiero po chwili Hoos ją poznał.

— Mówią, że wkrótce wydobrzejesz — powiedziała, by go nieco ożywić.

— Mówią też, że to wino jest dobre — odparł Hoos z uśmiechem. — Co tu robisz ubrana w togę nowicjusza?

— Kazali mi ją włożyć. Potrzebujesz czegoś? Nie mogę długo zostać.

— Jedyne, czego mi potrzeba, to dojść do zdrowia. Wiesz, ile dni będą mnie tu trzymać? Nienawidzę księży może nawet bardziej niż znachorów.

— Przypuszczam, że zostaniesz tu do czasu, aż wydobrzejesz. Przynajmniej jeszcze tydzień, ale będę cię często odwiedzać. Od dziś tu pracuję.

— W klasztorze?

— Tak jest — zaśmiała się. — Nie wiem dokładnie, w jakim charakterze, ale zdaje się, że jako skryba.

Hoos skinął głową. Wyglądał na bardzo zmęczonego. W tej samej chwili podszedł do nich Alkuin, by sprawdzić stan chorego.

— Cieszy mnie poprawa. Jak tak dalej pójdzie, za tydzień będziesz polował na kocury, bo to jedyne zwierzaki, jakie znajdziesz wokół opactwa — powiedział Alkuin.

Hoos znów się uśmiechnął.

— Teraz musimy już iść — dodał.

Theresa miała wielką ochotę pocałować Hoosa, ale w końcu pożegnała się, patrząc na niego przepętnionym czułością wzrokiem. Przed wyjściem Alkuin poinstruował pielęgniarza na temat leków, które ten miał następnego dnia podać choremu. Potem wskazał Theresie drogę do wyjścia z opactwa. Idąc obok Theresy, wyjaśnił jej, że fundamenty nauki, czy też theóricá, dostarczają niezbędnych elementów do zrealizowania practica i że znajomość obu

składników — theórica i practi-ca — poprawia operatio, czyli codzienną praktykę.

— Tak przynajmniej powinno się dziać w sztuce medycyny. I również — dodał — w sztuce pisania.

Theresa dziwiła się, że jeden mnich zna się na dwu tak różnych sztukach, piśmie i medycynie, ale po tym, czego dowiedziała się o sztuce jasnowidzenia, wolała nie zadawać zbyt wielu pytań.

Kiedy stanęli już przy bramie, Alkuin pożegnał Theresę, umawiając się z nią na następny dzień z samego rana.

* * *

Kiedy Theresa przysłała do domu Czarnulki Helgi, zastała ją leżącą na łóżku i zalaną łzami. W kantynie wszystko było poprzewracane do góry nogami. Po całej podłodze leżały porzucane krzesła, stłuczone szklanice i resztki dzbanków. Starła się ją pocieszyć, ale Helga schowała głowę w ramiona, jakby nie chciała, by Theresa zobaczyła jej twarz. Dziewczyna objęła Czarnulkę, nie wiedząc, jak ją pocieszyć.

— Powinam była zabić tę świnię, kiedy po raz pierwszy mnie uderzył — powiedziała wreszcie, łkając.

Theresa zwilżyła szmatkę w wodzie, by zmyć zaschłą krew. Helga miała jedną powiekę otwartą i spuchnięte wargi, ale bardziej niż z bólu płakała chyba z wściekłości.

— Pozwól przynajmniej, że cię obmyję — powiedziała Theresa.

— Niech będzie przeklęty po tysiąc razy! Niech go szlag!

— Ale co się stało? Kto cię pobił?

Czarnulka wybuchła płaczem.

— Jestem w ciąży — załkała. — Z łotrem, który omal mnie nie zabił.

Opowiedziała jej, że choć podejmowała środki ostrożności, nie po raz pierwszy zaszła w ciążę. Na początku postępowała zgodnie z radami akuszerki: rozbierała się do naga, nacierała miodem i turlała się po stosie pszenicy, a potem starannie zbierała przyklepione do skóry ziarna i meła je ręcznym młynkiem, kręcąc w odwrotną stronę niż zazwyczaj, czyli z lewa na prawą. Chlebem upieczonym z tak uzyskanej mąki należało nakarmić mężczyznę przed obcowaniem, dzięki temu bowiem jego nasienne ulega osłabieniu, ale ona była bardziej płodna niż stado królików i mimo wszystkich tych zabiegów wystarczyło, by tylko trochę przestała uważać, a już była brzemienna.

Pozwoliła, by dwoje pierwszych dzieci, które urodziła, umarło zaraz po porodzie, bo tak zawsze czyniły samotne matki. Kolejne ciąży kończyły się jeszcze wydaniem ich na świat, dzięki pewnej staruszce, która doprowadziła do ich aborcji, wsuwając jej między nogi kacze pióro. Ale w ostatnim roku poznała Widukinda, żonatego sprzedawcę drewna na opał, któremu nie przeszkadzało, że Helga jest prostytutką. Mówił, że ją kocha, a kiedy szli do łóżka, mieli tyle przyjemności co młodzi. Raz nawet powiedział, że zostawi żonę, by się z nią ożenić.

— Dlatego gdy nie dostałam drugiej z rzędu menstruacji, pomyślałam, że może naprawdę to zrobi. A mimo to, sama widzisz: kiedy się o tym dowiedział, wpadł w furję, jakby mu kto duszę ukradł, i rzucił się z pięściami, wyzywając mnie od dziwek i szczwaných suk. Co za łgarz... Oby mu zgnił, obwisł, a jak kiedyś zachce mu się dzieci, to niech sobie z nią ma, ale oby mu żoneczka przyprawiła rogi!

Theresa siedziała przy Heldze, dopóki nie przestała płakać. Później dowiedziała się, że Widukindo bił ją już wcześniej, ale nigdy tak dotkliwie jak tego dnia. Dowiedziała się również, że wiele matek nieposiadających-środków na utrzymanie zabijało swoje dzieci, bo nie chciały sprzedawać ich jako niewolników.

— Ale to dziecko chciałabym mieć — zwierzyła jej się, gładząc brzuch. — Odkąd straciłam męża, jedyne, co wydałam na świat, to problemy.

Wspólnie uporządkowały tawernę. Theresa opowiedziała jej, że stan Hoosa się poprawił, choć nadal musi pozostać w klasztorze. Dodała, że Alkuin z Yorku wspomniał, że dziwi go choroba, która zaatakowała miasteczko.

— Ma rację. Taka dziwna choroba, która atakuje zamożnych — stwierdziła Czarnulka Helga.

W południu zjadły przecier z jarzyn gotowanych na wodzie zagęszczony żytnią mąką. Resztę popołudnia spędziły, rozmawiając o porodach, dzieciach i ciążach. Pod koniec Helga zwierzyła się, że zaczęła się prostytuować, by zarobić na życie. Nie miała innego wyjścia. Pewnej nocy, wkrótce po tym, jak owdowiała, do jej domu wszedł jakiś nieznajomy i zgwałcił ją tak, że była ledwo żywa. Kiedy sąsiedzi się o tym dowiedzieli, odwrócili się do niej plecami, odmówili pomocy i przestali się odzywać. Nikt nie zaproponował jej pracy, więc zdobywała pieniądze w tak upokarzający sposób.

Położyły się wcześniej, ponieważ Czarnulkę bolała głowa.

* * *

Jeszcze nie zaczęło świtać, gdy Theresa wyszła z tawerny wyposażona w swoje tabliczki napełnione świeżym woskiem. Wszystko pokryte było szronem. Na najbliższym rogu otuliła się togą, którą dostała od Alkuina, bo wiał silny przeszywający wiatr. Pobiegnęła uliczkami, obawiając się, że się zgubi i pierwszego dnia pracy przyjdzie spóźniona. Kiedy doszła do klasztoru, klucznik od razu otworzył furtę i zaprowadził ją do budynku optymatów, gdzie w drzwiach już czekał Alkuin.

— Dziś nie przyniosłaś kotletów? — zaśmiał się. Zaprowadził ją do tej samej sali, w której spotkali się poprzedniego dnia, tym razem jeszcze bardziej okazałej dzięki lampom oliwnym ustawionym wokół stołu. Natychmiast spostrzegła, że wstawiono nowy mebel, świeżo wypolerowane scriptorium, na którym leżał kodeks, kałamarz, nóż i kilka zaostrzonych piór.

— Twoje miejsce pracy — oznajmił Alkuin, wskazując pulpit ręką. — Na razie zostaniesz tutaj i będziesz ćwiczyć przepisywanie tekstów. Nie wolno ci opuścić sali, chyba że wydam na to zgodę, i oczywiście, ilekroć będziesz to robić, zawsze ktoś musi ci towarzyszyć. Później, gdy powiadomię biskupa Lotariusza, że przyjąłem cię jako pomocnika, przeniesiemy się do kapituły. — Odszedł na chwilę i wrócił, niosąc dwie szklanki mleka. — W południe odwiedzimy Hoosa, ale nie zatrzymamy się tam długo. Jeśli zawiadomisz mnie wystarczająco wcześnie, zawsze możesz posilić się w kuchni. A jeśli w trakcie mojej nieobecności będziesz czegoś potrzebować, zawiadom mnie za pośrednictwem któregoś z moich asystentów. A teraz muszę zająć się innymi sprawami, więc zanim zaczniemy robić notatki, chciałbym, żebyś przepisała kilka stron z tego kodeksu.

Theresa z zaciekawieniem przekartkowała kodeks. Był to niedawno wykonany gruby wolumin w okładce ze skóry okutej złotem i wspaniale iluminowany miniaturami. Wedle słów Alkuina był to cenny egzemplarz Hypotyposeis Klemensa z Aleksandrii, kopia włoskiego kodeksu przetłumaczonego z greki przez Teodora z Pizy, który podobnie jak wiele innych kodeksów krążył od opactwa do opactwa, gdzie był przepisywany przez różnych kopistów. Zauważyła, że litery różnią się od zwykle stosowanych, były mniejsze i łatwiejsze do odczytania. Alkuin określił to nowym rodzajem kaligrafii, nad którym, jak powiedział, od dawna pracował.

Kiedy studiowała tekst, uświadomiła sobie, że Alkuin nie ustalił żadnego wynagrodzenia za wykonanie tej pracy. Opiekował się Hoosem, więc nie chciała sprawiać wrażenia niewdzięcznej, ale gdy skończą się pieniądze, które dostała za głowę niedźwiedzia, będzie przecież musiała opłacić mieszkanie i

wyżywienie. Nie wiedziała, jak poruszyć tę kwestię, ale Alkuin najwyraźniej czytał w jej myślach.

— Jeśli chodzi o wynagrodzenie — powiedział — zobowiązuję się dostarczać ci dwa funty chleba dziennie i jarzyny na twoje bieżące potrzeby. Ponadto możesz zatrzymać togę, którą masz na sobie, i dam ci nową parę butów, żebyś się nie przeziębila.

Theresa uznała, że to wystarczy, bo wedle jej obliczeń miała być zajęta tylko do kolacji. A w klasztorach kolację jadano po odprawieniu nieszpórów, co oznaczało, że pozostanie jej jeszcze sporo czasu na pomoc Heldze w tawernie.

Zasiadła przy pulpicie i zaczęła pisać. Alkuin obserwował ją, zakładając gruby wełniany płaszcz.

— Jeśli w trakcie mojej nieobecności będziesz chciała odwiedzić Hoosa, wezwij mojego akolitę i pokaż mu ten pierścień. — Wręczył jej zmatowiałą obrączkę z brązu. — Zaprowadzi cię do niego. Wrócę za dwie godziny, by sprawdzić, jak ci idzie. Lubisz zupę?

— Tak, oczywiście.

— Poproś, żeby ci przygotowali talerz w kuchni — powiedział, po czym wyszedł z sali, zostawiając ją samą z tekstem.

Wy tłumaczył jej, że jego plan dnia dostosowany jest do nabożeństw, które odprawiane były co trzy godziny. Życie w klasztorze zaczynało się o świcie, po jutrzni. Wtedy spożywano śniadanie, a potem każdy mnich odchodził do swoich zajęć. Dziewiąta była porą tercji, a także mszy głównej, i wtedy Theresa miała rozpoczynać pracę. Trzy godziny później, o dwunastej, tuż po posiłku spożywanym w południe, odprawiano sekstę. O trzeciej po południu nonę, a potem o szóstej nieszpory. Następnie siadano do kolacji i o dziewiątej wieczorem wracano do kościoła i na kompletę. Alkuin powiedział Theresie, że jej dzień pracy będzie się kończył, gdy przepisze jedną stronicę.

* * *

Umoczyła pióro, przeżegnała się i zaczęła pisać, wkładając w każdą literę całą duszę. Przepisywała litery, naśladując ich krój, nachylenie, kreskę, rozmiar... A w miarę jak na stronicy ukazywały się idealne znaki, słowa zaś łączyły ze sobą, tworząc harmonijne akapity pełne znaczenia, w jej głowie pojawił się obraz ojca zachęcający ją do osiągnięcia zamierzonego celu. Na myśl o nim posmutniała, żalując, że nie ma go obok niej. Potem znów zabrała się do pisania, całym sercem przykładając się do pracy.

ROZDZIAŁ 13

— Haec studia adolescenciam alunt, senectutem obleciani, secundas res ornant, adversis solatium et perfugium praebent, delectant domi, non impediunt foris, pernoctant nobiscum, peregrinantur, rus-ticantur.

— Nie, nie i jeszcze raz nie! — powtórzył niezadowolony Alkuin, zwracając się do młodzieńca, którego biskup wyznaczył mu do pomocy. — Minęły już trzy dni, a ty jeszcze się nie nauczyłeś! Ile razy mam ci powtarzać, że jeśli będziesz trzymał pióro prostopadle do pergaminu, zniszczysz całe pismo?

Nowicjusz spuścił głowę, mamrocząc jakieś słowa przeprosin. Tego popołudnia już po raz drugi popełnił błąd.

— A co więcej, spójrz tylko na to. To nie ma być haec, lecz hcec i nie pisze się praebent. Prcebent, chłopcze! Proebent! Myślisz, że ktoś zrozumie taką... ekstrawagancję? No dobrze — postanowił. — Na dziś skończymy. I tak już prawie pora kolacji i obaj jesteście zmęczeni. W poniedziałek będziemy spokojnie kontynuować.

Chłopiec wstał z opuszczoną głową. Jemu również nie podobała się ta praca, ale biskup kazał mu pomóc Alkuinowi we wszystkim, o co ten go poprosi. Posypał kleks, który przed chwilą zrobił, sproszkowaną kredą, ale osiągnął jedynie tyle, że jeszcze bardziej kleks się rozmazał. Poddał się, pozbierał swoje przybory, wyczyścił je niezbyt starannie i poukładał w drewnianej skrzyni. Zdmuchnął resztki kredy i za pomocą maleńkiego pędzelka starł grudki powstałe wokół kleksa.

Na koniec naostrzył kalamus pióra, wyplukał je i położył na pulpicie obok oryginalnego kodeksu. Po czym pobiegł za Alkuinem, który zniknął już w korytarzu prowadzącym do dawnego peristylium kapituły katedralnej.

— Mistrzu, mistrzu! — zawołał młody akolita. — Przypominam, że poniedziałek jest dniem egzekucji.

— Egzekucji? Na Boga świętego! Zapomniałem — powiedział, drapiąc się po wygolonej tonsurze. — Dobrze. Choć nie wiemy, o co oskarżony jest przestępca, naszym obowiązkiem jest towarzyszyć mu w tak trudnej godzinie śmierci. Czy będzie biskup?

— Z całą kapitułą katedralną — odparł pomocnik.

— Dobrze, chłopcze. Zatem do wtorku, zobaczymy się w porze śniadania.

— Dziś nie przyjdziecie na kolację?

— Nie, nie. Wieczorem jedzenie nie dość, że rozpycha żołądek, to jeszcze przytępia zmysły. A muszę jeszcze skończyć De Oratione — powiedział, unosząc zwój, który trzymał pod pachą. — Bóg z tobą.

— I z wami również, ojcze. Dobrej nocy.

— A tak a propos... — dodał Alkuin. — Nie sądzisz, że powinieneś odłożyć kodeks na półkę?

— Och! Tak! Oczywiście! — powiedział nowicjusz i rzucił się pędem z powrotem. — Dobrej nocy, ojcze. Już chowam kodeks!

Mnich ruszył z niezadowoloną miną w stronę domu gościnnego znajdującego się na terenie zespołu katedralnego. Od wielu dni męczył się nad tym kodeksem, a udało się zaledwie przepisać cztery pełne stronic. W tym tempie sporządzenie porządnej kopii nigdy się nie uda. Postanowił, że jak tylko zobaczy biskupa, powie mu o zamiarze zatrudnienia Theresy, nowicjusz bowiem, którego mu wyznaczono do pomocy, zupełnie się nie nadawał.

Przechodząc przez perystylium, przystanął na chwilę i rozejrzał się wokół.

Wiedział, że kapituła Fuldy przyłączyła się do ostatnich reform wprowadzonych przez Karola Wielkiego, który w swym Institutio Canonicorum, z myślą o promowaniu życia wspólnotowego między klerykami z kapituł, polecał wznosić budynki klerykalne wokół katedry i pałacu biskupa.

Ten rozkład budynków reprezentujących różne style i funkcje, tłoczących się wokół małej katedry, wydawał mu się osobliwy, a jeszcze bardziej dziwił go fakt, że biskup Fuldy wybrał dawną rzymską domus na siedzibę biskupią. Pałac mieścił się w dwupoziomowym budynku wzniesionym z kamienia. Na wyższym piętrze jednaście małych pokoi z ogrzewaniem wychodziło na wspólną galerię z widokiem na atrium. Na niższym piętrze znajdował się skład wina, dwa portyki i tyle samo pokoi o drewnianej posadzce, stajnia, kuchnia, piekarnia, spiżarnia, spichlerz na zboże i niewielki szpital. Być może nie był najwłaściwszą osobą, by to osądzać, ale odnosił wrażenie, że ten pałac znacznie przekraczał granice niezbędnej skromności, która powinna charakteryzować kościelnego dostojnika. Rozumiał jednak, że nie powinien zbyt krytykować tego, kto tak ciepło go przyjął. Koniec końców biskupowi Fuldy bardzo schlebiała jego obecność, a jeszcze bardziej to, że Alkuin wykazywał zainteresowanie skarbami jego biblioteki.

Była już ciemna noc, kiedy przybył do celi, którą dla niego przeznaczono. Mógłby spać w rezydencji optymatów w samym opactwie, ale wolał małą, skromną celę od dużego pomieszczenia, które musiałyby dzielić z innymi.

Podziękował niebiosom, zsuł buty i szykował się do wykorzystania tej chwili odosobnienia na przemyślenie wydarzeń minionego dnia.

A był to wyjątkowo ciężki dzień, choć nie tak bardzo jak dni, które przywykł znosić w swej dalekiej Nortumbrii. Ani w Fuldzie, ani w Aquis-Granum nie musiał wstawać na jutrznię, a po primie zawsze czekało na niego pożywne śniadanie składające się z miodowych placków, sera i soku jabłkowego. Jednak jego codzienne zajęcia w niczym nie przypominały tych, które niegdyś wykonywał z pełnym poświęceniem w szkole episkopalnej w Yorku. Tam dawał lekcje retoryki i gramatyki, prowadził bibliotekę, porządkował skryptorium, zbierał kodeksy, zlecał przekłady, organizował wypożyczanie ksiązek, które przybywały z dalekich klasztorów Hybernii, nadzorował przyjmowanie nowicjuszy, organizował debaty i był odpowiedzialny za ocenę postępów uczniów.

Jak odległe wydawały się teraz te dni spędzone w Yorku!

Przypomniało mu się dzieciństwo w Bretanii tak wyraźnie, jakby znów je przeżywał.

Urodził się w chrześcijańskiej rodzinie w Whitby, maleńkiej nadmorskiej osadzie w Nortumbrii, której mieszkańcy żyli z tego, co udało im się złowić, oraz z niewielkich sadów rozrzuconych u stóp dawnych fortyfikacji.

Przypomniał sobie tę deszczową krainę, miejsce zawsze wilgotne, świeże, w którym każdego ranka budził go zapach rosy i soli oraz szum fal toczących swą wieczną walkę.

Był zaleknionym dzieckiem, które wolało spędzać czas na przyglądaniu się roślinom albo muszłom, niż rzucać się kamieniami z resztą chłopców. Dziwne dziecko, tak o nim myśleli rodzice, zwłaszcza gdy zaczął odgadywać, ile ryb złowi dana łódka albo który dom zawali się w czasie najbliższej burzy.

Na nic się nie zdały jego wyjaśnienia, że zwraca uwagę na stan sieci używanych przez rybaków albo na przegniłe kolumny i belki. Dla reszty wioski ten chudzielec był opętany przez demona, więc rodzice postanowili wysłać go do szkoły katedralnej w Yorku, by tam wyprostowano mu duszę.

Jego nauczycielem został Aelberto z Yorku, koślawy mnich, wówczas dyrektor i uczeń poprzedniego dyrektora, hrabiego Egberta, który był krewnym rodziny. Być może z tego powodu Aelberto przyjął go jak syna i włożył całe serce i duszę w to, by skierować ten nieprzeciętny talent na właściwą drogę. Tam Alkuin dowiedział się, że Anglia jest heptarchią składającą się z królestw saksońskich, takich jak Kent, Wessex, Essex i Sussex, położonych na południu

wyspy, i z północnych państw angielskich Mercji, Anglii Wschodniej i Nortumbrii, gdzie mieszkali.

Saeculare quoque et forasticae philosophorum disciplinae, powtarzał raz za razem Aelberto, starając się przekonać go, że nauki świeckie były dziełem diabła, przekazany chrześcijanom, by zapomnieli o Słowie Bożym.

— Ale sam święty Grzegorz Wielki w swym Komentarzu do Księgi Królewskiej uznaje te nauki — odpowiadał Alkuin w wieku zaledwie szesnastu lat.

— To nie daje ci prawa, byś całe dni spędzał na czytaniu tego kompendium kłamstw, jakim jest *Historiae Naturalis*.

— Czy mniej byście się złościł, gdybym studiował *Etymologiae* albo *Originum sive etymologicarum libri viginti*? Jeśli porównacie oba te dzieła, zobaczycie, że święty Hiszpan opierał się na *Encyklopedii* Pliniusza po względem struktury niektórych ze swych ksiąg. I nie tylko na Pliniuszu, ale również na Kasjodorze i Boecjuszu albo na przekładach Asklepiadesa z Bitynii i Sorana z Efezu, dokonanych przez Caeliusa Aureliana, lub na Laktancjuszu i Solinie, a nawet na Pratuin Swetoniusza.

— Z punktu widzenia chrześcijańskiego, a nie pogańskiego.

— Paganie również są dziećmi Boga.

— Ale na usługach diabła, chłopcze! I nie sprzeciwiaj mi się, bo wyrzucę wszystkie trzydzieści siedem woluminów przez okno.

Tak naprawdę Aelbertowi zbytnio nie przeszkadzały lektury, w które zagłębiał się Alkuin, bo chłopiec nigdy nie zaniedbywał swych chrześcijańskich obowiązków. Przeciwnie, dowiódł, że jest dobrym i pilnym uczniem, zdolnym pokonać w dyskusjach teologicznych najbardziej doświadczonych braci, a przy tym dowodził, że jego rozważania nad tekstami pogańskimi, choć niegodne pochwały, w żaden sposób nie sprowadzają go na manowce z drogi wiodącej do wiedzy.

Z biegiem lat Alkuin okazał się prawdziwą kopalnią wiedzy humanistycznej. Badał teksty, woluminy i kodeksy, i niczym wprawny budowniczy wybierał z nich fragmenty i kawałki, z których potem układał niezwykle mozaiki wiedzy i elokwencji. I tak postąpił z poematem *De sanctus Euboriensis ecclesiae*, w którego tysiącu sześciuset pięćdziesięciu siedmiu wierszach nie tylko przedstawił historię Yorku, jego biskupów i królów Nortumbrii, ale również przytaczał takich autorów, jak: Ambrozjusz, Atanazy, Augustyn, Kasjodor, Jan Chryzostom, Cyprian, Grzegorz Wielki, Hieronim, Izydor, Laktancjusz,

Seduliusz, Arator, Juvencus, Wenancjusz, Prudencjusz czy Wergiliusz, których dzieła wchodziły w skład biblioteki prowadzonej przez brata Eanvalda.

Pisał bez wytchnienia.

Z biegiem czasu dzieła dydaktyczne, które zredagował jako uczeń, zaczęły być stosowane z racji ich przejrzystości i retoryki jako teksty pedagogiczne. W ten sposób odważył się zacząć pracę nad Kategoriami Arystotelesa, zaadaptowanymi w *Categoriae decem* świętego Augustyna, albo nad *Disputatio de vera philoTheresa*, kanonem, którego później używał sam Karol Wielki jako *vademecum*. A przy tym wszystkim nie zapominał o tekstach liturgicznych, dziełach teologicznych, pismach egzegetycznych, dogmatycznych, dziełach poetyckich i hagiograficznych.

A pisanie sprawiało mu wielką przyjemność.

W dniu, w którym Aelberto zastąpił Egberta na fotelu biskupa Yorku, powstał wakat na stanowisku dyrektora szkoły katedralnej. Wielu kandydatów starało się o to miejsce, ale wówczas Alkuin był już faworytem. Miał trzydzieści pięć lat i niedawno przyjął święcenia diakońskie.

Później sam król saski Ewald wysłał go do Rzymu, aby pozyskał paliusz dla nowego hrabiego, a dla Yorku godność metropolii. W drodze powrotnej, w Parmie, Alkuin poznał Karola Wielkiego i już nigdy więcej nie zajmował się szkołami katedralnymi.

Ale wciąż z upodobaniem rozwiązywał zagadki, posługując się przy tym swą niezwykłą przenikliwością.

* * *

Nagle przypomniała mu się sprawa Knura. Był piątek, a wyrok miał zostać wykonany w poniedziałek przed zmierzchem.

W kapitule powiedziano mu, że publiczne egzekucje odbywają się na głównym placu po południu, bo dzięki temu może uczestniczyć w nich większa liczba osób. Idąc, wyobrażał sobie, że skazaniec musiał popełnić straszny czyn, na przykład okradł domostwo jakiegoś szlachcica albo podpalił czyjeś mienie. Zgodnie z prawem kradzież lub spowodowanie szkody były jedynymi przestępstwami karanymi śmiercią, choć oczywiście zdarzały się wyjątki uzależnione z reguły od pozycji socjalnej przestępcy czy nawet samych ofiar.

Alkuin rozumiał, że zbrodniom tej wagi powinna odpowiadać surowa kara, ale nie podzielał zamiłowania niektórych sędziów do udzielania za ich pośrednictwem pokazowej lekcji. Dlatego gdy piastował swe stanowisko w Yorku, uczestniczył w licznych sądach i choć niestety niektóre z nich kończyły się szubienicą, on sam nigdy nie był obecny przy egzekucjach. Jednak tym

razem obiecał biskupowi, że będzie mu towarzyszył w trakcie tego wydarzenia. Uznał zatem, że lepiej przestanie zaprzętać sobie głowę tą sprawą i poświęci kilka godzin lekturze Wergiliusza.

Sobotni poranek był mroźny. Po nabożeństwie prima Alkuin spotkał się z biskupem w małym refektarzu urządzonej tuż obok pokoi gościnnych. Było tam ciepło, a w powietrzu unosił się zapach świeżo upieczonego chleba.

— Szczęść Boże — pozdrowił go Lotariusz. — Proszę, usiądźcie obok mnie. Dziś mamy wyśmienity placek z dyni.

— Szczęść Boże, wasza wielbność — Alkuin podziękował za zaproszenie i wziął mały kawałek placka. — Chciałem z wami pomówić o pomocniku, którego mi wyznaczycie do pracy pisemnej, o tym nowicjuszu, bratanku bibliotekarza.

— Tak. A co z nim? Czyżby nie był wam posłuszny?

— Nie, eminencjo, przeciwnie. Chłopak jest pracowity i schludny. Może trochę egzaltowany, ale na pewno bardzo sumienny.

— Wobec tego?

— Po prostu się nie nadaje. I wierzcie, że nie mówię tego z powodu jego młodego wieku. Muszę przyznać, że kiedy wasza wielbność zaproponował go jako pomocnika, uznałem, że to bardzo trafny wybór. A jednak rzeczywistość uparcie pokazuje co innego.

— Dobrze. Powiedzcie mi zatem, w czym was zawiódł, i postaramy się temu zaradzić.

— W tysiącu rzeczy, wasza wielbność. Po pierwsze, nie zna minuskuły. Stosuje dawny alfabet łaciński, wszystko zapisuje wulgarną kursywą, bez znaków interpunkcyjnych i przerw między słowami. Ponadto niszczy pergaminy, szarpiąc nimi gwałtownie. Nie dalej jak wczoraj zrobił dwa kleksy na tej samej stronie. Och! I oczywiście nie zna greki. Ma zapał, to prawda, ale mnie potrzebny jest skryba, a nie uczeń.

— Powinniście być wdzięczni, że macie tego chłopca. Jest posłuszny i ma ładne pismo. Przecież wy znacie grekę. Po co wam ktoś jeszcze?

— Już wam tłumaczyłem, wasza wielbność. Wzrok mi nie dopisuje. Z daleka potrafię odróżnić kanię od jerzyka, ale z bliska, im późniejsza pora, tym trudniej odróżniam samogłoskę od spółgłoski.

Biskup podrapał się po brodzie i beknął.

— Nie wiem, jak mógłbym wam pomóc. W kapitule nie ma nikogo, kto znałby grekę. Może w klasztorze...

— Już tam pytałem — powiedział Alkuin, kręcąc głową.

— Wobec tego musicie zadowolić się tym chłopcem.

— Być może niekoniecznie. — Uniósł brew. — Dwa dni temu przypadkiem poznałem pewną dziewczynę, która potrzebowała pomocy. Nie tylko potrafi czytać, ale również pisze, i to nienagannie.

— Dziewczyna? Na pewno wiadomo wam o nieudolności kobiet w sprawach związanych z wiedzą. Czy przypadkiem nie spodobała wam się z bardziej ziemskich powodów? — Puścił szelmowsko oko, ale Alkuin przyjął poważną minę.

— Zapewniam waszą wielebność, że nie o to chodzi. Potrzebuję skryby, a pojawienie się tej dziewczyny można by uznać za prawdziwy dar opatrności.

— Skoro taki macie kaprys, róbcie, jak uważacie. Ale niech nie chodzi nocą po kapitule, bo mi tu jeszcze podburzy resztę kleru.

Alkuin wyglądał na zadowolonego. Upił łyk wina i wziął kolejny kawałek placka. Nagle znów przypomniał sobie sprawę Knura i spytał Lotariusza, dlaczego ma zawisnąć na szubienicy.

— Zdaje się, że ciągle trapi was ta sprawa — zaryzykował biskup, przełknąwszy kęs ciasta, który z trudem mieścił mu się w ustach. — Kiedy zapraszałem was na egzekucję, nie okazaliście zbytniego zainteresowania i muszę przyznać, bracie Alkuinie, że nieco mnie to zaniepokoiło.

— Błagam was, abyście mi wybaczyli, jeśli nie podzielam waszego entuzjazmu. — Alkuin wziął jeszcze jeden mały kawałek placka. — Ale nigdy nie znajdowałem upodobania w traktowaniu śmierci jako przedstawienia. Być może, gdybym znał szczegóły zbrodni, lepiej rozumiałbym wasze nastawienie, ale jakkolwiek by było, nie martwcie się tym nadmiernie: udam się z wami na egzekucję i pomodłę za duszę skazańca.

Lotariusz jednym gestem odsunął chleb.

— *Actio personalis moritur cum persona*. Tu, w Fuldzie, kler szanuje prawa i podobnie, jak mniemam, dzieje się w waszej brytyjskiej krainie. Nasza skromna obecność nie tylko niesie pocieszenie skazańcowi w jego ostatnich chwilach na tym padole, ale również wzbudza należyty respekt wśród tłumu, który, jak wam wiadomo, z natury przejawia skłonność do postępowania wbrew naukom Naszego Zbawiciela.

— A ja podziwiam tak godne pochwały intencje — odparł Alkuin — jednakże uważam, że pewne widowiska dostarczają jedynie czezej rozrywki plebsowi i wzbudzają najniższe instynkty. Czyżbyście nie zauważyli, jak wykrzywiają twarze w groteskowych minach, oklaskując agonię skazańca, nie słyszeliście plugawych bluźnierstw, które wygłaszają, kiedy złoczyńca

zawiśnie na szubienicy, nie dostrzeżliście tych lubieżnych spojrzeń zmaconych pod wpływem wina?

Biskup skończył jeść i spojrzał karcącym wzrokiem na Alkuina.

— Posłuchajcie mnie dobrze! Ten zwyrodnialec zamordował dziewczynę w kwiecie wieku. Poderżnął jej gardło sierpem i sprofanował niewinne ciało.

Alkuin zakrztusił się i wypluł kawałek placka. Nie przypuszczał, że sprawa była aż tak poważna.

— Doprawdy, to straszliwa zbrodnia — powiedział. — Nie. Oczywiście nic mi nie było o tym wiadomo. Ale mimo to ta kara...

— Drogi bracie. My, pokorni słudzy boży, nie dyktujemy prawa. To kapitularze Karola Wielkiego wypowiadają się na ten temat. Co więcej, nie wiem, jakie argumenty możecie wytoczyć przeciw zastosowaniu tak słusznej kary.

— Nie, nie. Proszę. Nie zrozumcie mnie źle. Podobnie jak wy uważam, że przestępstwo musi zostać ukarane i że kara winna odpowiadać skali popełnionego przestępstwa. Chodzi o to, że tego ranka, po tercji, słyszałem dość zaskakujący komentarz kilku duchownych.

— Powiedźcie mi zatem, co mówili?

— ...że ten opóźniony umysłowo biedak, ten skazaniec, nie powinien był nigdy się narodzić. Wiecie, co mieli przez to na myśli?

— Przecież sami to przed chwilą powiedzieliście. Mówili o tym kretynie. Nie znajduję w tych słowach niczego, co mogłoby was intrygować. — Lotariusz nałożył sobie kolejną porcję placka z dyni.

— Chodzi o to, że spytałem ich o Knura, chyba tak go nazwali. Powiedzieli mi, że ten człowiek jest od urodzenia upośledzony i że aż do dnia morderstwa nie sprawiał żadnych poważniejszych problemów. Wspomnieli, że czasem kogoś przestraszył, ale raczej z racji swego niechlujnego wyglądu niż z powodu zachowania, i że nikt nie przypuszczał, by ten człowiek był zdolny do popełnienia tak okrutnego i odrażającego czynu.

— Wszystko, co wam o nim powiedzieli, jest prawdą. Z tego, co widzę, drogi Alkuinie, wiadomo wam o tej sprawie dużo więcej, niż się wydaje.

— Znam jedynie te szczegóły, które wam przedstawiłem. Nie wiem natomiast, jak stwierdzono jego winę. Powiedźcie mi, proszę: czy złapano go, gdy zaatakował dziewczynę? Czy ktoś go widział w pobliżu? A może znaleziono jego zakrwawione ubranie?

Biskup wstał i gwałtownie odsunął talerz.

— Habet aliquid ex inico omne magnum exemplum, quod cautra cingulos, utilitate publicd rependitur. Potwór jest winien. Został osądzony i skazany. I jak każdy dobry chrześcijanin spodziewam się, że będziecie się radować, gdy pošlemy go do piekła.

Alkuina zaskoczyła reakcja biskupa. Nie zamierzał oceniać jego postępowania, a jedynie poczynić komentarz, ale natychmiast pojął, że poprowadził tę rozmowę w sposób uchybiający biskupowi. Naprawdę nie miał żadnego powodu, by kwestionować opinię Lotariusza.

— Drogi ojciec. Błagam o wybaczenie — przeprosił. — Jeśli nadal uważacie, że moja obecność w poniedziałek jest wskazana, możecie na mnie liczyć.

Lotariusz zmierzył go wzrokiem.

— Tego się spodziewam, bracie Alkuinie. I sugeruję, byście więcej myśleli o ofiarach i nie przejmowali się zabójcami. Ani dla nich, ani dla tych, którzy okazują im zrozumienie, nie ma miejsca w Królestwie Niebieskim — powiedział Lotariusz, odchodząc bez pożegnania.

* * *

Alkuin zbyt późno zrozumiał, jak nierozsądnie się zachował. Teraz Lotariusz ma go za aroganckiego Brytyjczyka, który zamiast zająć się własnymi sprawami, woli udowadniać swoją wyższość. A najgorsze było to, że miał pewność, iż wcześniej czy później to starcie sprowadzi na niego kłopoty.

Po śniadaniu poszedł do kuchni, by wziąć dwa jabłka, które zamierzał zjeść w południe. Wybrał takie, jakie lubił najbardziej: dojrzałe i żółte o intensywnym aromacie. Potem skierował się do starej biblioteki naprzeciw pałacu. Dowiedział się, że biskup kazał wznieść ją w skrajnej, południowej części budynku, aby ochronić ją przed wiatrami i wilgocią.

Kiedy otworzył drzwi, zdziwił się na widok Theresy siedzącej na jedynej ławce znajdującej się w skryptorium. Dziewczyna przesuwiała piórem w powietrzu, jakby pisała na jakimś niewidocznym pergaminie, ale poruszała nim tak delikatnie, że przypominało to raczej jakiś rodzaj tańca. Alkuin przypuszczał, że Theresa ćwiczy, choć z pewnością posiadała już umiejętności niezbędne w subtelnej sztuce kopiowania.

— Dzień dobry — przerwał jej ćwiczenia. — Zapomniałem, że dziś miałaś przyjść do kapituły.

Dziewczyna wzdrygnęła się i odłożyła pióro na pulpit. Spoglądała z szeroko otwartymi ustami na Alkuina i nagle zerwała się, jakby ktoś ją ukłuł w pośladek.

— Ja... ja ćwiczyłam — wyjaśniła. — Mój ojciec powtarza, że jak się dużo ćwiczy, wszystko można osiągnąć.

— To niemal zawsze się sprawdza, przy dużej wprawie... ja dodałbym jeszcze: przy dużej wierze. Aby osiągnąć postępy, trzeba wierzyć w to, co się robi. Chyba lubisz swoje zajęcie? To znaczy... czy lubisz pracować jako pergamenariusz?

Dziewczyna milczała, a jej policzki coraz bardziej okrywał rumieniec.

— Nie chciałabym wydać się niewdzięczna, ale robię to, by być blisko książek.

— Szanuję poczucie winy, zwłaszcza uzasadnione — odparł. — Boska opatrzność dba, by każdy zajmował przewidziane dla niego miejsce. A twoje nie musi być miejscem doskonałego introligatora.

Dziewczyna stała chwilę z opuszczoną głową. Nagle jej oblicze pojaśniało.

— Czytanie! To najbardziej lubię! Zawsze, kiedy tylko mogę, czytam. Wtedy mam wrażenie, jakbym podróżowała do innych krain, poznawała inne języki albo żyła innym życiem. — Miała teraz rozbiegane oczy, jakby starała się to zobrazować. — Nie wierzę, by istniało coś równie dobrego. Czasem nawet wyobrażam sobie, że piszę. To znaczy, naprawdę redaguję własne myśli, a nie przepisuję jak skryba. — Przerwała, zawstydzona, jakby powiedziała coś bardzo niemądrego. — Nie wiem... Moja macocha zawsze powtarzała, że bujam w obłokach, że wystarczająco źle postąpiłam, wybierając zawód właściwy mężczyznom, i że powinnam wyjść za mąż i urodzić dzieci.

— Nigdy nie wiadomo. Być może taką drogę wybrał dla ciebie Pan. Ile masz lat? Dwadzieścia dwa?... Dwadzieścia cztery?... Spójrz na mnie. Skończyłem sześćdziesiąt i jestem zwykłym nauczycielem. Można powiedzieć, że to niezbyt wiele, ale ja jestem szczęśliwy, wypełniając zadania, które Bóg uznał za stosowne mi powierzyć.

— Wobec tego to nie zależy ode mnie? To znaczy... Bóg już zdecydował o mojej przyszłości?

— Widzę, że nie przeczytałaś jeszcze Miasta Boga, bo wówczas wiedziałabyś o tym, co święty z Hippony przedstawił z niezwykłą jasnością w swych zwojach: że ciała niebieskie mają klucze do naszego przeznaczenia.

— Czy potraficie to zbadać? — zapytała zaciekawiona.

— Nie jest to łatwe. Należałoby opracować twój dokument astralny, wiedzieć, kiedy dokładnie przyszłaś na świat, określić, jaką pozycję zajmowało wówczas słońce na firmamencie, i oczywiście poświęcić temu wiele dni pracy.

Theresa była zbita z tropu. Nagle skrzywiła się i usiadła.

— Ale jeśli to, co mówicie, jest prawdą, to czy ciała niebieskie nie są potężniejsze od boskiej opatrności?

— Niezupełnie. I to nie ja tak twierdzę, lecz sam święty Augustyn, który w swych tekstach zadaje pytanie: czym są gwiazdy, jeśli nie zwykłymi narzędziami Boga, Jego dziełem i zwierciadłem Jego niebiańskich zamiarów. Stwórca dał nam duszę, abyśmy byli niewolnikami losu. Obdarzył nas wolną wolą, aby odróżnić nas od czworonogów, dzikich bestii zamieszkujących ten świat. I to właśnie wola jest tym wewnętrznym głosem, który mówi ci, że powinnaś wytrwale trzymać się pisania. Że lepiej przysłużysz się Jego zamiarom, czytając i pisząc, niż tracąc życie na zszywaniu stronic i garbowaniu skór.

— Mój ojciec zawsze mówił mi to samo. Innymi słowami, oczywiście, ale mniej więcej to samo... — Nagle coś przyszło jej do głowy. — Czy moglibyście mnie uczyć?

— Uczyć? Czego?

— Powiedzieliście, że jesteście nauczycielem. Mogłabym nauczyć się tego samego co wasi uczniowie.

Z początku mnich wahał się, ale w końcu przystał na tę propozycję.

Ustalili, że każdego dnia, po kopiowaniu, poświęcą dwie godziny na studiowanie trivium i cuadrivium, ponieważ czytanie i pisanie Theresa opanowała już do perfekcji. Po przerobieniu podstawowych przedmiotów zagłębią się w studiowanie pism świętych. Nagle Alkuin wstał, jakby coś sobie przypomniał.

— Masz ochotę na mały spacer? — spytał.

— A pisanie?

— Weź ze sobą dwie tabliczki. Zobaczysz, jaki zrobimy z nich użytek.

ROZDZIAŁ 14

Przed wyjściem Alkuin musiał jeszcze omówić pewną sprawę z biskupem. Poprosił Theresę, by poczekała, a sam skierował się do komnat eparchy, gdzie został przyjęty przez jego osobistego sekretarza. Gdy przedstawił powód swej wizyty, sekretarz, garbaty starzec, wyglądający tak, jakby bolało go wszystko włącznie z habitem, wstał i znikł za czerwoną kotarą, zza której po chwili wyłonił się dostojnym krokiem.

— Jego wielebność przyjmie was wieczorEm. Teraz jest zajęty. Ma spotkanie z wysłannikiem przybyłym z Aquis-Granum.

— Ale ja muszę się z nim zobaczyć.

— Powtarzam wam, że jest zajęty. Zresztą to nie najlepszy moment. Zdaje się, że jest zmuszony opóźnić egzekucję Knura, i to go dość wzburzyło.

— Opóźnić egzekucję? Nie rozumiem.

— Karol Wielki zjeżdża do Fuldy z poselstwem rzymskim, a skoro wiadomo nam o jego przybyciu, pozbawienie króla takiego widowiska byłoby wielkim nietaktem.

— Doskonale — Alkuin skinął głową, nie kryjąc zadowolenia. — A przy okazji: wczoraj złamałem pióro i muszę zaopatrzyć się w nowe. Wiecie może, gdzie dostanę gęsie pióra?

— Gęsie pióra? Nie wiem. Tymi sprawami zajmuje się szambelan, który teraz jest na placu, gdzie ustala szczegóły egzekucji. Ale jeśli pójdziecie do tawerny Pod Kotem, na pewno ktoś wam wskaże miejsce. W okolicy pełno jest kaczyc i kurzych ferm.

Kaczyc i kurzych ferm! Kaczki i kurczaki trzymano też w zagrodach przy kuchni! Czyżby nikt w kapitule nie wiedział, że jedynie gęsie pióra nadają się do pisania? W tym momencie przypomniał sobie, że nie po raz pierwszy słyszał o tawernie Pod Kotem. Musiało to być bardzo popularne miejsce, bo nawet sam biskup wspominał mu o pysznym miodzie pitnym, który podawano w tej gospodzie. Alkuin podziękował sekretarzowi i poszedł po Theresę.

Ledwie wyszli z pałacu, zaskoczył ich lekki deszczyk. Mnich okrył głowę i zszedł po frontowych schodach, po czym natychmiast wmieszał się w tłum, gęstniejący od wczesnych godzin rannych na placu katedralnym. Theresa szła nieco za nim, podziwiając labirynt uliczek. Tłoczyli się na nich obładowani tobołkami tragarze, handlarze bydłem, poganiający zwierzęta, kupcy desperacko rozpychający się wśród ciżby i drobni złodziejaskowie, umykający sprzedawcom, którym coś zwędzili, a wszystko to okraszone

licznymi straganami z najróżniejszymi towarami. Korzystając z okazji, Alkuin zakupił tuzin orzechów, z których łupin, jak wyjaśnił Theresie, sporządzi doskonały atrament, paląc je, a następnie mieszając z oliwą. Rozłupał jeden orzech, schrupał ze smakiem miąższ, po czym ruszył w stronę ulicy Żelaznej do słynnej tawerny.

Smakowity zapach jądła, któremu towarzyszył wesoły rozgardiasz, upewniły go, że dobrze trafił. Gospoda mieściła się w dużym domu zbudowanym z czerwonego drewna z dwoma maleńkimi okienkami i drzwiami przesłoniętymi barwną derką. Gdy szykowali się, by wejść do środka, ktoś uchylił drzwi i z tawerny wytoczyła się kobieta z obnażonymi piersiami, od której zalatywało winem. Na widok Alkuina wcisnęła piersi w kaftanik, a na jej twarzy pojawił się głupi uśmiech. Potem przeprosiła i pomknęła w dół ulicy, plotąc jakieś bzdury. Alkuin przeżegnał się, kazał Theresie narzucić kaptur i wszedł zdecydowanym krokiem do tawerny.

W środku Theresa natychmiast splonęła rumieńcem na widok sceny, która mogłaby rozgrywać się w przedsionku piekieł. Mężczyźni i kobiety w obscenicznych uściskach oddawali się równo obżarstwu i rozpuście pośród talerzy jedzenia, dzbanów wina i dźwięków fletu. W głębi grający na instrumencie ślepiec ukazywał bezwstydnie bezzębne dziąsła, okopany za dwiema beczkami, które służyły zarazem jako lada. Mnich spuścił wzrok i ruszył w stronę mężczyzny o gęstej brodzie i zatłuszczonych dłoniach, który wyglądał na szynkarza. Theresa poszła za nim, zachowując pewien dystans.

— Mówcie, bracie, czym mogę wam służyć? — spytał szynkarz, podając klientom kolejkę piwa.

— Przychodzę z kapituły. Przysłał mnie sekretarz biskupa.

— Przykro mi, ale miód pitny się skończył. Dopiero pod wieczór będziemy mieć dostawę.

Alkuin domyślał się, że klerycy przychodzili tu, by zaopatrzyć się w napitek. Kiedy wyjaśnił, że niepotrzebny mu miód, lecz gęsi, szynkarz wybuchł śmiechem.

— Znajdziecie je na farmach nad rzeką. Czyżby w kapitule szykowano festyn?

W tej chwili w tawernie rozległa się wrzawa. Alkuin i szynkarz odwrócili się zdziwieni i zobaczyli, jak w mgnieniu oka ludzie zbierają się przy jednym ze stołów, a denary wędrują z ręki do ręki.

— Bójka do pierwszej krwi! — krzyknął szynkarz, biegnąc w stronę rozochoconego tłumu.

Alkuin podszedł do Theresy, która przyglądała się zajściu oszołomiona. Bójka „do pierwszej krwi”. Słyszała o tym, a nawet widziała chłopców udających taką bójkę, ale nigdy nie oglądała czegoś takiego na własne oczy. Taka walka, stanowiąca pokaz zręczności, kończyła się, gdy jeden przeciwnik ranił drugiego ostrym przedmiotem. Alkuin poradził jej, by notowała wszystko, co zobaczy.

Bywalcy tawerny zdążyli już zrobić miejsce walczącym: pierwszy z nich wyglądał jak kula tłuszczu z pniami zamiast ramion, jego zaś przeciwnik, rudzielec, sprawiał takie wrażenie, jakby wypił cały zapas wina z tawerny. Obaj krążyli wokół siebie niczym wilki zbliżające się do ofiary. Goście zaczęli ryczeć i wiwatować z taką samą zaciekleścią, z jaką przeciwnicy przypuścili na siebie atak.

Grubas, mimo swej tuszy, z werwą szermował skramasaksem, zmuszając rudzielca do wycofania się, gdy ten przerzucał nóż do drugiej dłoni. Theresa zapisała coś na tabliczce, pewna, że pojedynek lada moment się skończy. Jednak żaden z walczących nie decydował się na ostateczne starcie. Wreszcie grubas rzucił się na rudzielca, wymachując nożem tak szybko, że ostrze dosłownie śmigało w powietrzu, czym zmusił go do wycofania się do kąta. Zdawało się, że jeszcze chwila, a przebije go nożem, ale rudzielec zachowywał spokój, jakby wcale nie walczył o życie, tylko bawił się z dzieckiem. Ograniczał się jedynie do cofania i stosował różne fortele i zwody, a tymczasem bywalcy wciąż podbijali stawki zakładów.

Grubas zaczął się pocić. Ruchy miał coraz wolniejsze. Musiał chyba uznać, że jeśli osaczy przeciwnika, zyska przewagę, bo przewrócił stół, zagradzając mu drogę, ale rudzielec uskokzył w bok, unikając uderzenia. Grubas zdołał go co prawda złapać za nadgarstek dłoni, w której rudzielec dzierżył nóż, ale on obronił się, chwytając grubasa za drugie ramię. Rudzielec wytrzymał tak kilka sekund, a żyły w jego ramionach nabrzmiały niczym postronki. Tłum wciąż wiwatował i wznosił okrzyki. Nagle ręka grubasa trzasnęła i bywalcy ucichli, jakby zobaczyli diabła. Wtedy rudzielec krzyknął coś niezrozumiałego, zmylił przeciwnika, a w jego dłoni zabłyśnięcie noża. W mgnieniu oka ugodził grubasa i odskoczył, jakby nic się nie stało. Potem wyprostował się i spokojnie czekał.

Grubas trzymał się na nogach, ze zdziwieniem spoglądając na rudzielca, jakby chciał mu coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Nagle z jego brzucha wytrysnął strumień krwi i mężczyzna runął na ziemię niczym kukielka, której ktoś przeciął sznurki. Rudzielec wrzasnął triumfalnie i splunął na bezwładne ciało przeciwnika, widzowie zaś pospieszyli rannemu z

pomocą. Niektórzy przeklinali swój brak szczęścia, a ci, którym los sprzyjał, spieszyli, by roztrwonić zyski z ladacznicami. Rudzielec zasiadł przy najbardziej oddalonym stole, przeczesał spokojnie włosy i zaśmiał się z pogardą, obserwując, jak ludzie ciągną grubasa na zaplecze tawerny. Chwycił dzban i wypił wino do dna. Potem wziął pajdę chleba z kielbasą i postawił klientom kolejkę piwa.

Alkuin poprosił Theresę, by na niego poczekała, a sam wziął ze stołu porzucony dzban wina i podszedł z nim do zwycięzcy.

— Ciekawa walka. Pozwolicie, że zaproszę was na kielicha? — spytał Alkuin i usiadł przy stole, nie czekając na odpowiedź.

Rudzielec zmierzył Alkuina wzrokiem, po czym złapał dzban i opróżnił do ostatniej kropli.

— Darujcie sobie kazania, bracie. Jeśli szukacie jałmużny, wyjdźcie na środek, złapcie nóż i niech Bóg ma was w swojej opiece. — Rudzielec pochylił się nad stołem i zaczął liczyć monety stanowiące część zakładów, które jego kompan właśnie przyniósł.

— Prawdę powiedziawszy, sądziłem, że grubas was załatwi, ale jego wprawa w posługiwaniu się skramasaksem okazała się pozorna. — Starał się go udobruchać Alkuin.

— Posłuchajcie. Już wam mówiłem, że nie rozdaję jałmużny, więc odejdźcie, póki mam jeszcze cierpliwość.

Alkuin zrozumiał, że musi być bardziej bezpośredni.

— Naprawdę nie zamierzałem rozmawiać o bójce. Interesuje mnie raczej inna sprawa, a mianowicie młyn...

— Młyn? A o co chodzi z młynem?

— Pracujesz tam, prawda?

— A nawet jeśli, to co z tego? To żadna nowina.

— Chodzi o to, że kapituła zamierza kupić partię ziarna. To dobry interes dla kogoś, kto potrafiłby go ubić. Z kim powinienem na ten temat pomówić?

— Przychodzicie z kapituły i nie wiecie, z kim rozmawiać? Nie lubię krętaczy — powiedział, łapiąc rękojeść noża.

— Spokojnie. — Alkuin czym prędzej zaczął wyjaśniać. — Nie wiem, kto się tym zajmuje, bo niedawno tu przyjechałem. Pszenica trafi do kapituły, ale to inna sprawa. Naprawdę staram się znaleźć pokrycie dla kilku partii, nim missi dominici dokonają inspekcji spichlerzy. Nikt o tym nie wie i chciałbym, aby tak pozostało.

Rudzielec poluzował uchwyt skramasaksa. Missi dominici byli sędziami, których okresowo wysyłał na swe ziemie Karol Wielki, by rozstrzygali spory sądowe najwyższej rangi. Ich ostatnia wizyta odbyła się jesienią, więc mnich mógł mówić prawdę.

— A co ja mam z tym wspólnego? Porozmawiajcie z właścicielem, może on coś wam powie.

— Z właścicielem młyna?

— Młyna, strumienia, tej tawerny i połowy miasteczka. Spytajcie o Kohla. Znajdziecie go na stoisku z ziarnem, które ma na rynku.

— Oj, Rothaarcie, zamierzasz teraz wdać się w bójkę z mnichem? — przerwał im ten sam człowiek, który wcześniej przyniósł monety. Alkuin domyślił się, że Rothaart to imię rudzielca, bo takie było znaczenie tego słowa w języku Germanów.

— A ty, Gusie, żartuj sobie dalej. Któregoś dnia rozbiję ci czaszkę i na jej miejsce wsadzę kapustę. Nawet twoja żona ucieszyłaby się z takiej zmiany — odparł Rothaart swemu kompanowi. — A wy — powiedział, zwracając się do Alkuina — jeśli nie zamierzacie przynieść więcej wina, to możecie ustąpić miejsca jednej z tych dziewczek, które tylko na to czekają.

Alkuin podziękował Rothaartowi, dał znak Theresie i wyszli razem z tawerny, kierując się na rynek.

— A teraz dokąd idziemy? — spytała Theresa.

— Porozmawiać z pewnym człowiekiem, który jest właścicielem młyna.

— Młyna w opactwie? — Theresa niemal biegła za Alkuinem coraz bardziej przyspieszającym kroku.

— Nie, nie. W Fuldzie są trzy młyny: dwa należą do kapituły, choć jeden mieści się w opactwie. Trzeci jest własnością Kohla, który zdaje się jest w tym hrabstwie bogaczem.

— Myślałam, że chcecie znaleźć pióra.

— Tak było, zanim poznałem tego młynarza.

— Nie znaliście go wcześniej? Słyszałam, jak mu mówiliście, że wiecie, iż się tym zajmuje. A dlaczego chcecie kupić ziarno?

Alkuin spojrział na nią, jakby irytowały go te wszystkie pytania.

— Kto ci powiedział, że chcę je kupić? I wcale nie znałem młynarza. Domyśliłem się, że pracuje w młynie, bo jego ubranie było oproszone mąką. Nawet pod paznokciami miał mąkę.

— A co jest takiego szczególnego w tym młynie?

— Gdybym to wiedział, nie szlibyśmy tam teraz — powiedział, nie zwalniając kroku. — Jedyne, co mogę powiedzieć, to tyle, że nie znam młynarza, który jadłby żytni chleb. A przy okazji, co zapisałaś na tabliczkach?

Theresa zatrzymała się i sięgnęła do sakwy. Miała już zacząć czytać, gdy spostrzegła, że Alkuin wcale na nią nie czeka, pobiegła więc za nim, pospiesznie czytając notatki.

— Grubas został ranny w brzuch. Rudzielec czekał, aż ten straci równowagę, i wtedy zaatakował. Wygrana zwycięzcy wyniosła dwadzieścia denarów. Ach! A tego nie zanotowałam, ale rana grubasa nie mogła być zbyt poważna, bo wyszedł z tawerny na własnych nogach — powiedziała zarozumiale, czekając na pochwałę.

— I na to zmarnowałaś swój czas? — rzucił na nią okiem i szedł dalej. — Dziewczyno, prosiłem, abyś zapisywała to, co widzisz, ale nie rzeczy tak oczywiste, że nawet głupiec by je zapamiętał. Musisz skupić się na szczegółach, najdrobniejszych zdarzeniach, detalach, które umykają niemal niezauważone, i choć wydają się nieistotne lub błahe, dostarczają najbardziej interesujących informacji.

— Nie rozumiem.

— Zwróciłaś uwagę na mękę? Albo na jego buty? Zauważyłaś, którą ręką zadał cios nożem?

— Nie — przyznała Theresa. Czuła się bardzo głupio.

— Po pierwsze, rudzielec: kiedy weszliśmy do tawerny, wyglądał na pijanego, ale w istocie wybierał swoją ofiarę, bo w chwili stawiania zakładów liczył każdy denar.

— Aha.

— Wybrał silnego mężczyznę, ale mało zręcznego. Pod pretekstem przyjacielskich poszturchiwań wybadał to wcześniej Gus, który okazał się jego współnikiem. Dlatego Rothart nie zaczął bójki, dopóki nie dał mu znać, że zakłady poszły w górę.

— Ten Gus wydał mi się jakiś dziwny, ale nie przywiązywałam do tego wagi.

— Jeśli chodzi o kwotę, którą zapisałaś, dwadzieścia denarów... To dużo.

— Wystarczy, by kupić świnie — powiedziała Theresa, przypominając sobie rozmowę z Czarnulką Helgą.

— Ale nie aż tak dużo, jeśli na koniec musisz zapłacić za całą kolejkę piwa i opłacić dwie ladacznice, które na niego czekały. A jednak miał na sobie buty z delikatnej skóry, inny na każdej stopie, co znaczy, że były robione na miarę. A

na szyi złoty łańcuch i pierścień na palcu. Zbyt dużo jak na młynarza, który ryzykuje życie, obstawiając zakłady.

— Może codziennie walczy.

— Gdyby tak było i zawsze by wygrywał, okryłaby go taka sława, że nie znalazłby ani przeciwników gotowych umrzeć, ani ludzi, którzy by na niego stawiali, wyrzucając pieniądze w błoto. Nie. Za jego drogimi butami musi kryć się coś innego. Być może to samo, co by tłumaczyło, dlaczego zamiast pszennego chleba je żytni.

— Ale wobec tego...

— Wobec tego wiemy, że pracuje jako młynarz. Że jest leworęczny, sprytny, zręcznie posługuje się nożem i że jest majątny.

— Zwróciliście również uwagę na to, którą ręką zadał cios grubasowi?

— Nie musiałem na to szczególnie zwracać uwagi. Trzymał dzban lewą dłonią, liczył monety lewą dłonią i tej samej dłoni użył, gdy mi groził.

— A jakie to wszystko ma znaczenie?

— Może żadne. A może ma jakiś związek z chorobą, która pustoszy miasteczko.

* * *

W drodze na rynek Alkuin wyjawiał Theresie, że śmierć jego pomocnika oraz śmierć aptekarza nie wyglądały na przypadkowe. W okropnych boleściach zmarło też wiele innych osób i teraz Alkuin, korzystając z tego, że ma nowego pomocnika, zamierzał dowiedzieć się, co jest tego przyczyną.

Człowiek, który pilnował stoiska ze zbożem, jednooki chudzielec, poinformował ich, że Hansser Kohl poszedł już jakiś czas temu. Powiedział, że jeśli się pospieszą, zastaną go w młynie, bo miał rozładować nową partię żyta, która właśnie przyjechała. Wytłumaczył im, jak trafić do młyna na wzgórzu. Mieli wyjść za mury miasta południową bramą i iść z biegiem rzeki jakieś trzy kilometry w stronę gór.

Alkuin podziękował za wyjaśnienia i ruszył naprzód. Z miasta wydostali się bramą południową, a następnie szybkim krokiem szli brzegiem rzeki. Theresa, gdyby tylko mogła złapać oddech, spytałaby, jak to możliwe, że Alkuin wcale się nie męczy, ale mnich nie dał jej na to szansy. Kiedy wreszcie dotarli w pobliże młyna, dziewczynie serce niemal wyskakiwało z piersi.

Zatrzymali się na chwilę, podziwiając krajobraz z sylwetką młyna wznoszącą się dumnie ponad skalnym urwiskiem, które rzeka wyżłobiła w skałach.

Theresę zaskoczyło miarowe, ciężkie skrzypienie koła czerpakowego, stłumione szumem wody. Kiedy się zbliżyła, zobaczyła, że łopatki nie poruszają się pod wpływem wody płynącej w rzece, lecz za sprawą prądu kanału bocznego, który za pomocą bardzo prostej śluzy reguluje poziom wpływającej doń wody.

Alkuin podziwiał konstrukcję budowli, która, jak niemal wszystkie młyny tego typu, miała trzy piętra: na parterze znajdowały się krążki i koła zębate przenoszące ruch koła czerpakowego na ogromną pionową oś przecinającą młyn. Na głównym piętrze, gdzie mielono zboże, znajdowały się umieszczone na osi koła z rowkowanym kamieniem, jedno stałe, a drugie ruchome, które kręciło się w przeciwnym kierunku, mieląc ziarno. I wreszcie na trzecim piętrze mieścił się magazyn zboża, tuż obok lejka do załadunku. Do tego lejka wsypywano ziarno, które spadało dalej kanałem do otworu wydrążonego w wyższym kole, a następnie zostawało roztarte przez rowki kamieni młyńskich.

Zauważył, że do młyna przylega niewielkie obwarowane domostwo. Dostrzegł również stajnię i ogrodzony magazyn, w którym, jak się domyślał, składowano ziarno.

— Dziwi mnie usytuowanie młyna w takiej odległości od miasteczka — powiedział Alkuin, wskazując budynek. — Być może dlatego dom jest z kamienia, aby lepiej chronić młynarza i jego rodzinę.

— A po co tu przyszliśmy? Nie chciałabym powiedzieć przy nim czegoś niestosownego.

— Nie mówiłem ci, bo to nadal tylko domysły, ale podejrzewam, że przyczyna choroby tkwi w ziarnie. — Wyjął z kieszeni kilka ziaren i podał je Theresie. — Aby to potwierdzić, muszę je zbadać. Udam zatem, że jestem zainteresowany transakcją, aby właściciel dał mi próbkę.

— Sądzicie, że ziarno jest zatrute?

— Niezupełnie. Ale ty na wszelki wypadek trzymaj buzię na kłódkę. W tej samej chwili kilka psów snujących się dotąd wokół stajni zaczęło ujadać, jakby ktoś je obił kijem. Równocześnie w drzwiach pojawiło się dwu ludzi uzbrojonych w łuki.

— Co was tu sprowadza? — spytał ten lepiej odziany, wciąż w nich celując. Theresa domyślała się, że to Kohl, Alkuin zaś nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

— Dzień dobry. — Mnich pozdrowił ich, pokazując równocześnie, że nie ma broni. — Przychodzę zaproponować wam interes. Możemy wejść? Straszny tu mróz.

Mężczyźni opuścili łuki.

Zamiast do młyna poszli do domu, bo według tego gorzej odzianego w młynie nie rozpalali ognia, by nie wzniecić pożaru. Kiedy już się tam znaleźli, Kohl posłał sługę po poczęstunek dla gości. Mężczyzna wezwał żonę, ta zaś zaczęła biegać po domu, jakby sam diabeł ją gonił. Najpierw przyniosła chleb i ser, a potem dzban wina, które naląa całej czwórce.

— Bez kropli wody — zachwalał Kohl, smakując wino. — Dobrze. Mówcie zatem, jaki interes was sprowadza?

— Zapewne już się domyśliliście z racji mego stroju, że przychodzę z opactwa. — Alkuin przerwał na chwilę, by wznieść toast za obecnych przy stole. — Jednak muszę wam wyznać, że nie reprezentuję opata, lecz monarchę Karola Wielkiego. Król wkrótce odwiedzi Fuldę, najdalej za jakieś dwa tygodnie, i chciałbym przyjąć go z wszelkimi honorami. Niestety, nasze zapasy zboża zmniejszyły się znacznie, a to, co nam się ostało, jest dość zleżałe. W kapitule również nie ma zapasów, pomyślałem więc sobie, że może mógłbym od was kupić, powiedzmy... jakieś czterysta modiusów?

Kohl zakrztusił się, słysząc tę liczbę, odkaslnął i dołał sobie wina. Czterysta modiusów było ilością wystarczającą, by nakarmić całą armię. Uznał, że musi dobić targu.

— To bardzo dużo pieniędzy. Przypuszczam, że znacie stawkę za zboże: trzy denary za modius żyta, dwa denary za modius jęczmienia i jeden denar za owies. A jeśli chcecie mąki...

— Oczywiście wolę ziarno.

Kohl skinął głową. Było to logiczne: skoro opactwo posiadało dwa młyny, wołało zaoszczędzić zbędnego wydatku.

— A na kiedy jest wam potrzebne to ziarno?

— Jak najszybciej. Musimy mieć czas, by zemleć pszenicę.

— Pszenicę? — Kohl wstał zaskoczony. — O tym zbożu nie mówiliśmy. Mogę dostarczyć wam żyta, jęczmienia, owsa, a nawet, jeśli chcecie, orkisz, ale uprawę pszenicy zajmuje się opactwo. I wy powinniście o tym wiedzieć.

Oczywiście Alkuin o tym wiedział. Zastanawiał się nad odpowiedzią.

— Wiem również, że czasem w opactwie ginęły partie, które później trafiały na rynek — odparł. — Czterysta modiusów to szesnaście tysięcy denarów...

Kohl chodził od ściany do ściany, nie spuszczać oczu z Alkuina.

Wiedział, że to duże ryzyko, ale właśnie podejmując ryzyko, udało mu się tak wzbogacić.

— Wróćcie jutro, to porozmawiamy. Dziś mam dużo pracy i nic nie zrobię.

— Moglibyśmy zobaczyć młyn?

— Teraz wre tam praca. Może innego dnia.

— Wybaczcie, że nalegam, ale chciałbym...

— Młyn jak młyn, każdy wie, jak wygląda. Mówiłem już, że teraz pracują tam ludzie.

— Dobrze. Zatem jutro znów się zobaczymy.

* * *

Kiedy wyszli z domu, Theresa spytała Alkuina, czego się dowiedział, ale on jedynie mruknął coś pod nosem o swym braku szczęścia. Kiedy mijali stajnie, powiedział Theresie, że chciał zbadać wnętrze młyna, ale wołał nie nalegać, by nie wzbudzać podejrzeń.

— Zwróciłaś uwagę na konie? — spytał mnich. — Sześć, nie licząc tych, które są zaprzęgnięte do wozu.

— A co to oznacza?

— Że w młynie jest co najmniej sześć osób pilnujących.

— Za dużo?

— Za dużo.

Nagle zatrzymał się, jakby coś sobie przypomniał. Cofnął się. Upewnił się, że nikt nie patrzy, przeskoczył przez ogrodzenie i wszedł do stajni. Przeszukał juki, pomacał deski furmanki i słomę na klepisku. Klęcząc, wezwał Theresę. Dziewczyna podbiegła i wyciągnęła woskową tabliczkę, myśląc, że ma coś zanotować, ale Alkuin pokręcił głową.

— Poszukaj na ziemi. Takich ziaren jak te, które ci dałem. Szukali wśród łąjna, aż usłyszeli odgłosy dochodzące z młyna.

Wtedy podnieśli się i czym prędzej się oddalili.

* * *

Kiedy dotarli do opactwa, mieli skostniałe z zimna dłonie i stopy, ale w kuchni dostali ciepłą zupę, która od razu ich rozgrzała. Zjedli w pośpiechu, bo Alkuin chciał wrócić do pracy, lecz Theresa zaproponowała, by wcześniej odwiedzili Hoosa. Mnich zgodził się, więc sprzątnęli po sobie talerze i udali się do szpitala.

Kiedy doszli na miejsce, przyjął ich ten sam mnich co poprzednio. Jednakże tym razem na jego radosnym zazwyczaj obliczu malował się wyraz zaniepokojenia.

— Cieszę się, że was widzę. Przekazano wam wiadomość?

— Nie. Dlaczego? Co się stało? — spytał Alkuin.

— Wejdźcie, na Boga, wejdźcie. Dwu kolejnych chorych z tymi samymi objawami.

— Gangrena w stopach?

— U jednego z nich już zaczęły się konwulsje.

Obaj mnisi pobiegli do pomieszczenia, gdzie leżeli chorzy w agonii. Był to ojciec i syn, którzy pracowali w tartaku. Alkuin stwierdził, że ojciec już ma czarny nos i uszy. Próbował zadawać im pytania, ale mówili nieskładnie i niewyraźnie. Natychmiast przepisał środki przeczyszczające.

— I niech piją mleko zmieszane z węglem. Tyle, ile tylko zdołają. Zostawili pielęgniarza, który od razu zabrał się do szykowania mikstur, i poszli do izby Hoosa. Jednak na miejscu zastali puste łóżko. Pytali pozostałych chorych, ale nikt nie potrafił powiedzieć, dokąd poszedł młodzieniec. Sprawdzili w latrynach i jadalni, a także na małym krużganku, na którym ranni w lepszym stanie przechodzili rekonwalescencję. Tam również go nie widziano. Przeszukawszy wszystkie zakamarki, musieli przyjąć do wiadomości, że Hoos znikł.

— Ale to niemożliwe — lamentowała Theresa.

— Znajdziemy go — tylko tyle zdołał powiedzieć Alkuin. Poradził dziewczynie, by wróciła do domu i zachowała spokój. On sam musiał udać się do biblioteki, ale obiecał, że dopilnuje, by zawiadomiono ją, gdy tylko Hoos się pojawi. Ustalili, że spotkają się następnego ranka przy bramie kapituły. Theresa podziękowała za okazaną troskę, ale gdy tylko się odwróciła, mimo woli popłynęły jej z oczu łzy.

* * *

Resztę popołudnia Theresa spędziła zamknięta w brogu. Woląла uniknąć kłopotliwych pytań Helgi. Jednak tuż przed zmierzchem postanowiła przejść się po okolicy. Spacerując uliczkami, zadawała sobie pytanie, co oznacza ten ucisk w piersiach, te dreszcze wstrząsające nią za każdym razem, gdy myślała o Hoosie. Każdego ranka umierała z tęsknoty za tą chwilą, gdy będzie mogła go zobaczyć, porozmawiać z nim, poczuć na sobie jego spojrzenie. Łzy znów napłynęły jej do oczu. Dlaczego życie wciąż jąkarze? Cóż takiego uczyniła, że wszystko, co kochała, w końcu zniknęło?

Szła bez celu, snując domysły na temat miejsca pobytu Hoosa i starając się odgadnąć, co takiego mogło się wydarzyć. Przypomniała sobie, że w trakcie ostatniej wizyty Hoos z trudem zdołał zrobić kilka kroków na krużganku, a działo się to zaledwie dwa dni temu. Wciąż był chory, nie mógł zatem uciec.

Szła dalej, nie zdając sobie sprawy, że stopniowo oddala się od uczęszczanych ulic. Było zimno i Theresa chowała głowę w kaptur, starając się zakryć przemarznięty czubek nosa. Nim się zorientowała, znalazła się w wąskim i ciemnym zaułku.

Pachniało zgnilizną. Jakiś pies zaszczekał, napędzając jej strachu.

Rozejrzała się wokół i stwierdziła, że większość domów wygląda na opuszczone, jakby ich właściciele pożałowali, że mieszkają w tak posepnym miejscu, i uciekli, nie zamykając nawet okien.

Wystraszyła się i postanowiła zawrócić.

Szła już z powrotem, gdy nagle na ulicy pojawiła się jakaś zakap-turzona postać. Theresa czekała, aż odejdzie, ale postać się nie poruszyła.

Usiłowała nie wpadać w przerażenie. Powtarzała sobie, że to nie może być nikt groźny i że nic jej się nie stanie.

Ruszyła naprzód. Ale w miarę jak się zbliżała, serce zaczęło jej bić coraz szybciej. Postać stała spokojnie, jakby ją obserwując, nieruchoma niczym posąg. Theresa przyspieszyła kroku, spuszczać wzrok, ale gdy podeszła bliżej, człowiek w kapturze rzucił się na nią, próbując ją obezwładnić. Próbowła krzyknąć, ale czyjaś dłoń zakryła jej usta. Jęknęła przerażona. Zdesperowana ugryzła kneblującą ją dłoń, mężczyzna krzyknął, a wtedy jego głos niemal ją sparaliżował.

— Ty diablico! Co robisz? Chcesz mi odgryźć rękę? — powiedział, ssąc ugryzione miejsce.

Theresa nie wierzyła własnym uszom. Ten akcent, intonacja... bez wątpienia znała ten głos.

— Hoos? To ty?

Wreszcie go rozpoznała. Rzuciła mu się bez zastanowienia w ramiona. Hoos objął ją czule, odrzucił kaptur i obdarzył szczerym otwartym uśmiechem. Poglaskał ją po włosach, rozkoszując się jej zapachem. Zaproponował, by przeszli dalej, bo to miejsce nie należało do najbezpieczniejszych.

— Ale gdzieś ty się podziewał? — szlochała. — Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę.

Przyznał się, że ją śledził. Uciekł z opactwa, bo musi natychmiast wrócić do Wurzburga. Gdyby został w szpitalu, nigdy by mu się to nie udało.

— Przecież ledwie trzymasz się na nogach.

— Dlatego potrzebny mi koń.

— To szaleństwo. Bandy cię zabiją. Już zapomniałeś, co ci zrobili?

— Na razie o tym nie myśl. Musisz mi pomóc.

— Ale ja nie wiem...

— Posłuchaj — przerwał jej. — Muszę znaleźć się w Wurzburgu w przyszłym tygodniu. Ryzykowałem życie, by uratować twoje, i teraz to ja potrzebuję twojej pomocy. Musisz załatwić mi wierzchowca.

Theresa zobaczyła w jego spojrzeniu determinację.

— Zgoda, ale nie znam się na koniach. Będę musiała poprosić Czarnulkę.

— Czarnulkę? Kim ona jest?

— Nie pamiętasz? To kobieta, która nas przyjęła, kiedy przyjechaliśmy do Fuldy. Teraz u niej mieszkam.

— Nie sądzę, aby to był dobry pomysł. Nie masz pieniędzy? Przecież Althar dał ci sakiewkę z monetami.

— Ale tego samego dnia oddałam ją Czarnulce jako przedpłatę za mieszkanie i utrzymanie. Zostały mi ledwie dwa denary.

— A niech to! — Hoos zacisnął zęby.

— Mogłabym poprosić Alkuina. Być może on zdoła nam pomóc. Hoos wzburzył się, słysząc imię mnicha.

— Czyżbyś straciła rozum? Jak sądzisz, dlaczego uciekłem z opactwa? Nie wierz temu człowiekowi, Thereso. Nie jest taki, na jakiego wygląda.

— Dlaczego tak mówisz? Bardzo dobrze się wobec nas zachował.

— Nie mogę ci tego wyjaśnić, ale musisz mi ufać. Unikaj tego mnicha.

Theresa nie wiedziała, co powiedzieć. Wierzyła Hoosowi, ale Alkuin robił na niej wrażenie dobrego człowieka.

— Wobec tego co zrobimy? Twój sztylet! — przypomniała sobie. — Moglibyśmy spróbować go sprzedać. Na pewno wystarczy na zakup konia.

— Gdybym go tylko miał. Ci przekłęci mnisi musieli mi go ukraść — burknął. — Nie znasz nikogo, kto handluje końmi? Kogoś, kto mógłby dostarczyć mi wierzchowca?

Theresa pokręciła głową. Stwierdziła również, że jest jeszcze za wcześnie, by dosiadł konia, bo znów otworzy mu się rana. Hoos zatrzymał się, by złapać oddech. Sapał jak starzec i przyciskał dłoń do piersi, blisko zranionego miejsca.

— Dobrze się czujesz?

— Nie ma znaczenia, jak się czuję. A niech to lichy! Potrzebny mi wierzchowiec! — krzyknął i zaraz zaniósł się kaszlem. Usiadł przygnębiony na pniu drewna opałowego. Przez chwilę Theresa obawiała się, że rana już mu się otworzyła.

— Dziś rano byłam w miejscu, gdzie trzymają konie — powiedziała jakby mimochodem.

Hoos wstał i spojrzął na Theresę z czułością. Ujął jej twarz w swoje dłonie, a potem powoli nachylił się i ją pocałował. Myślała, że umrze ze szczęścia. Poczuła, jak pod wpływem ciepła bijącego od jego ust jej ciało drży. Zamknęła oczy i oddała się zalewającej rozkoszy. Jej wargi rozchyliły się nieśmiało, pozwalając, by otarł się o nie język mężczyzny. Odsunęła się powoli i wciąż oblana rumieńcem spojrzała Hoosowi prosto w oczy. Pomyślała, że jego źrenice lśnią piękniej niż kiedykolwiek.

— A co będzie ze mną, kiedy odjedziesz? — spytała.

Hoos pocałował ją raz jeszcze i Theresa jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zapomniała o swych obawach.

* * *

Poszli do tawerny Czarnulki Helgi, zatrzymując się na każdym rogu i całując lekliwie, jakby każdy, kto by ich na tym przyłapał, miał ich zaraz skarcić. Po takich karesach śmiali się i szli dalej, przyspieszając kroku. Kiedy doszli do tawerny, od razu udali się na zaplecze, by Helga nie widziała ich czułości. Weszli do brogu, gdzie Theresa sypiała, i znów zaczęli się całować. Hoos pogładził jej piersi, ale ona się odsunęła. Przyniosła coś do jedzenia, ułożyła Hoosa wygodnie na kocu i poprosiła, by chwilę poczekał. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za kilka godzin wróci z koniem.

Wiedziała, że to szaleństwo, a mimo to wyszła z domu zaopatrzona w świecę, krzesiwo i suchą hubę. Wzięła też trochę surowego mięsa, kuchenny nóż i udała się w stronę murów, niepewna, czy bramy będą jeszcze otwarte. Na szczęście przy południowej bramie wciąż trwały prace naprawcze i kiedy przez nią przechodziła, na wpół zaspany strażnik nie zadawał żadnych pytań.

Idąc w stronę młyna, przypomniała sobie usta Hoosa. Poczuła ciepło jego szeptów i jego oddech na swoich policzkach. Coś ścisnęło ją w brzuchu. Przyspieszyła kroku, kierując się poświatą księżycy. Miała nadzieję, że psy nie od razu wyczują jej obecność. Nie była pewna, czy siekane surowe mięso zajmie jej wystarczająco długo, by zdążyła dojść do stajni. Kiedy znalazła się w pobliżu młyna, stwierdziła, że jest na tyle jasno, że obejdzie się bez huby. Rozejrzała się za psami, ale żaden nie nadbiegł. Mimo to na wszelki wypadek położyła połowę mięsa na głównej drodze, a resztę rozrzuciła na ścieżce prowadzącej do stajni.

W stajni doliczyła się zaledwie czterech koni, które wyglądały, jakby spały. Przyjrzała im się uważnie, starając się odgadnąć, który najbardziej by się

nadawał, ale nie mogła podjąć decyzji. Nagle usłyszała szczekanie i serce podskoczyło jej do góry. Natychmiast pobiegła do kąta, gdzie nakryła się słomą i przerażona czekała. Po kilku chwilach szczekanie ustało. Wtedy uświadomiła sobie, jak wielki błąd miała właśnie popełnić.

Zaczęła się zastanawiać, co właściwie tu robi i jak mogła pomyśleć o kradzieży, i odpowiedziała sobie, że choć bardzo chciała pomóc Hoosowi, to nie jest właściwy sposób. Nie tak wychował ją ojciec.

Poczuła się brudna i bezwstydna. Nie rozumiała nawet, jak to się stało, że doszła aż do młyna. Mogli ją przecież złapać i skazać za kradzież, przestępstwo, które czasem karano śmiercią. Czuła, że zawodzi Hoosa, ale nie mogła spełnić jego prośby. Zapłakała nad swoją głupotą, prosiła Boga o przebaczenie i błagała, by jej dopomógł.

Była przestraszona. Najmniejszy hałas, począwszy od parsknięcia konia po skrzywienie drewna, sprawiał, że drętwiała ze strachu, że ją zaraz odkryją. Przeczłogała się powolutku między końskimi kopytami w stronę wyjścia. Ale kiedy już miała wyslizgnąć się ze stajni, z przerażeniem stwierdziła, że w jej stronę zmierza czterech mężczyzn.

Podejrzewała, że psy wzbudziły ich uwagę.

Zawróciła i znów zakopała się w sianie. Jeden z mężczyzn wszedł do stajni i zaczął poklepywać konie po grzbietach. Zwierzęta zarżały przestraszone. Theresa zobaczyła końskie kopyta tuż przy swojej twarzy i omal nie krzyknęła z przerażenia. Na szczęście w porę się opanowała. Mężczyzna założył cugle na jednego z koni, dosiadł go i ruszył galopem w stronę chaszczy. Patrzyła, jak trzej pozostali mężczyźni rozładowują wóz i przenoszą jego zawartość do młyna. Theresa zdziwiła się, że pracują o tak niewczesnej porze, na dodatek w ciemnościach. Nie rozpalili nawet pochodni i przyszło jej do głowy, że być może te worki mają jakiś związek z ziarnem, którego poszukiwał Alkuin.

Nie zastanawiając się nad konsekwencjami, skorzystała z chwilowej nieobecności mężczyzn, by zbadać ładunek. Zostały im jeszcze dwa tobołki do przeniesienia, więc Theresa wyjęła nóż, rozcięła róg najbliższego worka, wsunęła rękę do środka, zaczerpnęła garść ziarna, po czym biegiem wróciła do stajni.

Wkrótce pojawili się mężczyźni. Pierwszy z nich od razu odkrył dziurę w worku i zaczął obwiniać tego drugiego za to, że go uszkodził. Ten zaś oskarżył pierwszego i zaczęli się sprzeczać, aż rozdzielił ich, nie szczędząc kuksańców, trzeci mężczyzna, który wyglądał na ich szefa. Pierwszy odszedł i wrócił po chwili z zapaloną pochodnią. Płomień rozświetlił rude włosy szefa. W końcu

mężczyźni złapali pozostałe worki i poszli sobie, nie przejmując się więcej stajnią.

Kiedy Theresa uznała, że odeszli na dobre, pobiegła ścieżką, czując niemal na swej szyi oddech rudzielca. Pamiętała, jak wbił nóż w grubasa, i wyobrażała sobie, że lada chwila wyskoczy zza któregoś drzewa i obetnie jej głowę. Nawet gdy znalazła się za murami, nie czuła się dość bezpiecznie.

Zdyszana dotarła do domu Czarnulki Helgi, bo odkąd wyszła z młyna, ani na chwilę się nie zatrzymała. Dostała się do budynku od tyłu, upewniła się, że Czarnulka wciąż jest w tawernie, i starając się nie narobić hałasu, ruszyła wprost do brogu, gdzie czekał na wpół zaspany Hoos. Na jej widok młodzieniec ucieszył się, ale zaraz skrzywił, słysząc, że nie przyprowadziła wierzchowca.

— Próbowałam, przysięgam — zarzekała się Theresa.

Hoos zaklął między zębami, ale mimo to nalegał, by się nie przejmowała. Następnego ranka miał coś wymyślić.

Theresa ucałowała go w usta, a on odpowiedział jej tym samym.

— Poczekaj chwilę. — Zerwała się i zeszła do tawerny. Wróciła niebawem, nucąc jakąś banalną melodię. Zbliżyła się z niewinną miną do Hoosa i znów go pocałowała. Potem roześmiała się promiennie.

— Już masz konia — oznajmiła.

Wyjaśniła mu, że spytała Czarnulkę o pieniądze, które swego czasu jej dała jako przedpłatę za gościnę. Powiedziała, że ich potrzebuje, i gdyby Helga mogła zwrócić część tej sumy, oddałaby wszystko z nadwyżką jeszcze przed końcem lutego.

— Najpierw odmówiła, ale przypomniałam jej, że mam stałą pracę, i obiecałam, że oprócz pożyczonych pieniędzy otrzyma piątą część na procent. Oczywiście dopytywała się, po co mi te pieniądze.

Hoos spojrział na nią zaniepokojony, ale Theresa od razu go uspokoiła. Powiedziała Heldze, że potrzebna jej młoda klacz, by móc towarzyszyć mnichowi w jego wycieczkach na wieś, i Helga nie tylko w to uwierzyła, ale nawet poleciła handlarza, który na pewno sprzeda konia za niższą cenę. W sumie Helga zwróciła jej pięćdziesiąt denarów, połowę tego, co otrzymała w ramach zaliczki. Za te pieniądze można było kupić starego konia i dość jedzenia, by starczyło na drogę.

— I nie spytała cię, dlaczego nie możesz chodzić na piechotę?

— Powiedziałam, że bolą mnie nogi. Posłuchaj, Hoos. Nim odjedziesz, chciałabym cię o coś prosić.

— Oczywiście. Jeśli tylko będzie to w mojej mocy...

— Za kilka dni... kiedy dojedziesz do Wurzburga...

— Tak...

— Wiesz? Kiedy znalazłeś mnie w tej chacie... okłamałam cię. Wcale nie spacerowałam po okolicy.

— Już dobrze. Nie przejmuj się. Jeśli wtedy nie powiedziałaś mi prawdy, to teraz tym bardziej nie musisz.

— Byłam przestraszona, ale teraz... Teraz chcę ci o tym powiedzieć. W Wurzburgu wybuchł pożar.

— Pożar? Gdzie?

— Ja nie byłam temu winna. Przysięgam. To ten przeklęty Kome mnie popchnął. Ogień zaprószył się, wszystko się spaliło i... — wybuchła płaczem. Hoos objął ją. — Obiecuj, że odszukasz mojego ojca i powiesz mu, że dobrze się czuję. Obiecuj mi to.

— Tak, oczywiście. Obiecuję.

— Powiedz, że ich kocham. Jego i Rutgardę. Obiecuj.

Hoos pogłodził ją po twarzy i Theresa się uspokoiła. Nagle przypomniała sobie o pergaminie, który spoczywał ukryty w sakwie ojca. Przez chwilę pomyślała, że mogłaby powierzyć go Hoosowi, by mu go przekazał, ale natychmiast zrezygnowała z tego pomysłu. Może był to prywatny dokument i dlatego ojciec go ukrył.

— Zabierz mnie ze sobą — poprosiła. Hoos uśmiechnął się do niej czułe.

— Znajdę twojego ojca i powiem mu, by się nie martwił. Ale teraz nie możesz ze mną jechać. Pełno tu bandytów.

— Ale...

Hoos zamknął jej usta pocałunkiem.

* * *

Kiedy Hoos zgasił ostatnią świecę, poprosił Theresę, by się do niego zbliżyła. Ona zaś przystała na to, nie wiedząc zbyt dobrze dlaczego. Hoos objął dziewczynę delikatnie, by ochronić ją przed zimnem, ale choć wkrótce się rozgrzali, nie chcieli już się rozłączyć.

Hoos był czułym mężczyzną, którego zawsze pragnęła. Obejmował ją mocno ramionami i obsypywał pocałunkami. Przebiegł dłońmi całe jej ciało, rysując na nim niezbadane ścieżki, pieszcząc powoli i otulając swym oddechem, a ona pozwoliła się zaczarować, czując, jak w jej wnętrzu zawiązuje się nieśmiałe pożądanie.

Nigdy dotąd tak się nie czuła. Nie potrafiła wyjaśnić tego nagromadzenia wrażeń, tej walki pomiędzy wstydem a pragnieniem, lękiem i pożądaniem.

— Jeszcze nie — poprosiła.

Hoos całował ją, nie słuchając, przemierzał jej ciało swymi wargami, pieścił wzgórek łonowy, brzuch, sterczące sutki. Podziwiała jego mocne ramiona, on zaś szeptał czułe słowa o gładkości jej piersi. Zadrżała, gdy rozsunął jej uda. Poczwała, jak wchodzi w nią, i wygięła się w łuk z bólu. Mimo to pożądanie sprawiło, że przyłgnęła do niego tak, jakby chciała osiąść go na zawsze, i poddała się jego ruchom i płomieniom, które ją trawiły.

On poruszał się na niej, nie przestając jej całować. Pieścił ją powoli, zatrzymując się, a potem wznawiał ruchy z jeszcze większą mocą i tempem, a wreszcie z taką żądzą, że jej łono ogarnęło szaleństwo, jakby posiadał ją sam diabeł. Kiedy Hoos skończył, prosiła, by z nią został.

— Kocham cię — szepnął, mocniej ją obejmując.

Theresa zamknęła oczy. Pragnęła, by jej to powtórzył tysiące razy.

Rankiem, kiedy Hoos się żegnał, ona słyszała jedynie, że ją kocha.

RS

ROZDZIAŁ 15

W niedzielę Theresa nie chodziła do skryptorium, więc wykorzystwała ranek, by uporządkować bróg i umyć garnki nagromadzone w kuchni. Postanowiła jednak, że po śniadaniu pójdzie do opactwa, uda zaniepokojenie losem Hoosa i tym samym rozwieje ewentualne podejrzenia. Kiedy sprzątała tawernę, przypominała sobie każdą chwilę ostatniej nocy. Zapach Hoosa przenikał ją tak, jakby natarto ją szmatką namoczoną w esencji.

Hoos Larsson...

Przed odejściem obiecał, że kiedy wróci, pojedą do Aquis-Granum i osiądą na jego ziemi.

Wyobrażała sobie, jak będzie wyglądać jej życie w gospodarstwie Hoosa: w ciągu dnia będzie zajmować się domem, a nocą przytulać do niego. Przez chwilę zapomniała o problemach Helgi i Alkuina i rozkoszowała się fantazjami na temat czekającego ją nowego życia. Przez cały ranek o niczym innym nie myślała.

Kiedy Helga wstała, Theresa zdążyła już cztery razy sprzątnąć to samo pomieszczenie. Czarnulka narzekała na zgagę i postanowiła ugasić ją łykiem wina, po którym nastąpiła seria wymiotów. Jej ciało wciąż pachniało mężczyzną, ale najwyraźniej wcale jej to nie przeszkadzało. Kiedy weszła do kuchni, zdziwiła się na widok Theresy, bo nie pamiętała nawet, że jest niedziela. Krążyła chwiejnym krokiem, aż znalazła miednicę i obmyła sobie zaropiałe oczy.

— Dziś nie idziesz do mnichów? — zapytała, dolewając sobie wina.

— Niedzielę przeznaczają na modlitwy.

— To dlatego, że nie mają nic innego do roboty — powiedziała z zazdrością.

— Zobaczymy, co takiego mogę dziś ugotować.

Helga zaczęła krzątać się wśród garnków i po chwili był nieporządek, jakby Theresa wcale tu nie sprzątała. Następnie złapała kociołek, do którego wrzuciła wszystkie jarzyny, które znalazła, dodała kawałek słoniny i dolała czystej wody z dzbana. Kiedy postawiła garnek na ogniu, dorzuciła jeszcze krowi ozór.

— Świeżutki. Przyniósł mi go wczoraj jeden klient — pochwaliła Go.

— Jeśli dalej będziesz mnie tak tuczyć, będę w końcu musiała ukraść ci ubranie — zagroziła jej Theresa z uśmiechem.

— Daj że spokój! Przy tym, co jesz, aż dziw bierze, że ci widać piersi.

Helga zamieszała w garnku, a Theresa znów zabrała się do porządkowania kuchni.

— Poza tym pamiętaj, że w moim stanie muszę o siebie dbać — dodała Helga, głaszcząc się po ledwie rysującym się brzuszku.

Theresa uśmiechnęła się. Mimo woli zadawała sobie pytanie, czy Czarnulka nadal będzie pracować jako prostytutka, gdy jej brzuch będzie duży jak arbuz.

— Jak kobieta zachodzi w ciążę? — spytała nagle Theresa.

— Co to za głupie pytanie?

— Wcale nie. Chciałam powiedzieć, że... no wiesz... Czy jak się to robi po raz pierwszy...

Czarnulka Helga spojrzała na nią zaskoczona.

— Zależy, czy dobrze cię wykochano, ty łobuzico — zaśmiała się i ucałowała ją mocno w policzek.

Theresa starała się ukryć swoje zawstydzenie, szorując ze wszystkich sił rdzę na kuchni. A szorując, błagała Boga, by nie była brzemienna. Na szczęście Helga wyjaśniła jej, że to był żart i że ciąża zależy też od innych czynników, a nie tylko od wprawy partnera. Ponieważ to również jej nie uspokoiło, szorowała dalej, aż pod wpływem pracy zaczerwieniła się tak bardzo, że nie było już widać rumieńców na policzkach.

Rozmawiały dłuższą chwilę o Hoosie. Kiedy Helga spytała, czy Theresa naprawdę go kocha, dziewczyna obruszyła się, bo nie wyobrażała sobie, że mogłoby być inaczej. Ale Helga mówiła dalej nie-zmieszana, wypyując ją o rodzinę chłopaka, majątek, którym dysponuje, i o jego zalety jako kochanka. Kiedy doszły do tego punktu, Theresa przestała odpowiadać na pytania, choć zdradził ją uśmiech.

— Na pewno jesteś w ciąży — zażartowała Helga i zdążyła jeszcze się zaśmiać, nim Theresa rzuciła w nią sałatą.

* * *

W drodze do klasztoru Theresa zastanawiała się nad ciążą Helgi. Przez chwilę wyobraziła sobie samą siebie grubą jak beczka, noszącą w swym brzuchu bezbronną istotę, i pozbawioną środków niezbędnych, by wydać dziecko na świat. Przesunęła dłonie po swym płaskim brzuchu i przeszedł ją dreszcz. W tym momencie obiecała sobie, że nie będzie spać z Hoosem, dopóki nie wyjdzie za niego za mąż.

Kiedy doszła do opactwa, klucznik, zawstydzony po zajściu z kotletami, otworzył jej grzecznie furtę. Theresa miała na sobie togę, którą dał jej Alkuin, a gdy narzuciła na głowę kaptur, nie sposób ją było odróżnić od reszty

nowicjuszy kręcących się między budynkami. Mnich odpowiedzialny za izbę chorych zdziwił się na jej widok, ale gdy upewnił się, że Theresa ma zezwolenie Alkuina, zgodził się porozmawiać z nią o Hoosie.

— Powtarzam ci jeszcze raz: jedyne wyjaśnienie jest takie, że odszedł z własnej woli.

— Wobec tego dlaczego mnie nie zawiadomił? — powiedziała, udając oburzenie.

— A skąd mam to wiedzieć! Myślisz, że go przed tobą ukrywamy? Theresie nie spodobał się ten komentarz. Pomyślała, że być może to ten mnich ukradł sztylet, gdy Hoos leżał w łóżku. Pielęgniarsz dostrzegł pełną nieufności minę dziewczyny, ale wcale się nie zmieształ.

— Jeśli nie podoba ci się to, co ode mnie usłyszałaś, to idź i poskarż się Alkuinowi — powiedział, wskazując drogę do skryptorium, i nie tracąc więcej czasu, odwrócił się i zajął przygotowaniem okładu.

Theresa wahała się, czy powinna odwiedzić Alkuina. Choć Hoos przestrzegał ją przed nim, Alkuin jak dotąd dotrzymał wszystkich obietnic. Ponadto musiała zwrócić Heldze pieniądze pożyczone na zakup konia. Przypomniała sobie wtedy o próbce ziarna, którą zabrała z młyna. Wciąż miała ją w kieszeni. Postanowiła pokazać ziarno mnichowi i przy okazji porozmawiać o pieniądzach. Zastała go w drzwiach skryptorium, dokładnie w chwili gdy wychodził z sali. Nie spodziewał się Theresy, ale mimo to uprzejmie ją powitał.

— Z przykrością muszę ci powiedzieć, że twój przyjaciel...

— Wiem. Wracam z izby chorych.

— Nie rozumiem, co mogło mu się stać. Gdybym miał więcej czasu... ale muszę rozwiązać kilka spraw najwyższej wagi.

— A przypadkiem Hoos się do nich nie zalicza? — spytała obłudnie.

— Oczywiście, że tak. Obiecuję ci, że w nocy poświęcę trochę czasu tej sprawie.

Theresa skinęła głową, udając zadowolenie. Potem sięgnęła do kieszeni i wyjęła ziarno, które podkraffa w młynie. Kiedy Alkuin je zobaczył, oczy otworzyły mu się równie szeroko jak usta.

— Skąd je masz? — spytał, przyglądając się bacznie ziarnom. Opowiedziała, co się wydarzyło nocą w młynie, przemilczając historię z końmi. Mnich przyglądał się przez chwilę ziarnom, po czym wziął z ziemi patyk i delikatnie je poruszył. Potem kazał jej schować zboże z powrotem do kieszeni i porządnie umyć ręce. Następnie udali się do apteki. Upewniwszy się, że nikogo w niej nie

ma, Alkuin zapalił kilka świec i zamknął drzwi oraz okna, by nikt nie mógł ich zobaczyć, i poprosił Theresę, by wysypała całe zboże, co do ostatniego ziarenka na metalowy talerzyk. Kiedy skończyła, kazał jej wywrócić kieszeń na lewą stronę nad talerzykiem, po czym znów nalegał, by umyła ręce.

— Miałaś jakieś dolegliwości żołądkowe? — spytał.

Theresa pokręciła głową. Miała dolegliwości, ale jedyną ich przyczyną była noc spędzona z Hoosem.

Mnich rozstawił wszystkie świece wokół talerzyka, który lśnił jak słońce. Złotawe ziarna połyskiwały w świetle płomieni podobnie jak oblicze Alkuina pochylone tak nisko nad talerzem, jak pysk zwierzęcia obwąchującego swoją strawę. Poprosił Theresę, by podała mu dwie miseczki z białej ceramiki i leżące na półce obok szczypce. Potem przeniósł ziarna jedno po drugim z metalowego talerzyka na ceramiczną miseczkę.

Wykonywał to zadanie powoli, nie spiesząc się, badał każde ziarnko, wachał je i dotykał, jakby odprawiał jakiś dziwaczny rytuał. Kiedy operacja była już w dość zaawansowanym stadium i trzy czwarte ziaren znajdowało się w białej miseczce, Alkuin nagle się poderwał, unosząc szczypczyki, na których końcu zwisało jedno czarne ziarenko. Pokazał je z dumą Theresie i zaśmiał się, ale wobec braku reakcji dziewczyny usiadł ponownie i położył ziarno w pustej dotąd miseczce.

— Nachyl się — powiedział. — I zwróć uwagę na jego kształt i kolor.

Theresa uważnie przyjrzała się czemuś na kształt różka, co leżało w samym środku miseczki. Było to coś czarnego, zakrzywionego, jak kawałek obciętego paznokcia.

— Co to takiego? — Theresa miała wrażenie, że to zwykłe ziarenko.

— Kiedy zboże faluje na wietrze, Kórnmitter wędruje po polach, rozsiewając swe dzieci, wilki żyta.

Theresa spojrzała na Alkuina, nic z tego nie rozumiejąc.

— Kórnmitter. Bogini matka zbóż — ciągnął dalej. — A przynajmniej tak wierzą poganie z północy. Podejrzewałem to od samego początku, ale dziwi mnie, że występuje w pszenicy.

— Nie rozumiem...

— Przyjrzyj się dobrze — powiedział, poruszając okruszynę szczypcami. — To wcale nie jest ziarno. To sporysz: halucynogeny grzyb. To, co widzisz, to skleroty, struktura, w której grzyb przebywa po opuszczeniu swej ofiary. — Wyjął nóż zza pasa i przeciął nim kapsułkę, ukazując białe wnętrze. — Grzyb zagnieżdża się w wilgotnych kłosach, które pochłania jak pasożyt, i to samo

czyni z tymi, którzy mieli nieszczęście go spożyć. Symptomy zawsze są takie same: zawroty głowy, diabelskie wizje, gangrena kończyn, a potem śmierć w męczarniach. Badałem żyto tysiąc razy i nie znalazłem ani śladu sporyszu, a mimo to nie przyszło mi do głowy, by zbadać pszenicę. Przynajmniej nie do czasu śmierci Romualda, mojego biednego akolity.

— A dlaczego nie przyszło wam to do głowy?

— Być może dlatego, że nie jestem Bogiem, a może dlatego, że sporysz nie pojawia się w pszenicy — odparł zmęczonym głosem. — Zwróć uwagę na jego rozmiar. Jest dużo mniejszy niż w życie. Dopiero niedawno, gdy przypomniałem sobie, że choroba atakuje najbardziej zamożnych, stwierdziłem, że powinienem zainteresować się pszenicą.

Theresa wzięła nóż i ostrzem zbadała pozostałe części kapsułki, jakby był to jakiś martwy owad.

— Wobec tego skoro taka jest przyczyna zgonów...—zaryzykowała.

— A z pewnością tak jest...

— ...Można uniknąć dalszych zachorowań, ostrzegając młynarzy.

— Mogłoby tak się wydawać, choć niestety to nie rozwiązałoby problemu. Ten, kto sprzedaje to zboże, wie, że pszenica powoduje zgony, zatem rozpowszechnienie tej wiadomości mogłoby tylko ostrzec przestępcę o tym, że został odkryty.

— Ale przynajmniej ludzie przestaliby jeść chleb pszenny.

— Widać, że nie masz pojęcia, do czego doprowadza głód. Ludzie jedzą odpadki, zgniłe jedzenie, mięso chorych zwierząt. I nie myśl sobie, że choroba dotyka tylko zamożnych, bo dziś zmarło dwu żebraków. Ponadto w ten sposób zrujnujemy jedynie kupców, młynarzy, piekarzy i jakąś setkę rodzin żyjących z tego zboża. A przestępca, gdy dowie się, że jest poszukiwany, pozbędzie się zakażonego ziarna, rozsiewając truciznę w nieodwracalny sposób. — Trzeba odkryć sprawcę, bo inaczej dalej będzie zabijał. Dlatego musisz mi przysiąc — spojrzał na Theresę surowym wzrokiem — dochowanie absolutnej tajemnicy.

Theresa ujęła w dłonie krzyż, który podał jej Alkuin, przycisnęła go do piersi i przysięgła, że nie złamie obietnicy, w przeciwnym razie jej dusza zostanie potępiona na wieki wieków.

* * *

Po oczyszczeniu miseczek wyszli z apteki i ruszyli w stronę katedry, kryjąc się pod portykami, jakby obawiali się, że ktoś ich śledzi. Co jakiś czas zatrzymywali się, by złapać oddech, co Theresa wykorzystywała, by dowiedzieć się, co jeszcze Alkuinowi wiadomo na temat sporyszu. Mnich

powiedział jej, że podczas jego pobytu w szkole w Yorku ta plaga wielokrotnie ich nawiedzała.

— Ale zawsze dotyczyło to żyta — powtórzył z naciskiem. Opowiedział jej, że w czasie gdy został mianowany bibliotekarzem, zachorowało wielu mnichów. Panował wtedy głód, wyjaśnił. Kiedy pszenica się skończyła, sprowadzono kilka partii żyta z pól Edynburga. Wypieczony z niego chleb był ciemny i gorzki, nie tak zły jak chleb z orkiszu, ale odporny na zimno. Poza tym nie twardniał tak szybko, więc po wypieczeniu można go było przechowywać. Jednakże wkrótce potem ludzie zaczęli umierać. Alkuin zajmował się zbiorami bibliotecznymi, ale również prowadził rachunki podatków od myta, od targów i pozostałych rent odrobkowych. Dzięki temu dostrzegł zbieżność między pojawieniem się żyta a pierwszymi objawami choroby, a mimo to dopiero gdy zmarł czwarty z kolei nowicjusz, poproszono go o pomoc.

— Do tego czasu już połowa klasztoru była zarażona — powiedział. — Nazywaliśmy tę plagę Ignis Sacer, czyli świętym ogniem, z powodu pieczenia odczuwanego przez chorych w kończynach. Odkryłem obecność tych rożków wśród ziaren żyta i dowiodłem ich śmiertelnościowego wpływu, karmiąc nimi kilka psów. W kolejnych latach plaga znów nas nawiedzała, ale wtedy już potrafiliśmy się przed nią zabezpieczyć.

— Znaleźliście jakiś środek leczniczy?

— Niestety, nie. Kiedy trucizna dostanie się do organizmu, rozprzestrzenia się jak woda w piasku. Od tej chwili los chorego zależy od woli boskiej i od ilości spożytych sporyszy. Ale zaczęliśmy badać ziarno przed jego spożyciem.

Szli dalej w stronę kapituły, ponieważ Alkuin chciał skontrolować księgę dostaw do młyna. Wcześniej sprawdził już księgę opactwa, i to samo chciał też uczynić z księgą młyna należącego do Kohla.

— Nie rozumiem tylko, dlaczego mamy sprawdzać w biskupstwie, skoro sporysz znalazłam w młynie Kohla — stwierdziła Theresa, angażując się w dochodzenie.

— Kapsułka... Łuska sporyszu była sucha. Martwa — odpowiedział mnich, wchodząc po schodach katedry. — A mimo to zachowuje śmiertelnościowe właściwości. Jednakże ta okoliczność wskazuje na to, że ziarno zostało zebrane ponad rok temu, bo tyle czasu sporysz może przeżyć.

— Ale to nie zmienia faktu, że znalazłam je w młynie Kohla.

— Bez wątpienia pewna partia trafiła do tego miejsca. Ale, tak jak mówił Kohl, na jego polach nie sieje się pszenicy, co sprawdziłem w wielu poliptychach.

— Wobec tego dlaczego bez wahania zaczął rozważać waszą propozycję kupna pszenicy?

— Ciekawe spostrzeżenie — zaśmiał się — i dobry punkt wyjścia do dalszych rozważań, jeśli będziemy pamiętać, że celem tych poszukiwań jest zapobieżenie dalszym zgonom. A teraz poczekaj na mnie. Wrócę po rozmowie z biskupem.

Theresa usiadła na schodach katedry, z dala od oberwańców, którzy walczyli o miejsca najbliżej portyku. Czekając, obserwowała grupę żołnierzy rozstawiających stragany na środku placu.

— Co robią ci ludzie? — spytała żebraka, który przyglądał jej się z zainteresowaniem. Dziad zwlekał z odpowiedzią.

— Szykują miejsce kaźni. Niedawno przyszli i zaczęli kopać w samym środku — wskazał dół średnich rozmiarów.

— To dół pod szubienicę?

— Nie, zrobią w nim sadzawkę! — zaśmiał się, ukazując jedyny ząb, jaki mu się ostał. — Okażecie miłosierdzie i dacie jałmużnę?

Theresa wyjęła z kieszeni dwa orzechy, ale na ich widok żebrak splunął na ziemię i odwrócił się. Theresa wzruszyła ramionami, schowała z powrotem orzechy i podeszła do żołnierzy. Tuż obok dwu chłopów poszerzało wykop tak szeroki, że można było schować w nim konia. Robotnicy okazali się całkiem rozmowni, ale gdy spytała o przeznaczenie dołu, jeden z żołnierzy kazał jej odejść.

* * *

Alkuin spotkał Lotariusza w drodze do refektarza. Po powitaniu biskup spytał o postępy kaligraficzne.

— Nie posunąłem się naprzód tak, jakbym sobie tego życzył — powiedział Alkuin z żalem — ale pisanie najmniej mnie teraz niepokoi.

— Ach tak?

— Jak wam wiadomo, przyjechałem do opactwa na wyraźne życzenie Karola Wielkiego. — Alkuin zauważył, że Lotariusz skrzywił się z niechęcią. — Nasz monarcha przejawia niezwykłą równowagę między oddaniem sprawom boskim a prawością w sprawach ziemskich i być może dlatego polecił mi, bym szczególnie czuwał nad przestrzeganiem reguły świętego Benedykta. Przekonałem się, ku mojemu wielkiemu zmartwieniu, że z

klasztoru bracia wychodzą i wchodzą do niego, kiedy im się żywnie podoba, bywają na targach, rozmawiają w trakcie nabożeństw, zasypiają na niesporach, a nawet od czasu do czasu spożywają mięso.

Lotariusz skinął głową. Znał aż za dobrze cechy monarchy, bo dzięki niemu stał na czele biskupstwa, ale mimo to pozwolił Alkuinowi mówić dalej.

— I nawet gdybyśmy okazywali pobłażliwość wobec takich grzechów, jak słabość czy folgowanie przyjemnościom, które w końcu stanowią ograniczenia właściwe kondycji ludzkiej, nie możemy aprobować ani tym bardziej przyzwalać na deprawację i nieczystość tych, którzy powinni dbać o podległe im dusze i dawać im przykład.

— Wybaczcie, drogi Alkuinie, ale ku czemu zmierzacie? Wiecie, że klasztor nie ma nic wspólnego z kapitułą.

— W Fuldzie przebywa diabeł. — Przeżegnał się. — Lecz nie jest to Szatan ani Azazel, ani Asmodeo czy Belial. Lucyfer obywa się bez księży, by osiągnąć swe haniebne zamiary. I nie sądzcie, że mówię o rytuałach czy poświęceniach. Mam na myśli nikczemników. Istoty niegodne, by nazywać się bożymi namiestnikami, które wykorzystują swe stanowisko do osiągnięcia zgubnych celów.

— Nadal nie rozumiem, lecz na płaszcz świętego Marcina, zaczynacie mnie niepokoić.

— Wybaczcie, wasza wielbność. Czasem snuję refleksje, nie zważając na to, że ten, kto mnie słucha, nie może czytać w mych myślach. Postaram się mówić bardziej konkretnie.

— Bądźcie tak łaskawi.

— Jakies dwa miesiące temu do Karola Wielkiego dotarły wiadomości o pewnych nieprawidłowościach w klasztorze. Wiecie przecież, że każde opactwo jest niczym małe hrabstwo: posiada ziemie, z których opat otrzymuje miesięczną rentę, zazwyczaj w naturze. Dzierżawcy dają mu żyto do warzenia piwa, inni pszenicę, mięso czy kaczki albo świnie, wełnę na habity, a jeszcze inni narzędzia albo sprzęty domowe, a większość własną robocizną.

— Tak jest. Nasza kapituła również tak funkcjonuje.

— Jak wam również wiadomo, w Fuldzie większość dzierżawców zajmuje się uprawą pszenicy. Ale ponieważ nie mają własnego młyna, są zmuszeni mleć ziarno w opactwie w zamian za pewną część, która zostaje w klasztorze w ramach zapłaty.

— Mówcie dalej.

— Chodzi o to, że jakiś czas po zmieleniu tej części dziesiątki mieszkańców zachorowało albo zmarło z nieznanых przyczyn.

— I sądzicie, że ta choroba ma związek z opactwem.

— Staram się to zbadać. Z początku brałem pod uwagę zarazę, ale teraz skłaniam się ku temu, że przyczyna jest inna.

— Mówcie zatem, w czym rzecz.

— Dziękuję, wasza wielbność. Z pewnością powinienem sprawdzić poliptychy z ostatnich trzech lat.

— Te z kapituły?

— W zasadzie ze wszystkich trzech młynów. Te z opactwa mam już w swojej celi. Ponadto potrzebna mi wasza zgoda na wejście mojego pomocnika do skryptorium.

— O poliptychy możecie poprosić mojego sekretarza, Ludovica, ale wątpię, byście otrzymali księgi Kohla. Ten człowiek nie zapisuje swoich rachunków. Wszystko ma w głowie.

Alkuin skrzywił się, bo nie spodziewał się takiego utrudnienia.

— A jak chodzi o mojego pomocnika... — Wolał nie mówić, że chodzi o kobietę.

— Ach! Tak! Oczywiście może wam towarzyszyć. A teraz, proszę mi wybaczyć...

— Jeszcze jedno — zamilkł, aby się zastanowić.

— Mówcie. Spieszno mi.

— Ta choroba... Czy przypominacie sobie, by wcześniej coś takiego miało miejsce? Nawet wiele lat temu...

— O ile pamiętam, to nie. Być może zdarzyło się, że ktoś zmarł w wyniku gangreny, ale jak wiecie, to nic niezwykłego.

Alkuin podziękował nieco rozczarowany. Potem ruszył do wyjścia, gdzie czekała na niego Theresa. Dziewczyna wciąż wpatrywała się w dół wykopany na środku placu. Alkuin postanowił, że tego wieczoru zjedzą w kapitule, bo resztę nocy poświęcą pracy. Theresę zdziwiła ta propozycja, ale nic nie powiedziała. Chciała tylko pójść do domu Czarnulki Helgi po cieplejsze ubranie, po czym mieli się spotkać w tym samym miejscu, kiedy dzwony wybiją nonę.

* * *

Kiedy Theresa doszła do domu Czarnulki Helgi, zastała zamknięte drzwi. Zdziwiona sprawdziła tylne wejście i okiennice, ale dom był zamknięty na cztery spusty. Wyglądało na to, że w środku nikogo nie ma. Stała chwilę

przed tawerną, zaglądając przez szpary, aż nagle jakiś szczerbaty chłopczyk pociągnął ją za poły togi.

— Moja babcia cię woła — powiedział ku jej zaskoczeniu. Theresa spojrzała w stronę okna, które wskazywał chłopaczek, że

ktoś daje jej znaki. Wzięła dziecko za rękę i pobiegła w stronę domu. Na progu ujrzała wystraszoną staruszkę, która gestem dała jej do zrozumienia, że ma się pospieszyć. Gdy tylko Theresa weszła do środka, staruszka zaryglowała drzwi.

— Jest tutaj — powiedziała.

Mimo ciemności Theresa dostrzegła leżącą na ziemi Helgę. Miała zamknięte oczy i zakrwawioną twarz.

— Teraz śpi — wyjaśniła staruszka. — Poszłam do niej po sól i znalazłam ją w takim stanie. To ten sam łajdak co zawsze. Kiedyś w końcu ją zabije.

Przerażona Theresa podeszła do Helgi. Jej twarz od skroni po brodę przecinała okropna rana. Poglaskała Helgę po włosach z postanowieniem, że tak jej nie zostawi. Poprosiła staruszkę, by się nią zaopiekowała do rana, i wręczyła jej denara. Na razie nic więcej nie mogła zrobić, wróciła więc do tawerny, dostała się do środka przez najbardziej zdezelowane okno i zabrała swoje rzeczy.

* * *

W porze nony stanęła w bramie kapituły obładowana niczym muł. Z trudem dźwigała swoje ubranie, trochę jedzenia, woskowe tabliczki i siennik, który podarował jej Althar przed powrotem w góry. Kiedy powiedziała Alkuinowi, że nie ma się gdzie podziąć, ten próbował ją pocieszyć.

— Ale tu nie możesz zostać — wyjaśnił.

Ustalili, że będzie spać w stajni kapituły, dopóki Alkuin nie znajdzie dla niej jakiegoś miejsca. Theresa poprosiła go, by zaopiekował się Czarnulką Helgą.

— To ladacznica. Jej nie mogę pomóc.

Usiłowała go przekonać, że to dobra kobieta, ranna, brzemienna i że potrzebuje pilnie pomocy, ale Alkuin był stanowczy. Wtedy Theresa się wzburzyła.

— Jeśli wy jej nie pomożecie, ja to uczynię — powiedziała, zbierając swoje rzeczy.

Alkuin zacisnął zęby. Nie mógł sobie teraz pozwolić na zatrudnienie drugiego pomocnika, ryzykując, że jego odkrycie rozniesie się po całej kapitule. Pokręcił głową i przytrzymał Theresę za ramię.

— Porozmawiam z kobietą odpowiedzialną za służbę, ale nic ci nie obiecuję. A teraz chodź, zakryj głowę kapturem.

Theresa zostawiła rzeczy w stajni i poszła do biskupiego skryptorium, pomieszczenia podobnej wielkości co skryptorium klasztorne, wyposażonego w wyściełane ławy i pulpity. Tam Alkuin rozkuł cztery tomy przytwierdzone dla bezpieczeństwa łańcuchami do bocznych ścian biblioteki, położył je na głównym stole i przeczytał spisy treści. Następnie wręczył jeden z nich Theresie, przykazując, by sprawdziła każdą pozycję dotyczącą transakcji zbożem.

— Tak naprawdę nie wiem, czego szukam: jakiegoś drobiazgu, który wskaże, czy opactwo, kapituła albo Kohł nabyli kiedyś zatrutą partię.

— I to tu znajdziemy?

— Przynajmniej powinien być zapis dotyczący zakupu. Z tego co się dowiedziałem, wynika, że w Fuldzie zbiory nigdy nie wywoływały epidemii, zatem przyczyna choroby musi mieć związek z jakąś partią zboża przywiezioną z innych gospodarstw.

Theresa zauważyła, że poliptych nie tylko służył do odnotowywania transakcji dotyczących produktów żywnościowych, ale również do sprawowania nadzoru nad rentami, zakupem i sprzedażą terenów, podatkami, mianowaniem na różne stanowiska w kapitule...

— Tego pisma nie sposób odczytać — poskarżyła się.

Zjedli zupę cebulową, przeglądając karta po karcie woluminy. Theresa znalazła różne wpisy dotyczące zakupu żyta i orkiszu, ale żadnego odnoszącego się do pszenicy.

— Nie rozumiem — powiedział Alkuin. — Jednak powinniśmy coś tu znaleźć.

— Zostały jeszcze do sprawdzenia poliptychy Kohla.

— I to jest najgorsze. Jego transakcje nigdzie nie figurują.

— Co wobec tego zrobimy?

— Musi coś tu być. Musi — powtórzył, otwierając po raz kolejny kodeksy.

Znów je przejrzeni z tym samym rezultatem. Wreszcie Alkuin uznał się za pokonanego.

— Mogę jeszcze trochę tu zostać? — spytała Theresa. W stajni czekał na nią tylko odór łajna.

Alkuin spojrział na nią zdziwiony.

— Na pewno chcesz jeszcze popracować? — Theresa skinęła głową. — W takim razie prześpię się tu obok — powiedział, wskazując ławę.

Mnich ułożył się na twardej ławce, która zatrzeszczała pod jego ciężarem. Potem przymknął załzawione oczy i zaczął odmawiać modlitwy, które wkrótce zamieniły się w pochrapywanie. Theresa z rozbawieniem mu się przyglądała, ale natychmiast wróciła do pierwszego woluminu, który zaczęła badać, używając do tego wszystkich pięciu zmysłów. Zwróciła uwagę na nominacje i notatki o zmianach magazynierów, naprawach młynów i zyskach, jakie zależnie od pory roku przynosiła sprzedaż pszenicy. Jednak po godzinie litery zaczęły skakać jej przed oczami niczym niekończący się pochód mrówek.

Odłożyła na bok wolumin i zaczęła rozmyślać o Hoosie. Na pewno teraz śpi, a może czuwa, podobnie jak ona, wspominając poprzednią noc i marząc o tym, by znów znaleźć się u jej boku i zabrać ją do Aquis-Granum. A może Hoos marznie? Gdyby tylko mogła przy nim być i go objąć. Potem przypomniała sobie o ojcu i coś ścisnęło ją w sercu. Z każdym dniem coraz bardziej za nim tęskniła.

Z rozmyślań wyrwało ją gwałtowne skrzypienie. Odwróciła się i zobaczyła, że Alkuin stara się ułożyć wygodniej swoje kościste ciało na twardej ławie. Nadal chrapał.

Znów zabrała się do pracy, którą przerwała na chwilę, by podjąć próbę wygrzebania resztki zupy z misy, co jej się zresztą nie udało. Powoli posuwała się naprzód, sprawdzając notatki, aż nagle jej uwagę przykuło coś dziwnego. Nie chodziło o tekst. Zbliżyła świecę do jednej z kart i przesunęła opuszką palca po powierzchni o nieco innym odcieniu niż reszta. Dotknęła karty raz jeszcze i stwierdziła, że różni się od pozostałych również fakturą. Przysunęła drugą świecę, by dobrze się przyjrzeć. Ta karta była jaśniejsza, czystsza i bardziej miękka.

Wiedziała, co to oznacza. Szybko odszukała drugą część arkusza. Nie była oddarta, co oznaczało, że karta nie została dodana ani obcięta. Arkusze były zszyte w kajety o podwójnych stronicach połączonych za pomocą zakładki, gdzie były stebnowane. Obejrzała arkusz z drugiej strony. Rewers był taki sama jak pozostałe karty, chropowaty, pociemniały i równie stary.

Było tylko jedno wyjaśnienie i ona je знаła, ponieważ sama uciekała się do tego sposobu dziesiątki razy. Kiedy na pergaminie powstawał kleks, można było odzyskać arkusz, pocierając powierzchnię tak długo, aż się starło zaplamioną warstwę. Jeśli pocierało się nie tylko plamę, ale cały arkusz, wówczas lśnił jak nowy i można go było ponownie użyć. Jednak jego grubość zmniejszała się wtedy, a barwa ulegała lekkiej zmianie. Skrybowie określali to mianem palimpsestu.

Spojrzała raz jeszcze na delikatny arkusz. Pismo również było inne od tego, które widziała na poprzednich stronicach. Bez wątpienia ten tekst napisano dużo później.

Zastanawiała się, z jakiego powodu ktoś starł całą stronę.

Zamierzała obudzić Alkuina, ale postanowiła z tym poczekać. Przypomniała sobie, że w warsztacie Kornego, bawiąc się w odgadywanie zmazanego tekstu, brała wilgotny popiół, by zobaczyć ślady zostawione przez pióro na pergaminie. Czasem sposób zawodził, bo ślady nowego tekstu splatały się z poprzednimi. A jednak wszyscy pisarze wiedzieli, że nim zaczną pisać na odratowanej stronicy, powinni podłożyć tabliczkę, by nie zostawić śladów na stronie znajdującej się pod spodem.

Wzięła garść popiołu z paleniska i przeżegnała się. Potem posypała popiołem stronę pod spodem i delikatnie go roztarła na szary pył, który znikł, gdy na niego dmuchnęła. Podniosła kodeks bliżej światła i przed jej oczami ukazał się niewielki biały tekst.

* * *

Zanotowała na woskowej tabliczce:

W kalendy lutego roku 796 Naszego Pana Jezusa Chrystusa. Pod auspicjami Beocjusza z Nantes, opata Fuldy, mającego za gwaranta Karola Wielkiego, króla Franków i patrycjusza Rzymian.

Dokonana transakcja i sprzedaż po obniżonej cenie wynosi sześćset modiusów żyta, dwieście jęczmienia i pięćdziesiąt orkiszu wysłanych do hrabstwa Magdeburg.

Zapłacone w monetach temu opactwu w wysokości czterdziestu złotych solidów, wedle prawa Boga.

Oby Wszechmocny ochronił Magdeburg przed plagą.

Pozostała część akapitu mówiła o otwarciu drogi polnej, co było zgodne z tekstem zapisanym na startej stronicy.

Theresa nie posiadała się z radości. Natychmiast obudziła Alkuina i powiedziała mu o swoim odkryciu.

— Na Boga, obudzisz całą kapitułę — powiedział zaspany.

Theresa zaczęła szczegółowo opowiadać, co odkryła, ale Alkuin niecierpliwie rzucił się na kodeks. Potem spojrzał zdziwiony na Theresę.

— To nie kupno, tylko sprzedaż. Poza tym ta cena... czterdziestu solidów jest bardzo niska.

— Ale jest tu mowa o pladze, a gdyby nie miało to znaczenia, nikt nie starałby się tego ukryć — argumentowała.

— Może być również tak, że choć jest to ważne, nie ma związku z epidemią. Ale niech się zastanowię: Magdeburg... Magdeburg... Dwa lata temu... Na Wszystkich Świętych! To jest to!

Pobiegł do biblioteki i wyjął archiwum, w którym znajdowały się ostatnie kapitulacje wydane przez Karola Wielkiego. Potem przejrzał strony, jakby dokładnie wiedział, czego szuka.

— O, tutaj: dekret o udzieleniu pomocy datowany na styczeń tego samego roku — przeczytał szybko, mamrocząc słowa pod nosem. — Reguluje dostawę i cenę żywności dla hrabstwa Magdeburg. Nie ma tu mowy o powodach, ale pamiętam, że w tamtym czasie jakaś plaga zaatakowała tereny na granicy Ostfalii, nad brzegiem Elby...

— I co to oznacza?

— Magdeburg był obleżony przez Sasów podczas jednej z najsroższych zim, jakie ludzie pamiętają. Buntownicy spalili zapasy zboża, wywołując głód, który trwał aż do przybycia oddziałów Karola Wielkiego. Aby temu zaradzić, król nakazał dostarczyć zboże z najbliższych hrabstw po zaniżonej cenie. Nigdy nie poznano przyczyny epidemii.

— Ale po co ktoś miałby usuwać tę informację z poliptychu, zostawiając nienaruszony kapitularz?

— Bo to dwie różne sprawy. Koniec końców kapitularz zawiera jedynie dekret o udzieleniu pomocy, nie podając powodu, który za tym stoi. Natomiast strona z poliptychu świadczy o istnieniu związku pomiędzy plagą a opactwem.

— Związku ograniczonego do sprzedaży zboża.

— Czegoś musimy się chwycić.

— Wobec tego chwyćmy się tego i złapmy tego diabła.

ROZDZIAŁ 16

W kącie stajni Theresa, otulona słodkawym zapachem łąjna, śniła o Hoosie. Następnego ranka obudziło ją poruszenie wśród koni. Zwierzęta psuły powietrze, jakby były same, i rżały. Wyciągnęła się z włosami pokrytymi sianem, rozsunęła koce, które Alkuin rozwiesił zamiast kotary, i podeszła do koryta. Woda była lodowata, ale dobrze jej zrobiła. Kiedy skończyła się myć, spostrzegła, że Alkuin patrzy na nią zniecierpliwiony.

— Nie rozumiem po co tyle mycia. Chodźże, dziewczyno! Czekają nas mnóstwo pracy.

Powiedział, że gdy poszła spać, udał się do opactwa, by wypytać dwu braci, którzy mogli coś wiedzieć w tej sprawie. Zgodnie z tym, czego się dowiedział od świeżo rozbudzonych, poprzedni opat, Boecjusz, doznał ataku szału, który doprowadził do jego przedwczesnej śmierci.

— Stało się to wkrótce po tej transakcji ze zbożem. Wygląda na to, że wybuchła wtedy sprzeczka o to, kto ma zastąpić opata, w którą zaangażowany był Racionero, ówczesny skarbnik, odpowiedzialny również za dostawy, i Jan Chryzostom, przeor opactwa, który w końcu został wybrany na opata. Nie powiedzieli mi wiele więcej, ale zdołałem się dowiedzieć, kim był wolarz, który przewiózł zboże. Może wydać ci się to dziwne, ale okazuje się, że Knur nie jest tak głupi, jak myśleliśmy.

W drodze do biblioteki zatrzymali się w kuchni, gdzie zaopatrzyli się w kaszę i mleko. Theresa postawiła jedzenie na tacy, którą znalazła wśród dziesiątków garnków i naczyń. Zdziwiła się, że sprzęty kuchenne są tak porzucane.

— Mnie również to zastanowiło — zgodził się Alkuin. — Najwyraźniej albo jest tu nadmiar pracy, albo brakuje rąk.

Theresa wykorzystała okazję i znów wspomniała o Czarnulce Heldze.

— Być może moglibyście ją zatrudnić. Świetnie sobie radzi z kuchnią i jest czysta jak mało kto.

— Czy prostibulae może być czysta? Grzesznica, która łączy się z mężczyzną w nieślubnym związku za pieniądze?

— Jest czysta przy kuchni. Gdybyście ją przyjęli, pomogliście jej porzucić to nieprzyzwoite zajęcie. A do tego dochodzi jeszcze jej stan. Czyżby za dzieckiem miał się wlec ciężar grzechów popełnionych przez rodziców?

Alkuin milczał. Powszechnie uważano, że latorośle prostytutek już od urodzenia są naznaczone przez diabła, ale on nie podzielał tak nedorzecznego

przekonania. Zakaszlał kilka razy, po czym oświadczył, że przedstawi tę sprawę biskupowi.

— Ale nic nie mogę obiecać — dodał. — A teraz wracamy do pracy. Kiedy znaleźli się w skryptorium, Alkuin znalazł duży nieskalany arkusz, który rozłożył na stole. Zaczął na nim pisać pospiesznie i byle jak, zupełnie jakby arkusz dostał w prezencie.

— Prześledźmy szczegółowo sytuację: z jednej strony mamy do czynienia ze zgonami, które, o ile nam wiadomo, spowodowane są spożyciem zatrutego ziarna. Ziarna, które najwyraźniej jest mielone albo przynajmniej przechodzi przez młyn Kohla. — Theresa przytaknęła. — Az drugiej strony mamy sprzedaż, sprzed dwu lat, dużej partii zboża do hrabstwa, w którym przed lub po transakcji rozpętała się dziwna plaga. Niestety, jedyne osoby, które mogłyby nam coś wyjaśnić, albo nie żyją, jak to ma miejsce w przypadku dawnego opata Boecjusza, albo są zatrzymane i oskarżone o morderstwo, jak w przypadku Knura.

— Nie zapominajmy, że tę sprzedaż ktoś starał się niezbyt dawno ukryć.

— Tak jest. Słuszna uwaga — przerwał na chwilę, by się zastanowić. — Moja teoria jest taka, że plaga w Magdeburgu, bez wątplenia przypisana przez jego mieszkańców oblężeniu, w istocie wywołana była spożyciem pszenicy zakażonej z powodu ostrych warunków panujących w zimie. O tym, że ziarno jest zepsute, musieli wiedzieć młynarze z hrabstwa, którzy jednak woleli je jeść, niż umrzeć z wycieńczenia. Z nadejściem oddziałów Karola Wielkiego i przywróceniem regularnych dostaw zakażone ziarno powinno zostać zniszczone.

— Słucham uważnie.

— Ale co by się stało, gdyby niezdatne do spożycia zboże, zamiast spłonąć na stosie, znalazło się z powrotem na tych samych wozach, które przywiozły żyto z Fuldy? Na pewno byłby to świetny interes dla sprzedawcy z Magdeburga, gdyż otrzymałby zysk z bezużytecznego towaru. A jeszcze większy dla kupca z Fuldy: za minimalną cenę dostałby zboże, a potem całkiem drogo by je sprzedał.

— Choćby wiedział o jego szkodliwości?

— Tego być może nigdy się nie dowiemy. Mógł kupić zboże, nie wiedząc o kryjącej się w nim truciznie, a może wiedząc o tym, zamierzał zadbać o dokładne oczyszczenie zboża.

— Ale wówczas nie nastąpiłyby zgony.

— Jedno jest przynajmniej pewne: jakaś partia ziarna musiała przejść z rąk do rąk.

Theresa spojrzała na Alkuina zachwycona, tym bardziej że czuła się bohaterką każdego odkrycia. Ale Alkuin wciąż siedział z uniesioną brwią, rozważając, jaki powinien być ich kolejny krok.

Poprosił Theresę, by schowała kodeksy w bibliotece, i zamyślił się. Wypił ostatni łyk mleka i wyjrzał przez okno, jakby sprawdzał, jaka jest pogoda.

— Wiesz co? Chyba czas, abyśmy porozmawiali z Knurem.

* * *

W drodze do rzeźni Theresa dowiedziała się od Alkuina, że w Ful-dzie nie ma lochów. Więźniów skuwano i zostawiano pod gołym niebem aż do dnia wyroku. Jednak choć Knur był strzeżony, ktoś obrzucił go kamieniami, niemal rozbijając mu głowę. Prefekt kazał go zatem zamknąć w rzeźni, by przypadkiem jakiś nieborak nie zniweczył całego przedstawienia.

Przy wejściu do rzeźni natrafili na skostniałego z zimna strażnika, który kiwał się zmożony snem. Kiedy dotknęli jego ramienia, chuchnął na nich oddechem ciężkim od alkoholu, po czym zebrał się w sobie na tyle, by, poznawszy zamiary Alkuina, zagrozić im drogę. Jednak gdy usłyszał, że jego dusza będzie się smażyć w piekle, jeśli ich nie wpuści do środka, otworzył drzwi.

Theresa szła za światłem pochodni niesionej przez Alkuina, on zaś kroczył pierwszy, torując drogę w ciemnościach. Fetor zepsutego mięsa i wilgoci był tak intensywny, że kasza, którą niedawno zjadł na śniadanie, podchodziła mu do gardła. Alkuin otworzył okno wychodzące na wewnętrzny dziedziniec. Wszędzie leżały resztki kości, piór i skór oświetlone słabym światłem sączącym się przez szpary w źle zbitych deskach.

W miarę jak posuwali się naprzód, pochodnia rozświetlała wąski korytarz, którym prowadzono zwierzęta na rzeź. W głębi pomieszczenia dostrzegli skuloną postać, ciemną, zniekształconą, spętaną łańcuchami jak zwierzę, które wpadło w zasadzkę. Kiedy się zbliżyli, Theresa zobaczyła, że nieszczęśnik zabrudził się własnymi odchodami. Na Alkuinie nie robiło to większego wrażenia. Mnich podszedł bliżej i pozdrowił więźnia spokojnym głosem. Knur nie odpowiedział.

— Nie musisz się bać. — Podał mu jabłko, które przyniósł z kuchni. Knur nadal milczał. W drżącym świetle pochodni lśniły jego przerażone oczy.

— Dobrze się czujesz? Potrzebujesz czegoś? — dopytywał się Alkuin. Idiota skulił się jeszcze bardziej. Wyglądał na przerażonego.

Alkuin zbliżył pochodnię, by obejrzeć jego rany, ale nagle Knur skoczył w jego stronę, próbując go uderzyć. Na szczęście Alkuin cofnął się na tyle, że łańcuchy zatrzymały więźnia, nim zdołał go dosięgnąć.

— Powinniśmy stąd wyjść — powiedziała Theresa.

Alkuin, nie zwracając na nią uwagi, znów zbliżył pochodnię. Tym razem Knur cofnął się. Wyglądał na jeszcze bardziej wystraszonego.

— Uspokój się. Nikt nie chce zrobić ci krzywdy. Kto ci to zrobił? Knur nadal milczał.

— Jesteś głodny? — Alkuin otarł jabłko i położył je niedaleko niego na podłodze. Knur przez chwilę się wahał. Potem z pewnym trudem podniósł jabłko i szybko je schował. — Boisz się odpowiedzieć? Nie chcesz mówić?

— Nie sądzę, aby coś wam powiedział — usłyszeli za swoimi plecami głos strażnika. Theresa i Alkuin odwrócili się zaskoczeni.

— Nie? A dlaczego jesteście tego tak pewni? — spytał wyzywająco Alkuin.

— Bo w zeszlą niedzielę obcięto mu język.

* * *

W drodze powrotnej do kapituły Alkuin szedł z opuszczoną głową, kopiąc od niechcienia kamyki, które wyskakiwały mu spod nóg. Po raz pierwszy Theresa słyszała, jak przeklina. Przed wejściem do pałacu biskupiego zobaczyli Lotariusza pochłoniętego rozmową z jakąś wytwornie ubraną kobietą. Alkuin chciał do nich podejść, ale biskup gestem go powstrzymał. Wkrótce Lotariusz pożegnał się z kobietą i podszedł do Alkuina.

— Co was tu sprowadza? Czyżbyście nie widzieli, z kim rozmawiałem?

Alkuin ucałował jego pierścień.

— Wybaczcie moją niewiedzę. Nie sądziłem, że przerywam jakąś ważną rozmowę.

— Więc następnym razem czekajcie tyle, ile będzie trzeba. Przez was nie najlepiej skończyła się rozmowa z tą damą. — Biskup był wyraźnie niezadowolony.

— Przykro mi, ale muszę pilnie porozmawiać z waszą wielbnością, a to miejsce nie jest zbyt stosowne — przeprosił za nietakt Alkuin. — A przy okazji, może moglibyście wyprowadzić mnie z niewiedzy. Do czego ma służyć ten dół, który kopią na placu?

— Jeszcze zdążycie się przekonać — zaśmiał się Lotariusz. — Nie jesteście głodni? Zjedzmy razem, a przy okazji dowiem się, co chcieliście mi powiedzieć.

Alkuin pożegnał się z Theresa, ustalając, że zobaczą się później w kuchni. Kiedy dotarł do refektarza, zdziwiła go niesłychana ilość potraw piętrzących się na stole.

— Na miłość boską, chodźcie i siadajcie — nakazał Lotariusz. Alkuin usiadł obok niego i powitał pozostałych biesiadników. — Mam nadzieję, że dopisuje wam apetyt bardziej niż zazwyczaj, bo jak widzicie, dziś sprzyja nam szczęście. Ta jagnięca głowa wygląda smakowicie, a zwróćcie też uwagę na podgardla: wystarczy na nie spojrzeć, a już się rozpływają w ustach.

— Wasza wielbność już zapewne wie, że jestem dość wstrzemięźliwy w jedzeniu.

— I to widać, na Boga! Wyglądacie jak glista! Spójrzcie na mnie: w dobrym zdrowiu i tęgi. Jakby miała mnie dopaść jakaś dolegliwość, to na pewno nie z niedożywienia.

Biskup wstał, pobłogosławił stół i wraz z pozostałymi gośćmi chórem wyrecytował modlitwę. Kiedy skończyli, złapał rękoma jagnięcy łeb i podzielił go na kawałki, które rozdał przy ogólnej wrzawie najbliższym biesiadnikom.

— To jest pyszne, Alkuinie. Czy aby na pewno wiecie, jakiej przyjemności się pozbawiacie? Wspaniałe ciasta biszkoptowe, pasztety z jelenia, serniki z orzechami laskowymi, słodki groszek z pigwą. Na pewno w tej waszej Nortumbrii nie mieliście okazji kosztować takich potraw.

— Na pewno wiadomo wam, że reguła świętego Benedykta zabrania takiego obżarstwa.

— Ach, tak! Reguła świętego Benedykta! Modlić się i umrzeć z głodu... Ale na szczęście, nie jesteśmy w waszym klasztorze — zaśmiał się Lotariusz, biorąc kolejną porcję jagnięciny.

Alkuin zmarszczył brwi. Nałożył sobie groszku włoskiego i skubiąc jarzyny, rzucił okiem na pozostałych biesiadników. Naprzeciw niego kapelan Ambroży wysysał gołębie głowy niczym wygłodniały pies. Po jego prawej, na wpół ukryty za półmiskiem pełnym jedzenia, siedział lektor, który czynił więcej hałasu przeżuwaną, niż inni rozmawiając. Dalej dwu starszków o wyblakłych oczach i nielicznych zębach kłóciło się o ostatnią porcję ciasta, jaka została na stole.

Biskup wyrzucił resztki ze swego półmiska psu, który mu towarzyszył, i zaczął sobie nakładać kolejne porcje.

— Powiedzcie mi — przerwał. — Na czym polega ta niezwykle pilna sprawa?

— Ma ona związek z Knurem.

— No proszę! Znów ten sam temat? O cóż teraz chodzi?

— Wolałbym powiedzieć wam o tym na osobności.

Spojrzał uważnie na biskupa. Na jego starannie wygolonej twarzy, niemal pozbawionej zmarszczek, grubej i zarazem miękkiej, malował się ten sam wyraz co na różowym świńskim ryju. Alkuin doszedł do wniosku, że biskup ma koło trzydziestu pięciu lat, co było dość zaskakującym wiekiem na tak odpowiedzialnym stanowisku, choć w przypadku krewnego Karola Wielkiego nie stanowiło to przeszkody.

Na znak Lotariusza wszyscy wstali. Alkuin poczekał, aż w sali będzie pusto.

— Streszczajcie się, Alkuinie. Muszę przebrać się na egzekucję.

— Egzekucję? Przecież ją przełożyliście — powiedział oszołomiony.

— A teraz ją przyspieszyłem — stwierdził, nawet na niego nie patrząc.

— Błagam o wybaczenie, ale dokładnie o tym chciałbym z wami porozmawiać... Czy wiedzieliście, że ktoś obciął Knurowi język?

Lotariusz zmierzył Alkuina wzrokiem.

— Oczywiście. Wszyscy o tym wiedzą.

— I co o tym sądzą?

— Zapewne to samo co wy. Że jakiś nikczemnik pozbawił nas przyjemności usłyszenia jego wrzasków.

— A także jego słów — zaznaczył Alkuin dobitnie.

— Tak. Ale kogo by interesowały kłamstwa mordercy?

— Być może o to właśnie chodzi. — Alkuin ważył w myślach to, co zamierzał powiedzieć. — Być może komuś zależy, by ten człowiek nie przemówił. I co więcej...

— Co więcej?

— Nie sądzę, by Knur był przestępcą — stwierdził Alkuin. Lotariusz spojrzał na niego zirytowany, odwrócił się i ruszył ku wyjściu, zostawiając Alkuina w pół zdania.

— Zapewniam was, że on jej nie zabił — upierał się Alkuin.

— Przestańcie wygadywać głupoty! — biskup odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Alkuinem. — Ile razy mam wam powtarzać, że znaleziono go obok ofiary z sierpem, którym poderżnął jej gardło? Skapanego we krwi tej dziewczyny!

— To nie dowodzi, że ją zabił — odparł spokojnie Alkuin.

— Czy bylibyście w stanie wytłumaczyć to jej matce? — spytał agresywnie Lotariusz.

— Gdybym tylko wiedział, kim ona jest, oczywiście mógłbym to uczynić.

— A szkoda, że tego nie zrobiliście. Właśnie z nią rozmawiałem, kiedy mi przeszkodziliście. To żona Kohla, właściciela młyna.

Alkuin zaniemówił. Choć było za wcześnie, by wyciągać wnioski, ta informacja komplikowała większość jego planów, nie miała jednak wpływu na zmianę wyroku.

— Na miłość boską, czy możecie mnie posłuchać?! Tylko wy jesteście w stanie zatrzymać to szaleństwo. Ten człowiek jest niezdolny, by utrzymać sierp w garści. Sam to sprawdziłem.

— Jak to sami żeście to sprawdzili? Czyżbyście go widzieli? Kto dał wam pozwolenie?

— Starłem się uzyskać waszą zgodę, ale wasz sekretarz powiedział mi, że jesteście zajęci. A teraz odpowiedzcie na moje pytanie. Skoro Knur nie jest w stanie utrzymać w obu dłoniach jabłka, to jak mógłby zadać cios sierpem, którym popełniono morderstwo?

— Posłuchajcie, Alkuinie: możecie być odpowiedzialni za edukację, możecie znać się na wiedzy humanistycznej, teologii i na tysiącu innych rzeczy, ale muszę wam przypomnieć, że jesteście tylko diakonem. Tu w Fuldzie, czy to się wam podoba, czy nie, to ja decyduję, czy coś ma zostać wykonane, czy nie. Sugeruję wam zatem, abyście odłożyli na bok wasze głupie teorie i zajęli się tym kodeksem, który tak bardzo was interesuje.

— Jedyne, co mnie interesuje, to zapobiec błędnej decyzji. Zapewniam was, że Knur nie...

— A ja was zapewniam, że ją zamordował! A jeśli jedynym waszym argumentem jest to, że ma niesprawne palce, to już możecie zacząć się modlić za niego, bo tylko tyle zdołacie zrobić, nim powędruje na szafot.

— Ale wasza świętobliwość...

— Ta rozmowa jest zakończona. — Lotariusz trzasnął drzwiami prowadzącymi do jego komnat tuż przed nosem Alkuina.

* * *

Zrezygnowany Alkuin wrócił do swej celi. Był pewien, że Knur nie zamordował dziewczyny, ale ta „pewność” opierała się na jednym żalonym jabłku.

Rozpaczwał nad własną głupotą. Gdyby nie starał się przekonać Lotariusza, tylko spróbował opóźnić egzekucję, być może zyskałby dość czasu, by zdobyć bardziej przekonujące dowody. Może powinien upierać się, że należy poczekać na przybycie Karola Wielkiego albo zasugerować, że rany, które zadano Knurowi, nie pozwolą ludziom w pełni cieszyć się widowiskiem. Ale teraz

było już za późno. Miał tylko dwie godziny by zapobiec temu, co nieuniknione.

Wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Ubrał się, pospiesznie wyszedł z celi i w towarzystwie Theresy ruszył do opactwa.

Kiedy znaleźli się w aptece, poprosił dziewczynę o umycie miseczki, a sam zaczął sprawdzać różne flaszki stojące na półkach. Otworzył kilka z nich, wachając ich zawartość, aż wreszcie zatrzymał się przy jednej, na której widniał napis *lactuca virosa*. Otworzył ją i wyjął z niej bielusięnką pastę, którą wyłożył na gliniany talerzyk. Już od dawna nie stosował tego środka hipnotycznego uzyskiwanego z dzikiej odmiany sałaty. Wziął porcję wielkości orzecha, roztarł ją na proszek, pomani-pulował chwilę przy swoim pierścieniu, otwierając coś w rodzaju wieczka, i wsypał tak przygotowany środek do maleńkiego zbiorniczka ukrytego w obrączce. Potem zamknął wieczko, wspólnie z Theresą odstawili buteleczki na miejsce i czym prędzej wyszli z apteki, zmierzając w stronę kapituły. Jednak gdy dotarli do pałacu biskupiego, zastali zamknięte drzwi. Theresa pożegnała się, ponieważ obiecała Heldze, że zabierze ją na egzekucję Knura. Alkuin zaś niezwłocznie ruszył w stronę szafotu.

* * *

Kiedy Theresa przyszła do tawerny, Helga była już gotowa do wyjścia. Była umalowana i miała spięte włosy. Cięcie na jej twarzy znikło pod warstwą mąki wymieszanej z gliną, co sugerowało, że rana nie była zbyt głęboka. Helga upiekła też trochę ciastek, by nie kupować od ulicznych sprzedawców, i choć ich wygląd pozostawiał wiele do życzenia, pachniały niezwykle kusząco miodem i cynamonem. Przed wyjściem każda z nich otuliła się futrem dla ochrony przed mrozem. Po drodze Theresa opowiedziała Heldze o zajściu w rzeźni, ale ku jej zdziwieniu Czarnulka ucieszyła się, że ktoś obciął Knurowi język.

— Szkoda, że nie obcięli mu też jaj — stwierdziła.

— Alkuin twierdzi, że on jest niewinny. I że jego zabicie niczego nie rozwiąże.

— A co może wiedzieć ten księżuło? Oby tylko nie popsuł nam zabawy — powiedziała Helga, po czym wzięły się pod rękę i ruszyły w stronę placu.

* * *

Tuż przed zachodem słońca dzwony katedry zaczęły wybijać swą ponurą melodię. Pośrodku placu żołnierze wytyczyli za pomocą palików okrąg o

średnicy jakichś trzydziestu kroków. Był tam dół podobny do grobu, a naprzeciw niego stały trzy drewniane stoły i tyle samo krzesel. Kilkunastu mężczyzn uzbrojonych w kije pilnowało ludzi, którzy zaczęli gromadzić się przy płocie, gdzie kupcy rozstawili kramy, by ubić ostatnie interesy. Powoli gromadził się tłum i w ciągu kilku minut znikły sztachety w masie ludzi histerycznie domagających się rozpoczęcia spektaklu.

Kiedy dzwony zamilkły, na plac wkroczył liczny orszak.

Drogę torował jeździec w czerni, któremu towarzyszył zastęp żandarmów. Okazałe stroje większości kontrastowały z łachmanami sług niosących pęta kiełbas i kiszek. Za nimi szli niewolnicy zwiastujący biciem w bębny nadejście orszaku. Dalej jechała dwukółka wioząca więźnia, a za nią strapiony kat, który zbierał śmieci rzucane w nich przez tłum i ciskał je w twarz więźnia. Procesję zamykała gromadka rozbawionych dzieci.

Kilka chwil później pojawiła się grupa kleryków z Lotariuszem na czele. Biskup dzierżył w prawej dłoni złocony pastorał, a w lewej srebrny krucyfiks. Miał na sobie czerwony jedwabny siglaton, a na nim tunikę z bukaranu, jego głowa zaś ukoronowana była lnianą niezbyt gustowną mitrą. Pozostali duchowni mieli na sobie wełniane penule, a na nich kapłańskie alby. Biskup zajął miejsce obok mężczyzny w czerni, który wstał i pocałował jego pierścień. Sługa podał im dwa kielichy wina. Trzecie krzesło zajął sędzia miejski.

Kiedy woły ciągnące wóz z Knurem przekroczyły granicę kręgu, tłum zaczął wznosić okrzyki. Ledwie wóz się zatrzymał, kat złapał skazańca i zrzucił go brutalnie na ziemię. W tym samym momencie rozległy się owacje, a na wóz spadł deszcz przeróżnych przedmiotów, zmuszając kata i wolarza do skrycia się pod wozem. Kiedy tłum się uspokoił, kat zaciągnął więźnia na słupek w pobliżu dołu i unieruchomił go za pomocą sznura, którym obwiązał mu szyję. Następnie sprawdził, czy węzły trzymają, po czym na jego znak mężczyzna w czerni skinął głową, spoglądając z zadowoleniem na żalosalną postać skazańca.

Alkuin przyszedł jako ostatni. Przeszedł przez plac, rozpychając się łokciami, i przeskoczył ogrodzenie, grożąc strażnikowi, który próbował zagrozić mu drogę, ekskomuniką. Gdy zbliżał się do miejsca, gdzie siedzieli dostojnicy, zauważył, że mężczyzna w czerni to Kohl, właściciel młyna i ojciec zamordowanej dziewczyny. Kiedy tam doszedł, stanął za plecami Lotariusza, dokładnie naprzeciw kata. Zauważył, że Kohl jest w gorszym stanie niż wówczas, gdy rozmawiał z nim w młynie. Jego żona w towarzystwie innych kobiet zajmowała miejsce na uboczu, a jej podkrążone oczy wyrażały głęboki

smutek i rozpacz. Uznał, że tej rodzinie nawet kaźń winowajcy nie przyniesie ulgi.

Zastanawiał się, jak ma wsypać proszek do wina Lotariusza, gdy rozległo się bicie w bębny. Trzej mężczyźni, którzy dotąd siedzieli, wstali, a biskup Lotariusz zabrał głos.

— W imię najmądrzejszego i szlachetnego Karola Wielkiego, króla Franków, monarchy Akwitanii, Austrazji i Lombardii, patrycjusza Rzymian i zdobywcy Saksonii. Uznawszy za winnego odrażającego morderstwa i innych strasznych zbrodni Fredegariusza, powszechnie znanego jako Knur, człowieka ciemnego, wysłańca i ucznia Lucyfera, ja, Lotariusz z Reims, biskup Fuldy, pan na tych ziemiach i przedstawiciel króla, jego władzy i jego sprawiedliwości, nakazuję i polecam z bożym przyzwoleniem stracenie więźnia w największych katuszach i rozrzucenie jego szczątków na miejskich polach dla przykładu i przestrogi tym, którzy wąż się obrażać Boga i jego chrześcijańskie istoty.

Podeksytowany tłum znów zaczął krzyczeć. Na znak Lotariusza kat rozkuł skazańca, związał mu ręce na plecach i popchnął go na samą krawędź dołu.

Knur wyglądał na oszołomionego, jakby nie rozumiał, co ma się za chwilę wydarzyć. Kiedy zobaczył, że znalazł się na skraju dołu, próbował się wyswobodzić, ale kat przycisnął go do ziemi, kopiąc po głowie. Knur był już tylko trzęsącą się ze strachu masą ciała. Tłum cisnący się przy ogrodzeniu zakwiczał niczym wielkie stado świń. Dwu chłopców uzbrojonych w kamienie przechytrzyło strażników i wślizgnęło się za ogrodzenie, ale natychmiast zostali złapani i odprowadzeni na miejsce. Kiedy ludzie się uspokoili, kat podniósł Knura i przez kilka chwil trzymał go, by wszyscy mogli dobrze mu się przyjrzeć. Następnie Lotariusz postąpił kilka kroków naprzód, uczynił znak krzyża z miną pełną obrzydzenia i nakazał katowi rozpocząć widowisko.

Ludzie zawyli jak oszalali. Zdawało się, że lada moment rozwalą ogrodzenie i zlinczują skazańca.

Korzystając z zamieszania, Alkuin otworzył pierścień i wsypał proszek do dzbana biskupa. Nikt tego nie zauważył, ale Lotariusz przyłapał go, gdy ten trzymał rękę tuż przy dzbanie. Alkuin czym prędzej uniósł dzban i zaproponował Lotariuszowi toast.

— Za sprawiedliwość! — krzyknął, wręczając mu dzban. Sam zaś wziął drugi.

Lotariusz był nieco zaskoczony, ale w końcu złapał dzban i wypił wino.

— Za sprawiedliwość — powtórzył.

* * *

Kat schwycił mocno więźnia i gwałtownym kopniakiem zepchnął go do dołu. Wtedy wrzaski tłumu stały się ogłuszające. Knur podniósł się cały zaśliniony z błędnym wzrokiem i oczami pełnymi łez. Ludzie wznosili zaciśnięte pięści i wrzeszczeli, domagając się krwi. Wówczas kat złapał leżący obok kij i zdzielił nim Knura po plecach. Rozległ się chrzęst kości i więzień padł na kolana. W tym momencie do dołu zbliżyło się dwu ludzi z wielkimi drewnianymi łopatami, co wywołało istny szal wśród gawiedzi. Stanęli obok sterty piasku i bez słowa zaczęli sypać piasek na więźnia. Knur próbował wstać i wydostać się z dołu, ale mężczyźni powstrzymali go razami. Jeden z nich unieruchomił go końcem swej łopaty, a pozostali dalej grzebali go żywcem. Bliski ekstazy tłum przy każdym kolejnym ruchu łopatą złorzeczył i klął, a Knur usiłował wyswobodzić się spod unieruchamiającej go łopaty. Jednak ciężar zrzuconej już na niego ziemi przygniatał mu nogi i Knur mógł się jedynie miotać niczym królik złapany w sidła.

Wkrótce ziemia sięgała już jego głowy. Knur wypluł piasek i zaczął miotać się w prawdziwej desperacji, aż oczy wychodziły mu z orbit. Wypluwał co chwila ziemię, ale piasek leciał na niego dalej, aż powoli całkiem go zakrył.

Na chwilę zapadła cisza. Jednak zaraz ziemia się poruszyła i nagle wyłoniła się spod niej głowa Knura wymiotującego odrażającą masą piasku. Knur wciągnął powietrze, jakby czynił to po raz ostatni w życiu, a przerażony tłum wrzasnął.

Biskup zerwał się nagle z miejsca. Dał znak Kohlowi, ale on tego nie zauważył. Alkuin wiedział, że proszek zaczyna już działać.

Lotariusz poczuł, że oczy zachodzą mu mgłą. Nogi miał jak z waty i paliło go gardło. Usiłował przytrzymać się Kohla, ale nie zdołał. Próbował coś powiedzieć, ale i tego nie mógł uczynić. Zdażył się tylko przeżegnać, po czym runął jak długi, przewracając stół i krzesło.

Tłum zaniemówił. Nawet kat odwrócił głowę, zapominając na chwilę o Knurze. Gdy Kohl to zauważył, postanowił interweniować.

— Skończ z nim, ty przeklęty głupcze.

Kat się nie ruszył. Wtedy Kohl podbiegł i wyrwał mu łopatę. Miał już zadać ostateczny cios, gdy Alkuin stanął między nim a więźniem.

— Śmiecie sprzeciwić się znakowi niebios? Bóg chce przedłużyć cierpienie tego zbrodniarza! — zawołał mnich najgłośniej, jak tylko mógł, zerkając przy tym na leżącego biskupa, by sprawdzić, w jakim jest stanie.

Tłum zawył podniecony.

— Kiedy Lotariusz dojdzie do siebie, znów będziemy radować się tym widowiskiem! — dodał.

Tłum zaczął ryczeć.

— To wy?! — krzyknął Kohl. — To wy jesteście tym bratem od młyna!

— Zabójca zapłaci za swoją zbrodnię, ale według prawa władza wykonawcza musi usankcjonować wykonanie kary — argumentował.

Kohl usiłował uderzyć Knura, ale Alkuin go powstrzymał.

— Bóg tego nie chce — powtórzył, przytrzymując stanowczo łopatę.

Motłoch zawył w zachwycie. Wreszcie Kohl splunął na więźnia, złapał żonę za ramię i opuścił plac w towarzystwie swej świty. Za nim podążyło bractwo z kapituły wciąż oszołomione omdleniem Lotariusza, ale nieco uspokojone dzięki dobrym prognozom Alkuina. Na końcu wśród obelg i gróźb Knur wraz z pilnującymi go strażnikami opuścili plac, kierując się w stronę rzeźni, w której urządzono więzienie.

* * *

Helga była niepokieszona. Nie tylko nie widziała egzekucji, ale również w chwili nieuwagi jakieś pacholę ukradło jej torebkę z ciastkami. Theresa zaproponowała, by kupiły świeże ciasto w pobliskim kramie, na co Helga natychmiast przystała. Kiedy Theresa przeszukiwała kieszenie, prostytutka podeszła do stoiska ze słodyczami i zaczęła targować się o cenę. Wybrała wreszcie ciasto okrągłe jak bochen chleba, uzgadniając ze sprzedawcą, że ureguluje należność, gdy ten zajdzie do tawerny. Wróciła szczęśliwa z ciastem, które pochłonęły w mgnieniu oka. Uznały je za tak wyśmienite, że Helga bez wahania poszła po kolejne z miodem i kandyzowanymi kasztanami.

Kiedy skończyły jeść, Theresa zwróciła uwagę na resztki mąki, które przykleiły się Heldze do ust. Część mąki osiadła na bliźnie, ukrywając to, czego nie zatuszował makijaż, a część zwisała z nosa niczym dziwaczna biała brodawka. Kiedy Theresa jej o tym powiedziała, Helga wybuchła śmiechem. Theresa zdziwiła się, że przy takim śmiechu rana nie krwawi, i spytała, jak to się stało, że została aż tak okaleczona.

— Leżałam jeszcze w łóżku, gdy usłyszałam stukanie do drzwi — zaczęła opowiadać. — Nie zdążyłam nawet spytać kto to. Ledwie otworzyłam, poczułam uderzenie w brzuch, a potem zaczął mnie okładać pięściami. Przekłęta bestia! Powiedział, że jak się ośmielę urodzić jego dziecko, to zamiast twarzy rozetnie mi brzuch.

— Ale dlaczego tak się zachowuje? Co mu szkodzi, że będziesz mieć dziecko?

— Boi się, że go zadenuncjuje.

Wyjaśniła Theresie, że winnych cudzołóstwa skazywano na siedem lat pokuty, co polegało na zachowaniu postu przez cały czas trwania kary, choć można było tego uniknąć, zawierając ugodę i wypłacając pewną sumę w monetach.

— A on bardzo lubi sobie podjąć — dodała. — Pewnie boi się, że żona by go odtrąciła, bo warsztat ciesielski należy do teścia. Ale wiesz co? Zamierzam zadenuncjować go, choćbym nic z tego nie miała. Z tą bliźną i tak nikt nie zechce płacić za moje usługi. Kto chciałby spać z naznaczoną dziwką?

— Nie przesadzaj. — Theresa starała się dodać jej otuchy. — Prawie nic nie widać. Kiedy zobaczyłam cię dziś rano, naprawdę wyglądałaś już dużo lepiej.

— Rana jest głęboka tylko w tym miejscu — dotknęła twarzy blisko ucha — ale i tak nie będą mnie chcieli. Poza tym mam już swoje lata.

Theresa przyjrzała jej się. Z pewnością Helga miała rację. Widać było, że jej uroda zaczyna już przekwitać, gdzieniegdzie miała siwe włosy, ciało straciło jędrność, a skóra zaczynała się marszczyć. Mimo to pomyślała, że niektórym mężczyznom byłoby wszystko jedno, nawet gdyby Helga miała całą twarz w siniakach.

— W każdym razie i tak nie możesz dalej wykonywać tego zawodu. W końcu jesteś w ciąży.

— Ach! Nie mogę? — zaśmiała się gorzko. — Az czego się utrzymam? Ja nie mam żadnego zakapturzonego księdza, który by mi płacił za bazgranie liter.

— Mogłabyś poszukać innej pracy — odparła Theresa, nie zważając na jej złośliwość. — Gotujesz lepiej od tego, pożałuj się Boże, cukiernika.

Czarnulka Helga podziękowała jej za dobre chęci. Ale pokręciła przecząco głową. Wiedziała, że nikt nie zatrudni prostytutki, zwłaszcza brzemiennej.

— Idziemy do kapituły — postanowiła Theresa.

— Zwariowałaś? Wyrzucą nas na zbity pysk.

W odpowiedzi Theresa wzięła ją za rękę i prosiła, by jej zaufała. W drodze do biskupstwa opowiedziała jej o rozmowie, którą odbyła z Alkuinem na temat znalezienia dla niej pracy.

* * *

Przy wejściu do katedry spytały o Alkuina, który wkrótce się zjawił. Mnich zdziwił się na widok Czarnulki Helgi, ale zaraz otrząsnął się z zaskoczenia i spytał o ranę na jej twarzy, na co Helga odpowiedziała wyczerpująco, nie

szczędząc najbardziej drastycznych szczegółów. Kiedy skończyła mówić, mnich odwrócił się, prosząc, by za nim poszły.

W kuchni przedstawił je Favili, kobiecie o takiej tuszy, że zdawało się, że nie ma na sobie jednej sukni, lecz co najmniej ze trzydzieści. Alkuin wyjaśnił im, że Favila komenderuje kuchnią i że jest równie otyła co dobrotliwa. Kobieta zaśmiała się, udając zawstydzenie, ale gdy dowiedziała się o zamiarach Alkuina, zmieniła minę na zdecydowanie nieprzychylną.

— Tu w Fuldzie wszyscy znają Czarnulkę — argumentowała. — Dziwka zawsze będzie dziwką, zatem wynocha z mojej kuchni.

Czarnulka Helga odwróciła się, ale Theresa ją zatrzymała.

— Nikt cię nie prosi, żebyś się z nią przespała — warknęła dziewczyna.

Alkuin wyjął dwie monety, położył je na stole i spojrzał kucharce głęboko w oczy.

— Zapomniałaś o czymś takim jak przebaczenie? Czyż Jezus Chrystus nie pomagał trędowatym, nie przebaczył swym katom, nie przyjął Marii Magdaleny?

— Ja nie jestem święta jak Jezus — mruknęła Favila, chowając mimo to obie monety.

— Póki biskup jest chory, ta kobieta zostanie pod twoją pieczę. Aha! Jest w ciąży — wyjaśnił — zatem niech się zanadto nie męczy. Jeśli ktoś ci coś zarzuci, powiedz, że to była moja decyzja.

— I na dodatek wydelikacona. Ja wydałam na świat ośmioro dzieci, a ostatni niemal sam wyskoczył tutaj — powiedziała, uderzając ręką o ten sam stół, na którym Alkuin położył monety. — Idźże, zetrzyj z twarzy te wszystkie barwidła i zabieraj się do obierania cebuli. A dziewczyna? Też zostaje w kuchni?

— Ona pracuje ze mną — wyjaśnił Alkuin.

— Ale mogę pomóc, jeśli będzie trzeba — zapewniła Theresa.

Alkuin pożegnał się, zostawiając kobiety zajęte szykowaniem kolacji. Miał dwa dni, nim Lotariusz dojdzie do siebie, i chciał wykorzystać ten czas co do sekundy, czyniąc jak największe postępy w swym śledztwie.

STYCZEŃ

ROZDZIAŁ 17

Okazało się, że Favila należy do tych kobiet, które wszystkie swoje problemy rozwiązują gderaniem i podjadaniem. Wszystko krytykowała: sposób czyszczenia kuchni, brak staranności przy wykonywaniu prac i wszelkie inne choćby najbardziej absurdalne rzeczy, a każdą reprimendę zaraz okraszała połknięciem bułeczki albo pajdy chleba z okrasą. Uwielbiała dzieci i wkrótce zaczęła mówić o nienarodzonym dziecku Helgi z takim entuzjazmem, że Theresa miała czasem wrażenie, że to kucharka jest w stanie błogosławionym, a nie jej przyjaciółka.

— Choćbym nie wiem ile się nad tym zastanawiała, nigdy nie zdołam pojąć, jak coś wielkości prosiaczka może wyjść przez otwór grubości śliwki — powiedziała Favila do Helgi, a widząc reakcję kobiety, poczęstowała ją ciastkiem, by wrócił jej rumieniec na twarzy.

Helga z kolei dowiodła swych kulinarnych umiejętności, szykując pyszną selerowo-marchewkową sztufadę z resztek, które zostały z obiadu. Favili tak posmakowało to danie, że jak tylko skończyła jeść, obie świętowały sukces, jakby znały się od dziecka.

Tej nocy Theresa, układając się do snu na sianie, gratulowała sobie pomocy udzielonej Heldze. Potem przypomniała sobie o Hoosie i po jej plecach, szyi i udach przebiegł przyjemny dreszcz. Wyobraziła sobie jego prężne silne ciało, smak jego gorących ust na swych wargach. Znów chciała poczuć go w sobie i miała z tego powodu wyrzuty sumienia. Gorąco pragnęła, by czas szybko minął. Tęskniła za nim tak bardzo, że postanowiła, że jeśli nie wróci, to sama ruszy na poszukiwania. Wtedy uświadomiła sobie, że od czasu wyjazdu Hoosa o niczym innym nie myślała.

* * *

Czarnulka Helga nie zwykła ani wstawać o świcie, ani też kłaść się wcześniej spać, zatem kiedy się obudziła, obmyła porządnie twarz wodą, a następnie zdjęła swą jaskrawą suknię i przywdziała ciemną wełnianą, która nie opinała jej figury. Potem wyszła z magazynu, w którym pozwolono jej spać, udała się do kuchni, wciąż jeszcze pustej, przegryzła kawałek sera i zabrała się do sprzątania, nucąc i co chwila głaszcząc brzuch. Kiedy zjawiała się Favila, zastała Helgę tak schludną z zebranymi do tyłu włosami i bez słodkawego zapachu perfum, jakich zwykle używały prostytutki, że odniosła wrażenie, iż

stoi przed nią zupełnie inna kobieta. Jedyne, co pozostało po dawnej Heldze, to blizna przecinająca policzek.

Theresa pojawiła się w porze śniadania. Wciąż jeszcze miała we włosach źdźbła słomy, ale zdążyła je wy czesać, nie dając Favili i Heldze okazji do śmiechu.

— Jeśli chcesz pomóc, to ucz się od Helgi, bo ona zaczęła gotować jeszcze przed świtem — skarciła ją Favila.

Theresę ucieszyło, że kucharka zaczęła już odkrywać zalety jej przyjaciółki.

* * *

Nim Alkuin zjawił się w komnatach Lotariusza, prosił Boga o przebaczenie za swe postępowanie wobec biskupa. Żałował, że go podtruł, ale nie znalazł innego sposobu, by zapobiec egzekucji Knura, którego jedyną winą była jego zdaniem głupota. Jednak teraz, aby złagodzić dolegliwości Lotariusza, postanowił powstrzymać działanie substancji toksycznej syropem z agrimonia. Potrząsnął energicznie buteleczką, aby wymieszać nalewkę, i ruszył w stronę komnat biskupa, którego zastał leżącego na łożu z baldachimem. Lotariusz oddychał z trudem i miał podkrążone oczy. Kiedy spytał Alkuina, co myśli o jego przypadłości, ten udał, że nie zna przyczyny zasłabnięcia. Zaproponował jednak środek, który Lotariusz bez zastrzeżeń zgodził się przyjąć.

Wkrótce po wypiciu syropu odczuł pewną poprawę.

— Przypuszczam, że ten nieszczęśliwy wypadek was ucieszył — zasugerował, siadając na łóżku. — Ale zapewniam was, że Knur i tak umrze.

— Wszystko w rękach Boga — oświadczył ostrożnie Alkuin. — Powiedzcie mi, jak się teraz czujecie?

— Dużo lepiej. Całe szczęście, że znacie się na medycynie, tym bardziej że brak nam teraz lekarza. Na pewno nie wiecie, co jest przyczyną tej niedyspozycji?

— Być może coś, co zjedliście.

— Porozmawiam z kucharką. Tylko ona przygotowuje moje potrawy — odparł rozdrażniony.

— Albo coś, co wypiliście — Alkuin próbował odsunąć podejrzenia od Favili.

W tej samej chwili weszła kucharka, kołysząc rozłożystymi biodrami, w towarzystwie chłopca dźwigającego tacę zastawioną jedzeniem. Lotariusz spojrzał na kobietę z pewną rezerwą, która ustąpiła miejsca zachwytowi, gdy zobaczył, jak bardzo urozmaicone jest jego menu. Nim zaczął jeść, poprosił Alkuina o aprobatę, ale mimo jego obiekcji i tak zabrał się ochoczo do

kociołka z młodymi gołąbkami. Favila została, czekając na werdykt. Korzystając z tego, że biskup obgryza ze smakiem kosteczki, Alkuin poinformował go o sytuacji, w jakiej znalazła się Czarnulka Helga.

— prostytutka? Tu, w kapitule? Jak śmiecie? — zakaszłał, opluwając się resztami jedzenia.

— Była zrozpaczona. Pewien mężczyzna ją zaatakował...

— Więc niech ją zatrudnią gdzie indziej. Na Boga! Tu musimy dawać przykład — powiedział, ładując sobie do ust kolejnego gołąbka.

— Ta kobieta może się zmienić — wtrąciła kucharka. — Nie wszystkie ładaczniczki są takie same.

Słyszając ją, Lotariusz omal się nie udławił. Wyjął kostkę z ust i wypluł resztkę mięsa na tacę.

— Oczywiście, że nie są takie same! Mamy prostibulae, które uprawiają swój nierząd, gdzie się da, ambulatae, które pracują na ulicy, lupae, które oddają się mężczyznom w lasach, a nawet bustuariae, które cudzołożą na cmentarzach. Każda jest inna, ale wszystkim pieniądze wchodzi tą samą drogą — powiedział, drapiąc się po kroczu.

— Nie musi pracować w kuchni dla kleru. Mogłaby gotować tutaj, w pałacu — zasugerował Alkuin.

— Po co miałbym zatrudniać jeszcze jedną służącą, skoro Favila przyrządza tak pyszne gołąbki?

— A to właśnie ona ugotowała tę potrawę — wyjaśniła kobieta. Lotariusz spojrział na kociołek z gołąbkami, a potem na jabłecznik.

To też musiało być dzieło Czarnulki Helgi, bo Favila nigdy nie piekła takiego ciasta. Skosztował i stwierdził, że jest wyborne. Zawahał się, nim odpowiedział.

— Niech będzie, ale ma nie wychodzić z kuchni — wymamrotał.

Favila wyszła z uśmiechem na ustach, zostawiając Lotariusza z jabłecznikiem. Kiedy znikła za drzwiami, biskup wstał, by opróżnić pecherz, co uczynił na oczach Alkuina, mówiąc bez ustanku o wybaczeniu i odpuszczeniu grzechów. Kiedy skończył perorować, Alkuin spytał go o poliptychy opactwa. W tym momencie elokwencja opuściła Lotariusza. Powiedział, że w tamtym czasie nie był jeszcze mianowany biskupem i w związku z tym nie znał szczegółów związanych z transakcjami obejmującymi żywność. Odesłał go natomiast do swego skarbnika, który na pewno odpowie na wszystkie interesujące go pytania.

Resztę przedpołudnia Alkuin poświęcił na porządkowanie swych informacji. Miał je właśnie przejrzeć po raz kolejny, gdy kilka minut przed ustaloną godziną pojawiła się Theresa.

— Chciałam wam podziękować za Helgę — powiedziała. — Z całego serca.

Alkuin nie odpowiedział. Poprosił ją natomiast, by usiadła bliżej i wysłuchała wniosków, do których doszedł. Dziewczyna uważnie go wysłuchała.

— Wobec tego — stwierdziła na koniec — jeśli dobrze zrozumiałam, jeden z tych ludzi jest odpowiedzialny za zgony.

— Za zgony wywołane chorobą. Nie zapominaj, że na wolności znajduje się również morderca dziewczyny.

Theresa przejrzała listę Alkuina: na pierwszym miejscu figurował Kohl. Zatrute ziarno znajdowało się w jego młynie, przez co stawał się głównym podejrzanym. Zaraz po nim pojawiał się Rothart, rudowłosy młynarz, pracownik Kohla, posiadacz zbyt drogocennych przedmiotów, by można było uwierzyć, że zarobił na nie własną pracą. Na końcu znajdował się Knur, ponieważ fakt, iż nie zabił dziewczyny, nie oznaczał, że nie jest zamieszany w tę aferę.

— O nikim nie zapomnieliście? — spytała Theresa.

— Chyba o nikim. Ale opat, który rządził tu w czasie plagi, zmarł jakieś dwa lata temu. Został zatem jedynie autor poprawki wniesionej do poliptychu, o którym wiemy tylko tyle, że umie posługiwać się piórem.

— Czyli w sumie jest czterech ludzi.

— Być może nawet więcej, choć jeszcze o tym nie wiemy. Teraz przeanalizujemy naszych czterech podejrzanych. — Postawił więcej świec na stole. — O ile pewne jest, że albo Kohl, albo Rothart, albo też obaj równocześnie są w to uwikłani, możemy być również niemniej pewni, że ktoś z biskupstwa albo z opactwa manipulował przy poliptychu. Uważam, że ta sama osoba, która nabyła zboże w Magdeburgu, zobowiązując się je spalić albo też wykorzystać pomimo jego stanu, jest odpowiedzialna za zgony, do których teraz dochodzi. Knur wiedział o tym, choć oczywiście z powodu stopnia swego kretynstwa nie potrafił kojarzyć faktów. Jednak z biegiem czasu i z jakiegoś powodu, który nam umknął, wmieszane w ten proceder osoby musiały zacząć się obawiać, że rozplącze mu się język, i dlatego postanowiły mu go obciąć. Więcej: odważyłbym się nawet powiedzieć, że te same osoby zamordowały dziewczynę tylko po to, by obwinie biednego Knura.

— W takim razie należałoby wykluczyć Kohla. Nie zamordowałby własnej córki.

— Tak jest. Ale powiedziałem „być może”. Zważ na to, że należałoby zadać sobie pytanie, czy nie łatwiej byłoby wyeliminować tego biednego idiotę, niż próbować zrzucić na niego winę.

— To prawda.

— A mimo to wiemy, że sprawcą nie był Knur.

— Należałoby zatem znaleźć inny powód...

— ...dla którego ktoś mógłby chcieć zabić tę dziewczynę. — Alkuin wstał i zaczął chodzić od ściany do ściany.

— A poliptych? To musiał być jeden z mnichów, który potrafi pisać i ma dostęp do skryptorium.

— Cóż, niezupełnie. Poliptych przechowuje administrator opactwa, który jest zarazem przeorem. W biskupstwie ten obowiązek przypada subdiakonowi. Ale mógł mieć do niego dostęp również ktoś z kapituły, bo to oni sprawdzają rachunki młyna.

— Nigdy nie rozumiałam organizacji klasztoru. — Theresa odchyliła się wraz z krzesłem do tyłu, okazując wyraźny brak zainteresowania tematem.

— Z reguły pieczę nad klasztorem lub opactwem sprawuje opat, a pod jego nieobecność przeor. Jeśli w klasztorze nie ma opata, wówczas jego pracę wykonuje przeor, a opactwo nazywane jest przeoratem. Następnie mamy dziekanów zakonu, którzy dbają o to, by mnisi uczestniczyli we mszach i wypełniali swe obowiązki. Dalej stoją wikariusz i opiekun chóru, odpowiedzialny za bibliotekę i sekretariat, oraz zakrystian, który zajmuje się kościołem.

— Żaden z nich nie ma związku z dostawami.

— Jedyne opat i przeorzy. Każdy z nich mógłby zorganizować transakcję, nie wzbudzając podejrzeń. Handlem zajmuje się skarbnik, odpowiedzialny za pieniądze i dostawy, oraz piwniczny sprawujący pieczę nad jedzeniem i zaopatrzeniem. Dalej mamy polowego i hospitaliusza, którzy zajmują się posiadłościami i rezydencją optymatów. Szambelan jest jedynie odpowiedzialny za odzienie mnichów, nie sądzę też, by brat troszczący się o refektarz czy prebendariusz byli w to zamieszani.

— A pielęgniarz i aptekarz?

— Wiesz już, że aptekarz zmarł z powodu zatrucia. Jeśli chodzi o pozostałych mnichów, to włożyłbym za nich rękę w ogień.

— Moglibyśmy zapisać ich imiona — zaproponowała Theresa.

— Znam tylko imię opata, Boecjusza, oraz imiona przeorów, Ludovica i Agrypina. Jeśli chodzi o pozostałych, to wiem jedynie, jakie zajmują stanowiska.

— Wobec tego co proponujecie?

— Zostały nam dwa dni. Potem znów zorganizują egzekucję. Mamy Kohla, właściciela młyna, Rotharta, jego rudowłosego pracownika, biskupa Lotariusza, Boecjusza, Ludovica i Agripina, których już wcześniej wymieniłem, i Knura, w którym z pewnością tkwi klucz do tego labiryntu.

— Gdybyśmy mogli z nim porozmawiać...

— Po tym, co się wydarzyło, nie sądzę, by nam na to pozwolono. Ale rozmowa z żoną Kohla nie byłaby złym pomysłem. Mogłaby nam opowiedzieć, w jakich okolicznościach znalazła Knura nad zwłokami swej córki.

Uzgodnili, że Alkuin porozmawia z żoną Kohla, a Theresa przejrzy w tym czasie poliptychy. Nie podobał jej się ten pomysł, ale nie protestowała, bo nie miała ochoty wracać do młyna. Jednak po długim przeglądaniu kodeksów uznała, że lepiej zrobi, odwiedzając Knura.

* * *

Kiedy Theresa doszła w pobliże rzeźni, labirynt uliczek zalewało słońce. Mieszkańcy prowadzili bydło na pobliskie pastwiska, a kobiety spacerowały ze swymi latoroślami, tak bladymi, jakby obsypano je mąką. Jakaś kobiecina pozdrowiła Theresę, którą już rozpoznawano na ulicach miasta. Powiedziała kilka słów o pogodzie, a Theresa przywitała się z nią serdecznie, czując się częścią tej fascynującej społeczności.

Przed rzeźnią zobaczyła tego samego strażnika, który w sobotę rano zagroził im drogę. Strażnik siedział tuż przy drzwiach z kijem w jednej dłoni i kawałkiem słoniny w drugiej. Przy każdej próbie odgryzienia kawałka słoniny chwiały mu się ostatnie zęby, jakie mu zostały. Kiedy do niego podeszła, poczuła, że nadal zalatuje od niego winem. Natomiast strażnik nie rozpoznał Theresy, bo rzucił tylko na nią okiem i dalej żuł słoninę, jakby od tego zależało jego życie. Po chwili wahania Theresa wyjęła kawałek jabłecznika i pokazała go strażnikowi.

— Dostaniecie ciasto, jeśli pozwolicie mi zobaczyć Knura — zaproponowała.

Strażnik spojrzał chciwie na przysmak. Potem złapał kawałek i zachłannie ugryzł, przeżuwając spokojnie, jakby dziewczyna była przezroczysta, a gdy skończył, kazał jej odejść. Theresa wpadła w furję.

— Odejdź albo cię obiję kijem — złażał ją strażnik.

Theresa zrozumiała, że strażnik nie żartuje. Postanowiła poczekać w pobliżu na jego zmiennika, ale spacerując, przypomniała sobie lufcik, który Alkuin otworzył podczas ich ostatniej wizyty. Jeśli okienko nadal było otwarte, być może mogłaby się przez nie wślizgnąć.

Okrażyła budynek w poszukiwaniu okna.

Na tyłach wznosił się jakiś tuzin chałupek stłoczonych tak bardzo, że wyglądały jak sprasowane. Były to dawne domki rzeźników, teraz w większości zajęte przez warsztaty cieślów, bednarzy i kołodziejów.

Weszła do jednego z nich, na wprost zawałonego, którego przedsiomek prowadził, jak jej się zdawało, do środka rzeźni. Przyjął ją jednooki mężczyzna odziany w skórzany fartuch. Okazało się, że jest właścicielem kuźni. Theresa poprosiła, by naostrzył jej skramasaks, a sama udała zainteresowanie przedmiotami znajdującymi się na wewnętrznym dziedzińcu. Spytała, czy może rzucić na nie okiem, i ruszyła w głąb ze wzrokiem wbitym w drewniane ściany pokryte maczugami, obuchami, młotami i przecinakami zawieszonymi na gwoździach niczym kielbaski wieprzowe. W powietrzu unosił się zapach gorącego metalu, który przy panującym na dworze zimnie był nawet całkiem przyjemny. Na bocznej ścianie zobaczyła lufcik łączący magazyn z pomieszczeniem należącym, jak przypuszczała, do rzeźni. Nagle poczuła na ramieniu rękę właściciela.

— Co to takiego? — spytała przyłapana przez kowala.

— To zagroda, w której trzymano zwierzęta, zanim podcięto im gardła — powiedział, śmiejąc się. — Proszę. Oto twój skramasaks.

Nic nie policzył za naostrzenie, ale uprzedził, by następnym razem przyszła z pieniędzmi.

Kiedy Theresa wyszła z kuźni, podskoczyła z radości. Znalazła lufcik prowadzący do rzeźni, a na dodatek odkryła, że jest nadal otwarty. Teraz musiała tylko znaleźć sposób na odwrócenie uwagi kowala.

Miała właśnie ugryźć kawałek jabłeczника, który dla siebie odłożyła, kiedy nagle jak spod ziemi wyrósł przed nią jakiś chłopaczek o twarzy starca. Był nie tyle chudy, ile wręcz wyglądał jak worek kości.

— Chcesz kawałek? — spytała, po czym opowiedziała mu naprędce wymyśloną historjkę.

Chłopiec był zachwycony, że może pomóc damie, która podróżuje w przebraniu. Uradowany złapał ciastko i pobiegł do warsztatu kowala spełnić powierzone mu zadanie. Zaraz potem wyszedł w towarzystwie jednookiego,

kierując się tam, gdzie jakoby ugrzęzła karoca Theresy wraz ze sługami. Kiedy się oddalili, Theresa weszła do środka, ale gdy znalazła się przy lufciku, zaczęła się zastanawiać, czy wchodzenie do rzeźni jest aby dobrym pomysłem.

Nie była pewna, czy słusznie postępuje. Mogło się zdarzyć, że Knur ma swobodę ruchów i ją zaatakuje albo że Alkuin się myli i więzień naprawdę jest mordercą. Jednak jakiś wewnętrzny impuls nakazywał jej zrealizować plan. Odwróciła głowę w obawie, że kowal zaraz wróci.

Rozejrzała się uważnie wokół, oceniając przydatność wiszących na ścianie narzędzi. Jej uwagę przykuła ciężka maczuga, ale przekonała się, że nie zdoła nawet zdjąć jej z haka. W tej sytuacji postanowiła wziąć lekki pogrzebacz, który przywiązała sobie do pasa. Następnie ułożyła pod lufcikiem stos drewna i wspięła się na niego, akurat na tyle, by dosięgnąć krawędzi lufcika. W tej samej chwili usłyszała czyjeś kroki, więc czym prędzej wspięła się na wysokość okienka, ale równocześnie spod jej nóg wyślizgnęło się drewnienko, powodując zawalenie całego stosu. Uczepiła się ściany, przecisnęła przez lufcik i spadła na drugą stronę w całkowite ciemności. Kiedy się podniosła, poczuła w kościach taki ból, jakby spała na łożu pełnym kamieni. Musiała naruszyć lewy łokieć, bo ledwie mogła nim ruszać. Wtedy usłyszała, że ktoś manipuluje przy lufciku, przez który dostała się do środka. Kiedy spojrzała w górę i zobaczyła twarz kowala, natychmiast skuliła się w najciemniejszym kącie pod ścianą i czekała przerażona. Mężczyzna zajrzał, ale nic nie zobaczył i odsunął się od okienka. Theresa podejrzewała, że jednooki wraca do kuźni, ale walenie młotkiem uświadomiło jej, że kowal postanowił zabić okno deskami. Kiedy uderzenia ustały, zapanowała mroczna cisza, w której słychać było jedynie bicie jej serca. Nigdy dotąd nie znalazła się w tak ciemnym miejscu. Ciemność była tak nieprzenikniona, że przez chwilę podejrzewała, że oślepla.

Rozpaczwała, powtarzając sobie, że nawet najgłupszy fanfaron nie pakowałby się w tak beznadziejną sytuację. Była sama, w całkowitych ciemnościach. Zamknięta z opóźnionym w rozwoju człowiekiem, który mógł być mordercą. Jak mogła postąpić tak nierozważnie? Nie miała nawet huby ani krzesiwa, by zapalić pochodnię.

Siedziała w ciszy, wsłuchując się w odgłos własnego oddechu. Stwierdziła, że jest ciężki, urywany, niczym oddech starca. Po chwili uświadomiła sobie, że kowal już poszedł. Wtedy wstała, przesuwając dłońmi po ścianie, usiłując wymacać cokolwiek, co mogłoby posłużyć jej za drogowskaz. Poczuła, że ściana jest pokryta jakąś mazią, i ogarnęły ją mdłości. Po wielu próbach udało jej się zlokalizować zabity kilkoma deskami lufcik.

Była w pułapce.

Złapała mocno pogrzebacz i wysunęła przed siebie. Potem ruszyła po omacku, tnąc powietrze pogrzebaczem, a drugą dłonią chwyciła pierścienie i łańcuchy zdobiące mury korytarza. W miarę jak szła naprzód, zaczęła dostrzegać jasny punkt w głębi tunelu. Najpierw był to zaledwie cień, a potem w mroku dostrzegła zarys skulonej postaci i wreszcie w skąym świetle, które sączyło się przez dach, rozpoznała Knura skulonego na ziemi, obejmującego swe zdeformowane nogi w pozie, w której przypominał ogromny płód.

Wyglądało na to, że śpi, ale Theresa nie widziała skuwających go łańcuchów, i to ją przeraziło. Kiedy mu się przyglądała, pomyślała, że jeszcze może się wycofać, zawołać strażnika i wyjaśnić mu, co się stało. Dostałaby reprimendę, a pewnie nawet kilka razy kijem, ale przynajmniej uszłaby z życiem. Nagle Knur poruszył się, gwałtownie charcząc. Theresa o mało nie zaczęła piszczeć z przerażenia. Zdołała się jednak opanować.

Nadal spał.

Przyjrzała mu się raz jeszcze i stwierdziła, że teraz, po tym jak się poruszył, przy jego kostkach dostrzega coś lśniącego. Dziękowała niebiosom, gdy upewniła się, że to błysk łańcuchów.

Nim ruszyła dalej, wzięła głęboki oddech. Podeszła bliżej, zatrzymując się o krok od popękanej miski z resztkami jedzenia. Przypuszczała, że jeśli podejdzie bliżej, znajdzie się w jego zasięgu. Pochyliła się, by przyjrzeć mu się z bliska. Zobaczyła jego rozczochrane brudne włosy, podarte na strzępy ubranie i ciało pokryte zaschłą krwią. Choć spał, miał wpółotwarte powieki ukazujące jego pozbawione wyrazu oczy podobne do oczu wołu, któremu odebrano życie. Ciężko sapał i od czasu do czasu kaszlał, napędzając jej strachu.

W końcu się zdecydowała. Trąciła pogrzebaczem stopy Knura, który podkurczył je, jakby ugryzła go osa. Therese przeszedł dreszcz, ale znów go trąciła, aż wreszcie się obudził. Wyglądał na oszołomionego, jakby nie rozumiał, co się stało, ale wkrótce spojrział na nią pytająco. Na jej widok zdziwił się i cofnął na tyle, na ile pozwoliły mu łańcuchy. Theresa ucieszyła się, że Knur się jej boi, ale mimo to wciąż zdecydowanie ścisnęła w garści pogrzebacz. Gdyby Knur ją zaatakował, była gotowa wbić mu go w głowę.

Knur przyglądał jej się przez chwilę, po czym nieco się zbliżył. Kuśtykał jak ostatni łachmyta, ciągnąc martwą nogę. W jego spojrzeniu Theresa nie dostrzegła ani śladu wrogości.

Przez chwilę przyglądali się sobie. Wreszcie Theresa sięgnęła do kieszeni.

— To wszystko, co mam — podała mu resztki jabłecznika. Knur wyciągnął drżące dłonie, ale Theresa wolała położyć okruchy w misie i cofnąć się o kilka kroków. Zauważyła, że starał się bezskutecznie sięgnąć po ciasto, a skoro to mu się nie udało, zanurzył twarz w talerzu i wylizał go niczym zwierzę. Kiedy skończył, powiedział coś niezrozumiałego, co Theresa odebrała jako podziękowanie.

— Wyciągniemy cię stąd — powiedziała, nie mając pojęcia, jak miałyby spełnić podobną obietnicę. — Ale wcześniej potrzebna mi twoja pomoc. Rozumiesz mnie?

Mężczyzna skinął głową, wydając z siebie jakiś gardłowy dźwięk.

Theresa tak długo zadawała pytania, aż wreszcie nabrała pewności, że biedaczyna naprawdę jest mocno upośledzony. Odpowiadał niemającymi sensu grymasami, drapał miskę zdeformowanymi dłońmi albo po prostu patrzył w drugą stronę. Jednak gdy usłyszał imię rudzielca, zaczął bić się pięściami w głowę jak oszalały. Kiedy Theresa powtórzyła imię Ro-tharta, Knur pokazał jej resztki swego niezagojonego jeszcze, obciętego języka. W tej samej chwili Theresa usłyszała zgrzyt klucza w zamku po drugiej stronie korytarza. Schowała się, jak mogła najgłębiej, akurat w chwili, gdy do lochu wkroczył strażnik z pochodnią w dłoni. Theresa dała znać Knurowi, by zachował ciszę, i czekała w kryjówce, aż strażnik wejdzie głębiej. Potem ruszyła pędem w stronę wyjścia.

Zatrzymała się dopiero, gdy dotarła do opactwa.

Kiedy spotkała się z Alkuinem, musiała poczekać, aż odzyska oddech, by podzielić się z nim swoim odkryciem. Próbowwała opowiedzieć mu wszystko naraz, gestykulowała i mówiła jak najęta, a Alkuin usiłował uporządkować jakoś ten chaos.

— Wiem, kto jest winny — oznajmiła wreszcie ze zwycięskim uśmiechem, wciągając powietrze.

Od początku opowiedziała mu całe zajście w rzeźni, zatrzymując się przy najbardziej makabrycznych szczegółach i zostawiając na koniec największą rewelację. Alkuin słuchał jej uważnie.

— Nie powinnaś iść tam sama — skarcił ją.

— I wtedy — mówiła dalej, ignorując jego uwagę — słysząc imię rudzielca, zaczął okładać się pięściami z taką siłą, że myślałam, że rozbije sobie głowę. Pokazał mi, jak ten człowiek go okaleczył. To było straszne.

— Powiedział ci, że to Rothart mu to zrobił?

— Cóż, niezupełnie powiedział, ale jestem tego pewna.

— Jednak nie dałbym za to głowy.

— Nie rozumiem. Co chcecie powiedzieć?

— Dziś rano znaleziono Rothaarta martwego. W młynie. Otrutego sporyszem.

Theresa opadła na krzesło przygnębiona. Ryzykowała życie, a teraz okazało się, że jej odkrycie było jak kwaśne wino, które wysadza korek. Miała już coś odpowiedzieć, ale mnich mówił dalej.

— I to jeszcze nie wszystko. Najwyraźniej nasz winowajca w wielkim pośpiechu usiłuje sprzedać całą mąkę. Od rana wszędzie pojawiają się kolejni chorzy. Kościół Świętego Jana jest przepelniony, a w szpitalu nie dają już rady.

— Ale w takim razie łatwo będzie go zatrzymać.

— A w jaki sposób? Na pewno jest bystry, więc wymiesza zepsutą mąkę z dobrą. Poza tym pamiętaj, że ludzie nie znają przyczyny choroby.

— Mimo to możemy przepytac chorych. Albo ich rodziny, jeżeli będzie to konieczne.

— Sądziysz, że tego nie zrobiłem? Ale ludzie nie kupują mąki tylko w młynach. Również na targu, w domach, na fermach; jedzą w tawernach, kupują w piekarniach albo obwoźnych kramach; dzielą się chlebem przy pracy, płacą mąką za swoje zakupy albo wymieniają ją na mięso czy wino. Czasem nawet mieszają ją z mąką żytnią, aby chleb po upieczeniu dłużej zachował świeżość. — Przerwał na chwilę, by się zastanowić. — Każdy chory opowiedział mi inną historię. Tak jakby całe miasto było zakażone.

— To wszystko jest bardzo dziwne. Jeśli ten człowiek ma tyle sprytu, jak mówicie...

— Tego jestem pewien.

— Ma więc dostęp do różnych sprzedawców mąki. A oni mu ufają.

— Można tak przypuszczać.

— Wobec tego może rozprowadził trochę zatrutych partii, aby rozszerzyć wachlarz podejrzanych.

— Masz na myśli innych współników?

— Niekoniecznie. — Theresa poczuła się ważna. — Mógł umieścić partię w różnych spichlerzach bez wiedzy ich właścicieli. To by tłumaczyło taką ilość chorych i różne punkty sprzedaży.

— Całkiem możliwe — przyznał zaskoczony Alkuin.

— A poza tym zostaje jeszcze ta sprawa z Knurem...

— Jaka sprawa z Knurem?

— Taka, że rudzielec obciął mu język.

* * *

„Rudzielec obciął mu język”.

Kiedy szli do szpitala, Alkuin zastanawiał się nad tą hipotezą. A jeśli nazbyt pochopnie wyciągnął wnioski? Właściwie widział zwłoki Rothaarta tylko z daleka i choć miał wrażenie, że na jednej z nóg dostrzegł ślady gangreny, nie miał pewności, że jego śmierć była spowodowana działaniem sporyszu. Zresztą dziwiło go, że członki zdrowego, dobrze odżywionego człowieka tak szybko uległy chorobie.

— Muszę wrócić do młyna — oznajmił. — Ty idź do szpitala. Zapisz imiona tych, którzy ostatnio zachorowali, dowiedz się, gdzie mieszkają, co jedli, kiedy źle się poczuli. Potem wracaj do kapituły. Spotkamy się w katedrze, po sekście — i nie dając Theresie czasu na odpowiedź, odwrócił się i pobiegł wąskimi uliczkami.

Kiedy Theresa dochodziła do klasztoru, wpadła w strumień ludzi, którzy dostawali się do środka przez otwartą bramę. Najwyraźniej napływało tylu chorych, że zarówno klucznik, jak i inni zakonnicy zostali wezwani do szpitala do pomocy. Theresa posłużyła się swym pierścieniem, by ominąć kolejkę, w której stały całe rodziny czekające na wieści o swych bliskich. W szpitalu przyjął ją pielęgniarz, który od razu ją poznał i prosił tylko, by nie przeszkadzała podenerwowanym braciom uwijającym się jak pszczoły w ulu.

Theresa nie wiedziała, od czego zacząć. Chorzy, którzy wypełniali salę, leżeli na prowizorycznych łózkach, a na dziedzińcu ci mniej cierpiący czekali, aż ktoś poda im jakieś środki łagodzące dolegliwości. Niektórzy byli w ciężkim stanie, cierpieli albo mieli halucynacje, ale większość była przerażona. Wypytujac ludzi, dowiedziała się, że biskup i opat spotkali się, aby przedyskutować ewentualne spalenie domów i zamknięcie bram miasta. To ją zdziwiło. W innych sytuacjach słyszała o podejmowaniu takich środków, ale tym razem zaraza dotyczyła tylko mąki zatrutej grzybami sporyszu. Postanowiła przekonać Alkuina, by mimo wszystko wyjawil przyczynę choroby.

Po dwu godzinach Theresa zebrała dość informacji, by stwierdzić, że przynajmniej jedenastu chorych spożyło chleb pszenny. Kiedy skończyła pracę, zebrała swoje rzeczy i wróciła do kuchni kapituły. Zastała tam Helgę zajętą polerowaniem kociołków, które wyglądały tak, jakby używano ich jako donic, a nie w charakterze garnków. Na jej widok Helga rzuciła kociołki i wybiegła na powitanie. Powiedziała Theresie, że miasto atakuje plaga.

— Niech ci tylko nie przyjdzie do głowy jeść chleb pszenny — odparła Theresa i natychmiast pomyślała, że Alkuin byłby niezadowolony, że wyjawiała jej sekret. Potem uświadomiła sobie, że tak naprawdę nie powinni jeść żadnego rodzaju chleba.

Czarnulka Helga powiedziała jej, że Alkuin schował właśnie w magazynie worek pszenicy z młyna Kohla, przykazując, by nikt go nie ruszał. Ledwie Theresa to usłyszała, natychmiast tam pobiegła. Wyciągnęła worek i przez bawełnianą szmatkę nabrała garść ziarna. Potem obejrzała każde ziarenko. Dopiero w czwartej garści znalazła sporysz wymieszany z odrobiną mąki. Domyślała się, że mnich musiał coś odkryć.

Wkrótce przed sekstą Alkuin powrócił z mnóstwem wiadomości. Był w młynie Kohla, ale najwyraźniej ciało rudzielca zostało już przeniesione poza miasto do wąwozu, w którym palono tych, którzy umierali na trąd. Na szczęście znalazł ciało, zanim spłonęło na stosie.

— Nie zmarł od sporyszu. Ktoś umalował mu nogi — oznajmił triumfalnie. — Musiał zostać otruty, bo świadkowie opowiadali, że zmarł w straszliwej agonii. To właśnie mnie zmyliło.

„Umalowane nogi”. Theresa przypomniała sobie fortel Althara, który udawał, że jest trędowaty.

— A kto mógł to zrobić?

— Tego jeszcze nie wiem. Jedno jest pewne: ten, kto to uczynił, chciał, by śmierć rudzielca nie zwróciła niczyjej uwagi. Ale dowiedziałem się kilku rzeczy: po pierwsze, żona Kohla nie przyłapała Knura na morderstwie jej córki. To była Lorena, która służy u nich w domu. Rozmawiałem z nią i potwierdziła, że zobaczyła upośledzonego nad nieboszczką, ale nie widziała, by to on ją zamordował. Ponadto dodała jeszcze jeden szczegół o kluczowym znaczeniu: rana na szyi dziewczyny znajdowała się po prawej stronie i biegła od ucha aż po grdykę. Zapamiętała to, bo musiała zszyć ranę, aby oblec nieboszczkę w całun.

— A co to oznacza?

— Po prostu tyle, że cios został zadany przez mańkuta.

— Takiego jak rudzielec Rothart.

Alkuin skinął głową. Druga wiadomość była taka, że Kohl dał mu worek ziarna na próbę, choć nie zdradził jego pochodzenia.

— Przeprosiłem za moje zachowanie w dniu egzekucji i ponagliłem go w sprawie sprzedaży pszenicy, na co przystał bez szczególnych obiekcji. Ku

mojemu zdziwieniu powiedział, że dostarczy mi zboże za jakieś dwa dni, ale na poczet zamówienia dał cały worek, gdybym chciał sprawdzić zalety ziarna.

— Widziałam ten worek. Jest nafaszerowany sporyszem — stwierdziła Theresa.

— Nie powinnaś była go dotykać — zaprotestował Alkuin. Theresa wyjęła szmatkę i pokazała mu małe czarne kapsułki. Alkuin pokręcił głową.

— W każdym razie nasz wachlarz podejrzanych nadal się zawęża — dodał. — Teraz został tylko Kohl, opat Boecjusz i przeorzy: Ludovico i Agripino.

— A Lotariusz?

— Biskupa już dawno wykluczyłem. Pamiętaj, że poliptych został zmodyfikowany w opactwie i że Lotariusz nie miał nic przeciw temu, abyśmy sprawdzili poliptychy kapituły. Nie. Jego niewinność jest poza wszelkimi podejrzeniami. Co do Agripina powinienem wymazać go z listy: również zachorował i pewnie nie przeżyje.

— Jak tak dalej pójdzie, poumierają nam wszyscy podejrzani — powiedziała gorzko Theresa.

Podrapała się po głowie. Na liście podejrzanych został tylko Kohl, opat Boecjusz i przeor Ludovico. Nie rozumiała, dlaczego Alkuin wciąż powstrzymuje się od ostatecznej rozprawy z winowajcą. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem Hoos nie miał racji.

— Powinniście wyjawić przyczynę choroby. Chorują dziesiątki ludzi. Kobiety i dzieci, które wkrótce wypełnią cmentarze — zasugerowała.

— Już o tym rozmawialiśmy — odparł z surową miną. — Gdy tylko wszyscy się dowiedzą, że przyczyną choroby jest sporysz, winny zmieli ziarno, ukryje je i nigdy nie odnajdziemy przestępcy.

— Ale uprzedzając ich, może byśmy ich uratowali.

— Uratowali przed czym? Przed śmiercią głodową? Jak sądzisz, co będą jeść, jeśli nie pszenicę czy żyto?

— Przynajmniej mogliby zdecydować, jaką śmierć chcą wybrać — odparła zirytowana.

Alkuin westchnął ciężko, zaciskając zęby. Ta dziewczyna była najbardziej upartym stworzeniem, z jakim kiedykolwiek miał do czynienia. Nie rozumiała, że nawet jeśli zamkną młyny, przestępca i tak będzie mógł zemleć ziarno w młynie ręcznym i sprzedać je komuś pozbawionemu skrupułów lub przewieźć do innego miasta, by tam kontynuować swój nieczyny proceder. Usiłował jej to wytłumaczyć, ale na nic się to nie zdało.

— Ludzie umierają teraz. Nie jutro ani za miesiąc. Nie widzicie? To dzieje się teraz — upierała się.

— Śmierć jest taka sama w oczach Boga. A może myślisz, że ci, co teraz umierają, są więcej warci od tych, którzy umrą za kilka miesięcy?

— Wiem tylko, że w tym opactwie pełno jest chorych, którzy nie rozumieją, czym sobie na taką śmierć zasłużyli. — Theresie ze złości napłynęły łzy do oczu. — Bo tak właśnie myślą: że zgrzeszyli i Bóg zsyła na nich karę.

— Z pewnością jesteś jeszcze za młoda, by zrozumieć pewne sprawy. Jeśli chcesz pomóc, idź do skryptorium i zajmij się kopiowaniem tekstów z Hypotyposeis, których jeszcze nie przepisałaś.

— Ale wasza wielebność...

— Wracaj do skryptorium.

— Ale...

— Chyba że wolisz pójść do tawerny.

Theresa ugryzła się w język. Gdyby nie błogosławiony stan Czarnulki Helgi, posłałaby Alkuina wraz z jego tekstami do wszystkich diabłów. Koniec końców odwróciła się i wyszła bez słowa.

* * *

Po przepisaniu kilku akapitów Theresa zmiętoszyła pergamin. Dlaczego nie poprosić kogoś o pomoc? Skoro biskup nie miał z tym nic wspólnego, dlaczego nie podzielić się z nim tymi odkryciami? Była pewna, że Lotariusz mógłby przyczynić się do rozwiązania problemu. Znał podejrzanych, był zorientowany w sprawach opactwa i wiedział, jak funkcjonuje młyn. Zdecydowanie nie rozumiała zachowania Alkuina, a jednak nie miała innego wyjścia, jak tylko uszanować jego decyzję.

Wzięła nowy pergamin i pisała, dopóki pióro nie złamało się pod naciskiem jej palców. Kiedy poszła po drugie, okazało się, że w skrzynce, w której Alkuin przechowywał przybory piśmiennicze, nie było żadnego. Poszła zatem do kuchni po nowe. Kiedy weszła, zastała Favile całą w nerwach. Spytała o Czarnulkę Helgę, ale kucharka jakby jej nie słyszała. Drapała się tylko wciąż po nogach i ramionach.

— Co ci się stało? — spytała.

— To ta przeklęta plaga. Nie wiem, może twoja przyjaciółka mnie zaraziła — odparła, nie przestając się drapać.

— Helga? — Theresa zakryła usta dłonią.

— Tylko się do niej nie zbliżaj.

Favila wskazała sąsiednie pomieszczenie, a sama zanurzyła ręce w miednicy z zimną wodą. Theresa zignorowała przestrożę kucharki i pobiegła do izby. Czarnulka Helga leżała na podłodze. Dygotała jak w febrze i widać było, że nogi zaczynają jej już sinieć.

— Na Boga, Helgo! Co się stało?

Kobieta nie odpowiedziała. Wciąż tylko łkała.

— Wstawaj! Musisz pójść do opactwa. Tam się tobą zajmą. — Pociągnęła ją za ramię, ale nie zdołała jej podnieść.

— Powiedział, żebym nawet nie próbowała. Że nie przyjmują prostytutek.

— Kto ci tak powiedział?

— Twój przyjaciel mnich. Ten przeklęty Alkuin. Kazał mi tu zostać, aż znajdzie dla mnie jakieś miejsce.

Theresa wróciła do kuchni i poprosiła Favilę o pomoc, ale kucharka odmówiła, wciąż zajęta oblewaniem ramion zimną wodą. Wtedy Theresa złapała miednicę i rzuciła nią o ścianę, rozbijając naczynie w drobny mak.

— Alkuin powiedział...

— Wszystko mi jedno, co powiedział Alkuin. Mam dość tego człowieka — zapłakała i odwróciwszy się na pięcie, wyszła z kuchni.

Idąc w stronę zabudowań pałacowych, wciąż pomstowała na brytyjskiego mnicha. Teraz rozumiała, dlaczego Hoos Larsson ostrzegał ją przed nim. Alkuin był człowiekiem nieczułym, dbał tylko o książki i o nic więcej. Przypomniała sobie, że gdyby nie zagroziła, że zaprzestanie przepisywania, wcale by się nie zajął jej przyjaciółką Czarnulką Helgą. Najwyższa pora, by Lotariusz dowiedział się, jakim łajdakiem jest brat Alkuin.

Kiedy stary sekretarz zobaczył, w jakim stanie jest Theresa, starał się ją zatrzymać, ale na próżno. Theresa sforsowała drzwi i wpadła do komnaty biskupa.

Lotariusz akurat siusiał, stojąc bokiem do drzwi. Odwróciła się, aby na niego nie patrzeć, ale nie wyszła z komnaty. Kiedy usłyszała, że strumień moczu słabnie, odliczyła do trzech i się odwróciła. Lotariusz spoglądał na nią zdziwiony i jednocześnie zirytowany.

— Można wiedzieć, co ma oznaczać ta samowola?

— Wybaczcie, eminencjo, ale musiałam się z wami zobaczyć.

— Ze mną...? Czy ty przypadkiem nie jesteś tą dziewczyną, która wszędzie chadza z Alkuinem? Natychmiast stąd wyjdź!

— Wasza wielbność, musicie mnie wysłuchać. — Sekretarz próbował usunąć Theresę, ale oswobodziła się siłą jego uścisku. — Muszę z wami porozmawiać o pladze.

Na dźwięk słowa „plaga” Lotariusz uspokoił się, uniósł brew i poprawił kalesony. Owinął się togą i spojrzał na nią sceptycznie.

— O jakiej pladze mówisz?

— O tej, która atakuje miasto. Alkuin dowiedział się, co jest jej przyczyną, i wie, jak ją powstrzymać.

— Grzech jest źródłem plagi, i to jest nasze jedyne lekarstwo — powiedział, wskazując krucyfiks.

— Mylicie się. To pszenica.

— Pszenica? — biskup dał znak sekretarzowi, by się oddalił. — Jak to pszenica?

— Według poliptychów dwa lata temu zakupiono i przewieziono do Fuldy zakażone partie pszenicy. Do niedawna sprzedawano je w dużych odstępach czasu, by nikt nie powiązał choroby z pszenicą, ale w ostatnich dniach przestępca zaczął ją sprzedawać nie tylko w Fuldzie. Chorych i nieboszczyków stale przybywa i nikt nic nie robi, by temu zapobiec.

— Jesteś tego pewna?

— W młynie Kohla znaleźliśmy truciznę, która zatruwa zboże.

— I podejrzewacie o to Kohla?

— Nie wiem. Alkuin podejrzewa trzy osoby: opata Boecjusza, przeora Ludovica i samego Kohla.

— Wielkie nieba! A dlaczego nie przyszedł z tym do mnie?

— Też go o to spytałam. Nawet do was nie ma zaufania. Ma obsesję na punkcie złapania winnego, ale jedyne, co robi, to tylko czeka, aż ludzie poumierają. — Z oczu Theresy popłynęły łzy. — Nawet moja przyjaciółka Czarnulka Helga zachorowała.

— Natychmiast z nim porozmawiam — postanowił biskup, przywdziewając buty.

— Nie, proszę. Jeśli się dowie, że wam o tym powiedziałam, wypędzi mnie.

— Ale coś trzeba zrobić. Mówisz: Beocjusz, Kohl i Ludovico? Dlaczego akurat ci trzej?

Theresa opowiedziała mu tyle, ile wiedziała. Kiedy rozwiąła już wszystkie wątpliwości Lotariusza, poczuła ulgę, bo biskup był gotów rozwiązać problem.

— Wydam nakaz zatrzymania podejrzanych. A jeśli chodzi o twoją przyjaciółkę... jak ona się nazywa?

— Czarnulka Helga.

— Tak, Helga. Każę ją przenieść do infirmerii kapituły. Tam będzie miała dobrą opiekę.

Ustalili, że Theresa wróci do skryptorium, ale pozostanie w pałacu episkopalnym na wypadek, gdyby Lotariusz jej potrzebował. Kiedy wyszła z komnaty biskupa, sekretarz posłał jej mordercze spojrzenie.

Przed udaniem się do skryptorium Theresa postanowiła sprawdzić, w jakim stanie jest Czarnulka Helga. Nie wiedziała, czy znajdzie się dla niej jakieś lekarstwo, ale podejrzewała, że przynajmniej wiadomość o przeniesieniu do infirmerii trochę ją pocieszy. Jednak gdy weszła do kuchni, Helgi już tam nie było. Pytała wszystkich, ale nikt nie potrafił powiedzieć, co się z nią stało.

* * *

Resztę dnia spędziła bez żadnych wieści od Lotariusza czy Alkuina. Fakt, że nie było mnicha, stanowił dla niej pewną ulgę, ale zniknięcie Czarnulki Helgi bardzo ją martwiło. Przed kolacją postanowiła wyjść z pałacu i trochę pospacerować. Nic nie miała w ustach i była pewna, że nie zje też kolacji, zresztą zapewne z powodu wyrzutów sumienia nie miała też apetytu. Nie wiedziała, czy postąpiła słusznie, ale przynajmniej miała nadzieję, że Lotariusz nakaze zamknięcie młynów i plaga na zawsze zniknie.

Po drodze wciąż myślała o przyjaciółce. Szukała jej w kuchni, w spiżarniach, w szpitalu. Poszła pod tawernę i do domu sąsiadki, która zaopiekowała się Helgą, kiedy Widukindo zranił ją w policzek. Pytała o nią nawet na ulicach, po których krążyły najbardziej zepsute ladacznice, ale nigdzie nie było śladu jej przyjaciółki.

Zupełnie jakby zapadła się pod ziemię. Potem przypomniała sobie o Alkuinie i aż ją skreśliło w żołądku. Nie rozumiała, dlaczego czuła się tak źle, skoro działała świadomie.

Gorąco pragnęła, by był przy niej Hoos Larsson. Tęskniła za jego uśmiechem, oczami barwy nieba, drobnymi żarcikami na temat rozmiaru jej bioder i jego opowieściami o Aquis-Granum. Tęskniła tak bardzo, że oddałaby wszystko, by jeszcze raz zaznać jego pieśczoć.

Spacer zakończyła przed wielką bramą miejską. Były to imponujące wrota z belek, głogu i metalowych poprzeczek broniących głównego wejścia do Fuldy. Bramę wieńczył szpaler zębów wykonanych z naostrzonych końców pni kontrastujących z pomarańczowym światłem pochodni. Theresa zauważyła też liczne łaty, które pokrywały wrota, nadając im wygląd chylącej się ku upadkowi konstrukcji.

Istniały również inne wejścia do miasta, ale były mniej chronione. Tu po obu stronach bramy ciągnął się kamienny mur broniący terenu starego miasta. Przy nim wznosiły się liczne domki przyparte do muru, by oszczędzić na budowie czwartej ściany, co utrudniało ruchy załogi, która strzegła miasta. Mur obronny otaczał tylko część miasta, bo pochodził z czasów założenia opactwa i początkowo chronił jedynie klasztor i jego sady. Potem miasto rozrosło się, a pola ustąpiły miejsca domostwom. Gdyby rozbudowano mur, przedmieścia położone za murami zyskałyby ochronę przed ewentualnym atakiem.

Każdej nocy zakładano sztaby na pozostałe bramy i jedynie brama główna pozostawała otwarta. Jednak tej nocy również i ona była zamknięta, czyniąc z miasta bastion nie do zdobycia. Theresa pomyślała, że może stało się tak za sprawą biskupa, który chciał uniemożliwić przestępcy ucieczkę, ale jeden ze strażników powiedział jej, że pod koniec dnia wielu wieśniaków mówiło, że zauważyli jakichś uzbrojonych obcych ludzi i choć zapewne byli to tylko rozbójnicy, postanowiono przedsięwziąć środki ostrożności.

Tymczasem na zewnątrz tłum przerażonych ludzi walił w bramę, domagając się, by wpuszczono ich do miasta. Po naradzie z przełożonym jeden ze strażników zszedł z baszty, by otworzyć bramę. Theresa patrzyła, jak inny strażnik wylewa kubły wody na tych, którzy usiłowali się precyzyjnie, a dwaj pozostali, uzbrojeni w różgi z leszczyny, zajmują miejsca po obu stronach bramy. Strażnik zagroził, że nie otworzy bramy, i ludzie nieco się uspokoili. Ale gdy tylko odsunął rygle, tłum naparł na skrzydła, zmuszając wartowników do cofnięcia się.

Theresa odsunęła się w chwili, gdy strumień ludzi zaczął torować sobie drogę między bezradnymi strażnikami. Mężczyźni, kobiety i dzieci obładowani dobytkiem i zwierzętami wpadli do środka, jakby gonił ich diabeł. Kiedy wpuszczono ostatniego, strażnicy zaryglowali bramę i weszli z powrotem do baszty. Jeden z miejscowych miał ochotę uciąć sobie z Theresa pogawędkę.

— Wielu zostało na zewnątrz, bo myślą, że oni nie zaatakują, ale mnie drugi raz nie dopadną znienacka — zaczął, pokazując starą bliznę na brzuchu.

Theresa nie wiedziała, co o tym myśleć. Ci, którzy właśnie weszli do środka, wyglądali tak, jakby uciekali przed końcem świata, ale i tak ci ludzie nie stanowili nawet jednej dziesiątej wszystkich przebywających poza murami.

Pełna obaw Theresa postanowiła zawrócić. Przeszła raz jeszcze pod tawerną Czarnulki Helgi, na wypadek gdyby ta jednak wróciła do domu, ale tawerna nadal była opuszczona. Postanowiła zatem udać się do biskupstwa. Przed

pójściem spać chciała raz jeszcze zajrzeć do kuchni, ale zastała tam tylko Favile, która wyrzucała jej, że sprowadziła do kapituły prostytutkę.

— Wiedziałam, że przy pierwszej okazji zakpi sobie z nas — stwierdziła, nie dając Theresie dojść do słowa.

Dziewczyna pożegnała się, nic na to nie odpowiadając. W stajni zaczęła rozmyślać nad tym, co się wydarzyło: zamordowana dziewczyna, dziesiątki otrutych mieszkańców, mnich, co do którego nie była pewna, czy może mu ufać, i na dodatek jej jedyna przyjaciółka znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Odmówiła modlitwy za swoją rodzinę, za Hoosa i za Czarnulkę Helgę. Potem ułożyła się na sianie i czekała, aż nastanie świt.

W środku nocy obudziła ją niesłychana wrzawa. Wszędzie słychać było krzyki, pospieszne kroki i bieganinę. Do stajni weszli klerycy niosący pochodnie, by osiodłać konie. Theresa wstała wystraszona i pobiegła do kwatery Favili. Kucharka krążyła nieprzytomna od ściany do ściany, a jej bujne ciało falowało pod zgrzebną koszulą. Miała już zapytać, co się dzieje, gdy bicie w bębny odebrało jej mowę. Obie wbiegły po schodach na dach, z którego widać było całe miasto, i ku swemu zaskoczeniu nagle zobaczyły niecodzienny widok: główną ulicą miasta wśród wiwatów i braw kroczył orszak jeźdźców z mężczyzną w zbroi na czele eskortowany przez grupę bębniarzy. Mimo późnej nocy dziesiątki ludzi wyległy na ulice, pozdrawiając rycerzy, jakby do miasta wjechał sam Pan Bóg ze swymi zastępami. Favila przeżegnała się i ruszyła na dół po schodach, krzycząc z radości, Theresa zaś pobiegła za nią, nie rozumiejąc powodu tego zamieszania.

W kuchni, rozpalając palenisko, Favila wreszcie jej powiedziała:

— Naprawdę jeszcze o tym nie wiesz? Przybył mocarz. Nasz król, Karol Wielki.

ROZDZIAŁ 18

Theresa nigdy nie przypuszczała, że obecność monarchy spowoduje taki zamęt. Tej samej nocy musiała opuścić stajnie, ponieważ klerycy zakwaterowali w nich czeladź. Przeniosła się do izby, którą w pałacowych spiżarniach zajmowała Favila. Jednak ledwie się położyła, królewscy kucharze opanowali pomieszczenia kuchenne, wypełniając je kaczkami, bażantami i kaczorami pozamykanymi w klatkach, które gęgały jak najęte przez resztę nocy.

Następnego dnia z samego rana w całej kapitule panował istny rejwach. Klerycy biegali z jednego miejsca na drugie obładowani kwiatami do udekorowania katedry na mszę świętą, w kuchni parowały dania z pieczystym, jarzynami i wyśmienitymi wypiekami, służące czyściły wszystkie zakamarki, a akolici Lotariusza starali się upchnąć cały dobytek biskupa w sąsiednim pomieszczeniu, bo jego komnatę zajął Karol Wielki.

Na nic się nie zdały argumenty Theresy, że polecenia może jej wydawać tylko Alkuin. Kucharka była głucha na jej protesty i wypchnęła Theresę wraz z innymi służącymi do pomocy w refektarzu. Kiedy Theresa tam się znalazła, zobaczyła, że cała jadalnia jest udekorowana kobiercami o religijnej tematyce, w których dominują purpura i błękit. Główny stół zastąpiono trzema długimi blatami wspartymi na trójnogach, tworzącymi literę „U” i ustawionymi przy trzech ścianach naprzeciw wejścia. Theresa ułożyła rząd zielonych jabłek na wspaniałych lnianych obrusach ozdobionych wazonami z cyklamenami, zimowitami i fiołkami, zimowymi kwiatami, które hodowano w warzywniaku. Po obu stronach stołu, z wyjątkiem środkowej części, gdzie ustawiono tron i fotele dla króla i jego faworytów, stały rzędy taboretów.

Kucharze przygotowali ucztę dla całego legionu wygłodniałych ludzi. Nie zabrakło kapłonów i kaczek podawanych w pełnym upierzeniu, jajeczniczy z bażancich jaj, smażonej wołowiny, łopatek jagnięcych, żeberek i kotletów wieprzowych, cynaderek, flaczków i podawanej jako dodatek kapusty, rzepy i rzodkwi przyprawionych czosnkiem i pieprzem, duszonych karczochów, wszelkiego rodzaju kielbas i wędlin, sałatek jarzynowych, pieczonych zajęcy, przepiórek w mary-nacie, kruchych ciast i mnóstwa deserów z miodu i żytniej mąki.

Po powrocie do kuchni Theresa usłyszała, jak szef kucharzy pyta Favilę, czy ma garum. Kucharka pokręciła przecząco głową. Najwyraźniej monarcha uwielbiał tę przyprawę, ale zapomniano jej zabrać z Aquis-Granum.

— Przecież można przygotować nowe garum — zasugerowała Theresa.

Szef kucharz odparł, że jedyna osoba, która potrafiła je przyrządzić, nie wyruszyła na wyprawę. Theresa przypomniała sobie, że żona Althara nauczyła ją, jak się robi garum, i zaproponowała swoją pomoc.

— Oczywiście z waszym przyzwoleniem.

Nie dając mu czasu na odpowiedź, pobiegła do spiżarni, skąd wróciła obciążona niezbędnymi składnikami. Odstawiła oliwę, sól i suche rybie wnętrzności na jednej z ław i wyjęła buteleczkę, z której wylała na łyżkę trochę płynu.

— Przygotowałam to dwa dni temu. — Theresa spojrzała zawstydzona na Favilę, ponieważ wcześniej zapewniała ją, że przyprawa jest dziełem Helgi. Mężczyzna spróbował i spojrzał na nią zaskoczony.

— Do czorta! Król będzie zachwycony! Wy, tutaj — zawołał do dwu sług — zostawcie te sosy i pomóżcie dziewczynie przygotować garum. Jeśli gotujesz równie dobrze, jak przyprawiasz, na pewno znajdziesz zamożnego męża.

Theresa wierzyła, że tym mężem będzie Hoos Larsson. Nie wiedziała, czy jest majątny, ale z pewnością nie poznała dotąd mężczyzny równie przystojnego jak on.

* * *

Kiedy kucharz powiedział Favili, że Karol Wielki chce poznać autorkę tej przyprawy, kucharka zdenerwowała się tak bardzo, jakby to ją samą wzywano. Przygładziła Theresie włosy, natarła jej policzki, aż nabrały rumieńców jak u noworodka, i dała jej czysty fartuch. A potem pożegnała się z nią, nazywając ją szelmutką. Ale Theresa złapała Favilę za rękę i pociągnęła ją za sobą.

W pobliżu refektarza zobaczyły ogromną liczbę lokajów, sług, służących i posługaczy, którzy kręcili się tuż przy wejściu. Torujący im drogę kucharz odsunął kilku gapiów, przepuścił je do jadalni i kazał poczekać, aż lektor skończy recytować psalmy.

Kiedy kleryk czytał, Theresa przyjrzała się mocarnej posturze Karola Wielkiego. Monarcha stał pośrodku sali w towarzystwie młodej dziewczyny, która przy nim wydawała się karlicą. Miał krótką pelerynę, która śmiesznie wyglądała na jego potężnej sylwetce, wełniany płaszcz, bufiaste spodnie i skórzane buty z cholewami. Na jego twarzy ogolonej na modłę Franków wyróżniał się sumiasty wąs kontrastujący z włosami zebranymi w długi ogon. Kiedy lektor skończył czytać, Alkuin, Lotariusz i gromada elegancko wystrojonych prałatów zasiedli do stołu i zaczęli jeść. Kucharz wykorzystał tę chwilę i poprowadził Theresę przez salę przed oblicze króla, ona zaś,

załęczniona, wykonała przed monarchą niezbyt zgrabny ukłon. Karol Wielki spojrział na nią pytająco.

— To dziewczyna od gamm — poinformował kucharz.

Karol Wielki otworzył szeroko oczy, dziwiąc się, że jest taka młoda, pozdrowił ją i jadł dalej jakby nigdy nic.

Theresa stała niezdecydowana, aż wreszcie poczuła, że kucharz ciągnie ją za ramię i prowadzi do wyjścia.

Miała już wracać do kuchni, gdy Favila skinęła na nią, by przy okazji zabrały puste garnki. Obie stanęły w kącie jadalni i przyglądały się biesiadnikom pochłaniającym dania, jakby przez całe życie niczego podobnego nie jedli. Kiedy goście ucztowali, dziesiątki wasali, właściciele ziemskich i rzemieślników defilowało przez refektarz, składając pokłony monarsze.

Nagle Theresa zauważyła dystyngowanego człeczynę, w którym rozpoznała nabywcę niedźwiedzia Althara. Za nim rumiany sługa niósł na tacy, zupełnie jakby to było kolejne danie, głowę tej samej bestii, którą Theresa upolowała podczas swojego pobytu w niedźwiedziej gawrze. Człeczyna przeciął salę i pochylił się przed królem. Po chełpliwych wyjaśnieniach odsunął się, przepuszczając sługę, który postawił głowę niedźwiedzia między półmiskami z jedzeniem. Karol Wielki (wstał, podziwiając urodę łba. Powiedział coś na temat oczu, na co człowieczek odpowiedział kolejnymi pokłonami. Król podziękował za podarek i pożegnał mężczyznę, który wycofał się tyłem, co chwila zginając się w pokłonach.

Jako że głowa niedźwiedzia wylądowała niedaleko Theresy, dziewczyna postanowiła lepiej jej się przyjrzeć, bo była ciekawa, co takiego zaniepokoiło Karola Wielkiego. Kiedy podeszła bliżej, zobaczyła, że jedno oko przesunęło się, odbierając bestii groźny wygląd. Pomyślała, że z łatwością mogłaby to naprawić, więc złapała nóż i nikogo nie pytając o pozwolenie, zaczęła nacinać szew, który biegł aż do pechowego oczodołu. Niemal już go rozcięła, gdy poczuła, że ktoś łapie ją za ramię.

— Co, u diabła, usiłujesz zrobić? — Był to właściciel niedźwiedziego łba, który podniósł teraz głos tak, by wszyscy go słyszeli.

Teresa wyjaśniła, że chciała jedynie naprawić oko, ale mężczyzna wymierzył jej tak siarczysty policzek, że dziewczyna upadła na ziemię. Jeden z kucharzy podbiegł i próbował ją odciągnąć, ale król poprosił, aby pomogli jej wstać.

— Zbliź się — rozkazał.

Drżąc ze strachu, Theresa wykonała polecenie.

— Ja tylko próbowałam... — zaczęła zawstydzona.

— Próbowala zepsuc moja głowe — wtracil czlowieczek.

— Chcieliście powiedziec „moja” głowe — poprawil go Karol Wielki. — Czy rzeczywiŝcie chciałaś ją popsuc? — spytal Theresę.

Kiedy dziewczyna zdobyła się wreszcie na odpowiedź, z jej gardła wydobył się cienki głosik.

— Próbowalam tylko umieścic oko we własciwym miejscu.

— Iz tego powodu rozkroilaś łeb? — zdziwil się król.

— Wcale go nie rozkroilam, tylko przecielam szew.

— I na dodatek krętačka! — wtracil czlowieczek.

W tym momencie Alkuin szepnal coś królowi na ucho, a ten skinął głową i uważnie obejrzał łeb niedźwiedzia.

— Jak mogłaś przeciac szew, skoro nawet go nie widać? — spytal król.

— Wiem, którędy biegań szwy, bo sama je wykonałam — wyjaśniła. Słyszac odpowiedź, wszyscy poza Alkuinem wybuchli gromkim śmiechem.

— Widzę, że będę jednak musiał przyznac ci rację — powiedzial król do czlowieczka, który oskarzył Theresę o krętačko.

— Zapewniam was, że nie kłamię. Najpierw upolowalam tego niedźwiedzia, a potem wypchalam głowe — upierala się Theresa.

Monarcha uniósł brew. Dotąd dziewczyna wydawała mu się sympatyczna, ale jej zuchwałość zaczynała graniczyć z brakiem rozsądku. Wahał się, czy skazać ją na karę chłosty, czy po prostu ją odesłać, ale coś w jej spojrzeniu go zaintrygowalo.

— W takim razie przekonajmy się o tym — powiedzial król, nakazujac ciszę.

W sali slychać bylo tylko odgłosy przeżuwania i mlaskania.

Theresa spojrzala zdecydowanym wzrokiem na Karola Wielkiego. Potem ku zdziwieniu wszystkich zgromadzonych opowiedziala ze szczegolami o polowaniu, podczas którego pomogła Altharowi pokonać bestię. Kiedy skonczyla opowieść, nikt na sali nie wierzył w ani jedno jej slowo.

— A zatem mówisz, że zabiłaś niedźwiedzia strzałem z kuszy? Muszę przyznac, że twoja opowieść jest naprawdę fantastyczna, ale dowodzi jedynie tego, że kłamiesz jak z nut — stwierdzil Karol Wielki.

Theresa zrozumiala, że jeśli szybko nie przekona króla, zaraz na siłę ją stąd wyciągną. Natychmiast złapala głowe niedźwiedzia i trzymajac ją przed sobą, spytala:

— Gdyby to, co powiedzialam, bylo kłamstwem, to skąd bym wiedziala, czym wypchana jest ta głowa?

— To powiedz czym? — spytał zaintrygowany Karol Wielki.

— Jest wypchana bobrowym futrem.

Nie czekając na pozwolenie, rozdarła szew, wyjęła zbity futrzany kłębek i rzuciła na stół. Potem rozplatała kłębek i oczom zebranych ukazało się podniszczone bobrowe futerko. Karol Wielki spojrzał na nią poważnym wzrokiem.

— Ale musisz jeszcze udowodnić, że to ty upolowałaś tego niedźwiedzia...

Theresa zagryzła wargi. Rozejrzała się wokół, aż zobaczyła miejsce, gdzie urzędnicy zostawili swoją broń. Bez słowa przemierzyła salę i chwyciła kuszę, która spoczywała obok skrzyni. Jakiś żołnierz dobył szpady, ale Karol Wielki powstrzymał go ruchem ręki. Theresa wiedziała, że ma tylko j edną szansę. Przypomniała sobie, j ak po upolowaniu niedźwiedzi ćwiczyła z Altharem, aż osiągnęła wprawę w posługiwaniu się kuszą. Jednak nigdy nie udało jej się samodzielnie jej naciągnąć. Wsparła jeden koniec o posadzkę i zdecydowanie stanęła na łuku. Potem przesunęła dźwignię i zaczęła wszystkimi siłami naciągać cięciwę. Brakowało już niewiele, gdy nagle cięciwa się wyslizgnęła. Z ust zebranych wyrwał się okrzyk, ale Theresa znów pociągnęła, czując, jak włókna wbijają jej się w palce. Pomyślała o wypadku w warsztacie, o swym ojcu Gorgiasie, o Altharze, o Czarnulce Heldze i o Hoosie Larssonie. To zbyt wiele ofiar w jej życiu! Zacisnęła zęby i pociągnęła jeszcze mocniej. Wtedy cięciwa zaskoczyła z hukiem i wreszcie była porządnie naciągnięta.

Theresa uśmiechnęła się zadowolona. W końcu załadowała bełt i spojrzała na króla, czekając na jego przyzwolenie. Kiedy król skinął dłonią, uniosła broń, starannie wycelowała i nacisnęła spust. Bełt przeciął ze świstem powietrze i wbił się w ziemię, równiutko między butami zamożnego człowieka. Po refektarzu przeszedł pomruk zdziwienia. Karol Wielki wstał i przywołał dziewczynę.

— Jestem pod wrażeniem. Widzę, że Alkuin miał rację, radząc mi, bym wierzył twoim słowom. — Spojrzał na dziewczynę, która zasiadała po jego prawicy. — Po śniadaniu przyjdź do mojej komnaty: z przyjemnością przedstawię cię mojej córce.

W tym momencie Lotariusz wstał, prosząc o ciszę. Założył mitrę i uroczyście wznosił kielich.

— Sądzę, że nadszedł czas na toast — zaproponował. Pozostali biesiadnicy wzniesli swe szklanice. — Zawsze to dla nas prawdziwy honor cieszyć się obecnością naszego umiłowanego monarchy Karola Wielkiego, z którym, jak wszystkim wiadomo, łączą mnie więzy krwi i przyjaźni. Również przynosi

nam zaszczyt poselstwo rzymskie z jego eminencją diakonem Flawiuszem, świętym papieskim prałatem, na czele. Z tego powodu sędzę, że powinienem ogłosić, że w dowód szacunku i lojalności wobec ludzkiej potęgi — ukłonił się przed Karolem Wielkim — i bezwarunkowego poddania bożej sprawiedliwości — to samo uczynił wobec wysłanników kurii rzymskiej — dziś po południu odbędzie się egzekucja Knura.

Na zakończenie przemówienia zebrani wzniesli toast, nie stukając się jednak kielichami, co zaintrygowało Theresę. Favila wyjaśniła jej później, że zwyczaj stukania się pochodził z dawnej germańskiej tradycji, której źródłem był wzajemny brak zaufania.

— Niegdyś, kiedy król chciał zapanować nad nowymi terenami, zenił swego syna z księżniczką z królestwa, którego tak pożądał, zapraszał ojca narzeczonej na ucztę i podawał mu kielich zatrutego wina. Aby zapobiec otruciu, goszczony król stukał się swym kielichem z gospodarzem, tak aby wina się zmieszały, i gdyby pisane mu było umrzeć, nie odchodziłby z tego świata samotnie. Dlatego tu w Fuldzie na znak zaufania zawsze unika się stukania kielichami — dodała.

Theresa spojrzała w stronę Alkuina. Czuła się zawstydzona, bo w głębi serca wiedziała, że go zdradziła. W tej samej chwili mnich przeprosił Lotariusza i ruszył w kierunku Theresy. Przywitał się z nią całkiem naturalnie.

— Nie wiedziałem, że jesteś tak biegła w sporządzaniu przypraw. Czy jest coś jeszcze, co powinienem o tobie wiedzieć, a czego mi nie mówiłaś?

Theresę zmroziło to pytanie, bo czuła, że Alkuin czyta jej w myślach. Mnich dodał groźnie, że muszą porozmawiać na osobności.

— To chyba nie jest dobry dzień na pracę w skryptorium — powiedziała Theresa, gdy szli korytarzem. — Mówię tak ze względu na egzekucję.

Alkuin skinął głową, nie odpowiadając. Minał skryptorium, skreślił w stronę katedry, przeszedł przez transept i skierował się do zakrystii. Kiedy się tam znaleźli, wyjął klucz z niszy i otworzył pomieszczenie, w którym stał ogromny krucyfiks. W środku czuć było wilgocia. Alkuin usiadł na jedynej ławie, jaka się tam znajdowała, i zaprosił dziewczynę, by usiadła obok niego. Potem odczekał chwilę, aż Theresa się uspokoi.

— Kiedy spowiadałaś się po raz ostatni? — spytał mnich cichym głosem. — Miesiąc temu? Więcej niż dwa miesiące? To zbyt długo, gdyby przypadkiem coś ci się stało.

Theresa się przestraszyła. Spojrzała na drzwi, ale uznała, że gdyby próbowała uciec, Alkuin i tak by ją zatrzymał.

— Oczywiście przypuszczam, że dotrzymałaś swojej obietnicy — ciągnął dalej mnich. — Mam na myśli powierzony ci sekret. Wiesz, co dzieje się z tymi, którzy złamią przysięgę?

Theresa pokręciła głową i zaczęła płakać. Mnich podał jej chusteczkę, ale ona ją odrzuciła.

— Może chcesz się wyświadczyć...

Theresa przyjęła wówczas chusteczkę, którą ocierała oczy tak długo, aż całkiem jej się zaczerwieniły. Kiedy znalazła w sobie dość odwagi, zaczęła mówić. Pominęła sprawę pożaru w Wurzburgu, ale przyznała się do grzesznego obcowania z Hoosem. Mnich zganiał ją za to, ale gdy zwierzyła mu się, że była u biskupa, dostał furii.

— Błagam was o wybaczenie. Było tylu chorych, tylu straciło życie — znów zaczęła płakać. — A potem to, co się stało z Czarnulką Helgą. Wiem, że to prostytutka, ale nie mogłam beczynnie czekać.

— I dlatego poszłaś do Lotariusza i powiedziałaś o wszystkim, co odkryłem.

Dziewczyna zalała się łzami. Alkuin był niewzruszony.

— Thereso, posłuchaj mnie. Chcę wiedzieć, czy mówiłaś Lotariuszowi, kogo podejrzewam?

— Tak. Opata Boecjusza, przeora Ludovica i młynarza Kohla. Alkuin zacisnął zęby.

— A powiedziałaś o przyczynie zatrucia? Mówiłaś mu o sporyszu? Theresa pokręciła głową. Wyjaśniła, że powiedziała mu tylko o istnieniu trucizny, bo nie mogła sobie przypomnieć nazwy grzyba.

— Jesteś tego pewna? Theresa gorliwie przytaknęła.

— Dobrze. Teraz zamknij oczy, dam ci rozgrzeszenie.

Kiedy Theresa otworzyła oczy, zobaczyła tylko, jak Alkuin znika za drzwiami, a potem usłyszała zgrzyt klucza przekrećanego w zamku.

* * *

Wkrótce przekonała się, że nikt jej nie uwolni. Usiłowała manipulować przy zamku za pomocą stalowego krzesiwa, ale jedynie uszkodziła narzędzie i pokaleczyła sobie palce. Wróciła na ławkę i rozejrzała się wokół. Zakrystia mieściła się w małej bocznej absydzie połączonej z ambitem transeptu za pośrednictwem korytarza, do którego prowadziły drugie drzwi. Zauważyła w drzwiach małe okienko ze wstawioną taflą alabastru, które, jak przypuszczała, musiało wychodzić na zewnątrz, bo gdy była na placu, widziała okno o podobnym kształcie. W dolnej części zauważyła pęknięcie, które zapewne powstało pod wpływem uderzenia kamieniem. Przysunęła zatem ławkę i stanęła

na niej, by wyrzeć przez szczelinę. Okazało się, że w istocie mur graniczy z placem głównym, dzięki czemu miała stamtąd całkiem dobry widok. Z powrotem usiadła na ławie, czekając, aż wreszcie ktoś ją uwolni.

Tymczasem zajęła się rozmyślaniami na temat zachowania Alkuina. Hoos już ją przed nim ostrzegał, a takie postępowanie, jak więzienie jej i kara za poinformowanie Lotariusza o przyczynach choroby, jedynie wzmacniały jej podejrzenia.

Nie wiedziała, co o tym myśleć.

Mnich jej pomógł i choć niechętnie, to jednak zadbał, by Czarnulka Helga znalazła zajęcie w kuchni. Ale na co to się zdało? Ostatnim razem, gdy widziała Helgę, ta już miała pierwsze objawy choroby, a w tej chwili nie wiadomo nawet było, gdzie się podziewa.

Dlaczego ją zamknął?

W tym momencie zaczęły bić dzwony, zwiastując rychły początek egzekucji. Przez szparę w oknie Theresa patrzyła, jak dziesiątki osób zaczynają się zbierać wokół tego samego dołu, w którym tydzień wcześniej usiłowano pogrzebać żywcem Knura. W większości byli to starcy, którzy przybywali obładowani jedzeniem i szukali najlepszych miejsc, ale nie brak też było chłopaczków, którzy nie mieli nic do roboty, a także żebraków zawsze krążących po placu i jego najbliższej okolicy. Kilka kroków od muru, niemal tuż pod nim, ustawiono krzesła i taborety, na których z pewnością mieli zasiąść wysocy dygnitarze, wśród nich Karol Wielki i dostojnicy rzymscy.

Było wcześniej. Oceniała, że do egzekucji zostały jeszcze jakieś trzy godziny. W skrzyniach odkryła sporo tkanin liturgicznych: haftowane serwety na ołtarz, zasłony wieszane nad wejściem do prezbiterium, sukna, pelerynki, narzuty, całuny, płaszcze, tuniki, habity na Wielkanoc i Zielone Świątki i nieskończoną ilość drobniejszych ozdób, którymi można by wystroić całą kongregację katedralną.

Uporządkowała materiały i czekała na powrót Alkuina, ale czas mijał powoli, więc znów wróciła do skrzyń i przymierzyła purpurowy habit ze złotymi lamówkami. Podobał jej się zapach kadzidła, ale natychmiast zdjęła habit, bo ważył tyle, jakby był nasiąknięty wodą. Zostawiła go na skrzyni i położyła się na ławie.

Pomyślała o ojcu i zaczęła zastanawiać się, co on teraz robi. Stwierdziła, że może powinna jednak wrócić do Wurzburga. Potem zamknęła oczy i odpłynęła myślami.

Nie wiedziała, że śpi, dopóki walenie w bębny nie zapowiedziało, że wkrótce zacznie się egzekucja.

Podbiegła do okna. Wśród tłumu cisnącego się na placu dostrzegła sylwetkę Knura czekającego na skraju dołu na śmierć w męczarniach. Pod oknem w odległości rzutu kamieniem Karol Wielki i jego świta zajmowali miejsca. Zauważyła Alkuina i Lotariusza, ale nigdzie nie widziała młynarza Kohla.

Miała już się cofnąć, gdy zobaczyła, że Alkuin wstaje i podchodzi do kobiety, która stała z pochyloną głową. Porozmawiał z nią chwilę, po czym wrócił na miejsce. Kiedy kobieta uniosła głowę, Theresa zobaczyła, że była to Czarnulka Helga, która wcale na chorą nie wyglądała.

Nie otrząsnęła się jeszcze z zaskoczenia, gdy usłyszała jakieś głosy. Natychmiast wyjrzała przez kratę i zobaczyła dwóch kleryków zamiatających posadzkę transeptu. Cofając się, zawadziła o ławę i w całym kościele rozbrzmiał łomot przewracającego się mebla. Wyjrzała jeszcze raz i stwierdziła, że do drzwi zbliżają się zdziwieni nowicjusze.

Zamierzała się schować, ale nie wiedziała gdzie. Nagle złapała purpurową sutannę, którą wcześniej przymierzała, szybko ją na siebie narzuciła i położyła się na ziemi z twarzą do dołu i kapturem na głowie. Kiedy klerycy zajrzeli przez kraty, zobaczyli jedynie omdlałego kapłana. Zaniepokojeni zaczęli krzyczeć, ale Theresa ani drgnęła. Wtedy stało się to, czego się spodziewała: widząc, że kapłan nie reaguje, jeden z kleryków sięgnął do niszy po klucz i wsunął go do zamka. Kiedy kleryk otworzył drzwi i pochylił się nad nią, skoczyła na równe nogi i wymknęła się z taką chyżością, że obaj nowicjusze byli pewni, iż widzieli samego diabła.

* * *

Szybko dotarła do wyjścia, ponieważ z wyjątkiem tamtych dwóch kleryków wszyscy byli na placu. Kiedy znalazła się w tłumie, utorowała sobie drogę z pomocą swego rzucającego się w oczy stroju, jednak gdy zbliżyła się do szafotu, jeden z żołnierzy kazał jej się zatrzymać. I dziewczyna zamarła przerażona. Gdyby złapano ją przebraną za księdza, /ostałaby oskarżona o herezję. Długo sienie zastanawiając, wyslizgnęła się z habitu, który opadł na ziemię. Stojące obok kobiety natychmiast rzuciły się na habit, walcząc jak bestie o cenny materiał. Theresa wykorzystała zamieszanie i ukryła się za jakimś potężnym chłopem. Kiedy żołnierz rozdzielił kobiety, po młodej heretyczce nie było już śladu.

Wkrótce potem Theresa dotarła do podium dla dygnitarzy, ale ku jej zdziwieniu nikogo na nim nie było.

— Nagle wstali i się ulotnili — poinformował ją dobrze zorientowany sprzedawca kielbasek.

Theresa kupiła od niego pół kielbaski, a wtedy sprzedawca dodał, że między Lotariuszem a jakimś chudym mnichem wywiązała się dyskusja, która położyła kres królewskiej cierpliwości.

— Monarcha wstał oburzony i kazał im rozwiązać spór w innym miejscu. Po tych słowach opuścił podium i wszyscy ruszyli za nim jak cieleta.

— A dokąd poszli?

— Chyba do katedry. A niech ich! Jeśli szybko nie wrócą, to komu sprzedam te cholerne kielbaski — zaklął i odwrócił się, by dalej zachwalać swój towar.

Theresa spojrzała w stronę katedry i znów zauważyła Czarnulkę Helgę. Tym razem Helga też ją zobaczyła. Zaczęła machać przyjaciółce, ale Helga pochyliła głowę i znikła w bramie prowadzącej do katedry. Choć Theresa natychmiast za nią pobiegła, gdy dopadła do drzwi, zastała je zamknięte.

Być może powinna była poczekać na zewnątrz, ale jakiś wewnętrzny impuls kazał jej wskoczyć do środka przez okno. Kiedy już znalazła się pod drugiej stronie, usłyszała kroki oddalającej się Helgi. Pomyślała, że ją dogoni, jeśli przebiegnie przez chór, więc otworzyła drzwiczki prowadzące na balkon i rozejrzała się po wnętrzu katedry. Z balkonu widać było ołtarz, na którym stała grupa dyskutujących o czymś zawzięcie kleryków. Theresa dostrzegła Lotariusza i Alkuina stojących przed mnichami oraz sylwetkę Kohla, zakneblowanego i skutego, z wyraźnymi śladami tortur.

Zrobiło to na niej tak duże wrażenie, że zapomniała o Czarnulce Heldze i cicho podeszła bliżej, by posłuchać, o czym mówią. Miała wrażenie, że Alkuin broni młynarza, gdy nagle Lotariusz wstał i przerwał mu gwałtownie.

— Dość już tego bełkotu, za pozwoleniem króla i wikariusza Stolicy Świętej, z bożą aprobatą. — Lotariusz wystąpił krok naprzód i stanął przed Alkuinem. — Naprawdę wiemy jedynie, że dziesiątki osób zachorowały na chorobę, której ani nasi medycy, ani nasze modlitwy nie potrafiły zaradzić. A naprawdę w całej tej sprawie wcale nie najistotniejsze jest to, że sprawcą tej plagi, którą każdy przy zdrowych zmysłach przypisałby samemu diabłu, jest odrażający człowiek z krwi i kości. — Zatrzymał się, wskazując palcem Kohla. — Nie. To, co naprawdę jest istotne, to fakt, że te ludzkie szumowiny znalazły obrońcę w postaci mnicha Alkuina z Yorku, na którego barkach spoczywa ciężar ochrony naszego Kościoła.

W świątyni rozległ się szmer zdziwienia. Biskup mówił dalej.

— Jak już wcześniej oświadczyłem, tego ranka urzędnik znalazł na terenie posesji Kohla ukrytą partię zboża, która, jak się zdaje, jest przyczyną zatrucia. Zboża, na którego temat Kohl nic nie potrafił powiedzieć, dopóki smak tortur nie nasycił jego obrzydliwego ducha. Ale teraz, gdy młynarz już się przyznał do haniebnego przestępstwa, pytam: Jak daleko sięga jego wina? Proste go człowieka, przywykłego do przepychu i bogactwa, nieposiadającego szczególnego wykształcenia poza tym, czego się nauczył przy pracy na roli. Możemy bowiem zrozumieć, że skąpstwo ogarnia ciemną duszę, taką jak dusza Kohla. Możemy nawet okazać wobec niego tolerancję i zdjąć z niego ciężar grzechu z uwagi na liczne donacje, którymi gorliwie wspierał i zapewne nadal będzie wspierać tę kongregację. Ale jak mamy zaakceptować fakt, iż tak wykształcony człowiek i mnich, Alkuin z Yorku, wykorzystując swe wpływy, wiedzę i stanowisko, stara się sprzeciwić temu, co dowody i rozsądek oceniają jako rzecz oczywistą.

Theresa była zdziwiona, że Lotariusz atakuje bardziej Alkuina niż samego Kohla, ale ucieszyła się, że przynajmniej znaleziono winnego.

— Jak słyszycie, czcigodni bracia — mówił dalej Lotariusz — mordercą jest Kohl, a jego obrońcą Alkuin. A o ile pewne jest, że Kohl zawierał transakcje, bogacił się i truł ludzi, sprzedając zboże, równie pewne jest, że Alkuin manipulował, kręcił i mataczył, choć znał przyczynę tych zgonów. Teraz zaś nie wiem, czy fakt, że staje jako obrońca tego skruszonego przestępcy, jest desperacką próbą zamaskowania własnych niecznych planów.

Alkuin parsknął z oburzeniem.

— Świetnie. Jeśli już skończyliście z tymi bzdurami...

— Bzdurami, mówicie? Wielu członków tej kongregacji słyszało, jak oskarżony wyznaje swą winę. — Dwóch stojących obok kleryków skinęło głowami. — Czyżby oni również majaczyli?

Alkuin skrzywił się.

— Nie byłby to pierwszy raz, gdy niewinny przyznaje się do winy, by uniknąć tortur — odparł zarzut Alkuin.

— I zakładacie, że tak jest w tym przypadku? — Lotariusz jakby się nad czymś zastanawiał. — Bardzo dobrze. Załóżmy, że komuś udowodniono popełnienie najgorszych występków. Załóżmy, że człowiek ten ich nie popełnił, ale by uniknąć kaźni, sam się oczernił, przyznając się do ich popełnienia. Nawet gdyby takie wyznanie nie było złożone pod przysięgą, bez wątplenia człowiek ten popełniłby wielką niegodziwość, albowiem skoro grzechem śmiertelnym jest oczernienie bliźniego, to tym bardziej jest nim

oczernienie samego siebie. I czy przypadkiem nie wynika z tego, że ten, kto odrzuca czystość, aby zaznać uciechy w grzechu, będzie zawsze żył w błędzie, jeśli ze swego czynu wyciągnie korzyść?

Alkuin pokręcił głową. W tym momencie Karol Wielki wstał, zasłaniając swą sylwetką obu przeciwników.

— Szacowny Lotariuszu. Nie wątpię w winę młynarza, co z pewnością jest ważną nowiną, która wreszcie położy kres tym strasznym zgonom. Ale nie zapominajcie, kogo oskarżacie: pomówienia, którymi obrzucacie Alkuina, są tak wielkie, że albo przedstawicie dowody, albo przeprosicie go, gdyż z racji swej rangi i stanowiska na to zasługuje.

— Drogie kuzynie — zaczął Lotariusz ze swadą. — Wszystkim wiadomo o waszej predylekcji do tego Brytyjczyka, który z królewskiego mianowania stał się odpowiedzialny za edukację waszych dzieci. Ale właśnie dlatego proszę was, byście uważnie słuchali. Oby moje dowody otworzyły wam oczy, które dotąd zdają się ślepe.

Karol Wielki zajął miejsce i oddał głos Lotariuszowi.

— Alkuin z Yorku... Alkuin z Yorku... Do niedawna ja sam pochylałem głowę, słysząc to imię, które zawsze poprzedzała sława jego wiedzy i czciogodności. Ale spójrzcie tylko: za tym przezornym obliczem, niewzruszonym i nieprzeniknionym, kryje się duch egoizmu, dusza zepsuta próżnością i zazdrością. Zadaję sobie pytanie, ilu jeszcze oszukał i jakie jeszcze zbrodnie popełnił. — Karol Wielki zakaszlał niecierpliwie i Lotariusz spytał. — Chcecie dowodów? Ja wam ich dostarczę. I to tak licznych, że będziecie się zastanawiać, jak mogliście uwierzyć temu narzędziu szatana. Ale wcześniej pozwólcie, że moi ludzie odprowadzą Kohla w odosobnione miejsce.

Lotariusz zaklaskał w dłonie i natychmiast zjawilo się trzech służących, którzy wyprowadzili młynarza z kościoła. Po chwili wrócili w towarzystwie kobiety w żałobie, która okazała się żoną Kohla. Kobieta wyglądała na zatrwożoną, ale Lotariusz ją uspokoił.

— Jeśli będziecie mówić prawdę, nic złego wam się nie stanie. A teraz przysięgnijcie na tę Biblię.

Kobieta usłuchała. Kiedy skończyła, Lotariusz przysunął jej taboret i kobieta usiadła, ukłoniwszy się wcześniej królowi. Ze swej kryjówki Theresa widziała, że kobieta dygocze przerażona. Przypomniała sobie, że widziała ją w młynie tego dnia, gdy po raz pierwszy poszła tam z Alkuinem.

— Przysięgliście na Biblię Świętą, zatem wyćwiczcie pamięć. Pamiętacie tego mężczyznę? — spytał Lotariusz, wskazując Alkuina.

Kobieta uniosła wzrok pełna obaw i skinęła głową.

— Czy to prawda, że był w młynie tydzień temu?

— Tak, eminencjo. Był tam — powiedziała i rozplakała się.

— Pamiętacie, w jakiej sprawie przyszedł? Kobieta znów zalała się łzami.

— Nie jestem pewna. Mąż poprosił, abym przygotowała coś do jedzenia, a oni rozmawiali o interesach.

— O jakich interesach?

— Nie pamiętam. Przypuszczam, że o kupnie zboża. Błagam, wasza świętobliwość. Mój mąż jest dobrym człowiekiem. Zawsze dobrze się wobec was zachowywał, każdy to potwierdzi, nigdy mnie nie bił. Dość już na nas spadło nieszczęście przez śmierć naszej córki. Pozwólcie nam odejść.

- Ogranicz się do udzielania odpowiedzi. Mów prawdę, a może Wszchemocny ulituje się nad wami.

Kobieta skinęła rozdygotana. Przełknęła ślinę i mówiła dalej.

— Mnich zażądał od męża partii pszenicy, ale mój mąż odparł, że handluje tylko żytem. Tyle się dowiedziałam, bo jak usłyszałam, że mówią o pieniądzach, nastawiłam ucha.

— A zatem Alkuin zaproponował Kohlowi interes.

— Tak, eminencjo. Powiedział, że musi kupić dużo pszenicy, że zlecono mu to w opactwie. Ale przysięgam wam, panie, że mój mąż nigdy nie zrobił nic złego.

— Dobrze. Możecie odejść.

Kobieta ucałowała pierścień biskupa i skłoniła się przed Karolem Wielkim. Spojrzała spod oka na Alkuina i ruszyła za służącymi, którzy wcześniej ją przyprowadzili. Kiedy kobieta wyszła z kościoła, Lotariusz zwrócił się do Karola Wielkiego.

— Teraz okazuje się, że wasz mnich zajmuje się handlem pszenicą. Czy wiadomo wam było o takich jego działaniach?

Król spojrzał surowym wzrokiem na Alkuina.

— Wasza Wysokość — Alkuin postąpił naprzód — wiem, że wydaje wam się to dziwne, ale ja starałem się jedynie odkryć przyczynę choroby.

— A przy okazji ubić interes — przerwał mu Lotariusz.

— Na Boga! Oczywiście, że nie! Musiałem zdobyć zaufanie Kohla, by dotrzeć do tej pszenicy.

— Och! By dotrzeć do tej pszenicy! Na czym wobec tego stajemy? Kohl jest winny czy niewinny? Ścigacie go czy bronicie? Okłamaliście go w młynie czy teraz kłamiecie nam? — odwrócił się w stronę Karola Wielkiego. — Takiego człowieka darzycie swoim zaufaniem? Człowieka, który z kłamstwa uczynił swój sposób na życie?

Alkuin zagryzł zęby.

— *Conscientia mille testes*. W oczach Boga moje sumienie jest warte tyle samo co tysiąc świadków. Fakt, że mi nie wierzycie, szczerze powiedziawszy, mnie nie martwi.

— A zatem powinien zacząć was martwić, ani bowiem wasza elokwencja, ani wasza pogarda nie uwolnią was od hańby, którą się okryliście. Powiedzcie mi, Alkuinie: poznajecie to pismo? — Pokazał mu pokryty tuszem, wyraźnie wymięty foliał.

— Niech spojrzę — przyjrzał się uważnie. — Ale, do wszystkich diabłów...! Skądżeście to wyciągnęli?

— Z waszej celi oczywiście — powiedział, wrywając mu papier. — Czy wyście to napisali?

— Kto wam pozwolił?

— W mojej kongregacji niepotrzebne mi zezwolenie. Odpowiedzcie! Czy to wy jesteście autorem tego listu?

Alkuin niechętnie przytaknął.

— I pamiętacie jego treść? — nalegał Lotariusz.

— Nie. To znaczy niezbyt dobrze — poprawił się Alkuin.

— Wobec tego słuchajcie uważnie. — O uwagę poprosił również Karol Wielkiego. — „Z Bożą pomocą. Trzeciego dnia kalend styczniowych i czternastego dnia od naszego przybycia do opactwa” — przeczytał. — „Wszystkie poszlaki wskazują na młyn. Wczoraj wieczorem Theresa odkryła kilka kapsulek w zbożu, które Kohl przechowuje w swym spichlerzu. Bez wątpienia młynarz jest winien. Obawiam się, że zaraza rozszerzy się na całą Fuldę, a mimo to nie nadszedł jeszcze czas, by temu zapobiec”. — Lotariusz schował pergamin między fałdy sutanny z zadowoloną miną. — I cóż? Z pewnością nie wygląda to na modlitwy benedyktyna. Co o tym sądzicie, Wasza Wysokość? — spytał króla. — Czy przypadkiem nie świadczy to o jawnej próbie zatajenia?

— Na to wygląda — powiedział z ubolewaniem Karol Wielki. — Macie coś do dodania, Alkuinie?

Mnich zawahał się przed odpowiedzią. Napomknął, że zazwyczaj notuje swoje myśli, by potem się nad nimi zastanowić, dodał też, że nikt nie miał prawa przeszukiwać jego rzeczy i że nigdy nie zrobiłby niczego, co mogłoby skrzywdzić chrześcijanina. Jednak niczego nie wyjaśnił odnośnie do znaczenia tego tekstu.

— A skoro podejrzewaliście Kohla, to dlaczego teraz go bronicie? — spytał Karol Wielki.

— Chodzi o coś, co stwierdziłem dopiero później. Naprawdę podejrzewam, że to jego rudowłosy pomocnik...

— Mówicie o nieboszczyku Rothaarcie? — wtrącił Lotariusz. — Co za zbieg okoliczności! A nie wydaje wam się dziwne, że osoba jakoby odpowiedzialna za otrucie całego miasta sama umiera otruta?

— Być może wcale nie był to zbieg okoliczności — odparł, spoglądając wyzywająco na Lotariusza.

Tymczasem skulona za chórem Theresa biła się z myślami: nie wiedziała, czy ma ufać Alkuinowi, czy też uwierzyć Lotariuszowi. Przypomniała sobie, że Hoos ostrzegał ją przed mnichem, teraz Lotariusz oskarżał go z absolutnym przekonaniem, a nawet sam król zaczynał wątpić w swego doradcę. Theresa gorąco pragnęła, by Alkuin był niewinny, ale jeśli tak było, to dlaczego ją zamknął w tamtej sali?

— Znacie niejaka Theresę? — usłyszała znów głos Lotariusza.

— Do czego zmierza to pytanie? — odparł Alkuin. — Wy znacie ją równie dobrze jak ja.

— Tak. I czy przypadkiem nie pracowaliście z tą dziewczyną przez wiele godzin?

— Nadal nie rozumiem.

— Jeśli wy tego nie rozumiecie, to postawcie się na naszym miejscu. Bo pojmiecie nasze zdziwienie wobec faktu, iż młode i atrakcyjne, jeśli dobrze pamiętam, dziewczę pomaga mnichowi po nocach w sprawach, do których z racji swej kobiecej natury nie ma powołania. Proszę, Alkuinie, powiedzcie szczerze. Czy poza interesami kuszą was również córki Ewy?

— Powstrzymajcie swój język. Nie pozwalam wam...

— A teraz każecie mi umilknąć — zaśmiał się przebiegle. — Przyznajcie się, na miłość boską. Czy nie jest prawdą, że kazaliście jej przysiąc? Czy nie kazaliście jej przemilczeć wszystko, co jej opowiadaliście? Czy przypadkiem w ten sposób, posługując się swoim stanowiskiem, nadużywając posiadanej

wiedzy, wykorzystując ograniczony kobiecy intelekt, nie staraliście się ukryć swoich niecnych planów?

Alkuin zagryzł zęby i stanął twarzą w twarz z Lotariuszem.

— Ale o jakich planach mówicie? Bóg wie, że prawdą jest wszystko, co powiedziałem.

— Bez wątpienia. I przypuszczam, że Bóg wie również o waszej próbie otrucia biskupa, prawda? — napomknął Lotariusz.

— Na wszystkich świętych, nie bądźcie śmieszni.

— Ha! I na dodatek to ja jestem śmieszny! Bardzo dobrze. Zobaczymy, co o tym sądzi nasz król, Karol Wielki. Ludovico! Wystąpcie naprzód.

Zmęczony wikariusz usłuchał, obrzucając nienawistnym wzrokiem Alkuina.

— Drogi Ludovico, czy bylibyście łaskawi opowiedzieć nam, co zauważyliście w zeszłym tygodniu podczas egzekucji Knura? — zażądał Lotariusz.

Wikariusz uklonił się, przechodząc przed Karolem Wielkim. Wyprostował się, jakby połknął kij, i przemówił dumnie, jakby od jego zeznania zależało rozwiązanie całej zagadki.

— Z niecierpliwością czekaliśmy tego dnia — zaczął. — Wszyscy mnisi stłoczyli się przy szafocie. Na nieszczęście nie widzę dobrze z daleka, więc zająłem się jedzeniem i obserwowaniem przybyłych gości. I wtedy go przyłapałem — powiedział, wskazując Alkuina. — Zdziwiło mnie, że wznosi kielich, bo ten Brytyjczyk nie pija wina, ale moje zdziwienie było jeszcze większe, gdy zobaczyłem, że nie trzyma swego kielicha, lecz kielich Lotariusza. Zaraz potem zauważyłem, że sięga po swój pierścień, manipuluje przy wieczku i wysypuje truciznę do kielicha. Lotariusz wypił wino i natychmiast padł jak rażony piorunem. Na szczęście zajęliśmy się nim, zanim działanie trucizny stało się śmiertelne.

— Czy to prawda? — spytał Karol Wielki Alkuina.

— Oczywiście, że nie — odparł krótko.

W tym momencie Lotariusz złapał Alkuina za rękę i pociągnął za pierścień lśniący na jego prawej dłoni. Alkuin opierał się, ale w trakcie szamotaniny wieczko odskoczyło i chmura białego pyłu osiadła na płaszczu Karola Wielkiego.

— Co to jest? — władca wstał z miejsca.

Alkuin zająknął się i cofnął. Nie przewidział takiej sytuacji, ale Lotariusz odpowiedział za niego.

— To właśnie ukrywa dusza mrocznego człowieka. Człowieka, który ma nieść Słowo Boże, a w istocie jego język pluje trucizną zła. Abbadon, Asmodeusz, Belial czy Lewiatan... Człowiek zdolny do kłamstwa, by się wzbogacić, zdolny przemilczeć, pozwolić innym umrzeć, by się chronić, zdolny zabić — strząsnął proszek z płaszcza Karola Wielkiego — by zapobiec zdemaskowaniu. Ale ja pokażę wam jego oblicze, prawdziwe oblicze bestii. Albowiem to on pierwszy odkrył Kohla, ale zamiast go zatrzymać, szantażował, by przejąć jego zyski.

Okłamał młynarza, by zdobyć jego zaufanie, i kłamie teraz, broniąc go, by obronić samego siebie. To Theresa, jego pomocnica, zawstydzona ciężarem grzechu i odmawiając uczestnictwa w próbie morderstwa, które Alkuin chciał znów popełnić, przyszła do mnie i wszystko mi wyznała — spojrzał na Alkuina wyzywająco. — A teraz możecie już zacząć się bronić wszystkimi kłamstwami, jakie tylko przyjdą wam do głowy, bo nikt, kto wierzy w Boga, nie odważy się słuchać waszego jazgotu.

Alkuin stał w milczeniu, przyglądając się twarzom, które już go skazały. Wreszcie wziął Biblię i położył na niej prawą dłoń.

— Przysięgam przed Wszechmocnym Bogiem na zbawienie mej duszy, że nie jestem winien tego, o co się mnie oskarża. I jeśli zechcecie dać mi czas...

— Czas, by dalej zabijać? — wtrącił Lotariusz.

— Przysięgłem na Biblię. Wy też to uczynicie — rzucił mu wyzwanie.

— Wasza przysięga jest warta tyle samo, co przysięga dziewczyny, która wam pomagała. Nawet mniej. Katullus twierdził, że przysięga złożona przez kobietę zostaje wyryta w podmuchu powietrza i na powierzchni fal, a wasze przysięgi wyparują nawet z waszych myśli.

— Dajcie spokój tym bredniom i przysięgnijcie! — zażądał Alkuin. — A może obawiacie się, że Karol Wielki pozbawi was stanowiska?

— Jakże szybko zapominacie o naszych prawach! — zaśmiał się protekcjonalnie. — My, biskupi, nie należymy do tej kategorii ludzi, którzy jak zwykli poddani muszą jako wasale oddać się pod opiekę króla; nie należymy też do tej kategorii ludzi, którzy muszą składać przysięgi. Wiedźcie, że Ewangelia i władza kanoniczna nam tego zabraniają. Wiedźcie, że kościoły, które Bóg nam powierzył, nie są podarunkiem ani własnością króla, w takim sensie, że ten mógłby je nadawać lub odbierać zgodnie ze swą wolą. Wszystko, co jest powiązane z Kościołem, jest poświęcone Bogu. Ale nawet gdybym mógł przysiąc... Jak śmiecie żądać ode mnie przysięgi? Jeśli bowiem wiecie, że przysięgam prawdę, na nic by wam się nie zdało, gdybym to uczynił, a jeśli

przeciwnie wierzycie, że przysięgam fałszywie, wówczas domagając się ode mnie przysięgi, namawiacie mnie do grzechu, tym samym zagrzewając do jego popełnienia.

Alkuin usiłował coś na to odpowiedzieć, ale na jego nieszczęście wysłannik papieski zgadzał się z argumentacją Lotariusza.

— Dobrze. Wina młynarza wydaje się oczywista — stwierdził monarcha. — Znalaziono u niego partię zboża z nasieniem, które, jak się zdaje, produkuje truciznę, i jest to fakt niepodważalny, zatem nie widzę powodu, abyście wy, Alkuinie, mieli dalej go bronić. Chyba że, jak sugeruje Lotariusz, wy również jesteście w to zamieszani.

Alkuin spojrział na niego surowo.

— Od kiedy na niewinnego człowieka spada ciężar obrony? Gdzie jest dwunastu mężów niezbędnych, by oskarżenie zostało uprawomocnione? To, co powiedział Lotariusz, to nic więcej jak tylko głupoty, niedorzeczności i bzdury. Jeśli dacie mi kilka godzin, udowodnię wam...

Nagle rozległ się huk spadającego kandelabru i zebrani odwrócili się zaskoczeni.

Theresa kurczowo trzymała się balustrady. Tak bardzo chciała być świadkiem tego, co się dzieje, że wsparła się o lampę, która pod jej ciężarem runęła, roztrzaskując się o posadzkę. Jeden z kleryków ją zauważył. Na jego rozkaz dwu pomocników pobiegło w stronę chóru i nie szczędząc szturchańców, zaciągnęli ją przed oblicze Lotariusza, który kazał jej uklęknąć i prosić o wybaczenie za swoje zachowanie.

— Przecież to jest pogromczyni niedźwiedzi — zdziwił się monarcha. — Można wiedzieć, co robiłaś ukryta tam na górze?

Theresa ucałowała królewski pierścień i zaczęła błagać o okazanie jej miłosierdzia. Jąkając się, wyjaśniła, że szukała przyjaciółki, która gdzieś przepadła, że myślała, że ona już nie żyje, ale myliła się. I że teraz wcale nie słuchała tego, o czym mówili, chciała jedynie dowiedzieć się, dlaczego Czarnulka Helga przed nią uciekała.

Kiedy Theresa skończyła chaotyczne wyjaśnienia, Karol Wielki zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Przez chwilę sądził, że dziewczyna straciła rozum, choć tak się jąkała, udzielając wyjaśnień, że uznał, iż może jednak nie jest krętaczką.

— I myślałaś, że znajdziesz przyjaciółkę tam na górze, w chórze? Theresa zaczerwieniła się.

— To pomocnica Alkuina, panie — wtrącił Lotariusz. — Może chcecie ją przesłuchać.

— Lepiej nie. Teraz wolałbym zrobić przerwę. Być może, modląc się, znajdzie odpowiedź.

— Ale wasza wysokość. Ten mnich powinien natychmiast ponieść karę — nalegał.

— Po modlitwie — uciął monarcha. — Tymczasem ma przebywać w swej celi pod strażą— dał znak, by odprowadzono Alkuina, i wyszedł bocznym wyjściem, zostawiając Lotariusza w pół zdania. Biskup natychmiast zapomniał o Theresie. Ruszył w stronę strażnika, który miał odprowadzić Alkuina do celi, bo chciał dopilnować, by w żadnym wypadku nie pozwolono mu z niej wyjść.

— Jeśli zechce się załatwić, niech to zrobi przez okno — warknął. Alkuin ruszył eskortowany przez dwu strażników i Theresę, która biegła kilka kroków za nimi. Po drodze dziewczyna próbowała się wytłumaczyć, ale na każdą próbę mnich odpowiadał przyspieszeniem kroku.

— Nie próbowałam was oskarżyć — zdołała powiedzieć.

— Z tego, co mówi Lotariusz, wynika, że tak. — Alkuin nawet na nią nie spojrzał.

Doszli do celi. Theresa wciąż obwiniała się za swe zachowanie i zarazem zadawała sobie pytanie, dlaczego ma wyrzuty sumienia, skoro koniec końców mnich wykorzystał ją do własnych celów. Przypomniała sobie, że zamknął ją w sali i że gdyby zależało to tylko od niego, nadal nie byłoby wiadomo, że przyczyną zgonów jest pszenica. A na dodatek był jeszcze ten foliał, na którym własną ręką oskarżał Kohla, o czym nigdy jej nie wspomniał. Theresa wciąż toczyła wewnętrzną walkę, usiłując wyrobić sobie na ten temat jakieś zdanie. Tymczasem Alkuin wszedł do celi, ale zanim strażnik zamknął za nim drzwi, zwrócił się do niej po grecku.

— Idź do skryptorium i raz jeszcze przejrzyj poliptychy. Wyciągnął do niej dłoń, a Theresa ujęła je w swoje. Nie wiedziała,

co powiedzieć. Ale nie zdążyła, bo strażnik zamknął szybko drzwi i spojrzał na nią wyniośle. Wtedy Theresa odwróciła się na pięcie i pobiegła w stronę kuchni, przyciskając do piersi klucz, który Alkuin dyskretnie jej podał.

ROZDZIAŁ 19

Kiedy Theresa dotarła do kuchni, zastała Favile walczącą z kurczakiem.

— Ty też już o tym wiesz? Naprawdę, nie wiem, na co jeszcze czekają. Powinni od razu ukarać tego mordercę — powiedziała, nie przestając wyrywać piór.

Theresa dla świętego spokoju przyznała jej rację, ale irytowało ją, że Favila uznała za oczywiste, że Knur zabił córkę młynarza.

— Widziałas Helgę? — spytała Favile niechętnie. Kucharka pokręciła głową, dzieląc kurczaka na kawałki. — Tak przypuszczałam. — dodała. Wzięła kawałek czerstwego chleba i pożegnała się z Favila.

Musiała poczekać, aż kongregacja zbierze się w refektarzu, by wejść niepostrzeżenie do skryptorium. Choć wchodziła do tej sali dziesiątki razy, strach ścisnął ją za gardło. Wsunęła klucz do zamka i przekręciła, aż zasuwka wyskoczyła. Pospiesznie weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Powitało ją ciepło bijące od kominka, w którym wciąż tlił się ogień, i Theresa ucieszyła się, że biskup kazał zainstalować to urządzenie, by ogrzać zimną salę.

Na stole znalazła porozkładane dokumenty, nad którymi ktoś niedawno pracował. Dotknęła palcem liter. Wciąż były wilgotne. Musiało minąć zaledwie jakieś dziesięć minut. Rzuciła okiem na dokumenty, ale nie znalazła niczego ważnego. Jedynie kilka epistolae podpisanych przez Lotariusza, w których wzywał pozostałych biskupów do przestrzegania reguły świętego Benedykta.

Zostawiła dokumenty i podeszła do regałów, gdzie odszukała poliptych, który tyle razy przeglądała. Gdy próbowała go wyjąć, okazało się, że jest przykuty łańcuchem do wspornika. Wysunęła go zatem na tyle, na ile mogła, i otworzyła okładki, by przejrzeć jego zawartość. Ledwie mogła przerzucać strony, bo obok stały inne tomy, ale i tak zdołała znaleźć wpisy na temat transakcji sprzedaży pszenicy zawartej dwa lata temu z sąsiednim miasteczkiem Magdeburgiem.

Zaczęła czytać. Te same litery... Te same zdania. Przeczytała je raz i drugi, nie znajdując niczego nowego. Ale ktoś sfalszował akapity, tak by wyglądały na autentyczne. Nie mogła nawet zbadać ukrytego tekstu, który wcześniej odkryła, rozcierając popiół na awersie strony znajdującej się pod tą sfalszowaną.

Kiedy przeglądała te stronicę, zadała sobie pytanie, co w ogóle robi w skryptorium. Dlaczego chce pomóc Alkuinowi? Nie wiedziała nawet, czy mnich jest winien, czy nie. Gdyby ją tu przyłapano, wszyscy pomyśleliby, że jest z nim w zмовie, że jest współnikiem mordercy i zapewne ona również skończyłaby na stosie. Uznała, że powinna odejść i jak najszybciej zapomnieć o całej sprawie.

Miała już zamknąć księgę, gdy niespodziewanie dostrzegła w jakimś nagłym przebłysku: In nomine Pater. Przebiegła uważnie wzrokiem po tekście, litera po literze. Przeczytała list powoli. Raz i drugi.

In nomine Pater. Dlaczego zwróciła na to uwagę? Przecież tym zwykłym zwrotem rozpoczynano listy.

Nagle zrozumiała. Na Boga! To było to! Krzyknęła z radości i podbiegła do dokumentów rozłożonych na stole. Szybko odszukała epistoły podpisane przez Lotariusza, rozłożyła je drżącymi palcami i potwierdziła swoje przypuszczenia.

In nomine Pater.

Ten sam kąt nachylenia... ta sama kreska... ten sam charakter pisma!

Poprawki naniesione w poliptychu, w których mowa była o sprzedaży pszenicy, wyszły spod ręki Lotariusza. Czym prędzej się przeżegnała. Równocześnie przeszedł ją dreszcz i aż się cofnęła przerażona swoim odkryciem.

Jeśli Lotariusz jest autorem poprawek... to być może jest również sprawcą morderstw.

Zdecydowała, że musi zanieść królowi dowód potwierdzający te przypuszczenia.

Uporządkowała dokumenty na stole i podeszła do regału, gdzie spoczywał poliptych, ale choć bardzo się starała, nie zdołała go odpiąć.

Zastanawiała się, jak to zrobić, gdy nagle usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Przerażona schowała się za książkami akurat w chwili, gdy rozpoznała otyłą sylwetkę Lotariusza. Biskup wszedł do skryptorium. Theresa zostawiła poliptych i na palcach zakradła się na sam koniec biblioteki, gdzie schowała się za fotelem. Lotariusz rzucił okiem na dokumenty leżące na stole, podszedł do regału z poliptychem i rozpiął łańcuch. Następnie zbliżył się do kominka. Przez chwilę się wahał, rozglądając się na boki, jakby w obawie, że ktoś może go zobaczyć. Przejrzał kodeks i wreszcie wrzucił go w ogień, gdzie poliptych spłonął w mgnieniu oka niczym wiązka słomy.

Ledwie Lotariusz wyszedł ze skryptorium, Theresa natychmiast wyskoczyła z kryjówki. Musiała porozmawiać z Alkuinem i opowiedzieć mu, co się stało,

ale kiedy dobiegła do jego celi, okazało się, że już odprowadzono go do kościoła. W drodze do świątyni przeszła przez kuchnię, gdzie ku swojemu zdziwieniu zastała Czarnulkę Helgę.

Kiedy otrząsnęła się z zaskoczenia, Helga poprosiła ją o zachowanie spokoju i zaprowadziła do magazynu, gdzie mogły bezpiecznie porozmawiać.

— Myślałam, że nie żyjesz — powiedziała z wyrzutem Theresa. A potem objęła ją z całych sił.

— Naprawdę bardzo mi przykro. Nie chciałam cię niepokoić, ale Alkuin zmusił mnie do tego.

— Zmusił cię? Do czego? A twoje nogi? W jakim są stanie? — przypomniała sobie, że widziała je zaatakowane chorobą.

— To było kłamstwo — odparła zawstydzona Helga. — Alkuin kazał mi pomalować je taką farbą, żeby wyglądały na chore. Powiedział, że jak tego nie zrobię, zaraz po porodzie zabierze mi dziecko.

— Ale co on knuje?

— Nie wiem. Chciał, żebyś mnie zobaczyła w takim stanie i żebym potem znikła. Ten człowiek to wcielony diabeł. Ostrzegałam cię przed nim.

Theresa była zdruzgotana. Dlaczego Alkuin wymagał od Helgi czegoś tak dziwnego? Niewątpliwie chciał, by uwierzyła, że Helga jest chora, ale po co? Alkuin niczego nie robił przypadkiem, starała się więc wymyślić jakiś mniej lub bardziej sensowny powód. Przypomniała sobie, że gdy zobaczyła chorą Helgę, gniew popchnął ją do wyznania wszystkiego Lotariuszowi. Czy taka była intencja Alkuina? A jeśli tak, dlaczego mnich chciał, by biskup poznał jego plany?

Te pytania całkiem wytrąciły ją z równowagi, ale była zdecydowana za wszelką cenę odkryć prawdę. Ucałowała Helgę, szepnęła jej coś na ucho i poprosiła, by na siebie uważała. Potem ruszyła w stronę kościoła, gdzie, jak sądziła, zaprowadzono Alkuina. Przy wejściu strażnik potwierdził, że zebranie już się rozpoczęło, ale nie pozwolił jej wejść do kościoła. Theresa próbowała go przekonać, lecz strażnik był nieugięty. Nagle poczuła czyjaś dłoń na swym ramieniu. Gdy się odwróciła, stanęła twarzą w twarz z Lotariuszem, który najwyraźniej dopiero teraz przybył na konklawe. Przeraziła ją myśl, że być może odkrył jej obecność w skryptorium, ale na szczęście biskup obdarzył ją miłym uśmiechem.

— Może chciałabyś mi towarzyszyć — zaproponował. Theresa wyczuła jakiś mroczny cień kryjący się za jego słowami,

ale uznała, że jeśli wejdzie do kościoła, może mieć okazję, by poinformować Alkuina o udziale biskupa w sfałszowaniu poliptychu. Przyjęła zatem zaproszenie. Zebrani zajmowali te same miejsca, co przed przerwą, niczym na dobrze już znanym malowidle. Szeptali między sobą o winie Alkuina, on zaś spacerował z boku wte i wewte jak osaczone zwierzę. Kiedy mnich ją zobaczył, zauważyła, że się zaniepokoił. Pozdrowił ją dyskretnie i dalej spacerował, przeglądając zapiski na swojej woskowej tabliczce. Chwilę później pojawił się Karol Wielki w imponującej zbroi, którą zwykł przywdziewać z okazji wyjątkowo ważnych rozpraw. Wszyscy wstali, czekając, aż monarcha usiądzie. Udzieliwszy zebranych pozwolenia na zajęcie miejsc, Karol Wielki kazał Alkuinowi kontynuować zeznania. Ale Alkuin dalej przeglądał notatki, aż pokasływanie monarchy dało mu znać, że zwleka zbyt długo.

— Wybaczcie, Wasza Wysokość. Przeglądałem notatki.

Karol Wielki udzielił mu głosu. W kościele zapadła cisza. Wreszcie Alkuin przemówił.

— Dobrze. Nadeszła chwila, by wyjawić prawdę. Prawdę trudną, kazirodczą i nikczemną. Prawdę, prowadzącą mnie czasem ścieżkami kłamstwa, przełęczami grzechu, którymi musiałem przejść, by wznieść się na wyżyny poznania. — Zrobił przerwę, przypatrując się wnikliwie zebranych. — Jak wszyscy wiecie, w Fuldzie miały miejsce dziwne wydarzenia. Każdy z tu obecnych stracił brata, ojca bądź przyjaciela. Mój własny pomocnik, Romualdo, chłopiec zdrowy i silny, zmarł, a ja nic nie mogłem zrobić, by go uratować, i być może z tego egoistycznego powodu przysiągłem sobie, że dowiem się, co tu się dzieje. Przeanalizowałem każdy przypadek śmierci, zadałem pytania każdemu choremu, zbadałem jego zwyczaje, sposób życia i zachowanie. Wszystko na próżno. Nic nie łączyło tych zgonów równie niesprawiedliwych jak nagłych. Wówczas przypomniałem sobie o pewnej epidemii, która niegdyś, w czasie gdy tam nauczałem, zaatakowała York. Wtedy przyczyną było żyto, ale tu w Fuldzie zmarli nie spożywali tego zboża. Na wszelki wypadek objąłem swymi badaniami pszenicę, kierowany myślą, że jeśli objawy są podobne, to być może przyczyny również są ze sobą powiązane. — Zrobił przerwę, by spojrzeć na notatki. — Wszystkim wiadomo, że w Fuldzie są trzy młyny: jeden w opactwie, jeden w biskupstwie oraz młyn, który należy do Kohla. Zbadałem dwa pierwsze, niczego nie znajdując, więc udałem się do trzeciego z zamiarem zdobycia próbki pszenicy. Prawdą jest, że zaproponowałem interes Kohlowi, ale jedynie po to, by sprawdzić, czy dysponuje zatrutym zbożem.

— Wszystko świetnie — skomentował monarcha — ale to w niczym nie zmienia wersji Lotariusza.

— Jeśli pozwolicie mi mówić dalej...

— Mówcie.

— Ku mojemu zdziwieniu w próbce, którą dostarczyła mi moja pomocnica Theresa, odkryłem cząsteczki wywołujące chorobę. Muszę przyznać, że natychmiast obwiniłem Kohla. Mimo to, choć pszenica znaleziona w jego młynie przemawiała za tym, że Kohl jest w to zamieszany, w rzeczywistości te cząsteczki nie świadczyły przecież o tożsamości winowajcy.

— Wybaczcie — przerwał Lotariusz. — Ale co to wszystko ma wspólnego z waszymi kłamstwami? Z waszym zamiarem otrucia mnie? Z waszym wyznaniem na piśmie, w którym obwiniacie Kohla i wyrażacie niechęć do powstrzymania dalszych otruć?

— Na miłość boską... nie przerywajcie mi! — Alkuin czekał na zezwolenie Karola Wielkiego, który skinął niecierpliwie dłonią. — Wiedzieliśmy, że zatruta pszenica przeszła przez młyn Kohla...

— Była w młynie Kohla! — sprecyzował zrećźnie Lotariusz. — Czyżbyście próbowali pominąć fakt, że urzędnik znalazł wszystkie zatrute partie schowane w posiadłości Kohla?

— Ach, tak! Urzędnik! Zapomniałem o tym... To ten człowiek, który siedzi tu z przodu, prawda? — powiedział Alkuin, pokazując wystraszonego człeczynę. Podajcie nam, proszę, wasze imię.

— Ma... Maar...tin — wyjąkał.

— Martin. Znakomite imię... Moglibyście podejść bliżej? — Człeczyna zrobił nieśmiały krok naprzód. — Powiedzcie mi, Martinie. Od dawna jesteście urzędnikiem?

— Nie zb...zb...zbyt długo, panie.

— Ile czasu? Rok...? Dwa...? Może trzy?

— Nie aaaaż tyle, p... p...panie.

— Mniej? Wobec tego ile czasu?

— D... d...dwa miesiące, p... p...panie.

— Tak, to niezbyt długo, rzeczywiście...

— Jego brat zmarł w wyniku choroby i on zajął jego miejsce — wyjaśnił Lotariusz.

— Ach! Oczywiście to dobry powód. I oczywiście wy go mianowaliście...

— Zawsze ja mianowałem urzędników.

— Dobrze, dobrze. Pozwólcie mi mówić dalej. Martinie, powiedzcie mi — wsunął dłoń do kieszeni i wyjął garść ziaren pszenicy, przesywał część z prawej dłoni do lewej, zacisnął pięści i wyciągnął je w stronę chłopaka — w której garści jest pszenica?

Urzędnik uśmiechnął się, ukazując rząd szczerbatych zębów.

— W t...t...tej — pokazał.

Alkuin otworzył zaciśniętą garść, ukazując pustą dłoń.

— W t...t...tej — pokazał drugą.

Mnich pokazał mu otwartą dłoń, która również była pusta. Martin otworzył usta niemal równie szeroko jak oczy. Miał minę dziecka, któremu skradziono jabłko.

— Je...je... jesteście d...d...d...diabłem.

Alkuin opuścił ręce i z rękawów wypadły mu garście ukrytej pszenicy. Martin roześmiał się.

— Można wiedzieć, czemu zawdzięczamy tę bufonadę? — spytał oburzony Lotariusz.

— Wybaczcie — przeprosił Alkuin. — Wybaczcie, Wasza Wysokość. To był tylko żart. Pozwólcie mi mówić dalej.

Karol Wielki skinął niechętnie głową. Alkuin skłonił się przed nim i znów zwrócił się do człeczyny.

— Martinie, powiedzcie mi... czy to prawda, że znaleźliście tę pszenicę?

— T... tak jest... panie.

— Ha! Ale jeśli dobrze pamiętam, Lotariusz zapewniał, że była bardzo, ale to bardzo dobrze ukryta... Tak dobrze ukryta, że zgodnie z jego słowami nikt nigdy by jej nie znalazł.

— Tak jest... p... p...anie. B...b...bardzo ukryyyy...t..ta. Przez ca...aa...ły rrrr...anek jej szu...szu...szu...kałem.

— Ale wreszcie ją znalazłeś.

— Tak... panie. — Chłopak uśmiechnął się, jakby złapał zwinnego kocura.

— I powiedzcie mi, Martinie: skoro pszenica była tak dobrze ukryta, jak to możliwe, że teraz nie mogliście znaleźć garści zboża w moich dłoniach?

Poza Lotariuszem wszyscy, włącznie z samym Martinem, wybuchli śmiechem. Jednak uśmiech na ustach -człeczyny zamarł, gdy zobaczył lodowatą minę Lotariusza.

— On. On mi p...p...pomógł — powiedział, wskazując biskupa.

— Na Boga! Tej części historii jeszcze nie słyszałem. — Odwrócił się do Lotariusza. — A zatem biskup powiedział ci, gdzie masz szukać pszenicy?

— Do czego zmierzacie? — odparł biskup. — Nie widzicie, że jest nierozgarnięty? Nie jest istotne, czy mu pomogłem, czy nie, tylko że pszenica została znaleziona.

— Rozumiem, rozumiem... — Alkuin przechadzał się przed zebranymi. — A powiedzcie mi, drogi Lotariuszu, skąd wiedzieliście, że pszenica jest zatruta?

Biskup się zawahał, ale po chwili padła odpowiedź.

— Z powodu nasion, o których powiedziała mi Theresa.

— Tych nasion? — Alkuin zanurzył dłoń w kieszeni i pokazał mu garść pszenicy, w której widać było maleńkie ciemne kulki. Lotariusz popatrzył na nie niechętnie. Potem wznosił swe szkliste oczy i spojrzał na Alkuina.

— Dokładnie tych — stwierdził. Alkuin uniósł obie brwi.

— To dziwne, bo to tylko pieprz. — Zamknął garść z czystą pszenicą, do której dodał ziarna pieprzu.

— Nie tak szybko — warknął biskup. — Wciąż nie wiem, dlaczego usiłowaliście mnie otruć i dlaczego, choć o wszystkim wiedzieliście, postanowiliście zachować to w tajemnicy.

— Naprawdę chcecie to wiedzieć? — zaśmiał się ironicznie. — Po pierwsze, jak każdy z tu obecnych z łatwością zrozumie, nie zamierzałem was otruć. Prawdą jest, że wsypałem ten proszek do waszego napitku — otworzył pierścień i wydłubał resztki, które zostały w małym pojemniczku — ale to nie jest trucizna, tylko niegroźny środek na przeczyszczenie. — Wysypał zawartość na swoją rękę. Po czym na oczach króla połknął proszek ze zboląłą miną. — *Lactuca virosa*, niesmaczna, ale nic ponadto. Gdybym chciał was otruć, możecie być pewni, że by mi się to powiodło. Nie, drogi Lotariuszu. Jeśli podałem wam ten środek, to tylko po to, by zapobiec kolejnemu straszному morderstwu. Morderstwu tego nieszczęsnego biedaka, którego jedyne przestępstwo polega na tym, że urodził się niedorozwinięty.

— Mówicie o Knurze? O tym degeneracie, który podciął gardło córce młynarza?

— Mówię o Knurze. O człowieku, którego usiłowaliście skazać, wiedząc o jego niewinności. O upośledzonym, którego wybraliście, by odpowiedział za morderstwo popełnione przez innego człowieka: przez rudzielca Rotharta, pomocnika Kohla, a waszego współnika.

— Na Boga! Straciliście rozum — zawołał Lotariusz.

— To właśnie on doprowadził mnie do was — powiedział, unosząc jeszcze bardziej głos. Wziął głęboki oddech i uspokoił się. — Dziewczyna zmarła od

ciosu nożem. I muszę przyznać, że w pierwszej chwili ja również winiłem idiotę: ta jego groteskowa twarz... zalękniona mina... jego świńskie oczka... Ale potem zwróciłem uwagę na jego powykręcane dłonie, zniekształcone od urodzenia, i natychmiast zrozumiałem, że ten człowiek nie jest w stanie utrzymać w dłoni nawet zwykłej łyżki.

— Co wy możecie o tym wiedzieć!

— Wiem, że córka Kohla zmarła z powodu poderżnięcia gardła. A dokładnie od rany biegnącej od prawej strony i zadanej od góry do dołu. Takie cięcie jest dziełem mańkuta, co do tego nie ma wątpliwości. Służąca, która znalazła zwłoki, drobiazgowo wszystko opisała: dziewczyna miała odcięty kawałek ucha.

— Ale stąd do oskarżania Rotharta jeszcze daleko... — Karol Wielki okazał zainteresowanie.

— Rothart był w gorącej wodzie kapany. Był mańkutom zręcznie posługującym się nożem, którym każdej nocy wywijał w tawernie. Miał pieniądze. I to dużo. W dniu, w którym go poznałem, popisывał się jako zabijaka przed przyjacielem w tawernie, przyjacielem, który kilka dni po jego śmierci bez oporów przyznał, że dzień po zabójstwie Rothart miał na twarzy zadrapania.

— Co nie świadczy jeszcze o tym, że to on ją zabił — stwierdził monarcha.

— Powtarzam: mańkut sprawnie posługujący się nożem. Dobrze znał ofiarę. Zresztą tej nocy, gdy dziewczyna zginęła, rudzielec spał w młynie. Zgodnie z tym, co powiedziała żona Kohla, tamtej nocy jej córka obudziła się z boleściami, wyszła z domu, by się wypróżnić, i nigdy już nie wróciła. Wiemy, że nie zrobił tego Knur, bo nie jest w stanie utrzymać w dłoni żadnego przedmiotu, i wiemy, że mańkut Rothart był tam i miał przy sobie nóż...

— Ale z jakiego powodu rudzielec miałby ją zabić?

— Oczywiście ze strachu przed Lotariuszem — przyznał, nawet nie zamrugawszy oczami.

— Wyjaśnijcie to — rozkazał Karol Wielki.

— Rothart często pił. Przysysał się do beczki jak noworodek do piersi. Tamtej nocy, choć miał przenieść zatrutą pszenicę ze spichlerza do młyna, przyszedł do młyna pijany. A w trakcie pracy wpadł zniecka na córkę Kohla, która zapewne zdziwiła się, widząc go pracującego o tak późnej porze. Rothart mógłby podać jej tysiąc wymówek, lecz aqua ardens przytępiła jego zmysły i zareagował tak, jak zwykł zachowywać się w tawernach: wyjął nóż i jednym ciosem ją zabił.

— Nie wiedziałem, że posiadacie taki dar zmyślania bajek — stwierdził z sarkazmem biskup. — A może przy tym byliście?

Alkuin nie odpowiedział, zadał natomiast inne pytanie:

— Powiedzcie mi, Lotariuszu, czy to prawda, że Rothaart często bywał w waszych komnatach? Aby omówić sprawy młyna, jak przypuszczam...

— Spotykam się z tyloma ludźmi, że gdybym miał ich wszystkich spamiętać, w mojej głowie już na nic nie byłoby miejsca.

— Ale wasz akolita bardzo dobrze to pamięta. Powiedział mi /resztą, że spędzaliście wiele godzin, rozmawiając o pieniądzach.

Lotariusz spojrział surowym wzrokiem na swego akolitę i zwrócił się do Alkuina.

— I co z tego, że z nim rozmawiałem? W biskupstwie mamy młyn, i Rothaart pracował w innym młynie. Czasem mełł nam zboże, a czasem my mełliśmy dla niego.

— Ale rozsądniej by było omawiać te sprawy z właścicielem młyna, a nie z jego podwładnym.

— I stąd wyprowadzacie wniosek o morderstwie...? Słuchajcie, Alkuinie. Dajcie spokój nedorzecznosciom i zaakceptujcie rzecz oczywistą: bez względu na to, co zrobił Rothaart, to Kohl sprzedawał pszenicę.

— Jeśli pozwolicie, wolałbym ciągnąć dalej te moje nedorzecznosci... — Znów rzucił okiem na notatki. — Jak już wcześniej mówiłem, rudzielec Rothaart miał sporo pieniędzy: nosił wystawne kaftany, trzewiki z przedniej skóry, a na jego rękach było tyle złota, że mógłby kupić całe alodium wraz ze wszystkimi parobkami. W przypadku pomocnika młynarza dość trudno znaleźć na to wyjaśnienie. Od razu nasuwa się podejrzenie, że musiał mieć inne dochody, co zbiega się z działalnością, którą każdej niedzieli wykonywał wraz ze swym kompanem Gusem.

— O jakiej działalności mówicie? — spytał monarcha.

— Rozmawiałem z Gusem po śmierci Rothaarta. Dwa dzbany piwa rozwiązały mu język i zaraz zaczął mi opowiadać, jak bardzo brak mu będzie kompana. Wygląda na to, że Rothaart zdobywał gdzieś zboże, które mełł w młynie Kohla w niedzielę, gdy ten udawał się na mszę. Po zmieleniu przynosili je do tajnego magazynu, a sami czekali na odpowiedni moment, by po zmieszaniu z żytem je sprzedać.

— I to wszystko tak po prostu wam opowiedział? — zainteresował się Karol Wielki.

— Z łatwością przekonałem go, że i tak wiem o ich spisku. Jeśli do tego dodamy jeszcze niespodziewaną śmierć Rotharta, którą bez wątpienia Gus przyjął jako karę boską, oraz ilość wypitego piwa, trudno się dziwić, że wyznał coś, czego i tak nie poczytywał za grzech. Pamiętajcie, że Gusa oszukiwano, kazano mu pracować za trochę wina i kilka miedziaków.

— Gus pijakiem, a Rothart mordercą. Niech będzie. Może i tak było! Ale co ma to ze mną wspólnego? — spytał oburzony Lotariusz.

— Już kończę. Cierpliwości. Jak już wcześniej wyjaśniłem, doszedłem do wniosku, że choroba bierze się z ziarna, a to za sprawą podobieństwa objawów u chorych tutaj oraz objawów, które obserwowałem podczas głodu w moim mieście, w Yorku. Dlatego poprosiłem Lotariusza o poliptychy biskupstwa, aby poszukać jakichś informacji o zakażonym życie. Ku mojemu zdziwieniu ani Theresa, ani ja nie znaleźliśmy niczego, co miałoby związek z żytem. Odkryliśmy natomiast wytartą i poprawioną stronicę, w której kryła się tajemnica całej tej sprawy. Jak za sprawą cudu odczytaliśmy, że ładunek pszenicy został przewieziony z Magdeburga do Fuldy. Był to śmiertelny ładunek pszenicy zakupionej po wyjątkowo niskiej cenie przez poprzedniego opata.

— Czego zatem chcecie? Idźcie na cmentarz i oskarżcie nieboszczyka opata.

— Tak bym uczynił, gdyby nie to, że zawsze podejrzewam żywych. Zwłaszcza gdy odkryłem, że oraliście nieuprawną ziemię, szykując ją pod zasiew w samym środku stycznia. Powiedzcie mi, Lotariuszu, odkąd to sieje się pszenicę w zimie?

— Cóż to za głupoty! Ten teren należy do mnie i mogę z nim robić, co mi się podoba. I powiem więcej. Mam dość bezpodstawnych oskarżeń i waszej żądy wiedzy. Wygadujecie same niedorzeczności, nie wnosząc żadnych dowodów. Przywołujecie Rotharta, ale on nie żyje, mówicie o Knurze, ale do jego demencji dochodzi jego niemota, wspominaliście o dawnym opacie Fuldy, ale jego ciało od lat spoczywa na cmentarzu, i wreszcie powołujecie się na poliptych, który jakoby odkrywa nieznanne sekrety za pośrednictwem nie wiem jakich czarów, na karcie, której nikt nie widział i której tym bardziej nikt nie zbadał. Bardzo dobrze. Macie ten poliptych? Pokażcie go wreszcie albo cofnijcie swe słowa.

Alkuin zagryzł zęby. Zakładał, że Lotariusz pograży się pod ciężarem jego argumentów, ale stało się coś przeciwnego. Teraz bez prawdziwych dowodów z trudem zdoła przekonać Karola Wielkiego, by go poparł. Spojrzał na monarchę, a ten pokręcił głową.

Szykował się do odpowiedzi, gdy nagle Theresa wstała i podeszła do Karola Wielkiego.

— Ja posiadam dowody — oznajmiła stanowczym głosem. Wszyscy umilkli.

Wyjęła z sakwy pomięty pergamin, który rozłożyła przed królem. Alkuin spojrział na nią zaskoczony. Pergamin stanowił część poliptychu. I tyła to strona, którą Theresa zdołała wyrwać, zanim Lotariusz wrzucił wolumin do ognia. Król wziął arkusz do ręki i uważnie mu się przyjrzał. Potem pokazał go Lotariuszowi, który nie mógł uwierzyć własnym oczom.

— Ty przekłeta diablico! Skąd to wytrzasnąłeś?

Król odebrał Lotariuszowi arkusz, nim ten zdążył go porwać, i podał go Alkuinowi, który na oczach wszystkich zebranych powtórzył procedurę pocierania awersu. Kiedy ukryty tekst wreszcie się pokazał, sam król odczytał na głos jego treść.

Lotariusz wzburzył się.

— A kto mówi, że ja miałem w tym udział? Ten tekst został spisany dwa lata temu przez poprzedniego opata, który wówczas zajmował się wszystkimi poliptychami. Możecie spytać o to kogokolwiek.

Kilku mnichów potwierdziło wersję Lotariusza.

— Tak, tekst oryginalny. Tekst odkryty przez pocieranie popiołem napisał opat, ale późniejsza poprawka, nowy tekst, który go zastąpił, został napisany przez was. To wasza ręka i charakter pisma, bo myśleliście, że w ten sposób ukryjecie jedyny dowód, który wiązał pszenicę z chorobą — powiedziała pewnym głosem Theresa.

— Ja nigdy nie napisałem takiego tekstu! — krzyknął rozwścieczony.

— Oczywiście, że to uczyniliście — upierała się. — Sama to sprawdziłam, porównując ten tekst z pisanymi przez was listami. In nomine Pater.

— Ha! Z jakimi listami, przekłeta oszustko? — Wymierzył jej policzek, którego echo rozbrzmiało w całym kościele. — Nie ma listów. Nie ma dokumentów.

Theresa spojrzała bezradnie na Alkuina. Zaczynała rozumieć, że Lotariusz miał dość czasu, by zniszczyć każdy dokument, który mógł przemawiać przeciwko niemu. Karol Wielki wstał.

— Sprawdźmy to — powiedział. Wyjął zza pazuchy zalakowany zwój i ostrożnie go rozłożył. — Pamiętacie tę epistołę, Lotariuszu? To ta sama, którą wczoraj mi przekazaliście, kopia tych, które zamierzaliście rozesłać do pozostałych biskupstw. Wręczyliście mi ją, abym mógł podziwiać wasze

prostolinijne chrześcijańskie zachowanie i, przypuszczam, również jako krok ku domaganiu się lepszego stanowiska.

Karol Wielki przyjrzał się zdaniu, które wypowiedziała Theresa: In nomine Pater. Na obu pergaminach charakter pisma był co do najdrobniejszego szczegółu taki sam.

— Macie coś do powiedzenia? — spytał król Lotariusza. Biskup zaniemówił z wściekłości. Nagle odwrócił się w stronę

Theresy, próbując ją uderzyć, ale Alkuin stanął mu na drodze. Lotariusz znów się zamachnął, lecz wówczas Alkuin obalił go uderzeniem pięści.

— Już od dawna miałem ochotę to zrobić... — szepnął mnich, masując sobie dłoń, którą uderzył biskupa.

* * *

Cztery dni później Alkuin powiedział Theresie, że Lotariusz został zatrzymany i zaprowadzony do celi, w której miał być trzymany aż do dnia sądu. Nie udało się wyjaśnić, w jakim momencie biskup odkrył, że pszenica stała się przyczyną epidemii. Jednak nie było wątpliwości, że choć miał tego świadomość, nadal ją sprzedawał, jakby nic się nie stało. Po odrzuceniu hipotezy o uczestnictwie Kohla w spisku młynarz został wypuszczony na wolność podobnie jak Knur, choć niestety mocno podupadł na duchu na podobieństwo małego zaleźnionego pieska, którego obito kijami.

— I nie tracą biskupa? — spytała Theresa, porządkując manuskrypty.

— Szczerze mówiąc, nie sędzę. Zważywszy na to, że Lotariusz jest krewnym króla i że nadal piastuje stanowisko biskupa, obawiam się, że wcześniej czy później uniknie kary.

Theresa dalej układała kodeksy, nad którymi przez cały ranek pracowała. Odkąd Lotariusz został oskarżony, po raz pierwszy była w skryptorium.

— Nie uważam tego za sprawiedliwe — oznajmiła.

— Jeśli czasem trudno jest zrozumieć bożą sprawiedliwość, to wyobraź sobie, jak trudno jest pojąć ziemską.

— Ale zginęło tylu ludzi...

— Za śmierć nie płaci się śmiercią. Na tym świecie, na którym życie zależy od fanaberii różnych chorób, głodu, wojen, bezlitosnej przyrody, wykonanie wyroku na przestępcy na nic by się nie zdało. Życie zamordowanego warte jest tyle, co jego fortuna, i podług tej wartości wymierzona będzie kara.

— A skoro wielu spośród tych, którzy umarli, nie posiadało dużego majątku...

— Widzę, że szybko się uczysz. Na przykład kara za zabójstwo młodej kobiety w wieku, w którym zdolna jest wydawać na świat potomstwo, wynosi sześćset solidów. Tyle samo, gdyby zmarłym był chłopiec poniżej dwunastego roku życia. Ale gdyby zmarła była dziewczynką w tym samym wieku, kara wyniosłaby tylko dwieście solidów.

— I sędzicie, że zdołam to zrozumieć?

— W oczach Boga mężczyzna i kobieta są sobie równi, ale w oczach ludzi najwyraźniej tak nie jest: mężczyzna mnoży pieniądze i majątek, a kobieta dzieci i problemy.

— Dzieci, które przyczynią się do zamożności i będą pracować. A poza tym skoro Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo, to dlaczego człowiek nie naśladuje wizji Boga?

Alkuin uniósł brew zaskoczony trafną odpowiedzią.

— Jak już ci mówiłem, za zabójstwo płaci się czasem karę pieniężną, ale za przestępstwa, które prowadzą do poważnych strat, takie jak pożar lub zniszczenie mienia, winnemu wymierzana jest kara śmierci.

— A zatem ten, kto zabija, płaci karę pieniężną, a temu, kto kradnie, odbiera się życie.

— Takie jest mniej więcej prawo.

Theresa pracowała nad ewangelią, którą zajęła się już od wczesnych godzin rannych. Umoczyła pióro i zabrała się do nowego wersetu, by jak najszybciej skończyć stronicę, tyle bowiem każdego dnia wymagał od niej Alkuin. Każda strona składała się z trzydziestu sześciu linijek, które zazwyczaj przepisywała w jakieś sześć godzin, co stanowiło połowę czasu, jaki musiałby poświęcić na to wyjątkowo dobry kopista. Alkuin już od dość dawna pracował nad nowym rodzajem kaligrafii umożliwiającą szybkie i nieskomplikowane pisanie, co ułatwiało też odczytanie tekstu i jego przepisanie. W tym celu stosował nowy typ liter uncjalnych mniejszych rozmiarem od majuskuły, co ułatwiało kopiowanie Wulgat. Theresa posługiwała się tym pismem i dzięki temu osiągała taką szybkość, co napępniało mnicha wielką dumą.

Po zakończeniu przepisywania Alkuin zajmował się poszerzaniem wiedzy Theresy, ze szczególnym naciskiem na *Ars Dictaminis*, sztukę pisania epistoł.

— Nie możesz ograniczyć się do kopiowania. Będziesz również musiała zacząć myśleć o tym, co chcesz napisać.

* * *

Od czasu do czasu, gdy Alkuin wychodził ze skryptorium, Theresa wyjmowała pergamin ukryły w sakwie przez Gorgiasa i studiowała wypisany

na nim tekst, starając się go odszyfrować. Czasem sięgała po greckie kodeksy, które znajdowała na półkach, ale ani w nich, ani w żadnym tekście łacińskim nie znalazła wzmianki o Donacji Konstantyna. Zdziwiła się, że w żadnym kodeksie nie ma o tym mowy, ale nie miała odwagi spytać Alkuina.

Oprócz analizy pergaminu Theresa poświęcała czas na pasjonującą lekturę *Liber glossarum*, wyjątkowy kodeks stanowiący kompendium uniwersalnej wiedzy. Według Alkuina ten faksymil został skopiowany w opactwie Corbie na podstawie wizygockiego oryginału inspirowanego *Etymologiami* świętego Izydora. Nieraz mnich ostrzegał ją przed akapitami, w których przezierają pogańskie słowa Wergiliusza, Orozjusza, Cyserona i Eutropiusza, ale Theresa wspierała się na przekładach Hieronima, Ambrożego, Augustyna i Grzegorza Wielkiego, aby Alkuin pozwolił jej dalej czytać. Ta książka była niczym okno wychodzące na nieznaną jej świat, zawierała wiedzę wykraczającą daleko poza religię.

— Pewnych rzeczy wciąż nie rozumiem — powiedziała, zamykając na chwilę księgę.

— Gdybyś zamiast męczyć się nad tym tomem, usiadła nad Biblią...

— Nie mówiłam o *Liber glossarum*. Miałam na myśli sprawę zatrutej pszenicy. Rozmyślałam o tym i wciąż nie rozumiem, dlaczego zamknęliście mnie w tamtej sali.

— No cóż. Wtedy bałam się o ciebie... a także, muszę przyznać, o to, co mogłabyś jeszcze opowiedzieć Lotariuszowi. W istocie to ja sam pchnąłem cię, byś do niego poszła, ale później sytuacja stała się bardziej groźna.

— Wy? Teraz doprawdy nic już nie rozumiem...

— Po odkryciu ukrytego tekstu moje podejrzenia skupiły się na Lotariuszu. Tylko on miał dostęp do poliptychu, a poprawka wyglądała na dość świeżą. Na nieszczęście Lotariusz zaczął się nas obawiać, uznałem zatem, że lepiej byłoby, gdyby myślał, że podejrzewamy kogoś innego. Dlatego kazałem Czarnulce Heldze umalować sobie nogi i udawać chorą. Wiedziałem, że się oburzysz i pójdziesz do Lotariusza. Wiedziałem, że powiesz mu, iż podejrzewam Kohla, dzięki czemu będę mógł dalej swobodnie kontynuować śledztwo. Nawet list, który znalazł w mojej celi, napisałem celowo, wiedząc, że mnie pilnuje.

— Ale dlaczego nie zdradziliście mi swojego planu?

— Aby żaden drobiazg nie zaniepokoił Lotariusza. Musiał ci uwierzyć, uwierzyć w twoją wersję wydarzeń. Zresztą pomysł umalowania nóg Heldze zaczerpnąłem od samego Lotariusza.

— Co macie na myśli?

— To on wcześniej uciekł się do tego sposobu z rudzielcem Rot-haartem. Odkryłem to, gdy badałem jego zwłoki. Nie zmarł z powodu choroby, tylko został zamordowany przez samego Lotariusza. Rothaart był jedyną osobą, która mogła go zdradzić, a po jego śmierci jedynym podejrzanym został Kohl.

— A dlaczego nie powiedzieliście tego wszystkiego Karolowi Wielkiemu? Nawet ja wątpiłam w waszą niewinność.

— Potrzebowałem czasu. Odkryłem, że Lotariusz orze ziemię poza granicami biskupstwa. Zapewne miał nadzieję, że siejąc pszenicę, uwolni się od kompromitującego dowodu, nie tracąc przy tym ziarna. Problem polegał na tym, że sporysz może przeskoczyć z jednych ziaren na drugie, zarażając całą okolicę. Nie wiedziałem, gdzie Lotariusz ukrywał zboże ani też, czy partie znalezione w młynie Kohla, umieszczone tam z pewnością przez Lotariusza, to było wszystko, co posiadał biskup. Poleciałem zatem dwu akolitom, by pilnowali tych pól. Dopóki nie nabrałem pewności, że jeszcze nie zasiał pszenicy, nie chciałem go demaskować. A tak naprawdę martwi mnie to, że istnieje jeszcze jakaś partia pszenicy, której wciąż nie znalazłem.

Theresie było głupio, że okazała taki brak zaufania do Alkuina. Odłożyła książkę, zebrała przybory piśmiennicze i poprosiła o zezwolenie na odejście, bo już jakiś czas temu zapadł zmierzch.

ROZDZIAŁ 20

Kiedy Gorgias się obudził, zaczął się modlić, by wszystko okazało się tylko snem, ale wokół niego nadal wznosiły się mury, w których już od miesiąca był uwięziony. Genzeryk przychodził do krypty każdego ranka i sprawdzał postępy w pracy nad dokumentem przepisywanym przez Gorgiasa. Przez bęben obrotowy podawał mu garnek z dzienną porcją jedzenia i zabierał wiadro z nieczystościami. Gorgias starał się pisać tak starannie, jak tylko mógł. Ale wkrótce przekonał się, że wikary zwraca jedynie uwagę na długość tekstu, a pomija precyzję wyrażen czy ozdobność kaligrafii. W pierwszej chwili przypisywał to jego słabym oczom, ale później przypomniał sobie, że Genzeryk nie znał greki, i zdziwił się, że Wilfred, wiedząc o tym, nie chciał osobiście sprawdzić tekstu. Ten szczegół skłonił go do rozmyślań.

Kiedy wikary odszedł, odłożył pergaminy, a na ich miejsce postawił garnuszek. Odkrył pokrywkę i zaczął jeść strawę z garnka. W trakcie jedzenia wciąż myślał o Genzeryku i jego wyblakłych niebieskich oczach. Po dłuższej chwili wstał.

Jego wyblakłe błękitne oczy... A jeśli to był on? A jeśli mężczyzną, który zaatakował go w dniu pożaru, był właśnie Genzeryk? Wikary nie wyglądał na kogoś, kto stawiałby czoło komuś młodszemu od siebie, ale działo się to w nocy, a sam atak był niespodziewany. Przypomniał sobie, że wpisał go na listę podejrzanych wraz z mnichem Karłem i mistrzem śpiewu, ale z racji wieku zawsze trzymał Genzeryka na ostatnim miejscu. Przypuszczalnie, kiedy go zaatakował, wiedział już o pergaminie. Genzeryk kontrolował wszystkie dokumenty w zamku i najwyraźniej również wszystkie przejścia i korytarze.

Wstał i zaczął krążyć po celi. Wilfred zawsze go zapewniał, że chodzi o tajemny tekst, a skoro tak, to dlaczego miałby niespodziewanie powierzyć taki sekret Genzerykowi? Bolała go ręka, ale nie zwracał na to uwagi. Poza tym dlaczego hrabia miałby go zamykać? A skoro aż tak potrzebny mu był ten dokument, dlaczego nie sprawdzał, jak mu idzie?

Nie. To nie miało sensu. Jedyne możliwe wyjaśnienie było takie, że Genzeryk działał na własną rękę. Wikary zaatakował go i ukradł pergamin, który wówczas zawierał jedynie tekst łaciński, a teraz chciał uczynić to samo z grecką wersją.

Przez resztę dnia przeżuwał w myślach swe podejrzenia, aż doszedł do wniosku, że Genzeryk musiał wiedzieć, jaką wartość przedstawia ten pergamin, wartość, o której Wilfred mówił z lękiem, choć nie wyjaśnił mu

powodu swych obaw. Z jakiegoś powodu Genzeryk gorąco pragnął wejść w jego posiadanie i bez wątpienia był zdolny zabić, by swój plan zrealizować.

Przestudiował tłumaczony przez siebie tekst. Porównał długość przepisanej kopii z łacińskim oryginałem i obliczył, że w tym tempie zakończy pracę za jakieś dziesięć dni. Uznał, że tyle ma czasu, by spróbować ocalić swoje życie.

W następnych dniach opracował plan ucieczki z lochu.

Genzeryk zazwyczaj pojawiał się po tercji, przez jakiś czas kręcił się po pierwszej sali i otwierał drzwiczki obrotowego bębna, by podać mu jedzenie. Czasem zostawiał drzwiczki otwarte, czekając na tekst, i to właśnie zamierzał wykorzystać Gorgias. Bęben wyglądający jak ustawiona pionowo beczka miał cztery przesłony umieszczone między dnem a wiekiem, które dzieliły go na komory. Gorgias oszacował, że w każdej z nich z trudem zmieściłby się prosiak, a zatem nawet gdyby usunął przesłony, i tak tą drogą nie wydostałby się na zewnątrz. Uznał jednak, że gdyby odciągnął uwagę Genzeryka, być może zdołałby złapać go za rękę na tyle mocno, by zmusić go do otwarcia zamka.

Była środa. Postanowił zrealizować swój plan w najbliższą niedzielę, co miało dać mu wystarczająco dużo czasu na oszlifowanie krawędzi przesłon, by łatwiej je było później wyważyć.

W czwartek po południu udało mu się wyjąć pierwszą z nich. Kiedy już ją oszlifował, zatuszował poczynione uszkodzenia kawałkami chleba umoczonego w czarnym tuszu. W piątek wymontował drugą przesłonę i trzecią, ale w sobotę nie mógł poradzić sobie z ostatnią. Pracował bez chwili wytchnienia i rana na ramieniu zaczęła mocno dawać mu się we znaki. Tamtej nocy nie spał dobrze.

Kiedy w niedzielę usłyszał kroki Genzeryka, wciąż mocował się z ostatnią przesłoną. Chciał już zrezygnować, ale uznał, że może jeśli użyje siły, uda mu się ją wyłamać. Zgrzyt klucza w zamku zwiastował rychłe wejście Genzeryka do kaplicy. Zrozpaczony zaparł się stopą o przesłonę i pchnął ją ze wszystkich sił. Ani drgnęła. W końcu zaczął w nią kopać, aż wyskoczyła akurat w chwili, gdy wikary otwierał drzwi. Zdążył jeszcze włożyć ją na miejsce i byle jak przytwierdzić przygotowaną wcześniej masą. Kiedy Genzeryk spytał, co to za hałas, Gorgias wyjaśnił, że potknął się o krzesło.

Modlił się, by wikary niczego nie zauważył. Po chwili usłyszał, że Genzeryk otwiera drzwiczki, a następnie obraca podajnik.

Miska grochu, którą ujrzał w podajniku, świadczyła o tym, że w istocie, zgodnie z jego obliczeniami, była niedziela. Gorgias zabrał miskę, a na jej

miejsce położył stary pergamin, aby przekonać się, czy Genzeryk jest w stanie je odróżnić. Wikary obrócił bęben i zabrał pergamin. Na razie wszystko szło tak, jak na to liczył Gorgias: wikary nie zabezpieczył mechanizmu.

Gorgias szybko przykucnął przy urządzeniu. Teraz pozostało tylko czekać, aż bęben znów się obróci, a wtedy walnąć w przesłonę i złapać Genzeryka za ramię. Oddychał tak ciężko, że bał się, iż zwróci tym uwagę starca. Ale ten się nie poruszył. Gorgias niemal słyszał, jak przesuwa swymi pomarszczonymi palcami po pergaminie. Nagle usłyszał, że Genzeryk blokuje bęben.

— Muszę przejrzeć tekst — powiedział.

A więc nie miał szczęścia! Wiedział, że jeśli minie zbyt dużo czasu, Genzeryk odkryje zmiany. Nagle usłyszał dochodzące zza drzwi skrobanie, jakby wikary drapał jakimś narzędziem po krawędzi przesłony. Potem Genzeryk zaklął i walnął w bęben tak mocno, że omal nie wybił Gorgiasowi zębów. Gorgias odsunął się. Zza drzwi dochodziły kolejne przekleństwa. Bał się, że Genzeryk wpadnie w szał szał. Ale złorzeczenia cichły, aż w końcu znikły w oddali niczym burza. Potem usłyszał trzask zamykanych gwałtownie drzwi.

O zmierzchu Genzeryk przyszedł z jakimś nieznanym. Gorgias słyszał, jak dyskutują zapalczywie. Ich głosy unosiły się, przechodząc w krzyki. Nowo przybyły sprawiał wrażenie wzburzonego, a wkrótce po krzykach rozległy się uderzenia. Kilka chwil później drzwiczki do bębna otworzyły się. Czyjeś silne ramiona wyjęły naruszone przesłony, a do celi wpadło światło, ukazując tatuaż w kształcie węża. Wytatuowana ręka wsunęła do celi brudnopis, który Gorgias podał wcześniej Gen-zerykowi, po czym znikła. Następnie Gorgias usłyszał hałasy świadczące o tym, że przesłony znów są wstawiane. Przez kolejne trzy dni Gorgias nie miał żadnych wieści o Genzeryku.

* * *

— Wstawaj! — rozkazał wikary zza drzwi.

Gorgias usłuchał, nie mając pojęcia, co się dzieje. Spojrzał w stronę lufcika załzawionymi oczami i stwierdził, że nie zaczęło jeszcze nawet świtać. Wstał, zataczając się, aż wreszcie oparł czoło o drzwi. Modlił się, by Genzeryk zapomniał o incydencie z podajnikiem, choć łatwiej byłoby modlić się o to, by runęły mury i rozbiły mu głowę. Bęben obrócił się, wpuszczając snop światła, i natychmiast gwałtownie zamknął. Gorgias wymacał po ciemku garnek z jedzeniem. Złapał go i zaczął łapczywie jeść. Delektował się kaszą, bo od trzech dni nic nie jadł.

Wygrzebywał już ostatnią łyżkę, gdy Genzeryk kazał mu przygotować pergamin. Gorgias zakaszłał. Myślenie przychodziło mu z trudem.

— Ja... ja nie mogłem dalej pracować — wyjaśnił. — To ramię... nie jestem zdrow.

Genzeryk zaklął. Zagroził, że będzie torturować Rutgardę.

— Przysięgam, że nie kłamię. Proszę, sami zobaczcie.

Nie dając mu czasu na odpowiedź, Gorgias zaczął wymontowywać jedną z przesłon bębna. Kiedy skończył, usłyszał, że po drugiej stronie Genzeryk odsuwa rygiel. Przez otwór wpadło światło gromnicy i Gorgias przymknął oczy. Wsunął powoli zranione ramię. Nagle poczuł tak mocny ucisk, że aż krzyknął z bólu.

— Jeśli będziecie próbować jakichś sztuczek, natychmiast złamię wam rękę — oznajmił Genzeryk. — Rozumiecie?

Gorgias przytaknął i Genzeryk uniósł stopę, którą nadepnął jego chore ramię. Następnie Gorgias poczuł ciepło płomienia gromnicy na swych palcach, gdy wikary oglądał mu ramię. Starzec zdziwił się. Gdyby nie to, że ramię się poruszało, Genzeryk mógłby przysiąc, że należy do trupa.

* * *

Wikary wrócił o zmierzchu i oznajmił, że medyk Zenon jest gotów się nim zająć, ale Gorgias tego nie zrozumiał, bo trawiła go gorączka. Kiedy się ocknął, usłyszał, jak Genzeryk uderza w bęben i w końcu wyjmuje dwie przesłony. Snop światła poszerzył się. Genzeryk kazał mu oprzeć się plecami o drzwi i wsunąć obie ręce do bębna. Gorgias niemal bezwiednie usłuchał. Nie narzekał, gdy łańcuchy skuły mu nadgarstki. Poczuł, że Genzeryk wsuwa kij między jego przedramiona, by unieruchomić go przy drzwiach. Minęło kilka chwil, nim wikary otworzył, zmuszając go do przesuwania się zgodnie z ruchem drzwi.

Nie zdążył nawet na niego spojrzeć, bo Genzeryk od razu narzucił mu kaptur na głowę, który obwiązał sznurem wokół jego szyi. Nim wyjął kijek unieruchamiający go przy drzwiach, ostrzegł, że zabije go przy najmniejszej próbie ucieczki. Gorgias skinął głową i wikary go uwolnił. Ledwie trzymał się na nogach, gdy Genzeryk pociągnął za łańcuchy, nakazując mu iść naprzód.

Nie wiedział, ile czasu szli. Zdawało mu się, że droga trwa całą wieczność. Wreszcie zatrzymali się w jakimś zacisznym miejscu. Wkrótce zjawił się mężczyzna, który przywitał się z Genzerykiem. Z tonu głosu Gorgias wywnioskował, że to Zenon, ale równie dobrze mógł to być człowiek z tatuażem. Wikary nalegał, by zajął się chorym, nie zdejmując mu kaptura z

głowy, ale Zenon, bo teraz Gorgias nie miał wątpliwości, że to był on, odmówił.

— Mógłby umrzeć, a ja nawet bym się nie zorientował.

Kiedy zdjęto Gorgiasowi kaptur, miał on wrażenie, że znajdują się w jakiejś opuszczonej stajni. Pomieszczenie, w którym z jakiegoś powodu stał stół, oświetlały dwie pochodnie. Zenon poprosił Genzeryka, by uwolnił Gorgiasa z łańcuchów.

— Nie widzicie, w jakim jest stanie? Nigdzie się stąd nie ruszy — przekonywał medyk.

Genzeryk odmówił. Uwolnił chore ramię, ale zdrowe przykuł do pierścienia przy stole.

Zenon zbliżył pochodnię do chorego ramienia. Kiedy je obejrzał, na jego twarzy malowało się przerażenie. Zbliżył nos i odsunął się z obrzydzeniem. Kawalkiem drewna nacisnął na ranę, ale Gorgias nie zareagował. Zenon pokręcił głową.

— Już ją stracił — szepnął Genzerykowi. — Jeśli gangrena dostała się do limfy, możecie zacząć szykować trumnę.

— Róbcie, co musicie, byle nie stracił ręki.

— Już ją stracił. Nie wiem nawet, czy zdołam uratować mu życie.

— Chcecie dostać zapłatę, czy nie? Wszystko mi jedno, czy reszta wytrzyma. Ale ta ręka musi pisać.

Zenon pokręcił głową. Podał pochodnię Genzerykowi i poprosił, by mu poświecił. Potem wyjął na stół torbę z narzędziami, wziął długi nóż i zbliżył go do rany.

— To może was zabołec — ostrzegł Gorgiasa. — Muszę rozciąć ramię.

Miał już zaczynać, gdy Genzeryk zachwiał się. Medyk zauważył to w samą porę i zdążył go przytrzymać.

— Dobrze się czujecie? — spytał.

— Tak, tak. To nic. Kontynuujcie — rozkazał.

Zenon spojrział na niego zdziwiony, po czym znów zabrał się do dzieła. Wylał na rękę chorego nieco spirytusu, po czym wykonał nacięcie równoległe do zabliznionej rany. Skóra rozeszła się niczym jelito ropuchy, a z nacięcia zaczęła wydobywać się ropa. Smród był taki, że Genzeryk musiał się cofnąć. Zenon poszukał igły i zaczął nawlekać na nią nić.

— Cholera! — wykrzyknął, gdy igła wyślizgnęła mu się z palców. Nachylił się, by ją podnieść, ale nigdzie nie mógł jej znaleźć.

— Zostawcie ją i weźcie drugą — poradził Genzeryk.

— Nie mam przy sobie więcej igieł. Musielibyście pójść po nie do mojego domu.

— Ja? Idźcie sami.

— Ktoś musi powstrzymać krwawienie. — Puścił łokieć Gorgiasa i na stół trysnął strumień krwi. Zenon znów nacisnął arterię.

Genzeryk skinął głową.

Choć Gorgias leżał nieprzytomny, Genzeryk ostrzegł Zenona, by go pilnował. Przed wyjściem upewnił się, że łańcuch dobrze trzyma, i wypytał medyka, gdzie trzyma igły. Miał już wyjść, gdy znów się zachwiał.

— Na pewno dobrze się czujecie? — spytał Zenon.

— Doprowadźcie do porządku to ramię przed moim powrotem! — krzyknął Genzeryk i znikł ze stajni, mrużąc oczy, jakby niezbyt dobrze widział.

Zenon zacisnął kępulec na ramieniu Gorgiasa, powstrzymując krwawienie. Zbadał raz jeszcze ranę, zobaczył, że ma szarofioletowy odcień, i pokręcił głową. Ta ręka była stracona, choćby Genzeryk nie wiadomo jak się upierał. W tej samej chwili Gorgias się ocknął. Gdy zobaczył medyka, usiłował się podnieść, ale powstrzymały go łańcuchy i kępulec. Zenon uspokoił go.

— Gdzieście się podziewali? Rutgarda miała was już za martwego — powiedział medyk i pochylił się, bo zauważył lśnienie zagubionej igły.

Gorgias usiłował przemówić, ale gorączka splątała mu język. Zenon poinformował go, że powinien amputować mu rękę, w przeciwnym razie niechybnie umrze. Gorgias spojrzał na niego przerażony.

— Nawet jak ją obetnę, i tak możecie umrzeć — mruknął, jakby miał zarznąć wieprza.

Gorgias zrozumiał. Już od kilku dni nie mógł poruszać palcami. Dotąd usiłował to ignorować, ale od łokcia w dół jego ramię było pozbawionym życia kikutem. Zastanowił się nad słowami medyka. Tracąc ramię, straciłby również źródło utrzymania, ale przynajmniej mógłby jeszcze walczyć o Rutgardę. Spojrzał na ramię pokryte wrzodami. Pulsowało, ale nie bolało. Medyk miał rację. Kiedy Zenon wyjaśnił, że Genzeryk jest temu przeciwny, Gorgias nie zrozumiał, o co mu chodzi.

— Przykro mi, ale to on płaci.

Gorgias usiłował zdjąć coś ze swojej szyi, ale Zenon go powstrzymał.

— Weźcie to — zdołał wykrztusić Gorgias. — To rubiny. Nigdy żeście tyle nie zarobili.

Zenon obejrzał naszyjnik wiszący na szyi Gorgiasa. Złapał go i zerwał jednym ruchem. Potem spojrzał na drzwi, jakby się nad czymś zastanawiał.

— Genzeryk mnie zabije.

Splunął na ziemię i kazał Gorgiasowi zagryźć suchą gałąź. Potem chwycił piłę i zaczął ciąć ramię niczym rzeźnik ćwiartujący cielaka.

Kiedy Genzeryk wrócił, zastał omdlałego Gorgiasa w wielkiej kałuży krwi. Zaczął szukać Zenona, ale po medyku nie było śladu. Na ziemi leżała amputowana kończyna, a tam gdzie wcześniej znajdowało się ramię, widniał teraz umiejętnie zszyty kikut.

Wkrótce zjawił się Zenon, podciągając sobie portki. Kiedy zobaczył Genzeryka, usiłował mu wytłumaczyć, że było to nieuniknione, ale wikary nie słuchał jego wywodów. Przeklął go tysiąc razy, posłał do piekieł, obrzucił obelgami i usiłował pobić. Ale nagle uspokoił się, jakby ogarnął go jakiś dziwny fatalizm, a po chwili zachwiał się. Sprawiał wrażenie zmieszanego. Jego oczy błędziły to tu, to tam, jakby szukając jakichś nieistniejących miejsc. Zenon złapał go w ostatniej chwili, gdy Genzeryk osuwał się na ziemię. Zakaszłał. Twarz mu zbladła i po chwili wyglądała niczym marmurowa maska. Medyk podał mu łyk spirytusu, który trochę go ożywił.

— Wygląda na to, że coś wam dolega. Chcecie wyjść?

Genzeryk przytaknął bez przekonania.

Zenon przyprowadził swój wóz. Najpierw zaprowadził do niego wikarego, a potem zaniósł Gorgiasa niczym worek zboża. Wreszcie sam wsiadł na wóz, trzasnął z bicia i poprowadził konia przez las zgodnie z niezbyt jasnymi wskazówkami Genzeryka. Po drodze Zenon zauważył, że wikary stale drapie się po lewej dłoni. Wyglądało na to, że go swędzi, jakby poparzył się pokrywami. Zwrócił mu na to uwagę, ale Genzeryk nawet go nie słuchał.

Zatrzymali się przy dębowym lasku w pobliżu fortecznych murów. Genzeryk zsiadł z wozu i zaczął iść, pociągając nogami niczym zjawa. Zenon szedł tuż za nim, ciągnąc za sobą Gorgiasa. W ciemnościach wikary doszedł do muru, pomacał porastające go powoje, aż trafił na maleńkie drzwiczki. Wyjął spod sutanny klucz i z trudem wsunął go do zamka. Potem oparł się o framugę, by odpocząć. Otworzył drzwi, wszedł do środka jak somnambulik, po czym runął na ziemię.

Kiedy Gorgias obudził się następnego dnia, znalazł u swego boku zwłoki Genzeryka.

Minęło trochę czasu, nim Gorgias zdołał wstać. Zamglonymi jeszcze oczami spojrzął na obandażowany przez Zenona kawałkiem jego własnej koszuli kikut. Bolał go potwornie, ale przynajmniej nie krwawił. Potem popatrzył na Genzeryka. Mnich leżał z wykrzywioną miną, dłonie miał przyciśnięte do

brzucha, przy czym lewa miała dziwnie purpurowy kolor. Miał ochotę go kopnąć, ale powstrzymał się. Rozejrzał się wokół. Znajdował się w okrągłej krypcie, w której był przez tyle dni przetrzymywany. Poszedł w stronę celi i pchnął drzwiczki, które ze skrzypieniem ustąpiły. Przez chwilę opanował go lęk, ale wreszcie wszedł do środka, by przejrzeć dokumenty. Na szczęście te najważniejsze były nadal tam, gdzie je schował, wziął zatem oryginał i wersję grecką, a pozostałe pergaminy zniszczył. Zabrał też kilka bochenków suchego chleba i opuścił kryptę, kierując się w stronę dawnej kopalni.

W połowie ranka dostrzegł pokłady żelaza, które teraz wyglądały niczym przeżarty plaster wosku. Szedł starymi ścieżkami kopalni pośród arsenikowych kurhanów, porozrzucanych resztek skrzyń, połamanych lamp i uprząży z przegniłej skóry, których po wyczerpaniu złoża nikomu nie chciało się usuwać. Wkrótce doszedł do dawnych baraków niewolników.

Zatrzymał się i przyjrzał walącym się budynkom, w których nierzadko kryli się zbójcy lub dzikie zwierzęta, modląc się, by nikogo w nich nie było. Deszcz zaczął lać na dobre, więc wszedł do jedyne go baraku, w którym zachowała się jeszcze część dachu, i poszukał schronienia wśród bloków, amfor ze środkami kaustycznymi, narzędzi i wysłużonych kołowrotów. Wreszcie znalazł dziurę tuż obok beczek pełnych zastanej wody. Padł na ziemię, oparł się plecami o beczki i zamknął oczy, starając się przewyciężyć przeszywający ból. Przez chwilę miał ochotę pozbyć się bandaża, który ścisnął mu kikut, ale pojął, że byłoby to szaleństwem.

Pomyślał o swojej żonie Rutgardzie.

Musiał się upewnić, że nic złego jej się nie stało, postanowił zatem, że tej nocy ją odwiedzi. Poczeka, aż słońce skryje się za horyzontem, i pójdzie do Wurzburga kanałem, którego zwykle używano, by przedostać się na drugą stronę murów, gdy bramy były zamknięte.

Próbował zasnąć, ale nie zdołał. Wtedy pomyślał o swojej córce Theresie. Jakże za nią tęsknił!

Zjadł trochę chleba, który zabrał z krypty.

Czas upłynął mu na zastanawianiu się, co takiego przydarzyło się Genzerykowi. W ciągu swego życia wiele razy był świadkiem czyjejś śmierci, ale nigdy wcześniej nie widział tak wykrzywionej twarzy jak u wikarego uduszonego własnymi wymiocinami. Uznał, że być może Genzeryk został otruty. Może przez mężczyznę z wytatuowanym wężem.

Nagle doznał widzenia: noc, gdy został napadnięty, te jasne oczy, ręka atakująca go nożem i jego własna dłoń usiłująca powstrzymać napastnika. W

jego głowie rozbłysł wizerunek tego węża ściskającego sztylet, który go zranił. Tak. Nie miał wątpliwości. Napastnikiem był ten sam człowiek, który klócił się z Genzerykiem w krypcie. Człowiek z wytatuowanym wężem.

Gdy zapadła noc, ruszył w drogę powrotną do Wurzburga, gdzie zjawił się pod osłoną mroku. Zastał pusty dom i pomyślał, że Rutgarda na pewno dalej mieszka pod dachem swej siostry, postanowił zatem podejść do stojącego na zboczu wzgórza domu krewnych. Kiedy tam dotarł, usłyszał żonę podśpiewującą melodię, którą często nuciła. Na moment ból w ramieniu ustąpił. Miał już wejść, gdy zobaczył jakichś ludzi stojących za rogiem.

— Do diabła z taką robotą! — zaklął jeden z nich. — Nie wiem, co my tu, u licha, robimy, bo tego skrybę na pewno dawno już zjadły wilki — powiedział, kryjąc się przed ulewą.

A więc znów nie miał szczęścia! To byli zaufani ludzie Wilfreda, a fakt, że na niego czekali, świadczył raczej o tym, że hrabia był we wszystko zamieszany. Nie mógł ryzykować, więc zagryzł zęby i ruszył w drogę powrotną przygnębiony niemożnością zobaczenia Rutgardy.

W drodze do kopalni zwrócił uwagę na niewielkie, rozświetlone ponad fortecznymi murami okienka. Deszcz bawił się ze świecami, to kryjąc je, to rozpalając, jakby chodziło o jakąś zagadkę. Zastanawiał się właśnie nad tym, w której części mieszczą się komnaty Wilfreda, gdy usłyszał gdakanie. Smród utwierdził go w przekonaniu, że po drugiej stronie muru mieszczą się zagrody, co poddało mu pomysł skradzenia kury. W końcu musiał się czymś odżywić, a taka kura, która niewiele je, mogłaby co dzień znosić mu pyszne jajko.

Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu jakiejś szpary, o którą mógłby oprzeć stopę, by wspiać się na mur. Od razu jednak uświadomił sobie, że mając jedną tylko rękę, nigdy nie zdoła tego zrobić. Ruszył więc do bramy, za którą znajdowały się zwierzęta, choć wiedział, że stoi przy niej strażnik. Kiedy podszedł bliżej, jego podejrzenia się potwierdziły, za ogrodzeniem bowiem dostrzegł sylwetkę Bernardina, hiszpańskiego mnicha, wzrostem i tuszą podobnego do beczki.

Schował się za drzewo, nie mogąc się zdecydować. Przyszło mu do głowy, by porozmawiać z Bernardinem, ale natychmiast uznał, że to szaleństwo. Znów rozległo się gdakanie, więc odczekał jeszcze chwilę. Po jakimś czasie usłyszał turkot nadjeżdżającego drogą wozu. Kiedy wóz znalazł się na jego wysokości, zobaczył, że jadą nim ci sami wartownicy, których widział wcześniej pod domem Rutgardy. Kiedy podjechali pod bramę, zawołali Bernardina, a ten natychmiast im otworzył, unosząc pochodnię, by sprawdzić, kto nadjeżdża.

— Przeklęta ulewa! Już czas na zmianę warty? — spytał karzeł, usiłując schować się przed deszczem.

W odpowiedzi mężczyźni jedynie przytaknęli niechętnie i pognali konia.

Gorgias skorzystał z nadarzającej się okazji. Gdy wóz zaczął się loczyć, przyczał się z boku i ruszył tuż obok niego skryty w cieniu. Kiedy przeszedł przez bramę, kucnął za krzakami i czekał, aż żołnierze odjadą. Odetchnął, gdy karzeł zamknął bramę i schronił się w szałasie, nieświadom jego obecności.

Wkrótce, gdy chrapanie upewniło go, że mnich śpi, przeczołgał się wśród listowia w stronę zagrody, gdzie przez chwilę czekał, obserwując kurę, która zdała mu się najbardziej dorodna. Począł, aż ptaki się uspokoją, powolutku otworzył drzwi i skradając się niczym lis, ruszył na polowanie. Gdy znalazł się już dość blisko, złapał swą ofiarę za szyję, ale ptak począł gdakać, jakby wrywano mu pióra. Nagle wszystkie kury się ocknęły, podnosząc taki harmider, że Gorgias był pewien, iż pobudzą nawet zmarłych.

Natychmiast zaczął tupać, zmuszając kury do rozpierzchnięcia się. Potem skrył się na zewnątrz zagrody i poczekał, aż zjawi się Bemardino. Karzeł wkrótce przyszedł, niezbyt rozumiejąc, co się dzieje, a Gorgias, korzystając z zamieszania, podbiegł do bramy i uciekł z kurą.

Kiedy dotarł do kopalni, była już późna noc. Znów schował się w baraku niewolników pomiędzy beczkami, z jednej z nich robiąc klatkę dla Białej, nowej lokatorki baraku. Mimo bólu w ramieniu wkrótce zapadł w sen, który trwał aż do późnego ranka. Kiedy się obudził i spojrzał na Białą, odkrył, że na powitanie kura zniosła mu jajko.

Gorgias odwdzieczył się kurze dwiema dżdżownicami, które znalazł w pobliżu. Kolejną porcję glist schował do drewnianego naczynka, nakrył je kamieniem i wypił trochę świeżej deszczówki. Potem delikatnie odwiązał bandaż, by sprawdzić stan kikuta. Zenon odpiłował kość powyżej łokcia i zszył strzępy skóry, które — Gorgias nie miał pojęcia w jaki sposób — przypalił. Nadal widać było pęcherze po oparzeniach, ale Gorgias uznał je za mniejsze zło, wiedział bowiem, że był to jedyny sposób na powstrzymanie gangreny. Ostrożnie obandażował kikut i usiadł, by zastanowić się nad sytuacją, w jakiej się znalazł.

Uporządkował w myślach wydarzenia, które nastąpiły, począwszy od tego ranka, gdy nieznamy o jasnych oczach zaatakował go, by ukraść pergamin. Potem wybuchł pożar, w którym stracił córkę. Zapłakał. Po pogrzebie Wilfred żądał, by pokazał mu Donację Konstantyna, dokładnie ten dokument, który spłonął w warsztacie pergamenariusza. Potem włączył się w to wszystko

Genzeryk, który najwyraźniej w porozumieniu z Wilfredem zamknął go w krypcie, by mieć pewność, że Gorgias spełni swe zadanie. Po miesiącu niewoli i nie mając żadnych wiadomości o misji papieskiej, usiłował uciec, co mu się udało dzięki podejrzanemu śmierci Genzeryka. Gdzieś w tym wszystkim mieścił się jeszcze człowiek z wytatuowanym węzem oraz amputacja jego własnego zmaltretowanego ramienia.

Rozmyślał nad zadaniem, które miał wykonać Genzeryk. Z początku podejrzewał, że działa na własny rachunek, a nawet, że to on go zaatakował, by skrać pergamin, ale dziwne okoliczności jego śmierci oraz fakt, że Wilfred pilnował Rutgardy, wzbudzały w nim teraz wątpliwości. A kim mógł być ten człowiek z węzem? Z pewnością kimś zorientowanym w tym, co się dzieje. Ponadto z racji sposobu, w jaki groził Genzerykowi, na pewno stał od niego wyżej.

Wsparty o beczki zauważył, że kura gapi się z idiotycznym zainteresowaniem na bandaż na jego ramieniu, i zaśmiał się gorzko. Z winy podłego dokumentu stracił prawe ramię, to, którego używał do pisania.

Wyjął pergamin z sakwy i przyjrzał mu się uważnie. Przez chwilę miał ochotę go podrzeć i nakarmić nim Białą. Ale powstrzymał się, mówiąc sobie, że koniec końców, skoro miał taką wartość, może zapłaci mu za to, by go odzyskać.

Przestało padać, wstał zatem, aby przejść się po okolicy i sporządzić listę rzeczy pierwszej potrzeby. Po pierwsze, musiał zapewnić sobie, mimo dobrej woli kury, wyżywienie. W drodze do kopalni minął las orzechowy: orzechy i jagody mogły stanowić uzupełnienie jajek, ale potrzebował więcej żywności. Pomyślał o złapaniu jakiegoś zwierzęcia, korzystając z Białej jako przynęty, jednak wkrótce doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej straciłby kurę.

Polowanie byłoby trudne. Z jedną tylko ręką i bez porządnych potrzasków nawet kaczora by nie upolował, ale niewykluczone, że mógł łowić ryby. W kopalni pełno było sznurów i kijków oraz zakrzywionych ostrzy, z których mógł zrobić haczyk. Nie brakowało też dżdżownic, by urządzić rybom prawdziwą ucztę. Rzeka była niedaleko, a czekając, aż ryba złapie, mógłby zrobić więcej haczyków.

Rozwiązanie problemu jedzenia bardzo go ucieszyło. Potem pomyślał o Rutgardzie.

Choć nie wiedział, ile czasu będą jej pilnować, bardzo chciał znów ją zobaczyć. Przyszło mu do głowy, że ktoś mógłby mu pomóc, ktoś, kto przekazałby jej wiadomość, w jakim jest stanie i co robi. Wystarczyłoby,

gdyby tylko dowiedziała się, że on wciąż o niej pamięta. Jednak ryzyko, że zostanie odkryty, było zbyt duże. Postanowił zatem poczekać, aż wpadnie na lepszy pomysł lub nadarzy się jakaś okazja. Rutgarda miała się dobrze, i to było najważniejsze.

Po chwili wyjął dokument i znów mu się przyjrzał. Oto miał przed oczami nieskazitelnie wykonaną, ukończoną kopię. Przeczytał ją raz i drugi, zatrzymując się przy zdaniach, które w trakcie przepisywania najbardziej go zaskoczyły. W tym pergaminie tkwiło coś mrocznego. Coś, czego być może nawet Wilfred nie zauważył. Wsunął go z powrotem do sakwy i rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby go schować. Dzięki temu, jeśli zostanie złapany, zawsze będzie mógł negocjować warunki przekazania pergaminu. Zbadał dokładnie wnętrze baraku, aż znalazł belkę, którą uznał za odpowiednią, włożył na beczki i schował dokument. Potem przesunął beczki, tocząc je po podłodze, by nikt nie nabrał podejrzeń. Spojrzał na belki i uśmiechnął się z zadowoleniem. Odwiązał Białą i podał jej naczynie z dżdżownicami, a sam zabrał się do sporządzania haczyków.

* * *

Przez cały tydzień cierpiał straszne bóle. Wysoka gorączka zwała go z nóg, ale równie gwałtownie jak przyszła, tak i odeszła. Przez te dni jego jedyną rozrywką była Biała, której luzował sznurek za dnia, by mogła poszukać glist, a wieczorami ściągał ją z powrotem do siebie, aby mieć w zasięgu ręki świeżo zniesione jajka. Obok znalazł stare koce, którymi się okrył. Czasem wchodził na szczyt wzgórza i spoglądał na miasto, podziwiał odległe góry, na których zaczynały się roztopy. Powtarzał sobie, że gdy drogi staną się przejezdne, będzie mógł uciec do innego miasta w towarzystwie Rutgardy.

Z biegiem czasu stan jego ramienia ulegał poprawie. Stopniowo zaczął poruszać barkiem, rana nie dawała mu się już we znaki, szwy odpadły, a blizna przybrała różową barwę podobną do koloru reszty ramienia. Któregoś ranka kikut wreszcie przestał go boleć.

Z początkiem trzeciego tygodnia postanowił zbadać chodniki prowadzące w głąb kopalni. Przy wejściu do pierwszego znalazł tyle krzesiwa i huby, że mógł rozpalić porozrzucane w tunelach pochodnie. W głębi odkrył żeliwne kotły, które mogły mu się przydać do gotowania. W trakcie kolejnych wycieczek sklasyfikował tunele jako jaskinie, korytarze i studnie. Dwie pierwsze grupy, które, jak stwierdził, musiały służyć do wprowadzania zwierząt i wnoszenia materiałów, uznał za nadające się na kryjówkę. Te zaś, które należały do

ostatniej grupy, były tak śliskie, że mógł ich użyć jedynie na wypadek niebezpieczeństwa.

Z czasem dojrzał do powrotu do Wurzburga. Z każdym dniem był coraz chudszy i wiedział, że jeśli zostanie w kopalni, wcześniej czy później go znajdą. Przekonywał samego siebie, że mógłby dogadać się z Wilfredem i dojść z nim do jakiegoś porozumienia. W końcu hrabia był kaleką i gdyby Gorgias spotkał się z nim sam na sam, mógłby się do niego zbliżyć, niczym nie ryzykując. Być może hrabia zgodziłby się wymienić dokument na list żelazny dla Gorgiasa i jego rodziny. Musiałby jedynie sprawdzić trasy, którymi poruszał się hrabia, by ustalić najdogodniejszy moment.

Rankiem w dniu, w którym upływał trzeci miesiąc od śmierci jego córki, postanowił wrócić do Wurzburga. Poprzedni dzień spędził, szykując coś w rodzaju przebrania żebraka, co nie sprawiło mu zbytniego problemu z racji wyglądu, jakiego nabrało w ostatnim czasie jego odzienie. Dodał do tego czapkę, którą znalazł w tunelach, i płaszcz z wyświechtanej wełny. Miał już wcisnąć czapkę na głowę, gdy z daleka postyszał bicie w dzwony dające sygnał do alarmu. Dzwony po raz pierwszy rozbrzmiewały w ten sposób od czasu pożaru, który strawił warsztat pergamenariusza, zatem — jako że w mieście musiało zapanować zamieszanie — postanowił zaczekać do nocy, by nie wzbudzać podejrzeń.

Kiedy schodził w dół, zaczął obawiać się, że dzwony ostrzegały przed atakiem Sasów, ale mimo to postanowił iść dalej. Jednak gdy doszedł do miasta, zastał pozamykane bramy. Porozmawiał ze strażnikiem, któremu przedstawił się jako nowo przybyły włóczęga, ale żołnierz zasugerował, by wrócił tam, skąd przybył. Zniechęcony ruszył dziwnie opustoszałymi uliczkami przedmieścia. Trafił na starca ukrytego w szopie i wypatrującego czegoś przez szparę. Gdy spytał go, co się dzieje w mieście, starzec zatrzaskał okienko, ale wobec jego nalegań wreszcie poinformował go, że od ciosów nożem zginęło wielu chłopców.

— Zdaje się, że zrobił to niejaki Gorgias. Ten sam, który zamordował Genzeryka.

Gorgias zaniemówił. Naciągnął czapkę jeszcze niżej na czoło i nawet nie dziękując, uciekł w góry.

LUTY

ROZDZIAŁ 21

Dni mijały, a brzuch Czarnulki Helgi rósł w tym samym tempie co dynie w biskupim warzywniku. Theresa nigdy nie widziała tak wielkiego brzucha, a gdy go dotykała, z zaskoczeniem stwierdzała, że sama pragnie, by w jej łonie zagościło dziecię Hoosa Larssona. Jednakże problemy, które zwykle towarzyszą kobietom w stanie błogosławionym, sprawiły, że porzuciła ten pomysł, zadowolając się podziwianiem Helgi pochłaniającej dosłownie wszelką strawę, która znalazła się w jej pobliżu.

Ale wydatny brzuszek nie był jedyną rzeczą, która zmieniła się w Czarnulce. Wyglądało na to, że ciąża przemieniła leniwą kobietę w pracowitą mrówkę, Helga bowiem już dawno przeprowadziła się ze swojej tawerny do większego domu stojącego w pobliżu biskupstwa, nie malowała już ust, a jej suknie zaczęły wyglądać tak samo jak suknie porządnej kobiety. Jednak najbardziej dziwiła Theresę łatwość, z jaką Helga poruszała się wśród garnków i palenisk. Favila powtarzała, że Helga ma złote ręce do gotowania, i wierzyła w to do tego stopnia, że zaczęła odsuwać się od garnków, pozostawiając wszystko nowej kucharce. Theresa uznała, że jedynie pozostanie z dawnej Helgi haniebna blizna po ranie zadanej jej sztyletem przez kochanka.

Ale Helga martwiła się wyłącznie o przyszłość swego dziecka. Kołysała swym wielkim brzuchem niczym kołyską, przemawiała do swego dziecięcia, nucąc wymyślone przez siebie melodie, wyjaśniała mu, na czym polega sekret dobrze upieczonego ptaka, tkąła maleńkie czepeczki, które miały przyodziać równie małą główkę, modliła się za nią, była bowiem pewna, że urodzi dziewczynkę, i odwiedzała Nikolasa, starego stolarza, który w wolnym czasie w zamian za ciasta robił dla niej wspaniałą kołyskę.

Mimo to Helga ze swym wydatnym brzuchem nie zaniedbywała obowiązków w biskupiej kuchni. Tego akurat wieczoru miała się odbyć uroczysta kolacja na cześć Ałkuina z Yorku, w której miał uczestniczyć król wraz ze swą świtą. Aby godnie nakarmić gości, Helga przyrzędziła kapłony i młode gołąbki, bażanta z rusztu i świeżo upolowanego jelenia, co w połączeniu z wołową sztufadą i sernikiem, przygotowanym przez Favile, miało wprawić w zachwyt wszystkich zaproszonych. Zwykle wieczerzę podawano w refektarzu po sekście, ale tym razem Ludovico, sekretarz Lotariusza, przyszykował mniejszą komnatę położoną nad kalefaktorium, biesiadników bowiem miało być tym razem mniej.

Dla Theresy ta wieczerza byłaby tylko jedną z wielu, gdyby nie to, że tym razem ona również była zaproszona.

— Król nalega — poinformował ją Alkuin.

Od tej chwili Theresa chodziła zdenerwowana, starając się nauczyć na pamięć Appendix Vergiliana, epickich poematów Wergiliusza, które Alkuin polecił jej wyrecytować podczas uczyty.

— Nie musisz ich pamiętać — wyjaśnił mnich. — Będiesz czytać, masz je tylko powtórzyć wiele razy, aby znaleźć najlepszą intonację.

Jednak największym zmartwieniem Theresy było, czy uda jej się dopasować używaną suknię, którą Czarnulka Helga kupiła tego popołudnia w jednym z zaułków w pobliżu warsztatów tkackich.

Kiedy skończyła pracę w skrytorium, poszła do domu Helgi, drżąc jak kurczak. Uspokoila się dopiero, gdy przymierzyła suknię i przekonała się, że wygląda w niej niczym szlachetna dama. Nie mogła się doczekać, gdy się w niej pokaże, ale Helga zmusiła ją, by uzbroidła się w cierpliwość, aż dokona ostatnich poprawek. Wreszcie odsunęła się, by obejrzeć Theresę.

Ściągnęła suknię jeszcze nieco w talii i czule objęła przyjaciółkę.

— Czy nie jest zbyt obcisła? — zawstydziła się Theresa.

— Wyglądasz wspaniale — powiedziała Helga i ponagliła ją, by nie spóźniła się na wieczerzę.

Kiedy Theresa zjawiała się w jadalni, biesiadnicy już siedzieli za stołem. Powitał ją Alkuin, który przeprosił w jej imieniu za spóźnienie. Theresa złożyła ukłon królowi i pobiegła truchtem na miejsce, które dla niej przeznaczono, tuż obok elegancko ubranej dziewczyny. Dziewczę powitało Theresę uśmiechem, odsłaniając drobne białe ząbki. Wyglądała na dwadzieścia lat, choć później Theresa dowiedziała się, że ma piętnaście. Jeden ze służących powiedział jej, że to Desideria, najstarsza córka Karola Wielkiego, która nie po raz pierwszy odwiedza Fuldę, jako że, z wyjątkiem pół walki, wszędzie towarzyszy swemu ojcu. Theresa doliczyła się dwudziestu gości, w większości byli to dworzanie monarchy, poza jakimiś pięcioma czy sześcioma duchownymi, którzy, jak się domyślała, musieli należeć do diecezji. Karol Wielki siedział u szczytu długiego prostokątnego stołu nakrytego nieskazitelnymi lnianymi obrusami i udekorowanego zimowymi kwiatami. Liczne półmiski z dziczyzną konkurowały z tacami pełnymi serów, kielbas i owoców, a dziesiątki ustawionych między talerzami dzbanów zwiastowało iście królewską ucztę. Na polecenie monarchy biesiadnicy wzniesli toast, nie stukając się kielichami, i zaczęli jeść niczym wygłodniałe stado świń.

W miarę upływu czasu Theresa zauważyła, że goście, którzy już się nasycili, przenoszą swoje zainteresowanie na krągłości widoczne pod jej suknią. Wystraszona poluzowała pas, by nie podkreślał nazbyt jej talii, i przesunęła wazon z kwiatami, tak by zasłaniał ją przed oczami ciekawskich. Desideria zauważyła jej zaniepokojenie i ustawiła jeszcze kilka bukietów, by bardziej zasłonić Theresę.

— Nie przejmuj się — zaśmiała się dziewczyna. — Wszyscy mężczyźni są tacy sami, chyba że piją, bo wówczas robią się jeszcze gorsi.

Kiedy nadeszła pora deserów, Alkuin podszedł do Theresy i zachęcił ją, by wstała z miejsca, na co niektórzy mężczyźni zareagowali głośną aprobatą. Jakiś duchowny zbyt pijany, by klaskać, wstał, usiłując coś powiedzieć, ale zdołał jedynie beknąć, po czym stracił równowagę i runął pod stół. Kiedy go wyniesiono, Karol Wielki wstał i poprosił Theresę, by zaczęła czytać. Theresa wcześniej przygotowała tekst.

Nim zaczęła, upiła łyk wina, co dodało jej odwagi. Odsunęła czubkiem buta resztki jedzenia leżące na podłodze, podeszła do pulpitu, który przygotował dla niej Alkuin, otworzyła kodeks i wzięła głęboki oddech. Ledwie wymówiła pierwsze słowo, wszyscy ucichli. Czytała powoli, spokojnie, momentami zniżając głos do szeptu, czasem odważnie go podnosząc. Kiedy skończyła, wszyscy nadal milczeli. Karol Wielki stał oszołomiony i patrzył na nią ze zdziwieniem. Przez chwilę Theresa sądziła, że ją zgani, ale ku jej zaskoczeniu zachwycony monarcha napełnił kielich i podał go Theresie. Theresa przyjęła napój. Jednak gdy usłyszała, że król życzy sobie zobaczyć ją w swych prywatnych komnatach, kielich przechylił jej się w dłoniach, plamiąc nową suknię.

* * *

Po kolacji Theresa wspomniała Czarnulce Heldze o zaproszeniu monarchy.

— Możesz uznać, że już cię zaliczył — powiedziała, gdy Theresa skończyła mówić.

Theresa żałowała, że włożyła tę suknię. Była wystraszona, ale nie wierzyła, że król mógłby ją zmuszać do czegoś nieprzystojnego. Postanowiła porozmawiać z Alkuinem, nim stawi się na spotkanie z monarchą, ale choć bardzo o to zabiegała, nigdzie nie mogła go znaleźć.

* * *

Kiedy zaprowadzono ją do komnaty Karola Wielkiego, Theresa modliła się, by król już spał. Na szczęście drzwi otworzył sam Alkuin. Mnich zaprosił ją do środka i stał obok, czekając, aż Karol Wielki się umyje.

— Ach! Już tu jesteś! Wejdz — zaprosił ją król.

Wycierał sobie właśnie tors, co dało jej okazję do podziwiania jego sylwetki. Z pewnością nigdy nie widziała tak wysokiego człowieka.

— Dobrze. Czy Alkuin już ci oznajmił, jakie mam zamiary?

— Nie, Wasza Wysokość — wyjąkała Theresa.

— Opowiadał, że jesteś bardzo bystra. Że to ty znalazłaś zatrute ziarno.

Theresa spojrzała na Alkuina zaczerwieniona, ale ten skinął głową.

— To stało się przypadkiem — zaczęła wyjaśniać.

— I również przypadkiem znalazłaś ukryty tekst w poliptychu? Theresa znów spojrzała na Alkuina. Przez chwilę podejrzewała, że

Karol Wielki chce ją oskarżyć, lecz Alkuin ją uspokoił.

— Przejrzałam poliptych wiele razy, ale wszystko jest zasługą brata Alkuina. To on nalegał.

— I nie dość że skromna, to również odważna. Nie zapominajmy o twojej roli w zdobyciu ostatecznego dowodu.

Dziewczyna zarumieniła się. Bez wątpienia ryzykowała, wyrywając stronicę z poliptychu, ale nie spodziewała się, że król wezwał ją, by wyrazić swoje uznanie. Przez moment zaczęła zastanawiać się, czemu mają służyć te pochwały.

— Dziękuję, Wasza Wysokość — zdołała odpowiedzieć.

Karol Wielki mruknął coś, skończył się wycierać i okrył wełnianym kocem.

— Chciałbym, aby twoje zachowanie było przykładem dla moich poddanych. Omówiłem to z Alkuinem, który poparł moją decyzję. Postanowiłem bowiem jakoś ci to wynagrodzić. Być może w postaci tej ziemi, która należała do biskupstwa...

Theresa zaniemówiła. Sądziła, że król sobie z niej żartuje.

— W sumie — mówił dalej — to ziemie na wpół zaorane i jeśli nie zostaną wykarczowane, zmarnują się.

— Ale ja... ja nie mam pojęcia o uprawie roli...

— Uprzedził mnie o tym Alkuin, poleciłem więc, by mój inżynier rzucił na nie okiem. On ci pomoże. Poza tym — dodał — już samą recytacją zasłużyłaś sobie na nagrodę.

* * *

Kiedy Theresa wyszła z komnaty, z wrażenia kręciło jej się w głowie. Oto z dnia na dzień z wystraszonej przyjezdnej stała się właścicielką majątku. Więcej nawet: Karol Wielki obiecał, że dostanie ziarno, by mogła od razu rozpocząć zasiew. Kiedy opowiedziała o tym Czarnulce Heldze, ta nie dała jej wiary.

— Wiesz co? Ja też nie mogłam w to uwierzyć — odparła Teresa i obie zaczęły śmiać się jak szalone.

Przycupnęły przy ogniu i rozmawiały, fantazjując na temat wielkości i usytuowania terenu oraz bogactw, które miał przynieść Theresie.

Helga ostrzegła ją, że tak naprawdę sama ziemia nic nie jest warta. Aby przynosiła dochód, potrzebne są ręce do pracy, woły, ziarna, narzędzia i woda, a i tak rzadko ziemia dawała więcej, niż potrzeba na wyżywienie uprawiającej ją rodziny. Ale Theresa wolała zamknąć oczy i wyobrażać sobie siebie jako zamożną właścicielkę ziemską u boku Hossa Larssona. Potem położyły się razem, przytulone, by lepiej znieść zimno. Czarnulka Helga rychło zasnęła, ale Theresa spędziła bezsenną noc, wyobrażając sobie, jak to będzie, jeśli okaże się, że słowa króla są prawdziwe.

Następnego ranka przyszła do skryptorium, gdzie zastała brata Alkuina nad swymi pismami. Mnich przywitał się z Theresa, nie podnosząc głowy, ale potem odwrócił się, by pogratulować jej szczęścia.

— Nie wierzę, że król mówił poważnie — odważyła się powiedzieć Theresa.

— Zatem lepiej w to uwierz — zapewnił. — Monarcha nie rzuca słów na wiatr.

— Ale ja nie znam się na roli. Co mogłabym z tą ziemią zrobić? — czekała, aż Alkuin odpowie jej na to pytanie.

— Nie wiem. Zapewne ją uprawiać. Czytanie i pisanie to nie są zajęcia pozwalające na utrzymanie rodziny. Powinnaś być zadowolona.

— I jestem. Chodzi tylko o to, że nie wiem...

— Skoro nie wiesz, to się naucz — Alkuin znów pograżył się w stosie pism i więcej nie wracał do tego tematu.

* * *

W połowie ranka w skryptorium zjawił się sługa, który oznajmił, że pewien człowiek Karola Wielkiego czeka na Theresę na dużym placu, aby udać się z nią na obiecane jej ziemie. Theresa porosiła Alkuina, by im towarzyszył, ale on odmówił, twierdząc, że ma zbyt wiele pracy. Za zgodą mnicha dziewczyna włożyła płaszcz i poszła za sługą na plac, gdzie czekał na nią młody mężczyzna na koniu.

Królewski inżynier okazał się młodzieńcem o ciemnej karnacji i kręconych włosach. Jego zielone oczy w atrakcyjny i niezwykły sposób kontrastowały z ogorzałą cerą. Mimo różnic w wyglądzie coś w nim przypominało Theresie Hossa Larssona. Przedstawił się jako Izam z Padwy.

— Umiesz jeździć konno? — spytał. U jego boku pał się wierzchowiec bez jeźdźca.

Theresa chwyciła lejce i jednym susem wskoczyła na konia. Młodzieniec zaśmiał się. Zawrócił w stronę bramy, spał swego konia ostrogami i ruszyli wolnym truchtem uliczkami Fuldy.

Jechali na północ z biegiem rzeki przez gęsty bukowy zagajnik. Ziemia pachniała wilgocią parującą leniwie w promieniach słońca i przesyconą słodyczą aromatu poranka. Przez jakiś czas jechali w milczeniu, które przerwała Theresa, pytając o znaczenie słowa „inżynier”.

— Przyznaję, że to rzadko stosowany termin — odparł Izam, śmiejąc się. — Używa się go na określenie takich ludzi jak ja, którzy konstruują urządzenia na potrzeby wojny.

Młodzieniec mówił dalej, tak jakby rozmawiał z kolegą, zapalczywie tłumacząc Theresie, jakie znaczenie mają katapulty albo jaka jest różnica między onagerem a mangonelą, nie zważając na to, że dziewczynie wciąż otwierały się usta ze zdziwienia. Nim się zorientował, zdążył już powiedzieć jej niemal wszystko, co na ten temat wiedział.

— Wybacz. Nudzę cię.

— Nie o to chodzi. Po prostu nie podzielał twojej pasji do broni. Poza tym nie rozumiem, jaki związek ma twój zawód z tym, że jedziesz ze mną zobaczyć tę ziemię.

Izam zastanawiał się nad odpowiedzią, ale w końcu uznał, że nie będzie tracić czasu na dziewczynę, która nie docenia jego umiejętności. Trzy kilometry dalej dojechali do polany otoczonej kolczastym głogowym ogrodzeniem, które ciągnęło się w kierunku pobliskiego lasu. Część ziemi wyglądała na zaoraną, drzewa były ścięte, a krzaki wykarczowane, ale widać było, że większość jest nieobrobiona. Młodzian zeskoczył z konia, otworzył dość prymitywną furtkę i wszedł do środka.

— Wygląda na to, że biskup znał się na rzeczy. Zaczekaj tu chwilę. Kiedy Theresa schodziła z konia, Izam ruszył naprzód wyjątkowo długimi krokami. W połowie drogi zawrócił ze zdziwioną miną. Wskoczył znów na konia, prosząc Theresę, by poczekała. Po chwili wrócił podekscytowany.

— Dziewczyno, nie masz pojęcia, co ci wpadło w ręce. Gospodarstwo ma jakieś dziesięć bonnier ziemi uprawnej, z których połowa już jest zaorana pługiem. Dalej, za wzgórzem, jest sześć łąnów winnic i trzy lub cztery łąny łąki. Ale to jeszcze nie wszystko: płynie tędy strumień, odnoga rzeki, którą mijaliśmy. Theresa spojrzała na niego oszołomiona.

— Jak by ci to wytłumaczyć? Wiesz, co to jest gospodarstwo rolne.

— Oczywiście. To ziemie, które posiada jedna rodzina — odparła urażona.

— Ale ich rozmiary nie zależą od ilości terenu, którym się dysponuje, lecz od tego, ile rodzina jest w stanie uprawiać.

Theresa nadal nie rozumiała. Uznała, że nigdy nie nauczy się zarządzać gospodarstwem.

Obeszli majątek, rozmawiając o terenach, gospodarstwach, łąkach, podziwiając prace wykonane przez biskupa. Były tam zagrody dla zwierząt, nowy szalas pasterski i drewniane fundamenty pod przyszłe wspaniałe domostwo. Theresa zdziwiła się, że Izam zna się na roli, ale młodzieniec wyjaśnił, że jego praca nie ogranicza się do konstrukcji machin. W rzeczywistości, powiedział, bitwy między armiami kończą się zwykle oblężeniem, które trwa całą wieczność, a wygrana wymaga wyczerpującej wiedzy na temat okolicznych terenów, trzeba bowiem zablokować transport dostaw, zmienić bieg rzek, przestudiować sytuację, w jakiej znajduje się obrona, wybrać właściwe miejsce na założenie obozu, a czasem wykopać tunele lub wysadzić mury. Podobnie gdy należy wznieść nowe stanowisko wojskowe, trzeba umieć ocenić warunki.

— I to jeszcze nie wszystko. Czasem oblężenie trwa całymi latami, musimy zatem wiedzieć, jakie pola się nadają zarówno pod zboże dla żołnierzy, jak i pod paszę dla zwierząt. — Pochylił się i podniósł jakiś kamień. — Na przykład widzisz ten pagórek? — Rzucił kamieniem, który poleciał, ginąc za koronami świerków. — Jest na północy. Będzie chronić zasiewy przed północnymi wiatrami. I spójrz na tę ziemię. — Rozdeptał grudkę. — Lekka i wilgotna jak czarny chleb namoczony w wodzie.

Theresa nachyliła się i podniosła inny kamyk.

— A tam? — spytała, wskazując na inne wzgórze. Zamachnęła się, próbując wcelować w nie kamieniem.

Izam wykonał gwałtowny unik, by kamyk, który zboczył z toru, nie uderzył go w głowę. Gdy minęło pierwsze zaskoczenie, wybuchł śmiechem jak dzieciak.

— Nie śmieję się ze mnie — odparła urażona.

— Ach! Zrobiłaś to celowo? — I znów zaczął się śmiać. Usiedli, aby się posilić przy drewnianych palach wyznaczających obrys domu. Izam wyjął z sakwy ser i świeżo wypieczony chleb. Jedli ze smakiem przy wtórze szemrzącego strumienia. Minęły już dwie godziny, a jeszcze nie dojechali do osady, choć podobno była blisko.

— Jakieś pół godziny, jadąc konno — uściślił.

— Wobec tego dlaczego tyle nam to zajęło?

— Chciałem obejrzeć rzekę. Tak jak przypuszczałem, jest spławna, zatem jeśli zdobędziesz barkę, będziesz mogła transportować zboże. A przy okazji: jedna rzecz nie daje mi spokoju. — Podeszedł do konia i wyjął wór z kuszą. — Poznajesz?

— Nie — odparła, nie przyglądając się zbyt uważnie.

— To ta sama kusza, której użyłaś wtedy podczas wieczerzy.

— Naprawdę? Nie umiałabym jej odróżnić od innych.

— I to właśnie mnie intryguje. Nie wierzę, by w całej Frankonii znalazła się druga taka sama.

Wyjaśnił jej, że taka kusza nie jest zbyt powszechna i że on sam nigdy nie widział podobnej.

— Tę skonstruowałem zgodnie z opisem wykonanym przez Vegetiusa w jego dziele *De re militari*, manuskrypcie na temat sztuki wojennej z IV wieku, który polecił mi Karol Wielki. Dlatego zdziwiło mnie nie tylko to, że po nią sięgnęłaś, ale że na dodatek umiałaś się nią posłużyć.

Theresa opowiedziała mu, że człowiek, który pomógł jej w górach, miał podobną broń. Kiedy powiedziała, że kupił ją od jakiegoś żołnierza, Izam pokręcił głową.

— Skradziono mi moją pierwszą kuszę. Być może ukradł mi ją ten żołnierz, a może ten człowiek, o którym mówisz.

Rozmawiali jeszcze jakiś czas, po czym Theresa zaproponowała, by ruszyli w drogę powrotną. Izam nie miał nic przeciwko temu. Zaprowadził konie do strumienia i je napoił. Kiedy byli już w drodze, Theresa spięła ostrogami swego konia, bo nie mogła doczekać się chwili, gdy opowie o wszystkim, co widziała, Czarnulce Heldze.

Gdy dotarli do osady, Theresa wyraziła wdzięczność za okazaną pomoc. Izam uśmiechnął się, choć zaraz całą zasługę przypisał Karolowi Wielkiemu. On tylko spełniał polecenia króla. Kiedy w końcu się rozstali, Theresa miała wrażenie, że Izam odprowadza ją wzrokiem.

* * *

Kiedy Theresa weszła do kuchni, zastała Helgę zajętą oskubywaniem indyka. Wyglądała na zaabsorbowaną pracą, ale ledwie zobaczyła Theresę, rzuciła robotę i wybiegła jej na powitanie. Theresa zaproponowała, by poszły do studni po wodę i po drodze zrobiły sobie przerwę, na co Helga odczo

przystała. Usiadła na ławeczce, domagając się szczegółowej relacji. Słuchała Theresy z takim entuzjazmem, jakby ziemie należały do niej samej.

— I to wszystko jest twoje? — spytała z niedowierzaniem. Theresa potwierdziła. Mówiła jej o niezwykle rozległych terenach uprawnych, o winnicach, łące z sianem, o rzece i o domu. Wreszcie opowiedziała jej też o młodym Izamie.

— Był bardzo miły — przyznała.

— I na dodatek przystojny — zauważyła Helga, puszczając do niej oko. Widziała go wcześniej przez okno.

Theresa roześmiała się. W istocie, inżynier był atrakcyjny, choć oczywiście nie tak bardzo jak Hoos. Mówiły dalej o ziemi, aż wyszła po nie kucharka, grożąc im pogrzebaczem. Roześmiały się i pobiegły do kuchni, by tam, korzystając z chwil nieobecności Favili, kontynuować rozmowę. Theresa podzieliła się z Helgą różnymi obawami.

— Nie masz pojęcia, ile trzeba tam zrobić! Ziemie są tylko częściowo zaorane. Potrzebny mi pług i wół, i ktoś do pomocy. Tyle jest do zrobienia!

— I co z tego! Gdybyś zamiast ziemi miała długi, nie byłabyś spokojniejsza...

Theresa milczała, pocieszając się, że być może ktoś bliski mógłby jej pomóc, choć nie ulegało wątpliwości, że jedyna osoba, do której mogłaby zwrócić się o pomoc, stała właśnie przed nią. Widząc jej przygnębienie, Helga otoczyła ją ramieniem.

— Och! Rozwesel się! Nadal mam część pieniędzy, które dałaś mi, kiedy Althar sprzedał głowę niedźwiedzia. Mogłabyś za nie kupić młodego wołu.

— Ale to pieniądze za mieszkanie.

— Nie wygaduj głupot, dziecinko. Ty załatwiłaś mi pracę, więc się nie martw. Poza tym taka szansa pojawia się tylko raz w życiu: kiedy ziemia zacznie wydawać plony, zwrócisz mi z procentem. — Poglądziła ją po policzku.

Helga wyjaśniła Theresie, że jednoroczny wół kosztuje dwanaście denarów, a dorosły między czterdzieści osiem a siedemdziesiąt dwa denary, czyli równowartość trzymiesięcznych zarobków. Theresa miała wrażenie, że tę kwotę każdy może wygospodarować, ale Helga przypomniała jej, że nikt nie wytrzyma bez jedzenia przez trzy miesiące.

Kiedy skończyły gotować, Theresa mówiła dalej.

— Izam powiedział, że wrócimy na pole. Myślisz, że powinnam nadać mu imię?

— Komu? Inżynierowi?

— Nie bądź niemądra... Gospodarstwu.

— Cóż, mogłabyś je nazwać... niech pomyślę... Cudowne ziemie Theresy!
— zaśmiała się.

Theresa szturchnęła ją, a Helga oddała jej kuksańca i obie wybuchły śmiechem jak małe dziewczynki.

* * *

Po południu Theresa wróciła do skryptorium, gdzie zastała Alkuina pochłoniętego swymi pismami. Miała do niego setki pytań, ale w chwili gdy miała zacząć je zadawać, mnich wstał.

— Rozmawiałem z tym Izamem. Mówił mi, że twoja ziemia jest fantastyczna.

— Tak... Nie wiem, co w niej takiego fantastycznego, skoro nie mogę jej uprawiać — zaczęła narzekać.

— Ja widzę, że masz dwie zdrowe ręce.

— I niewiele ponad to. Bez narzędzi i zwierząt na co mi te ziemie?

— W takim razie możesz je wydzierżawić w zamian za rentę.

— To samo sugerował Izam, ale komu, skoro ci, których na to stać, już mają aż nadto ziemi?

— Musiałabyś znaleźć kogoś, kto będzie pracować w zamian za część plonów.

— Izam też mi to proponował, ale dodał, że tacy ludzie nie mają pługa ani wołów, więc nie mogliby uprawiać ziemi i czerpać z niej dochodów.

— To prawda. Powiem ci, co zrobimy: jutro jest czwartek. Po tercji pójdziemy na rynek, poszukamy jakiegoś niewolnika zdolnego do ciężkiej pracy i go kupimy. Jest ich całe mnóstwo, więc może uda nam się kupić jakiegoś po dobrej cenie.

Theresa nie wierzyła własnym uszom. Zdawało jej się, że z każdą chwilą jej życie mimo woli komplikuje się coraz bardziej. Skoro jej nie wystarcza na własne utrzymanie, jak może mieć niewolnika?

Alkuin wyjawiał jej, że Karol Wielki zasugerował mu takie rozwiązanie, i zapewnił Theresę, że utrzymanie niewolnika wcale nie musi być kosztowne. .

* * *

Wczesnym rankiem ruszyli w stronę obozowiska, które ludzie króla wzniesli za murami miasta. Alkuin tłumaczył, że handlarze niewolników wykorzystują podróże monarchy i wychodzą mu na spotkanie, by dokonać nowych transakcji: kupują pojmanych wrogów jako niewolników albo sprzedają co

lepsze okazy. Ale po kilku dniach obniżają ceny, pozbywając się gorzej przysposobionych do pracy ludzi.

— Dwanaście solidów? — Theresa zakryła usta dłonią. — Ależ tyle warte są trzy dorosłe woły!

Alkuin wyjaśnił, że to zwykła cena za młodego zaprawionego niewolnika, ale jak się dobrze poszuka, można znaleźć taniej. Kiedy Theresa powiedziała mu, ile ma pieniędzy, Alkuin pokazał jej wypchany mieszek.

— Mogę ci coś pożyczyć.

Kiedy szli w stronę murów, Alkuin zaczął jej wyjaśniać, że posiadanie niewolników wiąże się z pewną odpowiedzialnością.

— Bo nie polega to tylko na wydawaniu im rozkazów i pilnowaniu, by byli posłuszni — wyjaśnił. — Niewolnicy również są istotami stworzonymi przez Boga i z tej racji musimy o nich dbać. A to obejmuje ich wyżywienie, odzianie i edukowanie jako dobrych chrześcijan.

Theresa spojrzała na niego zaskoczona. W Konstantynopolu dorastała otoczona niewolnikami, których zawsze traktowała jak boskie stworzenia, ale nigdy nie sądziła, że wejście w posiadanie jednego z nich może przynieść tyle kłopotów. Kiedy Alkuin wyjaśnił jej, że właściciele są również odpowiedzialni za przestępstwa popełnione przez swoich niewolników, przeraziła się jeszcze bardziej.

— Dlatego lepiej nie kupować młodych. Są zręczni i silni, ale zarazem krnąbrni i nieodpowiedzialni. Jeśli nie jesteś gotowa traktować ich batem, lepiej wybierać tych z żonami i dziećmi, którymi muszą się opiekować. Tacy nie uciekają i nie popełniają przestępstw. Tak. Najlepiej poszukać rodziny, która będzie gotowa ciężko pracować i przysporzy ci dochodów.

Dodał, że nawet jeśli znajdzie się dobrego parobka, trzeba będzie go pilnować, bo niewolnicy są dość ograniczeni.

— Nie jestem przekonana, że potrzebny mi niewolnik — oświadczyła na koniec Theresa. — Mam nawet wątpliwości, czy w ogóle powinni istnieć niewolnicy.

— Co masz na myśli?

— Nie rozumiem, dlaczego jeden człowiek ma decydować o życiu drugiego. Czy przypadkiem ci nieszczęśnicy nie są ochrzczeni?

— Przypuszczam, że w większości nie, ale nawet gdyby byli, to choć grzech pierwородny zmazany jest przez chrzest, słusznie Bóg różnicuje żywot ludzi, czyniąc jednych sługami, a innych panami. Ze swej istoty niewolnik ma tendencję do czynienia zła, co zostaje powściągnięte przez tego, kto nad nim

panuje. Gdyby niewolnik nie znał strachu, co powstrzymywałoby go przed przewrotnym działaniem?

Theresa zastanawiała się nad odpowiedzią, ale w końcu wolała uznać za zakończoną rozmowę na temat, o którym nie miała ani zbytniego pojęcia, ani też nie dysponowała właściwymi argumentami.

Zaraz po przekroczeniu murów stęchły odór potu uprzedził ich o bliskości targu ludźmi. Wzdłuż rzeki ciągnęły się stoiska, ustawione rzędem namioty i budy, w których niewolnicy tłoczyli się jak bydło. Najmłodszy byli przykuci do grubych słupów wbitych w ziemię, a starsi utrzymywali porządek w obozowisku. Gdy Alkuin mijał kolejne kramy, handlarze spieszyli do niego, zachwalając swój towar.

— Spójrzcie na tego — zaatakował go jakiś pokryty guzami handlarz. — Silny jak byk. Będzie dźwigać wasze tobołki i bronić w trakcie waszych podróży. A może wolicie chłopaczka? — szepnął wobec jego obojętnej miny. — Słodki jak miód i gorliwy jak szczeniaczek.

Alkuin spojrzał na niego wymownym wzrokiem i handlarz natychmiast wycofał się niczym zbity pies. Szli dalej między straganami, na których oprócz niewolników zachwalano wszelkie inne towary.

— Naostrzona broń! — krzyczał jeden, wskazując na cały arsenał sztyletów i szpad. — Jedno cięcie gwarantuje przepustkę do piekła.

— Maści na wrzody, okłady na otarcia dla zwierząt! — zachwalał inny, który wyglądał tak, jakby sam ich potrzebował.

Minęli pierwsze stoiska i weszli do zagrody, w której sprzedawano różne zwierzęta. Wierzchowce, bydło rogate i kozy przechadzały się tam z większą swobodą niż niewolnicy, których wcześniej widzieli. Alkuin zainteresował się wielkim jak góra wołem. Zwierzę pasło się przy ogrodzeniu, na którym leżało kilka serów. Od razu podszedł do niego handlarz i zaczął zachęcać do kupna.

— Macie niezłe oko, braciszku! To wyjątkowy okaz.

Alkuin spojrzał z ukosa na handlarza. Choć nie lubił robić interesów z gadułami, naprawdę miał wrażenie, że wół jest jak z żelaza. Spytał o cenę. Po namyśle handlarz odparł:

— Skoro to dla kleru... pięćdziesiąt solidów.

Alkuin spojrzał na niego z takim oburzeniem, że mężczyzna natychmiast obniżył cenę do czterdziestu pięciu solidów.

— To nadal sporo. — Zwierzę wyglądało imponująco.

— Jeśli chcecie kozę z rogami, mogę wam jedną sprzedać za trzydzieści pięć solidów — rzucił rozzłoszczony handlarz.

Alkuin odparł, że się zastanowi, po czym wrócił z Theresa do alejki, gdzie sprzedawano niewolników. Przy wejściu Alkuin poprosił, by go zostawiła samego, dzięki czemu szybciej obejrzy niewolników. Dziewczyna zgodziła się. Mieli się spotkać w tym samym miejscu, kiedy słońce stanie wysoko na niebie.

Kiedy Alkuin targował się z handlarzami, Theresa postanowiła wrócić do zagród z bydłem. Po drodze jakiś sprzedawca zaproponował jej kilka monet w zamian za jej ciało. Theresa przyspieszyła kroku. Kiedy doszła do zagrody z wołem, który wzbudził zainteresowanie Alkuina, podszedł do niej, kuśtykając, jakiś człeczyna.

— Nie dałbym za niego więcej niż dziesięć solidów — mruknął pod nosem.

Theresa odwróciła się zaskoczona i stanęła twarzą w twarz z mężczyzną w średnim wieku, który stał oparty o ogrodzenie. Wyglądał na zaniedbanego i patrzył na nią bezczelnie. Jego blond włosy pasowały do jasnego spojrzenia. Ale najbardziej rzucało się w oczy to, że mężczyzna miał tylko jedną nogę. Widząc zaskoczenie Theresy, zwrócił się do niej z wyjaśnieniem:

— Drugą straciłem przy robocie, ale nadal mogę być użyteczny — powiedział.

— A co ty możesz wiedzieć o wołach? — rzuciła Theresa z wyższością. Ten mężczyzna bez wątpienia był niewolnikiem, a skoro Theresa miała stać się właścicielką niewolnika, powinna nauczyć się traktować ich z góry.

— Urodziłem się we Fryzji, a tam jest więcej krów niż łąk. Nawet ślepiec odróżniłby chorego wołu od zdrowego.

Kulawy wykorzystał chwilę nieuwagi handlarza i dźgnął zwierzę kijem. Wół nawet się nie ruszył.

— Widzieliście? I tak samo będzie, jak go zaprzęgniecie do pługa. Ani drgnie.

Theresa spojrzała na chromego ze zdziwieniem. Potem przyjrzała się miejscom, które ten jej wskazał kijem, i przekonała się, że między racicami wołu widać było zaschłą krew.

— Jeśli chcecie kupić dobrego wołu, przyjdźcie do mojego pana, Fiora. On was nie oszuka.

W tym momencie wrócił handlarz i niewolnik dyskretnie się odsunął. Theresa zobaczyła, że pomaga sobie kosturem, by zastąpić brakującą nogę. Pobieгла za nim i spytała, gdzie znajdzie tego Fiora. Niewolnik powiedział, że ją do niego zaprowadzi.

Po drodze wyjaśnił jej, że Fior sprzedaje małe woły.

— Nie są tak silne, ale dają radę pociągnąć lekki pług. Za to są wytrzymałe jak skała, mało jedzą i mniej kosztują. Do pracy na tych ziemiach są wymarzone.

Szli między wozami, omijając ścieki pełne nieczystości, które spływały zygzakami z obozowiska aż do strumienia, gdy w końcu z jednego z kramów wyszła im na spotkanie kobieta z dwójką dzieci. Theresa zwróciła uwagę na niezwykłą chudość kobiety i dzieci. Ich oczy wyglądały niczym wielkie talerze osadzone w małych czerepach.

— Udało ci się coś zdobyć? — spytała pospiesznie.

Niewolnik wyjął zawiniątko z pustej nogawki spodni i podał je kobiecie. Ta powąchała tobolek i w jej oczach pojawiły się łzy szczęścia. Potem zaprowadziła dzieci na zaplecze stoiska i dała im po kawałku sera, który wyjęła z zawiniątka. Niewolnik pokuśtykał dalej w stronę Fiora i zaczął mu tłumaczyć, dlaczego przyprowadził do niego Theresę. W tej samej chwili pojawił się Alkuin z mało przyjazną miną. Szedł w towarzystwie właściciela tamtego ogromnego wołu.

— Ten handlarz twierdzi, że jakiś kulawy niewolnik ukradł mu ser. Twierdzi również, że ten niewolnik był z tobą. Czy to prawda? — spytał Theresę.

Dziewczyna natychmiast pojęła, co się stało. Z tyłu, za stoiskiem, dzieci chromego nadal pochłaniały ser. Z pewnością spotka je straszna kara.

— Niedokładnie tak było — skłamała. — To ja kazałam mu wziąć ser. Nie miałam przy sobie pieniędzy i poszłam szukać waszej wielebności, aby za niego zapłacić.

— To kradzież! — krzyknął handlarz.

— Kradzież to próba sprzedania nam chorego wołu — odparła nieustraszona Theresa. — Trzymajcie. — Wyjęła mieszek z sutanny Alkuina i ku zdziwieniu mnicha wręczyła handlarzowi dwie monety. — I lepiej, abyście znikli mi z oczu, nim zawiadomię sędziego.

Handlarz wziął monety i odszedł, mamrocząc pod nosem przekleństwa. Alkuin spojrzał surowym wzrokiem na Theresę.

— Chciał nas oszukać — wyjaśniła, mając na myśli handlarza. Alkuin wciąż nie spuszczał z niej wzroku.

— Ten niewolnik wziął ser dla swoich dzieci. Spójrzcie na nie! Umierają z głodu!

— To złodziej. A ty zachowałeś się niemądrze, próbując go chronić.

— Świetnie. Wobec tego wracajcie do tego świętego handlarza wołami i wyrzućcie pieniądze na bezużyteczne zwierzę. Wiem tylko, że ten niewolnik

ostrzegł mnie przed tym oszustem i że jego dzieci od zeszłego tygodnia nic nie miały w ustach.

Wobec argumentów Theresy Alkuin pokręcił tylko głową i podszedł wraz z nią do Fiora, handlarza, którego polecił im niewolnik.

Fior był niskim i grubym Normandczykiem, który zawierał transakcje tylko z kieliszkiem wina w dłoni. Gdy się przedstawili, natychmiast zaprosił ich na wino i pokazał sporo sztuk bydła tryskającego zdrowiem i energią. Na koniec zaproponował im łaciatego wołu średniej wielkości, zapewniając, że od pierwszego dnia będzie harował jak skazaniec.

Ustalili cenę na dwadzieścia denarów. Była to korzystna cena, zważywszy na to, że zwierzę miało już ponad trzy lata.

— Ja też nie jestem tęgim, a skoro świt zrywam się do roboty — zaśmiał się Fior, ukazując rząd drewnianych zębów.

Potem pokazał im skórzaną uprząż i różne narzędzia rolnicze. Niektóre wymagały naprawy, ale były niezbędne, a Fior gotów był im je sprzedać po całkiem przystępnej cenie, zatem Theresa i Alkuin zdecydowali się na nie. Umocowali tobołki na grzbiecie wołu, po czym zapytali Fiora, gdzie mogą tanio kupić niewolników. Jednak gdy Fior dowiedział się, jaką kwotę dysponują, pokręcił głową, zapewniając ich, że za taką sumę nie kupią nawet oswojonej świni.

— Za tę cenę mógłbym wam odstąpić Olafa. To dobry robotnik, ale odkąd stracił nogę, sprawia mi same kłopoty. Jeśli chcecie, możecie go zabrać.

Alkuin, widząc zainteresowanie Theresy, odciągnął ją na bok.

— To byłaby tylko jeszcze jedna gęba do wyżywienia. I, na litość boską, przecież on ma tylko jedną nogę! Nikt nie dawałby nam go w prezencie, gdyby się do czegoś nadawał — warknął.

Ale dziewczyna była uparta. Jeśli miała stać się właścicielką niewolników, to sama zamierzała decydować, ile mają mieć nóg.

— Jego żona i dzieci też mogą pracować — argumentowała.

— Ich nie sprzeda albo zażąda większej sumy. Więcej, niż jesteśmy w stanie zapłacić. Poza tym tobie potrzebny jest jeden niewolnik, a nie cała rodzina.

— Przecież sami mówiliście, że najlepsi są żonaci, bo tacy nie będą uciekać.

— Do wszystkich diabłów! Jak ma uciekać, skoro nie ma nogi! Theresa odwróciła się na pięcie i podeszła do Fiora, który czekał z boku z kieliszkiem wina w dłoni.

— Niech będzie, zabieramy ich — powiedziała, wskazując na dzieci i kobietę, którzy stali za wozem, przysłuchując się.

— O nie! Oferta nie obejmuje kobiety i dzieci. Za nie musisz dopłacić pięćdziesiąt denarów.

— Pięćdziesiąt denarów za rodzinę szkieletów? — odparła oburzona.

— Nie, nie. Pięćdziesiąt za każde z osobna. Razem sto pięćdziesiąt denarów.

Theresa spojrzała mu prosto w oczy. Jeśli uważał się za dobrego kupca, to jeszcze nie wiedział, z kim ma do czynienia. Wyjęła swój skramasaks i jednym ruchem przecięła taśmę, którą do grzbietu wołu przywiązane były tobołki. Wszystkie manatki runęły na ziemię z hukiem. Mężczyzna spojrzał na nią zdziwiony.

— Czterdzieści denarów za całą rodzinę. Albo bierzecie te pieniądze, albo zostaniecie z waszym jednonogim, karłowatym wołem i zepsutymi narzędziami.

Mężczyzna zagryzł zęby, spojrzał na rozwalone tobołki i wybuchł śmiechem, ukazując dziąsła.

— Przeklęta przekupka. Wszystkie baby powinni diabli porwać. Znow zaczął się śmiać i wziął z rąk dziewczyny mieszek. Wznieśli toast za ubity interes i wkrótce potem Theresa i Alkuin ruszyli w drogę powrotną z kuśtykającym Olafem, jego żoną prowadzącą wołu i dziećmiaczkami, które usadowione na grzbiecie zwierzęcia poganiały go co sił.

* * *

W drodze do katedry okazało się, że Olaf jest złym piechurem, ale dobrym rozmówcą. Jego życie było ciężkie, choć nie różniło się zbytnio od żywota każdego, kto urodził się jako niewolnik. Ponieważ jego rodzice byli niewolnikami, dla niego ten stan rzeczy był jak najbardziej naturalny. Nie tęsknił za wolnością, bo nigdy jej nie zaznał, a większość jego panów dobrze go traktowała, ponieważ zawsze przykładał się do roboty.

Tak naprawdę Olaf tęsknił jedynie za utraconą nogą. Nieszczęście stało się dwa lata temu, kiedy ścinał potężny świerk. Drzewo spadło zbyt szybko i zgmiotło mu kolano, łamiąc kości. Na szczęście pewien rzeźnik zdołał w porę amputować zmiążdżoną kończynę, nim gangrena posłałaby go do grobu. Odtąd jego życie i życie jego rodziny stawało się coraz gorsze, aż w końcu zamieniło się w piekło.

Na początku jego pan, Fior, opiekował się nim z nadzieją, że Olaf będzie pracować tak samo jak przed wypadkiem, ale wkrótce przekonał się, że bez nogi Olaf jest bezużytecznym ciężarem. Podczas rekonwalescencji jego wiedza na temat roli i umiejętności manualne w pełni wynagradzały kalectwo, ale gdy Fior nabył nowego rządcę, odesłał Olafa do wykonywania typowo kobiecych

prac. I tak Olaf, który wcześniej zarządzał pozostałymi niewolnikami, zaczął snuć się po magazynach w poszukiwaniu resztek, by nakarmić nimi dzieci i żonę Lucillę.

— Ale nadal mogę pracować — upierał się Olaf, przyspieszając kroku wsparty o kostur. — Umiem jeździć konno i znam się na roli jak mało kto.

— W takim razie nie kupuj koni, bo odjedzie na pierwszym, jaki się pojawi — szepnął Alkuin do Theresy.

* * *

Kiedy znaleźli się w Fuldzie, Alkuin zaproponował Theresie, by Olaf wraz z rodziną ulokowali się w opactwie do czasu, aż chata w lesie będzie gotowa. Zamknęli wołu w stajni i ruszyli do klasztornej kuchni, gdzie mnisi podali im zupę cebulową i jabłka, które sprawiły dzieciom taką radość, jakby były to ciastka. Po kolacji pozwolili im ułożyć się przy ogniu, co wszyscy przyjęli z wdzięcznością. Dzieci i ich mama szybko zapadli w sen, ale Olaf prawie nie spał z wrażenia, bo nigdy jeszcze nie leżał na wełnianym sienniku.

Następnego ranka Theresa przysłała do klasztoru, by zaprowadzić całą rodzinę na nową ziemię. W stajni dostali wóz do przewiezienia ziarna, trochę jedzenia i stare narzędzia, które mieli zwrócić za tydzień. Theresa podziękowała Alkuinowi za to, że tego dnia zwolnił ją z zajęć oraz za pomoc w wypożyczeniu narzędzi. Choć poszli krótszą drogą, zajęło im to niemal cały ranek, bo dzieci kilka razy musiały się zatrzymać, a Olaf uparł się, że pójdzie na piechotę, aby udowodnić Theresie, że brak nogi nie umniejsza jego przydatności.

Kiedy dotarli do chaty, chłopcy wpadli w zachwyty. Wskoczyli na dach niczym wiewiórki i biegali po polu, aż padli ze zmęczenia. Olaf nazywał ich „karzełkami”, „krzykaczami” albo „łobuziakami”, ale do swojej żony zawsze zwracał się: „kochana Lucillo”. ...

Olaf i Lucilla wspólnymi siłami wzniesli wokół chaty prowizoryczne ogrodzenie, oczyścili okolicę i ułożyli kamienie na kształt kurhanu, gdzie urządzili osłonięte od wiatru palenisko. Potem ugotowali potrawkę ze słoniny i rzepy, którą dzieci natychmiast pochłoneły. Następnie Olaf skonstruował kilka prostych potrzasków i porozstawiał je w okolicy. Dzięki nim zamierzał łapać króliki i myszy, które wraz z jarzynami miały aż do wiosny stanowić ich pożywienie.

Po południu chłopcy jednym głosem oznajmili, że zjawił się jakiś mężczyzna na koniu. Jak się okazało, był to inżynier Karola Wielkiego, Izam z Padwy.

Olaf natychmiast do niego podszedł, by zająć się wierzchowcem, ale Izam nie zsiadł z konia. Zbliżył się do Theresy i kazał jej wskoczyć na siodło. Zaskoczona dziewczyna posłusznie wykonała polecenie. Izam popędził konia, aż odjechali spory kawałek od chaty.

— Alkuin mówił mi o tej nedorzeczności — powiedział — ale widzę, że jest gorzej, niż przypuszczałem. Jak mogło ci przyjść do głowy, żeby kupić kalekę? Oryginalny sposób doprowadzenia twojej ziemi do ruiny.

— A jednak wygląda na to, że wcale nie postąpiłam tak źle — odparła Theresa, wskazując na swego niewolnika. Olaf wracał akurat z królikiem w dłoni.

— Na tej ziemi trzeba dać z siebie wszystko, obie ręce i nogi. Tu nie ma miejsca na miłosierdzie. Tu padają deszcze, śnieg, grad, trzeba orać, ścinać drzewa, prowadzić zaprzęg, zbudować dom, żąć, karczować i wykonywać tysiące innych prac. Kto ma to wszystko robić? Kaleka i trzy szkielety?

Theresa zeskoczyła z konia i ruszyła piechotą z powrotem do chaty. Izam ruszył za nią.

— Ależ ty jesteś uparta! Choćbyś nie wiem jak się starała, nic na to nie poradzisz. Będziesz musiała ich sprzedać.

Dziewczyna odwróciła się do niego.

— Ale za kogo wy się uważacie?... Ziemie należą do mnie i zrobię z nimi, co zechcę.

— Na pewno? Wobec tego powiedz mi, jak zamierzasz oddać pożyczone pieniądze?

Dziewczyna nagle się zatrzymała. Przez chwilę wyobrażała sobie, że te ziemie po prostu jej się należą, ale przecież tak nie było. Ponadto była też odpowiedzialna za niewolników, jak uprzedzał ją Alkuin, powinna o nich dbać, a gdyby okazało się, że nie pracują tyle, ile trzeba, ta ziemia może stać się ich grobem.

Kiedy spytała Izama, jakie są opcje, ten zapewnił, że spośród niewielu możliwości rozwiązania tej sytuacji, które rozważał, wszystkie obejmują odprzedanie niewolników.

— Nie mówię, że do niczego się nie nadają, ale z pewnością nie są odpowiedni do pracy na tej ziemi. Wrócimy na rynek, może jeszcze uda się ich zwrócić, nie tracąc na tym zbyt wiele.

Theresa przyznała Izamowi rację. Jednak gdy spojrzała na maluchy bawiące się w chacie, serce się jej ścisnęło.

— Poczekajmy tydzień — zaproponowała. — Jeśli w tym czasie okaże się, że się nie nadają, sama odprowadzę ich na rynek.

Izamy zrzędził pod nosem. Oznaczało to stratę całego tygodnia, ale przynajmniej ta wariatka sama przekona się, jak bardzo się myli. Zsiadł z konia i wszedł do chaty, aby się ogrzać. Zdziwił go wygląd, jaki przybrało pomieszczenie. Było tak czysto i panował taki porządek, jakby chata była od dawna zamieszkała.

— Kto naprawił ściany? — spytał z niedowierzaniem.

— Nieprzydatny kaleka — odparła Theresa i odsunęła go, by poprawić deskę, która ruszała się w ścianie. Olaf od razu to zobaczył i pospieszył z pomocą.

— Proszę, użyj tego — zaproponował niechętnie Izamy, podając Olafowi nóż. Olaf wziął nóż i umocował deskę.

— Dziękuję — powiedział, oddając nóż, który Izama schował do pochwy.

— Na zewnątrz jest zimno. Powiedz żonie, żeby weszła do środka. Czym zamierzacie pracować? — spytał inżynier.

Olaf pokazał mu narzędzia pożyczone z opactwa: krótką siekierę, motykę i toporek. Powiedział, że pod wieczór zrobi drewniany młot i może również widły. Tylko tyle, bo musiał jeszcze naprawić pług, który kupili.

— Jest drewniany — oświadczył. — Trzeba będzie wymienić lemiesz.

Izamy odparł, że bez żelaznego lemiesza i dobrej odkładnicy nie uda im się wyłobić bruzd. Potem spojrzął na kulę Olafa.

— Mogę ją obejrzeć?

Uważnie przyjrzał się kosturowi. Była to topornie ociosana laska z czereśniowego drzewa, której górna część, stanowiąca oparcie dla kikuta, była wyłożona skórą. Sprawdził elastyczność laski, po czym oddał ją Olafowi.

— Czas już na mnie — oznajmił.

Wstał i wyszedł z chaty, a za nim ruszyła Theresa. Kiedy znaleźli się już na zewnątrz, dziewczyna podziękowała mu za okazane zrozumienie.

— Nadal uważam, że to szaleństwo... Ale cóż. Jeśli znajdę trochę czasu, postaram się zrobić mu drewnianą nogę.

Młodzieniec wskoczył na konia i pożegnał się. Nim znikł Theresie z oczu, kilka razy się odwrócił, czego dziewczyna nie omieszkała zauważyć.

ROZDZIAŁ 22

Przez cały tydzień Theresa pracowała w biskupstwie i jednocześnie nadzorowała postęp prac na swoich nowych ziemiach. Dzięki temu dowiedziała się, że Olaf wykopał niewielki kanał nawadniający, który doprowadzał wodę z rzeki w pobliże chaty, dzięki czemu nie trzeba było nosić wody, a także skonstruował bramę w ogrodzeniu i zrobił cztery ławy, na których mogła zasiąść cała rodzina. Ale nie zajmował się jedynie rolą. Wspólnie z żoną przerobili starą chatę na prawdziwy dom. Czarnulka Helga dała im skrzynię i niewielki stół oraz trochę szmat, którymi Lucilla uszczelniła szpary w ścianach. Pośrodku chaty Olaf wykopał dół na palenisko, a pod ścianami ułożył worki wypchane słomą, na których sypiali nocami. Jeśli chodzi o pług, to choć go naprawił, okazało się, że nie jest w stanie się nim posługiwać. Lucilla również próbowała, ale już na trzeci dzień dłonie pokryły jej pęcherze. Olaf rozpaczał, zwierając się Theresie:

— Wszystko przez tę przeklętą nogę — powiedział, uderzając drewnianą laskę. — Wcześniej zaorałbym ziemię w dwa dni, a Bóg wie, że to nie jest praca dla niewiast.

Theresa westchnęła ciężko i skrzywiła się. Spojrzała na maluchów, którzy dokazywali, kręcąc się pod racicami wołu, roześmiani i szczęśliwi, brudni jak głównie pochodni, ale jednak nieco już pulchniejsi. Martwiła się, bo jeśli Olaf nie będzie w stanie zaorać ziemi, musi ich odprzedać.

Spojrzała na niego, udając, że wszystko jest w porządku. Olaf czyścił właśnie chomąta. Miała już eoś mu odpowiedzieć, gdy Olaf odezwał się, jakby czytając jej w myślach.

— Przerabiam chomąta, aby postronek był niżej. Dzięki temu wół opuści kark i przycisnie pług do ziemi.

Theresa pokręciła głową wobec bezużyteczności jego starań.

Mieli już wstać, gdy usłyszeli tętent końskich kopyt. Ledwie wyszli na zewnątrz, ujrzeni Izama z Padwy. Siedział na koniu, a za nim stał objuczony osioł. Inżynier zsiadł z konia, wszedł do środka i nawet się nie witając, natychmiast zaczął mierzyć kawałkiem sznurka kikut Olafa, po czym wyszedł równie szybko, jak wszedł do chaty. Po chwili wrócił obładowany po same uszy.

— Kulawy mężczyzna jest jak kobieta bez biustu — oznajmił, - Theresę zirytowało to porównanie, ale mimo to uważnie śledziła poczynania Izama.

Ten oderwał jednym ruchem pustą nogawkę spodni Olafa, odsłaniając fatalnie pozszywany kikut.

— W Poitiers miałem okazję przyjrzeć się z bliska drewnianej, nadzwyczaj zmyślnie skonstruowanej nodze. W niczym nie przypominała tych przywiązanych do kikutów lasek, dzięki którym kalecy chodzą jak ślimaki. — Znowu zmierzył średnicę kikuta i przeniósł miarę na kawałek drewna. — Noga, o której mówię, stanowiła dzieło prawdziwego geniuszu, była przegubowa i jak słyszałem, należała do pewnego arabskiego generała, który zginął w strasznej bitwie. Szczęśliwie pewien mnich zdjął ją z trupa i schował w opactwie. — Izam zmierzył dobrą nogę i znowu przeniósł miarę. Następnie wyjął dziwny mechanizm, który zdaniem Theresy przypominał kolano. — Wykonanie tej części zajęło mi aż dwa dni, więc mam nadzieję, że się nada.

Olaf posłusznie poddał się zabiegom Izama. Lucilla odsunęła dzieci, które bawiły się w najlepsze drewnianymi klockami.

Izam wybrał kloc drewna, do jednego końca przyłożył drewniany przegub i całość ustawił obok dobrej nogi Olafa. Następnie przyciął kloc do odpowiedniej długości, mając za punkt odniesienia piętę kaleki.

— Teraz zabiorę się do uda.

Wziął kawałek drewna w kształcie rondelka i wcisnął go na kikut. Rondelk co prawda zaraz spadł, ale niezrażony tym Izam znowu go nałożył i wciskał tak długo, aż dopasował do kikuta. Potem zdjął rondelk, wydrążył go nieco, a wewnątrz wyłożył kawałkiem materiału i skórą.

— Dobrze. Chyba wystarczy. — Nałożył ten czepek na kikut i przywiązał go rzemieniami do biodra Olafa. Następnie obliczył długość kawałka drewna, który powinien znajdować się między czepkiem a mechanizmem kolanowym.

— Jak to działa? — spytał Olaf.

— Zobaczmy, czy w ogóle będzie działać.

Izam podniósł Olafa, który zachwiał się, stając na drewnianej nodze.

— Brakuje jeszcze stopy, ale najpierw muszę sprawdzić, czy taśma metalowa wytrzyma. Spróbuj teraz zrobić kilka kroków.

Olaf postąpił niepewnie naprzód, nie puszczając dłoni Izama, ale ku jego zdziwieniu drewniana noga zgięła się w kolanie i gdy tylko zrobił pierwszy krok, natychmiast znowu się wyprostowała niczym za sprawą czarów.

— To listewka z cisu, tego samego drzewa, z którego robione są porządne łuki. Pod wpływem ciężaru ugina się, pozwalając na zgięcie kolana, a potem usztywnia i wraca do poprzedniej pozycji, gotowa do wykonania kolejnego kroku. Przyjrzyj się tym otworom. — Wskazał cztery wydrążone w kolanie

dziurki. — Za pomocą tego bolca będziesz mógł wybrać kąt nachylenia. A jeśli go wyjmiesz — powiedział Izam, wysuwając kołek — mechanizm zostanie zablokowany. Dzięki temu będziesz mógł jeździć konno ze zgiętą nogą.

Olaf spojrział na niego z niedowierzaniem. Bał się zrobić krok bez laski, ale Izam dodał mu otuchy. Po dwóch próbach zdołał przejść całe pomieszczenie. Kiedy padł w ramiona Lucilli, ta wybuchła płaczem, jakby naprawdę Olafowi urosła nowa noga.

Przez jakiś czas dopasowywali jeszcze części mechanizmu, komentując prostotę działania sztucznego kolana. Izam wyjaśnił Olafowi, że dzięki użyciu listewek różnej grubości będzie mógł stopniować elastyczność kolana i siłę nacisku. Potem wyszli na zewnątrz, aby sprawdzić działanie drewnianej nogi. Póki szli po kamieniach, Olaf poruszał się bez większych trudności, ale na polu drewniana noga zapadała się w ziemię.

— Dorobię stopę, która rozwiąże ten problem — zapewnił Izam. Po powrocie do chaty Lucilla poczęstowała Izama królikiem, którego ugotowała dla Olafa i dzieci. Nie mieli nic innego do jedzenia, więc Izam odrzucił zaproszenie. Kiedy młody inżynier ciosał stopę w drewnie, musiał w duchu przyznać, że trud, którego się podjął, w istocie wynikał z jego zainteresowania Theresa. Intrygowało go, że młoda i ładna dziewczyna była w stanie stawić czoło tak wielkiemu zadaniu, i kiedy zaczął się nad tym zastanawiać, nie miał wątpliwości, że od pierwszej chwili starał się jej przypodobać i być blisko niej.

Sprawdził kilkakrotnie drewnianą stopę, nim dopasował ją do drewnianej nogi. Kiedy już ją nałożył, pokręcił nią, by upewnić się, że się nie zacina. Wyjaśnił Olafowi, że stopa ma część ruchomą, ale uprzedził też, że może ją zdjąć, gdyby mu przeszkadzała.

Potem zaczęli rozmawiać o pługu.

Izam przedstawił zalety żelaznego lemiesza i wykorzystania od-kładnicy. Pługi z drewna, jak pług Olafa, łatwo się łamały i ledwo zagłębiały w ziemię. A odkładnica pozwala odsunąć poruszoną ziemię, dzięki niej bruzdy pozostają otwarte, ziemia jest przewietrzona i nasiona dobrze się przyjmują. Z wiosną zacznie się czas siewów, trzeba było zatem się pospieszyć, by zaorać ziemię. Olaf powiedział Izamowi, że gdy tylko z tym skończy, zabierze się do karczowania dzikich terenów.

Na koniec Izam pochwalił porządek panujący w chacie i wspomniał rów melioracyjny doprowadzający wodę do obejścia, po czym się pożegnał. Nie powiedział, czy jeszcze tu wróci, ale Theresa miała nadzieję, że tak się stanie.

W następnym tygodniu Olaf przekonał się, że jego nowa noga jest dużo lepsza od starego kostura. Był nią tak zachwycony, że mimo otarć, jakie powstały na kikucie, przez kilka dni jej nie zdejmował. Nauczył się zagłębiać pług w ziemi, opierając się na własnej nodze i wykorzystując sztywność tej sztucznej, by nacisk był zrównoważony. Czasem, gdy musiał wykonać ciężką pracę, wsuwał kołek, który blokował kolano, i tym sposobem w pełni wykorzystywał swoje siły.

Lucilla była szczęśliwa, dzieci również. A on jeszcze bardziej.

O świcie wstawali, by pracować na roli. Olaf orał ziemię, Lucilla siała żyto, a dzieci biegały za nimi, odganiając ptaki, które próbowały wyjadać ziarna. Po obsianiu zasypywali bruzdy ziemią, którą wcześniej rozdrabniali maczugą. Wieczorami, po zakończeniu prac, Theresa i Helga przychodziły z miasteczka, przynosząc im narzędzia, jedzenie albo stare materiały na ubrania dla chłopców.

Lucilla i Helga wkrótce bardzo się zaprzyjaźniły. Rozmawiały o dzieciach, ciąży, kuchni i o plotkach w miasteczku, a usta im się nie zamykały. Czasem Helga poczuwała się do roli szefowej i nakazywała Lucilli posprzątać w chacie.

* * *

Theresa nadal pomagała Alkuinowi w kopiowaniu i tłumaczeniu dokumentów, ale teraz poświęcała temu mniej czasu. Przychodziła wcześniej do skryptorium i zostawała tam aż do południa, przepisując teksty, które zlecał jej mnich. On sam jednak zamienił pracę kaligraficzną na inną o charakterze teologicznym, w czym Theresa w zasadzie nie uczestniczyła. Zaczęła podejrzewać, że nadejdzie dzień, w którym Alkuin nie będzie już potrzebować jej pomocy.

Czasem w skryptorium zjawiali się różni kapłani o wyniosłym spojrzeniu, którzy wchodzili bez uprzedzenia i siadali obok Alkuina. Byli Rzymianami i wchodzili w skład misji papieskiej, która stale towarzyszyła Karolowi Wielkiemu. Theresa ochrzciła ich mianem „skarabeuszy”, bo zawsze byli w czerni. Kiedy skarabeusze zjawiały się w skryptorium, Theresa musiała wyjść.

— Czy ci zakonnicy, którzy przychodzą do skryptorium, też są mnichami?
— spytała któregoś dnia.

— Nie — odpowiedział Alkuin ze śmiechem. — Być może kiedyś nimi byli, ale teraz są klerykami należącymi do rzymskiej kapituły.

— Klasztory... Kapituły... Czy to nie to samo?

— Oczywiście, że nie. Klasztor czy też opactwo to miejsce, w którym mnisi zamykają się, by się modlić o zbawienie ludzkości. Zwykle są to zamknięte miejsca, czasem oddalone od miast, mające własne prawa i ziemie, rządzone przez przeora lub opata wedle jego uznania. Natomiast kapituła to otwarte zgromadzenie składające się z grupy kapłanów, którymi kieruje biskup administrujący diecezję. — Zobaczył minę Theresy i dodał: — Abyś to lepiej zrozumiała, wyjaśnię to na przykładzie Fuldy. Mamy tu z jednej strony opactwo z opatem, mnichami, regułą i murami. A z drugiej kapitułę z biskupem, klerykami i obowiązkami kościelnymi. Mnisi modlą się, nie opuszczając klasztoru, a klerycy z kapituły zajmują się wiernymi w kościołach.

— Zawsze mylili mi się ci klerycy, mnisi, biskupi, diakoni... Czy oni wszyscy nie są księżmi?

— Oczywiście, że nie — zaśmiał się Alkuin. — Na przykład ja sam wyświęciłem się na diakona, a jednak nie jestem kapłanem.

— A jak to możliwe?

— Być może wydaje ci się to nieco poplątane, ale jeśli posłuchasz uważnie, z łatwością to zrozumiesz. — Alkuin wziął glinianą tabliczkę Theresy i w górnej części kwadratu narysował krzyż. — Jak już wiesz, w kościele władzę sprawuje Ojciec Święty nazywany papieżem lub patriarchą.

— W Bizancjum również jest papież — odparła dumnie Theresa. Była to jedna z niewielu rzeczy, jakie na ten temat wiedziała.

— W istocie — przytaknął Alkuin, po czym dodał cztery kolejne krzyże do pierwszego. — Papież rzymski sprawuje władzę nad Patriarchatem Zachodnim. Teraz musimy dodać do niego cztery patriarchaty wschodnie: z Konstantynopola, Antiochii, Aleksandrii i Jerozolimy. Każdy patriarchat sprawuje opiekę nad innymi królestwami lub narodami poddanymi jego jurysdykcji poprzez archidiecezje główne czy prymasostwa, na których czele stoi najstarszy arcybiskup danego królestwa.

— Którzy są jakby duchowymi namiestnikami każdego kraju — zaryzykowała dziewczyna.

— Nie tyle namiestnikami, ile raczej przewodnikami. — Mówiąc to, Alkuin narysował pod pierwszym krzyżem okrąg reprezentujący prymasostwo. — Od Głównej Archidiecezji zależy grupa arcybiskupstw. — I narysował małe kwadraciki odpowiadające archidiecezjom.

— Papiestwo, najstarsza archidiecezja, archidiecezje...

— Widzę, że zaczynasz rozumieć — uśmiechnął się. — Każda archidiecezja z biskupem na czele sprawuje władzę nad prowincją kościelną, w której skład wchodzi z kolei różne diecezje, za które odpowiedzialny jest biskup.

— Papiestwo, najstarsza archidiecezja, archidiecezje i diecezje.

— I odpowiednio papież, najstarszy arcybiskup, arcybiskup i biskup.

— To nie jest aż tak trudne — przyznała Theresa. — A ci rzymscy klerycy należą do papiestwa...

— Tak, choć to nie znaczy, że wcześniej byli biskupami. W rzeczywistości te stanowiska są zazwyczaj przyznawane z racji więzów pokrewieństwa i przyjaźni. — Spojrzał na Theresę z pewną podejrzliwością. — Powiedz mi jedną rzecz, skąd to nagle zainteresowanie księżmi?

Theresa odwróciła wzrok zaczerwieniona. Martwiła się, że zabraknie pracy dla skryby, i pomyślała, że im więcej będzie wiedzieć o Kościele, tym łatwiej będzie jej zachować posadę.

* * *

Pewnego razu Alkuin powiedział Theresie, że poselstwo papieskie przeniosło się do Fuldy, traktując to miejsce jako etap pośredni w drodze do Wurzburga. Poselstwo przewoziło pewne relikwie, za których pomocą Karol Wielki miał nadzieję powstrzymać ciągle powstania na północ od Elby. Wkrótce miało wyruszyć w stronę cytadeli, aby w tamtejszej katedrze złożyć święte szczątki. Kiedy jej oznajmił, że on również ma uczestniczyć w tej ekspedycji, Theresa zrobiła kleksa na pergaminie, nad którym akurat pracowała.

Po południu w drodze do katedry spotkała Izama. Młodzieniec spytał o postęp prac na jej ziemi, ale Theresa ledwie zwróciła na niego uwagę, bo stale myślała o Wurzburgu. Dopiero kiedy Izam się pożegnał, zaczęła żałować, że była tak nieuprzejma.

Tej nocy prawie nie spała.

Wyobrażała sobie swojego ojca upokorzonego i zhańbionego. Każdej nocy od czasu ucieczki prosiła Boga, by ojciec jej przebaczył. Tęskniła za nimi: za ojcem i macochą. Tęskniła za ich objęciami, śmiechem, reprimendami... Pragnęła jeszcze raz wysłuchać opowieści Gorgiasa o Konstantynopolu, tęskniła za jego pasją czytania, bezsennymi nocami, kiedy pisał... Tyle razy zadawała sobie pytanie, co się z nimi dzieje, i tyle samo razy unikała odpowiedzi!

Czasem kusilo ją, by wrócić i udowodnić wszystkim, że jest niewinna. Z biegiem czasu zaczęła zastanawiać się nad rolą, jaką odegrał w pożarze

pergamenarius, przypominając sobie po kolei wszystko, co zrobił: jego prowokację, uderzenie, przez które zachwiała się rama i wpadła w ogień, wznecając pożar.

Wrócić i stawić czoło Kornemu: im więcej o tym myślała, tym bardziej ubolewała nad własnym tchórzostwem. Bała się stracić to, co cudem zyskała w Fuldzie: miłość Hossa Larssona, przyjaźń Czarnulki Helgi, mądrość Alkuina, bogactwo darowanej jej ziemi. Gdyby w Wurzburgu ją skazano, straciłaby swoje nowe życie.

Obliczyła, że od czasu jej ucieczki minęły jakieś trzy miesiące. Wreszcie usnęła, przekonana, że nigdy już tam nie wróci.

Następnego ranka Alkuin złązał ją za to, że wybrała nieodpowiedni atrament.

— Przykro mi — przeprosiła. — Ostatniej nocy źle spałam.

— Jakież problemy z twoją posiadłością?

— Niezupełnie. — Wahala się, czy mu o tym powiedzieć. — Pamiętacie, co wczoraj mi powiedzieliście? O waszej podróży do Wurzburga?

— Tak, oczywiście, a o co chodzi?

— Rozmyślałam o tym i chciałabym wam towarzyszyć.

— Towarzyszyć mi? — Alkuin stanął w miejscu. — Cóż to za głupi pomysł? To bardzo niebezpieczna wyprawa. Nie jadą z nami żadne kobiety i nie widzę, jaki sens...

— Chciałabym wam towarzyszyć — upierała się Theresa. Alkuin zdziwił się, że dziewczyna przerywa mu tak gwałtownie w pół zdania.

— A niewolnicy? I twoja posiadłość? Dlatego nie mogłaś spać?

— Helga się tym zajmie. I Olaf z Lucilla. Błagam was... Sami mówiliście, że potrzebny wam pomocnik.

— Tak, ale tu, w Fuldzie, a nie na pokładzie statku.

Theresa nie zmieniła postanowienia. Nie mogła zwierzyć mu się, że miała swój udział w pożarze, do którego tam doszło, ale czuła, że musi wrócić do Wurzburga i stawić czoło konsekwencjom.

— Pojadę, choćbyście nie chcieli — powiedziała tak stanowczo, że Alkuin nie wierzył własnym uszom.

— Można wiedzieć, co jest powodem twojej zapalczywości?

— Jeśli nie chcecie mi pomóc, pójdę sama na piechotę. Mnicha zdziwiła zuchwałość dziewczyny. Chciał już wymierzyć jej policzek, ale w końcu tego zaniechał.

— Posłuchaj mnie, ty uparciuchu...! Zostaniesz w Fuldzie, czy ci się to podoba, czy nie. A teraz zapomnij o tych głupich pomysłach i zabierz się do pracy — rozkazał, po czym wyszedł ze skryptorium, trzaskając drzwiami.

Następnego dnia jeden z akolitów powiadomił Alkuina, że delegacja papieska postanowiła przyspieszyć wyjazd i wyruszyć już w najbliższą niedzielę. Najwyraźniej ktoś, kto niedawno przybył z Wurzburga, przywiózł złe wieści. Kiedy akolita wyszedł, Alkuin zamknął drzwi i zwrócił się do Theresy.

— Zgadnij, kto przyjechał.

— Nie wiem. Jakiś żołnierz? — Bała się, że jest poszukiwana.

— To twój przyjaciel, Hoos Larsson.

* * *

Theresa zobaczyła swego kochanka dopiero pod wieczór. Od Alkuina dowiedziała się, że zaprowadzono go do rezydencji optymatów, by poinformował delegację papieską o sytuacji w Wurzburgu, i od tamtej pory przebywa z żołnierzami Karola Wielkiego. Tuż przed noną młodzian wyszedł stamtąd ze skrzywioną miną. Theresa czekała na zewnątrz skostniała z zimna. Gdy tylko go ujrzała, natychmiast się poderwała. Uznała, że jest wychudzony i mizerny, ale burza włosów i głębokie niebieskie oczy czyniły go niezwykle atrakcyjnym. Kiedy młodzian ją poznał, podbiegł do niej i połączyli się w nieskończenie długim pocałunku.

Noc spędzili w domu Czarnulki Helgi, która bez wahania oddała im całe domostwo, a sama przeniosła się do kuchni. Theresa próbowała przyrządzić mięso, ale przypaliła całą potrawę. Zjedli pospiesznie kolację, niewiele przy tym rozmawiając. Jedyne, czego pragnęli, to pochłonąć się nawzajem i obsypać pocałunkami. Kiedy poszli do łóżka, Theresa miała wrażenie, że żadną księgą nie mogłaby tak się nasycić, jak uczynił to Hoos swym ciałem.

* * *

Rankiem młodzieniec przekazał jej straszną wiadomość.

— Przykro mi, że muszę ci o tym powiedzieć, ale twój ojciec, Gorgias, zniknął...

Theresa spojrzała na niego z niedowierzaniem. Potem się odsunęła.

Pytała go ze sto razy, co dokładnie ma na myśli, i nienawidziła go za to, że przemilczał to poprzedniej nocy. Hoos nie potrafił tego wyjaśnić.

Powiedział jej, że w Wurzburgu hrabia Wilfred mówił mu o pożarze. Wystarczyło tylko skojarzyć fakty, by domyślił się, że dziewczyna, którą wszyscy uważają za zmarłą, jest jego ukochaną.

— Kiedy cię poznałem, sama powiedziałaś, że pracujesz jako czeladnik u pergamenariusza, że uciekłaś z Wurzburga i że urodziłaś się w Bizancjum. Wszystko się zgadzało...

— I powiedziałaś im o tym?

— Oczywiście, że nie. Ale Wilfred oznajmił, że ojciec tej dziewczyny, to znaczy twój ojciec, znikł. Wilfred był tym bardzo przejęty i zachowywał się tak, jakby za wszelką cenę chciał go odnaleźć.

— Ale co to znaczy, że zniknął? — Łzy popłynęły jej z oczu. — Jak to się stało? Szukano go? .

— Nie wiem, Thereso. Niestety, choć bardzo bym chciał, nic więcej nie potrafię powiedzieć. Nikt nic nie wie. Nikt go nie widział, ale oczywiście go szukano. Wilfred kazał przetrząsnąć każdy dom, wydał specjalny nakaz, a nawet zorganizował obławę pod Wurzburgiem. Prawdę mówiąc, uważam, że powinnaś tam wrócić. Może dzięki twojej obecności łatwiej będzie go znaleźć.

Theresa skinęła głową. Dobrze, że tak nalegała, by Alkuin pozwolił jej pojechać, i przypomniała sobie o napaści, której ofiarą padł jej ojciec, gdy odprowadzał ją do warsztatu pergamenariusza. Został wówczas ranny w ramię, ale kto wie, być może napastnik podjął kolejną próbę. Zalała się łzami. Hoos starał się ją pocieszyć i choć to mu się nie udało, Theresa doceniła ciepło jego objęć.

* * *

Rankiem Theresa ruszyła do kapituły, gdzie zastała Helgę wśród worków pełnych żywności. Helga najpierw skończyła porządkować ostatni rząd worków, a dopiero później zrobiła krótką przerwę, by wysłuchać przyjaciółki. Z początku Theresa mówiła o błahych sprawach, ale miała tak zaczerwienione oczy, że w końcu musiała wyznać, przez jakie katusze przechodzi: powiedziała o strasznym pożarze, śmierci tamtej dziewczyny, zniknięciu jej ojca i swym postanowieniu powrotu do Wurzburga. Kiedy skończyła, Helga nie mogła uwierzyć, że ma do czynienia z uciekinierką.

Podgrzała szklanekę mleka, którą Theresa wypila małymi łydkami, i spytała, co teraz zamierza uczynić.

— A skąd mam wiedzieć — westchnęła przez łyki.

— Przyjmij moją radę i zapomnij o swojej rodzinie — powiedziała, delikatnie ocierając jej łyki. — Teraz cieszysz się nowym życiem, trafił ci się zalotnik i posiadasz więcej, niż można sobie zamarzyć. Jeśli wrócisz do Wurzburga, na pewno zostaniesz aresztowana. Ten Korne, o którym mówiłaś, sprawia wrażenie cholernego łajdaka.

Theresa skinęła głową. Naprawdę płakała z żalu, że jej ojciec umarł, co zgodnie ze słowami Hossa było całkiem prawdopodobne.

Objęła Helgę i ją ucałowała. Kiedy się uspokoiła, postanowiły, że później pójdą razem pod mury miasta, gdzie na Theresę miał czekać Olaf, aby przewieźć trochę narzędzi i sprzętów. Do tego czasu zajęły się pieczeniem placków z mąki orkiszowej dla dzieci Lucilli. Potem posprzątały w kuchni i poprosiły Favilę, by pozwoliła im na jakiś czas opuścić kuchnię.

W drodze na przedmieścia zorientowały się, że już od pewnego czasu idzie za nimi jakiś mężczyzna. Z początku nie zwracały na niego uwagi, ale kiedy skręciły w jedną z uliczek, mężczyzna pobiegł za nimi i w końcu zagroził im drogę. Okazało się, że to Widukindo, ten sam, który ugodził Helgę nożem, gdy dowiedział się, że jest z nim w ciąży.

Kiedy podszedł bliżej, stwierdziły, że jest pijany. Wyglądało na to, że nie wie za bardzo, o co mu chodzi. Przyglądał im się z głupawą miną i cały czas zanosił się śmiechem. Nagle wykonał taki ruch, jakby chciał złapać Helgę za brzuch, ale ona w porę się cofnęła. Theresa stanęła między pijakiem a przyjaciółką.

— Odsuń się, ty dziwko! — zagroził jej.

Próbował ją odepchnąć, ale zachwiał się, co Theresa natychmiast wykorzystała. Dobyła skramasaks i przyłożyła ostrze do szyi napastnika. Czuła odór wina dolatujący z ust Widukinda.

— Jeśli nie zostawisz nas w spokoju, przysięgam na Boga, że zaszlachtuję cię jak świnie.

Groźbę spełniłaby bez wahania i Widukindo musiał to wyczuć. Splunął na ziemię i znów zaniósł się śmiechem. Po chwili odszedł, zataczając się i plotąc jakieś głupoty. Kiedy zniknął, przerażona Czarnulka wybuchła płaczem.

— Od wielu dni go nie widziałam. Ten łajdak nie spocznie, póki mnie nie zabije.

Theresa starała się ją pocieszyć, ale wszystko na próżno. Odprowadziła ją aż do kapituły i wróciła sama pod mury. Kiedy wreszcie dotarła w umówione miejsce, Olafa już nie było. Poczekała chwilę, bo miała nadzieję, że niewolnik wróci. W końcu postanowiła ruszyć w drogę. Zapadał zmierzch, a ona chciała dać dzieciom ciepłe jeszcze placki.

Po drodze postanowiła opowiedzieć o tym zajściu Hoosowi. Może jemu uda się nastraszyć Widukinda. Hoos był silny i sprawnie posługiwał się bronią. Gdyby porozmawiał z Widukindem, być może zdołałby go uspokoić. Szła dalej ścieżką, wspominając ostatnią noc, i powiedziała sobie, że Hoos nie dość,

że jest silny, to z pewnością byłby najlepszym mężem, jakiego mogłaby znaleźć.

Była sobota. Idąc, przypomniała sobie, że Hoos zapowiedział, że konwój wyruszy w niedzielę z samego rana, i przez chwilę zawahała się. Bardzo pragnęła zostać w Fuldzie, zając się swoją ziemią i założyć rodzinę, ale jeszcze bardziej pragnęła wrócić do Wurzburga i dowiedzieć się, co stało się z jej ojcem.

Szła dalej, podziwiając płynący obok strumień, na którym miejscami zaczynał już topnieć lód. Koryto strumienia było szerokie i spokojne. Theresa postanowiła, że wiosną kupi gwoździe i zleci Olafowi zbudowanie czółna, którym będzie można przepłynąć potok.

Po chwili doszła do bukowego lasu, graniczącego z jej ziemią. Z tego lasu będzie mieć drzewo na budowę ładnego domu, a Olaf z chłopcami będą tam polować na jelenie, co dostarczy im pożywnej strawy.

Podziwiała właśnie zaśnieżone wierzchołki drzew, gdy wystraszył ją jakiś hałas. Nasłuchiwała uważnie, ale wokół panowała cisza. Miała już ruszyć w dalszą drogę, gdy zatrzymał ją kolejny trzask. Pomyślała, że może tropi ją jakieś zwierzę, i dobyła skramasaks. Nagle między drzewami wyłoniła się niewyraźna postać. Gdy rozpoznała Widukinda z wykrzywioną z wściekłości twarzą, krzyknęła z przerażenia. W jego prawej dłoni dostrzegła sztylet. W drugiej na wpół pusty bukłak z winem. Po jego lewej stronie płynęła rzeka, z drugiej zaś rósł las. Zważywszy na stan Widukinda, uznała, że będzie biegła szybciej od niego.

Nie czekając, aż ją zaatakuje, rzuciła się w stronę lasu, kierując się tam, gdzie rosło najmniej drzew. Widukindo zaczął ją gonić. Ziemia była zamarznięta i Theresa obawiała się, że w każdej chwili może się poślizgnąć.

Im dalej biegła, tym ścieżka stawała się bardziej zarośnięta i trudna do pokonania. Wcześniej czy później Widukindo ją dopadnie. Odwróciła się, ale go nie zobaczyła, więc wykorzystwała przewagę i schowała się za krzakami akurat w chwili, gdy Widukindo wyskoczył, wrzeszcząc, jakby coś mu się stało. Przestraszyła się jeszcze bardziej, gdy zaczął siec sztyletem we wszystko, co napotkał na swojej drodze. Wyglądał jak opętany.

Zatrzymał się, by napić się z bukłaka, i pił do dna, aż wino zaczęło mu ściekać po brodzie. Potem krzyknął i znów zaczął zadawać ciosy na oślep.

Był coraz bliżej. Theresa uznała, że jeśli pozostanie w kryjówce, Widukindo na pewno ją znajdzie, wyjęła zatem skramasaks i przygotowała się do walki. Widukindo stał już niemal nad nią. Lada moment usłyszy jego oddech. Nagle

Widukindo odwrócił się w drugą stronę, co Theresa wykorzystała i rzuciła się w dalszą ucieczkę. Widukindo zaklął i ruszył za nią. Sprawiał wrażenie niemal zupełnie spokojnego, jego kroki były szybsze i zdecydowane. Theresa biegła, raniąc się o krzaki jeżyn. Po obu stronach ścieżki rosły zwartym rzędem drzewa, tworząc wąski korytarz, którym uciekała. Miała wrażenie, że im dalej biegnie, tym bardziej czuje na plecach jego oddech. Przeskoczyła przez pień, który zagradzał jej drogę, ale się potknęła. Czowała za plecami oddech Widukinda. Mężczyzna przeskoczył przez pień, ale też się potknął, z czego Theresa natychmiast skorzystała. Poderwała się i zaczęła uciekać. Po prawej stronie zauważyła niewielki wał ziemny i stoczyła się po nim w nadziei, że niżej płynie rzeka. Jej suknia zaczepiła o jeżyny i się rozdarła. Widukindo ruszył za nią. Miała nad nim zaledwie kilka kroków przewagi. Była dobrą pływaczką. Gdyby dotarła do rzeki, być może zdołałaby ją pokonać. Biegła co sił, błagając Boga, by pozwolił jej dotrzeć do wody.

Przebiegła już spory kawałek, gdy nagle wyrosła przed nią inna postać, zderzyli się i oboje upadli na ziemię. Widukindo przyglądał się temu ze zdumieniem. Kiedy Theresa się podniosła, zobaczyła, że przed nią leży Olaf, a jego drewniana noga obok niego. Próbowiła mu pomóc, ale Widukindo odepchnął ją. Olaf natychmiast zorientował się w sytuacji i wciąż leżąc na ziemi, kazał Theresie stanąć za jego plecami. Widukindo roześmiał się, pozwalając dziewczynie przesunąć się za Olafa.

— Kaleka i dziwka... Z przyjemnością wyrwę mu tę nogę, co mu została, a ciebie będę pieprzyć aż do upadłego.

— Thereso! Skramasaks!—zawołał Olaf. Theresa nie zrozumiała.

— Skramasaks! — krzyknął znów zdesperowany. Dziewczyna wreszcie pojęła.

Widukindo śmiał się z absurdalności tej sytuacji, ale Olaf złapał skramasaks i rzucił nim z niezwykłą precyzją. Nagle Widukindo poczuł uderzenie na wysokości gardła. Potem poczuł ciepło krwi płynącej mu po szyi, a później stracił wszelkie czucie.

* * *

Kiedy Olaf umocował wreszcie drewnianą nogę, natychmiast upewnił się, że Widukindo nie oddycha, i zdołał przekonać Theresę, że dla uniknięcia kłopotów najlepiej będzie trzymać usta na kłódkę. Dziewczyna przyznała mu rację. Koniec końców miała szczęście, że Olaf usłyszał krzyki Widukinda i przybył jej na pomoc. Teraz Helga nie miała już powodu do niepokoju. Wydała na świat dziecko i ten przeklęty łotr nie będzie jej zagrażał.

Olaf rozebrał Widukinda i spalił jego odzienie.

— Jeśli go pogrzebiemy, a ktoś odkryje ciało, na pewno domyśli się, że to było morderstwo. Natomiast gdy będzie nagi i zjedzą go wilki, nie zostanie po nim ani śladu.

Przeciągnął trupa do wąwozu, wcześniej zadawszy mu jeszcze kilka ciosów nożem, by krew zwabiła zwierzynę. Potem zajął się butami i ubraniem nieboszczyka. W drodze do posiadłości Theresy prawie nie rozmawiali. Jednak nim tam dotarli, dziewczyna podziękowała Olafowi.

— Każdy niewolnik zrobiłby to samo dla swej pani — wyjaśnił Olaf.

W chacie przeszukał ubranie, po czym rzucił je w ogień. Zachował nóż i buty, które mogły mu służyć, pod warunkiem że je ufarbuje, co zamierzał uczynić. Theresie natomiast wręczył sztylet, jako że niewolnik nie mógł posiadać broni. Theresa go nie przyjęła.

— Jak oczyścisz ostrze, możesz go używać, nikt cię za to nie ukarze.

Na twarzy Olafa pojawił się wyraz niezmiernej wdzięczności. Z zachwytem oglądał sztylet. Był nieco toporny, ale wykonany z dobrej stali. Wystarczy, że go nieco przerobi, a nikt nie rozpozna broni. Skłonił się przed Theresa, a Lucilla uczyniła tak samo. Potem przygotowali wieczerzę, bo wkrótce miała zapaść noc.

Kiedy skończyli jeść jeleni udziec, księżyc już świecił, więc Theresa postanowiła zostać na noc w chacie. Lucilla zrobiła jej miejsce między dziećmi. Sama spała na ziemi, po prawej stronie, a Olaf na zewnątrz, otulony płaszczem.

Tamtej nocy Theresa znów rozpamiętywała swoje troski. Przypomniawszy jej się ojciec i zaczęła się zastanawiać, gdzie może teraz przebywać. Może nie żyje, ale choć było to całkiem prawdopodobne, ona nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Przypomniała sobie Alkuina i zatęskniła za dniami wypełnionymi nauką, za jego miłymi słowami, niezwykłą mądrością. Potem pomyślała o wszystkich, którzy przez nią zginęli: tamta dziewczyna w pożarze, dwaj Sasi w domu Hoosa, a teraz Widukindo... Przez chwilę zastanawiała się, czy te ziemie, których stała się właścicielką, były tego wszystkiego warte.

Wycie wilków sprawiło, że zaczęła wyobrażać sobie, co dzieje się teraz z trupem Widukinda. Potem pomyślała o ojcu i rozplakała się na myśl, że mogły go rozszarpać dzikie bestie.

Nagle wstała, jakby ktoś nacisnął jakąś sprężynę. Lucilla obudziła się, ale Theresa ją uspokoiła. Ubrała się i wyszła z chaty. Olaf zdziwił się, bo nie zaczęło jeszcze nawet świtać. Odsunął się od wołu, który służył mu za osłonę, i

spojrzał na nią ze zdziwieniem, przecierając oczy. Theresa w milczeniu podziwiała księżyc. Za kilka godzin zacznie świtać, a wtedy Alkuin wyruszy do Wurzburga. Wzięła głęboki oddech i spojrzała na Olafa. Potem kazała mu się przygotować do drogi.

— Pójdiesz ze mną do Fuldy. Zanim wyruszę, chcę załatwić kilka spraw.

Tego ranka w stajniach opactwa panowało zamieszanie. Mnisi całymi tabunami biegali z jednej części do drugiej z żywnością, zwierzętami, bronią i bagażami pod czujnym spojrzeniem ludzi Karola Wielkiego. Wolarze kończyli zaprzęganie wołów, które protestowały, mucząc i bodąc, służące przynosiły ostatnie porcje solonego boczku, a żołnierze wypełniali polecenia zwierzchników.

Kiedy Theresa znalazła Alkuina, ten zajęty był ładowaniem swoich bagaży na wóz. Ona sama wzięła jedynie ubranie na zmianę i woskowe tabliczki. Resztę zostawiła Czarnulce Heldze, którą kilka minut temu obudziła, aby powiedzieć jej, że wyjeżdża. Helga miała dbać o ziemię do czasu powrotu Theresy, co obiecała uczynić, choćby po to, by odebrać pożyczone pieniądze wraz procentem. Kiedy Alkuin zobaczył Theresę, podszedł do niej z wściekłą miną.

— Można wiedzieć, co tu robisz?

— Nic, co mogłoby was zainteresować — odparła, nie patrząc na niego. Złapała swoją sakwę i rzuciła ją na wóz.

— Natychmiast to zdejmij! Do czego zmierzasz? Mam wezwać żołnierzy?

— A do czego wy zmierzacie? Mam iść sama na piechotę? Jestem gotowa tak właśnie uczynić.

— Nawet gdybyś miała skończyć w wąwozie?

— Nawet gdybym miała skończyć w wąwozie.

Alkuin wziął głęboki oddech i zacisnął zęby. Nigdy jeszcze nie trafił na tak upartą istotę. Wreszcie coś wymamrotał i klepnął ją w plecy.

— A niech to. Wsiadaj na wóz!

— Słucham?

— Nie słyszałaś? Wsiadaj na wóz!

Theresa ucałowała go w dłoń, nie wiedząc, jak ma dziękować.

* * *

Rankiem zjawił się Izam z Padwy w rzucającym się w oczy czerwonym stroju, na którym połyskiwała kolczuga. Jechała za nim okazała grupa żołnierzy eskortujących rzymski orszak. Kiedy inżynier zobaczył Theresę, wykonał taki gest, jakby chciał ją powitać, ale uprzedził go pewien młody

mężczyzna. Theresa nie miała nic przeciw temu, by Hoos ją objął, on zaś, ciesząc się jej obecnością, natychmiast pocałował ją w usta. Izam przyglądał się zakłopotany tej scenie, co nie uszło uwagi Hoosa.

— Skąd go znasz? — spytał Hoos, kiedy zobaczył, że Izam się wycofuje.

— Kogo? Tego w kolczudze? — spytała niewinnie Theresa. — To człowiek Karola Wielkiego. Pomógł mi z tym niewolnikiem, o którym ci mówiłam. Tym z drewnianą nogą.

— Zdaje się, że bardzo mu się podobasz — powiedział Hoos ze śmiechem i znów ją ucałował, upewniwszy się, że Izam wciąż ich obserwuje.

Hoos nie wydawał się zaskoczony widokiem Theresy, co ją nieco zdziwiło, bo nie mówiła mu, że zamierza jechać do Wurzburga. Przeciwnie, wcześniej wyobrażała sobie, że oboje zostaną w Fuldzie, gdzie ich związek będzie stopniowo rozkwitał, a jednak oto znaleźli się tu razem, zmierzając ku nieznanemu przeznaczeniu, choć tego wcale nie planowali. Hoos powiedział, że jej przyjaciel, inżynier, najął go w charakterze przewodnika.

— Szkoda, że ich nie widziałas, kiedy powiedziałem, że drogi wciąż są nieprzejezdne z powodu śniegu. Zaczęli beczeć jak dzieci. Wtedy zaproponowałem im, by cofnęli się aż do Frankfurtu i stamtąd popłynęli rzeką na jakimś statku. Na tej wysokości lód zaczyna już topnieć, więc wkrótce, jeśli dopisze nam szczęście, dopłyniemy do samego Wurzburga.

— I zamierzałeś wyruszyć, nie mówiąc mi o tym?

— Byłem pewien, że tu przyjdiesz. — Uśmiechnął się. — Poza tym...

Theresa spojrzała na niego nieufnie.

— Poza tym gdyby było to konieczne, zaciągnąłbym cię tutaj na siłę. — Zaśmiał się i uniósł ją w górę.

Theresa uśmiechnęła się, szczęśliwa w mocnych ramionach Hoosa. Czowała, że dopóki on będzie w pobliżu, nic złego jej się nie stanie.

Wedle pobieżnych rachunków Theresy zebrało się około siedemdziesięciu osób. Dziesięciu czy dwunastu należało do delegacji papieskiej, ze dwudziestu wyglądało na żołnierzy bądź zbrojnych ludzi, a resztę stanowili wolarze, posługacze i miejscowi. Theresa stwierdziła, że w istocie jest jedyną kobietą, ale to jej nie martwiło. Oprócz ludzi osiem wozów ciągniętych przez woły i tyle samo lżejszych wozów, do których zaprzęgnięto mulice, dopełniało całości orszaku.

Na znak Izama baty spadły na grzbiety wołów, które zamuczały z bólu i ruszyły ciężkim krokiem w stronę murów. Alkuin jechał za pierwszym wozem w towarzystwie delegacji papieskiej. Theresa kołysała się na drugim wozie, nie

spuszczając z oczu Hoosa jadącego przodem. Izam zamykał konwój ze sporą grupą żołnierzy.

Zostawili za sobą Fuldę i ruszyli w stronę Frankfurtu.

Podczas drogi Hoos kilka razy rozmawiał z Theresa. Powiedział jej, że w Wurzburgu ludzie umierają z głodu i dlatego zabrali dwanaście wozów z ziarnem. We Frankfurcie mają dodać do tego inne zapasy, które załadują na statki. Theresa z kolei opowiedziała mu o Alkuinie i o tym, jak rozwiązał zagadkę zatrutego ziarna.

— Powtarzam ci, żebyś mu nie ufała. Ten mnich jest sprytny jak diabeł.

— Sama nie wiem... Był wyrozumiały wobec Helgi. A mnie dał pracę.

— I co z tego. Kiedy to wszystko się skończy, nie będzie ci już potrzebna żadna praca.

Theresa ustąpiła bez przekonania i zwierzyła mu się, że jedyne, czego pragnie, to odnaleźć swego ojca żywego. Kiedy Hoos zaczął wyliczać czekające ją trudności, nie chciała słuchać i zaszła się pod derką.

Przez cały ranek orszak posuwał się ociężale naprzód. Dwaj jeźdźcy z pochodniami otwierali drogę, dbając o to, by wozy mogły przejechać bez przeszkód. Za nimi dwaj posługacze w rękawicach usuwali kamienie stanowiące zaporę dla wozów, a wolarze siłą bata i przekleństw starali się trzymać woły z dala od krawędzi jarów i wąwozów. Druga para jeźdźców, baczna na wszelkie niebezpieczeństwa, trzymała tylną straż.

Po pokonaniu grząskiego odcinka, na którym ludzie musieli ciągnąć wozy na równi z wołami, droga stała się na tyle szeroka, że można było swobodnie rozłożyć się z obozem. Ustawiono zatem wozy rzędem wzdłuż rzeki, przywiązano konie do pierwszego wozu i rozładowano paszę. Jeden z posługaczy rozpałił ognisko, nad którym zaczął piec poćwiartowanego jelenia, Izam zaś zbierał resztę grapy, by zorganizować strażę. Po zakończeniu tych przygotowań wszyscy rozsiedli się wokół ogniska i czekając, aż pieczeń będzie gotowa, zaczęli pić. Theresa pomagała chłopcom kuchennym uradowanym obecnością kobiety zręcznie radzącej sobie przy kuchni, dwaj strażnicy przynieśli króliki, którymi rozkoszowali się członkowie delegacji papieskiej. Ci, którym szczęście mniej dopisało, musieli zadowolić się kaszą owsianą i solonym wieprzowym udźcem, jednak wino przechodziło z rąk do rąk i wkrótce, w miarę opróżniania dzbanów, mężczyźni poczęli gawędzić i śmiać się.

* * *

Theresa zbierała miski, gdy za jej plecami stanął Izam.

— Nie pijesz wina? — spytał, częstując ją. Odwróciła się zaskoczona.

— Nie, dziękuję. Wolę wodę. — Upiła łyk ze swojej szklanki. Izama to zdziwiło. Zwykle w podróży wszyscy pili cienkie wino, a w razie jego braku piwo, ponieważ te napoje wywoływały mniej chorób niż zanieczyszczona woda. W tej sytuacji postanowił ponowić zaproszenie.

— Nie polecam tego strumienia. Koryto nie jest kamieniste, a woda płynie z zachodu na wschód. Co więcej, trzy kilometry stąd minęliśmy osadę. Jestem pewien, że wszystkie nieczystości płyną z prądem.

Theresa wypluła wodę i wzięła kielich z rąk Izama. Wino było mocne i rozgrzewające.

— Wcześniej próbowałem się z tobą przywitać, ale byłaś zajęta. Theresa odpowiedziała dyplomatycznym uśmiechem. Dostrzegła

Hoosa zajętego jedzeniem jeleniny i zawstydziła się na myśl, że mógłby ją przyłapać na tej rozmowie.

— To twój narzeczony? — spytał.

— Jeszcze nie. — Zaczerwieniła się, choć nie bardzo wiedziała dlaczego.

— Jaka szkoda, że ja już jestem z kimś po słowie — skłamał. Z jakiegoś dziwnego powodu Theresie zrobiło się przykro. Przez chwilę rozmawiali o trudnościach, które czekają ich w drodze.

Wreszcie ciekawość zwyciężyła i Theresa powiedziała:

— Wiesz co? Nie wierzę, że naprawdę jesteś po słowie — zaśmiała się i natychmiast zawstydziła ją własna śmiałość.

Izam zaczął się śmiać. W tej samej chwili zjawił się Alkuin, aby im powinszować.

— Tobie za świetną kuchnię, a tobie za to, że tak zręcznie kierujesz wyprawą — powiedział.

Izam podziękował za komplement i pożegnał się, ponieważ wzywało go dwu żołnierzy. Theresa zaczęła wypytywać Alkuina o Izama z Padwy.

— Cóż, doprawdy nie wiem, czy ma jakąś pannę — odparł zdziwiony takim pytaniem mnich.

* * *

Następnego dnia o świcie dotarli do Frankfurtu. Hoos i Izam przez cały ranek krążyli po porcie, szukając najbardziej odpowiednich statków. Na przystani znaleźli solidne frankońskie żaglowce, statki duńskie o dużej ładowności oraz statki fryzyjskie o szerokich kadłubach. Izam stawiał na siłę i wytrzymałość kadłubów, Hoos zaś na lekkość i zwinność.

— Jeśli trafimy na lód, być może będziemy musieli je holować — zauważył ukochany Theresy.

W końcu wybrali dwa ciężkie okręty wyposażone w liczne wiosła i lekki statek, który można było przeciągnąć po lodzie.

W południe rozpoczęli załadunek. Zjedli razem w pobliskim magazynie i dwie godziny później płynęły Menem obie barki i statek obładowane zwierzętami, żołnierzami i księżmi.

RS

ROZDZIAŁ 23

Alkuin z Yorku nigdy nie podejrzewał, że z ust prałata może wypłynąć taki potok przekleństw, jednak gdy diakon Flawiusz usłyszał, że kadłub zaczyna trzeszczeć, zaczął złorzeczyć i nie przestał, póki statek nie zaklinował się w lodzie.

— Nie powinniśmy byli podejmować tej wyprawy! — warknął, schodząc z barki z pakunkami. — Co zamierza ten potępieniec? Pozabijać nas?

Izam z Padwy rzucił mu pogardliwe spojrzenie i wypluł kawałek mięsa, który żuł od dłuższego czasu. Dość już miał kłopotu z oswobodzeniem kadłubów, by na dodatek przejmować się narzekaniem kilku zmanierowanych księży. Spojrzał przed siebie i zaklął. Przed jego oczami rozpościerała się skuta lodem rzeka.

Odkąd wypłynęli z Frankfurtu, nie napotkali przeszkód poza krą, ale o krze byli uprzedzani. Na szczęście statki, które im towarzyszyły, zdołały uniknąć zderzenia i gładko za nimi płynęły. Izam natychmiast ustawił na lodzie strażę, kazał załodze opróżnić ładownię i upewnił się, że prowiant oraz zwierzęta zostały umieszczone na najgrubszej i najmocniejszej części pokrywy lodowej. Hoos stał na czele grupy, która ruszyła po lodzie w stronę brzegu.

— Niech mi obetną dłonie, jeśli odgadnę, co się tu dzieje! I co teraz wyprawia ten człowiek? — denerwował się Flawiusz.

— Nie wiem. Przypuszczam, że usiłuje nas stąd wyciągnąć, bo za to mu płacimy — powiedział Alkuin, nie przerywając porządkowania swych ksiąg.

— Weźcie, proszę, tę Biblię, tylko ostrożnie, to bardzo cenny egzemplarz.

Flawiusz złapał Biblię i rzucił ją niedbale na stos tobołków. Irytowała go obecność Theresy i spokój, z jakim Alkuin stawiał czoło tej sytuacji.

— Może szykują się do powrotu — zaryzykowała Theresa.

— Nie sądzę. Jestem pewien, że Izam będzie próbował unieść statek z wody i pociągnąć go po lodzie.

— Oszaleliście? Nikt nie zdołałby pociągnąć statku aż do Wurzburga! — Rzymianin znów dorzucił swoje trzy grosze,

— Drogi Flawiuszu, rozejrzyjcie się wokół — uspokajał go Alkuin, nie podnosząc wzroku. — Gdyby chciał się wycofać, wykorzystałby drugi statek, aby nas holował. On zaś przywiązał sznury na dziobie, a nie na rufie, a następnie zaprzągnął woły, co może jedynie oznaczać, że próbuje nas podnieść.

— Przecież to obłąd. Jak trzydziestu ludzi miałyby unieść statek?

— Trzydziestu jeden, ojciec — powiedziała Theresa, która zdążyła dokładnie ich porachować.

— I wy zamierzacie uczestniczyć w tej nierozważnej operacji?

— Jakżeby inaczej. Przecież staramy się dotrzeć do Wurzburga — tłumaczył mu Alkuin, zabezpieczając jakieś buteleczki. — A skoro wy nie zamierzacie pchać, przynajmniej pomóżcie mi z tymi piórami. Schowamy je tutaj, obok kałamarzy.

— Ale przecież to niemożliwe — upierał się Flawiusz, biorąc pióra. — Trzydziestu ludzi ma ciągnąć statek... albo trzydziestu jeden... Jeśli miło im zginąć przy pchaniu... zwróćcie uwagę na rozmiary kadłuba: liczy ponad dwadzieścia kroków. A prowiant?... Co stanie się z prowiantem?

— Może powinniście o to spytać dowódcę.

— Izama z Padwy? Być może ten pyszałek rozmawia z wami, ale odkąd wypłynęliśmy z Frankfurtu, nie odezwał się do mnie ani słowem. — Skończył przenoszenie pakunków i stanął na wprost Alkuina. — Wiecie, co myślę? Że to są majaki. Wymysły starego mnicha, który sądzi, że wie więcej od prałata. Powinniśmy iść dalej pieszo z biegiem rzeki. Mamy woły i dobrze uzbrojonych ludzi.

— Cóż, ja natomiast myślę, że gdybyście mówili mniej, a więcej pomagali, już byśmy wynieśli z pokładu te tobołki.

— Alkuinie! Pamiętajcie o należnym mi szacunku.

— A wy o należnym mi spokoju. Bo jak słusznie powiedzieliście, nie jestem już młodzieniaszkiem. Jeśli mam pchać statek, potrzebny mi spokój.

— A wy nadal to samo? Trzydziestu jeden ludzi nie...

— Może więcej. Kiedy rozmawialiście, dziesięciu członków załogi z drugiego statku zrzuciło drabinę, by przejść na tę stronę — zauważyła Theresa.

Flawiusz nawet na nią nie spojrzał.

— A zatem pozwólcie, że wam powiem, iż nie tylko wy potraficie snuć domysły. Jeśli nie ściągniemy statku z mielizny, to przetransportujemy nasze bagaże na drugi statek i wrócimy do Frankfurtu, gdzie poczekamy na odwilż. Ci ludzie, którzy przechodzą na drugą stronę, pomogą nam w przeniesieniu rzeczy.

— Uzbrojeni w te wszystkie narzędzia? Oczywiście, że pomogą, ale w sposób, który wam wyjaśniłem. Ale skoro sądzicie, że to tak fatalny pomysł, powinniście przesiąść się na drugi statek.

— Wiecie równie dobrze jak ja, że musimy dotrzeć do Wurzburga.

— Wobec tego przestańcie marudzić i znieście wasze bagaże. Thereso, pomóż mi z tym woluminem. Spójrzcie. — Wskazał na członków drugiej załogi. — Spośród tych, którzy ruszyli na brzeg, dwu pomaszerowało w górę rzeki z pewnością po to, by sprawdzić, jak daleko sięga lód, a pozostali zaczęli ciąć i przygotowywać pnie.

— Drewno do naprawy statku? — zasugerowała dziewczyna.

— Raczej wygląda na to, że szykują żerdzie, aby go przesunąć. Jeśli dobrze przyjrzy się okolicy, zobaczysz, że w tym miejscu rzeka jest spokojniejsza, a ta okoliczność w połączeniu z cieniem, jaki rzuca ta wielka góra — powiedział, machając ręką — wskazują na przyczynę powstania tej niespodziewanej pokrywy lodowej. Jednak niżej, gdzie cień znika, a spadek jest wyraźniejszy, z pewnością woda spokojnie sobie płynie.

W tej samej chwili wrócił Hoos z zadowoloną miną. Odłożył broń na lodzie i podszedł do Izama.

— Tam dalej lód zaczyna się kruszyć, więc będziemy mogli popłynąć.

— A brzeg? — spytał dowódca.

— Są dwa czy trzy miejsca, gdzie robi się ciasniej, ale pozostałe odcinki nie powinny sprawić kłopotów.

— Zgoda. Gdzie jest strażnik?

— Stoi na warcie, jak kazaliście.

— Wobec tego pozostało nam tylko uwolnić tę kolubrynę i przeciągnąć po lodzie do miejsca, w którym rzeka będzie spławna.

* * *

Owinięci linami członkowie załogi zacisnęli zęby i pociągnęli równocześnie. Za pierwszym podejściem statek jedynie zatrzeszczał. Potem trzeszczenie zamieniło się w zawodzenie i wreszcie, przy ostatniej próbie, dziób uniósł się w górę, po czym opadł na pokrywę lodową. Powolutku statek zaczął przesuwac się po lodzie niczym dogorywające zwierzę. Dwunastu wioślarzy z wołami na czele ciągnęło za liny na dziobie, a pomagało im kolejnych ośmiu, którzy porozstawiani po obu stronach kadłuba starali się nimi kierować. Pozostałych czterech ludzi otrzymało rozkaz pilnowania drugiego statku oraz prowiantu i bagaży.

Każdy okrzyk niczym smagnięcie batem wstrząsał statkiem, który rzeżąc, przemieszczał się niemal niezauważalnie. Powolutku, w miarę jak kadłub posuwał się naprzód, szarpnięcia stawały się coraz bardziej harmonijne i wreszcie statek zaczął się ślizgać, zostawiając za sobą głęboką, zlodowaciałą bliznę.

Po południu, wśród przekleństw, usłyszeli, jak lód zaczyna się stopniowo załamywać pod ciężarem statku.

— Stać! Stać, przekłęci łajdacy. Lód pęknie i wszyscy się potopimy! Ludzie puścili natychmiast liny i cofnęli się kilka kroków. W tym miejscu pokrywa lodu była cieńsza, a kawałek dalej ustępowała miejsca labiryntowi brył lodowych.

— Zgromadźcie zwierzęta. Zróbcie otwór w lodzie i pozwólcie im się napić. Wy dwaj, kiedy woły odpoczną, zawróćcie po prowiant — rozkazał Izam.

Flawiusz, który nie uczestniczył w holowaniu, odszedł kilka kroków od statku. Wkrótce pojawiła się Theresa i Alkuin z przekrwioną twarzą. Mnich próbował coś powiedzieć, ale zdołał jedynie wydobyć z siebie westchnienie. Po chwili padł na lód i zamknął oczy, usiłując odzyskać oddech.

— Nie powinniście byli pomagać — zgañił go Flawiusz. — Teraz patrz na mnie jak na dziwadło.

— Odrobina ćwiczeń fizycznych przynosi ulgę duszy — wysapał Alkuin.

— Tu się mylicie. Zostawcie pracę tym, którzy mają obowiązek ją wykonywać. My, oratores, powinniśmy oddać się modlitwie, tak jak polecił nam Pan Bóg—powiedział, pomagając mu przenieść najłżejszy tobolek.

— Ach, tak... Zasady, które rządzą światem: oratores modlą się o zbawienie ludzkości, bellatores walczą o Kościół, a laboratores pracują na rzecz wszystkich pozostałych. Wybaczcie, zapomniałem o tym. — Alkuin zaśmiał się ironicznie.

— A to błąd — powiedział Flawiusz, podnosząc głos.

— Jednak zgodzicie się ze mną, że wieśniacy również muszą się od czasu do czasu modlić. Podajcie mi, z łaski swojej, trochę wody.

— Oczywiście. I nie tak znowu od czasu do czasu.

— I podobnie przyjmujecie, że bellatores oprócz zaprawiania się w walce nie powinni również zapominać o swych obowiązkach duchowych. — Alkuin upił łyk wody.

— Oczywiście...—przyznał Flawiusz.

— Zatem nie widzę przeszkody, byśmy nieco popracowali, gdy nadarzy się okazja — powiedział Alkuin, odzyskując nieco siły.

— Zapominacie, że nie jestem mnichem jak wy. Jestem kanclerzem papieskim. Prepozytem laterańskim.

— Posiadającym dwie nogi i dwie ręce — przypomniał mu Alkuin, wstając. — A teraz, jeśli wybaczycie, to jeszcze nie koniec.

Mnich spojrział w stronę brzegu. Potem ukradkiem przyjrzał się Izamowi, który opierał się o balustradę statku.

— Na pewno martwi się — zauważyła Theresa, mając na myśli Izama — że strażnik wyruszył jakiś czas temu i wciąż go nie ma.

— Na Boga, dziewczyno, nie dramatyzuj. Pewno się wypróżnia albo bada teren — powiedział Flawiusz.

— Ale zwróćcie uwagę na Izama: nie spuszcza wzroku z lasu i wygląda na zaniepokojonego.

Flawiusz przyznał, że rzeczywiście: inżynier krążył po burcie jak osaczone zwierzę, bez przerwy wydawał rozkazy i nie wypuszczał z rąk łuku. Alkuin zostawił Flawiusza i podszedł do Izama.

— Szacuję, że zostało nam jeszcze półtora dnia drogi. Mam rację? — spytał ostrożnie.

Izam spojrział na niego kątem oka.

— Wybaczcie, ale nie jestem w nastroju do rozmów — powiedział, odsuwając się od niego.

— Rozumiem. Nie tylko wy wypatrujecie strażnika. Ja również jestem zaniepokojony.

Izam spojrział na niego zdziwiony, przecież nie podzielił się swoimi obawami z załogą, a ten mnich jakby czytał w jego myślach. Wbił wzrok w rosnące na brzegu drzewa i podrapał się po brodzie.

— Nie wiem, dlaczego jeszcze nas nie zaatakowali. Może czekają, aż nadejdzie noc — zauważył, uznając, że obaj wiedzą, o czym mowa.

— Jestem tego samego zdania — wtrącił Hoos, przyłączając się do rozmowy. — Nie są zbyt liczni, bo inaczej już by tu byli.

Alkuin i dowódca spojrzeli na Hoosa.

— Jeśli będę chciał usłyszeć wasze zdanie, to sam was poproszę. A teraz ogranicz się do wykonania swojej pracy — odparł Izam.

— Oczywiście — powiedział Hoos, odchodząc.

— Znać go? — spytał Alkuin.

— Z Aquis-Granum, choć niezbyt dobrze. Jedyne, co wiem, to tyle, że zna tę okolicę lepiej niż wszyscy nasi żołnierze razem wzięci. A teraz wybaczcie, ale muszę przygotować moich ludzi.

Alkuin skinął głową i natychmiast ruszył do miejsca, w którym odpoczywały woły. W tej chwili myślał tylko o tym, by zabezpieczyć bagaż, a w pobliżu zwierząt miał ku temu więcej możliwości. Zauważył, że Izam podzielił załogę

na dwie grupy. Najwyraźniej postanowił zmienić liczbę ludzi wyznaczonych do przenoszenia zapasów. Hoos i Theresa również stali wśród zebranych.

— Słuchajcie uważnie — powiedział inżynier. — Możliwe, że za tymi drzewami kryją się bandyci, a jeśli tak jest, musimy się pospieszyć. Ci z was, którzy pójdą po zostawione przez nas rzeczy, muszą mieć oczy szeroko otwarte. Idźcie po lodzie, środkiem koryta. Wy trzej zajmiecie się bagażami. Pozostali prowiantem. Jeśli nie wrócicie za godzinę, ruszymy bez was.

Wybrani ludzie zebrali się razem i ruszyli w drogę powrotną. Alkuin i Flawiusz poszli za nimi. Reszta próbowała spuścić statek na wodę, ale po licznych próbach niewiele go przesunęli. Izam ustawił obronę, rozmieszczając po obu stronach kadłuba beczki ze strzelcami. Potem stanął na dziobie, upewniwszy się, że Theresa skryła się na pokładzie, za stertą worków.

Rozważał ich położenie, gdy nagle w górze rzeki dostrzegł jakąś ciemną bryłę dryfującą wśród kry. Nie zdołał zobaczyć, co to takiego, bo nagle bryła zatoneła, ale wkrótce widoczna jako ciemna plama zaczęła zbliżać się do dziobu statku. Wówczas Izam złapał harpun, przeskoczył przez burtę i stanął tuż obok miejsca, gdzie lód się rozstępował. Kiedy plama pojawiła się w otworze, zanurzył harpun i wbił go mocno w tajemniczy obiekt. Potem pociągnął harpun do góry i krzyknął z przerażenia, okazało się bowiem, że była to potwornie okaleczona głowa strażnika.

Umówiona godzina właśnie upływała, gdy w oddali pojawili się pierwsi marynarze. Kiedy z trudem posuwali się naprzód, jeden z wołów ryknął i padł jak rażony piorunem. Izam zrozumiał, że zaczął się atak. Natychmiast rozkazał ludziom, by napięli luki. Powracająca grupa skryła się za saniami. Łucznicy Izama wystrzelili serię strzał, które zderzyły się ze strzałami nadlatującymi od strony brzegu. Dwu ludzi porzuciło woły i zaczęło biec w stronę statku, ale obaj po kilku krokach runęli na lód. Alkuin i Flawiusz siedzieli skuleni za ostatnimi saniami. Hoos przesunął się w ich stronę.

— Zostańcie tutaj, aż wam powiem, że możecie wyjść — rozkazał. Alkuin i Flawiusz skinęli głowami. Hoos schował się za rannym wołem i rozciął uprząż łączącą go z drugim, zdrowym. Potem wezwał kleryków.

— Idziemy. Trzymajcie się z tyłu. Teraz, gdy uderzę zwierzę, biegnijcie za nim. Wykorzystamy je jako osłonę.

— Flawiusz nie da rady — zaprotestował Alkuin.

Hoos spojrzał na Flawiusza i zobaczył, że w jego udzie tkwi strzała.

— Dobrze. Ja się nim zajmę — powiedział, podając Alkuinowi powróż, którym obwiązana była szyja wołu. — Ruszamy. Szybko.

— A bagaże? — spytał Alkuin, widząc, że Hoos poprzecinał sznury. Hoos skulił się za workami, bo nad ich głowami przelatywał deszcz strzał.

— Przeciągnę je. A teraz biegnijcie — powiedział i uderzył zwierzę w zad.

Wół ruszył przerażony, a wraz z nim uczepiony jego ogona Alkuin. Hoos krzyknął, by się schował, co mnich posłusznie uczynił. Jeden z wioślarzy próbował złapać się wołu, ale gdy już niemal mu się to udało, padł ugodzony strzałą. Hoos zawołał drugiego człowieka, by mu pomógł. Wspólnie ułożyli Flawiusza na saniach i zabezpieczyli deskami. Potem skuleni zaczęli pchać sanie w stronę statku.

— Ci potępieńcy dziurawią nas jak sito! — zawołał Hoos, gdy znaleźli się już w pobliżu burty.

— Widzę. Co z Flawiuszem? — spytał Izam, stojąc na pokładzie statku.

— Małe draśnięcie na udzie.

— A prowiant?

— Na wozach — odparł Hoos, wskazując ludzi, którzy szli za kilkoma wozami.

— Dobrze. Szybko! Wnieście prowiant i pchniemy statek. Mimo wyczerpania Alkuin dołączył do tych, którzy starali się pchnąć statek. Wkrótce potem Hoos i pozostali ruszyli im z pomocą.

— Wnieście Flawiusza! Jest ranny! — zawołał Izam wśród gradu strzał.

Wioślarze wnieśli ładunek na pokład i umieścili Flawiusza w bezpiecznym miejscu, na dole zaś ci, którzy pchali statek, nie ustawali w wysiłkach.

— Do wszystkich diabłów! Pchajcie, przekłete wyrodki! Ludzie posłuchali Izama. Przy drugiej próbie statek się poruszył.

— Jeszcze raz! Mocniej! Pchajcie!

Nagle lód zaczął przeraźliwie trzeszczeć. Ludzie odskoczyli przerażeni i statek zaczął się zanurzać, jakby pochłaniały go piekielne czeluści.

— Do tyłu, szybko! Odsuńcie się!

Nagle lód się rozstał i statek zanurzył się aż po sam trap. Kilku zaplątanych w liny wioślarzy wpadło do wody.

— Wchodźcie na statek! Dalej, do diabła, dalej! — krzyczał Izam pośród deszczu lecących strzał.

Hoos jako pierwszy znalazł się na pokładzie. Ci, którzy ocaleli, porzucili łuki i trzymali się kurczowo burty. Wśród nich znajdował się na wpół zanurzony w wodzie Alkuin.

— Kilku ludzi utknęło — powiedział, unosząc wyżej jednego z rannych.

— Nie ma czasu. Wchodźcie na pokład. — Hoos podał mu rękę.

— Nie możemy ich zostawić — nalegał Alkuin, nie puszczając rannego.

— Wchodźcie albo przysięgam, że sam tam zejdę i wniosę was na górę!

Alkuin odmówił.

Hoos przeskoczył przez burtę i spadł na lód tuż obok Alkuina. Potem wyjął szpadę i przebił mężczyznę, któremu mnich usiłował udzielić pomocy. Po czym wstał i dobił drugiego, który próbował wydostać się z lodowatej wody.

— Teraz nic was już nie zatrzymuje. Idziemy! — oznajmił Hoos. Alkuin spojrział na niego w osłupieniu. Wyciągnął rękę niczym somnambulik, a kilku wioślarzy pomogło mu wejść na pokład.

* * *

Statek posuwał się w górę rzeki, aż słońce skryło się za górami. Wkrótce potem zatrzymał się w miejscu, w którym nurt był bardzo słaby.

— Tu zarzucimy kotwicę — zdecydował Izam.

Alkuin wykorzystał chwilę spokoju, by zająć się rannymi, ale nie dysponując żadnymi maściami, ograniczył się do oczyszczenia ran i obandażowania kontuzjowanych kończyn. Za jego plecami rozległ się słaby głosik.

— Mogę wam pomóc?

Alkuin spojrział na Theresę z zaniepokojeniem. Przytaknął z poważną miną, a dziewczyna od razu przy nim ukłękła. Kiedy opatrzyli już wszystkich rannych, odeszła na bok, by pomodlić się za tych, którzy zginęli. Hoos podszedł do Alkuina z kawałkiem chleba w ręce.

— Weźcie i posilcie się nieco — zaproponował.

— Nie jestem głodny. Dziękuję.

— Alkuinie, na miłość boską. Przecież sami widzieliście. Statek już płynął, a ci nieszczęśnicy utknęli. Nic nie można było zrobić.

— Bylibyście innego zdania, gdybyście to wy tam utknęli — odparł z wściekłością.

— Przejrzyjcie na oczy. Może nie jestem kimś, z kim można spędzić wieczór poetycki, ale uratowałem wam życie.

Alkuin skinął głową i odszedł zirytowany.

Ledwie zaczęło świtać, jeden z wioślarzy spuścił się za burtę, by ocenić szkody. Po chwili wspiął się na pokład. Jego mina nie zwiastowała niczego dobrego.

— Kadłub jest zniszczony — powiedział, gdy go osuszano. — Tu nie zdołamy go naprawić.

Izam pokręcił głową. Mógłby przybić do brzegu, by zaopatrzyć się w drewno, ale to wiązało się z niepotrzebnym ryzykiem.

— Będziemy płynąć dalej, dopóki statek wytrzyma.

Plusk poruszanej wiosłami wody obudził Alkuina. Obok spał Flawiusz na wpół okryty derką oraz Theresa zwinięta przy sakwie swego ojca. Alkuin postanowił ich obudzić, żeby nie przemarzli. Kiedy Flawiusz przecierał oczy, Theresa rozlała wino i ukroiła pajdę chleba.

— Rozdzielono racje żywności — powiedziała. — Najwyraźniej w trakcie ataku straciliśmy prowiant.

— Boli mnie noga — zaczął narzekać Flawiusz.

Alkuin odwinął mu sutannę. Na szczęście Rzymianin był otyłym człowiekiem i strzała utkwiała niemal na całej swej długości w tłuszczu.

— Dobrze by było ją wyrwać.

— Nogę? — spytał przestraszony Flawiusz.

— Nie, na Boga. Strzałę.

— Lepiej poczekajmy, aż znajdziemy się w Wurzburgu.

— Jak wolicie. Wobec tego skosztujcie tego sera.

Flawiusz ugryzł kawałek. Nagle Alkuin złapał strzałę i wyciągnął ją jednym ruchem. Krzyk Flawiusza odbił się echem w górach. Alkuin wylał na ranę trochę wina, po czym zakrył ją przygotowanymi wcześniej opatrunkami.

— Przekłęty czeladnik chirurga...

— Ta rana mogła się źle goić — odparł ze spokojem Alkuin. — A teraz wstańcie i zróbcie kilka kroków.

Flawiusz niechętnie usłuchał, ale już po chwili krążył wśród tobołków, pociągając nogami, jakby były skute łańcuchem. Zauważył na pokładzie strugę wody tuż obok należącej do niego skrzyni, która już nieco zawilgotniała. Krzyknął niczym niewiasta i z pomocą Alkuina przesunął skrzynię w nieco wyżej położone miejsce.

— Sądząc po waszej minie, musi zawierać coś niezwykle ważnego — powiedział Alkuin, klepiąc skrzynię.

— Lignum crucis... relikwię, która ze mną podróżuje — wyjaśnił zmartwiony Flawiusz.

— Lignum crucis? Drzewo Krzyża z Golgoty? Relikwię przechowywaną w Palatium Sessorianum?

— Widzę, że wiecie, o czym mówię.

— Otóż tak, choć w istocie jestem dość sceptyczny.

— Jak to? Czyżbyście insynuowali...

— Nie, na Boga. Wybaczcie mi — przerwał mu gwałtownie. — Oczywiście wierzę w autentyczność lignum crucis, podobnie jak broń cudownych

właściwości ciał Gerwazego i Protazego czy płaszcz świętego Marcina z Tours. Ale zgodzicie się ze mną, że w wielu opactwach czy biskupstwach znajdowano przypadkiem przeróżne kosteczki.

— Breve confinium veratis et falsi. Nie będę wchodził w dysputy na temat autentyczności relikwii, które mają się przyczynić do przyciągnięcia dusz do Królestwa Niebieskiego.

— Nie wiem. Jeśli chodzi o sprawy Boga, może powinniśmy bardziej polegać na jego przykazaniach.

— Zauważam u was talent do polemik. — Flawiusz wytarł skrzynię wilgotną szmatką. — Wybitny talent kogoś, kto nie szczędzi śliny, nie rozumiejąc, dlaczego wdaje się w rozważania. Czyżbyście przypadkiem znali prawdziwą moc relikwii? Jesteście w stanie rozpoznać Włócznię Longinusa, Święty Całun albo krew męczennika?

— Znam tę klasyfikację, ale tak czy inaczej raz jeszcze proszę was o wybaczenie. Nie zamierzałem kwestionować...

— Zatem skoro nie zamierzaliście, to tego nie czyńcie — odparł Flawiusz wzburzonym głosem.

— Przykro mi, wasza przewielebność — powiedział zmieszany Alkuin. — Ale wcześniej, jeśli wolno, pozwólcie, że zadam ostatnie pytanie.

Flawiusz spojrzał na niego niechętnie.

— Mówcie, o co chodzi — zezwolił.

— Po co wieziecie relikwie do Wurzburga?

Prąłat zastanawiał się nad odpowiedzią, ale wreszcie odparł:

— Jak wam wiadomo, Karol Wielki od lat usiłuje ujarzmić pogan z Abodrii, Panoi i Bawarii. Jednakże mimo ciągłych kampanii wojskowych i przykładnych kar, Bóg nie zagościł w ich skrytych duszach. Paganie to ludzie nieokrzescani, przywiązani do politeizmu, herezji, konkubinatu... Wobec nich konieczne jest użycie siły, broni, choć czasem i to nie wystarcza.

— Mówcie dalej. — Alkuin nie był pewien, czy jest tego samego zdania.

— Przekłęta rana — przerwał, aby poprawić opatrunek. — Zatem osiem lat temu na prośbę papieża Karol Wielki przybył do Italii wraz ze swą armią. Jak być może wam wiadomo, Longobardowie, nieusatysfakcjonowani panowaniem nad dawnymi księstwami bizantyjskimi, napadli na miasta Faenza i Comacchio, dokonali oblężenia Rawenny i podporządkowali sobie Urbino, Montefeltro i Senigalię.

— Mówicie o Dezyderiuszu, królu Longobardów.

— Królu? Na Boga, nie rozśmieszajcie mnie. Dezyderiusz, choć kazał nazywać się królem, jest wężem w ludzkiej postaci. Królem perfidii. Taki tytuł powinien nosić.

— Ale czyż jedna z córek Dezyderiusza nie zawarła małżeństwa z samym Karolem Wielkim?

— W istocie. I czy można popełnić większe wiarołomstwo? Lon-gobardczyk postarał się o to, by poprzez małżeństwo z jego córką zostać powinowatym Karola Wielkiego, by następnie, mając się za bezkarnego, zaatakować posiadłości Watykanu. Jednak papież Hadrian przekonał Karola Wielkiego, że jego zaangażowanie jest konieczne, a on, pokonawszy ze swym wojskiem Wielką Przełęcz Świętego Bernarda, otoczył zdrajcę w jego kryjówce w Pawii.

— Bez wątplenia czyn godzien dobrego chrześcijanina.

— Po części tak, choć nie dajcie się nabrać. W interesie Karola Wielkiego leżało powstrzymanie żądy ekspansji zarówno króla lon-gobardzkiego, jak i samego papieża. Przecież po spodziewanym zwycięstwie Karol Wielki nie tylko zwróciłby papieżowi zajęte tereny zgodnie z *liber pontificalis*, ale również sam miałby z tego korzyść, obejmując księstwa Longobardów: Spoleto i Benevento.

— To bardzo interesujące. Mówcie dalej, proszę. Theresa uważnie słuchała.

— Resztę znacie. Dezyderiusz zamknął się w Pawii, zmuszając Karola Wielkiego do rozpoczęcia oblężenia. Jednak po trzech miesiącach wojska Karola zaczęły się niecierpliwić. Martwili się chyba o swoje zbiory, a do tego doszła jeszcze wiadomość o nowym buncie na ziemiach saskich. Tymczasem Dezyderiusz okopał się w kryjówce w oczekiwaniu na dalszy rozwój wydarzeń. W tej sytuacji Karol Wielki zaczął planować odstąpienie od oblężenia.

— Ale jednak zwyciężył — wtrąciła Theresa, dumna z tego, że zna historię.

— Tak jest, choć nie dzięki swej armii. Gdy tylko papież Hadrian dowiedział się o tym, nakazał przeniesienie *lignum crucis*, które dotąd przechowywano w rzymskiej bazylice Świętego Krzyża w Jerozolimie, do obozu Karola Wielkiego. W tym samym tygodniu, w którym relikwia znalazła się w obozie, jakaś nagła epidemia zaczęła dziesiątkować Longobardów. Dezyderiusz się poddał, a Karol Wielki przejął Pawie, nie przelawszy ani jednej kropli krwi.

— I teraz Karol Wielki zamierza wykorzystać właściwości *lignum crucis* w walce z Sasami.

— W istocie. Monarcha zwrócił się z prośbą do papieża, który bez wahania wysłał relikwię. A teraz Karol Wielki, znajdując się już w posiadaniu relikwii, pragnie złożyć ją w bezpiecznym mieście.

— To ciekawe — powiedział Alkuin. — Błagam, wybaczcie mój brak dyskrecji, ale skoro jesteście strażnikiem tak cennej relikwii, dlaczego podjęliście podróż tyle niebezpieczną co zbędną? Mogliście poczekać w Aquis-Granum, aż Karol Wielki rozpocznie kolejną kampanię.

— I zostawić mieszkańców Wurzburga na łasce losu? Nie wiem jak wy, ale ja nie uważam, by takie postępowanie było miłosierne i chrześcijańskie.

— Jeśli tak na to spojrzeć, to macie rację. A skoro o tym mowa, czy nie powinniście otworzyć skrzyni i sprawdzić, w jakim stanie znajduje się relikwia? — spytał Alkuin i zaczął już unosić wieko.

Flawiusz rzucił się na skrzynię i gwałtownie ją zamknął.

— Nie sędzę, by było to konieczne — powiedział pospiesznie. —

Skrzynia jest wyłożona natłuszczoną skórą. Poza tym lignum crucis podróżuje w ołowianym kufereku, który stanowi zarazem relikwiarz.

— Ach! Świetnie. Zatem nie mamy powodu do zmartwienia. Zwłaszcza jeśli kuferek, o którym mówicie, jest spory i ma grube ścianki.

— Tak jest, a teraz, jeśli pozwolicie, chciałbym chwilę odpocząć. Alkuin przyglądał się Flawiuszowi, który ułożył się, opierając wygodnie o skrzynię. Zastanawiał się, czyjego gwałtowne zachowanie nie wynikało z braku snu, ale nadal nie mógł pojąć, w jaki sposób tak lekka skrzynia miałaby zawierać w swym wnętrzu kuferek z ciężkiego ołowiu.

* * *

Po południu woda zalewała ładownię tak szybko, że wioślarze nie nadążali z jej wylewaniem. Izam natychmiast rozkazał przybić do brzegu. Po rozstawieniu straży podzielił swoich ludzi na dwie grupy: jedni mieli pilnować statku, a drudzy go rozładować. Potem podszedł do Flawiusza i Alkuina, by spytać o stan rzymskiego prałata.

— Zostaniemy tu jakieś cztery godziny. Tyle wystarczy, by naprawić statek — poinformował ich. — Co z waszą raną?

— Nadal boli — odparł Flawiusz.

— Jeśli chcecie, możecie poczekać na pokładzie. Nas czeka praca na lądzie.

— Ja zejść — oświadczył Alkuin. — A wy również powinniście tak zrobić — zwrócił się do Flawiusza. — Tej nodze dobrze by zrobiło, gdybyście trochę nią poruszali.

— Wolę poczekać — odparł Flawiusz budzącym litość głosem. Theresa dołączyła do grupy, bo potrzebowała kilku chwil intymności, co na pokładzie nie było możliwe. Kiedy zeszli już na ląd, Izam wyznaczył jednych do naprawy, a innych do trzymania straży. Ci pierwsi załatali kadłub deskami zdjętymi z pokładu statku i uszczelnili go smołą. Pozostali ustawili się wokół na wypadek kolejnego ataku. Theresa skorzystała z okazji i odeszła kawałek dalej za potrzebą, czego nie czyniła od czasu, gdy wypłynęli z Frankfurtu. Siedziała jeszcze w kucki, gdy przeszkodził jej Hoos. Poderwała się zawstydzona, ale on, na nic nie zważając, usiłował ją objąć. Theresa go zbeształa. Jednak Hoos nalegał, ona zaś próbowała zatuszować zajście niezbyt mądrym uśmiechem. Kiedy go od siebie odsunęła, pchnął ją bez najmniejszych skrępowań. Nagle zjawił się Izam.

— Strażnicy cię wzywają — rozkazał sucho Hoosowi.

Ten spojrział na niego z ukosa i niechętnie wykonał polecenie, choć wcześniej skradł jeszcze Theresie jednego całusa, równocześnie klepiąc ją po pupie. Kiedy poszedł, wyraźnie zirytowana Theresa zaczęła poprawiać suknię. Izam podał jej broszkę, która spadła na ziemię, za co mu podziękowała. Potem przeprosiła za zachowanie Hoosa, tak jakby to ona była za nie odpowiedzialna.

Szli przez chwilę w milczeniu, aż Theresa spostrzegła, że Izam jest dość niespokojny.

— Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale ty stąd nie pochodzisz, prawda? — spytała Theresa.

— Nie. Urodziłem się w Padwie. Jestem Włochem. Theresa ucieszyła się, że Izam wreszcie się do niej odezwał.

— Uwierzysz mi, jeśli ci powiem, że tak podejrzewałam? — zażartowała. — Poznałam pewne rzymskie mniszki, które pielgrzymowały do Konstantynopola. Ich łacina była podobna do twojej, choć akcent był mniej wyraźny. Ja się tam urodziłam, wiedziałeś o tym?

— W Konstantynopolu? Proszę, proszę! Na świętego Januarego, toż to piękne miasto!

— Znasz je? Nie do wiary! — zawołała zdziwiona Theresa.

— O tak. Spędziłem tam kilka lat. Moi rodzice posłali mnie do Konstantynopola, abym nauczył się sztuki wojennej. Cudowne miasto do nauki, handlu i miłości, choć nie tak dobre, jeśli ktoś szuka odosobnienia. Nigdy nie znałem równie rozmownych ludzi.

— To prawda — zaśmiała się. — Mówią, że Bizantyjczyk potrafi gadać przez wiele godzin, nawet po śmierci. Ty nie lubisz miłych rozmów?

— Nie wiem, co odpowiedzieć. Na palcach jednej ręki mógłbym policzyć, ile razy jakaś konwersacja mnie wzbogaciła.

— Wybacz. Nie chciałam cię męczyć. — Theresa zaczerwieniła się,

— Nie. Nie miałem na myśli ciebie — zaczął się pospiesznie tłumaczyć. — A ty? Co robisz? To znaczy we Frankonii, a teraz tutaj, z nami, na statku.

Theresa przyjrzała mu się. Na głowie miał czapkę z bobrowego futra, która podkreślała zieleń jego oczu. Zdziwiła się, że tak mu się przygląda, zamiast odpowiedzieć na pytanie, i w końcu wydukała kilka słów. Celowo ominęła temat Wurzburga i statku, skupiając się na swym dzieciństwie i ucieczce z Konstantynopola. Spoglądała na prawo i lewo jak osaczone zwierzę.

— Burzliwe życie — stwierdził na koniec Izam.

Nagle rzucił się na nią i gwałtownie obalił ją na ziemię. Theresa nie zdążyła nawet krzyknąć. Usłyszała tylko rój przelatujących obok ze świstem strzał i poczuła uderzenie w skroń. Izam podniósł alarm. Wokół jego ludzie padali rażeni strzałami. Młodzieniec wyprostował się, na ile mógł, i napiął łuk, ale kolejna chmara strzał zmusiła go do ukrycia się. Zauważył, że przy upadku Theresa uderzyła się w głowę i zemdląca. Wokół rozlegały się krzyki bólu.

Wówczas Izam poprosił swych ludzi, by go osłaniali. Na jego znak wszyscy wystrzelili, on zaś złapał Theresę w ramiona i pobiegł jak obłąkany w stronę statku. Z pomocą Alkuina i Flawiusza wniósł dziewczynę na pokład. Pozostali ratowali się, jak mogli. Wszyscy rzucili się do wiosł i statek zaczął płynąć niczym poraniony gigant. Wreszcie nabrał rozpędu i wypłynął na rzekę pod gradem padających strzał.

ROZDZIAŁ 24

Dzięki sile wiosel sponiewierany statek dopłynął do portu w Wiirz-burgu, obrócił się ciężko bokiem, kilkakrotnie zakołysał, po czym osiadł na mieliźnie. Natychmiast gromada wieśniaków rzuciła się do wody, by pomóc przy rozładunku.

Izam stanął na dziobie, skąd kierował operacją cumowania, a reszta załogi skakała do wody i popychała rufę, by oswobodzić zaklinowany kadłub. Kiedy wreszcie statek dopłynął do przystani, okrzyki radości stłumiły dźwięk dzwonów, którymi kościoły Wurzburga witały przybyszów.

Powoli strumień ludzi, którzy przybywali na przystań, zamienił się w powódź nieszczęśników gotowych zabić za kawałek chleba. Ludzie bili się na brzegu, walcząc o lepsze miejsce, dzieci wspinały na drzewa, a starcy zadawali się złorzeczeniem na tych, którzy wypychali ich z pozajmowanych miejsc. Niektórzy śpiewali z radości, a większość dziękowała niebiosom. Wyglądało to tak, jakby nagle dni głodu i nędzy wyparowały bez śladu.

Jakiś chłopak zbliżył się zbyt blisko do prowiantu i dostał kopniaka od członka załogi. Inny trochę od niego młodszy zaczął się śmiać i dostał kamieniem od tego pierwszego. Wkrótce zjawili się żołnierze Wilfreda. Jakiś wieśniak ich złajał i musiał uciekać. Reszta mieszkańców odsunęła się, robiąc przejście dla żołnierzy.

Ludzie Wilfreda bez ceregieli usunęli wozy z przejścia. Kiedy doszli do przystani, ustawili łuczników, którzy mieli strzec przejścia między statkiem a wozami przeznaczonymi do transportu. Potem zjawił się Wilfred na swoim wózku, a przed nim jego psy.

— Słuchajcie uważnie, zgrajo głodujących! — zawołał do zebranych. — Pierwszy, który dotknie ziarna, będzie ukarany. Prowiant zostanie przeniesiony do królewskich spichlerzy, poddany inspekcji, a po inwentaryzacji rozdzielony. Zatem odsuniecie się i pozwólcie tym ludziom wykonywać ich pracę.

Słowa hrabiego dodały niektórym otuchy, ale wkrótce, gdy pierwszy wór został zdjęty z pokładu, nastroje opadły.

Wilfred popędził psy. Wózek zaczął się toczyć, a ludzie odsunęli się jeszcze bardziej, jakby ten kaleka samym spojrzeniem mógł decydować o losie zebranych.

* * *

Gdy Wilfred znalazł się przy trapie, rozkazał dwóm ludziom, by przenieśli go na pokład, co ci czym prędzej uczynili. Przywitał się z Alkuinem i

Flawiuszem, wysłuchał, co wydarzyło się w trakcie podróży, rzucił okiem na zapasy żywności i zerknął na rannych, każąc sługom, by się nimi zajęli. Izam zwlekał z podejściem do niego. Nie wiedział, że hrabia Wurzburga jest kaleką.

— Nareszcie Wurzburg. Deum gratia — powiedział Alkuin i dotknął ręką czoła Theresy. Dziewczyna jeszcze nie odzyskała świadomości.

— Nadal bez zmian? — spytał diakon Flawiusz.

— Obawiam się, że tak. Zniesiemy ją na ląd. Przypuszczam, że czeka na nią rodzina.

— To ona jest z Wurzburga?

— Jest córką skryby z Bizancjum, Gorgiasa.

W tym momencie jeden z wieśniaków, który pomagał przy rozładunku, spojrzawszy na nich osłupiał i zaczął drżeć jak osika. Worek, który przynosił, wysunął mu się z rąk tak pechowo, że wpadł prosto do wody.

— Przeklęty niezguła! — zawołał Wilfred. — To ziarno jest warte więcej niż twoje życie.

Wówczas chłop padł na kolana i się przeżegnał. Potem z przerażoną miną wskazał miejsce, w którym stali mnisi.

— Niech Bóg ma nas w swojej opiece! Córka skryby! Nieboszczka zmartwychwstała!

* * *

Nawet wówczas, gdy krowa pani Volz urodziła dwugłowego cielaka, mieszkańcy Wurzburga nie byli aż tak poruszeni. Wtedy ludzie mówili o interwencji szatana, a niektórzy nawet usiłowali podpalić gospodynię wraz z dwugłowym potworkiem. Ale zmartwychwstanie było czymś, czego nie wymyśliłby nawet najbardziej zagorzały wierny.

Wiadomość o cudzie szerzyła się jak zaraza. Szepty zamieniły się w pomruki, a po nich wybuchła wrzawa niosąca wieść aż do najdalszych zakątków miasta. Najwięksi śmiałkowie zgromadzili się przy statku, by zobaczyć, o czym mowa, a kobiety i mężczyźni przepychali się, walcząc o najlepsze miejsce przy trapie.

Zamieszanie zaniepokoiło Alkuina.

Wciąż jeszcze zastanawiał się, jaki może być powód takiego poruszenia, gdy rozgorączkowany tłum, żądny widoku zmartwychwstałej dziewczyny, zapominając o dowiezionych zapasach, zaczął wdrapywać się na statek. Wilfred rozstawił swych ludzi, ale tłum na nich nie zważał. Zupełnie jakby zbiorowe szaleństwo zamieniło tych chłopów w sforę opętańców. Na rozkaz hrabiego jeden z łuczników napiął łuk i wystrzelił. Chłop, który stał najbliżej,

zachwiał się, po czym wypadł za pokład przebity strzałą. Pozostali cofnęli się. Gdy wystrzelono drugą strzałę, wszyscy opuścili statek.

Wilfred był równie zaskoczony jak zdezorientowany, nakazał więc, by zaniecono go do dziewczyny, aby osobiście sprawdzić jej tożsamość. Z początku jej nie poznał, ale gdy znalazł się bliżej, otworzył szeroko oczy, jakby zobaczył samego diabła. Nie było wątpliwości. Była to Theresa, córka skryby.

Próbował się przeżegnać, ale nerwy odmówiły mu posłuszeństwa. Kiedy wreszcie się uspokoił, Alkuin szepnął, że należałoby przenieść dziewczynę na ląd, na co Wilfred się zgodził. Hoos i Alkuin wspólnymi siłami sklecili nosze, na których ułożyli Theresę. Potem Wilfred poprosił, by przeniesiono go na jego wózek, kazał poszerzyć przejście i ruszyli razem do zamku. W miarę jak posuwali się naprzód, ludzie klękali, dziękując Bogu za dokonany cud. Niektórzy starali się dotknąć przywróconej do życia dziewczyny, a inni modlili się, by to zjawisko nie okazało się dziełem szatana. Procesja posuwała się uliczkami osady w kierunku fortecy Wilfreda. Kiedy już tam doszli, tłum obiegł mury.

Grupa niedowiarków z pergamenariuszem Kornem na czele ruszyła na cmentarz, by ekshumować zwłoki Theresy. Nie wiedzieli, gdzie dokładnie została pochowana, więc rozkopali wszystkie świeże groby, ale jej ciała nie znaleźli. Kiedy przekonali się, że nie ma nawet grobu, wrócili do fortecy, domagając się uczestnictwa w debacie, którą rozpoczęli Izam, Flawiusz, Alkuin i sam hrabia. Do tego czasu Wilfred zdążył już szczegółowo opowiedzieć Alkuinowi o pożarze. Powiedział mu również, że Korne obsesyjnie pragnie pomścić przypadkową śmierć syna. Alkuin, nie dzieląc się z nikim swoimi przemyśleniami, uknuł plan, by ochronić Theresę.

Po pewnym czasie Wilfred zgodził się na obecność Kornego w nadziei, że dzięki temu uniknie wrzawy na zewnątrz. Pergamenariusz zażądał, by pokazano mu zmartwychwstałą, ale Alkuin się sprzeciwił. Mnich tłumaczył, że Theresa jest nieprzytomna i że w tej sytuacji on sam gotów jest odpowiedzieć na wszelkie pytania. Wyjaśnił, jaka jest natura jego relacji z dziewczyną, obiecał wytłumaczyć ten cud.

Wilfred nerwowo stukał palcami. Potem trzasnął batem, a psy pociągnęły wózek do jednego z okien. Wilfred wyjrzał przez nie i przez chwilę przyglądał się zebranym tłumom. Alkuin go obserwował. Dziwiło go, że kaleka jest w stanie poruszać się za pomocą tych dwu psiaków. Potem spostrzegł, że wszyscy patrzą na niego w oczekiwaniu wyjaśnienia.

— Po pierwsze, należy sprawdzić, czy ta dziewczyna rzeczywiście jest córką skryby — powiedział. — Wiem, że tu obecni ją rozpoznali, ale czy widział ją ktoś z jej rodziny? Albo czy ona sama potwierdziła swoją tożsamość?

— Na miłość boską! Bądźcie rozsądni — przerwał mu nagle Korne. — Co może potwierdzić dziewczyna, skoro nadal jest nieprzytomna. Trzeba by poczekać, aż jej macocha się uspokoi. Może ona nam coś wyjaśni.

— A jej ojciec skryba? — spytał Alkuin.

— Zniknął dwa miesiące temu. Jeszcze go nie znaleźliśmy. Zapadła długa cisza. Nagle do sali wszedł Zenon.

— W jakim jest stanie? — spytał Izam medyka.

— Skostniała jak sople lodu, ale ciepło kominka wkrótce ją rozgrzeje.

Izam spojrział na palenisko. Zwykle w domach frankońskich było tylko jedno palenisko wykopane w ziemi. Jednak w tej budowli skonstruowano rodzaj pieca wbudowanego w ścianę jednej z komnat.

Korne zakaszał. Nikt nie miał odwagi stawić czoła sprawie zmarłych.

Alkuin wstał z miejsca. Jego wydłużony cień padł na pergamena-riusa.

— Proszę was o zachowanie jasności umysłów. Jedynym niepodważalnym faktem jest to, że dziewczyna żyje. A to, czy zginęła w wypadku, czy nie, chcemy właśnie zbadać. Pamiętajcie, że po tym nieszczęściu jej rodzice rozpoznali zwłoki.

— Zwłoki zwęglone, nie do rozpoznania. Zenon może to poświadczyć.

Alkuin spojrział na Zenona, ale lekarz upił łyk wina i odwrócił wzrok. Wówczas Alkuin wydobyl ze swych bagaży Wulgatę, otworzył ją kościstymi palcami i przesunął nimi po tekście, jakby go czytał. Potem zamknął księgę, podniósł wzrok i wbił oczy w Kornego.

— Nim rozpoczęła się ta dysputa, udałem się do kapliczki w fortecy, gdzie prosiłem Boga, by zechciał mnie oświecić. Gdy dotknąłem relikwii Santa Croce i pomodliłem się, nagle doznałem wizji. Przede mną z ciemności wyłonił się anioł. Z jego szyi wyrastała promieniejąca aureola, która otaczała długie i nieskalane włosy. Unosił się w powietrzu lekko niczym łabędź na jeziorze, a z jego oczu emanował wiekuisty Pokój Wszchemogącego. Ten herold ukazał mi ciało Theresy pochłonięte przez płomień, a z drugiej strony ciało bez skazy ukształtowane przez wir oślepiającego światła, które rosło i lśniło, aż wreszcie utworzyło nową Theresę, żywą i bezgrzeszną.

— Inna Theresa? Sugerujecie, że to nie ta sama? — spytał wystraszony Wilfred.

— I tak, i nie. Wyobraźcie sobie przez chwilę małą gąsienicę. Wyobraźcie sobie gąsienicę niedoskonałości, która porzuca kokon grzechu, by przekształcić się w motyla cnoty. Gąsienica i motyl to ta sama istota, ale ciało pierwszej leży wyniszczone, druga zaś, nowa, lecz ponownie narodzona z pierwszej, wznosi się ku niebu. Z pewnością Theresa zginęła. Być może źle postąpiła i dlatego jej ciało strawiły płomienie. Ale czasem Bóg w swej nieskończonej mądrości ukazuje nam drogę zbawienia, ofiarowując łaskę cudu. Cud dobroci, aby pokazać drogę skruchy. — Spojrzał na Wilfreda surowo. — Stwórca mógłby się odwrócić, pozwolić, by dusza Theresy pozostała w Acheronie, Phelgethonie i Kokotosie Greków, aby zmyła swe winy w miejscu, w którym Pan zmywa nieczystości z cór Syjonu. Lecz czemu by to służyło, gdyby nikt z nas nie wiedział o jej mękach?

Wilfred i Flawiusz słuchali jak zaczarowani, niemal wstrzymując oddech, i tak minęło dobrych kilka sekund, nim zorientowali się, że Alkuin skończył. Jednak ogłupiały Korne mrugał oczami. Choć nie rozumiał słów Alkuina, było mu wszystko jedno, czy Bóg w tym uczestniczył, czy też nie: i tak nie zamierzał przyznać, że to cud.

— I cóż to za dowód? Diabeł też mógł przywrócić jej życie — wycedził.

Alkuin westchnął triumfalnie. Wreszcie zdołał doprowadzić do tego, że Korne dopuścił się herezji. Teraz z łatwością odwróci jego uwagę, oskarżając go o bluźnierstwo.

— Czyżbyście negowali boską interwencję? — podniósł głos. — Macie czelność bluźnić przeciw Bogu? Porównujecie jego nieskończoną moc z diabelską podłością? Uklęknijcie, bluźnierco! Pokażcie swą skruchę i przyjmijcie zamiary Pana albo przygotujcie się, by natychmiast poddać się katuszom.

Alkuin wyrwał szpadę Izamowi i oparł jej ostrze o szyję Kornego.

— Przysięgnijcie przed Bogiem! — zażądał, podając mu Biblię. — Przysięgnijcie przed Bogiem, że wyrzekacie się diabła!

Na czole Kornego pojawiły się krople potu, gdy wypowiadał słowa przysięgi. Potem wstał i wyszedł, zagryzając wargi.

* * *

Kiedy zostali sami, Flawiusz począł czynić wyrzuty Alkuinowi. To on, Flawiusz, był wysłannikiem papieskim i jedynym uprawnionym do osądzenia boskiej interwencji.

— Przykro mi, że muszę wam to powiedzieć, ale sędzę, żeście się pospieszyli. Czasem zadziwiające zdarzenia biorą się z całkiem błahych okoliczności. Zenon przyznaje, że zwłoki nieboszczki nie były rozpoznawalne.

— Posłuchajcie, Flawiuszu: Zenon nie rozpoznałby nawet własnej matki — odparł Alkuin, wskazując na szósty z rzędu kieliszek, który opróżnił medyk.

— Ale, do licha! Mogliście przynajmniej poczekać, aż Theresa się obudzi i opowie nam, co się wydarzyło. Zapewniam was, że jeśli cud naprawdę się wydarzył, ja pierwszy bym to uczcił.

— Przecież słyszeliście, jak Wilfred mówił, że Kome to niedobry człowiek, gotów za wszelką cenę pozbyć się z Theresy. Dziewczyna była w niebezpieczeństwie, a zatem skoro cud mógł pomóc mi ją uratować, czemu nie miałem wyjść mu naprzeciw?

— Co mówicie? A więc sami żeście to wymyślili? Nie mieliście tej wizji?

— Nie. Nie miałem.

— Na Boga świętego! I nie przyszło wam do głowy nic innego jak wymyślanie cudu?

— Posłuchajcie, Flawiuszu, po tym, co się wtedy zdarzyło, fakt, że dziewczyna żyje, jest takim samym cudem jak wówczas, gdyby zmartwychwstała. Poza tym Bóg pomaga nam na wiele sposobów. Wam poprzez wasze relikwie, a mnie moimi wizjami — oznajmił.

W tym momencie do sali weszła nieco rozczochrana służąca. Była wystraszona.

— Dziewczyna się obudziła — oświadczyła.

Czym prędzej pobiegli do komnaty, w której leżała Theresa. Alkuin zauważył, że jej twarz pokrywają krople potu. Odrzucił koce, którymi była przykryta, i poprosił, by przysunięto bliżej świecę. Potem zwilżył szmatkę w letniej wodzie i delikatnie obmył twarz dziewczyny. Następnie, tak jak zwykł czynić z uczniami, którzy zimą spali bez dachu nad głową, roztarł jej ręce, masując zwłaszcza przeguby. Powoli jej policzki zaczęły się różowić, powieki poruszyły się i po kilku chwilach niepewności zaczęły unosić, ukazując zaczerwienione oczy. Potem tęczęwki rozświetliły się pięknym karmelowym odcieniem. Alkuin uśmiechnął się i pozdrowił dziewczynę, uczyniwszy wcześniej na jej czole znak krzyża. Potem pomógł jej się unieść, wsuwając pod głowę poduszkę.

— Thereso... — szepnął Alkuin.

Dziewczyna słabo przytaknęła. Przed sobą widziała kościstą sylwetkę jakiegoś bardzo spokojnego mężczyzny.

— Witaj w domu — powiedział mnich.

* * *

Choć Alkuin starał się jej wytłumaczyć, co się wydarzyło, Theresa nie mogła go zrozumieć. Bolała ją głowa, jakby kopnął ją koń, a cała ta historia z cudem była tak poplątana, że sprawiała wrażenie jakby żywcem wziętej ze snu jakiegoś wariata. Wstała i poprosiła o trochę wody. Potem, kiedy kolejny raz wysłuchiwała całej historii, spojrzała na Alkuina, jakby był kimś obcym. W tym momencie zjawił się Wilfred. Alkuin szepnął Theresie, by zachowywała się zgodnie z jego wskazówkami.

— Thereso, poznajesz mnie? — spytał hrabia, zadowolony, że dziewczyna się przebudziła.

Theresa spojrzała na psy i skinęła głową.

— Bóg cieszy się z twojego powrotu, a my oczywiście wraz z Nim. To były dni pełne smutku, ale nie musisz już się martwić. Wkrótce wszystko będzie jak dawniej.

Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało. Wilfred w odpowiedzi posłał jej wymuszony uśmiech.

— Chciałbym, abyś spróbowała sobie coś przypomnieć. Pamiętasz, co dokładnie wydarzyło się w trakcie pożaru?

Theresa spojrzała na Alkuina, jakby prosiła o zgodę. Mnich udał, że tego nie widzi, więc Theresa niewyraźnie przytaknęła.

— Wobec tego przypuszczam, że zechcesz nam o tym opowiedzieć. — Wilfred nachylił się nad dziewczyną. — Czy widziałaś Zbawiciela? Czułaś Jego obecność? Nie bój się odpowiedzieć. To On zwrócił nam ciebie.

Theresa była zaskoczona tymi pytaniami. Alkuin podszedł bliżej.

— Może powinna odpocząć. Teraz wszystko jej się miesza w głowie. Uderzyła się i niewiele pamięta — oświadczył.

— Dobrze, dobrze... To normalne. Ale jak dojdzie do siebie, wezwijcie mnie. Pamiętajcie, że to ja pochowałem jej spalone ciało.

Wilfred niespiesznie się pożegnał, po czym zaczął się wycofywać z komnaty. Tymczasem Alkuin podziwiał fotel na kółkach, którym poruszał się hrabia. Wilfred powoził tym wózkiem ciągniętym przez psy z wielką wprawą, z łatwością pokonując progi i obluzowane płyty kamienne, które napotykał po drodze. Alkuin zauważył, że w dolnej części tego wózka mieścił się nocnik służący hrabiemu w chwilach, gdy musiał załatwić potrzebę. Zręczność, z jaką kierował psami, wskazywała na to, że hrabia od wielu już lat posługuje się tym pojazdem.

Alkuin odwrócił się w stronę Theresy. Dziewczyna spoglądała na niego ze zdziwioną miną.

— Sama zobaczysz. — Usiadł u jej boku. — Zamiary Pana wytyczają dziwne ścieżki: wyboiste drogi, które czasem wprawiają głupców w zmieszanie, ale nie kogoś, kto poświęcił życie Jego naukom. Najwyraźniej twoja godzina jeszcze nie nadeszła. Może dlatego, że nie zasłużyłaś jeszcze na Królestwo Niebieskie, co nie oznacza, że nie możesz go osiągnąć.

Theresa coraz bardziej się w tym wszystkim gubiła. Nie rozumiała, co się dzieje ani dlaczego wszyscy upierają się przy tym, że zmartwychwstała.

— A moi rodzice? — spytała.

— Twoja macocha czeka w sieni. Wkrótce ją zobaczysz. Theresa uniosła się. Dudniło jej głowie.

Poznała komnatę, w której się znajdowała. Kiedyś przyszła tu spotkać się ze swym ojcem, ale nigdy to miejsce nie wydawało jej się tak zimne i opuszczone. Alkuin pomógł jej się podnieść.

Kiedy już usiadła, dotknęła delikatnie głowy. Wyczuła bolesny guz. Alkuin wyjaśnił, że uderzyła się o skałę podczas potyczki z bandytami. Kiedy Theresa przypominała sobie to wydarzenie, spytała o Izama i Hoosa, a Alkuin uspokoił ją, że obaj są zajęci przy rozładunku.

— Chcę zobaczyć rodziców — ponowiła prośbę.

Alkuin powiedział, że musi zdobyć się na cierpliwość. Rutgarda wciąż jest oszołomiona, a Gorgiasa nie znaleziono. Theresa zaniepokoiła się, ale Alkuin ją uspokoił i obiecał, że porozmawia z Wilfredem i dowie się, co się stało. Jeśli chodzi o cud, to był zmuszony go wymyślić.

— Korne nie przyjąłby innego wytłumaczenia. Wiem, że popełniłem bluźnierstwo, ale w tamtej chwili nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

— Ale dlaczego cud?

— Ponieważ, jak powiedział Wilfred, znaleziono twoje spalone ciało.

— Moje ciało?

— Ciało, które wzięto za twoje i na którym najwyraźniej zachowały się kawałki błękitnej sukni, którą, jak mówił Gorgias, miałaś tego dnia na sobie.

— Mój Boże! Ta dziewczyna w łachmanach. — Przypominała sobie, że nic nie mogła zrobić, by ją uratować. — Próbowałam ochronić ją przed płomieniami i rzuciłam na nią moją wilgotną suknię... — wyjaśniła, po czym opowiedziała, co wydarzyło się w trakcie pożaru.

— Tak to sobie mniej więcej wyobrażałem. Jak zresztą każdy, kto ma choć trochę rozumu, tylko nie osobistości zamieszkujące w tej osadzie. Dlatego

uznałem, że te „osobistości” muszą dostrzec w twoim powrocie rękę boską. Miałem też na uwadze pergamenariusza Kornego, który pragnie pomścić śmierć syna. Na razie przysiągł, że będzie odnosić się do ciebie z szacunkiem, ale nie sądzę, by długo tak było.

W końcu Alkuin powiedział, że zaraz Rutgarda wejdzie do komnaty Theresy.

— I jeszcze jedno. — Spojrzał surowo na dziewczynę. — Jeśli miłe ci życie, z nikim nie rozmawiaj o cudzie.

RS

ROZDZIAŁ 25

Alkuin został ulokowany w celi w południowym skrzydle fortecy, niedaleko celi Izama i obok pokoju Flawiusza. Z okna miał widok na dolinę Menu, z łańcuchami górskimi Rhon w głębi. Na łąkach śnieg zaczynał topnieć, ale szczyty wciąż lśniły bielą, jakby pociągnięte pędzlem malarza. Zwrócił uwagę na dziwne formacje rozsiane tam, gdzie lasy stawały się rzadsze. Kiedy im się przyjrzał, dostrzegł mnóstwo otworów wykonanych w szaroburych kurhanach, które przypominały tunele kopalni. Ubierając się, zaczął się zastanawiać, czy wciąż są eksploatowane.

Zszedł na wieczerzę po nonie, by spotkać się z Wilfredem, którego zastał w zbrojowni w towarzystwie Theodora, olbrzyma, który służył mu jako siła pociągowa, gdy psy były zamykane. Hrabia ucieszył się na jego widok. Nie mógł się doczekać dalszych szczegółów dotyczących cudu, ale Alkuina interesował wyłącznie pergamin, który Wilfred miał sporządzić, więc czekał, aż olbrzym wyjdzie z komnaty. Lecz Theodor stał bez ruchu za fotelem, dopóki Wilfred nie wydał mu wyraźnego polecenia.

— Toż to istna góra w ubraniu! Nigdy nie widziałem tak wielkiego człowieka.

— I wiernego jak pies. Jedyne, czego nie robi, to nie macha ogonem. Ale powiedzcie mi, czy wasze pokoje są wygodne?

— Oczywiście. Widoki są wspaniałe.

— Kieliszek wina?

Alkuin odmówił i usiadł naprzeciw Wilfreda, czekając na stosowny moment.

— Zamykacie psy na noc? — spytał.

Wilfred wyjaśnił, że korzysta z nich tylko za dnia, na określonych trasach, gdzie nie ma schodów. Lubi też spacerować z nimi po uliczkach Wurzburga, zwłaszcza tych, które są w lepszym stanie.

— Czasem nawet odważam się ruszyć jedną z pobliskich ścieżek — zaśmiał się. — Powinniście zobaczyć, jak wspaniale rozumieją moje spojrzenie. Wiecie, że wystarczy jedno mrugnięcie, a moje psy natychmiast rzucą się na tego, kogo im wskażę.

— Z wózkiem przytroczonym do grzbietów?

— Powierzę wam pewien sekret — uśmiechnął się.

Wilfred uruchomił jakiś mechanizm wmontowany w jeden z podłokietników i sprężyny odskoczyły, otwierając metalowe pierścienie, do których przywiązywano psy.

— Bardzo zmyślne.

— Tak jest — potwierdził chętnie hrabia. — Sam kazałem to zainstalować. Najtrudniej było tak obrobić metalową taśmę na pierścienie, by działała jak sprężyna, ale nasz kowal potrafił nawet wykonać harfę, która sama gra. — Wilfred umocował pierścienie i napiął taśmę. — Ale zostawmy psy i pomówmy o Theresie. Sądzę, że nie ma teraz innego równie istotnego tematu.

Mówili o niebiańskim objawieniu, które Alkuin opowiedział raz jeszcze, dodając od czasu do czasu jakiś zmyślony szczegół. Kiedy skończył, Wilfred przytaknął zakłopotany. Wiele się nie zastanawiając, przyznał Alkuinowi rację i znów poczęstował go winem. Tym razem Alkuin przyjął zaproszenie. Kiedy opróżnił kielich, ponowił pytanie o pergamin.

— Jest niemal ukończony. Wkrótce będziecie mogli go zobaczyć — wyjaśnił Wilfred.

— Jeśli wolno, wolałbym zobaczyć go już teraz. Wilfred zakaszłał i pochylił głowę.

— Pomóżcie mi, proszę.

Alkuin stanął za wózkiem i pchnął go w stronę, którą wskazywał Wilfred. Kiedy znaleźli się przy komodzie, hrabia poprosił, by podał mu kuferek. Kuferek mógł mieć łokieć długości i pół łokcia szerokości.

Wilfred otworzył go, uniósł drugie dno i wyjął dokument, który podał Alkuinowi, zdradzając przy tym wyraźne oznaki zdenerwowania. Alkuin wziął go i przysunął do światła świecy.

— Ale to tylko szkic.

— Uprzedzałem was. Jeszcze nie jest skończony.

— Już to mówiliście, ale Karol Wielki nie przyjmie takiej odpowiedzi. Minęło wiele miesięcy. Dlaczego nie jest ukończony?

— Pergaminu starczyło tylko na dwie próby. To specjalny pergamin. Welin wyrabiany, jak wam wiadomo, ze skóry nienarodzonego cielaka.

— Wszyscy wiedzą, co to welin — wycedził Alkuin.

— Ten jest inny, pochodzi z Bizancjum. W każdym razie jedyna istniejąca kopia spłonęła w pożarze, więc Gorgias zaczął sporządzać drugą. Ale kilka tygodni temu skryba zniknął ze skryptorium wraz z dokumentem.

— Nie rozumiem. Co macie na myśli?

— Jakies dwa miesiące temu spotkałem się z nim w moich komnatach, gdzie zapewnił mnie, że za kilka dni skończy pracę. Jednak jeszcze tego samego ranka przepadł bez śladu.

— I co od tamtej pory?

— Nikt go nie widział — powiedział z rozpaczą w głosie. — O ile mi wiadomo, Genzeryk był ostatni. Odprowadził go do skryptorium, skąd miał zabrać swoje przybory, i już go więcej nie zobaczył.

Kiedy Alkuin zaproponował, by porozmawiali z Genzerykiem, Wilfred ucichł, dopił swe wino i spojrzał na mnicha szklistymi oczami.

— Niestety, to nie będzie możliwe. Genzeryk zmarł w zeszłym tygodniu. Znalaziono go w środku lasu przebitego stylusem.

Alkuin zakrzuszył się, słysząc te słowa, ale jego zdziwienie było jeszcze większe, gdy dowiedział się, że zdaniem Wilfreda mordercą był Gorgias.

Następnego dnia Alkuin stawiał się z samego rana w kuchni. Podobnie jak w innych fortcach kuchnia znajdowała się w wolno stojącym budynku, by w razie pożaru płomienie nie zajęły reszty budowli. Zresztą gdy tylko wszedł do środka, od razu zauważył osmalone ściany, nieomylny znak częstych pożarów. Spytał służącą, kto jest odpowiedzialny za kuchnię. Okazało się, że brat Bernardino, mnich gruby i niski jak beczka wina. Człeczyna uwijał się ze zręcznością wiewiórki, wydając dyspozycje odnośnie do najnowszej dostawy żywności, i pochłonięty swymi zajęciami powitał Alkuina, nawet na niego nie patrząc. Kiedy wreszcie się zatrzymał, serdecznie przyjął gościa.

— Wybaczcie to zamieszanie, ale doprawdy żywność była nam potrzebna jak deszcz w maju — podał mu szklanekę ciepłego mleka. — To prawdziwy honor was poznać. Wszyscy o was mówią.

Alkuin z przyjemnością przyjął szklanekę mleka. Odkąd wyjechali z Fuldy, nie pił nic poza cienkim winem. Od razu spytał o Genzeryka. Wilfred wspomniał mu, że to właśnie brat odpowiedzialny za kuchnię znalazł ciało wikarego.

— Tak jest. — Bernardino z trudem usadowił się na krześle. — Znalazłem starego w środku lasu. Leżał twarzą do góry, z pianą na ustach. Nie mogło upłynąć dużo czasu od jego śmierci, bo zwierzęta nie zdążyły się jeszcze do niego dobrać.

Powiedział mu o rylcu wbitym w jego brzuch. Był to jeden z tych rylców, których używają skrybowie do notowania na woskowych tabliczkach, wyjaśnił. Rylec tkwił głęboko.

— I myślicie, że to Gorgias? Karzeł wzruszył ramionami.

— Rylec należał do Gorgiasa, ale ja nigdy bym go nie oskarżył o morderstwo. Wszyscy uważaliśmy, że to dobry człowiek — dodał — choć ostatnio miały miejsce dziwne wydarzenia. — Po czym wyjaśnił, że oprócz

Genzeryka znaleziono jeszcze kilka innych ofiar i krążyły plotki, że za tymi morderstwami stoi skryba.

Kiedy Alkuin spytał o ciało Genzeryka, Bernardino powiedział, gdzie zostało pochowane. Karła zdziwiło pytanie o miejsce, w którym złożono ubranie Genzeryka, ponieważ zazwyczaj prano odzież zmarłych i ponownie jej używano, o ile była w dobrym stanie.

— Ale jego cuchnęła moczem, więc postanowiliśmy zakopać zwłoki wraz z habitem.

Alkuin dopił szklankę mleka. Kiedy skończył, spytał, czy inne ofiary również zginęły od ciosów zadanych ostrym narzędziem.

— Tak jest. Dziwne to wszystko...

Alkuin w roztargnieniu przytaknął. Podziękował za udzielenie informacji i otarł usta. Spytał, kiedy mógłby zobaczyć miejsce, w którym Bernardino znalazł Genzeryka, i ustalili, że pójdą tam po południu po sekście. Potem Alkuin pożegnał się i wrócił do swej celi. Po drodze postanowił poprosić Wilfreda o zgodę na ekshumację zwłok wikarego, ponieważ ta historia wydawała mu się podejrzana.

* * *

W korytarzu prowadzącym do jego celi wpadł na diakona Flawiusza. Prałat miał zaspane oczy, potargane włosy i choć było już późno, zachowywał się tak, jakby wcale nie miał zamiaru pracować. Alkuin miał wrażenie, że ospały diakon Flawiusz w wyperfumowanych szatach należy do tej grupy kapłanów, którzy bardziej dbają o spełnianie własnych zachcianek niż o przestrzeganie przykazań i reguł. Raz nawet, oszołomiony winem, wyznał mu, że w Rzymie cieszył się towarzystwem młodych dziewcząt, i poradził, by sam też kiedyś spróbował. Alkuin oczywiście wołał czystość. Kościół potępiał konkubinat, ale niektórzy duchowni i tak oddawali się przyjemnościom współżycia z niewiastami, żyli w nieślubnych związkach z kobietami, które kupowali albo zmuszali pod groźbą wiecznego potępienia.

Alkuin przywitał się z Flawiuszem i udał się z nim do jadalni. Nie jemu było sądzić zachowanie Flawiusza, ale jak głosił święty Augustyn w swym Civitas Dei, choć ludzie rodzili się z wolnością wyboru, bez wątplenia niektórzy potrafili wykorzystać ten dar jedynie do dokonania wyboru między złym a jeszcze gorszym.

* * *

Podczas śniadania biesiadnicy rozprawiali o zmartwychwstaniu Theresy.

Izam się nie wypowiadał, ale kilku kleryków zaproponowało wzniesienie ołtarza na zgliszczach warsztatu pergamenariusza, a jeden nawet zasugerował zbudowanie kaplicy. Wilfred nie miał nic przeciw temu, ale zgodził się z Alkuinem, gdy ten zaproponował, twierdząc, że należy poczekać, aż sobór ekumeniczny zajmie stanowisko w tej sprawie.

Kiedy spytano o miejsce pobytu dziewczyny, Wilfred odparł, że spędziła noc w murach fortecy, a przed snem wypita sporządzony przez Zenona napar z wierzby i melisy. Rutgarda czuwała przy niej, czekając, aż się obudzi. Biedna kobieta nie spała tej nocy, modliła się, płakała i troskliwie opiekowała Theresa, błagając Boga, by cudowne pojawienie się pasierbicy stanowiło zapowiedź powrotu Gorgiasa.

W tym momencie do sali wpadły córeczki Wilfreda. Rozbawione dziewczynki śmiały się figlarnie, wymknęły się piastunce i nie słuchając upomnienia, zaczęły uganiać się między nogami biesiadników. Wreszcie oddana służąca zbeształa dziewczynki i wymierzyła im po klapsie, ale w odpowiedzi psotnice pokazały języki i z przekornymi minkami schowały się pod sutannami Flawiusza i Alkuina.

Wilfred nagroził zuchwalstwo bliźniaczek oklaskami, na co dziewczynki wskoczyły mu na kolana. On zaś objął je i pocałował w głowę, wicherząc ich włosy. Dziewczynki znów zaczęły się śmiać z rozbawionymi oczami i cofnęły się, gdy zaczął łaskotać je po pulchnych brzuskach. Wilfred też był roześmiany. Te dwa cherubinki o kręconych włosach i różowych policzkach przywracały mu radość życia. Znów je ucałował i prosząc, by zachowywały się jak dobrze wychowane panienki, podał je zdyszanej piastunce.

— Co za diablance. Wdały się w matkę — zaśmiał się. Wziął szmacianą lalkę, którą zostawiły na jego kolanach, i odłożył ją na stół.

Większość spośród zebranych wiedziała, że żona Wilfreda zmarła rok wcześniej z powodu złośliwej gorączki. Już wtedy niektórzy radzili mu powtórny ożenek, ale on, nie licząc jednej czy drugiej miłości, nie był kobieciarzem.

— Odświeżcie mi pamięć — zwrócił się do Wilfreda diakon Flawiusz. — Mówiliście, że Theresa zginęła w pożarze?

— Tak jest — odparł Wilfred. — Zdaje się, że dziewczyna z jakiegoś powodu dostała furii i podłożyła ogień pod warsztat, w którym pracowała. Zginęło wiele osób.

— A jednak wczoraj sami mówiliście, że Theresa nikomu nie byłaby zdolna wyrządzić krzywdy.

— Tak mówiłem — potwierdził. — Jeden z ludzi, którzy ucierpieli w pożarze, zwierzył mi się, że to Korne popchnął Theresę, przez co doszło do pożaru. Ale sądziłem też, że ojciec dziewczyny, Gorgias, to prawy człowiek. A teraz spójrzcie: jest poszukiwany za morderstwo.

Po jedzeniu Alkuin poszedł do stajni, gdzie czekał na niego Bernardino usadowiony już na grzbiecie osła. Karzeł powitał go, prosząc, by dosiadł drugiego osiołka, ale mnich wołał iść pieszo. W drodze dopytywał się o pianę na twarzy Genzeryka. Bernardino potwierdził, że nieboszczyk leżał twarzą do góry, z otwartymi oczami i kipiela na licu.

— Kipiela? Chcecie powiedzieć pianą na ustach?

— A skąd mam wiedzieć! Był sztywny jak wszyscy nieboszczycy. Dotarli na miejsce ścieżką, która prowadziła przez pobliski las

dębowy. Słońce świeciło delikatnie i zasy pył śniegu zaczynały topnieć. Alkuin przyglądał się śladom na ścieżce.

— To tutaj — oznajmił Bernardino, zatrzymując osła.

Karzeł zeskoczył na ziemię i podbiegł żywo jak młodziak. Zatrzymał się za skałami i triumfalnie wskazał palcem miejsce.

— Pamiętajcie, jaki to był dzień?

— Oczywiście. Wyszedłem po orzechy na ciasto dla córek Wilfreda. Tam w dole rośnie kilka orzechowców. Przechodziłem tędy, osiołek się zatrzymał i...

— I to było kiedy?

— Wybaczcie, tak... To było w zeszły piątek. Dokładnie w dniu świętego Benedykta.

Alkuin pochylił się nad wskazanym miejscem. Zauważył kilka przygniecionych kęp trawy. Potem zbadał okolicę.

— A jak przenieśliście stąd ciało? Chcę powiedzieć... musieliście go przeciągnąć, czy przewieźliście na grzbiecie osła?

— Wiem, o czym myślicie — zaśmiał się. — Sądzicie, że skoro jestem karłem, nie dałbym rady go podnieść.

— Właśnie nad tym się zastanawiałem.

Bernardino podszedł do osiołka i uderzył go kijkiem, na co osiołek zarżał i się położył. Wówczas karzeł usadowił się na jego grzbiecie, trzymając mocno powrozu, po czym wymierzył mu kolejne uderzenie, a osioł wierzgnął i zaczął się podnosić. Bernardino zaśmiał się dumny ze swej zręczności, ukazując poźółkłe zęby.

* * *

Po powrocie Alkuin postanowił sprawdzić stan zdrowia Theresy. Zastał u niej Rutgardę, która rozpływała się w podziękowaniach za dobroć, jaką jej okazał. Alkuin nie poświęcił jej zbyt wiele uwagi i od razu poprosił o rozmowę z dziewczyną.

— Sam na sam, jeśli to możliwe.

Rutgarda i Hoos, który również był tam obecny, wyszli z magazynu. Alkuin podszedł do łoża Theresy.

— Zimno tu. Jak się czujesz?

— Źle. Nikt nic nie wie o moim ojcu. — Theresa miała łzy w oczach.

Alkuin skrzywił się. Cokolwiek by powiedział, nie przyniosłoby jej ulgi.

Zastanawiał się, czy Theresa wie, że jej ojciec jest oskarżany o morderstwo.

— Rozmawiałaś z kimś o cudzie?

Dziewczyna pokręciła głową. Potem powiedziała, że jej ojciec nigdy nie zrobiłby czegoś takiego jak to, o czym dowiedziała się od jednej ze służących.

— To wszystko kłamstwa — rzekła stanowczo Theresa. — On nigdy by... — Płacz uniemożliwił jej dokończenie zdania.

— Jestem o tym przekonany. Teraz musimy go znaleźć. Nie wiemy jeszcze, dlaczego zniknął, ale obiecuję, że rozwiążę tę zagadkę.

Począł, aż Theresa otrze łzy. Potem pomógł jej się okryć, wezwał Rutgardę i wprowadził obie tylnymi drzwiami do środka fortecy. Tam załatwił u Wilfreda zgodę na ich ulokowanie w głównym budynku, cieplejszym i dużo bezpieczniejszym. Na koniec poprosił Theresę, by przez kilka dni nie wychodziła z komnaty.

* * *

Po południu Alkuin znalazł Wilfreda w skryptorium. Psy zawarczały na widok mnicha, ale na znak hrabiego uspokoiły się i Alkuin nakarmił je kilkoma kawałkami mięsa, które zwędził z kuchni. Psy rzuciły się na mięso, jakby od miesięcy nic nie jadły.

Zauważył, że Wilfred wciąż trzyma lalkę swoich córeczek. Laleczka miała ciekawe białe oczy z kamyków, na których ktoś domalował niedbale błękitne tęczęwki.

— A jak radzicie sobie z otwieraniem drzwi? — zainteresował się mnich. .

— Albo używam tego haka — Wilfred pokazał coś w rodzaju harpuna połączonego z laską — albo psy podciągają mnie bliżej. Co was tu sprowadza?

— Pewna delikatna sprawa. Mówiliście, że Genzeryk zginął od ciosu.

— Tak jest. Został przebity stylusem. — Pogonił psy, które wykonały obrót i pociągnęły wózek w stronę niszy. Wilfred otworzył stojącą w pobliżu skrzynię,

wyjął używany przez skrybów rylec i pokazał go Alkuinowi. — Dokładnie tym.

Mnich przyjrzał się uważnie rylcowi.

— Bardzo ładny — zauważył. — Należał do Gorgiasa? Wilfred przytaknął i odłożył go na miejsce.

Alkuin obejrzał stół, który czasem służył jako scriptoria. Spytał, czy na nim właśnie pisał Gorgias. Hrabia skinął głową. Mnich zauważył, że na stole leżą inne stylusy równiutko ułożone obok kałamarzy i buteleczek z talkiem. Przybory i blat pokrywała gruba warstwa kurzu, nie licząc dwu podłużnych wąskich śladów. Alkuin nie zdradził się ze swymi podejrzeniami i dalej ukradkiem przeprowadzał oględziny. Nigdzie nie zauważył greckich tekstów, bez których Gorgias nie mógłby sporządzić manuskryptu. Kiedy wspomniał Wilfredowi o ekshumacji zwłok Genzeryka, hrabia uniósł brew.

— Odkopać go? Cóż to za pomysł?

— Chciałbym sprowadzić na niego łaskę świętych relikwii — skłamał mnich. — Flawiusz jest opiekunem lignum crucis, drewna z krzyża Chrystusa...

— Tak, wiem, ale nie pojmuję...

— Genzeryk zmarł niespodziewanie, być może w grzechu. Skoro posiadamy te relikwie, okazałoby się brak miłosierdzia, nie wykorzystując ich do poświęcenia jego ciała.

— I po to trzeba wyciągać go z grobu? Alkuin zapewnił, że to konieczne.

Po chwili wahania Wilfred wyraził zgodę. Ale nakazał, by Alkuinowi towarzyszył przy tej operacji olbrzym Theodor.

* * *

Theodor nie dość, że był o połowę wyższy od innych, okazał się na wpół niemy. Kiedy bez wytchnienia wyrzucał jedną łopatę ziemi za drugą, mruknął tylko, że z grobu zalatuje jak z gnojowiska. Alkuin pomyślał, że skłamałby, mówiąc, że Theodor lepiej pachnie. Po krótkiej harówce łopata Theodora uderzyła o trumnę. Alkuin ucieszył się, że Genzeryka pochowano w trumnie, w przeciwnym bowiem razie ziemia zatarłaby wszelkie ewentualne ślady pozostawione przez mordercę. Za pomocą drugiej łopaty odgarnął resztki ziemi i poprosił Theodora, by pomógł mu wyjąć trumnę, ale gdy kazał mu otworzyć wieko, olbrzym o niebieskich oczach odparł, że to już nie jego sprawa, i odszedł kilka kroków dalej, zostawiając Alkuina samego nad grobem. Przy trzecim podejściu wieko odskoczyło.

Gdy tylko trumna została otwarta, odór wywołał u nich obu wymioty. Theodor odszedł jeszcze dalej, Alkuin zaś usiłował przepędzić mrowie robaków pokrywających ciało Genzeryka. Mnich zasłonił nos szmatką i zaczął strącać robaki, które wiły się po rozkładającej się już twarzy nieboszczyka. Kiedy wreszcie mu się to udało, przyjrzał się habitowi Genzeryka w poszukiwaniu miejsca, w którym zadano cios stylusem. Znalazł rozdarcie na wysokości brzucha: rana była niewielka i czysta. Zwrócił uwagę na zaschlą wokół krew. Oceniał, że ślad ma średnicę świecy, i obejrzał twarz stoczoną przez czerwie. Nie było na niej żadnego śladu piany, o której wspomniał Bernardino. Znalazł jednak jej resztki za kołnierzem habitu, więc za pomocą noża odciął kawałek sukna, z którego zdjął larwy, i schował go do kieszeni. Potem przyjrzał się uważnie dłoniom nieboszczyka. Na prawej widniały ślady jakby po ugryzieniu: dwie dziwne dziurki. Na koniec, dla zachowania pozorów, wyjął kawałek drewna i oznajmiwszy, że to lignum crucis, złożył go w trumnie. Po odprawieniu modłów zamknął wieko i poprosił olbrzyma o pomoc przy zakopaniu sarkofagu.

Wieczorem w refektarzu podano dania z ryb, które niezbyt przypadły do gustu Flawiuszowi. Wilfred przeproszał za brak innych potraw, tłumacząc, że dowieziony prowiant nie pozwala na wydawanie uczt, a jego własne zapasy są już niemal wyczerpane.

— Jaka szkoda, że część prowiantu zatoneła — rozpacział Wilfred. — Ludzie tak bardzo czekali na żywność.

— Czy to, co przywieźliśmy, nie wystarcza? — spytał Flawiusz.

— Ha! — zaśmiał się Wilfred niechętnie. — Czy mając jednego na wpół martwego wołu, nazwalibyście zapasem żywności sześć garnców pszenicy i trzy worki owsa?

— Dwa statki czekają w dole rzeki. Jeśli będzie to konieczne, możemy naprawić nasz statek i po nie popłynąć — zasugerował Izam.

— A do tego czasu czym się żywiliście? — spytał Alkuin. — To znaczy... Słyszałem, że dotknął was głód.

Wilfred wyznał, że wytrzymali, dopóki nie wyczerpały się wszelkie zapasy, ale gdy ludzie zaczęli umierać, musieli skorzystać z królewskich spichlerzy.

— Nie było żadnego zaopatrzenia, a ludzie padali z głodu — tłumaczył. — Jak wiecie, ziarno królewskie jest przechowywane dla wojsk w przypadku wojny, ale sytuacja była nie do zniesienia, postanowiłem zatem rozpocząć jego racjonowanie.

— W każdym razie nie wygląda na to, abyście znajdowali się w biedzie — zauważył Flawiusz. — Nawet głuchy usłyszałby muczenie waszych krów i gdakanie kur — powiedział, wskazując na dziedziniec, gdzie mieściły się zagrody.

Wilfred cofnął się od stołu.

— To tak gość dziękuje za moją hojność? Co wy wiecie o doli chłopów?! — zawołał obrażony. — Zamknięci w swoich katedrach nie macie pojęcia o niedostatkach, jakie cierpią wierni. Macie sady, które was żywią, bydło i drób, ziemie, które dzierzawicie, poddanych, którzy w zamian za wyżywienie karczują pola i naprawiają mury. Otrzymujecie dziesięcinę od wszystkich, którzy was otaczają, pobieracie podatki za korzystanie z waszych dróg, ale sami jesteście zwolnieni z ich płacenia. A mimo to zjawiacie się i słyszecie takie zarzuty...? Oczywiście, że posiadam żywność, nie jestem biedakiem. Jestem klerykiem, ale również zarządcą. Co się stanie, jeśli mieszkańcy dłużej nie wytrzymają, jeśli rozpacz i głód doprowadzą do tego, że uzbroją się, w co tylko będą mieć pod ręką, i napadną na nasze składy?

Alkuin postanowił interweniować.

— Proszę, przyjmijcie nasze przeprosiny. Ta sytuacja nas zaskoczyła, ale zapewniam was, że jesteśmy wam wdzięczni za gościnę i hojność. Powiedzcie, naprawdę uważacie, że zapasy, które przywieźliśmy, nie wystarczą?

Flawiusz był niezadowolony, bo uważał, że Alkuin niepotrzebnie się wtrąca. Musiał jednak przyznać, że jego interwencja przyniosła dobry skutek.

— Sami porachujcie — mruknął Wilfred. — Nie licząc księży i braci, w Wurzburgu mieszka trzysta rodzin. Ale jak tak dalej pójdzie, za miesiąc może już nie być żadnej.

— A sady? — spytał Alkuin. — Macie czosnek, szalotkę, pory, kapustę, rzodkiew, rzepę...

— Przymrozki wykończyły nawet oset. Nie widzieliście tych nieszczęśników? — spytał, pokazując na tłum kłębiący się u stóp osady. — Nie odróżniają już cebuli od jabłka.

— A wasze zapasy...

— W spichlerzach mamy jeszcze jakieś sto modiusów pszenicy. Poza tym posiadamy kolejnych trzydzieści orkisz, ale to ziarno to czysta trucizna i używamy go wyłącznie jako paszy dla tych zwierząt, które nam się jeszcze ostały. Mimo to trafili się szaleńcy, którzy w rozpacz odważyli się napaść na składy i ukradli kilka worków. Następnego dnia znaleźliśmy złodziei przed

domem Zenona, jak wypluwali sobie żołądki. Na nieszczęście dopadła ich śmierć, nim zdążyliśmy ich powiesić.

Alkuin pokręcił głową. Jeśli Wilfred nie mylił się w ocenie sytuacji, stali przed prawdziwym problemem.

— A te relikwie? Czy nie pomogą nam w zdobyciu żywności?

— Bez wątpienia, Wilfredzie. Bez wątpienia.

RS

MARZEC

ROZDZIAŁ 26

Odkąd Hoos Larsson wrócił do Wurzburga, nie miał ani chwili spokoju. Wilfred przydzielił go do szwadronu Izama, który na wypadek nowego ataku każdego dnia przeczesywał okolicę. Rankiem sprawdzali teren wokół murów, a o zmierzchu wyruszały grupy mające otoczyć osadę od zachodu na wschód, aż po skałę, na której wznosiła się forteca. Mężczyźni, kobiety i dzieci pilnowali strumieni i dróg, umacniali mury obronne i naprawiali ogrodzenia.

W drugim tygodniu Hoos stał na czele grupy, która wyruszyła do dawnej kopalni. Pewien pasterz zauważył tam jakiś ogień i Wilfred polecił dokładnie przeczesać teren, tak by ktokolwiek, kto mógł kryć się w tunelach, znalazł się w potrzasku.

Dwunastu ludzi, odzianych w skórzane kurty i uzbrojonych w tarcze i łuki, wyruszyło wczesnym rankiem. Izam miał na sobie kolczugę, którą zabrał na pokład statku. Hoos nigdy nie wkładał kolczug, ale Izam upierał się, by to zrobić.

— Zgadzam się, że na wodzie są niebezpieczne, bo jak wypadniesz za burzę, pociągną cię na dno. Ale na lądzie to tak, jakbyś miał na sobie żeliwny dzwon.

Hoos spojrzał z niechęcią na Izama. Potem ocenił dystans dzielący ich od kopalni. W duchu powiedział sobie, że gdyby pojawili się bandyci, Izam nie zdążyłby nawet policzyć strzał.

— Może trafimy na Gorgiasa — zaryzykował Izam. — Kopalnia stanowi całkiem niezłą kryjówkę.

— No to przypomnę wam, co powiedział Wilfred: „Jeśli go znajdziecie, przeszyjcie go strzałami”. Nie tylko zabił Genzeryka, ale jeszcze zamordował kilku chłopców.

— Hrabiego bardzo zmartwiła śmierć wikarego, ale wydaje się, że Alkuin nie podejrzewa Gorgiasa. Sam nie wiem... Myślę, że jeśli go znajdziemy, powinniśmy wziąć go żywcem.

Hoos jechał dalej. Pomyślał, że gdyby tak się stało, nie miałby skrupułów.

Po jakimś czasie dojechali do kopalni. Straż, która jechała przodem, poinformowała, że miejsce wygląda na opuszczone, ale Izam z ostrożności podzielił ludzi na dwie grupy. Pierwsza ruszyła w stronę baraków dla niewolników, a druga do podziemnych korytarzy. Podczas przeszukania Hoos znalazł w jednym z baraków resztki świeżej ryby i skorupki po jajkach. Zamiast powiedzieć o tym Izamowi, rozdeptał odpadki i zatarł ślady.

Przeszukali każdy kąt, ale nie znaleźli nic interesującego. Izam rzucił ostatnie spojrzenie na baraki, po czym wraz ze swymi ludźmi dołączył do grupy przeszukującej tunele.

W pierwszym korytarzu panowały całkowite ciemności. W miarę jak szli naprzód, korytarz stawał się coraz węższy i niższy i w końcu musieli posuwać się pochyleni. W jednym z tuneli ktoś się potknął i spadł w otchłań. Jego towarzysze usłyszeli jedynie łomot ciała obijającego się o ściany. Wahali się, czy iść dalej, czy też wycofać się z tej mysiej dziury, gdy nagle ogłuszające tapnięcie omal nie pogrzebało ich żywcem. Pył wdzierał im się do płuc. Jeden z ludzi rzucił się do wyjścia, a pozostali, dusząc się, pobiegli za nim. Gdy znaleźli się na świeżym powietrzu, potłuczeni i podupadli na duchu, postanowili odwołać poszukiwania i wrócić do cytadeli.

* * *

Kiedy w tunelu zapanowała cisza, Gorgias odsunął poprzewracane wagoniki, za którymi się schował, po czym odkasłując i spluwając, podziękował niebiosom za to, że mu pomogły. Potem z trudem wydostał się z kryjówki i odciągnął deski, które pospadały w wyniku spowodowanego przez niego tapnięcia.

Cieszył się, że wpadł na taki pomysł.

Wiele dni temu podczas jednej ze swych wypraw odkrył w tym korytarzu źle umocowaną belkę nośną. Z początku go to zmartwiło, ale wkrótce wpadł na to, że mógłby to wykorzystać, usuwając podtrzymujący ją filar. W tym celu podkopał się pod pal i podłożył pod niego małe kamyczki. Ostatni kamień, który miał podtrzymywać filar, był długi i cienki. Ostrożnie umieścił go w pozycji pionowej między podstawą filara a otworem w ziemi. Potem usunął kamyczki i cały ciężar filara oparł się na długim kamieniu. Następnie obwiązał kamień sznurem, zasypał go piaskiem i poszedł do najbliższej niszy, gdzie upewnił się, że sznurek jest dość długi, a jeśli za niego pociągnie, kamień powinien się przesunąć i spowodować przewrócenie filara i zapadnięcie stropu.

Przypomniawszy sobie chwile poprzedzające pojawienie się żołnierzy.

Tego ranka siedział w baraku, gdy usłyszał rżenie konia. Szybko dokończył jeść rybę i wyszedł na zewnątrz. Od razu zobaczył, że do kopalni zbliża się grupa mężczyzn. Czym prędzej złapał Blankę i pobiegł do tunelu, gdzie przykucnął, błagając Boga, by żołnierze nie weszli do środka. Jednak gdy dostrzegł pierwszą pochodnię, podbiegł do znajdującej się najbliżej pułapki niszy, przesunął wagonik, schował się za nim i czekał, aż ludzie podejną wystarczająco blisko. Wkrótce ich zobaczył. Gdyby podeszli jeszcze bliżej,

zaraz by go znaleźli. Jeden z ludzi zbliżył się do wagonika. Gorgias napiął sznur i się przygotował. Musiał to zrobić. Owinął sznur wokół ramienia i pociągnął ze wszystkich sił. Kamień przesunął się, a filar runął, powodując zawalenie się stropu.

Po tąpnięciu przeszukał tunel, na wypadek gdyby byli tam jacyś ranni. Miał nadzieję, że wśród rumowiska znajdzie człowieka z wytatuowanym węzem.

Jednak szczęście mu nie dopisało.

Kiedy doszedł do wyjścia, po ludziach, którzy go szukali, nie było już ani śladu. Ucieszył się, że los mu sprzyjał, choć żał mu było Blanki, którą musiał udusić, by nie gdakała.

* * *

Po powrocie do Wurzburga Hoos udał się do Theresy. Służąca powiedziała mu, że Theresa wyszła w towarzystwie macochy. Rutgarda postanowiła pójść po świeże ubranie, a dziewczyna chciała pospacerować po ogrodach na terenie fortecy. Hoos odłożył broń, obmył twarz i ruszył na jej spotkanie.

Znalazł ją siedzącą na pniu w jednym z sadów. Zaszedł ją od tyłu i delikatnie pogładził po włosach. Theresa odwróciła się zaskoczona, a na jej twarzy pojawił się smutny uśmiech. Kiedy powiedziała, że musi odnaleźć ojca, Hoos obiecał jej pomóc.

Przeszli przez krużganek, kryjąc się pod arkadami przed wiatrem. Hoos zerwał kilka kwiatów, splótł je dość topornie i wpiął Theresie we włosy. Dziewczyna pachniała świeżością i zroszoną trawą. Kiedy spacerowali, przytuliła się do niego, on zaś objął ją w pasie i szepnął, że ją kocha. Theresa zamknęła oczy, by na zawsze zapamiętać te słowa.

Potem pobiegli do pokoju, w którym ulokowano dziewczynę, mając nadzieję, że nikt nie będzie im przeszkadzał. Po drodze nie spotkali żywego ducha. Theresa weszła pierwsza, a Hoos zamknął za sobą drzwi.

Pocałował ją namiętnie, co bardzo ją podnieciło. Gładził jej szyję, kark, brodę. Objął ramionami, tak jakby chciał zatrzymać ją na zawsze. Theresa czuła ciepło jego ciała, przyspieszony oddech, jego śmiałe usta, odkrywające co chwila nowy drżący zakątek jej ciała. Hoos kreślił na jej ciele nieskromne pieszczoty, czując, jak dziewczyna drży, a przy każdym pocałunku jej żądza rośnie. Przesunął usta niżej, aż poczuł niemal bezwstydną gładkość jej ciała. Theresa pozwoliła się rozebrać, jego język ją otulał, osaczał, a szept rozgrzewał. Pragnęła go coraz bardziej, po każdej pieszczocie oczekiwała kolejnej, bardziej zakazanej.

Zadrżała, gdy jego przyrodzenie dotknęło jej najbardziej intymnego miejsca.

Zawstydzila się, gdy pośród westchnień zaczęła go błagać, by w nią wszedł. Zrobił to powoli, lubieżnie torując sobie drogę. Theresa przycisnęła go do siebie. Oplotła go nogami, czując jego naprężone mięśnie, każdy por skóry. Zgrała swoje ruchy z ruchami jego bioder. Chciała poczuć go w środku, coraz szybciej, coraz mocniej. Szeptala, by nie przestawał, a rozpalone policzki zmieniły jej wygląd i teraz twarz wygladała tak, jak twarz każdej młodej dziewczyny odczuwającej podobne rozkosze. Jej łono ogarnęła fala ciepła, jedna, a potem druga, aż wreszcie Theresa oszalała z rozkoszy.

On ją kochał, a ona czuła to samo. Kiedy Hoos się odsunął, pogłaskała jego ramiona, silne ręce i dziwnego węża, który połyskiwał wytatuowany na nadgarstku.

* * *

Kiedy Theresa się obudziła, Hoos był już ubrany i patrzył na nią z uśmiechem. Theresa stwierdziła, że w skórzanym kaftanie i spodniach z farbowanej wełny wyglada jak księżę. Hoos powiedział jej, że musi iść do królewskich magazynów i pomóc przy racjonowaniu żywności, ale obiecał, że gdy skończy, wróci, by znów obsypać ją pocałunkami. Theresa wyciągnęła się na łóżku i poprosiła, by ją objął. Hoos osłodził jej usta pocałunkiem. Potem pogładził ją po policzkach i wyszedł.

Zaraz potem ktoś zapukał do drzwi. Theresa sądziła, że to Hoos, i podbiegła na w pół rozebrana, ale gdy otworzyła, stanęła oko w oko z rozgniewanym Alkuinem. Mnich poprosił, by go wpuściła, co uczyniła, okrywając się pospiesznie. Alkuin krążył przez chwilę po pokoju, po czym zatrzymał się i wymierzył jej policzek.

— Można wiedzieć, co ty wyprawiasz? — spytał oburzony. — Myślisz, że ktoś uwierzy w cud, jeśli będziesz zabawiać się z pierwszym lepszym, który rzuci ci się do nóg?

Theresa poczerwieniała ze wstydu i spojrzała na niego przerażona. Nigdy nie widziała go w stanie takiego wzburzenia.

— A jeśli ktoś cię widział? Albo ten cały Hoos zacznie o tym rozpowiadać?

— Ja... ja nie...

— Na Boga, Thereso! Twoja macocha właśnie powiedziała mi, że widziała, jak ten chłopak wychodził z twojego pokoju, więc nie rób teraz z siebie niewiniątka.

— Przykro mi... — Theresa wybuchła płaczem. — Ja go kocham.

— Och! A zatem go kochasz? Wobec tego wyjdź za niego i zacznij rodzić dzieci! A wcześniej idź na rynek i ogłoś wszem wobec, że połączyłaś się z

Hoosem, że świeżo zmartwychwstała znalazła nowego anioła, który daje więcej rozkoszy, a kaplicę, którą chcą dla ciebie wznieść, mogą ofiarować świętej ladacznicy.

Alkuin usiadł całkiem roztrzęsiony. Theresa nie wiedziała, co powiedzieć. Mnich bębnił palcami o oparcie krzesła, obrzucając ją baczным spojrzeniem. Wreszcie wstał.

— Musisz przestać się z nim widywać. Przynajmniej przez jakiś czas. Dopóki nastroje nie opadną i wszyscy nie zapomną o pożarze.

Theresa przytaknęła zawstydzona.

Alkuin pokiwał głową. Potem pobłogosławił ją i wyszedł bez słowa z pokoju.

Kilka chwil później zjawiała się jej macocha. Rutgarda, która spędziła ostatnią noc w domu swej siostry, czekała na zewnątrz, aż Alkuin wyjdzie. Weszła i nie witając się, wbiła spojrzenie w pasierbicę. Choć Rutgarda była dużo niższa, złapała Theresę za ramiona i mocno nią potrząsnęła. Powiedziała, że całkiem straciła rozum. Że swoim zachowaniem nie tylko wystawia samą siebie na niebezpieczeństwo, ale również dodaje skrzydeł tym, którzy oskarżają Gorgiasa o morderstwo. Powiedziała jej tyle okropnych rzeczy, że Theresa zaczęła żałować, że nie jest głucha. Kochała swojego ojca, ale sytuacja zaczynała ją przerastać. Chciała, by cały Wurzburg znikł, wszyscy mieszkańcy rozplłynęli się i zostawili ją samą z Hoosem. Nie obchodziło jej, co mogą mówić, myśleć albo co się z nimi stanie. Pragnęła jedynie być z ukochanym. Wyjdzie z fortecy i poprosi Hoosa, żeby wyjechali z tego okropnego miejsca i wrócili do Fuldy, gdzie dzięki jej ziemi i niewolnikom zaczną nowe życie. Tam dożyją razem starości, bez lęku i kłamstw.

Bez głębszego namysłu zostawiła osłupiałą Rutgardę i pobiegła do wyjścia. Okryła się starym habitem i korzystając z tego, że grupa służących wychodziła akurat na zewnątrz, dołączyła do nich i przez nikogo nierozpoznana przekroczyła bramę, po czym poszła prosto do spichlerzy.

* * *

Spichrze królewskie wznosiły się na szczycie wzniesienia na północnym krańcu miasta, osłonięte grubym murem i połączone z fortecą podziemnym korytarzem. Zazwyczaj wchodziło do nich przez tunel i jedynie w razie konieczności otwierano bramy, które wychodziły na ulice miasta. Kiedy Theresa tam dotarła, pod bramą cisnął się tłum ludzi, czekając, aż zacznie się wydawanie racji. Było już jednak za późno, by się cofnąć. Hoos na pewno był w środku, a jedyne, co mogła zrobić, by tam się dostać, to poczekać, aż brama

się otworzy. Nie wiedzieć kiedy nacierający na bramę tłum porwał ją ze sobą. Ludzie zaopatrzeni w torby i sakwy wrzeszczeli i przepychali się w takim ścisku i chaosie, że lada chwila brama mogła runąć pod ich naporem. Od czasu do czasu w następstwie jakiejś gwałtowniejszej przepychanki czy bójki w tłumie robiły się prześwity, ale natychmiast kolejna fala wlewała się na wolne miejsce. W pewnym momencie Theresa zaczęła czuć się jak szmaciana lalka na łaście kuksańców. Pomyślała, że jeszcze chwila, a zginie zmiażdżona przez motłoch. Wśród całej tej ciżby zgubiła gdzieś kaptur i w końcu ktoś ją rozpoznał.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wokół Theresy zrobiło się nagle pusto. Ludzie przestali się przepychać i patrzyli na nią w zdumieniu. Nie miała pojęcia, jak ma się zachować, ale nagle w tłumie rozległ się nieprzyjazny głos.

Pergamenarius krzykiem zmusił ludzi, by się rozstąpili. Potem ruszył w stronę Theresy, która stała bez ruchu, zahipnotyzowana niczym mysz przed wężem. Kiedy Korne do niej podszedł, pochylił się, jakby zamierzał się przed nią uklonić, ale zamiast to uczynić, złapał kamień i uderzył ją w głowę. Na szczęście grupa ludzi powstrzymała go przed kolejnym atakiem, a kobiety odciągnęły Theresę pod samą bramę. Tam zajęło się nią dwu żołnierzy.

Wkrótce zjawił się Hoos w towarzystwie Zenona, którego wezwano, bo rana dziewczyny krwawiła. Lekarz wyjął z sakwy brudne nożyce, którymi próbował obciąć jej włosy w miejscu urazu, ale Theresa na to nie pozwoliła. Musiał zatem użyć grzebienia, by odgarnąć włosy. Zenon stwierdził, że rana nie jest groźna, ale na wszelki wypadek wylał na nią jakiś płyn, tak piekący, że Theresa aż krzyknęła z bólu. Na koniec zrobił jej okład ze szmatki zwilżonej w zimnej wodzie.

Kiedy medyk nachylił się, przyciskając okład do jej głowy, przed oczami dziewczyny przez chwilę załśnił naszyjnik z drogocennych kamieni, który wydał jej się znajomy. Czekala, aż Zenon odsunie się kawałek dalej, by się upewnić co do swego podejrzenia, ale lekarz stał teraz wyprostowany, a naszyjnik skrył się z powrotem za jego koszulę. W końcu, kiedy pochylił się, by pozbierać swoje rzeczy, na jego szyi znów rozbłysły rubiny. Theresę ścisnęło w gardle: był to naszyjnik jej ojca.

Odczekała, aż Hoos zajmie się czymś innymi, i pobiegła za Zenonem, którego dogoniła w korytarzu łączącym spichlerz z fortecą. Światło w tunelu to pojawiało się, to znikało. Pomiedzy jedną pochodnią a drugą panował mrok. Medyk szedł powoli, z typową dla niego ociężałością stanowiącą wynik odurzenia alkoholem i właściwej mu apatii. Kiedy Theresa go dogoniła,

odwrócił się zaskoczony, ale jego zdziwienie zamieniło się w osłupienie, gdy Theresa złapała go za koszulę.

— Skąd to masz? — spytała ostro.

— Co, u diabła, się z tobą dzieje? — powiedział i odepchnął ją tak gwałtownie, że upadła.

Theresa wstała i znów go zaatakowała.

— Cholerna wariatka! Czy uderzenie kamieniem odebrało ci rozum?

— Skąd masz ten naszyjnik? — powtórzyła.

— Jest mój. A teraz odczep się ode mnie albo będziesz musiała zbierać swoje zęby z ziemi.

Theresa wbiła w niego wzrok.

— Znasz Hoosa Larssona, prawda? Jest tu, na końcu tunelu. — Rozdarła sobie suknię, odsłaniając jedną pierś. — Odpowiedz natychmiast albo zacznę krzyczeć i Hoos cię zabije.

— Na Boga! Zasłoń się. Bo jeszcze nas spalą na stosie. Theresa usiłowała krzyknąć, ale Zenon zasłonił jej usta. Mimo to drżał jak zbity pies i spojrzał dziewczynie w oczy, prosząc ją wzrokiem o milczenie. Nie puścił jej, póki nie mrugnęła powiekami na zgodę.

— Dał mi go twój ojciec — wyznał. — A teraz zostaw mnie w spokoju, przekłeta dziewczyno.

Theresa uprosiła go jednak, by wyjaśnił, w jakich okolicznościach spotkał się z jej ojcem. Zenon z ociąganiem opowiedział, że na prośbę Genzeryka obejrzał Gorgiasa w pewnej opuszczonej szopie. Dodał, że chciał jedynie pomóc, i zapewnił, że ojciec Theresy wręczył mu naszyjnik w ramach zapłaty za jego usługi. Kiedy Theresa spytała, gdzie wobec tego przebywa teraz jej ojciec, Zenon nie potrafił udzielić żadnej odpowiedzi, więc zaczęła go prosić, by zaprowadził ją do miejsca, w którym udzielił mu pomocy.

Zenon próbował się wymknąć, ale Theresa zagroziła mu drogę. Nagle lekarz zmienił ton.

— Ładne cycki — powiedział z głupim uśmiechem.

Theresa cofnęła się, zasłaniając piersi. Gdyby tylko mogła, chętnie by go spoliczkowała.

— Słuchaj mnie dobrze, ty concagatus, ty zasańcu! Natychmiast mnie tam zaprowadzisz, a jeśli ważysz się mnie tknąć, przysięgam na Boga, że zrobię wszystko, abyś spłonął na stosie.

Theresa nie była pewna, czy jej groźby odniosą skutek, ale gdy dodała, że oskarży go o kradzież naszyjnika, medyk zeszywniał, jakby połknął kij. Dopiero wtedy z jego twarzy znikł głupi uśmiech i wreszcie się zgodził.

Dziewczyna poprawiła suknię i wzięła sakwę Zenona. Miała nadzieję, że dzięki temu będzie bardziej przypominać asystenta medyka. Poszła za nim i przez nikogo niezatrzymywani boczną bramą opuścili fortecę.

Zenon był zdenerwowany i gnał naprzód w niesłychanym jak na niego tempie, zupełnie jakby chciał czym prędzej dojść do celu i zakończyć raz na zawsze tę pantomimę. Kiedy znaleźli się w pobliżu szopy, lekarz zatrzymał się. Wskazał Theresie wejście i zrobił taki ruch, jakby próbował się wycofać, ale Theresa zmusiła go, by poczekał. Zenon niechętnie usłuchał.

Dziewczyna podeszła do na wpół pochłoniętej przez chwasty budowli, która wyglądała tak, jakby lada moment miała się zawalić. Kiedy pchnęła drzwi, otoczył ją rój much, któremu towarzyszył potworny dolatujący z wnętrza fetor. Weszła powoli, odganiając chmurę bzyczących wokół owadów. Odór sprawił, że wszystko zaczęło jej się przewracać w żołądku. Poczowała mdłości i zwymiotowała. Mimo to szła dalej w mroku, szukając czegoś, co mogłoby ją naprowadzić na miejsce pobytu jej ojca. Nagle o coś się potknęła. Spojrzała pod nogi i serce podskoczyło jej do gardła. Wśród zwiędłych liści leżało zgniłe pokryte owadami ramię zgięte wpół, jakby domagało się zemsty.

Theresa wybiegła przerażona i znów zaczęła wymiotować. Nienawiść i ból całkiem ją zaślepiły.

— Zabiłeś go, ty kanalio? — Zaczęła bić Zenona po torsie zaciśniętymi piąstkami. — Zabiłeś, by go okraść? — zapłakała zrozpaczona.

Zenon próbował ją uspokoić. Nie pamiętał, że na ziemi została amputowana ręka. Uznał, że musi wyznać jej prawdę. Theresa wysłuchiwała go, po czym spojrzała na niego oszołomionym wzrokiem.

— Nie wiem, co się potem stało — tłumaczył się Zenon — ale Gorgias był żywy. Genzeryk poprosił, bym przewiózł ich w inne miejsce, co uczyniłem, a potem wróciłem do miasta.

— Dokąd ich zawiozłeś?

Zenon splunął, po czym spojrzał stanowczym wzrokiem na Theresę.

— Zaprowadzę cię tam, ale potem dasz mi spokój.

* * *

Szli wzdłuż fortyfikacji, aż do punktu, w którym mury zaczynały załamywać się wedle kaprysów rzeki. Zenon pokazał jej ukryte w gąszczu roślinności wejście. Za murem majaczył zarys jakiejś budowli, która musiała stanowić

część fortecy. Lekarz natychmiast zrobił w tył zwrot i zostawił ją samą przed drzwiami.

Musiała użyć siły, by je otworzyć, ponieważ drewno napuchło z powodu wilgoci i drzwi zablokowały się w kamiennej framudze. Jednak przy trzeciej próbie ustąpiły, otwierając dostęp do jakiejś kaplicy, która wyglądała tak, jakby stoczono w niej walkę. W słabym świetle padającym od wejścia zobaczyła przewracane meble. W powietrzu zaś wirowały niczym opadłe liście kawałki pergaminu. Zajrzała do każdego kąta, ale nie znalazła nic, co mogłoby jej pomóc. Nagle dostrzegła maleńkie drzwiczki prowadzące do celi, w której trzymano jej ojca. Ostrożnie weszła do środka. Tam znalazła porzucone w nieładzie przybory piśmiennicze. Od razu poznała, że należą do jej ojca.

Z duszą na ramieniu podbiegła do kodeksu o szmaragdowych okładkach, w którym Gorgias zwykle przechowywał ważne dokumenty. „Jeśli kiedyś coś mi się stanie, poszukaj w środku kodeksu”, często powtarzał.

Schowała kodeks, nie oglądając go. Potem zebrała wszystkie kawałki pergaminu, które udało jej się znaleźć. Wzięła również stylus, pióra i woskową tabliczkę. Rzuciła ostatnie spojrzenie na celę, po czym wybiegła, jakby sam diabeł próbował wyrwać jej duszę.

Kiedy doszła do fortecy, musiała wezwać Alkuina, by ten kazał otworzyć jej bramę. Gdy mnich spytał, gdzie się podziewała, opuściła głowę i próbowała mu się wymknąć, ale on wziął ją za ramię i odszedł z nią na stronę.

— Szukałam ojca! Oto, gdzie się podziewałam! — odparła dziewczyna, wrywając rękę z jego uścisku.

Alkuin uwierzył w jej słowa. Zrozumiał, że nie może jej zatrzymać w nieskończoność.

— I czego się dowiedziałas?

Theresa pokręciła głową. Dopiero wtedy zauważył ranę po uderzeniu kamieniem, które zadał jej Korne. Kiedy Theresa zrelacjonowała całe zajście, Alkuin poprosił, by za nim poszła.

Gdy znaleźli się w skrytorium, poczekał, aż dziewczyna usiądzie. Sam zaś krążył w milczeniu, jakby zastanawiał się, czy powinien jej o wszystkim opowiedzieć.

— Niech będzie. — Mnich wreszcie się zdecydował. — Raz już prosiłem, abys mi coś obiecała, i nie dotrzymałaś słowa. Teraz muszę wiedzieć, czy jesteś gotowa dochować wyjątkowej tajemnicy.

— Następny cud? Wybaczcie, ale jestem zmęczona waszymi kłamstwami.

— Posłuchaj mnie. — Alkuin usiadł. — Pewnych rzeczy jeszcze nie rozumiesz. Miłość nie jest ani czysta, jak to sobie wyobrażasz, ani zepsuta dlatego, że ja tak mówię. Ludzie nie są przewrotni i grzeszni ani też nieskalani i pełni współczucia. Ich działania wynikają z ambicji, marzeń i pragnień, a czasem, częściej, niż możesz sobie wyobrazić, z obecności zła. — Wstał i znów zaczął przechadzać się po skryptorium. — Istnieje tyle jej odcieni, co zmian na niebie, które czasem jest łagodne i słoneczne, zapewniając nam zbiory i ciepło, a czasem lodowate i burzliwe niczym najgorszy spośród naszych śmiertelnych wrogów. Co jest prawdą, a co kłamstwem? Oskarżenia Kornego, które spadają na ciebie, potwierdzone przez jego krewnych i przyjaciół, czy twoja prawda, ta, którą uważasz za absolutną i która czyni cię wolną od wszelkiej winy? Powiedz mi, Thereso, czy nie ma w tobie ani śladu złości? Czy twoja dusza nie skrywa cienia gniewu?

Theresa doskonale wiedziała, że nie jest winna, ale wolała siedzieć cicho.

— Jeśli chodzi o cuda — mówił dalej Alkuin — mógłbym powiedzieć, że dotąd żadnego nie widziałem. A przynajmniej nie taki, jak wyobrażają sobie głupcy. Ale pomyśl tylko: jak można stwierdzić, że naprawdę nie zmartwychwstałaś? Czy mamy ignorować fakt, że opiekuńczy płaszcz wyciągnął cię z tego piekła i poprowadził przez góry? Że wysłał ci Hoosa i tego myśliwego, aby cię uratowali, albo prostytutkę, która przyjęła cię pod swój dach, a nawet mnie samego, kiedy szukałaś lekarza. Naprawdę sądzisz, że Bóg w tym nie uczestniczył? — Spojrzał na nią stanowczym wzrokiem. — Ostatecznie ja jedynie cię chroniłem. Za pomocą kłamstwa o cudzie, to prawda, ale zapewniam cię, że kierowany przez Najwyższego. On przewidział dla ciebie przeznaczenie, którego nie znałaś i które teraz zostanie przed tobą odsłonięte. Przeznaczenie, w które Gorgias, twój ojciec, był od zawsze zaangażowany.

Theresa słuchała jak zaczarowana. Niektórych rzeczy nie rozumiała, ale słowa Alkuina wydawały jej się szczerze. Mnich podszedł do stołu, przy którym zwykł pracować jej ojciec, i położył na nim obie dłonie. Kiedy je podniósł, w kurzu widać było wyraźnie odcisnięte ślady.

— Twój ojciec pracował właśnie tutaj, na tym miejscu. Tu spędził ostatnie tygodnie, sporządzając dokument o nieocenionej wartości dla chrześcijaństwa. A teraz odpowiedz: czy jesteś gotowa złożyć przysięgę?

Theresa, choć wystraszona, przytaknęła. Powtórzyła za Alkuinem, że nigdy, pod karą wiecznego potępienia, nikomu nie powie o tym, czego się dowie na temat tego dokumentu. Przysięgła na Wulgatę, którą następnie pokornie

ucałowała. Obiecała, że Hoos nigdy się o tym nie dowie. Alkuin odłożył Biblię na miejsce, w którym księga odcisnęła swój ślad. Potem spojrzął na ślady po stylusach Gorgiasa i poprosił Theresę, by się im przyjrzała.

— Według Wilfreda twój ojciec znikł miesiąc temu, a Genzeryka znaleziono martwego dwa tygodnie temu. A teraz spójrz na te ślady. Co widzisz?

Theresa przyjrzała się uważnie. Na stole widać było odcisnięte dłonie Alkuina, rylce ułożone w równym rzędzie i dwa wąskie podłużne ślady.

— Nie wiem... ślady odcisnięte w kurzu.

— Tak jest, ale przyjrzyj się uważnie: ślady moich dłoni są czyste. Jednak te dwa — pokazał podłużne cienie — które, jak możemy sądzić po ich kształcie, na pewno pozostawiły dwa rylce, zaczynają już pokrywać się cienką warstwą kurzu. A mimo to...

— Tak?

— Są między nimi różnice. Nie chodzi o ich kształt, bo to dość oczywiste, ale o ilość nagromadzonego kurzu. Ten po lewej, nieco większy, ma go więcej niż ten po prawej. — Podeszedł do skrzyni, w której Wilfred przechowywał stylus, który znaleziono w brzuchu Genzeryka, wziął go i położył na mniejszym śladzie. — Jak widzisz, ta warstwa kurzu jest cieńsza, co prowadzi nas do wniosku, że stylus, który trzymam w dłoni, ten, który posłużył do zabicia Genzeryka, został wzięty ze stołu później niż ten większy stylus pasujący do drugiego śladu. — Podeszedł do stolika, na którym leżało kilka ksiąg, i podniósł jedną z nich. — Natomiast te ślady, odcisnięte przez książki, ukazują podobną warstwę kurzu, co ten większy rylec. Wilfred zapewnił mnie, że w dniu, w którym znikł twój ojciec, znikły również kodeksy i rylce. Jednak cieńsza warstwa kurzu pokrywająca miejsce, w którym leżał mniejszy rylec, ten, który wbito w ciało Genzeryka, wskazuje na to, że naprawdę został on zabrany ze skryptorium wiele dni później.

— A to oznacza...

— Zwróć uwagę: w skryptorium brakuje nie tylko ksiąg. Znikły również kałamarze, proszki do suszenia, pióra... Akurat to, czego potrzebował twój ojciec, by dokończyć dokument. I co ciekawe, na wszystkich śladach mamy taką samą warstwę kurzu co na miejscu po dużym rylcu, a to pozwala nam wnioskować, że zarówno przybory, jak i rylec zostały zabrane w tym samym momencie. Wobec tego zniknięcie małego stylusa staje się podejrzanym, tym bardziej że po zaginięciu twojego ojca Wilfred kazał zamknąć skryptorium. Zatem ktoś inny musiał zabrać ten rylec, by przebić nim Genzeryka.

— Ale dlaczego?

— Oczywiście po to, by zrzucić winę na twojego ojca. I to jeszcze nie wszystko. Jestem pewien, że Genzeryk nie zmarł od ciosu. Morderca najpierw go zabił, a potem dopiero wbił stylus.

— Ale jak możecie tego dowieść? — spytała zaskoczona.

— Widzisz, pod pretekstem nałożenia na zwłoki wikarego relikwii wykopałem trumnę i zbadałem jego habit. Muszę przy tym przyznać, że gdyby Genzeryk nie miał kłopotów z pęcherzem, pochowano by go w innym ubraniu, ale najważniejsze, że dopisało mi szczęście... Podczas badania znalazłem dziurę, która powstała po wbiciu rylca: ubranie było rozdarte na wysokości brzucha. Z powodu takiej rany Genzeryk powinien wykrwawić się na śmierć, ale co ciekawe, na jego habicie widniała tylko mała plama krwi.

— Nie rozumiem...

— To dość oczywiste! Bijące serce wypycha krew przez ranę, powodując śmierć z wykrwawienia, co nigdy nie ma miejsca w przypadku ciała, które jest już martwe.

— Chcecie powiedzieć, że Genzeryk zmarł w inny sposób, a potem ktoś upozorował zabójstwo?

— Nie zmarł w inny sposób! Zabito go w inny sposób! — sprecyzował.

Opowiedział o badaniu wymiocin, które znalazł na kołnierzu, choć nie udało mu się sprecyzować, co to była za trucizna.

— Bo to właśnie z pewnością stanowiło przyczynę jego śmierci. Jakiś rodzaj trucizny.

Theresa odetchnęła z ulgą. Pomyślała, że powinna opowiedzieć mu, czego się dowiedziała podczas wyprawy z Zenonem, ale z jakiegoś powodu, którego nie potrafiła sobie jasno uświadomić, postanowiła z tym poczekać. Tymczasem Alkuin, zbierając kodeksy i porządkując skryptorium, dalej rozważał swoje teorie.

— A zatem ta sama osoba, która weszła do skryptorium, musiała zabić Genzeryka — oznajmił nagle.

— Macie na myśli Wilfreda?

— Biedny Wilfred jest kaleką. Poza tym nie tylko on ma klucze. Miał je również Genzeryk.

— Wobec tego?

— To właśnie chcę zbadać.

Wyjaśnił jej, że przed zaginięciem Gorgias pracował nad pewnym niezwykle ważnym z punktu widzenia interesów Karola Wielkiego i papieżstwa dokumentem. Był to testament z IV wieku, w którym cesarz Konstantyn

przekazywał Kościołowi rzymskiemu państwo papieskie i uznawał jego panowanie nad światem chrześcijańskim.

— Gorgias nie ukończył dokumentu, repliki oryginału, który uległ zniszczeniu. Trzeba go skończyć, a do tego niezbędny jest twój ojciec.

— Jak to? — przerwała mu Theresa.

— Tylko on jest w stanie to zrobić. Dlatego chcę zaproponować ci pewien układ: zostaniesz w skrytorium i będziesz pracować nad brudnopisem, a ja zajmę się jego poszukiwaniami.

— I co miałabym robić?

— Przejrzesz brudnopis... poprawisz go. Być może, gdyby okazało się to konieczne, będziemy mogli go wykorzystać. Naprawdę nikt więcej nie może dowiedzieć się o tej sprawie, a w tych okolicznościach znalezienie skryby, który zna grekę, potrafi poprawnie pisać w tym języku i któremu można zaufać, jest rzeczą wielce skomplikowaną.

Alkuin dokładnie wyjaśnił, na czym miałyby polegać jej praca, wciąż powtarzając, jak ważne jest, by z nikim o tym nie rozmawiała.

— Nawet z Wilfredem?

— Ani z nim, ani z nikim innym. Będziesz pracowała sama w skrytorium, a jeśli ktoś cię zapyta, powiesz, że przepisujesz psalterz. Zostaniesz w fortecy, będziesz przychodzić tu rano i kończyć pracę o zmierzchu. Ja w tym czasie zajmę się szukaniem twojego ojca. Nie mógł tak po prostu zapaść się pod ziemię.

Theresa przystała na propozycję. Wreszcie zrozumiała, że musi powiedzieć mu o Zenonie. Choć z pewnym wahaniem opowiedziała mu jednak o odkryciu amputowanej ręki i o krypcie w murze obronnym.

— Mówisz, że amputowana? Mój Boże, Thereso! Dlaczego to ukrywałaś? — zawołał z rozpaczą.

Theresa próbowała jakoś się wytłumaczyć, ale Alkuin jej nie słuchał. Klął i rzucał pergaminami z jednego miejsca na drugie. Wreszcie padł na fotel niczym sflaczała kukła. Theresa patrzyła na niego w milczeniu. Po jakiejś chwili mnich wstał ze wzrokiem wbitym w przestrzeń.

— Wobec tego mamy problem. Przeklęty problem — powiedział spokojnym głosem.

— Jaki problem? — spytała wystraszona.

— A taki, że choćbyśmy znaleźli twojego ojca, nie będzie w stanie dokończyć pracy! — Znów zaczął krzyczeć jak opętany.

Theresie wypadło z rąk pióro.

— A wiesz dlaczego?! — dodał, wciąż krzyżując. — Bo teraz jest kaleką. Bezużytecznym jednorękim, niezdolnym do napisania choćby jednej linijki.

W tym momencie Theresa wszystko zrozumiała. Ten mnich wcale nie chciał pomóc jej ojcu. Miał tylko w tym swój interes, a teraz, gdy jej ojciec nie był mu już potrzebny, przestanie go szukać i skupi się na dokumencie. Nienawidziła go z całego serca i musiała powstrzymać się, by nie przesyć go stylusem. Już niemal po niego sięgała, gdy przypomniała sobie nagle o ukrytym w sakwie ojca pergaminie. Po chwili uznała, że jeszcze ma szansę pokonać tego diabła. Zebrała się na odwagę i zaproponowała Alkuinowi układ.

— Znajdźcie mojego ojca, a dostaniecie swój pergamin. Alkuin spojrział na nią kątem oka i odwrócił się, dalej coś do siebie mamrocząc.

— Nie słyszycie? — Złapała go za poły habitu. — Mówię wam, że mogę go skończyć.

Mnich zaśmiał się ironicznie, ale Theresa złapała za pióro i szybko zaczęła pisać.

IN-NOMINE-SANCTAE-ET-INDIVIDUAL-TPVINITATIS-PATRIS-
SCILICET-ET-FILII-ET-SPIRITUS-SANCTI
IMPERATOR-CAESAR-FLAVIUS-CONSTANTINUS

Alkuin zbladł.

— Ale jak, u licha...? — Pismo było nieskazitelne, takie jak pismo jej ojca, a przepisany tekst wyglądał jak wierna kopia.

— Znam to na pamięć — skłamała. — Znajdźcie mojego ojca, a ja dokończę dokument.

Alkuin, wciąż jej nie dowierzając, przyjął propozycję. Poprosił Theresę, by przygotowała listę niezbędnych rzeczy, po czym kazał jej wrócić do pokoju.

* * *

Alkuin znalazł Zenona w tawernie przy rynku głównym. Oszołomiony winem medyk siedział wtulony w piersi jakiejś kobiety. Na widok mnicha ladaczniczka sięgnęła do kieszeni medyka i zabrawszy jedną monetę, odeszła od stołu bez pożegnania. Miejsce nie było odpowiednie na rozmowę, więc Alkuin namówił Zenona, by wyszli z tej dziury. Gdy tylko znaleźli się na ulicy, Alkuin wylał mu na głowę kubel wody, pod której to wpływem Zenon oprzytomniał na tyle, że potwierdził słowa Theresy.

— Przysięgam, że nie miałem nic wspólnego z Genzerykiem. Obciąłem ramię Gorgiasowi i tyle — bronił się.

Alkuin zacisnął zęby. Miał nadzieję, że Theresa się myliła, ale jeśli Zenon naprawdę zajął się Gorgiasem, skryba nie miał szans na przeżycie. Lekarz potwierdził, że to Genzeryk polecił mu zająć się Gorgiasem.

— Genzeryk, którego następnego dnia znaleziono martwego — zauważył Alkuin.

Zenon przytaknął, choć wątpił, by Gorgias mógł być mordercą.

— Stracił wiele krwi, kiedy obciąłem mu ramię — pokręcił głową. Alkuin zrozumiał.

— Zauważyliście coś dziwnego u wikarego? Chcę powiedzieć... Czy wyczuliście, że coś jest z nim nie tak, że jest zamroczony albo ma zawroty głowy? — Mnich miał nadzieję, że wino rozwiąże mu język.

— Teraz, gdy o tym mówicie, przypominam sobie, że sprawiał wrażenie pijanego. Dziwne, bo nigdy nie pił. Pamiętam, że wspomniał coś, że go piecze ręka. Była zaczerwieniona, jakby pokąsana.

Zenon wiele więcej mu nie powiedział. Opisał tylko miejsce, gdzie stała szopa, w której zajął się Gorgiasem, oraz wejście do krypty. Potem chwiejnym krokiem wrócił do tawerny.

* * *

Alkuin bez trudu znalazł i szopę, i kryptę. W szopie nie odkrył niczego interesującego, ale w krypcie zebrał wiele ciekawych dowodów, które pozwoliły mu zrozumieć, co się stało. Wracając do fortecy, zauważył pod bramą wielkie poruszenie. Kiedy spytał, co się dzieje, jakaś kobieta powiedziała mu, że strażnicy zamknęli bramy, zakazując wstępu do środka.

— Jestem Alkuin z Yorku — przedstawił się wartownikowi, ale strażnik potraktował go jak pierwszego lepszego handlarza.

— Możecie sobie krzyczeć, i tak was nie wpuszczą — zapewnił go jakiś chłopak, który bezczelnie się pchał.

— Nie dają wejść ani wyjść. Nawet ich żołnierze nie mogą przejść — potwierdził inny chłopak wyglądający na dobrze poinformowanego.

Alkuin wszedł na wzniesienie, na którym strażnik trzymał wartę, ale ten zdzielił go pałką. Schodząc, przeklinał mężczyznę, który go uderzył. Kilku chłopów roześmiało się rozbawionych jego krzywdą.

Mimo krążących plotek nikt tak naprawdę nie wiedział, co się dzieje. Jedni mówili, że wybuchła zaraza. Inni, że Sasi przypuścili atak.

Ktoś nawet twierdził, że znaleziono kolejne ofiary mordercy. Alkuin miał już udać się do pobliskiego kościoła, gdy zauważył na murze Izama. Długo się nie

zastanawiając, wdrapał się na beczkę i zaczął wymachiwać rękami. Izam go poznał i rozkazał swoim ludziom, by go przepuścili.

— Można wiedzieć, co się stało? — zapytał Alkuin, gdy wreszcie znalazł się w środku. — Ten głupiec mnie uderzył — powiedział, wskazując wartownika przy bramie.

Izam wziął go pod ramię i poprosił, by mu towarzyszył. W drodze do zbrojowni powiedział mu, że w fortecy na dobre zagościł diabeł i że całe zamieszanie ma związek z córeczkami Wilfreda.

— Nie rozumiem. O czym mówicie?

— Od rana nikt ich nie widział.

— Boże! I stąd to całe zamieszanie? Siedzą w jakimś kącie i bawią się lalkami. Pytaliście niani?

— Jej również nie sposób znaleźć — odparł strapiony młodzian. Kiedy doszli do sali, wpadli wprost w tłum służących, żołnierzy i mnichów. Większość szeptała w małych grupkach, wymieniając się najnowszymi wiadomościami, inni czekali zdezorientowani. Izam i Alkuin weszli do zbrojowni, gdzie czekał na nich Wilfred. Hrabia siedział w fotelu na kółkach i bacznie oglądał kikuty swoich nóg.

— Jakież nowości? — spytał Izama.

Młodzieniec zacisnął zęby. Powiedział, że jego ludzie mają pod kontrolą wszystkie wejścia i że zorganizował obławy w stajniach, magazynach, sadach, latrynach... Jeśli dziewczynki są w fortecy, z pewnością je znajdzie. Wilfred niechętnie skinął głową. Potem spojrział na Alkuina, oczekując na jakieś wiadomości.

— Dopiero się o tym dowiedziałem — wytłumaczył się mnich. — Czy przeszukaliście już ich pokoje?

— Aż po same mury. Boże wszechmogący! Wczoraj wieczorem były takie ufne, takie spokojne...

Wyjaśnił, że dziewczynki zawsze spały z nianią, niezamężną kobietą, która nigdy nie sprawiała żadnych kłopotów.

— ...aż do teraz — dodał, po czym rzucił szklanką w kominek. Izam zdecydował, że należy przesłuchać tych, którzy znajdują się

w fortecy, a zwłaszcza służących i krewnych niani. Alkuin poprosił o zgodę na sprawdzenie wszystkich pomieszczeń, a Wilfred wyznaczył służącego, który miał mu towarzyszyć.

— Czy byliście obecni przy przeszukaniu komnaty dziewczynek?

— Byłem na progu.

— A jak wyglądała, nim weszli?

— Było czysto i panował porządek jak każdego ranka.

Alkuin poprosił towarzyszącego mu sługę, by pomógł mu zebrać różne części odzieży, które leżały porozrzucane na podłodze. Większość pochodziła z kufków, które ludzie Wilfreda opróżnili, szukając w nich Bóg jeden wie czego. Większy kufer należał do dziewczynki, a drugi do niani. Poukładali skarpetki, buty i suknie, dbając o to, by trafiły do właściwego kufra. Potem Alkuin obejrzał uważnie przybory leżące na ciężkiej komodzie: metalowy wypolerowany talerz, który służył jako lustro, kościany grzebień, różne sznureczki, dwie fibule, dwie buteleczki, które najprawdopodobniej zawierały pomady, mniejszy flakon z różanymi perfumami, kawałek mydła i niewielką miednicę. Wszystko było równo poukładane, co odpowiadało zamiłowaniu do porządku, jakie przejawiała opiekunka. W komnacie stały dwa dość spore kwadratowe łóżka. To, które należało do niani, było pod oknem, a łóżko bliźniaczek znajdowało się po przeciwnej stronie pomieszczenia. Alkuin zatrzymał się przy pierwszym, powąchał je i zbadał niczym pies myśliwski.

— Czy niania utrzymywała z kimś bliskie relacje? Chcę powiedzieć, czy był jakiś mężczyzna? — wyjaśnił, wyskubując z pościeli pojedyncze włosy.

— O ile mi wiadomo, nie — odparł zdziwiony sługa.

— Dobrze — Alkuin podziękował za pomoc. — Możesz już zamknąć pokój.

* * *

W drodze do skryptorium wpadł na Theresę. Była tak wystraszona, że nawet go nie poznała. Jacyś żołnierze weszli do jej pokoju i wszystko wywrócili do góry nogami. Alkuin poinformował ją o zniknięciu bliźniaczek i wyjaśnił, że z tego powodu zamknięto fortecę.

— Ale moja macocha jest na zewnątrz.

— Przypuszczam, że otworzą bramy, gdy tylko dziewczynki się znajdą. A teraz chodźmy do skryptorium. Musisz mi w czymś pomóc.

Alkuin uporządkował rozrzucone kodeksy, a Theresa przestawiła na miejsce meble. Kiedy skończyli, mnich usiadł i poprosił Theresę, by przysunęła mu świecę. Przekazał jej wszystko, czego się dowiedział o jej ojcu.

— To niewiele, ale dalej nad tym pracuję — tłumaczył się. — A ty, zrobiłaś postępy?

Theresa pokazała mu tekst z dwoma nowymi akapitami. Każdej nocy przed snem czytała ukryty w sakwie ojca pergamin i uczyła się go na pamięć.

— To niewiele, ale dalej nad tym pracuję.

Alkuin ofuknął ją. Potem wyjął z kieszeni chusteczkę i rozłożył ją na stole.

— Włosy? — spytała dziewczyna.

— Tak jest. Przy tym świetle nie widzę ich dobrze. — Zakaszłał, jakby przyznanie się do tego nie było dla niego łatwe. — Ale mam wrażenie, że różnią się od siebie.

Theresa przysunęła świecę tak blisko, że kropla wosku spadła na włosy. Alkuin zwrócił jej uwagę, a ona przeprosiła spłoszona.

Wyróżniła trzy rodzaje włosów: jedne ciemne i delikatne, drugie lekko kręcone, krótsze i ciemniejsze, i trzecie podobne do tych drugich, ale lekko siwe.

— Te krótkie to... — zaczerwieniła się.

— Tak, tak sędzę — potwierdził Alkuin.

Theresa poszła umyć ręce, ale gdy wróciła, na jej twarzy wciąż malowało się obrzydzenie. Kiedy wycierała ręce, mnich podzielił się z nią swoimi przemyśleniami.

Niania sprawiała wrażenie osoby lubiącej porządek i pedantycznej, niewdającej się w miłostki i zajętej wyłącznie córeczkami Wilfreda. To wrażenie potwierdzał jej surowy ubiór, czysta twarz i przejęcie, z jakim opiekowała się dziewczynkami. Jednak w pokoju, który dzieliła z bliźniaczkami, Alkuin znalazł ozdoby, pomady, perfumy i suknię w jasnym kolorze typową raczej dla zamożnych panien na wydaniu. Niania była już dojrzałą kobietą, a jej wynagrodzenie nie pozwalało na zakup takich przedmiotów, więc niewykluczone, że aby je kupić, popełniła jakiś niedopuszczalny czyn.

— Albo dostała je w prezencie — stwierdził.

W każdym razie, dodał, mieli do czynienia z kobietą, która nie była jednak tak oddana dziewczynkom, jakby się wydawało, zważywszy zwłaszcza na to, że nie widziała nic złego w dzieleniu pokoju i łoża z mężczyzną siwym, z pewnością łysym, niezbyt starym i należącym do duchowieństwa.

— Ale skąd możecie to wiedzieć?

— Oczywiście na podstawie włosów. Te ciemne to włosy niani, długie z głowy, a te kręcone możesz sobie wyobrazić skąd. Podejrzewam, że te siwe to włosy mężczyzny, który na pewno jest łysy, bo nie znalazłem innych, dłuższych. A jak chodzi o jego wiek, to nie może być zbyt stary, bo nie miałby energii, żeby tak się zabawiać.

— A to, że należy do duchowieństwa?

— Z powodu zapachu kadzidła na pościeli. Na pewno jego habit był przesiąknięty tym zapachem.

Theresa skinęła głową zaskoczona. Alkuin jednak nie przywiązywał do tego zbytnej wagi. Zaczął opowiadać o spotkaniu z Zenonem. Powiedział, że krypta, do której przewieźli Gorgiasa, musiała być połączona z fortecą. Był również przekonany, że przetrzymywano w niej jej ojca. Świadczyły o tym talerze i resztki jedzenia, które tam znalazł.

W tym momencie ktoś zaczął walić do drzwi. Kiedy Alkuin otworzył, stanął twarzą w twarz z żołnierzem, który oznajmił, że mnich jest pilnie potrzebny.

— Co się dzieje?

— Znaleźli nianię. Utopioną w studni na krużganku.

* * *

Kiedy Alkuin doszedł do studni, kilku mężczyzn za pomocą włóczni wydobywało zwłoki. Wreszcie napuchłe ciało kobiety wyłoniło się nad krawędzią cembrowiny, po czym runęło niczym worek słoniny na brukowany krużganek. Suknia jej się porozpinała, ukazując duże piersi, zwiotczałe od karmienia dziewczynek. Ledwie odsunięto ciało, Izam zszedł na dół, by sprawdzić dno studni. Gdy wyszedł, poinformował Wilfreda, że dzieci tam nie ma. Zwłoki przeniesiono do kuchni, gdzie po krótkim badaniu Alkuin orzekł, że kobieta została uduszona, a dopiero potem ktoś wrzucił ją do studni. Miała połamane paznokcie, ale Alkuin nie znalazł pod nimi resztek naskórka, co oznaczało, że mogły się połamać w trakcie przenoszenia ciała. Zbadał części intymne i stwierdził, że włosy były takie same jak te, które znalazł na sienniku. Na ubraniu nie odkrył niczego istotnego. Miała na sobie odzież właściwą dla wykonywanej pracy: ciemną suknię i fartuch. Twarz, choć opuchła, była czysta, bez śladu kremów czy pomad. Kiedy skończył, wydał zgodę na ubranie zmarłej i przygotowanie do pochówku. Potem poprosił Wilfreda o rozmowę w cztery oczy.

Gdy znaleźli się już sam na sam, powiedział hrabiemu o swych odkryciach, na których podstawie doszedł do wniosku, że jakiś duchowny uwiódł kobietę, by uprowadzić dziewczynki. Jednak podkreślił, że jego zdaniem niania nie wiedziała o zamiarach kochanka.

— Jak możecie być tego pewni?

— Bo w przeciwnym wypadku przygotowałyby się do ucieczki, a tymczasem jej rzeczy zostały w pokoju.

— Może ją zaatakowano. Na Boga, nie mam pojęcia. A ten człowiek, o którym mówicie? Macie jakieś podejrzenia?

Alkuin powiedział, że musi to być ktoś w średnim wieku, łysiejący i mający dostęp do kaplic.

— Pościel pachniała kadzidłem — wyjaśnił.

— Każę zatrzymać wszystkich księży. Jeśli ten łotr tknął moje dzieci, powieszę go na jego własnych flakach.

— Uspokójcie się, wasza wielmożność. Pomyślcie, że gdyby o to mu chodziło, już by je zabił. Waszym córkom nic nie grozi. A jeśli chodzi o jakieś niezdrowe pożądanie, również i tę możliwość bym odrzucił. Czy nie łatwiej by mu przyszło wziąć sobie jakiegokolwiek inne dziecko? Na każdym rogu są całe tuziny takich zbłąkanych dziewczeczek.

— Mam być spokojny, kiedy moje córki znajdują się na łasce jakiegoś okrutnika?

— Powtarzam wam, że gdyby chcieli zrobić im krzywdę, już byśmy o tym wiedzieli.

— Gdyby chcieli? A dlaczego używacie liczby mnogiej? Alkuin wyjaśnił, że jeden człowiek miałby problem z zabraniem i ukryciem dwóch dziewczynek. A co do motywu, to po wykluczeniu plugawej chuci i odrzuceniu chęci zemsty pozostawało tylko jedno.

— Możecie dać spokój tym zgadywankom i wreszcie powiedziec wprost, co macie na myśli?

— Szantaż, szacowny Wilfredzie. W zamian za ich życie chcą zdobyć coś, co wy posiadacie: władzę... pieniądze... ziemię.

— Już ja dopilnuję, by te łotry połknęły własne klejnoty! — zawołał hrabia, dotykając swego przyrodzenia. Psy zaniepokoiły się i poruszyły wózkiem.

— W każdym razie — Alkuin ciągnął swe rozważania — ten kleryk równie dobrze mógł tylko zabawiać się z nianią i wcale nie uczestniczył w porwaniu.

— Wobec tego co mi radzicie? Mam czekać z założonymi rękami?

— Radzę, abyście czekali i nie ustawali w poszukiwaniach. Pilnujcie kapłanów i każcie im złożyć przysięgę, wstrzymajcie ruch ludzi i towarów. Nawiążcie bliskie relacje z tymi, którzy cieszą się waszym absolutnym zaufaniem, i zróbcie listę tych, którzy waszym zdaniem są zdolni do wyrządzenia krzywdy. Ale przede wszystkim czekajcie, aż porywacze powiedzą, na co liczą, gdy to bowiem uczynią, czas zacznie biec bardzo szybko.

Wilfred skinął głową.

Ustalili, że będą sobie bezzwłocznie przekazywać wszelkie nowe informacje. Potem hrabia strzelił z bicia i psy wyciągnęły wózek z kuchni. Alkuin został sam. Spojrzał na nieszczęsną nagą nieboszczkę. Okrył ją workiem i uczynił

nad nią znak krzyża. Ubolewał nad tym, że z powodu cielesnej żądy straciła życie.

RS

ROZDZIAŁ 27

Wilfredowi dzień upływał wolno.

Izam i jego podwładni sprawdzili spichlerze, brogi, magazyny, wieże, studnie, tunele, fosy, przejścia, pomieszczenia dla służby, piwnice, wozy, worki, beczki, kufry i szafy. Żadne miejsce nie zostało pominięte. Wszystkich przesłuchano i przeszukano od stóp do głów. Wilfred obiecał nagrodę w postaci czterdziestu łanów winnic temu, kto dostarczy mu informacji na temat miejsca pobytu jego córek, i kolejnych trzydziestu za głowy ich porywaczy. Następnie zamknął się w zbrojowni, żądając, by co godzinę powiadamiano go o wynikach poszukiwań. Tymczasem z pomocą Theodora sporządził listę wiernych mu ludzi oraz listę przeciwników. Na pierwszej znalazły się cztery osoby, które stopniowo z niej eliminował. Druga była tak długa, że zrezygnował z pokazania jej Alkuinowi.

O zachodzie słońca Wilfred zarządził obławę. Przez całą noc słychać było odgłosy bójek i krzyki. Wielu kapłanów torturowano, ale o świcie żołnierze wrócili z pustymi rękoma.

Kolejny dzień minął podobnie jak poprzedni.

Z samego rana Wilfred zarządził przerwę w rozdzielaniu ziarna do czasu, aż sprawa porwania zostanie wyjaśniona. Nakazał również zamknięcie zewnętrznych murów, aby nikt z mieszkańców nie mógł bez jego wiedzy opuścić miasta. Alkuin odradzał mu stosowanie okrutnych represji, ale hrabia zapewnił go, że gdy tylko głód przycisnie ludzi, ktoś w końcu wyda porywaczy.

* * *

Hoos od samego początku brał udział w poszukiwaniach. Pomagał Izamowi, a nawet wykorzystując zaufanie, jakim darzył go Wilfred, domagał się, by wyznaczono go do przeszukania królewskich spichlerzy i pobliskich tuneli. Wilfred wykluczył z grona podejrzanych wszystkich nowo przybyłych, uważał bowiem, że porwanie jego córeczek było już od dawna zaplanowane. Dlatego przyjął propozycję Alkuina, by poszukiwania prowadziły równolegle dwie różne drużyny: jedna składająca się z ludzi hrabiego, a druga z załogantów statku. Hoos stał na czele tej drugiej grupy.

* * *

Theresa tęskniła za pieścizotami Hoosa. Wciąż pamiętała namiętne pocałunki i zapach jego skóry. Czasem ku własnemu zaskoczeniu zaciskała uda, jakby w ten sposób mogła go zatrzymać. Jednak od ich ostatniego

spotkania prawie wcale go nie widywała. Zawsze był zajęty, a ona wstawała wcześniej i szła do skryptorium, skąd wychodziła dopiero w porze posiłku, który jadała w kuchni.

Zaczęła już podejrzewać, że Hoos spotyka się z inną kobietą, i kiedy go wreszcie zobaczyła, od razu mu o tym wspomniała. Choć widziała, że Hoos ma dużo pracy, było jej przykro, bo nawet jej nie pocałował na pożegnanie.

Kiedy Theresa pracowała w skryptorium, Alkuin analizował doniesienia napływające do fortecy. Wśród donosicieli nie brakowało takich, którzy twierdzili, że widzieli, jak świętej pamięci niania praktykowała herezję. Inni zniknięcie dziewczynek przypisywali żarłocznym wilkom. Niektórym rzeczywiście przyświecały dobre intencje, ale większość donosów pochodziła od pozbawionych skrupułów ludzi, których zwabiła nagroda. Wielu zostało obitych za wymyślanie kłamstw, ktoś nawet doniósł, że z pralni znikły kapciuszki.

Alkuin wypytał brata Karła, który ten fakt potwierdził.

— Czasem ginęły jakieś części garderoby, ale rzeczy dziewczynek pilnowaliśmy wyjątkowo skrupulatnie.

Zapewnił go, że zginęły dwie pary kapci oraz dwie szmatki używane w kuchni. Alkuin podziękował mu i wrócił do skryptorium przekonany, że bliźniaczki nadal przebywają w fortecy. Na naradzie z Izamem zaproponował, by trzymano straż przy magazynach kuchennych.

— Jeśli dziewczynki nadal są tutaj, a tak właśnie podejrzewam, porywacze będą potrzebowali żywności.

— To niemożliwe, sprawdziliśmy każdy kamień.

— W to nie wątpię, ale w fortecy jest więcej kamieni niż w całym kamieniołomie.

Poprosił Izama, by dzień i noc przy drzwiach skryptorium stał strażnik, na co Izam bez problemu wyraził zgodę. Ustalili również, że kuchnia też będzie strzeżona, a rano Wilfred zostanie o wszystkim poinformowany.

Tej nocy, korzystając z tego, że księżyc skrył się za chmurami, liczni mieszkańcy wspieśli się na gruby mur broniący dostępu do królewskich spichrzy. Atak został odparty, ale wiadomo było, że restrykcyjne środki podjęte przez Wilfreda wkrótce przyniosą zgubne konsekwencje.

Następnego dnia podczas śniadania Wilfred niemal nic nie wziął do ust. Zignorował odkrycia Alkuina i nie przejął się, nawet gdy powiedziano mu o próbie ataku na spichlerz. Wydawał się nieobecny, jakby jakiś napój zmacił mu wzrok. Mimo to wykazał się jasnością umysłu, nakazując wznowienie

rozdziału żywności, i wydał zgodę na przepływ towarów. Izam pochwalał jego decyzję, która kładła kres dalszym incydentom, choć — podobnie jak inni — zastanawiał się, czemu należy przypisać tę zmianę. Kiedy Alkuin spytał o to Wilfreda, ten zaczął unikać odpowiedzi. Mnich nalegał, ale hrabia zasugerował mu, by zajął się pergaminem i odsunął od poszukiwań. Odtąd on sam miał się zająć odnalezieniem córek.

W ciągu popołudnia forteca powoli wracała do normy. Służący zajęli się codziennymi pracami, rozpoczęto wydawanie ziarna i zaczęły się przygotowania do pierwszego w tym sezonie polowania, które miało się odbyć z nadejściem wiosny. Izam i jego ludzie znów zajęli się naprawą statku, które to prace przerwali w połowie, a żołnierze Wilfreda opuścili swe stanowiska i wrócili na pozycje obronne.

* * *

Celebranci, którzy przybyli na sekstę, wkroczyli do kościoła Świętego Jana Chryzostoma z powściągliwością godną armii owieczek. Na czele procesji szedł diakon Flawiusz w zwracającym uwagę fioletowym nakryciu głowy podobnym do tego, które nosi papież. Za nim kroczył orszak kleryków wystrojonych niczym pawie, a za nimi przedstawiciele kleru niższych święceń i chórzyci. Procesję zamykała gromada ciekawskich, wiernych i przymierających głodem, gotowych uczestniczyć w eucharystii w intencji odnalezienia bliźniaczek.

Wkrótce świątynia wypełniła się niczym zatłoczona owczarnia. Kiedy zamknięto wrota, mistrz śpiewu Casiano ponaglił chłopców, by oczyścili swe gardła. Następnie poprosił Flawiusza o zgodę, a gdy ją uzyskał, otworzył ramiona niczym anioł i zapoczątkował misterium śpiewu gregoriańskiego. Zebrani, w większości klerycy, pochyłili głowy, gdy pierwsze antyfony rozwinęły się w symfonię niebiańskich nut, które wprawiły w drżenie kamienne płyty. Casiano wymachiwał rękami, a głosy kłębiły się, wznosiły pod sklepienia, otaczały kolumny i odbijały, jeżąc włos na głowach. Muzyka tańczyła, płynęła z ust tych cherubinów niczym świergot szczygłów.

Nagle głos jednego z chłopców załamał się i przeszedł w okrzyk przerażenia. Pozostałe dzieci zamarły, a wszyscy odwrócili się w stronę chóru, skąd śpiewacy wycofywali się, jakby uciekali przed dżumą. Przed nimi leżał, wymiotując resztkami sił, jakie mu jeszcze pozostały, perga-menarius Korne. Nim Alkuin zdołał do niego dobiec, Korne już nie żył.

Przenieśli ciało do zakrystii, gdzie Flawiusz namaścił go świętym olejkim, podejmując ostatnią próbę przywrócenia go do życia. Mimo jego wysiłków

trup ani drgnął. Alkuin zauważył, że ma łysą głowę, siwe włosy na łonie i pachnie kadzidłem. Oczy wychodziły mu z orbit, a z ust wciąż ciekła biała piana. Kiedy zbadał jego ręce, znalazł dwa ślady na prawej dłoni.

Gdy poinformował o tym zdarzeniu Wilfreda, ten wciąż przeżuwał udko kurczaka, które trzymał w ręku. Wreszcie rzucił kostki psom i spojrzał obojętnie na Alkuina, ocierając usta rękawem. Mnich powiedział mu o śladach po ugryzieniu węża na prawej dłoni Kornego.

— Niech go pochowają poza terenem klasztoru — rzekł tylko tyle.

— Nie rozumiecie — nalegał Alkuin. — O tej porze roku nie ma gadów.

— Wurzburg jest pełen węży — odparł i odwrócił wzrok.

Alkuin nie mógł tego zrozumieć. Nie tylko wykazał istnienie zbieżności między śmiercią Genzeryka i pergamenariusza, ale również opowiedział mu o siwych włosach, o tym, że Kome był wygolony, i co najważniejsze o tym, że każdego ranka, po śniadaniu w kuchni, Kome odprowadzał dziewczynki na lekcje śpiewu. Każdy inny na jego miejscu skakałby z radości, nawet kaleka, a tymczasem Wilfred był nieporuszony, jakby jego los już został przesądzony. Na nic się nie zdały zapewnienia Alkuina, że to Kome z całą pewnością uprowadził bliźniaczki. Wilfred, żegnając się z nim, nie podniósł nawet głowy.

Wychodząc, mnich zauważył łzy w kącikach jego oczu.

* * *

W drodze do swej komnaty Alkuin zastanawiał się nad dziwną reakcją hrabiego. Jego zdaniem taka melancholia mogła jedynie wynikać z chwilowej depresji po stracie córeczek, choć co ciekawe, delirium najwyraźniej nie wpływało na resztę jego zdolności. Może więc należałoby uznać, iż jego zachowanie nie było przypadkowe, lecz rozmyślnie, a w takim razie już wcześniej był świadom związku istniejącego między obydwojma zgonami: Genzeryka i pergamenariusza.

Zaraz potem Alkuin zjawił się w pokoju Kornego. Pergamenariusz od czasu pożaru mieszkał w fortecy. Pomieszczenie nie różniło się zbytnio od komnaty Alkuina: był tam siennik, prosty stół przyciśnięty do półek pod oknem, półek, na których leżał strój do pracy, trochę skór i kubek na nieczystości. Zajrzał do środka i odsunął się ze wstrętem. Potem nachylił się, by obejrzeć podłogę. Wymacał coś, co wyglądało na koralik z naszyjnika, ale w świetle okazało się, że mały biały kamyczek z domalowaną niebieską obwódką jest w istocie oczkiem lalki bliźniaczek. Zadręczał się tym, że zapach kadzidła naprowadził go na błędny trop.

Natychmiast ruszył do skryptorium, gdzie zastał Theresę wyjątkowo źle radzącą sobie z piórem. Zazwyczaj dziewczyna ćwiczyła tekst, który miała przepisać, na starym pergaminie, a potem przepisywała na czysto, ale tego popołudnia litery były rozmazane, jakby malowała je pędzlem. Alkuin udzielił jej nagany, choć przeczuwał, że jej błędy nie wynikają z nieudolności, lecz z jakiegoś zmartwienia.

— To przez Hoosa — wyznała wreszcie. — Nie wiem, czy daliście mu reprimendę, ale od tamtej nocy... — Zaczerwieniła się. — W każdym razie Hoos się zmienił.

— Otóż nie, nie rozmawiałem z nim. Co masz na myśli, mówiąc, że się zmienił?

Dziewczyna rozplakała się i opowiedziała mu, że Hoos jej unika. Tego ranka, gdy przypadkiem na siebie wpadli, odtrącił ją wyjątkowo brutalnie.

— Bałam się nawet, że mnie uderzy — zapłakała.

— Czasem mężczyźni zachowują się szorstko — powiedział, starając się ją pocieszyć. — Taka ich natura. Jeśli okoliczności mącą nastrój ludzi spokojnych i zaciemniają światło umysły, pomyśl, co może dziać się z tymi, którzy kierują się najniższymi instynktami?

— To nie to — biadoliła, jakby Alkuin niczego nie rozumiał. — W jego spojrzeniu było coś dziwnego.

Alkuin skinął głową, gładząc japo plecach. Zbierając swoje notatki, uznał, że dość ma kłopotów ze zniknięciem bliźniaczek, by jeszcze teraz dyskutować z zadurzoną panną.

Spytał, jak jej idzie z pergaminem.

— Już prawie skończyłam — odparła. — Muszę jednak wam wyznać, że coś mnie niepokoi.

— Słucham cię uważnie.

Theresa położyła przed Alkuinem szmaragdowy kodeks.

— Aha! Wulgata — stwierdził mnich, przeglądając kartki.

— To Biblia mojego ojca. — Delikatnie ją pogładziła. — Znalazłam ją w krypcie, w której go zamknęto.

— Ładny egzemplarz. Na dodatek napisany greką.

— Nie tylko to. — Wzięła Wulgatę i otworzyła ją mniej więcej pośrodku. — Przed pożarem ojciec powiedział mi, że gdyby coś mu się stało, mam zajrzeć do środka. Wtedy tego nie rozumiałam, w ogóle nie wyobrażałam sobie, że coś mogłoby mu się stać. Ale teraz podejrzewam, że kiedy pracował dla Wilfreda, zaczął bać się o swoje życie.

— Nie rozumiem. O czym mówisz?

Podniosła kodeks i odgięła grzbiet księgi, poszerzając powstały pod nim otwór. Następnie wsunęła do środka palce i wyciągnęła kawałek pergaminu, który następnie rozłożyła, ukazując jego treść.

— Ad Thessalonicenses epistula i sancti Pauli Apostoli. 5.21. „Omnia autem probate, quod bonum est tenere” — przeczytała. — „Wszystko badajcie, a co szlachetne zachowujcie” * — przetłumaczyła.

* **Pierwszy List do Tesaloniczan, 5.21 — Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań 2003.**

— Tak. I co to oznacza? — spytał zdziwiony.

— Na pierwszy rzut oka nic, zatem zrobiłam tak, jak każe cytat: wpatrzyłam oczy, badając Biblię. A teraz spójrzcie tutaj. — Wskazała jeden z akapitów.

— Co to jest? Nie widzę dobrze.

— Bo prawie tego nie widać. Mój ojciec musiał rozcieńczyć tusz wodą, by ledwie zostawiał ślady, ale jak dobrze się przyjrzeć, między jedną linijką a drugą została spisana ledwo widoczna niczym rosa notatka.

Alkuin pochylił się, ale nadal nic nie widział.

— Ciekawe. I jaka jest treść tej notatki?

— Nadal nie jestem pewna. To jakieś daty mające związek z Donacją Konstantyna. Ale ja wierzę, że mój ojciec odkrył w tym coś dziwnego.

Alkuin zakaszlał i spojrzał na nią z zaskoczeniem.

— Wobec tego najlepiej będzie, jeśli sam zajmę się tym kodeksem — stwierdził. — A ty postaraj się skończyć pracę. Ja dalej będę szukać twojego ojca.

Kiedy mnich wyszedł, Theresa poczuła się opuszczona. Brak jej było kogoś, w kim mogłaby znaleźć oparcie, komu mogłaby ufać.

Nagle niespodziewanie zaczęła myśleć o Izamie. Tak bardzo różnił się od Hoosa! Zawsze uprzejmy, dobrze wychowany i gotów przyjść jej z pomocą. Skarciła się za takie myśli, ale nie pierwszy raz go wspominała — jego wyważony sposób mówienia, ciepły głos, jakże miłe oczy... Choć kochała Hoosa, czasem ku własnemu zdziwieniu myślała o Izamie, a to napawało ją niepokojem.

Znów zaczęła się zastanawiać nad dziwnym zachowaniem kochanka, starając się dociec, jakie mogą być tego przyczyny. Miała do niego zaufanie. Naprawdę go kochała. Myślała, że w przyszłości pojedą do Fuldy, gdzie stworzą rodzinę z silnymi, zdrowymi dziećmi, którymi będzie się opiekować i je kształcić. Może wybudują duży dom z kamienia, a nawet postawią obok

stajnię. Przyozdobiłaby go dla Hoosa tkaninami, tak by dom był przytulny, a w pokojach rozsiałyby zapach rozmarynu i lawendy. Zastanawiała się, czy Hoos też ma takie myśli, czy też przeciwnie, w jego życiu pojawiła się inna kobieta, a on już zapomniał, że Theresa go kocha. Wreszcie zabrała się znów do pergaminu, ale przy kolejnym kleksie ponownie zaczęła myśleć o Hossie i uświadomiła sobie, że dopóki się z nim nie rozmówi, niczego nie będzie mogła wykonać rzetelnie.

Odłożyła pióro, wyczyściła przybory i wyszła ze skryptorium gotowa odzyskać mężczyznę, którego kochała.

Od żołnierza pilnującego skryptorium dowiedziała się, że znajdzie Hoosa Larssona w tunelu łączącym składy z fortecą. Kiedy znalazła się w podziemnym korytarzu, Hoos ładował właśnie worki na wózek. Z początku był dość niechętny, ale wobec jej nalegań zostawił pracę, by z nią pomówić.

Theresa powiedziała mu o swoich marzeniach i potrzebach. Wyznała, że pragnie każdego ranka budzić się u jego boku, szyć mu ubranie, sprzątać w domu, dbać o sad i gotować potrawy, jednym słowem, zająć się nim tak, jak na to zasługuje... Przeprosiła go nawet za to, że niechcący mogła zachować się niewłaściwie. On jednak słuchał, jakby nieobecny, niecierpliwie czekając, aż Theresa skończy. Kiedy zażądała od niego odpowiedzi, Hoos wymigał się, mówiąc, że niewiele spał, bo był zajęty szukaniem jej ojca. Powiedział, że przesłuchano pół miasta, sprawdzono wszystkie zakamarki, ale wyglądało na to, że jej ojciec zapadł się pod ziemię. Jego słowa bardzo ją poruszyły.

— Ale czy ty nadal mnie kochasz?

W odpowiedzi Hoos tylko ją ucałował i jej obawy się rozwiały. Theresa była szczęśliwa. Stali wciąż objęci, gdy zaczęła mu mówić o Zenonie i ich wyprawie do krypty.

— Ale dlaczego wcześniej ani słowem o tym nie wspomniałaś? — odsunął się od niej zaskoczony.

Theresa odparła, że stale był zajęty. Poza tym bała się, że ktoś może to usłyszeć i na tej podstawie spróbować złapać jej ojca.

— Oskarżają go o morderstwo — dodała.

Hoos powiedział, że wie o tym, ale Theresa upierała się, że jej ojciec jest niewinny. Zenon amputował mu rękę i może to zaświadczyć. Potem wybuchła płaczem. Hoos opiekuńczo wziął ją w ramiona. Pogładził po włosach, zapewniając, że odtąd wszystko się zmieni, i nalegał, by wybaczyła jego jakże niemądre zachowanie. Na swoje usprawiedliwienie dodał, że wydarzenia go przytłoczyły, ale że kocha ją do szaleństwa i pomoże jej odnaleźć Gorgiasa.

— Pójdę do tej krypty. Czy ktoś jeszcze wie, gdzie się ona mieści? Theresa odparła, że o jej istnieniu wie Alkuin.

Hoos pochylił głowę, powtarzając, by nie ufała mnichowi. Potem poprosił, by wróciła do skryptorium. Gdy tylko się o czymś dowie, powiadomi ją.

* * *

W drodze do skryptorium Theresa przypomniała sobie, że według Alkuina Genzeryk był już martwy, gdy przebito go stylusem, i natychmiast uznała, że Hoos powinien o tym wiedzieć. Przysięgła Alkuinowi, że dochowa tajemnicy, ale tak naprawdę przysięga dotyczyła dokumentu, a nie sprawy, która mogła zaważyć na losie jej ojca. Zawróciła zatem do tunelu, ale w miejscu, w którym rozmawiała z Hoosem, leżały tylko porzucone worki z ziarnem. Po jej ukochanym nie było ani śladu. Zdziwiona rozejrzała się wokół i zauważyła boczne drzwiczki, zza których dobiegały jakieś głosy. Pchnęła drzwi i ruszyła wąskim korytarzem. W głębi dostrzegła dwie słabo oświetlone postaci. Jeden z mężczyzn wyglądał na duchownego. Drugim był sam Hoos Larsson. Szła dalej, aż nagle ze zdziwieniem usłyszała, że rozmawiają o niej.

— Powtarzam ci, że ta dziewczyna stanowi problem. Skoro wie, gdzie jest krypta, może wszystko wygadać. Musimy się jej pozbyć — stwierdził mężczyzna w sutannie.

Thesie zabiło mocniej serce.

— I pozostałych również? Dziewczyna mi ufa i robi, co jej powiem. Nie wie nic o dziewczynkach ani o swoim ojcu i kopalni — zauważył Hoos. — Kiedy skończy dokument, pozbędziemy się jej.

Kleryk pokręcił głową, ale się zgodził. W tym momencie Hoos uznał rozmowę za zakończoną i bez pożegnania ruszył do drzwi. Kiedy Theresa to zauważyła, wybiegła z korytarza, ale potknęła się o jeden z worków i upadła na ziemię. Gdy się odwróciła, usiłując wstać, Hoos stał już nad nią z wyciągniętą dłonią.

— Co tu robisz? — spytał, nie wypuszczając jej dłoni.

— Wróciłam, żeby ci powiedzieć, że cię kocham — skłamała, drżąc ze strachu.

— Na ziemi? — Hoos spojrział na drzwiczki, które zostawił niedomknięte, ale nic nie powiedział.

— Potknęłam się w ciemnościach.

— Dobrze. Wobec tego mi powiedz.

— Co mam ci powiedzieć? — spytała przerażona.

— Że mnie kochasz. Czy nie po to tu przyszedłeś?

— Ach! Tak. — Nadal drżała, siląc się na uśmiech.

Hoos przyciągnął ją do siebie, wciąż nie puszcżając jej dłoni, i pocałował ją w usta. Theresa nie protestowała.

— A teraz wracaj do skryptorium.

Kiedy wreszcie ją puścił, Theresa z całego serca znienawidziła tego wytatuowanego na jego dłoni węża.

* * *

Nie mogła pojąć, co się właściwie dzieje. Sama myśl o tym, że Hoos, mężczyzna, któremu oddała się bez reszty, mógłby usiłować ją zamordować, odbierała jej zdolność logicznego myślenia. Pobieęła do skryptorium, nie patrząc nawet pod nogi. Gnała jak wygnaniec ścigany przez stado bestii. Usiłowała jakoś to wszystko sobie wytłumaczyć, ale nie znajdowała żadnego usprawiedliwienia. Wizerunek jej ojca w kopalni mieszał się ze wspomnieniem Hoosa. Bieęła, a łzy przesłaniały jej wzrok. Kim był ten kleryk, który stał odwrócony tyłem? Może to Alkuin?

Kiedy dobieęła do skryptorium, nikogo w środku nie było, ale strażnik pozwolił jej wejść, bo dobrze ją już znał. Poszukała dokumentu, nad którym pracowała, ale go nie znalazła. A więc Alkuin albo Wilfred musieli go zabrać. Znalazła jednak szmaragdową Wulgatę ojca skrytą pod pergaminami. Wzięła księęę i kilka piór, po czym wymaszerowała ze skryptorium, zamierzając uciec z fortecy.

Szła korytarzami, omijając ciemne kąty, jakby bała się, że ktoś może ją zaatakować. Kiedy przechodziła obok zbrojowni, jakiś mężczyzna w sutannie stanął jej na drodze. Theresa zamarła, ale duchowny zwrócił jej tylko uwagę na pióro, które wypadło na posadzkę. Dziewczyna podniosła je, podziękowała i ruszyła dalej, coraz bardziej przyspieszając kroku. Zeszła po schodach i skreęciła w galerię łączącą hol z kruęzgankiem klasztoru. Tamteędy zamierzała wyjść na dziedziniec, a potem za mury fortecy.

Szła z pochyloną głową, starając się ukryć twarz pod kapturem, gdy nagle zauważyła Hoosa i Alkuina rozmawiających po przeciwnej stronie kruęzganka. Hoos teęż ją zauważył. Uciekła wzrokiem i szła dalej, ale Hoos pożegnał się z Alkuinem i szybko ruszył w jej stronę. Theresa była już niemal przy wyjściu. Na dziedzińcu zaczęła biec, ale gdy zbliżyła się do murów, z przerażeniem stwierdziła, że bramy są zamknięte. Obejrzała się i zobaczyła, że Hoos zmierza w jej kierunku powoli, lecz zdecydowanym krokiem. Serce zabiło jej w piersiach. Odwróciła się, zrozpaczona, szukając jakiejś drogi ucieczki. Nagle zobaczyła Izama na koniu tuęż obok stajni. Pobieęła do niego i krzyknęła, by

pomógł jej wsiąść na konia. Izam nie rozumiał, o co chodzi, ale podał jej dłoń i wciągnął na siodło. Wtedy Theresa łamiącym się głosem poprosiła, by wywiózł ją z fortecy. Izam o nic nie pytał. Spiął konia ostrogami i rozkazał swym ludziom otworzyć bramę. Chwilę później wyjechali z cytadeli, zostawiając za sobą rozeźlonego Hoosa.

Izam poprowadził konia labiryntem uliczek aż do opuszczonych szafasów na przedmieściach. Tam zeskoczył z konia obok jakiejś stajni, która sprawiała wrażenie opustoszałej, wprowadził rumaka do środka i go przywiązał. Potem zgarnął siano i poprosił Theresę, by usiadła. Kiedy uznał, że dziewczyna nieco ochłoneła, spytał, co się stało. Theresa próbowała odpowiedzieć, ale płacz sprawił, że słowa uwięzły jej w gardle. Izam, choć bardzo się starał, nie zdołał jej pocieszyć. Po jakimś czasie Theresa wypłakała wszystkie łzy i wpadła w przygnębienie. Zaskoczony własnym zachowaniem Izam odważył się ją objąć. Theresa poczuła się pokrzepiona myślą, że ktoś ją osłania.

Kiedy wreszcie się uspokoiła, opowiedziała mu o zdarzeniu w tunelu. Powiedziała, że słyszała, jak Hoos groził, że ją zabije, i że wie, gdzie przebywa jej ojciec. Zaczęła tłumaczyć Izamowi, że Gorgias nie jest mordercą i że muszą go znaleźć, bo z pewnością grozi mu niebezpieczeństwo. Ale Izam namówił ją, by najpierw skończyła opowieść.

Powiedziała mu wszystko, co wiedziała, pomijając jedynie sprawę dokumentu Konstantyna. Młodzieniec wysłuchał jej uważnie i zaczął dopytywać się o rolę w tym wszystkim Alkuina, ale na to Theresa nie potrafiła odpowiedzieć. Po namyśle Izam obiecał jej pomoc.

— Ale dopiero jutro rano. Teraz już zmierzcha i gdybyśmy o tej porze zapuścili się do kopalni, bylibyśmy łatwym kąskiem dla bandytów.

Theresa zaczęła kląć Sasów, których nienawidziła z całego serca. Przypomniła sobie napaść, której padła ofiarą, gdy uciekła z Wiirz-burga, zacięty atak podczas podróży statkiem i to, że gdy wreszcie raz mogli zrobić coś dobrze, nie trafili w tego łajdaka Hoosa Larssona. Ze zdziwieniem wysłuchiwała Izama, który był innego zdania.

— Nie sądzę, że to Sasi. Raczej jacyś bandyci. Lud ich nie rozróżnia, bo dla nich poganin to samo zło, a zło to Sasi, ale ci spośród nich, którzy jeszcze stawiają opór, ukrywają się na północy, za granicą Renu.

— Nieważne: bandyci czy Sasi. Wszyscy są naszymi wrogami.

— Oczywiście i sam walczę z nimi ze wszystkich sił, ale choć może wydawać ci się to dziwne, nigdy nie żywiłem nienawiści do Sasów. Koniec końców ci ludzie bronią jedynie swoich ziem, dzieci, wierzeń. Są prostacy,

tak. I okrutni. Ale jak byś się zachowała, gdybyś obudziła się któregoś ranka i odkryła, że wojska najeźdźców równają z ziemią wszystko, co posiadasz? Ci poganie walczą o to, co wyskali z mlekiem matki, o sposób życia, który jacyś obcy przybywający z daleka usiłują im odebrać. Muszę przyznać, że czasem podziwiałem ich odwagę i zazdrościłem im energii. Wierzę nawet, że naprawdę nienawidzą Boga, bo często walczą jak diabły. Ale zapewniam cię, że ich wina polega jedynie na tym, że urodzili się nie tam, gdzie trzeba.

Theresa patrzyła na niego zdumiona. Choć Sasi, podobnie jak wszyscy inni, byli dziećmi Boga, jak poprowadzić ich ku prawdzie, skoro odmawiają jej przyjęcia? A poza tym co ją, u licha, obchodzą Sasi? Hoos jest prawdziwym diabłem, należy do najgorszego gatunku, z jakim można mieć do czynienia. Jedyne mężczyzna, który ją poruszył, okazał się oszustem. Nienawidziła go teraz tak mocno, że mogłaby rozszarpać na kawałki. Żałowała, że była tak naiwna, że pragnęła wyjść za niego i oddać swoje życie w ręce takiej bestii.

Nie wiedząc już, czy drży z zimna, czy z wściekłości, zapomniała o wszystkim, co miało związek z Hoosem, i oparła głowę na piersiach

Izama. Bijące od niego ciepło dodało jej otuchy. Kiedy spytała, gdzie spędzą noc, ze zdziwieniem usłyszała, że zostaną w szałasie, bo Izam nie ma w fortecy do nikogo zaufania. Młodzieniec okrył ją swym płaszczem i wyjął z sakwy kawałek sera. Kiedy poczęstował Theresę, dziewczyna odmówiła, ale on odłamał kawałek i zmusił ją, by go zjadła. Jej usta otarły się o jego palce.

Kiedy Theresa jadła, Izam zaczął żałować, że nie ma więcej sera, by znów dotknąć jej ust. Potem przypomniał sobie dzień, w którym się poznali. Wówczas spodobał mu się jej dworny wygląd, miodowe oczy i niesforne włosy, tak inne od zaróżowionych pulchnych dziewczątek, które mieszkały w Fuldzie. Ale później oczarowała go jej zuchwałość i porywczość. Co ciekawe: to, że Theresa potrafiła czytać, rzecz, która drażniła każdego mężczyznę, jego akurat fascynowała. Uwielbiał zapał, z jakim go słuchała, sam zaś lubił, gdy opowiadała porywające historie o swym rodzinnym Konstantynopolu.

A teraz był przy niej, chroniąc ją przed nie wiadomo jak dziwną historią, nie mając pojęcia, ile w niej prawdy, a ile fantazji.

ROZDZIAŁ 28

Kiedy Gorgiasa obudziły głosy, w kopalni już zapadał zmierzch. Zdażył jedynie nakryć się workiem i przeturlać do kąta, gdzie się ukrył. Padając na ziemię, uderzył się w kikut i przeszył go dotkliwy ból. Skulił się i czekał w ciszy, modląc się do Boga, by noc go obroniła. Będąc pod osłoną mroku panującego w barakach, usłyszał zbliżające się głosy, które wkrótce przeistoczyły się w dwóch mężczyzn niosących pochodnie. Jeden z nich był wysoki i jasnowłosy, drugi wyglądał na księdza. Intruzi rozdzielili się i zaczęli rozglądać po baraku, kopniakami rozrzucając stojące w nim sprzęty. Jasnowłosy przez krótką chwilę kręcił się w pobliżu jego kryjówki, drugi zaś czekał. Gorgias obawiał się, że lada moment zostanie odkryty, ale w końcu jasnowłosy odwrócił się, dał znak duchownemu, po czym wspólnymi siłami ułożyli dwa wypchane worki kilka kroków od kryjówki Gorgiasa. Potem odwrócili się i tak jak się zjawili, tak znikli w ciemnościach.

Gorgias odczekał skulony w kryjówce, bo wolał upewnić się, że mężczyźni nie zamierzają wrócić. Po dłuższej chwili wychylił głowę i spojrzał na porzucone tłumoki. Nagle jeden z nich zaczął się poruszać. Gorgias aż podskoczył z wrażenia. Cekał, zastanawiając się, czy nie jest to przypadkiem jakieś ranne zwierzę, więc gdy worek znieruchomiał, postanowił się zabezpieczyć. Jakoś wydostał się z kryjówki i podczołgał do worków.

Poruszał się z wielkim trudem. W poprzednim tygodniu z jego ręką było już tak źle, że przez kilka dni nie mógł się podnieść i przez to nic też nie jadł. Gorączka mówiła mu, że umiera. Gdyby miał dość sił, wróciłby do Wurzburga, ale już od pewnego czasu miał takie dreszcze, że brak mu było tchu.

Doczołgał się do pierwszego tobołka i pomacał go kijem. Gdy przycisnął kij, stwierdził, że coś kuli się w środku i trzęsie, wydając jęk. Odczekał chwilę w ciszy i znów usłyszał jakby zawodzenie. Zbliżył się powoli, wystraszony, by odwiązać tobolek, po czym, całkiem osłupiały, uczynił to samo z drugim. Kiedy skończył, jego oczy przypominały dwa wielkie talerze. U jego stóp, zakneblowane kuchennymi szmatkami, leżały bliźniaczki Wilfreda.

Natychmiast rozwiązał krępujące je sznury, posadził tę, która oddychała, i zdenerwowany poklepał po twarzy drugą, która spała. Nie zareagowała. Zaczął podejrzewać, że dziewczynka nie żyje, ale gdy uniósł jej brodę, zakaszłała i zaczęła domagać się płaczliwie przyjścia taty. Gorgias uznał, że jeśli ci ludzie usłyszą płacz, wrócą i zabiją dziewczynki, więc zawlókł je do jednego z

podziemnych korytarzy, gdzie ukrył się, mając nadzieję, że skała wyciszy hałasy. Tam dziewczynki zapadły w dziwny letarg.

Podobnie jak w poprzednich dniach tak i teraz Gorgias nie mógł spać. Choć zżerała go gorączka, obecność dziewczynek przywróciła mu jasność umysłu, której od pewnego czasu mu brakowało. Wstał i się im przyjrzał. Ich buzie były lekko sine, więc obudził je delikatnym kołysaniem, jakby bał się, że zrobi im krzywdę. Kiedy wreszcie się ocknęły, uniósł nieco tę bardziej przytomną, odgarnął zmierzwione loki i usadził niczym szmacianą lalkę. Dziewczynka zachwiała się i uderzyła głową w wagonik, o który była oparta, ale zachowała równowagę. Gorgias miał wrażenie, że jest odurzona, bo nawet nie jęknęła. Ale druga dziewczynka nadal nie doszła do siebie. Jej puls był ledwo wyczuwalny. Skropił jej twarz wodą, której zapas trzymał w tunelu, ale na to również nie zareagowała. Nie wiedział, czy właśnie z tego powodu mężczyźni porzucili dziewczynki, ale jednego był pewien. Jeśli nie zaprowadzi ich do Wurzburga, niechybnie zginą.

Gdy słońce budziło się do życia, postanowił wyciągnąć bliźniaczki na zewnątrz. Było zimno, co zwiastowało nadchodzącą burzę. Zachodził w głowę, jak ma je przetransportować, skoro sam ledwie trzyma się na nogach. Rozejrzał się po okolicy i w końcu znalazł drewnianą skrzynię, do której przywiązał sznur. Drugim końcem sznura obwiązał się w pasie i zaciągnął skrzynię po błocie do miejsca, w którym zostawił dziewczynki. Ostrożnie ułożył je w środku, tłumacząc, że to taka mała karoca, ale i tak dziewczynki nadal były odurzone. Pogłodził je po główkach i pociągnął skrzynię. Ta ani drgnęła. Usunął kamienie, które mogły ją blokować i pociągnął raz jeszcze. Wtedy skrzynia ruszyła się i zaczęła posuwać za Gorgiasem w stronę Wurzburga.

* * *

Nie uszedł nawet pół kilometra, gdy zapadł się w błoto. Za pierwszym razem zdołał się podnieść. Za drugim padł zemdlony.

Leżał twarzą w błocie, aż płacz jednej z dziewczynek zmobilizował go do dalszej drogi, ale nie znalazł dość sił, by się podnieść. Dyszał ciężko jak ranne zwierzę. Odczołgał się na bok. Potem łapiąc z trudem oddech, uświadomił sobie, że nie zdoła wykonać tego, co zamierzał. Kikut znów zaczął mu dokuczać. Ból przeszywał go aż po płuca, choć on nie zwracał już na to uwagi. Oparł się o skałę i zapłakał z rozpacz. Nie martwił się o swoje życie. Pragnął jedynie uratować te dzieci.

Z tego miejsca roztaczał się widok na Wurzburg. Gorgias podziwiał rój chałupek stłoczonych za murami, nad którymi sprawowano pieczę z

wierzchołków fortecznych wież. Zateśnił za czystym niebem naznaczonym smugami dymu unoszącego się z kominów i za pierwszymi przejawami wiosny okraszającej zielenią pola, które teraz zdawały mu się takie dalekie. Pocięszył się myślą, że w tej właśnie ziemi spoczywa już jego córka, on zaś wkrótce do niej dołączy.

Nagle jego uwagę przykuły dymiące szczeliny i wpadł na pewien pomysł. Wyciągnął dziewczynki ze skrzyni i odciągnął je na bok. Potem ostatnimi siłami rozdeptał skrzynię, aż został z niej tylko stos drewna. Następnie wyjął swoje krzesiwo i przytrzymał między stopami krzemień, kierując iskry w stronę suchej szmatki, którą położył na deskach. Potem potarł żelazo, prosząc Boga, by szmatka zajęła się ogniem, ale żadne modlitwy na nic się zdały. Mimo to próbował raz za razem, dopóki nie opuściły go siły. Wówczas zniechęcony wyrzucił krzesiwo, przeklinając swój pech.

Po chwili przypomniał sobie o dokumencie, który ukrył za belką w barakach kopalni. Pomyślał, że pergamin doskonale by się spisał zamiast huby, ale gdy wstał, by po niego pójść, cały świat zawirował przed jego oczami.

Pojął, że nigdy się stąd nie wydostanie. Dziewczynki były cicho, jakby jakaś narkotyczna substancja wciąż utrzymywała je w stanie odurzenia. Podczołgał się do miejsca, w którym leżało krzesiwo. Postanowił raz jeszcze spróbować. Złapał kawałek żelaza i rzucił nim z całych sił o krzemień. Ku jego zdziwieniu tym razem iskry wystrzeliły świetlistym strumieniem i spadły rześnym deszczem na wełniany gałganek. Gorgias powtórzył tę samą operację, dmuchając na iskry i trąc ile sił. Nagle rąbek szmatki zapalił się. Gorgias znów zaczął dmuchać, aż obok pojawiła się kolejna złota cętka, która zaraz rozbłysła żywą czerwienią. Zachęcony tarł dalej krzesiwo, a rozżarzonych cząstek przybywało. Potem pojawiły się drobne smużki dymu, które stawały się coraz silniejsze i wreszcie drgający płomień zaczął trawić szmatkę.

Gorgias modlił się, żeby w Wurzburgu dostrzeżono ogień. Gdyby tak się stało, spodziewał się, że ktoś tu podejdzie, a wówczas on sam, upewniwszy się, że dziewczynki zostały znalezione, znów ucieknie do kopalni. W tym momencie zauważył, że ogień słabnie, więc podsycił go deskami, które zostały ze skrzyni. Jednak ogień błyskawicznie pochłaniał wszystko, co Gorgias mu podsuwał, i powoli zaczął niknąć, aż w końcu pozostała po nim jedynie kupa popiołu.

Kiedy żar wygasł, Gorgias spojrzał na palenisko z goryczą. Pod wpływem głupiego pomysłu zniszczył jedyny środek, jakim dysponował, by przetransportować dziewczynki, i teraz pozostawało mu jedynie czekać, aż

mróz i dzikie zwierzęta położą kres ich życiu. Zdjął płaszcz i okrył nim bliźniaczki. Przez chwilę miał wrażenie, że ta bardziej przytomna uśmiechnęła się do niego. Potem zwinął się w kłębek obok nich, by ogrzać je swoim ciałem, i zasnął, śniąc o swej córce.

* * *

Wiedział, że umarł, bo gdy tylko uniósł powieki, ujrzał przed sobą Theresę. Zobaczył ją w jasnej aureoli, tryskającą radością z wielkimi, wilgotnymi oczami barwy miodu, potarganymi włosami, których nigdy nie sposób było okiełznać, i usłyszał jej ciepły, miły głos. Miał wrażenie, że czuje, jak Theresa go obejmuje. Słowa córki przynosiły mu ulgę. Towarzyszył jej anioł o ciemnych włosach i miłym wyrazie twarzy.

Próbował coś powiedzieć, ale zdołał jedynie wydobyć z siebie jęk. Nagle poczuł, że go unoszą. Jak przez mgłę dostrzegł, że obok niego wciąż leżą dziewczynki. Potem zauważył pozostałości po ognisku. Nic nie rozumiejąc, spojrzął znów na córkę. Pozwolił, by wzięła go w ramiona, i znów stracił przytomność.

* * *

Mimo starań Izam nie zdołał pocieszyć Theresy.

Dziewczyna tak bardzo pragnęła odnaleźć ojca, że gdy tego ranka zauważyła ogień w pobliżu kopalni, zaczęła płakać, uznając za pewnik, że znajdzie go żywego. Gdy przebyli całą drogę i znaleźli Gorgiasa przytulonego do dziewczynek, podbiegła do niego, szlochając z radości, a gdy przekonała się, że żyje, tuliła go w ramionach tak długo, dopóki Izam nie zasugerował, że powinni wrócić do osady.

Ruszyli w drogę powrotną. Theresa prowadziła konia, Izam szedł piechotą, niosąc dziewczynki, a Gorgias leżał bezwładnie na grzbiecie konia. Z początku Theresa tryskała radością: mówiła do ojca, choć ten jej nie słyszał, opowiadała mu, gdzie była, co się wydarzyło w Fuldzie i jak bardzo za nim tęskniła. Jednak w miarę jak szli naprzód, zaczęła sobie uświadamiać, że Gorgias jej nie słyszy, rana na kikucie zaś cuchnie padliną. Kiedy wspomniała o tym Izamowi, ten zacisnął wargi i pokręcił głową.

— Chcę powiedzieć... że będzie musiał go obejrzeć medyk — poprawił się, uświadamiając sobie, jaką zrobił minę. — Na pewno mu pomoże.

Mimo pocieszających słów nic nie mógł poradzić na to, że Theresa głęboko się zaniepokoiła. Aby odciągnąć jej uwagę, zaczął mówić o bliźniaczkach.

— Ktoś musiał zostawić je w kopalni — powiedział.

Theresa nic nie odpowiedziała. Było oczywiste, że jej ojciec nie byłby w stanie przenieść nawet kury.

* * *

Pokonali już połowę drogi, gdy nagle, kiedy weszli na wzniesienie, dostrzegli tłum chłopów, którzy szli w ich stronę, potrząsając widłami i kosami. Przewodziła im grupa żołnierzy, którzy ledwie ich zobaczyli, natychmiast kazali im się zatrzymać. Izam podejrzewał, że chodzi im o nagrodę wyznaczoną przez Wilfreda, ale nie rozumiał, jak ich znaleźli. Na szczęście dostrzegł wśród nich Gratza, jednego ze swych zaufanych ludzi, do którego się zwrócił, by łucznicy opuścili broń. Jednak nim żołnierze wykonali polecenie, kilku zaślepionych chciwością chłopów już biegło w ich stronę. Izam natychmiast zostawił dziewczynki na ziemi i dobył z pochwy szpadę, ale nim zdążył jej użyć, pierwszy z chłopów padł przebity strzałą. Izam spojrzął na Gratza, który trzymał jeszcze uniesiony łuk. Pozostali chłopci gwałtownie się zatrzymali, jakby złapani na arkan. Jeden z nich rzucił broń na ziemię, a pozostali natychmiast poszli w jego ślady. Potem żołnierze wysunęli się naprzód, kuksańcami odepchnęli grupę zapaleńców i wzięli Izama oraz bliźniaczki na konie.

* * *

W drodze do Wurzburga Gratz poinformował Izama, że ktoś wskazał miejsce pobytu bliźniaczek.

— Zdaje się, że jakiś zakapturzony człowiek zwierzył się któremuś z księży, a ten z kolei przekazał wiadomość Wilfredowi. Dziś rano otrzymaliśmy rozkaz zorganizowania obławy.

Izama zdziwiło, że donosiciel wiedział, gdzie są bliźniaczki, a zarazem obwiniano Gorgiasa o to, że je porwał.

Podziękował Gratzowi za pomoc i jechali dalej aż do bram cytadeli, gdzie oczekiwał wzburzony tłum.

Ledwie otwarto bramę, zobaczyli Wilfreda na wózku. Hrabia trzasnął z bicia i psy pociągnęły fotel, który turkoczając, ruszył ciężko naprzód, zostawiając z tyłu Alkuina, Zenona i Rutgardę. Wszyscy troje z zapartym tchem śledzili rozwój wydarzeń. Kiedy hrabia dojechał do bramy, Izam wysunął się naprzód z obydwoma dziewczynkami. W chwili gdy Wilfred je objął, lud zaczął wreszcie świętować koniec koszmaru.

* * *

Gdy znaleźli się już w fortecy, Theresa gryzła ze zdenerwowania paznokcie, czekając, aż Zenon i akuszerka zbadają dziewczynki. Na koniec zarówno

medyk, jak i kobieta stwierdzili, że nie ma śladów gwałtu ani przemocy. Bliźniaczki wkrótce miały dojsć do siebie. Kiedy

Zenon poszedł zbadać Gorgiasa, Wilfred mu to uniemożliwił i kazał przenieść go do lochów.

Theresa prosiła i błagała o udzielenie pomocy ojcu, ale Wilfred był nieugięty do tego stopnia, że zagroził, że jeśli dalej będzie nalegać, ją również zamknie. Dziewczyna stwierdziła, że jest jej to obojętne, ale Izam siłą zaciągnął ją do drugiej komnaty.

— Zostaw mnie!—zaczęła go bić, szlochając. Izam usiłował ją uspokoić.

— Nie rozumiesz, że w ten sposób niczego nie osiągniesz? Obiecuję, że postaram się, by miał dobrą opiekę.

Theresa dała się przekonać, bo nerwy odmawiały jej posłuszeństwa. Gdy wróciła do sali kapitulanej, zauważyła Hoosa rozprawiającego o czymś z Alkuinem. Instynktownie odsunęła się od niego i skryła za Izamem. Ten ruszył w stronę Hoosa, ale Hoos odwrócił się i wyszedł z sali.

Kiedy Izam i Theresa zaczęli się posilać w jednej ze stajni wśród siana i słomy, Izam zwierzył jej się, że nie licząc dwu czy trzech podwładnych, nikomu nie ufał.

— Nawet temu Alkuinowi. Znam go z dworu, to prawda. Jest mądrym i szanowanym człowiekiem, ale sam nie wiem... Po tym wszystkim, co mi opowiedziałaś...

Theresa skinęła głową, ale prawie go nie słuchała. W tej chwili zależało jej tylko, by medyk jak najszybciej zajął się jej ojcem. Kiedy przypomniała o tym Izamowi, ten zapewnił, że zaraz po posiłku pójdzie po Zenona. Zasięgnął już informacji i teraz należało jedynie sownie go opłacić.

— Powiem, że muszę przesłuchać twojego ojca. Nie sądzę, by mi w tym przeszkadzono.

Theresa koniecznie chciała mu towarzyszyć, ale Izam uważał, że wówczas nabrano by podejrzeń.

— A więc przekup tych, którzy go pilnują, albo powiedz, że moja obecność jest nieodzowna, bo inaczej nie zechce mówić.

— Oczywiście: ty, ja, Zenon... i kto jeszcze? To nie jest przyjęcie powitalne.

Theresa spojrzała na niego zdruzgotana. Nagle odsunęła talerz i pobiegła do wyjścia. Izam pojął, że jego odpowiedź była zbyt szorstka, więc ruszył za nią, przepaszając za swe zachowanie. Przyznał, że jest zdenerwowany, bo nie wie, z kim przyszło im się zmierzyć.

— Nie widziałaś Wilfreda? Gdyby mógł, zabiłby twojego ojca samym spojrzeniem — powiedział.

— Jeśli to kwestia pieniędzy, na miłość boską, powiedz mi. W Ful-dzie mam ziemię.

Zapomniała, że Izam doskonale o tym wie.

— To nie jest kwestia pieniędzy, Thereso! Zamordowali dwie osoby, a nawet trzy, jeśli policzyć pergamenariusza. A dwie dziewczynki albo zaniemogły, albo Bóg jeden wie, co im dolega. Jeśli nie zachowamy ostrożności, będziemy następni w kolejce.

Theresa zagryzła wargi, ale wciąż upierała się, że musi zobaczyć się z ojcem. Izam zrozumiał, że nie odpuści. Wtedy kazał jej obiecać, że do czasu, aż wszystko się wyjaśni, będzie trzymać się blisko niego.

— A skrytorium? Obiecałam Alkuinowi, że mu pomogę.

— Na Boga! Zapomnij o skrytorium, o Hoosie i o przekętym Alkuinie! A teraz poszukamy tego medyka, nim wypije całe wino z piwnic.

Znaleźli Zenona w jednej z chałupek, gdzie zajmował się chłopem, który stracił w bójkę trzy zęby. Kończąc opatrywanie pacjenta, Zenon spytał, co ich tu sprowadza. Izam udał, że interesuje go stan zdrowia bliźniaczek. Kiedy ranny wyszedł, Izam wyjawiał swoje prawdziwe zamiary.

— Żałuję, ale Wilfred zabronił mi się do Gorgiasa zbliżyć — powiedział medyk, ścierając z dłoni krew. — Choć nie rozumiem dlaczego: przecież ten skryba tak czy owak wyzionie ducha.

Słyszając takie rokowanie, Izam ucieszył się, że Theresa czeka na zewnątrz.

— Skoro i tak umrze, co szkodzi, że go obejrzycie — powiedział, potrząsając pełną sakiewką.

Ostatecznie przekonał Zenona, zapewniając, że załatwi zmianę wartownika na jednego ze swych zaufanych ludzi. Zenon zażądał zapłaty z góry, ale Izam dał mu tylko dwie monety. Kiedy wyciągnął po nie rękę, Izam złapał go za nadgarstek.

— Jedno ostrzeżenie: masz być trzeźwy albo będziesz następnym w kolejce do załatania gęby.

Zenon zaśmiał się nerwowo. Nim się rozeszli, ustalili, że spotkają się po sekście. Izam spodziewał się, że do tego czasu przekona Wilfreda o konieczności wzmocnienia straży w lochach. Potem odprowadził Theresę do jej komnaty, skąd miała zabrać niezbędne rzeczy. Wolał, by dłużej tam nie przebywała. Dziewczyna wzięła ubranie, rylec, woskowe tabliczki i poszli do pokoju Izama.

— Co zamierzasz? — spytała, gdy zamknęły się za nimi drzwi. Izam odpiął szpadę i rzucił na stół. Powiedział, że zasugeruje

Wilfredowi wzmocnienie straży przy pomocy jednego z jego ludzi, a potem poczeka, aż wartownik Wilfreda sobie pójdzie.

— Coś wymyślę, tak żeby Gratz pilnował wejścia.

Poprosił Theresę, by na niego poczekała i pod żadnym pozorem nie opuszczała pokoju. Potem wziął sztylet i schował go pod płaszczem. Kiedy wychodził, Theresa go zatrzymała. Bała się, że Hoos ją zaatakuje, ale Izam zapewnił, że jest bezpieczna. Wyszedł na korytarz i zawołał trzymającego straż żołnierza. Młodzieniec, pokryty krostami gołowąs, skwapliwie przytaknął, gdy Izam przykazał mu, by nikogo nie dopuszczał pod drzwi. Po odejściu Izama Theresa skuliła się na sienniku, czekając na jego powrót.

* * *

Leżała, wpatrując się w sufit i rozmyślając, z jakiego powodu Wilfred postanowił wrzucić Gorgiasa do lochów, ale po pewnym czasie postanowiła jeszcze raz przejrzeć Wulgatę, którą miała w sakwie. Przysunęła się do okna, znalazła werset z Listu do Tesaloniczan i przejrzała notatki, które jej ojciec spisał rozwodnionym tuszem. W sumie doliczyła się sześćdziesięciu czterech zdań, a raczej sześćdziesięciu czterech linijek, albowiem nie były to zdania czy akapity, lecz następujące po sobie słowa odnoszące się do znanego pergaminu. Wyjęła go z sakwy, ale na nic jej się to nie przydało. Wiedziała, że te słowa muszą mieć jakiś sens, więc zaczęła je przepisywać na woskowej tabliczce. Kiedy skończyła, położyła tabliczki na sienniku i sztyletem, który zostawił jej Izam, zeskrobała tekst ukryty w Wulgacie. Potem zamknęła kodeks, schowała pergamin Gorgiasa pod suknią i czekała na powrót Izama.

Minęło zaledwie kilka chwil, gdy nagle ktoś zaczął walić do drzwi. Na sam dźwięk Theresa zadrżała ze strachu i cofnęła się pod ścianę.

Zimny kamienny mur wbijał się jej w łopatki. W tym samym momencie z przerażeniem usłyszała czyjś wrzask. Zasłoniła dłonią usta i cofnęła się pod okienny parapet, widząc, jak pod progiem drzwi rozlewa się kałuża krwi. Ktoś zaczął manipulować przy zamku. Theresa wyjrzała przez okno. U podnóża muru ciągnęła się fosa. Jeśli wypadnie, niechybnie zginie. Nagle zamek ze zgrzytem ustąpił. Theresa przeżegnała się i przeskoczyła na drugą stronę, trzymając się występow. Zawieszona nad przepaścią błagała Boga o pomoc. Tymczasem w środku ktoś demolował pomieszczenie. Wkrótce ramiona zaczęły jej drżeć, zwiastując rychły brak sił. Rozejrzała się i zobaczyła gwóźdź, który zwykle wbijano pod oknem, by suszyć na nim żywność. Gdyby

się go złapała, poraniłby jej dłoń, ale być może zawisnie na nim na swej sukni. Próbowwała to uczynić, ale wtedy jedna jej dłoń poślizgnęła się. Wówczas, akurat w chwili gdy druga ręka zaczęła tracić oparcie, zdołała zaczepić suknię o gwóźdź. Przez chwilę czuła, że spada w przepaść, ale nagle czyjaś dłoń złapała ją za nadgarstek. Theresa krzyknęła i usiłowała się uwolnić, ale druga dłoń, trzymając ją silnie, podciągnęła do góry. Spodziewała się, że ją zasztyletują. Jednak jej obawy rozwiały się, gdy w oknie zobaczyła jakże miłe oblicze Izama. Wciągnął ją do celi i mocno objął, prosząc, by się uspokoiła.

Wciąż zatrwożona pomogła mu pozbierać rozrzucone na ziemi przybory, Izam zaś zajął się leżącym w progu wartownikiem. Theresa podejrzewała, że jest ranny, ale gdy ujrzała strumień krwi, zrozumiała, że go zamordowano. Szlochając, padła na siennik. Izam spytał, kim byli napastnicy, ale Theresa ich nie widziała. Potem przeszukawszy wszystkie kąty, odkryła, że ukradziono jej Wulgatę.

* * *

Dwaj słudzy zajęli się nieboszczykiem. Potem, po udzieleniu stosownych wyjaśnień, Izam i Theresa przenieśli się w bezpieczne miejsce. Choć Theresie żal było Wulgaty, cieszyła się, że napastnicy wzgardzili woskowymi tabliczkami, na których przepisała ukryty tekst. Kiedy szli w stronę jednego z dziedzińców, Theresa zastanawiała się, czy za tą napaścią nie stał Alkuin, tylko on bowiem wiedział o tym tekście.

— To musiał być on — zawyrokowała.

Postanowili zażądać od niego wyjaśnień, ale skryptorium było zamknięte na cztery spusty.

Poczekali w jednym z atriów, zastanawiając się nad znaczeniem wiadomości ukrytej w skradzionej Wulgacie. Theresa wyznała Izamowi, że nie rozumiała ani słowa.

— Ale mój ojciec nam pomoże — stwierdziła z przekonaniem. Izam skinął głową i spojrzał na niebo, sprawdzając, która jest

godzina. Wkrótce miał przyjść medyk, by udzielić pomocy Gorgiasowi.

Kilka minut po ustalonej porze zjawił się Zenon, trzymając w dłoni swą sakwę. Znowu czuć było od niego winem. Izam zapłacił mu ustaloną kwotę i razem ruszyli do lochów.

Theresę zdziwiło, że więźniów trzymano w dawnych lodowniach. Były to podobne do silosów dziury wydrążone w skale, które po napełnieniu śniegiem pozwalały przechowywać żywność aż do nadejścia lata. Jako że zimą z nich

nie korzystano, czasem służyły jako magazyn albo gdy zaszła taka potrzeba — jako więzienne lochy.

— Trzymano w nich złodziei, ale my wtrącamy do nich większych przestępców — stwierdził Zenon, jakby to on był za to odpowiedzialny. — Spuszczamy ich do studni, skąd nie wychodzą już żywi. Czasem, w zależności od popełnionego przestępstwa, wrzucamy im chleb, patrząc z góry, jak zabijają się o każdy okruszek, ale w końcu i tak gniją tam jak zwierzęta.

Izam poprosił go, by oszczędził szczegółów, ale Zenon gadał dalej, jakby Theresy w ogóle z nimi nie było. Umilkł dopiero, gdy Izam złapał go za koszulę.

Lodownie mieściły się w podziemiach pod kuchniami, dokąd można było się dostać przez piwnicę albo przez wejście w pobliżu stajni. Wybrali pierwszą drogę, druga stanowiła bowiem wąski korytarz, używany jedynie do zrzucania śniegu zwiezionego na grzbietach wierzchowców.

Kiedy doszli do lodowni, natrafili na Gracza, wartownika postawionego tam przez Izama. Gracz zaczął ich ponaglać, by zdążyli przed powrotem drugiego strażnika, którego udało mu się wywabić dzięki pewnej prostytutce. Zenon i Izam zeszli do lodowni po drewnianej drabince, którą przystawił Gracz. Theresa czekała na górze, bo Zenon twierdził, że jej obecność będzie mu przeszkadzała. Zza cembrowiny Theresa widziała, jak Zenon, kręcąc głową, ogląda bliźnię na ramieniu Gorgiasa. Jego ojciec ledwie dobywał z siebie niewyraźne dźwięki i gwałtownie jęknął, gdy Izam posadził go, by medyk mógł go zbadać. Zenon wyjął jakiś napój, którym napił Gorgiasa, ale ten zwymiotował, na co medyk zaklął siarczyście. Potem wstał i zaczął wspinać się po drabince.

— Zejdź, jeśli chcesz — powiedział Theresie.

— Co z nim? — spytała.

Zenon splunął na ziemię. Bez słowa upił łyk napoju i odsunął się od cembrowiny. Theresa życzyła mu, by on również zwymiotował. Ze studni dochodził ponaglający szept Izama.

Na dole dziewczyna spostrzegła, że ojciec patrzy na nią ze zdziwieniem.

— To ty? — szepnął.

Theresa objęła go, starając się, by nie zauważył łez, które płynęły jej z oczu.

— To ty, moja córko?

— Tak, ojcze, to ja, Theresa. — Ucałowała go, mocząc jego twarz swymi łzami. Gorgias prawie na nią nie patrzył, zupełnie jakby jego oczy nie należały

już do niego. — Wydostanę cię stąd. Wszystko będzie dobrze — obiecała, całując go.

— Dokument...

— Co mówisz, ojcze?

— Pergamin... — powtórzył szeptem Gorgias, a jego źrenice zwężyły się.

Theresa rozplakała się. Oczy jej ojca przypominały dwa matowe paciorki.

— Słysząc jakieś hałasy — ostrzegł Izam.

Theresa go nie słuchała. Izam złapał ją za ramię, ale stawiała mu opór.

— Sic erunt novissimi primi, et primi novissimi... — powiedział Gorgias słabym głosem.

— Idziemy, bo inaczej nas odkryją! — nalegał Izam.

— Nie mogę go tu zostawić! — zaszlochała Theresa.

Izam złapał ją w talii i zmusił, by weszła na drabinkę. Gdy znaleźli się już na górze, obiecał, że wrócą po niego, ale teraz muszą się ukryć. Gratz wciągnął drabinkę akurat w chwili, gdy strażnik Wilfreda wracał, nucąc pod nosem i drapiąc się między nogami. Zdziwił się na widok gości, ale kilka monet przekonało go, że Izam i Theresa przyszli właśnie z kuchni. Kiedy opuścili podziemie, Theresa zaczęła wątpić, czy ojciec wyjdzie z lodowni żywy.

Izam postanowił, że ulokują się na jednej z barek zakotwiczonych w przystani, dzięki czemu będą mogli liczyć na ochronę jego własnych żołnierzy. Kiedy weszli na pokład, posilili się stawą ze wspólnego kotła, po czym przenieśli się na ławy na rufie. Izam opatulił Theresę, która pokrzepiła się łykiem wina, by lepiej znieść zimno panujące na pokładzie. Bliskość tego mężczyzny dodawała jej otuchy i niemal bezwiednie oparła głowę o jego piersi.

* * *

Opowiedziała mu o ojcu, o jego zamiłowaniu do pracy i o tym, jak wpoił jej miłość do czytania. Opisała noc, kiedy budziła się, by ugotować bulion, a on pisał w świetle świecy. Mówiła o jego staraniach, by nauczyła się nie tylko łaciny, ale również greki, przykazań i Pisma Świętego, i o długich nocnych opowieściach, które snuł, by nie zapomniała o ojczystym Bizancjum.

Płakała.

Błagała Izama, by uwolnił jej ojca. Kiedy ten odparł, że będzie musiał porozmawiać z Alkuinem, Theresa odsunęła się zdziwiona.

— Z Alkuinem? Przecież aresztowanie mojego ojca to jego sprawka. Izam odpowiedział, że kiedy rozmawiał z Wilfredem, ten zapewnił go, że gdyby leżało to w jego mocy, już kazałby stracić skrybę.

— Ale jak widać, Alkuin nie pozwolił mu na to do czasu, aż rozwiąże się zagadka.

— Jaka zagadka? — Theresa znów wtuliła się w jego piersi.

— O to samo spytałem, ale Wilfred nie chciał odpowiedzieć i szybko zmienił temat. W każdym razie najważniejsze, że twój ojciec wciąż żyje. To cud, zważywszy na to, że wszyscy wiedzą, że znaleziono go z bliźniaczkami.

— Ale ty wiesz...

— Nie chodzi o to, co ty albo ja wiemy, lecz o to, w co wierzy Alkuin. To on rozdaje karty, i to jego musimy przekonać, jeśli chcemy wyciągnąć Gorgiasa z lodowni.

Theresa żałowała, że ukończyła pracę nad pergaminem. Tego samego popołudnia zamknięto jej ojca.

Izam wyjaśnił jej, że Alkuin jest dużo bardziej wpływowym człowiekiem, niż mogła przypuszczać.

— Tylko monarcha go teraz przewyższa — dodał. — Pod maską prostego mnicha, chudego i pozbawionego wdzięku, pod wystudowanymi minami i zachowaniem świadczącym o prostocie, kryje się w istocie człowiek, który żelazną ręką panuje nad trybami Kościoła. A kto panuje nad Kościołem, ten kontroluje imperium. To on prowadzi Karola Wielkiego, jest jego światłem, życiem i podporą. Kto, jeśli nie on, dał początek Admonitio Generallis, temu kompendium praw kanonicznych stosowanych wobec wszystkich poddanych, zarówno kleryków, jak i chłopów? To Alkuin wystąpił przeciw zabójstwu z zemsty, nakazał, by odbywający pokutę zaniechali swych występków, zakazał pracować w niedziele, polować, handlować, a nawet sądzić. Alkuin z Yorku: cenny sprzymierzeniec, ale straszny wróg.

Theresę zdziwiły te rewelacje, bo w jej oczach Alkuin, mimo przenikliwości, zawsze uchodził za kogoś stojącego tylko niewiele wyżej od zwykłego księdza. Dopiero wtedy pojęła, skąd brała się ta swoboda, z jaką mnich przyjął ją do pracy, czy łatwość, z jaką Karol Wielki nadał jej ziemie w Fuldzie.

Kiedy się nad tym zastanawiała, Izam poszedł rozstawić nocne stráže. Theresa skuliła się pod derką i wypila duży łyk wina, czekając, aż pod jego wpływem rozjaśni jej się umysł. Napój sprawił, że czuła zamęt w głowie. Jej zdanie na temat Alkuina bez przerwy ulegało zmianie, wirując niczym orzech wrzucony do wodospadu. Kilka razy przyszedł z pomocą, innymi razy, a tych było wiele, wprowadził ją w zaniepokojenie i skonfundowanie, a ostatnio przeraził jak najgorsza diabelska bestia. Bo tak teraz o nim myślała: że jest złośliwym monstrem. Była pewna, że to on, aby odzyskać szmaragdową Wulgatę,

zamordował młodego wartownika. Tylko on wiedział, co zawiera Wulgata, bo tylko jemu o tym powiedziała.

Hoos zdrajcą, a Alkuin mordercą... albo na odwrót. Nie miało to większego znaczenia.

Kiedy Izam wrócił, Theresie wydał się bardziej męski niż kiedykolwiek przedtem. Dopiła wino i wzięła go za rękę, nie rozumiejąc, dlaczego tak dobrze się czuje u jego boku. Izam objął ją, a Theresa zamknęła oczy. Wyobrażała sobie Izama ratującego ją z kłopotów, niepewności, lęku... Ogarnęła ją senność, poczuła, jak rumieni się pod wpływem ciepła, i nie wiedząc kiedy, zasnęła w jego ramionach.

O świcie zbudziła się z silnym bólem głowy. Było zimno, a łagodne kołysanie statku sprawiało, że zaczęło ją mdlić. Powstrzymała się jednak przed wymiotami i zaczęła przeskakiwać z tobołka na tobołek, starając się zlokalizować Izama. Po drugiej stronie pokładu natknęła się na Gracza, który poinformował ją, że inżynier wyruszył sprawdzić sytuację na pozostałych statkach.

— Kazał mi tu zostać aż do jego powrotu.

Theresa poddała się zrezygnowana. Wzięła pająkę chleba, którą podał jej Gracz, i wróciła na rufę, gdzie zaczęła ją jeść, wpatrując się w majaczące na ładzie zarysy fortecy. Chleb smakował, jakby był spleśniały, ale przełknęła go bez większych oporów. Potem, korzystając z tego, że zaczęło już jaśnieć, przejrzała zapiski na woskowych tabliczkach.

Kiedy słońce stanęło już wysoko na niebie, panujący na pokładzie ruch nie przeszkodził jej w studiowaniu dziwnych akapitów wyciągniętych z Wulgaty. Ale zdania urywały się i mieszały w rodzaj dziwnego łamańca, z którego z trudem mogła cokolwiek zrozumieć. Wiedziała tylko tyle, że wszystkie zdania odnosiły się do dokumentu Konstantyna, bo pełno tam było o nim wzmianek.

Nagle przyszło jej do głowy, by ułożyć woskowe tabliczki na pokrywie beczki, jakby w ten sposób, pod wpływem kontemplacji, spisany na nich tekst mógł odsłonić przed nią swój sekret. Wtedy przypomniawszy sobie słowa ojca.

Sic erunt novissimi primi, et primi novissimi.

Co chciał przez to powiedzieć? Wstała i poprosiła Gracza o Biblię. Wartownik podał jej egzemplarz, który trzymali na statku, aby chronił ich podczas przeprawy. Gdy znalazła się sama, odszukała rozdział dwudziesty *Evangelium Secundum Matthaeum*: *Sic erunt novissimi primi, et primi novissimi*. „Tak ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi”. Zbadawszy uważnie poprzednie i kolejne rozdziały, ale nie znalazła niczego, co mogłoby

jej pomóc. Spojrzała raz jeszcze na tabliczki, a potem znów na ten werset: „Ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi”, powtórzyła. Przesunęła palcami po nierównej woskowej powierzchni.

Nagle zrozumiała. Spróbowała przeczytać tekst w odwrotnej kolejności, od ostatniego słowa do pierwszego, i jak za sprawą czarodziejskiej różdżki słowa połączyły się w wyraźne zdania, które z kolei ułożyły się w akapity. Kiedy skończyła czytać, zrozumiała, co odkrył jej ojciec. Szybko schowała tabliczki pod ławę i poszła spytać Gratza, kiedy wróci Izam.

— Już powinien tu być — odparł bez cienia zaniepokojenia. Theresa spacerowała po pokładzie tak długo, aż nauczyła się na pamięć zdań spisanych na tabliczkach. Znów poszła do Gratza i poprosiła, by zszedł z nią na ląd, ale on odparł, że nie może, póki Izam nie wróci.

— A jeśli nie wróci?

— Wróci. On zawsze wraca.

Theresę nie przekonała ta odpowiedź. Postanowiła zatem, że jeśli Izam nie przyjdzie do południa, sama uda się do fortecy.

RS

ROZDZIAŁ 29

Kiedy słońce stanęło w zenicie, Theresa podjęła decyzję. Okryła się marynarskim płaszczem, złapała dla niepoznaki jeden z worków i korzystając z tego, że Gratz zajął się cerowaniem żagla, zeszła na przystań i ruszyła w stronę murów. Wełniana czapka pomogła jej przejść nierozpoznaną. Przy pierwszym wejściu nie zwrócono na nią uwagi, ale by wejść do fortecy, musiała odczekać, aż uwagę skrupulatnego strażnika odciągnęły przejeżdżające wozy.

Gdy znalazła się za murami, poszła przez zewnętrzne dziedzińce z zamiarem dostania się do budynku od strony labiryntu kuchennych pomieszczeń. Zaczęły na nią szczekać psy, ale obłaskawiła je, gładząc po łbach. Przebiegła atrium i ruszyła korytarzem prowadzącym do celi Alkuina. Była zamknięta, poszła więc prosto do skryptorium, gdzie zastała mnicha przy czytaniu skradzionej Wulgaty. Na jej widok Alkuin od razu się poderwał.

— Gdzie się, do diabła, podziewałaś? Szukałem cię przez cały ranek.

Odsunął Biblię, starannie zamykając jej okładki.

Theresa zaczerpnęła głęboko powietrza i podeszła. Choć przestraszona, była jednak pewna, że ten mnich zabójca wyciągnie jej ojca z lodowni. Alkuin przysunął krzesło i Theresa usiadła. Potem wyjął pergamin, nad którym pracowała, i położył go przed nią jakby nigdy nic.

— Musisz jeszcze wyczyścić tekst i go przejrzeć, zatem postaraj się popracować — powiedział i znów zabrał się do lektury Wulgaty.

— Nie zamierzacie spytać mnie o ojca?

Alkuin przestał czytać i zakaszlał trochę zmieszany.

— Wybacz, ale przy tym wszystkim, co się tu dzieje, jestem nieco roztargniony. Nie wiem, czy wiesz, że wczoraj ścięto głowę jednemu ze strażników w fortecy.

Theresę zdziwił cynizm mnicha. Przełknęła ślinę i odsunęła od siebie dokument.

— Nie tknę go — oznajmiła. Alkuin uniósł brew.

— Rozumiem, że to cię rozstroiło, ale...

— Już go skończyłam. Czego więcej chcecie? Macie ten wasz przeklęty dokument! — zawołała i rozwścieczona poderwała się z krzesła.

Alkuin patrzył na nią, nic nie rozumiejąc.

— Ale co, u diabła, się z tobą dzieje? Brakuje jeszcze zakończenia! — krzyknął, próbując ją przytrzymać.

— Myślicie, że nie wiem, co knujecie? Czeka mnie to, co stało się z moim ojcem, dziewczynkami... i tym biednym wartownikiem.

Alkuin zamarł, jakby słuchał jakiejś zjawy. Chwiejnym krokiem podszedł do drzwi, zaryglował je i padł na krzesło. Spojrzał na Theresę ze zdziwieniem i poprosił, by mówiła dalej. Theresa wcisnęła rękę do kieszeni i wyciągnęła sztylet, który miała przy sobie.

— Przyłapałam was na rozmowie z Hoosem, dwa dni temu w tunelu. Słyszałam, jak sugerowaliście, by mnie zabił. Usłyszałam wszystko o moim ojcu, o kopalni, krypcie i o bliźniaczkach.

— Na Boga świętego, Thereso. Cóż to za wymysły?

— Ach! Zaprzeczacie? I z tą Wulgatą to też nieprawda? — spytała, podnosząc Biblię.

— Co nie jest prawdą? O co chodzi z tą Biblią? Zacietrzewiona Theresa zacisnęła zęby. Kiedy opowiedziała mu, że z powodu Biblii zamordował wartownika, mnich się roześmiał.

— Aha! A ciebie, jak ustaliłem z Hoosem, miałem zabić, gdy dokończysz dokument...

— Tak jest — przyznała Theresa.

— Ha! — Mnich wstał z obojętną miną. — Ale gdyby było, jak mówisz, dlaczego nie miałbym zabić cię od razu? — podszedł do dziewczyny i położył dłoń na jej ramieniu, blisko szyi. Czuł, że Theresa drży. Skierował się ku drzwiom i odsunął rygiel. — Jeśli pragniesz poznać prawdę, powinnaś mi ufać. W przeciwnym razie możesz opuścić skryptorium.

Theresa ścisnęła mocno sztylet, który trzymała w fałdach sukni. Nie ufała Alkuinowi, ale skoro po to, by uratować ojca, miała zaryzykować własne życie, nie wahała się ani przez chwilę. Skinęła głową i ponownie usiadła. Mnich uśmiechnął się i zasiadł po drugiej stronie stołu. Uporządkował kilka dokumentów i spojrzał na Theresę.

— Ciasteczko? — spytał.

Theresa odmówiła z poważną miną. Alkuin schrupał ciasto i oblizał palce. Kiedy skończył, podał jej dokument, nad którym pracowała.

— Jak wiesz, chodzi o odtworzenie zaginionego przed laty oryginału, pergaminu opatrzonego pieczęcią cesarza Konstantyna, w którym przyznawano papieżowi liczne ziemie i prawa.

Theresa skinęła głową, nie wypuszczając z dłoni stylusa.

— Ten pergamin uprawomocniał władzę Rzymu wobec imperium bizantyjskiego. Być może nie jesteś zorientowana w obecnej sytuacji

papiestwa, ale czterdzieści lat temu, po podbiciu Rawenny przez Longobardów, papież Stefan II poprosił Bizancjum o pomoc w obronie przed tymi poganami. — Nalał trochę mleka do niestarannie wymytego kielicha. — Papież, jako że nie otrzymał odpowiedzi od Bizancjum, przekroczył Alpy i stanął przed ówczesnym królem Franków, Pepinem, ojcem Karola Wielkiego. Stefan II namaścił Pepina i jego synów, nadając im tytuł patrycjusza Rzymu, a w zamian poprosił o pomoc w walce z Longobardami. Na pewno nie chcesz ciasteczka?

Theresa odmówiła. Nie rozumiała związku tej historii z ostatnią serią zabójstw, ale postanowiła poczekać, aż Alkuin skończy.

— Po papieskiej petycji Pepin udał się ze swym wojskiem do Italii, gdzie pokonał Longobardów — mówił dalej. — To zwycięstwo zapewniło papiestwu Egzarchat Raweński, obejmujący między innymi miasta Bolonię i Ferrarę, ale również Pentapolis, czyli pięć miast nadadriatyckich z Ankoną na czele, sam Rzym, oraz odzyskanie reszty księstwa okupowanego przez Longobardów. Podsumowując: Longobardowie zaatakowali Rzym, który zwrócił się o pomoc do Bizancjum. Nie otrzymał jej, zwrócił się więc do Pepina, który pokonał Longobardów i oddał Rzymowi tereny okupowane. — Spojrzał na Theresę, by upewnić się, że go słucha. — Do tego momentu wszystko toczyło się zatem normalnie, ale Bizancjum zażądało wówczas, by papież zwrócił mu Egzarchat Raweński, który do czasu inwazji longobardzkiej do niego należał. Rzym usiłował powołać się na Donację Konstantyna, dokument, który przyznawał te tereny papiestwu, ale Bizancjum ignorowało ten argument i nadal domagało się egzarchatu. Więcej nawet: z samego Konstantynopola wyszło wsparcie dla barbarzyńców, aby mogli odzyskać tereny zdobyte przez króla Franków.

— Mówicie, że Bizancjum pomogło Longobardom, aby ci mogli pokonać Rzymian?

— Chrześcijanie przeciw chrześcijanom... niedorzeczne, prawda? Ale czym jest polityka, jeśli nie żądzą władzy, zazdrością, która pchnęła Kaina do zabicia własnego brata? Z pomocą Greków Longobardowie pokonali papieża, zamykając go na czterech łańcach ziemi. Jednak Rzym nadal znajdował się w posiadaniu pergaminu, listu żelaznego, legitymizującego jego żądania, w związku z czym Hadrian I, nowo mianowany papież rzymski, udał się do Francji, by pokazać go Karolowi Wielkiemu.

Alkuin wstał i przyniósł jeszcze dwa ciastka. Jedno ugryzł, a drugim poczęstował Theresę. Dziewczyna w końcu przyjęła poczęstunek.

— Karol Wielki poprowadził swoje wojska do Italii, gdzie rozgromił Longobardów, przywrócił ziemię papieżowi i upomniał Bizancjum, powołując się na jego zobowiązania wobec Państwa Kościelnego. Zwrócone ziemie obejmowały Bolonię, Ferrare oraz inne miasta w dolnym biegu rzeki Po i na północy Toskanii, takie jak Parma, Reggio i Mantua, a nawet Wenecję i Istrię na północy oraz księstwa Spoleto i Benewentu. Praktycznie oddał mu całą południową Italię poza Apulią, Kalabrią i Sycylią oraz enklawami Neapolu, Gaety i Amalfi znajdującymi się jeszcze wówczas pod władzą Bizancjum, a oprócz tego wyspę Korsykę, Sabinie i renty z Toskanii i Spoleto. Kilka lat później Karol Wielki dodał jeszcze do tego kilka miast na południu Toskanii, takich jak Orvieto i Viterbo, i w Kampanii, Aquino, Arpino i Kapuę. Wszystko to oczywiście bardzo nie podobało się Bizancjum.

Theresa siedziała w milczeniu, ale po jej minie Alkuin domyślił się, że przebrał miarę.

— Wybacz — przeprosił. Poszukał czegoś wśród papierów, udając, że je porządkuje. — W każdym razie najistotniejsze jest to, że Karol Wielki wykonał, co zostało zapisane w Donacji Konstantyna, zaskarbiając sobie tym samym wieczną wdzięczność papieżowi.

Theresa zabębniła palcami o blat stołu. Alkuin spojrział na nią i skinął głową.

— Pozwól mi skończyć, a może wówczas zrozumiesz przyczynę tego, co się tu dzieje. — Przeczesał włosy i nabrał powietrza, by mówić dalej. — Bizancjum, choć niechętnie, przyjęło te zmiany, po części z racji niedołęstwa cesarza Konstantyna VI, a po części ze strachu przed armią Karola Wielkiego, i tak to zostało aż do niedawna, kiedy jakieś dwa lata temu Irena z Aten, matka Konstantyna VI, a ja powiedziałbym: spowinowacona z samym diabłem, kazała aresztować własnego syna i wyłupić mu oczy, po czym koronowała się na cesarzową Bizancjum.

— Zamordowała własnego syna?

— Och, nie! Tylko go uwięziła, uprzednio pozbawiwszy wzroku. Miłosierna matka, nie sądzisz? W każdym razie, jak możesz sobie wyobrazić, ta harpia wkrótce zaczęła knowania przeciw papieżowi. Ledwie zasiadła na tronie, wysłała skrytobójcę, który miał wykraść dokument, w którym przyznawano nadanie.

— Donację Konstantyna?

— Dokładnie.

Theresa spojrzała na pergamin z uczuciem, że powoli przybliża się do końca zagadki. Nie wiedziała jednak jeszcze, jaki ma ona związek z zachowaniem Alkuina. Mnich mówił dalej:

— Za pomocą przekupstwa skrytobójca dostał się do dokumentu, który zdołał zniszczyć na chwilę przed tym, nim został odkryty przez papieskiego strażnika. Złodziej został osądzony, ale dokument leżał spalony w Watykanie. Od tamtej pory Irena za pośrednictwem poselstw podważała prawdziwość Donacji, zwłaszcza gdy dowiedziała się, że papież Leon III zamierza mianować cesarzem samego Karola Wielkiego.

Theresa nie potrafiła ukryć zdumienia. Przecież powszechnie było wiadomo, że cesarzem był monarcha Bizancjum.

— Papież tak nie uważa — ciągnął Alkuin. — Rzym pragnie umocnić swoje relacje z cesarzem, energicznym, a zarazem pojętym monarchą, który już dowiódł swej mężności i wspaniałomyślności. Irena upatruje w tym fortelu, który odsunie Bizancjum od władzy, i dlatego usiłuje temu zapobiec. Eliminując dokument, cesarzowa zniszczyła dowód, który legitymizował dobra papieżstwa. A bez namacalnego dowodu posiadającego moc wiążącą nic nie powstrzyma Ireny przed przypuszczeniem ataku na Rzym, co uczyni, by zapobiec mianowaniu cesarzem Karola Wielkiego.

— Ale jednego nie rozumiem. Istnienie tego dokumentu jest aż tak brzemiennie w skutki? Przecież to tylko papier. — Drobiazgowo roztrząsanie tych kwestii zaczynało już drażnić Theresę, tym bardziej że w lodowni konał jej ojciec.

— Tak może ci się zdawać. Ale wcześniej czy później Irena umrze. A gdy my wszyscy odejdziemy, po nas przyjdą inni pochłonięci podobnymi żądzami i ambicjami. W grę nie wchodzi jedynie kaprys pewnej kobiety: tu ważą się losy ludzkości. Wygranie tej bitwy oznacza zagwarantowanie prawnego tytułu Państwu Kościelnemu, a ta gwarancja z kolei zabezpieczy koronację Karola Wielkiego na cesarza Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Karol Wielki poprowadzi Zachód drogą Pana Naszego, pobudzi rozwój kultury, będzie zwalczać herezje, zniszczy pogan i niewiernych, będzie szerzyć prawdę, zjednoczy wiernych i ujarzmi bluźnierców. Taki jest prawdziwy powód, dla którego muszę skończyć ten dokument. W przeciwnym razie będziemy świadkami niekończących się wojen, które ciągnąć się będą przez całe wieki, aż w końcu zniszczą chrześcijaństwo.

Zamilkł, pewien, że te wyjaśnienia przekonałyby nawet największego głupca. Ale Theresa spojrzała na niego obojętnym wzrokiem.

— Dlatego tak ważne jest ukończenie kopii przed soborem, którego termin papież wyznaczył w połowie czerwca — dodał. — Zrozumiałaś?

— Zrozumiałam, że Rzym pożąda władzy, której Bizancjum mu odmawia, a wy chcecie jedynie ujrzeć koronację Karola Wielkiego na cesarza. A teraz powiedzcie mi: dlaczego miałabym wierzyć człowiekowi, który trzyma mojego ojca w lochu? Człowiekowi, który manipuluje, kłamie i morduje? Powiedzcie mi, dlaczego miałabym wam pomóc? — Fakt, że na pergaminie brak było zakończenia, dawał jej pewną przewagę, którą, jak sądziła, już straciła. — Powtórzę swoją propozycję: uwolnijcie mojego ojca, to skończę dokument.

Alkuin wstał. Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Wdychał zapach żywicy płynący z pobliskiego lasu.

— Piękny dzień — westchnął, odwracając się. — Bez wątpienia wiedziałem, co robię, gdy cię wybrałem. Zgoda: podzielę się z tobą wszystkim, co wiem, ale miej w pamięci przysięgę, którą złożyłaś, jeśli bowiem ważysz się ją złamać, sam dopilnuję, by spełniły się twoje najgorsze koszmary.

Theresa nie dała się zastraszyć. Rylec ukryty w fałdach sukni dodawał jej odwagi.

— Mój ojciec umiera — ponagliła go.

— Dobrze, dobrze... — Odszedł od okna i dumnie zaczął przechadzać się wokół po sali. Szedł niespiesznie wyprostowany, pogrążony w myślach. — Po pierwsze, powinnaś wiedzieć, że znam Gorgiasa od dawna — powiedział — i zapewniam cię, że go doceniam i podziwiam. Poznaliśmy się w Pawii, kiedy byłaś jeszcze dzieckiem. Uciekał z tobą z Konstantynopola i szukając pomocy, przybył do opactwa, w którym odpoczywałem w drodze do Rzymu. Twój ojciec to człowiek wykształcony o rozległej wiedzy i oczywiście obce mu było zepsucie panujące na dworze czy w Watykanie. Znał grekę i łacinę, czytał klasyków i widać było, że jest dobrym chrześcijaninem, więc upatrując w tym również własny interes, zaproponowałem, by udał się ze mną do Aquis-Granum. Tłumacz greki był mi wówczas nieodzowny, a Gorgias potrzebował pracy, wróciliśmy więc razem, on zamieszkał tu, w Wiirz-burgu, czekając, aż ukończone zostaną szkoły pałacowe, które w tamtym czasie budowano w Aquis-Granum. Poznał tu twoją macochę, Rutgardę, z którą wkrótce się ożenił, zapewne mając na uwadze twoją przyszłość. Ja wolałem, by został na dworze, ale Rutgarda miała tu rodzinę, zatem ostatecznie ustaliliśmy, że będzie pracował dla Wilfreda, tłumacząc kodeksy, które miałem mu przesyłać.

Theresa, choć słuchała z zainteresowaniem, wciąż nie rozumiała relacji między tą opowieścią a serią zabójstw. Powiedziała o tym Alkuinowi, ale ten poprosił ją o cierpliwość.

— Dobrze. Przechodzimy zatem do zabójstw... Z jednej strony mamy śmierć Genzeryka. A także śmierć niani i jej domniemanego kochanka i mordercy, pergamenariusza.

— I młodego wartownika — dodała Theresa.

— Ach, tak! Biedny chłopak. — Pokręcił głową z niezadowoleniem. — Tak jak wielu młodzieńców, których znaleziono zasztyletowanych. Ale wartownikiem zajmiemy się później. Jeśli chodzi o Genzeryka, wykluczając rylec jako narzędzie zbrodni, skłaniam się ku temu, że był to jad, jakaś rozmyślnie zaaplikowana śmiertelna trucizna. Zenon mówił o drgawkach i piekącym bólu ramienia, co przypomina los pergamenariusza, który, o ile dobrze pamiętam, również miał dziwne nakłucia na ręce. Chyba nawet sporządziłem taki rysunek... — Wyjął pergamin, na którym widać było maleńkie okrągłe znaki pośrodku dłoni. — Wykonałem go po jego śmierci — zauważył. — Przyjrzyj się dobrze. Czy z czymś ci się to kojarzy?

— Nie wiem. Ukłucie?

— Z dwoma nacięciami? Nie. To raczej wskazuje na ukąszenie węża czy żmii.

— Węża? Sugerujecie, że nie zostali zamordowani?

— Tego nie powiedziałem. Jeśli chodzi o te ślady, konsultowałem to z Zenonem. Potwierdził, że odstęp między nimi i ich wygląd wskazywałby na zęby żmii. Ale spójrzmy na umiejscowienie śladów. Mało prawdopodobne, by wąż ukąsił kogoś w dłoń, chyba że ta osoba wykazałaby się takim brakiem rozwagi, że próbowałaby go złapać. Może zdołałby skaleczyć grzbiet dłoni albo palec, ale nie wewnętrzną część. Podaj mi rękę — poprosił. — A teraz, zakładając, że twoje palce to szczęki węża, spróbuj złapać moją dłoń.

Mnich wyciągnął rękę, a Theresa złapała ją palcem wskazującym i serdecznym za grzbiet, a kciukiem za wnętrze dłoni. Alkuin poprosił, by ścisnęła jego dłoń mocniej, co dziewczyna uczyniła, wbijając mu paznokcie w rękę. Gdy Alkuin jęknął z bólu, zwolniła uścisk. Wtedy mnich pokazał jej dłoń ze śladami na grzbiecie: jeden znajdował się w pobliżu nadgarstka, a drugi blisko palców. Potem porównał je z rysunkiem: na nim ślady znajdowały się w równej linii przecinającej dłoń poziomo.

— Zwierzę ugryzłoby tak, jak ty to uczyniłaś. Na grzbiecie lub po wewnętrznej stronie, ale w kierunku ramienia. Natomiast ślady na dłoni

Kornego — położył obok rysunek — ułożone są poprzecznie na wewnętrznej stronie dłoni i prostopadle w stosunku do tych, które ty zostawiłaś.

— A to oznacza?...

— Że morderca jest sprytnym człowiekiem, posiada dość wiedzy, by zabić bez pośpiechu, pozwalając, by minął pewien czas. To przydatna metoda, gdy nie chcesz, by skojarzono twoją osobę z morderstwem. Możliwe nawet, że jego ofiary nie były zaniepokojone tym, co się z nimi działo. I oczywiście musi to być ktoś, kto zna się na truciznach.

— Zenon?

— Ten pijak? Dlaczego miałby kogoś mordować? Nie, droga The-reso. Adpanitendum properat, cito qui iudicat. Aby znaleźć przestępcę, musisz zbadać motyw, który popchnął go do działania. Co wspólnego miał Genzeryk z pergamenariuszem?

— Obaj byli mężczyznami. Mieszkali w Wurzburgu...

— I obaj mieli nogi i głowę. Na miłość boską, postaraj się być bardziej przenikliwa!

Theresa nie była w nastroju do zgadywanek, o czym nie omieszkała powiedzieć Alkuinowi.

— Zgoda — ustąpił. — Obaj pracowali dla Wilfreda. Wiem, że w Wurzburgu wszyscy pracują dla hrabiego, ale Genzeryk był jego wikarym, prawą ręką, osobą zorientowaną we wszystkim, co dotyczyło jego przełożonego, pergamenarius Korne zaś był zaufanym Genzeryka. Być może taki związek wydaje się zbyt prosty, by miał pociągać za sobą żądę zabójstwa, ale zastanówmy się nad tym bliżej... Jeśli tak jak ustaliliśmy, motywem porwania bliźniaczek był szantaż, i założymy, że porywaczem był sam Korne...

— Te kręcone włosy, które odkryliśmy? — zasugerowała Theresa.

— I to oczko lalki znalezione w celi, którą mu przydzielono po pożarze. — Wyjął z pudełka niewielki kamyk i z dumą pokazał go Theresie. — Pochodzi z lalki, którą bawiły się bliźniaczki w dniu porwania.

Theresa z zainteresowaniem obejrzała kamyk. Niebieska farba tworzyła ostry kontrast z bielą kamyka.

— Zatem podsumowując — mówił dalej Alkuin, zabierając jej kamyk — pergamenarius musiał pożądać czegoś, czego, jak sądził, nie mógłby osiągnąć w inny sposób, w przeciwnym wypadku bowiem, zanim podjąłby ryzyko porwania dziewczynek, spróbowałby to zdobyć inaczej. Coś tak wartościowego, że nie wahał się zaryzykować życie, a nawet pozbawić życia swą kochankę.

— Dokument Konstantyna?

— W istocie: znów ten dokument. A jeśli Genzeryk i Korne umarli na skutek otrucia, to logicznie nasuwa się wniosek, że zginęli z rąk tego samego człowieka.

Theresa rzuciła kałamarz na posadzkę. Tusz ochlapał habit Alkuina, ale Theresie wcale nie było przykro.

— Wiecie, co myślę — prychnęła — że naprawdę wy jesteście winni. Wiedzieliście, jakie znaczenie ma pergamin, wiedzieliście, jak zamordowano Genzeryka i Kornego, powiedziałam wam o tekście ukrytym w Wulgacie, a wkrótce potem zabiliście wartownika, by ją odzyskać. — Wskazała szmaragdowy kodeks. — Widziałam, jak rozmawialiście z Hoosem Larssonem.

— Z Hoosem? Kiedy? W tunelu? Zapewniam cię, że to nie byłem ja.

— A potem również na krużganku.

— Pleciesz bzdury.

Zbliżył rękę do jej ramienia, ale Theresa gwałtownie ją odtrąciła.

— Przestańcie brać mnie za głupią — ostrzegła.

— Powtarzam ci, że nigdy nie spotkałem się z Hoosem w tunelu, zatem daj sobie z tym spokój. To prawda, że widziałem się z nim na krużganku, podobnie jak z Wilfredem, dwoma sługami i jeszcze dwoma prałatami. Ale stąd do mniemania, że jestem w to uwikłany... Na Boga, dziewczyno! Kiedy Genzeryk umarł, my byliśmy jeszcze w drodze. Poza tym po co miałbym ci opowiadać, jak zostali zamordowani?

— A dlaczego nie uwolnicie w końcu mojego ojca?! — zawołała. — A może jeszcze coś przede mną ukrywacie?

Alkuin spojrział na nią ze smutkiem, przygładził siwe włosy i zacisnął zęby. Potem głosem, jakiego nigdy dotąd nie używał, poprosił, by usiadła. Dziewczyna nie usłuchała, choć przeczuwała, że Alkuin zamierza wreszcie wyjawić jej coś bardzo ważnego.

— Już dobrze, ale usiądź — ponowił prośbę, ocierając sobie pot z czoła. Chwilę milczał. — Sądzę, że nie mylę się, twierdząc, że to Wilfred zabił Kornego, podobnie jak zabił Genzeryka.

— Nie wierzę wam. Wilfred jest kaleką.

— To prawda i jego ułomność jest jego największym sprzymierzeńcem. Nikt by go nie podejrzewał... ani żadnego z jego urzędów.

— Co macie na myśli?

— Jakieś cztery dni temu Wilfred wspaniałomyślnie wyjawiał mi działanie jednego ze swoich wynalazków. Otóż zainteresował mnie sposób, w jaki psy przywiązane są do fotela. Wilfred natychmiast zwolnił ich uprząż. Wcześniej zwróciłem już uwagę na nocnik, uruchamiany za pomocą podobnego mechanizmu. Poszedłem zatem do kowala, który, jak zwierzył mi się Wilfred, wykonał te mechanizmy. Z początku kowal nie chciał mówić, ale kilka monet wystarczyło, by opowiedział mi, że w tylnych uchwytych fotela zainstalował zadziwiające urządzenie. A dokładnie dwa małe zakręcone gwoździe, wmontowane w uchwyt, które po uruchomieniu unoszą się jak dwa groty. Kowal zarzekał się, że nigdy nie rozumiał, czemu miałyby służyć. Trudno się dziwić, bo zlecenie było wyjątkowo nietypowe.

— I Wilfred używa tego mechanizmu...

— By zaaplikować truciznę. Gwoździe muszą być namoczone w jakiejś szkodliwej substancji. Może w jadzie węża. Wyobrażam sobie, że tak zamordował Genzeryka i pergamenariusza.

— Ale dlaczego Wilfred miałby popełniać takie przestępstwa? Miał dostęp do dokumentu. A ci zamordowani chłopcy? Dlaczego mój ojciec jest oskarżany o to, że ich zadźgał?

— Nie mam jeszcze wszystkich odpowiedzi, choć mam nadzieję, że wkrótce je znajdę. A teraz, skoro znasz już prawdę i oczywiste jest, że twój ojciec nie jest mordercą, proszę cię, bądź tak dobra i wróc do pracy.

Theresa spojrzała na dokument, w którym brakowało zaledwie trzech akapitów. Potem wbiła wzrok w Alkuina.

— Skończę go, gdy uwolnicie mojego ojca. Mnich odwrócił wzrok. Potem znów na nią spojrzał.

— Twój ojciec, twój ojciec! Są sprawy ważniejsze niż twój ojciec! — zawołał. — Nie rozumiesz, że ci, którzy szukają pergaminu, mogą jeszcze osiągnąć swój cel? Aby ich złapać, muszę sprawić, by uwierzyli, że już mam winnego. Twój biedny ojciec jest niewinny. To prawda, ale Jezus Chrystus też był niewinny, a czyż nie oddał swego życia, by nas zbawić? A teraz odpowiedz, dziewczyno: sądzisz, że twój ojciec jest lepszy od Jezusa Chrystusa? Tak właśnie myślisz? Czy spytałaś go, czy ma coś przeciwko takiemu poświęceniu? Z pewnością, gdyby mógł przemówić, byłby mi wdzięczny. A poza tym porzucmy błahostki. Oboje wiemy, że umrze i że nie ma dla niego ratunku. Ile mu zostało? Dwa, może trzy dni? Co za różnica, czy umrze w łóżku, czy w lochu.

Theresa zerwała się i wymierzyła mu policzek.

Alkuin odczekał chwilę bez ruchu, a na policzku wykwitł mu rumieniec. Potem zareagował tak, jakby właśnie się obudził. Wstał i podszedł do okna, unosząc dłoń do policzka.

— Wybacz, nie powinienem tego mówić, ale pomyśl tylko. Ciężko tego słuchać, przyznaję, ale twój ojciec i tak umrze. Zenon to potwierdził i nic, co byśmy zrobili, tego nie zmieni. Od nas zależy przyszłość tego dokumentu. Wyjaśniłem ci już jego znaczenie i dlatego proszę cię, byś zaakceptowała mój plan.

Theresa z trudem powstrzymywała łzy.

— Wszystko mi jedno, co zrobicie — wybuchła płaczem. — Wszystko mi jedno, czy wam ukradną ten pergamin i wszyscy skończymy w piekle, ale nie pozwolę, by mój ojciec pozostał w tej dziurze.

— Nie rozumiesz, Thereso. Jestem bliski...

— Jesteście bliscy, by go zabić. A wcześniej czy później to samo ze mną uczynicie. Naprawdę sądzicie, że jestem taka głupia? Ani mój ojciec, ani ja nigdy was nie obchodziliśmy.

— Mylisz się.

— Tak? Wobec tego powiedzcie mi: skąd wzięliście jego Wulgatę? A może sama tu przyfrunęła?

Alkuin spojrzał na nią ze skrzywioną miną.

— Znalazł ją diakon Flawiusz. Leżała pośrodku krużganka. — Zamknął Biblię i podał ją Theresie. — Jeśli mi nie wierzysz, możesz pójść i go spytać.

— Wobec tego dlaczego nie uwolnicie mojego ojca?

— Do diabła! Już ci to wyjaśniłem! Muszę odkryć, kto usiłuje zdobyć ten dokument.

— Dokument równie fałszywy jak Judasz — odparła, nie ustępując.

— Fałszywy? Co chcesz powiedzieć? — Alkuin zmienił ton.

— Że wiem doskonale, co żeście uknuli. Wy, Wilfred i Państwo Kościelne... Cała armia kabotynów i oszustów. Wiem o wszystkim, bracie Alkuinie. Ten dokument, który tak wychwalacie, w którym pokładacie wasze nadzieje, ambicje, żądze... Mój ojciec odkrył, że jest fałszywy. Dlatego chcecie, by umarł, a wraz z nim wasza tajemnica.

— Nie wiesz, o czym mówisz — wyjąkał.

— Jesteście pewni? — wyjęła z sakwy tabliczki i rzuciła je na stół. — To kopia słów spisanych między liniami. Nie znajdziecie ich w Wulgacie, bo je zeszkrobałam nożem.

— Jaka jest ich treść? — spytał twardo z zaciętą miną. —: Wiecie równie dobrze jak ja.

— Jaka jest ich treść? — powtórzył, jakby palił go ogień. Theresa przysunęła mu bliżej tabliczki. Alkuin przyglądał im się przez chwilę, po czym spojrział na dziewczynę.

— Mój ojciec sporo wiedział o bizantyjskiej dyplomacji. Znał się na epistołach, traktatach, wstępach i panegirykach. Być może dlatego go zatrudniliście, choć również z racji tego, że był dobrym chrześcijaninem, a jako taki odkrył, że Konstantyn nigdy nie napisał tego dokumentu. Że Donacja nie jest prawomocna, a te tereny nadal należą do Bizancjum.

— Milcz! — zawołał mnich.

— A jeśli nie, to powiedzcie mi, Alkuinie, jak to możliwe, że dokument wspomina o Bizancjum jako prowincji, podczas gdy w czwartym wieku było to tylko miasto? Jak to możliwe, że wspomina o Judei, skoro wówczas takie miejsce nie istniało? Nie mówiąc już o użyciu takich określeń, jak *synclitus* zamiast *senatus*, *banda* zamiast *vexillum*, *censura* w miejsce *diploma*, *constitutum* zamiast *decretum*, *largitas* zamiast *possessio*, *consul* zamiast *patricus*...

— Zamilcz, kobieto! Czego miałyby dowodzić te drobiazgi?

— A to jeszcze nie wszystko — ciągnęła. — W *introductio* i w *con-clusio* nieudolnie naśladowuje się pismo z okresu cesarstwa, ale również formuła z innych okresów. Jak inaczej byście wyjaśnili fakt, że w dokumencie z czwartego wieku fragment o nawróceniu Konstantyna jest oparty na *Acta o Gęsta Syhestri* albo że znajdują się w nim echa synodu ikonoklastycznego z Konstantynopola przeciw oddawaniu czci obrazom, co, jak wam wiadomo, miało miejsce wiele wieków później?

— To, że w dokumencie znajdują się błędy, nie znaczy, że Donacji nigdy nie było — odparł, waląc w stół. — Różnica między tym, co prawdziwe, a tym, co oryginalne, jest tak nieistotna jak różnica między tym, co fałszywe, a tym, co podrobione. Jak ty, potomkini grzesznej Ewy, możesz rościć sobie prawo, by osądzać *pia fraus* wykonaną *cum pietatel* Jak śmiesz potępiać to, co zostało spełnione z instynktu *Spiritus Sancti*?

— Doprawdy sądzicie, że tak samo powiedzą w Bizancjum?

— Igrasz z ogniem... — ostrzegł ją. — Ja nigdy bym cię nie skrzywdził, ale wielu nie myśli tak jak ja. Pamiętaj o Kornem.

Nagle rozmowę przerwało im bicie dzwonów na alarm.

— Uwolnijcie mojego ojca, to skończę dokument. Wymyślcie, co chcecie: inny cud albo cokolwiek, co wam przyjdzie do głowy. Przecież w wymyślaniu kłamstw jesteście mistrzem.

Następnie zabrała swoje tabliczki i powiedziała, by przesłał swoją odpowiedź na statek Izama. Po czym wyszła, nie dając Alkuinowi dojść do słowa.

* * *

W drodze na przystań znalazła się w tłumie ludzi, którzy na okrzyk „zaopatrzenie” biegli w podskokach, tańcząc i radując się. Zaskoczona trzymała się blisko jednej z rodzin, aż w końcu odkryła, że poruszenie wywołało przyplnięcie czterech nowych statków, które dopiero co zawinęły do przystani. Jeden z nich, w czerwonym kolorze, oznaczony herbami, wyróżniał się rozmiarem, który sprawiał, że przy nim inne stateczki wyglądały jak szalupy. Rozejrzała się za Izamem i wreszcie dostrzegła go na pokładzie ostatniego statku. Usiłowała się na niego dostać, ale nie pozwolono jej. Jednak gdy tylko Izam ją zobaczył, zszedł na ląd, by się z nią przywitać.

Patrząc, jak idzie w jej stronę, Theresa zauważyła, że kuleje.

— Co ci się stało? — spytała zaniepokojona i długo się nie zastanawiając, rzuciła mu się w ramiona. On uspokajająco pogładził ją po włosach.

Wyszli z tłumu i stanęli na osobności w cieniu skały. Izam wyjaśnił jej, że wypłynął na powitanie missus dominicus, ponieważ zwiadowca uprzedził go o jego przybyciu.

— Na nieszczęście wygląda na to, że zawiadomiono również właściciela tej strzały — powiedział, pokazując jej nogę.

Theresa dokładnie obejrzała zranione miejsce. Koniec strzały był już obcięty, więc wystawała jedynie na piędź. Rana nie wyglądała na groźną.

— Jeśli strzała nie zabije od razu, prawie nigdy nic złego się nie dzieje. To ciekawe, bo ze szpadą jest zupełnie na odwrót. A ty? Skąd przychodzisz? Miałaś zostać na statku.

Kiedy Theresa opowiedziała mu o zajściu z Alkuinem, Izam okazał zaniepokojenie i równocześnie wyciągnął z nogi strzałę. Odłożył na bok szczypcę z zakrwawionymi końcami i opatrzył ranę jakimiś ziołami.

— Zawsze mam je przy sobie. Są lepsze od bandaży. Przytrzymał je palcami, pytając Theresę, dlaczego nie usłuchała jego polecenia. Odparła, że bała się, że nie wróci.

— Mało brakowało, a twoje przeczucia by się spełniły — zaśmiał się, wyrzucając koniec strzały do wody. Jednak gdy wysłuchał szczegółowej relacji

z rozmowy z Alkuinem, przestał się śmiać. Upierał się, że anglosaski mnich cieszy się szczególnymi względami Karola Wielkiego i że sprzeciwianie mu się jest równe samobójstwu.

Kiedy wrzawa osłabła, wrócili na pierwszy statek, by przypalono mu ranę. Izam wciąż kulał, więc Theresa podtrzymywała go, gdy wchodził na pokład. Gdy szykowali rozpalone żelazo, wyznał jej, że rozmawiał o niej z missus.

— Nie o tobie. Raczej o twoim ojcu i jego stanie. Obiecał, że rozmówi się z Alkuinem i dowie, o co Gorgias jest oskarżany.

Izam wyjaśnił Theresie, że missi dominici byli kimś w rodzaju sędziów, których Karol Wielki rozsyłał po swoich ziemiach, aby wymierzali sprawiedliwość. Zwykle podróżowali parami, ale tym razem przybył tylko jeden. Nazywał się Drogo i wyglądał na rozważnego człowieka.

— Na pewno przychyli się do naszych próśb.

RS

ROZDZIAŁ 30

Człowiek, który miał przypalać ranę rozpalonym żelazkiem, uprzedził Izama, by się przygotował. Potem przycisnął czerwony koniec, a Izam zagryzł kijek. Kiedy odsunął żelazo, nałożył na ranę jakąś ciemną maść, a na koniec opatrzył ją świeżymi bandażami.

Izam i Theresa zjedli rybę i wieprzowe kielbaski. W tym czasie marynarze rozładowali ładownię. W sumie cztery woły, stadko kóz, kolejne małe stado kur, całe tuziny dziczyzny i ryb, sporo pszenicy, jęczmienia, groszku i soczewicy, które załadowano na wozy, by przewieźć zapasy do fortecy. Kiedy rozładunek został zakończony, tłum chłopów poprowadził Droga i jego ludzi krętymi uliczkami.

Izam został na pokładzie, ponieważ wciąż bolała go noga. Poza tym czuł się bezpieczniej z Theresą na statku niż otoczony tłumem obcych na lądzie. Zastanawiał się, jak jej pomóc, gdy na przystani pojawił się sługa wysłany przez Alkuina. Spytał o dziewczynę i w końcu ją odnalazł, ale ponieważ wciągnięto już trap, poprosił, by zeszła. Izam radził jej poczekać, ale Theresa ucałowała go w policzek i nie dając mu czasu na odpowiedź, zrzuciła drabinę i zeszła z pokładu. Sługa poinformował ją, że Alkuin przystaje na jej żądania i równocześnie wysyła go, by zabrał ją do cytadeli. Theresa pomyślała, że powinna powiedzieć o tym Izamowi, ale powstrzymała się z obawy, że ten mógłby ją zatrzymać.

Gdy znaleźli się w fortecy, sługa poprowadził ją do kuchni, gdzie ludzie uwijali się, przenosząc przeróżne smakołyki, którymi miał zostać wieczorem podjęty missus dominicus. Theresa miała wrażenie, że znalazła się w jakimś zupełnie nowym miejscu, bo wszędzie krzątało się mnóstwo zupełnie nieznanym jej osób. Zostawili za sobą magazyny i ruszyli w kierunku lodowni. Gdy się tam znaleźli, wartownik spuścił drabinę do dziury, aby Theresa mogła zejść na dół, co też skwapliwie uczyniła. Na dole Gorgias dygotał zwinięty pod przegniłym futrem. Theresa zauważyła, że wartownik wciąga z powrotem drabinę, ale nie przejęła się tym. Pochyliła się nad ojcem i czule go pocałowała. Twarz mu płonęła niczym rozpalona pochodnia.

— Słyszycie mnie, ojcze? To ja, Theresa.

Uchylił sklezione ropą powieki. Dziewczyna pojęła, że choć na nią patrzy, nie widzi jej. Uniósł drżącą dłoń, by pogładzić po twarzy tego zapłakanego anioła, i wtedy zaczął poznawać, kim jest.

— Moja córka?—wybełkotał. Theresa czuła, jak jego dłoń ją parzy.

Zwilżyła mu czoło brudną wodą z dzbana. Gorgias podziękował jej szeptem i zmusił się do uśmiechu.

Theresa przysięgła, że wkrótce go uwolni. Mówiła o Rutgardzie i jej siostrzeńcach, czwórce chłopców, których Gorgias uwielbiał, zmyśliła, że Alkuin obiecał, że przywróci go do pracy ze wszelkimi honorami, i skłamała również na temat Zenona, mówiąc, że medyk zapewnił, iż Gorgias wydobrzeje. Potem, widząc, że uchodzi z niego życie, zaczęła płakać.

— Moja małeńka — wyszeptał.

Theresa wyciągnęła rękę. Palcami przeczesła jego przerzedzone włosy. Gorgias patrzył na nią z wdzięcznością. Nagle zakaszłał gwałtownie. W nagłym przeblysku świadomości przypomniał sobie o dokumencie Konstantyna. Chciał powiedzieć Theresie, że ukrył go za belką w barakach niewolników, w kopalni. Tyle się nad nim napracował... Ale nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Oczy zachodziły mu mgłą.

— Gdzie są moje książki? Dlaczego nie przynoszą kałamarzy? Konał.

— Są tutaj. Tak jak lubisz — skłamała, gładząc pomarszczoną twarz ojca.

Gorgias rozejrzał się wokół i jego twarz rozjaśniła się, jakby naprawdę je widział. Potem ścisnął dłoń Theresy.

— Pisanie jest piękne, prawda?

— Bardzo, ojczu.

Wówczas uścisk jego dłoni zelżał, a z ust dobyło się ostatnie tchnienie.

* * *

Dwu ludzi musiało wyciągnąć Theresę z dziury, bo sama nie była w stanie jej opuścić. Za pomocą sznura wyciągnęli ciało Gorgiasa i przenieśli je do kuchni niczym worek bobu. Tam, podczas gdy go oblekali w całun, jakaś służąca przygotowała napar z szałwii, ale Theresie tak drżały ręce, że od razu go wylała. Co chwila przybywało więcej ludzi, którzy szeptali i plotkowali, nie potrafiąc uszanować jej ogromnego bólu. Po chwili szczekanie psów obwieściło pojawienie się hrabiego Wilfreda. Theresa niezdarnie otarła łzy i czując oddech psów na swej twarzy, podniosła się.

— Już umarł? — zainteresował się Wilfred bez cienia współczucia. Theresa zagryzła wargi, a jej spojrzenie wyrażało głęboką nienawiść do tego kaleki, który zdawał się radować ogarniającym ją rozgoryczeniem. Z szacunku dla ojca postanowiła zamilknąć, ale w tym momencie jeden z psów zbliżył pysk do ciała Gorgiasa i zaczął go lizać. Theresa obróciła się i wymierzyła mu kopniaka, który rozległ się echem w całej kuchni. Pies skierował się w jej stronę z obnażonymi kłami, lecz Wilfred powstrzymał go z ironiczną miną.

— Ostrożnie, dziewczyno. Życie moich molosów warte jest więcej niż życie niejednego człowieka.

Dziewczyna nachmurzyła się i z trudem się opanowała. Spolicz-kowałaby go, gdyby nie to, że wówczas psy z pewnością by ją rozszarpały. Hrabia zaśmiał się, widząc jej reakcję.

— Zabierzcie ją do lodowni — rozkazał, zmieniając się na twarzy. Theresa nie rozumiała, o co mu chodzi, dopóki dwu żołnierzy nie złapało jej nagle i nie zawlokło do lochów. Żądała wyjaśnień, lecz mężczyźni nie tylko jej nie słuchali, ale jeszcze obili kijem, zmuszając, by zeszła do dziury. Gdy zabrali drabinkę, Theresa spojrzała w stronę wylotu studni. Dziura była na tyle głęboka, że mogło w niej stać, jeden na ramionach drugiego, trzech mężczyzn, co uniemożliwiałoby ucieczkę. Wkrótce zobaczyła pyski psów zaglądających z zaciekawieniem do studni, a chwilę potem pokazała się twarz samego Wilfreda.

— Wiesz co, dziewczyno? Doprawdy przykro mi z powodu twojego ojca, ale nie powinnaś była grozić Alkuinowi ani tym bardziej zabierać jego pergaminu.

— Ale o czym mówicie? Ja niczego nie ukradłam — odparła zaskoczona.

— Jak sobie życzysz... Muszę cię jednak ostrzec: jeśli do świtu się nie przyznasz, zostaniesz oskarżona o rabunek i bluźnierstwo. Zostaniesz poddana torturom i zginiesz na stosie.

— Przeklęty kaleka! Powtarzam wam, że niczego nie ukradłam. Rzuciła w jego stronę pustym dzbanem, który rozbił się o ścianę, a skorupy spadły na jej własną głowę.

Wilfred nie odpowiedział. Trzasnął biczem i psy zaczęły odciągać fotel, który wkrótce znikł z jej pola widzenia.

Kiedy Theresa się upewniła, że Wilfred już sobie poszedł, padła w tym samym miejscu, w którym kilka chwil wcześniej wydał ostatnie tchnienie jej ojciec. Z trudem mogła zebrać myśli, ale nie miało dla niej znaczenia, że zostanie oskarżona. Wróciła do Wurzburga ze względu na Gorgiasa, walczyła o niego, a nawet odważyła się rzucić wyzwanie Alkuinowi. Jednak po jego śmierci było jej już wszystko jedno. Położyła się na resztkę słomy, która kłuła niczym szpile, i zapłakała rozgoryczona. Szlochając, zastanawiała się, na którym cmentarzu go pochowają.

Przeklinała dokument. Z jego powodu zginął Genzeryk, Korne, młody wartownik, którego imienia nawet nie знаła, niania... I Gorgias, ojciec, za którego każda córka oddałaby własne życie. Płakała dalej, niepokieszona, a do

jej bólu dołączyło zimno, od którego drętwiały jej członki, aż w końcu przemarzła do szpiku kości.

Po północy jakiś kamyk uderzył ją w policzek. Sądziła, że odkruszył się od cembrowiny, ale kolejne uderzenie sprawiło, że rozprostowała członki i wstała. Spoglądała w górę, nie widząc żywej duszy, kiedy kolejny kamyk wpadł przez otwór, przez który wsypywano śnieg od strony stajni. Przyjrzała się otworowi o średnicy małej beczułki. Był zabezpieczony kratą. Zaczęła nasłuchiwać i w końcu usłyszała, że ktoś próbuje coś do niej powiedzieć.

— Tak? — szepnęła.

— To ja, Izam — usłyszała dobiegający z oddali głos. — Dobrze się czujesz?

Theresa położyła się i zamilkła, bo zauważyła, że do studni zagląda wartownik. Strażnik przyjrzał jej się i cofnął. Theresa znów się podniosła, wzięła kamyczek i rzuciła go do otworu.

— Posłuchaj — usłyszała. — Tu na zewnątrz są strażę. — Znów zapadła cisza. — Wyciągnę cię stamtąd, słyszysz?

Theresa odparła, że tak, i czekała, aż Izam zacznie mówić dalej. Ale już go nie usłyszała.

Nie mogła zasnąć, czekała więc rozbudzona, aż koguty zwiastują początek świtu. Wówczas słaba poświata zaczęła sączyć się przez śnieżny otwór, jakby przypominając jej, że stamtąd płynie jedyna nadzieja. Zajrzała do otworu, pragnąc, by pojawił się w nim Izam, ale tak się nie stało. Wtedy zauważyła niewyraźne znaki na skale, które razem wyglądały jak zarys budowli. Skupiła się, lecz nie mogła sobie przypomnieć, by je widziała w dniu, w którym Zenon badał jej ojca. Zdawało jej się, że w tych podobiznach domów z uporem powtarza się pozioma kreska podobna do belki. Wkrótce spuszczone drewnianą drabinkę i dwóch wartowników kazało jej wyjść. Theresa zapomniała o belkach i spełniła polecenie. Kiedy znalazła się na górze, zakneblowali ją i zawiązali oczy. Potem z zawiązanymi rękoma poprowadzili ją przez kuchnię, którą poznała po zapachu pieczonego chleba i jabłecznika. Stamtąd wyszli do atrium, gdzie poczuła przenikliwy chłód poranka, a następnie na pierwsze piętro. Tam czekał na nią Wilfred. Podejrzewała, że to on, bo psy warczały, jakby chciały ją pożreć. Nagle poczuła uderzenie batem, które przecięło jej plecy. Spytano ją, gdzie jest pergamin, a ona powtórzyła, że nie wie. Przepytawali ją i bili dalej, aż wreszcie zmęczeni chłostą dali jej spokój.

* * *

Ocknęła się w kałuży krwi. Nie miała już na oczach opaski. Rozejrzała się wokół i stwierdziła, że zaprowadzono ją do skryptorium, gdzie strażnik o głupawym uśmiechu bezczelnie się na nią gapił. Zobaczyła, że ma ręce i nogi skute łańcuchami. W tej samej chwili do skryptorium wszedł Hoos Larsson i wręczył strażnikowi kilka monet, każąc mu wyjść. Pochylił się nad Theresa i spojrział na nią z odrazą, jakby między nimi nic nigdy nie zaszło.

— Chłosta dobrze ci robi — szepnął, przesuwając czubkiem języka po płatkach jej ucha.

Theresa splunęła mu w twarz, a on roześmiał się rozbawiony i wymierzył jej siarczasty policzek.

— No, no. Nie bądź taka niedobra — ciągnął. — Już nie pamiętasz, jak się razem zabawialiśmy? — I znów przesunął językiem po jej twarzy. Potem złapał ją za ręce i zakneblował, by nie mogła mówić. Znów nachylił się nad jej uchem. — Mówią, że skradłaś pergamin. Czy to prawda? — zaśmiał się. — Takie życie: kilka miesięcy temu musiałem ranić twojego ojca, by go zdobyć, a teraz ty się pojawiaasz i kradniesz go jakby nigdy nic.

Theresa odwinęła się gwałtownie, jakby ukąsił ją wąż, ale Hoos śmiał się dalej i wciąż jej dotykał. Powiedział, że zgodnie z tym, co słyszał, nawet nie będzie osądzona.

— Widać, że nieźle narozrabiałaś. Już ci przygotowali szafot. Drzwi zaczęły się otwierać i Hoos natychmiast od niej odskoczył.

Do sali wkroczyli Alkuin, Wilfred i missus dominicus, Drogo. Wilfred zdziwił się, widząc Hoosa z Theresa.

— Chciałem zobaczyć się z nią sam na sam po raz ostatni — tłumaczył się młodzieniec. — Ona i ja...

Alkuin poświadczył, że para utrzymywała niezbyt chrześcijańskie stosunki. Wilfred skinął głową i kazał Hoosowi wyjść ze skryptorium. Kiedy zostali sami, poszczuł psy, które ruszyły w stronę Theresy.

— W imię Boga i w imię jego Syna Jezusa Chrystusa po raz ostatni wzywam cię, byś nam wyznała, gdzie znajduje się dokument. Wiesz, jakie ma znaczenie, a zatem wyznaj prawdę, a nasza wspaniałomyślność oszczędzi ci katuszy. Ale jeśli będziesz trwać w swym postępowaniu, na własnej skórze odczujesz męki ognia — zagroził.

Stwierdził, że Theresa usiłuje coś powiedzieć, ale knebel jej na to nie pozwala. Kazał więc go zdjąć, lecz Alkuin zaprotestował.

— Gdyby chciała, już by wyznała prawdę — ściągnął jej suknię z ramion, by pokazać ślady chłosty na jej plecach. — Poczekajmy, aż płomienie zaczną lizać jej stopy, a wtedy przekonamy się, czy język jej się nie rozplacze.

Drogo skinął głową. Wiedział już o tym, co się wydarzyło, od Alkuina i wspólnie ustalili, że spalą dziewczynę po kolacji, zaraz po nieszporach. Potem wyszli z pomieszczenia, zostawiając ją w towarzystwie wartownika, któremu polecono, by nikogo nie wpuszczał.

* * *

Izam dowiedział się o wszystkim od Urgindy, grubej jak beczka kucharki, w której łaski wkradł się Gratz, gdy pomógł jej przy dostawie żywności. Oprócz zamówienia na towary ze statku kucharka wręczyła Izamowi ciasto z dyni. Kiedy je pakowała, powiedziała, że egzekucja odbędzie się w fortecy, ponieważ zdaniem Alkuina mieszkańcy nie zaakceptowaliby egzekucji dziewczyny, która kilka dni wcześniej zmartwychwstała.

— O tym ostatnim dowiedziałam się ukryta za kotarą — zaśmiała się z dumą, dodając do zawiniątka jabłko. — Ja w ogóle tego nie rozumiem. Skoro wcześniej był cud, jak to możliwe, że teraz dziewczyna okazuje się harpią? Na mnie zrobiła dobre wrażenie, ale oczywiście ja znam się tylko na kuchni. Spróbujcie tego ciasta. — I znów zaczęła się zaśmiewać, dumna z tego, że jest tak dobrze poinformowana.

Izam ugryzł kawałek ciasta. Było twarde i mdłe. Zapłacił za zamówiony towar, po czym obliczył, która jest godzina. Pomodlił się, by jego plan okazał się lepszy od dyniowego ciasta kucharki.

Zostawił towar w magazynie i ruszył w stronę wieży, gdzie według Urgindy dziewczyna miała zostać spalona. Wieża, imponująca konstrukcja z kamienia, wznosiła się na skale w najwyższym punkcie fortecy, stanowiąc tym samym jej ostatni bastion. Rozciągał się z niej widok nie tylko na sam Wurzburg, ale również na bramy prowadzące do miasta, dolinę Menu i pasma wzgórz. Kiedy Izam znalazł się u stóp wieży, odkrył, że upływ czasu, a także brak odpowiednich napraw sprawiły, że basztę trzeba było podeprzeć potężną belką, której koniec wspierał się o wewnętrzną stronę muru.

Skrzywił się, gdy na jednym z dziedzińców prowadzących do wieży zobaczył stos. Teren był trudno dostępny, ponieważ pod basztą ciągnęła się fosa, a tuż za nią wznosił się mur obronny. Ukrył się za stosem drew i czekał, aż zjawi się orszak.

Zaczęło padać. Opatulił się płaszczem, pocieszając się, że pod wpływem wilgoci drwa nie zajmą się tak łatwo ogniem. Wkrótce potem rozległo się bicie

w dzwony. Czekając, zauważył dziwny pień stanowiący umocnienie wieży. Uznał, że dzięki niemu można pokonać przepaść dzielącą wieżę od muru.

Po chwili pojawił się wózek Wilfreda, za którym kroczył Drogo, Alkuin i okazale wystrojony diakon Flawiusz. Za nimi szła Theresa pilnowana przez dwóch strażników. Izam schował się jeszcze głębiej, gdy psy podciągnęły wózek pod stos. Towarzyszący Wilfredowi słudzy wbili pochodnie w ziemię i wyszli z placu broni. Rozpadało się na dobre. Na znak hrabiego strażnicy pochwycili Theresę, która sprawiała wrażenie otumanionej. Mieli już wprowadzić ją na stos, gdy do akcji wkroczył Izam.

— Co to ma, u diabła, znaczyć! — mruknął na jego widok Wilfred. Wartownicy chwycili za broń, ale Drogo ich powstrzymał.

— Izamie, to ty? — spytał zdziwiony missus. Młodzieniec skłonił się przed nim.

— Sędzio, ta dziewczyna jest niewinna. Nie możecie do tego dopuścić.

Próbował do niej podejść, ale strażnicy zagrodzili mu drogę. Wilfred poszczuł psy, które zaczęły ujadać jak opętane. Następnie rozkazał żołnierzom podpalić stos, ale Izam wyjął sztylet i rzucił nim. Ostrze przecięło powietrze i wbiło się w krzesło pod wstydliwymi częściami ciała Wilfreda. Wtedy wyjął zza pasa drugi sztylet.

— Zapewniam was, że jeśli macie serce, mogę w nie trafić — zagroził.

— Izamie, nie bądźcie głupcem — ostrzegł go missus. — Ta dziewczyna ukradła niezwykle ważny dokument. Nie wiem, co wami kieruje, ale już postanowiłem, że zapłaci za to życiem.

— Ona niczego nie ukradła. Była przy mnie, odkąd wyszła ze skryptorium — powtórzył inżynier, nie opuszczając broni.

— Alkuin inaczej mi to przedstawił.

— Zatem Alkuin kłamie — odparł krótko.

— Heretyk! — zawołał mnich.

Krople deszczu dudniły z uporem, a zebrani czekali. Izam nabrał głęboko powietrza, bo nadszedł czas na ostatnie zagranie. Wystąpił naprzód, ścisnął w dłoniach krzyż, który wisiał na jego piersiach, i padł przed Drogiem na kolana.

— Żądam Sądu Bożego!

Wszyscy zamilkli zdumieni. Sądy Boże kosztowały życie.

— Jeśli staracie się ją uratować... — ostrzegł go Wilfred.

— Tego się domagam! — Izam zerwał krzyż z piersi i wznosił go ku niebu.

Drogo zakaszłał. Spojrzał na Wilfreda, potem na Flawiusza, a wreszcie na samego Alkuina. Pierwsi dwaj pokręcili przecząco głowami. Ale Alkuin orzekł, że nie sposób uchylić się przed żądaniem ordalii.

— A zatem Sąd Boży...? Zbliżcie się — rozkazał Drogo. — Wiecie, na co się narażacie?

Izam przytaknął. Zazwyczaj kazano oskarżonemu przejść boso po rozgrzanej do czerwoności kracie: jeśli jego stopy zostały spalone, był winny, ale jeśli dzięki boskiej interwencji pozostały nienaruszone, wówczas ogłaszano jego niewinność. Możliwe było również wrzucenie oskarżonego do rzeki ze skrepowanymi rękoma i nogami: jeśli utrzymywał się na powierzchni, jego winy zostały odkupione. Jednak Izam zamierzał uciec się do pojedynku, co przy dwu przeciwnikach było możliwe. Wystarczyło jedynie wyzwać Alkuina.

— To nie on jest oskarżony — odparł, słysząc to, Wilfred.

— Alkuin twierdzi, że Theresa dopuściła się kradzieży, ale ja utrzymuję, że to on kłamie. W takim wypadku jedynie Bóg może rozpoznać, kto jest zbłąkaną owcą.

— Nigdy nie słyszałem większych bzdur! Czyżbyście zapomnieli, że to Alkuin jest pasterzem, a Theresa owcą?

W tym momencie Alkuin podszedł do Izama, spojrział mu stanowczo w oczy i wyrwał mu krzyż.

— Przyjmuję ordalię.

* * *

Wrócili do budynku po ustaleniu, że spotkają się o świcie przy stosie. Gdy missus obiecał, że Theresie nic się nie stanie, Izam udał się na statek. Natomiast Wilfred, Flawiusz i Alkuin zebrali się, by omówić szczegóły Sądu Bożego.

— Nie powinniście byli się zgodzić — powtórzył oburzony Wilfred.— Nie było powodu, by...

— Wierzcie mi, wiem, co robię. Pomyślcie, że to, co teraz oceniacie jako szaleństwo, w rzeczywistości jest doskonałym sposobem na uzasadnienie egzekucji, która w oczach pospólstwa byłaby kompromitacją.

— O czym mówicie?

— Lud wielbi Theresę. Wierzą, że dziewczyna zmartwychwstała. Wykonywanie wyroku nie miałoby teraz sensu, a tym bardziej oskarżanie jej o przestępstwo, o którym nie możemy zbyt wiele mówić. Natomiast Sąd Boży stanowić będzie wystarczające usprawiedliwienie.

— Ale wy nie znacie się na broni. Izam pośle was do piekła.

— Istnieje taka możliwość, ale Bóg jest ze mną.

— Nie bądźcie głupcem, Alkuinie! — wtrącił diakon Flawiusz. — Izam jest doświadczonym żołnierzem. Przy pierwszym starciu wasze ciało stoczy się w przepaść.

— Ufam Bogu.

— Do diabła! Nie ufajcie aż tak bardzo. Alkuin zamyślił się. Po chwili wstał rozradowany.

— Obrońca. Oto, kogo potrzebujemy — przypomniał im, że w or-dalii osoba znieważona może wyznaczyć reprezentanta, który będzie jej bronić. — Może Theodor — zasugerował. — Jest silny jak dąb i o głowę przewyższa Izama.

— Theodor jest do niczego. Gdyby miał posiekać cebulę, przy pierwszym cięciu zostałby bez palców — stwierdził Wilfred. — Trzeba pomyśleć o kimś innym.

— A Hoos Larsson? — zaproponował diakon Flawiusz.

— Hoos? — zdziwił się Wilfred. — Zgoda, jest zręczny, ale czy się zgodzi?

— Za pieniądze na pewno — zapewnił Flawiusz.

Alkuin przyznał, że wspomniany młodzieniec posiada siłę i umiejętności niezbędne w pojedynku, lecz nie wierzył za bardzo, że zechce wziąć na siebie takie ryzyko. Flawiusz jednak nie tylko w to nie wątpił, ale nawet zaoferował, że spróbuje go przekonać. Wilfred i Alkuin wyrazili zgodę.

* * *

Przed świtem na statku Izama zjawił się posłaniec, aby powiadomić go, że ma się stawić na murach fortecy. Na potwierdzenie swych słów pokazał tabliczkę z pieczęcią Droga. Izam wziął zatem swoją kuszę oraz strzały, przytroczył do pasa skramasaks, dla ochrony przed deszczem włożył kurtkę podbitą futrem i ruszył za posłańcem w stronę murów. Gdy przeszli przez bramę, posłaniec poprowadził go fosą pod skarpe do miejsca znajdującego się najbliższej placu broni. Tam pozostałości rusztowań użytych do podparcia wieży pięły się w górę, tworząc dość nieprawdopodobny widok, aż po sam pień stanowiący podporę między wieżą a murem. Kiedy sługa poinformował go, że ma wejść po rusztowaniu, Izam się zawahał.

— Dlaczego miałbym wchodzić?

Posłaniec wzruszył ramionami, patrząc w górę. Izam podążył wzrokiem za jego spojrzeniem i rozpoznał sylwetkę Droga stojącego na placu broni. Sędzia na migi nakazał mu wejść po przystawionym do muru rusztowaniu. Nim zaczął wchodzić, posłaniec poprosił, by oddał mu kuszę, co Izam uczynił. Następnie przeżegnał się i rozpoczął wspinaczkę.

Z początku zdawało mu się, że rusztowanie jest stabilne, ale w miarę jak wspinał się coraz wyżej, rusztowanie zbudowane z drążków i sznurów zaczęło trzeszczeć, jakby miało się zapaść. Izam wchodził wyżej, starając się wspierać na mocniejszych częściach. Dokuczała mu zraniona noga, ale dłońmi niczym szponami sprawnie chwycił się występów. Im wyżej wchodził, tym bardziej konstrukcja się chwiała. W dwu trzecich drogi zatrzymał się, by złapać oddech. Deszcz i wiatr smagały mu twarz. Na dole w fosie skaliste dno jakby czekało, aż opadnie z sił. Nabrał powietrza i wspinał się na sam szczyt rusztowania, tam gdzie znajdował się pień łączący mur z wieżą strażniczą.

Nie dali mu odpocząć. Po drugiej stronie czekali już Wilfred w swym fotelu, diakon Flawiusz, Drogo i Alkuin. A nieco dalej Theresa pilnowana przez dwu strażników. Zobaczył, że nie ma na głowie kaptura, ale wciąż jest zakneblowana. Mimo dzielącej ich odległości widział przerażenie w jej oczach. Obok niej stał wysoki mężczyzna z toporem. Ścisnęło go w gardle. W tym momencie Drogo wystąpił naprzód i poprosił Izama o złożenie przysięgi.

— W imię Pana, przeżegnajcie się i przygotujcie do walki. Alkuin przedstawia obrońcę! — zawołał, pokazując mężczyznę z toporem. — Jako że został znieważony, ma do tego prawo. A teraz przysięgnijcie wierność Bogu i niech On kieruje waszą bronią.

Kiedy Izam złożył przysięgę, Drogo zwrócił się w stronę mężczyzny z toporem i kazał mu się przygotować.

— Honor dla zwycięzcy i piekło temu, który spadnie!

Izam zrozumiał, że pojedynek zostanie stoczony nad przepaścią, zatem czekając na swego przeciwnika, obejrzał pień, na którym mieli walczyć. Stwierdził, że jego górna część jest nieco ociosana, jakby kiedyś używano go jako kładki między wieżą a murem. Mimo to utrzymanie równowagi nie było prostą sprawą, bo wciąż padał deszcz. Zwrócił uwagę, że mniej więcej w połowie pnia na nieco bardziej wyrównanej powierzchni przytroczono małe skórzane buklaki. Nie miał pojęcia, czemu mogłyby służyć ani co zawierały.

W tym momencie uniósł wzrok i zobaczył, jak jego przeciwnik mija balustradę baszty i wkracza na pień uzbrojony w topór. Dla ochrony miał na sobie skórzaną kurtę i nabijane gwoździemi buty z cholewami. Bez wątplenia był to Hoos Larsson. Zdradzały go tatuaże.

Izam wyjął sztylet i przygotował się do walki. Drogo kazał Hoosowi odłożyć topór. Larsson wbił topór w pień i wyciągnął skramasaks. Potem ruszył w stronę Izama, nie patrząc pod nogi. Izam również postąpił krok naprzód. Z zaniepokojeniem stwierdził, że rana sprawia mu ból.

Zbliżyli się do siebie jak osaczone bestie. Oblicze Izama pokryte było kroplami deszczu, a twarz Hoosa nieustraszona, jakby wybrał się na zwykłe polowanie. Pień zatrzeszczał pod ich ciężarem, kiedy zbliżyli się do jego środkowej części. Hoos pierwszy się zamierzył, ale Izam wykonał unik, nie cofając się ani na krok, i odpowiedział ciosem sztyletem, który Hoos z łatwością powstrzymał.

Hoos zaśmiał się. Świetnie sobie radził z nożami, a podbite gwoździemi buty trzymały go na pniu niczym pazury. Rzucił się znów na Izama, zmuszając go do cofnięcia się. Izam przygotował się, ale nagle Hoos również się cofnął, jakby chciał nacieszyć się tym, co miało się za chwilę zdarzyć. W tym momencie Drogo rozkazał swym łucznikom wystrzelić i chmara strzał przecięła powietrze, wbijając się w małe bukłaki dzielące przeciwników.

— Co? — zaśmiał się Hoos. — Myślisz, że zaboli, jak runiesz w dół na te skały?

Tym razem Hoos stąpał ostrożnie, gdyż przebite bukłaki były napełnione oliwą, która zamieniła pień w prawdziwą ślizgawkę. Nagle Hoos przypuścił kolejną szarżę i choć Izam uchylił się przed ciosem, poślizgnął się i stracił broń. Na szczęście odzyskał równowagę, nim Hoos zdołał go dosięgnąć. Szybko odpiął swój pas i użył go jako bicia, nie pozwalając Hoosowi się zbliżyć.

W tym momencie za plecami Izama rozległ się trzask. Izam z przerażeniem zobaczył, że rusztowanie pęka i deszcz listewek leci w przepaść. Nie miał czasu, by zareagować. Nagle przyparty do mury koniec pnia zaczął się łamać, a rusztowanie wciąż trzeszczało. Przeciwnicy pojęli, że pień za chwilę runie, i przeskoczyli na drugi koniec. Mimo różnicy wysokości między pniem a podestem wieży Hoos bez trudu znalazł się na bezpiecznym terenie, ale Izam upadł, gdy przekraczał śliski odcinek. Przez chwilę jego ciało zawisło w powietrzu, ale zdołał się złapać za sęk drzewa.

Theresa wrzasnęła, a jej krzyk dobiegł do uszu Izama, który rozpaczliwie usiłował wydostać się z opresji. Na szczęście jego palce trafiły na strzałę, która przebiła bukłak i utkwiała w nim głęboko. Strzała i sęk pozwoliły mu jakoś się utrzymać. Hoos przypatrywał się tej scenie wsparty o topór. Zarechotał, widząc, że Izam szamoce się niczym ptaszek w potrzasku.

— Potrzebujesz pomocy? — naśmiewał się.

Izam zwisał z pnia i żadną miarą nie mógł się wdrapać na górę. Hoos wyrwał topór i zaczął nim wywijać.

— Wiesz co, Izamie? Chciałbym go wbić — zawołał. — Theresa to lubiła — dodał, drapiąc się po kroczu.

Miał już rzucić toporem, gdy niespodziewanie pień ugiął się przy samej wieży. Przerażliwy wstrząs sprawił, że Hoos przewrócił się, odbił od kamiennego muru baszty i poleciał do przodu, niedaleko miejsca, w którym zwisał Izam. Na szczęście pień nie złamał się, dzięki czemu Izam zdołał się złapać za drugi sęk.

Hoos roześmiał się. W deszczu jego twarz przypominała pysk bestii świadomej bezsilności swej ofiary.

Posunął się naprzód, patrząc, jak Izam walczy nad przepaścią. Gdy znalazł się blisko, zamachnął się toporem, ale ten uchylił się, odsuwając w porę nogę, którą zahaczył o sęk, przez co znów zawisł nad otchłanią. Hoos wyrwał topór, który wbił się w drzewo, co Izam wykorzystał, by znów się nieco wspiąć. Przez chwilę obaj na siebie spoglądali: Hoos, pochylony, dzierżąc swoją broń i ciesząc się zdobyczą, i Izam, bezbronny, wciąż szukający ratunku. Nagle topór ze świstem wbił się na piędź od twarzy Izama, który natychmiast się zorientował, że wreszcie ma swoją szansę. Złapał topór za trzonek, gwałtownie za niego pociągnął i wiele się nie zastanawiając, zadał cios, przed którym Hoos uchylił się z kocią zwinnością. W tej samej chwili kolejne trzaski ustąpiły miejsca łoskotowi zwiastującemu niechybne zwałenie się pnia. W mgnieniu oka przyparty do muru koniec pnia zaczął się walić. Drugi koniec wytrzymał. Izam i Hoos trzymali się, jak mogli, ale kolejny wstrząs sprawił, że Hoos stracił oparcie i zaczął spadać w przepaść. Już leciał, gdy w ostatniej chwili Izam go podtrzymał. Pień znów się zatrząsł i jeszcze bardziej przechylił. Izam próbował podciągnąć Hoosa, który błagał, by go ratować. Aby go unieść, Izam wyrzucił topór w przepaść i złapał się gałęzi. Ostatnim wysiłkiem podciągnął Hoosa, który zdołał się czegoś złapać.

Teraz Hoos znajdował się za nim i obaj musieli przejść do wieży, jeśli nie chcieli, by pień pociągnął ich ze sobą, ześlizgując się z podtrzymującego go kamienia. Izam zaczął się wspinać, a Hoos udzielił mu wsparcia. Jednak po drodze wyrwał jedną ze strzał, które utkwiły w bukłakach, podszedł z nią kawałek i w chwili gdy Izam miał już przeskoczyć na wieżę, wbił mu ją w plecy.

Theresa krzyknęła z rozpaczą. Już od pewnego czasu usiłowała się uwolnić, ale teraz miała mokre od deszczu nadgarstki, a węzły pętających ją sznurów również zawilgotniały. Śledzący pojedynkę strażnicy prawie nie zwracali na nią uwagi. Theresa pociągnęła ze wszystkich sił i uwolniła jedną rękę. A zaraz

potem drugą. Roztarła zdrętwiałe nadgarstki. Potem złapała belkę ze stosu i podeszła strażników od tyłu. Tuż za jej plecami leżała kusza Izama. Miała już ją podnieść, gdy zauważył ją jeden z żołnierzy, ale Theresa uderzyła go belką i mężczyzna padł nieprzytomny na ziemię. Złapała kuszę i pobiegła w stronę wieży. Gdy drugi strażnik zorientował się, co się dzieje, też próbował ją zatrzymać, ale Theresa dopadła już do bramy, zdążyła wejść do środka i zaryglować drzwi. Potem wbiegła zdyszana po schodach, przeskakując po dwa stopnie, a serce wyskakiwało jej niemal z piersi. Kiedy znalazła się przy oknie, zobaczyła, że Hoos usiłuje strącić Izama w przepaść.

Kusza była już nabita. Theresa wycelowała i strzeliła, ale bełt rozciął powietrze i przepadł gdzieś w oddali. Przeklinała swój nadmierny pośpiech. Hoos znów zaczął uderzać Izama, który złapał się pnia, by ratować życie. Wtedy Theresa podjęła kolejną próbę z ostatnim bełtem, jaki jej został. Złapała dźwignię, która służyła do naciągania kuszy, ale tylko poraniła sobie dłoń. Spojrzała na Izama i stwierdziła, że zaraz spadnie. Znów złapała za dźwignię i spojrzała na Hoosa. Pomyślała o jego obłudnych pieścizotach i pociągnęła... Pomyślała o ojcu i znów pociągnęła... Pomyślała o Izamie i pociągnęła, aż wreszcie drzewo ustąpiło i Theresa naciągnęła kuszę. Umieściła bełt w ryniencie i wycelowała, świadoma, że ma tylko jedną szansę. Hoos szykował się, by skończyć z Izamem. Theresa czekała, aż ręce przestaną jej drżeć. Zmrużyła oko i spokojnie wystrzeliła. Hoos sięgał właśnie po sztylet, gdy nagle jego kręgosłupem wstrząsnął dreszcz. Opuścił głowę i pełen niedowierzania spojrzał na swój tors, w którym tkwiła zakrwawiona strzała. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał, nim spadł w przepaść, była wykrzywiona z nienawiści twarz Theresy.

Izam nie zatrzymał się, by obejrzeć tę scenę. Czym prędzej wspiał się na czworakach na wieżę, akurat w chwili, gdy pień się obluzował i runął w głąb urwiska, pociągając ze sobą murek okalający plac broni.

* * *

Gdy tylko stanął na nogach, objął zalaną łzami Theresę. Bezwiednie ją pocałował. Zeszli w deszczu, powoli, nic nie mówiąc. Na dole żołnierze dobijali się do drzwi, ale te, wykonane z grubego drewna, podobnie jak podpierająca je belka, stawiały dzielnie opór. Izam odsunął belkę. Pod drugiej stronie czekali Drogo, Alkuin, diakon Flawiusz i dwaj strażnicy. Wilfred został z tyłu, obok zwałonego murku.

— Dziękuję — powiedział Alkuin do Izama.

Theresa nic z tego nie rozumiała. Izam pokonał właśnie jego obrońcę, a Alkuin był mu za to wdzięczny? Zdziwiła się jeszcze bardziej, gdy mnich podszedł do niej i okrył ją swym płaszczem. W tej samej chwili Drogo rozkazał żołnierzom, by opuścili plac broni.

— Nareszcie wszystko zaczyna się wyjaśniać — stwierdził ze spokojem Alkuin.

* * *

Deszcz ustawał. Mnich podszedł do diakona Flawiusza, który niespodziewanie cofnął się aż do na wpół zniszczonej balustrady.

— Muszę przyznać, że kosztowało mnie to sporo pracy — powiedział do niego. — Wy, diakon Flawiusz, wysłannik papieski i rzymski nuncjusz. Kto mógłby podejrzewać, że jesteście sprawcą tylu nieszczęść?

Theresa zamierzała już się wtrącić, ale Izam ją powstrzymał.

— Napaść na Gorgiasa — ciągnął Alkuin. — Śmierć nieszczęsnej niani, porwanie dziewczynek, zabójstwo młodego wartownika... Powiedzcie mi, Flawiuszu, jak daleko byliście skłonni się posunąć?

— Mylicie się — zaśmiał się nerwowo. — Sąd Boży dał nam jasną odpowiedź. Klęska waszego obrońcy stanowi dla was kompromitację.

— Klęska? Przecież to wy wybraliście Hoosa Larssona.

— Aby was bronił — odparł Flawiusz.

— Ja uważam, że po to, aby was uratował. Gdyby Hoos wygrał, a przecież o to wam chodziło, dziewczyna spłonęłaby na stosie. Gdyby Hoos zginął, pozbylibyście się waszego zbira, jedynej osoby, która mogła was wydać. A co powiedzieć o Genzeryku, waszym niegdysiejszym sprzymierzeńcu? Dobrze obu zapłaciliście, i to złotymi monetami bitymi w Bizancjum. — Wyjął trzos i pokazał jego zawartość. — A te monety, których użycie jest zakazane, jak wszystkim wiadomo, na ziemiach frankońskich, skąd wzięliście?

— Te pieniądze dałem Hoosowi w zamian za udział w pojedynku — warknął nuncjusz. — Sami wydaliście na to zgodę.

— Flawiuszu, Flawiuszu!... na miłość boską. Te monety znalazłem, zanim Izam wyzwał mnie na pojedynek. A konkretnie tego samego dnia, w którym Theresa przyłapała was w tunelu na spiskowaniu z Hoosem Larssonem.

Flawiusz zaniemówił. Nagle stanął za wózkiem Wilfreda i zagroził, że zrzuci go w przepaść.

— Jeśli o mnie chodzi, możecie go zrzucić — powiedział spokojnie Alkuin. — Właściwie byłoby to całkiem uzasadnione.

Oczy hrabiego, już i tak przerażone, otwarły się jeszcze szerzej, gdy usłyszał te słowa. Mnich mówił dalej.

— Ponieważ to Wilfred zamordował Genzeryka — stwierdził. — Kiedy odkrył, że wikary go zdradził, że to Genzeryk jest odpowiedzialny za zniknięcie Gorgiasa, bo chciał przywłaszczyć sobie pergamin, nie wahał się go zabić. Podobnie jak później zabił Kornego — dodał, wskazując na uchwyt fotela.

Kiedy Wilfred zobaczył, że diakon Flawiusz zaciska dłoń na uchwycie jego fotela, uruchomił mechanizm. Rozległ się metaliczny trzask. Nuncjusz poczuł ukłucie w dłoni, ale nie zwrócił na nie uwagi.

— Zapominacie, do kogo mówicie? Jestem wysłannikiem papieskim— powiedział z naciskiem Flawiusz.

— I stronnikiem Ireny z Bizancjum, cesarzowej zdrajczynie, która oślepiła własnego syna i która nienawidzi papieżstwa. Kobiety, która was przekupiła, której służycie i której zamierzaliście wręczyć dokument, aby zapobiec koronacji Karola Wielkiego. A teraz zostawcie Wilfreda i wyznajcie, gdzie ukryliście dokument, który żeście wykradli ze skryptorium.

Flawiusz zachwiał się. Trucizna zaczynała już działać. Wsunął dłoń pod habit i wyciągnął złożony pergamin.

— To tego szukacie? Dokumentu, który jest fałszerstwem? Powiedzcie mi, Alkuinie, kto jest bardziej...? — Pochylił gwałtownie głowę, jakby żołądek podszedł mu do gardła. — Kto jest bardziej winny? Ten, kto tak jak ja walczy, by przeważała prawda, czy ten, kto jak wy ucieka się do kłamstwa, by osiągnąć swoje cele?

— Jedyna prawda to prawda Boga. To on pragnie, by papieżstwo przetrwało.

— Bizantyjskie czy rzymskie? — Flawiusz zamrugał nerwowo oczami, jakby miał problemy ze wzrokiem.

Alkuin chciał do niego podejść, ale diakon go ostrzegł.

— Jeden krok, a zniszczę pergamin.

Mnich zatrzymał się, świadom, że aby zdobyć dokument, wystarczy tylko poczekać, aż trucizna zadziała. Ale Wilfred nie wytrzymał. Kiedy zobaczył, że nuncjusz papieski się chwieje, spuścił psy, które niczym wierni wykonawcy jego życzeń rzuciły się do gardła Rzymianina. Ramię Flawiusza zaatakowały kły pierwszego psa, drugi zaś szarpał go za habit. W trakcie szamotaniny wypuścił pergamin i jedna z bestii złapała go i zaczęła rozszarpywać. Flawiusz usiłował wyrwać mu z pyska dokument, ale drugi pies rzucił się na niego i diakon stracił równowagę. Zachwiał się nad krawędzią przepaści. Przez

sekundę patrzył z niedowierzaniem na Alkuina. Potem przechylił się i zarówno on, jak i pies runęli w otchłań.

Kiedy Alkuin podszedł do tego, co zostało z balustrady, zobaczył na dnie wąwozu ciało diakona Flawiusza spoczywające tuż obok Hoosa Larssona.

Kiedy pozbierał resztki pergaminu, zrozumiał, że nie zdoła go już zrekonstruować. Przeżegnał się powoli i odwrócił do Droga. Theresa miała wrażenie, że w oku zakręciła mu się łąza.

RS

ROZDZIAŁ 31

Egzekwie za duszę Gorgiasa zostały odprawione w dużym kościele z udziałem Droga, pozostałych członków misji papieskiej i chóru dzieci. W uszach Theresy zaintonowane przez nie antyfony brzmiały niczym przedśpiewek niebios. Jej macocha, Rutgarda, szlochała zrozpaczona w towarzystwie siostry Lotarii, jej męża i dzieci. Za nimi stał Izam, który na wypadek, gdyby Theresa zasłabła, przyniósł taboret, ale dziewczyna mężnie wysłuchiwała homilii dumna ze swego ojca. Po zakończeniu nabożeństwa wyszła z kościoła procesja, która odprowadziła trumnę na cmentarz. Na wyraźne życzenie Alkuina ciało Gorgiasa zostało pochowane obok grobów najznamienitszych osób z okolicy, tych, którzy przez swą świętobliwość bądź waleczność obronili Wiirz-burg i jego wartości chrześcijańskie.

Ta marcowa sobota była najsmutniejszym dniem w życiu Theresy.

W niedzielę z samego rana Theresa została wezwana przez Alkuina. Nie miała ochoty go oglądać, ale Izam nalegał, by poszła. Kiedy przyszła na spotkanie, w skryptorium zjawił się również Izam. Theresa powitała ich obu uprzejmie i usiadła na przygotowanym dla niej miejscu. Alkuin poczęstował ją ciepłymi bułeczkami, ale Theresa odmówiła. Zapadła chwila milczenia, którą Alkuin przerwał, lekko odkasłując.

— Na pewno nie masz ochoty? — dopytywał się. Odsunął bułeczki i rozłożył na stole resztki pergaminu. — Tyle pracy na nic — rozpaczał.

Theresa myślała tylko o zmarłym ojcu.

— Jak się czujesz? — spytał Izam.

Theresa odparła cienkim głosem, że dobrze. Widać było, że nie mówi prawdy, bo jej oczy były wilgotne od łez. Alkuin zagryzł wargi, wciągnął głęboko powietrze i wziął dziewczynę za rękę, ale ona wyrwała ją. Wówczas Izam ujął jej dłoń w swoje ręce, a Alkuin zebrał resztki pergaminu i odsunął je na bok jak śmieci.

— Nie wiem, od czego zacząć — powiedział mnich. — Po pierwsze, błagam Boga, by wybaczył mi moje sukcesy i błędy. Jeśli chodzi o te pierwsze, jestem dumny, że mu służyły, za drugie zaś żałuję, choć popełniłem je w Jego imieniu. On o tym wie i pod Jego opiekę się oddaję. — Przerwał i spojrzał na Theresę i Izama. — Teraz łatwo jest osądzać. Być może błądziłem, uciekając się do kłamstwa, ale pocieszam się myślą, że kierowałem się tym, co w głębi uważam za sprawiedliwe i chrześcijańskie. *Accidere ex una scintilla incendia passim*. Czasem mała iskra może wniecić wielki ogień. Jeśli chodzi o to, co tu

się wydarzyło, muszę przyznać, że jestem ostatecznie za to odpowiedzialny, i dlatego, choćby tylko z powodu gorzkich konsekwencji, jestem ci winien przeprosiny. A teraz powinnaś poznać wydarzenia, które doprowadziły twojego ojca do grobu.

Theresa spojrzała na Izama, on zaś ścisnął jej dłonie. Ufała mu. Odwróciła się do Alkuina i zaczęła słuchać.

— Poznałem twojego ojca w Italii. Tam namówiłem go, by pojechał ze mną do Wurzburga, gdzie przez wiele lat ze mną pracował. Jego znajomość łaciny i greki była zaiste opatrnościowa przy tłumaczeniu ogromnej ilości kodeksów i epistoł. Zawsze powtarzał, że lubi pisanie na równi z dobrą pieczeniem, a może nawet bardziej — zaśmiał się ze smutkiem. — Być może dlatego, kiedy z początkiem zimy zaproponowałem mu przepisanie pergaminu, twój ojciec natychmiast się zgodził. Wiedział, jak ważny to dokument, ale o jego fałszerstwie nie miał pojęcia. — Wstał i mówił dalej, przechadzając się. — O jego pracy wiedział Wilfred, jego świątobliwość papież i oczywiście Karol Wielki. Na nieszczęście dowiedział się o tym również Flawiusz, którego bizantyjska cesarzowa Irena musiała skorumpować za pomocą pieniędzy i oszustwa. Flawiusz opracował plan godny diabelskiego pomiotu. Znał Genzeryka, ten bowiem, nim się przeniósł do Wurzburga, mieszkał w Rzymie, tak więc przekonał papieża, by wysłał go do Aquis-Granum z relikwiami Santa Croce. Za pośrednictwem posłańca porozumiał się

Genzerykiem, prosząc, by o wszystkim go informował, a sam udał się do Fuldy ze skrzynią kryjącą lignum crucis, którą zamierzał wykorzystać do ukrycia pergaminu Konstantyna w drodze do Bizancjum. Genzeryk z kolei posłużył się Hoosem Larssonem, pozbawionym skrupułów młodzieńcem, którego bez wahania zatrudnił do zdobycia dokumentu.

Theresa nie rozumiała, dlaczego go słucha. Ten świętoszkowaty mnich oskarżył ją fałszywie o kradzież pergaminu i gdyby nie zwycięstwo Izama, spaliłby ją żywcem. Wytrzymała jedynie przez wzgląd na swego wybawcę.

— Genzeryk cieszył się zaufaniem Wilfreda — ciągnął Alkuin. — Miał dostęp do skryptorium i wiedział, jakie postępy w pracy czyni twój ojciec. Zapewne, sądząc po datach, przypuszczał, że dokument jest już ukończony, kazał więc Hoosowi go ukraść. Ten napadł na Gorgiasa, ranił go, ale nie osiągnął celu, bo na szczęście dla twojego ojca zabrał jedynie brudnopis, w którym znajdował się sam początek tekstu.

„Na szczęście dla twojego ojca...”. Theresa przeklęła go w duchu.

— I tu wkracza do akcji pieczęć Konstantyna. — Alkuin podszedł do szafy, z której wyjął sztylet znakomitej roboty. Theresa od razu go poznała: należał do Hoosa Larssona. — Hoos miał go przy sobie, gdy zginął — wyjaśnił. Z pewnym wysiłkiem przekreślił rękojeść. Rozległ się zgrzyt. Z rączki wyjął walec, który zwieńczało wyrzeźbione oblicze. Alkuin umoczył pieczęć w tuszu i przycisnął ją do pergaminu. — Pieczęć Konstantyna — oznajmił. — Genzeryk ukradł ją Wilfredowi i dał Hoosowi na przechowanie.

— Pieczęć miał Wilfred? — spytał Izam.

— Tak jest. Jak już wiesz, dokument składał się z trzech części: samego pergaminu, wykonanego z najcieńszej skóry nienarodzonego cielaka, tekstu łacińskiego i greckiego, który miał przepisać Gorgias, i pieczęci Konstantyna. Bez udziału tych trzech elementów nic by z tego nie wyszło. Kiedy Genzeryk zobaczył, że skradziony dokument nie jest skończony, postanowił ukraść pieczęć.

— Ale o co chodziło Flawiuszowi? O pieczęć czy o pergamin? — spytała Theresa.

— Wybacz, jeśli mówię nie dość jasno — przeprosił mnich. — Flawiusz chciał zapobiec przedstawieniu dokumentu na soborze. Miał różne możliwości: ukraść dokument, zdobyć pieczęć albo pozbyć się twego ojca. I w tej kolejności próbowali to wykonać. Pamiętaj, że przejmując oryginał, mogli dowieść fałszywości dokumentu, gdyby kiedyś sporządzono kolejny taki pergamin.

— I dlatego trzymali przy życiu mojego ojca?

— Z pewnością by go zabili, gdyby skończył przepisywać dokument. Ale teraz wróćmy do Hoosa i pieczęci Konstantyna. — Przerwał i wziął kawałek ciasta, który natychmiast schrupał. Oczyszczył pieczęć i schował ją w rękojeści sztyletu. — Hoos trafił do chaty, bo szukał kryjówki. Tam, jak mi mówiłaś, zastał ciebie w tarapatach.

— Muszę przyznać, choć z trudem, że uratowałem mnie przed Sasami.

— A ty odpłaciłaś mu się za to, uciekając z jego sztyletem. Theresa skinęła głową. Wreszcie zrozumiała, dlaczego Hoos usiłował ją znaleźć.

— Kiedy znalazłaś się w Fuldzie, oczywiście od razu cię poznałem. Nie pamiętałem twojej twarzy, ale nie sądzę, by poza córką Gorgiasa, znalazła się w całej Frankonii druga dziewczyna zdolna odczytać grecki napis na słoiczku.

Theresa przypomniała sobie tamten dzień w aptece. To wówczas Alkuin zaproponował jej pracę.

— Bo byłaś jego córką — przyznał mnich. — Kiedy Hoos wyzdrowiał, odzyskał sztylet z pieczęcią i znikł bez śladu. — Usiadł naprzeciw Theresy i zjadł ostatni kawałek ciasta. — Hoos wrócił do Wurzburga, gdzie spotkał się z Genzerykiem. Postanowili uprowadzić twojego ojca, by zmusić go do ukończenia pergaminu. Na szczęście Gorgias zdołał uciec. Po śmierci Genzeryka Hoos musiał uznać, że wszystko stracone, wrócił więc do Fuldy. Chciał rozmówić się z diakonem Flawiuszem, który z pewnością zasugerował mu, by wykorzystał ciebie jako zakładnika i odnalazł twojego ojca, a w najgorszym wypadku zastąpił jego pisarskie umiejętności twoimi.

— Wilfred zabił Genzeryka?

— Wilfred już od dłuższego czasu go podejrzewał. Gorgias znikł, ale w przedziwny sposób jego rzeczy zginęły dopiero dwa dni później. Do tego czasu Wilfred zdążył już przykazać Theodorowi, że ma pilnować skryptorium, i olbrzym odkrył, że złodziejem był Genzeryk.

— Ale dlaczego go nie śledził? Albo dlaczego nie zmusił do wyjawienia, gdzie jest mój ojciec?

— A kto ci powiedział, że tego nie zrobił? Z pewnością próbował, ale ten olbrzym nie bardzo jest rozgarnięty. Podejrzewam, że kierowany wściekłością Wilfred, gdy tylko znów zobaczył Genzeryka, uruchomił mechanizm, który zaaplikował truciznę wprost w rękę wikarego. Kiedy Theodor odkrył w końcu kryjówkę, poszedł do fortecy, by powiedzieć o tym Wilfredowi, który kazał mu natychmiast wrócić do krypty i uwolnić Gorgiasa, ale wówczas wikary wyzionął już ducha, a Gorgias znikł.

— Wobec tego to Theodor zadał cios rylcem martwemu Genzerykowi.

— W istocie. Wilfred kazał mu wziąć rylce Gorgiasa i upozorować morderstwo, by móc podjąć szczególne środki mające na celu jego odnalezienie. Resztę już znasz: podróż statkiem, twoje „zmartwychwstanie”, zniknięcie bliźniaczek.

— Tego jednak nie rozumiem.

— Nietrudno domyślić się powodu. Po śmierci Genzeryka Flawiusz zaczął kusić Kornego, człowieka o niezbyt wysokim morale, o czym świadczy jego romans z nianią. Za pośrednictwem Hoosa Flawiusz musiał dowiedzieć się o jego słabościach, a zatem obiecując mu zaszczyty i z pewnością twoją głowę, przekonał pergamenariusza, by porwał córki Wilfreda.

— Z zamiarem szantażowania hrabiego, by oddał pergamin.

— Tak sądzę. Flawiusz uznał, że wyrządzając krzywdę Wilfredowi, zdobędzie dokument, nad którym pracowałaś, bo ten, który wykonał twój

ojciec, uznał już za stracony. W każdym razie Korne nie na wiele mu się zdał, bo Wilfred wkrótce go otruł, posługując się mechanizmem ukrytym w fotelu.

— Ale to nie ma sensu. Co mógł uzyskać, zabijając go?

— Przypuszczam, że mógł dowiedzieć się, gdzie są jego córki, w zamian za podanie odpowiedniego antidotum. Ale Korne, który nie wiedział, co się stało z dziewczynkami, uciekł przerażony i zaraz potem zmarł w chórze podczas nabożeństwa.

— Wobec tego, dlaczego porzucili dziewczynki w kopalni?

— Na to nie potrafię odpowiedzieć. Może przeraziła ich nagła śmierć Kornego. A może podejrzewali, że ktoś odkryje bliźniaczki. Nie wiem. Pamiętaj, że niełatwo jest upilnować małe dziewczynki, a do tego miał im służyć pergamenariusz, który wówczas już nie żył. Jak ich pilnować, tak by nikogo nie zdziwiła nieobecność Hoosa albo Flawiusza? A do tego trzeba jeszcze było je karmić, ukrywać, strzec... Dlatego przypuszczam, że podali im narkotyki, aby uniknąć problemów.

— I w workach zanieśli bliźniaczki do kopalni nie po to, by je tam porzucić, ale by upozorować ich cudowne odnalezienie.

— Pamiętaj, że następnego dnia zorganizowano obławę, z której mieli wyjść jako bohaterowie, a nie jako bandyci.

— Przy okazji zrzucili winę na mojego ojca...

Alkuin skinął głową. Potem dał im znak, by poczekali. Wyszedł za drzwi i poprosił, by przyniesiono coś do jedzenia.

— Nie wiem dlaczego, ale ta rozmowa pobudziła mój apetyt — powiedział, wracając. — O czym to mówiliśmy? Ach, tak! Już sobie przypominam. Stale usiłowali zrzucić winę na twojego ojca. Widzisz, odkryłem, że Hoos nie pracował wyłącznie dla Flawiusza. Myślał przede wszystkim o sobie, angażując się we wszystko, co mogło przynieść mu korzyść. Pamiętasz tych chłopców, którzy zostali zadźgani? Miałem okazję rozmawiać z ich krewnymi i dowiedziałem się, że gdy szykowali ciała do pochówku, zauważyli, że zmarli mieli szerniałe stopy i ręce. Czy coś ci to przypomina?

— Ziarno z Fuldy? — spytała z niedowierzaniem.

— Tak jest. Zatrute ziarno. Badając tę sprawę, doszedłem do wniosku, że Lotariusz musiał gdzieś upchnąć pewną część ziarna. Kiedy Hoos zniknął z Fuldy, odjechał ranny na koniu, nieprawdaż? — Theresa spuściła głowę i przytaknęła. — Czarnulka Helga mi to wyznała — ciągnął Alkuin. — Ale według Wilfreda Hoos przyjechał do Wurzburga na wozie. Zatem wygląda na

to, że ktoś jeszcze musiał mu pomóc w Fuldzie: rudzielec Rothaart albo Lotariusz.

— Dlaczego tak myślicie?

Alkuin sięgnął do kieszeni i wyjął garść zboża.

— Ponieważ w szopie, w której amputowano ramię twojemu ojcu, znalazłem zakażone ziarno.

Alkuin zaczął wyjaśniać, że Hoos na pewno starał się zbić interes, wykorzystując głód panujący w Wurzburgu. Młodzi chłopcy, którzy zginęli, byli zatrudnieni przez Hoosa do różnych prac. Musiał płacić im ziarnem, którego sam nie jadł, bo Lotariusz go przed tym przestrzegł.

Być może nie wiedział, że skutki są tak szybkie, ale nagle odkrył, że chłopcy chorują, co groziło, że on sam zostanie nakryty, więc postanowił ich zamordować.

— I znów obciążyć winą mojego ojca.

— W istocie. Musiał go znaleźć, a oskarżając o morderstwa, zyskiwał do pomocy w poszukiwaniach cały Wurzburg. Naprawdę nie wiem, czy Hoos wiedział, że twój ojciec ukrywa się w kopalni. Być może to podejrzewał. W każdym razie i Flawiusz, i Hoos chcieli widzieć go martwym, bo gdyby Gorgias wyzdrowiał, mógłby spisać kolejny pergamin.

— I wy również, by ukryć to, co odkrył.

— O czym mówisz? — spytał zaskoczony mnich.

— O tym, że również chcieliście go widzieć martwym. Mój ojciec odkrył fałszerstwo tego dokumentu.

Alkuin zmarszczył brew. W tym momencie wszedł sługa z tacą, którą sam Alkuin odtrącił z niesmakiem.

— Powtarzam, że cenilem twojego ojca. Dajmy już wreszcie temu spokój. Cokolwiek bym dla niego zrobił i tak by umarł.

— Ale nie jak pies.

Alkuin nawet nie mrugnął. Wziął Biblię i odszukał Księgę Hioba. Przeczytał na głos jeden z rozdziałów, jakby na usprawiedliwienie swego postępowania.

— Bóg wymaga od nas poświęceń — dodał. — Zsyła na nas nieszczęścia, których być może nie rozumiemy. Twój ojciec poświęcił swoje życie i powinnaś być mu za to wdzięczna.

Theresa spojrzała mu w oczy stanowczym wzrokiem.

— Jeśli za coś powinnam być mu wdzięczna, to za to, że żył dość długo, bym się od niego mogła wiele nauczyć i nigdy nie była taka jak wy —

powiedziała ostrym tonem i wyszła ze skryptorium, zostawiając osłupiałego Alkuina.

* * *

W drodze do przystani Izam przedstawił jej powody, dla których mnich oskarżył ją o kradzież pergaminu.

— Aby cię chronić — wyjaśnił. — Gdyby tego nie uczynił, Flawiusz by cię zabił. To Flawiusza słyszałaś w tunelu. Hoos zamordował młodego wartownika, ale szukał ciebie. Znalazł szmaragdową Wulgatę i zabrał ją, sądząc, że w niej schowany jest pergamin. Potem, kiedy przekonał się, że to tylko zwykła Biblia, wyrzucił ją na krużganku, by nikt go nie nakrył na kradzieży.

— I dlatego wtrącił mnie do lodowni? I dlatego pozwolił, by mnie wychłostali? Dlatego chciał spalić mnie żywcem?

— Uspokój się — poprosił Izam. — Uważał, że w lodowni, czekając na egzekucję, będziesz bezpieczna. A chłosta to już sprawka Wilfreda. Hrabia nie znał uknutego przez Alkuina planu.

— Planu? Jakiego planu? — spytała zdziwiona.

— Polegającego na rzuceniu wyzwania samemu Alkuinowi. Theresa nie rozumiała, ale Izam mówił dalej.

— On sam mi to zaproponował — rzekł, mając na myśli mnicha. — Przyszedł do mnie i powiedział o tym wszystkim. Alkuin nie wiedział, jak cię chronić, a zarazem jak zdemaskować morderców, więc sam zasugerował, bym go wyzwiał. Kiedy to uczyniłem, a Alkuin zażądał, by w jego imieniu stanął obrońca, Flawiusz odkrył się, proponując Hoosa Larssona.

— I ty mu uwierzyłeś? Na Boga, Izamie! Pomyśl przez chwilę. Gdyby Hoos cię pokonał, ja zostałabym stracona.

— Do tego by nie doszło. Drogo o wszystkim wiedział. Gdybym zginął i tak by cię uwolnili.

— Wobec tego... dlaczego walczyłeś?

— Dla ciebie, Thereso. Hoos zabił twojego ojca. Zasługiwał na taką karę.

— Mogłeś zginąć — wybuchła płaczem.

— To był Sąd Boży. Nie mogło do tego dojść.

* * *

Trzy dni po egzekwiach konklawe zdecydowało, że Wilfred nie jest winien popełnionych przestępstw. Drogo, jako najwyższy sędzia, stwierdził, że śmierć Kornego oraz Genzeryka odpowiadała niegodziwości ich czynów, i wszyscy zebrani pochwalili taki werdykt. Mimo to Alkuin potępił ambicję, którą

kierował się Wilfred: pragnienie chrześcijańskie, ale zarazem zbrodnicze, tak powiedział.

Wychodząc z zebrania, Alkuin spotkał Theresę. Stała pośród tobołków wypełnionych ubraniami i książkami. Mieli się pożegnać. Alkuin raz jeszcze zaproponował jej, by ponownie przepisała pergamin w zamian za wynagrodzenie, ale Theresa stanowczo odmówiła. Wreszcie mnich ustąpił.

— Wobec tego... Na pewno chcesz wyjechać? — spytał.

Theresa zawahała się. Poprzedniej nocy Izam poprosił ją, by pojechała z nim do Aquis-Granum, ale ona jeszcze nie dała odpowiedzi. Z jednej strony pragnęła rozpocząć nowe życie, zapomnieć o wszystkim i wsiąść z nim na statek, który miał wypłynąć następnego dnia, z drugiej zaś z sentymentu skłaniała się ku temu, by zostać z Rutgardą i jej siostrzeńcami. Zupełnie tak, jakby nagle wszystkie nauki ojca, jego starania, by uczynić z niej kobietę wykształconą i niezależną, również się rozwiały. Przez chwilę widziała już oczami wyobraźni, jak postępuje za radą Rutgardy: wychodzi za mąż w Wurzburgu i wydaje na świat dzieci.

— Możesz jeszcze zmienić zdanie, zostać i pracować ze mną. Przez jakiś czas zostanę w fortecy, by uporządkować skryptorium i zakończyć pewne sprawy. Wilfred zostanie umieszczony w klasztorze, więc mogłabyś mi pomóc, a później zdecydujesz o swojej przyszłości.

Theresa nawet nie brała tego pod uwagę. Zawsze pragnęła pracować wśród pergaminów, ale teraz marzyła o innym świecie. Izam już jej o nim opowiadał, a ona chciała ten świat odkryć. Alkuin to widział. Kiedy pomagał jej pozbierać tobołki, spytał raz jeszcze o dokument Konstantyna.

— Kiedy twój ojciec był więziony, musiał skończyć pierwszą kopię.

— Nigdy jej nie widziałam — skłamała.

— To bardzo ważne. Gdyby się znalazła, moglibyśmy przedstawić ten dokument na soborze — nalegał.

— Powtarzam wam, że nic nie wiem. — Zastanowiła się chwilę, po czym dodała: — A nawet gdybym wiedziała, gdzie się znajduje, i tak nigdy bym wam jej nie dała. W moim sumieniu nie ma miejsca na kłamstwo, śmierć, ambicję czy chciwość, choćbyście nie wiem ile nimi szermowali w imię chrześcijaństwa. Zostańcie zatem z waszym Bogiem, ja zostanę z moim.

* * *

Theresa pożegnała się uprzejmie, nie myśląc już więcej o pergaminie. Nic ją to nie obchodziło. I tak już go zniszczyła.

Kiedy szła w stronę przystani, przypomniła sobie dziwne znaki, które jej ojciec narysował w lodowni, i zaczęła się zastanawiać, co mogły oznaczać te powtarzające się belki.

Znalazła Izama nad brzegiem, gdzie pomagał swoim ludziom uszczelnić statek pakułami. Kiedy ją zobaczył, rzucił kubel z dziegiem i z utyłanymi rękoma podbiegł, by wziął od niej tobołki. Zaśmiała się, gdy jego palce zabrudziły jej policzki, upodabniając ją do węglarki. Otarła twarz szmatką i ucałowała go, rozcierając smołę na jego ciemnych lśniących włosach.

RS

KWIECIEŃ

ROZDZIAŁ 32

Droga minęła bez przeszkód wśród kwakania kaczek towarzyszących statkom i kępom kwiatów, które porastały brzegi rzeki, zupełnie jakby zasadził je jakiś komitet powitalny. Zeszli z pokładu we Frankfurcie, gdzie pożegnali się z Drogim, i przyłączyli się do karawany zmierzającej do Fuldy. Tam spotkali się z ciężarną Czarnulką Helgą. Theresa nigdy w życiu nie widziała tak ogromnego brzucha. Na ich widok Helga rzuciła wiązkę siana, którą akurat niosła, i podbiegła do przyjaciółki, kołysząc się na boki jak kaczka. Przytuliła ją z taką siłą, że Theresa bała się, że pęknie jej brzuch. Kiedy Helga dowiedziała się, że zamierzają osiąść w Fuldzie, tak skakała z radości, że omal nie zaczęła rodzić.

W drodze do posiadłości Theresy Helga spytała ukradkiem, czy zamierza wyjść za Izama. Dziewczyna zaśmiała się nerwowo. Izam nie poprosił jej o rękę, ale wierzyła, że któregoś dnia to zrobi. Powiedziała jej o swoich planach związanych z zaoraniem ziemi i budową przestronnego bezpiecznego domu na wzór domów bizantyjskich, z wieloma pokojami i oddzielnym pomieszczeniem na latrynę. Izam był zaradnym mężczyzną i miał pewne oszczędności, uważała więc, że bez trudu zdołają to wykonać.

Kiedy Olaf zobaczył Theresę i Izama, podbiegł do nich żwawo niczym młody chłopak. Izam zdziwił się, widząc, z jaką zręcznością Olaf posługuje się swą drewnianą nogą, i natychmiast spytał, jak działa sztuczne kolano. Theresa i Helga zostawiły mężczyzn pochłoniętych rozmową o mechanizmach, koniach i ziemi, a same ruszyły do chaty, którą Olaf i jego rodzina zamienili w prawdziwy dom. Theresa zauważyła, że dzieci przybrały na wadze.

Tej nocy źle spali, ściśnięci obok siebie, choć Olaf wyniósł się na zewnątrz. Następnego dnia sprawdzili zasiewy, które już zaczęły kiełkować, oraz jeszcze nieuprawiane ziemie. Po południu poszli do Fuldy kupić drewno i narzędzia i w kolejnych dniach rozpoczęli budowę domu.

Czwartego dnia Izam, korzystając z tego, że Olaf i Lucilla poszli do miasta, postanowił porozmawiać z Theresa. Zostawił drwa, które prznosił, podszedł do niej od tyłu i czule ją objął. Theresa powoli odwróciła się i ucałowała jego pełne słodkie wargi. Izam pogładził jej dłonie pokryte teraz pęcherzami.

— Wcześniej były takie delikatne — powiedział z żalem.

— Wcześniej nie miałam ciebie — odparła i znów go pocałowała. Izam rozejrzał się wokół, ocierając pot z czoła. Budowa domu,

który nie był tak duży, jak chciała Theresa, posuwała się powoli. Poza tym dziewicze ziemie wymagały więcej wysiłku, niż sądzili, by uzyskać choćby nikłe plony. Ale Izam podziwiał zapał Theresy, z jakim zabierała się do każdej pracy.

Spacerowali nad strumieniem. Izam kopnął jakiś kamyk. Kiedy Theresa spytała, o czym myśli, burknął, że nie tego dla niej pragnął.

— O czym mówisz?

— O takim życiu. Nie na to zasługujesz — odparł.

Theresa nie rozumiała, o co mu chodzi. Powiedziała, że wystarczy jej, że on ją kocha.

— A twoje książki? Widziałem, że co noc czytasz swoją tabliczkę. Theresa próbowała ukryć łzy, które napłynęły jej do oczu.

— Moglibyśmy pojechać do Nantes — zaproponował Izam. — Mam tam żyzne ziemie, które odziedziczyłem po jednym z krewnych. Klimat jest łagodny, a latem plaże są pełne mew. Znam tamtejszego biskupa, to dobry, skromny człowiek. Na pewno pożyczy ci książki i będziesz mogła tam pisać.

Twarz Theresy się rozjaśniła. Spytała, co stanie się z Olafem i jego rodziną, ale ku jej zdziwieniu Izam już podjął decyzję. Pojadą z nimi i będą im służyć w nowym domu.

W ciągu kolejnych dni kończyli przygotowania. Sprzedali ziemie, przesłali część zysku Rutgardzie, a kilka łanów oddali Czarnulce Heldze. W pierwszą niedzielę maja wyruszyli wraz z kupcami, którzy zmierzali do Paryża. W drodze do Nantes, przytulona do swego narzeczonego, Theresa spojrzała na coraz jaśniejsze niebo i wspominając ojca, uczciła pocałunkiem niespodzianki losu.

EPILOG

Choć Brudas Erie stracił w ostatniej bójce zęb, i tak pluł dalej od reszty chłopców. Z tego powodu, a także dlatego, że miał najszybsze pięści w całym Wurzburgu, nadal przewodził chłopcom z przedmieścia, których teraz prowadził do swej nowej kryjówki.

Kiedy doszli do baraków, rozejrzeli się wśród ruin pozostałych po przejściu zimy. Potem weszli do tuneli i pozbiali wszystkie narzędzia, które mogły im się przydać do zabawy. Erie postanowił, że ulokują się w najlepiej zachowanym baraku, i mianował małego Thomasa strażnikiem kopalni. Kazał mu wejść na belki pod stropem i zagroził, że jeśli nie przestanie płakać, nie pozwoli mu zejść. Po chwili Brudas Erie zauważył, że Thomas wcale nie płacze, tylko pełźnie po jednej z belek.

— Tu jest coś schowane — oznajmił malec.

Stanął na belce i wyjął skórzany starannie obwiązany pakunek. Erie kazał Thomasowi oddać zawiniątko. Potem wszyscy stłoczyli się wokół swego szefa, który nakazał im zachować ciszę.

— Co to jest? — spytał jeden z chłopców.

Erie wymierzył mu cios w podbródek za to, że wyciągał ręce, usiłując dotknąć znaleziska. Rozwiązał sznurek z takim namaszczaniem, jakby rozpakowywał skarb, ale gdy odkrył, że w środku kryje się tylko kilka pergaminów, skrzywił się i wyrzucił je do kąta. Chłopcy zaczęli naśmiewać się z rozczarowania Erica, ale on natychmiast rozprawił się z tymi, którzy stali najbliżej, i chłopcy szybko pożałowali, że stroili sobie z niego żarty. Po chwili namysłu Erie popatrzył na dokumenty i ostrożnie je pozbierał.

— Jak myślicie, dlaczego jestem waszym szefem? — spytał. — Pójdę do fortecy i zamienię je na pigwowe ciastka.

Gdy wrócił do miasta, próbował przekonać wartownika, by go wpuścił, ale mężczyzna odepchnął go brutalnie i kazał zająć się zabawą. Chłopiec miał już podrzeć pergamin, gdy nagle wpadł na wysokiego mnicha, który powiedział, że nazywa się Alkuin. Erie podszedł do niego nieufnie, ale zaraz nabrał odwagi. W końcu dlatego był szefem. Polizał dłonie, ugładził nimi włosy, po czym zaproponował mnichowi pergaminy. Kiedy mnich zobaczył dokumenty, padł na kolana, obsypał chłopca pocałunkami i pobłogosławił. Następnie pobiegł do skryptorium, by podziękować Bogu za to, że Donacja Konstantyna znalazła się w jego rękach.

* * *

Tego popołudnia chłopcy z paczki wiwatowali na cześć Brudasa Erica, najlepszego szefa na świecie, bo oprócz ciastek z pigwy zdobył dla nich również cztery beczki wina.

Wszystko jest powieścią

Początki

W październiku 1999 roku uczestniczyłem w kongresie na temat budowy samochodów, który odbywał się w Niemczech, we wspaniałym mieście Wurzburgu, położonym niedaleko Frankfurtu. Podobnie jak poprzednio, tak i teraz wykłady były nudne, ale ostatniego dnia miałem szczęście nawiązać rozmowę z Gerardem Mullerem, miłym roztargnionym człowiekiem, który witał się ze mną tak długo, aż zdołałem go przekonać, że mnie z kimś pomylił. Jednak nasze spotkanie okazało się opatrnościowe, ponieważ na koniec zaprosił mnie do swojego domu, gdzie pomagałem w przygotowaniu kolacji. I bynajmniej nie stało się tak dlatego, że w tamtym okresie poczułem kucharskie powołanie. Tak się akurat złożyło, że Frida Muller, żona mojego gospodarza, była wówczas pochłonięta pracą doktorską i pan Muller zaproponował, abyśmy wspólnie przygotowali deser.

W trakcie kolacji przekonałem się, że Frida jest niezwykłą kobietą, nie z racji swego wyglądu, z pewnością przeciętnego, lecz z powodu zaraźliwego entuzjazmu, z jakim opowiadała o doktoracie. Jej badania dotyczyły intryg, które towarzyszyły koronacji Karola Wielkiego na cesarza Europy i obudziły we mnie takie zainteresowanie, że po powrocie do Hiszpanii natychmiast zebrałem niezwykle bogatą bibliografię.

Od tej chwili zaczęła się bardzo obfita korespondencja nie tylko z Fridą Muller, ale również z Hansem Reuckiem, opiekunem jej pracy doktorskiej i docentem w katedrze Historii Średniowiecznej na Wydziale Heinsurrgruck we Frankfurcie nad Menem, oraz z Albertem Sackerem, konserwatorem w Muzeum Akwizgranu. W tym czasie pracowałem już z wielkim zapałem nad Skrybą.

Zawsze chciałem napisać powieść.

Są osoby, którym sprawia przyjemność luksusowy jacht, danie o nazwie, której nie sposób wypowiedzieć, albo markowa torebka z najnowszej kolekcji. Ja wolę spędzać czas z książką albo z dobrym przyjacielem, choć tych dużo trudniej znaleźć.

Przeczytałem tuziny pamfletów i dzieł, traktatów historycznych i filozoficznych, opowiadań i esejów, powieści przygodowych, historycznych i detektywistycznych, opowiadań obyczajowych, a także zabawnych i błahych

historii. I stwierdziłem, że wszystkie mnie bawią. Ale gdybym miał wybrać jeden gatunek, bez wahania wybrałbym ten, dzięki któremu oddychałem przenikliwą wilgocią jakiegoś opactwa, czułem w suchym gardle duszące piaski pustyni Isfahanu albo cierpiałem niedostatki średniowiecza w samym środku angielskiej wsi. Odbywałem podróże do innych epok i przeżywałem losy bohaterów. Dla mnie to jest właśnie powieść historyczna.

Walka

Powieść historyczna bardziej niż historią musi być powieścią. Dokumentacja stanowi jedynie dekorację, lakier, który przydaje blasku i poleruje bohaterów, opakowanie, które ich legitymizuje i sprawia, że stają się prawdopodobni. Ale tak jak z grubą warstwą lakieru, jeśli dokumentacja narasta, czyniąc płótno matowym, z pewnością zepsuje obraz. Ponieważ naprawdę ważna jest powieść sama w sobie, szybka i precyzyjna akcja, jej nieoczekiwane zwroty, przerażający rozwój sytuacji. W powieści historycznej bohaterowie, mimo różnicy czasu, muszą być równie wiarygodni i bliscy, jak sąsiad, który każdego ranka narzeka w windzie, albo nieszczęśnik proszący nas o jałmużnę na ulicy.

W ciągu dwu lat przeczytałem tysiące stronic, aż przyswoiłem sobie literacką spuściznę Donacji Konstantyna, słynnego dokumentu z VIII wieku, na którym opiera się intryga Skryby.

Najstarszy testament znajduje się w Kodeksie Łacińskim 2777 w paryskiej Bibliotece Narodowej i jest datowany na wiek IX, choć kodeks ten jest zaledwie kopią nigdy nieodnalezionego oryginału. Liczne badania przypisują jego autorstwo tej samej osobie, która zredagowała Fałszywe Dekrety, ale inni, na przykład Baronius, wskazywali na Wschód i pewnego Greka schizmatyka. Ostatnie prace skupiały się na Rzymie, jako że papież był głównym beneficjentem testamentu, choć najstarsza interpretacja Zachariasza i innych wskazuje zdecydowanie na imperium frankogermańskie. Ta ostatnia teza, której z dużą zręcznością bronią Hergenroter i Grauert, kładzie nacisk na fakt, iż Donacja po raz pierwszy pojawia się w zbiorach frankogermańskich, to znaczy w Fałszywych Dekretach i w manuskrypcie z St. Denis, dowodząc w ten sposób, że dokument legitymizuje *translatio imperii* Frankogermanom, to znaczy przeniesienie tytułu cesarskiego na Karola Wielkiego.

Mógłbym przytoczyć więcej hipotez, takich jak hipotezy Martensa, Friedricha i Bayeta o istnieniu różnych autorów, albo hipotezy Colombiera i Genelina na temat daty jego powstania, ale niestety wniosek pozostanie ten sam: luki w historycznych podwalinach pozwoliły tak dopasować bohaterów, że nie sprawiają wrażenia fałszywych.

Po pokonaniu tej trudności pojawiły się (jakżeby nie) inne, takie jak orografia (potrzebowałem rzeki, dwu blisko położonych miast, opactwa i wąwozu), broń (Theresa nie mogła z dnia na dzień opanować sztuki strzelania z łuku) albo nikła możliwość, że bandy Sasów postanowią zapuścić się na te odległe tereny.

Jeśli chodzi o lokalizację, wybrałem Wurzburg i Fuldę, miasta, do których wielokrotnie jeździłem, by przekonać się, czy wybór jest trafny. Łuk zastąpiłem kuszą, bronią, która co prawda rozwiązała jeden problem, ale przysporzyła kolejnego, ponieważ kusza, choć obecna w tamtych czasach, nie była rozpowszechniona. Ale ostatecznie te propozycje mieściły się w ramach tego, co możliwe, więc postarałem się dopracować je w najdrobniejszych szczegółach, by stały się prawdopodobne.

Co do bohaterów, należy wspomnieć o bracie Alkuinie, człowieku, który miał doniosłe znaczenie w dziejach Europy, a którego osobę niespodziewanie sobie przywłaszczyłem, czyniąc z niego badacza pełnego mrocznych odcieni.

I choć po tych wyliczeniach mogłoby się wydawać, że powieścią kieruje historia, to z pewnością bohaterowie i wydarzenia czynią z jej lektury mozaikę przygód, miłości i przestępstw. Przenikając się nawzajem, tworzą skomplikowaną ośnowę, w której dokumentacja jedynie pobudza rozwój intrygi.

Marzenia

Oczywiście marzenia czytelników.

Kiedy postanowiłem napisać powieść, nie myślałem o sobie. Ani nawet o tym, co sam lubię czytać.

Pragnąłem, by to czytelnik czerpał przyjemność, nie ja, i dlatego zadawałem pytania tym, którzy najwięcej wiedzą o książkach: księgarzom.

Usłyszałem różne opinie. Jedni twierdzili, że najważniejszy jest tytuł albo projekt okładki, inni upierali się przy wadze promocji. Ale niemal wszyscy zgadzali się, że takie zabiegi na nic się nie zdadzą, jeśli książce brak jest duszy. „Technij duszę w bohaterów, a powieść będzie wzbudzać emocje”. Mówili mi o rytmie, o rozbudzeniu ciekawości i sile rozrywki. „Krytycy zdają się pogardzać powieściami, które bawią, ale zapewniam cię, że te są najlepsze”, zwierzył mi się Peter Hirling od ponad trzydziestu lat będący właścicielem maleńkiej księgarni w sercu Londynu.

Mogę tylko powiedzieć, że starałem się słuchać ich rad. Rozwazałem każdy akapit, każdy rozdział, szukając tej alchemii, która znika, gdy kończysz pisać powieść. I po ostatnim retuszu w głębi zostały słowa, metafory i symbolika,

ustępując miejsca całemu obrazowi. A najlepsze jest to, że sprawiło mi to przyjemność.

Jeśli chodzi o inne marzenia, tym razem moje, muszę podziękować mojej żonie Maite za jej czułość i wsparcie podczas siedmiu lat trwania tej przygody i niemal dwudziestu, odkąd się poznaliśmy. A także moim rodzicom i braciom (zwłaszcza Javierowi) za ich zainteresowanie i troskę.

Na koniec pragnę wyrazić wdzięczności za pochwały, którymi Carlos García Gual, wykładowca filologii greckiej na Uniwersytecie Complutense w Madrycie, pisarz, eseista i krytyk, a ponadto wydawca magazynu Historia National Geographic, obsypał pierwszy rękopis. Jego rady, co więcej, bezpośrednie i trafne, przyczyniły się do wyszlifowania historii, a jego słowa otuchy pomogły mi na tej trudnej drodze. Chciałbym również wspomnieć o mojej córce Lidii, o Juanie Montesa, moim najlepszym przyjaciolem, i o Antoniu Penadésie, pisarzu, którego wspaniałomyślność jest bezcenna i za którego radą udałem się do moich obecnych agentów: Ramona Conesa i Glorii Masdeu, z agencji Carmen Balcells, którym dziękuję za wspaniałą pracę i pomoc. I oczywiście Carmen Pinilli, mojemu niemieckiemu wydawcy, René Strien i Lucíi Luengo, która jest moim wydawcą w Ediciones B, za ich niemalże przytłaczającą wiarę we mnie.

Im wszystkim, a na pierwszym miejscu moim czytelnikom, należy się moja dozwolona wdzięczność.